

WOJCIECH WÓJCIK

# ODMETY ŚMIERCI



**WOJCIECH WÓJCIK**

**ODMĘTY  
ŚMIERCI**

---

**ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO**

---

Wojciech Wójcik  
Odmęty śmierci

ISBN 978-83-8202-963-5

Copyright © by Wojciech Wójcik, 2023  
*All rights reserved*

Redaktor  
Hanna Kossak-Nowocień

Projekt okładki i stron tytułowych  
Joanna Wasilewska

Projekt typograficzny i łamanie  
Grzegorz Kalisiak | *Pracownia Liternictwa i Grafiki*

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)  
[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

*Ani, Beatce, Arturowi i Madzi*

# Prolog

To był najostrzejszy zakręt w całej Warszawie. Tramwaj wszedł w wiraż tak dynamicznie, że jego pordzewiałe nity zgrzytnęły w metalicznym proteście, a potem przyhamował przed przystankiem. Krystyna Kalinowska podniosła się z siedzenia i ruszyła w kierunku drzwi, trąc torebką stojącego w przejściu wyrostka. Odsuwając się, wybełkotał przeprosiny, ale kobieta nie sprawiała wrażenia udobruchanej. Nie chodziło o chłopaka, tylko o lipcowe upały i niedziałającą klimatyzację. W takich temperaturach jej ponadosiemdziesięcioletnie, pulchne ciało roztopiało się niczym wosk. Wnętrze tramwaju przypominało saunę, a w szpitalu, z którego wracała, było niczym w piekle. Portier powiedział jej, że szum klimatyzatorów drażni pacjentów. Jeśli tak było, to musieli być szaleni... I pewnie byli.

Szpital, który odwiedziła, był przecież szpitalem psychiatrycznym.

Uśmiechnęła się do własnych myśli, ale po chwili uśmiech stężał. Poza tramwajem wcale nie było lepiej. Powietrze drgało, a asfalt ulicy Filtrowej — w miejscu, gdzie położono świeżą łatę — stał się podejrzanie lepki. Staruszka z ulgą pozbyła się maseczki, po czym ruszyła w kierunku swojej kamienicy, odległej o niecałe dwieście metrów. Trudno zliczyć, ile razy przez ostatnie pół wieku, i to z okładem, pokonywała tę trasę. Z każdym rokiem przychodziło jej to trudniej, ale nigdy się nie skarżyła. Ludzie z wojennych roczników niechętnie przyznają się do słabości. Przynajmniej większość, bo...

— Ale dziś gorączka. Pani Kalinowska, pani zaczeka. Bo nogi mi opuchły.

Kobieta, która kuśtykała od strony parku, była jej rówieśniczką, ale

choć mieszkały na sąsiednich piętrach od czasów wczesnego Gomułki, to nigdy nie mówiły sobie po imieniu. I całe szczęście. Kalinowska nie miała pojęcia, jak brzmiało zdrobnienie od imienia sąsiadki.

— Wraca pani z zakupów? — zapytała, a kiedy nie doczekała się odpowiedzi, z trudem powstrzymała westchnienie. Nie znosiła tej starej komunistki. — Pani Klementyno...

Kobiecina zrównała się z nią, po czym pochyliła, by rozmasować nabrzmiałą łydkę.

— Jest coraz gorzej — powiedziała płaczącym tonem. — Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam. Życie potrafi być okrutne.

Narzekła na wszystko. Robiła to niemal od zawsze, więc Kalinowska już dawno przestała jej współczuć, a nawet udawać, że współczuje. Chciała odejść, ale sąsiadka chwyciła ją za rękaw sukienki, a potem otarła łzy. Oczy Kalinowskiej powędrowały w górę. Przez chwilę przyglądała się odnowionej elewacji kamienicy. Jej balkon na pierwszym piętrze był cały w kwiatkach.

— Co pani kupiła? — spytała, chociaż wcale jej to nie interesowało.

— Nie byłam na zakupach. — Pani Klementyna wreszcie puściła sukienkę rozmówczyni i potrząsnęła siatką. Była pusta, tylko na dnie pozostało kilka okruchów. — Karmiłam ptaki.

Kalinowska darowała sobie wykład o zgubnym wpływie spleśniałego pieczywa na dobrostan gołębi. Czekając, aż sąsiadka skończy macać się po żylakach, wciąż wodziła wzrokiem po elewacji. Tablica była w tym samym miejscu, co zawsze. Na odnowionym murze wyglądała bardzo staro. A wcale nie była taka stara. Miała niewiele ponad trzydzieści lat. Wryte w granicie litery stawały się coraz mniej wyraźne, ale Kalinowska znała je na pamięć. *W tym domu w latach 1940–1987 mieszkał Julian Kalinowski, zasłużony pracownik i dyrektor warszawskich Filtrów.*

Gdy Klementyna przestała się roztkliwiać nad obolałymi nogami i wreszcie wyprostowała, również zwróciła uwagę na tablicę. Jej pociągnięte czerwoną szminką wargi wykrzywiły się w melancholijnym uśmiechu.

— Pan Julian był takim eleganckim mężczyzną. Nie to, co mój Kazik.

Kazik był milicjantem i przez pół życia znajdował się na gazie. Alkoholizm zamienił go najpierw w inwalidę, a potem — kilka lat temu — posłał na łono Abrahama. Nie był wymarzonym partnerem. A Julian... W oczach sąsiadów Kalinowscy uchodzili za wzorowe małżeństwo. Kazik w przypiływie alkoholowej inwencji stworzył nawet wierszyk na ich cześć. *Idealna rodzina: Julian i Krystyna*. Prawie nikt nie znał prawdy. Prawie nikt nie wiedział, że Kalinowska za każdym razem, gdy mijała tablicę honorującą przedwcześnie zmarłego małżonka, miała ochotę splunąć na chodnik.

Chociaż Juliana nie było wśród żywych od ponad trzydziestu lat, wciąż go nienawidziła. Są rzeczy, o których nie da się zapomnieć.

Klatka schodowa powitała obie kobiety orzeźwiająjącym chłodem. Klementyna podreptała do swojego dwupokojowego mieszkania na parterze, a Kalinowska rozpoczęła mozolną wspinaczkę po schodach. Przedwojenne kamienice dobrze izolowały od upału, ale miały też swoje wady. Jedną z nich był brak windy. A drugą — archaiczne zamki w drzwiach. Kalinowska przez chwilę siłowała się z kluczem. Dolny zamek, którego używała niezmiernie rzadko, poddał się niemrawo, z chrobotem przyprawiającym o gęsią skórkę. Schowała klucz na dno torebki i nacisnęła klamkę, a potem zawołała od progu, tak jak za każdym razem:

— Olu! Przyjechałaś?

Z wnętrza mieszkania odpowiedziała jej cisza. Przeszła próg i zerknęła

na szafkę z butami. Ola, czyli dziewczyna najęta jako opiekunka, miała słabość do obuwia, ale w szafce były tylko stare łapcie. Kalinowska westchnęła. Przedłużająca się nieobecność dziewczyny była jej nie na rękę. Bardzo chciała znów ją zobaczyć. Wierzyła, że rozmowa ukoji jej nerwy. Dziś potrzebowała takiego ukojenia bardziej niż zwykle. Po spotkaniu, z którego właśnie wróciła, wciąż dygotała, a nogi miała jak z waty. Była już zbyt stara na takie wzruszenia. Zbyt stara i zbyt słaba, by tak się stresować.

Przez wszystkie te lata walczyła z chandrą w ten sam sposób — napychając się słodyczami. Teraz także pierwsze kroki skierowała do kuchni. Nie czuła wyrzutów sumienia, nawet wtedy, gdy każdemu jej krokowi towarzyszyło skrzypienie starego parkietu. Czasy, w których należało dbać o linię, były już za nią. Teraz mogła sobie pofolgować.

Na stole kuchennym stała tacka z ciastkami, ale w lodówce miała coś znacznie lepszego: ćwiartkę tortu. Przekroiła ją na dwa kawałki, a potem dosypawszy do filiżanki z miśnieńskiej porcelany śmietanki w proszku, włączyła ekspres do kawy — prezent na osiemdziesiąte pierwsze urodziny. Czekając, aż kremowa ciecz umości się w filiżance, oblizwała nóż. Tort nie był tak smaczny, jak wczoraj, ale nie wybrzydzała. Pochłonęła pierwszy kawałek, a potem — już wolniej — spałaszowała drugi. Kawa była dokładnie taka, jak lubiła. Gdy kilka kropel pociekło jej po brodzie, sięgnęła po chusteczki. I wtedy usłyszała dziwne skrzypienie.

— Oleńka?

Nie otrzymała odpowiedzi. Bardziej zdziwiona niż zaniepokojona podniosła się z kuchennego krzesła i ruszyła korytarzem. Minęła wejście do salonu, w którym — na honorowym miejscu, tak jak oczekiwały tego dzieci i wnuki — stała kolekcja fajek jej małżonka, a potem zatrzymała się przed drzwiami łazienki. Zamierzała tam wstąpić, ale skrzypienie rozległo się raz



jeszcze. Z dawnego gabinetu Juliana, czyli pomieszczenia, które odwiedzała bardzo rzadko.

— Co to za żarty? — powiedziała sama do siebie, usiłując zwalczyć ogarniający ją lęk. Dłonie drżały jej jak w febrze. — Kto tu jest?

Nacisnęła klamkę. Ta ustąpiła niechętnie, odsłaniając proste łóżko i ciężkie kotary, które zasłaniały okno tak szczelnie, że z zewnątrz nie przedostawał się tu nawet okrucz słonecznego blasku. Dawny wystrój pokoju — meble, sprzęty — już dawno zgnił na wysypisku. Wyrzuciła wszystko wkrótce po śmierci Juliana. W mieszkaniu zostały po nim jedynie fajki. W tym, że je zachowała, było drugie dno. Palenie szkodziło mu na płuca. W dawnych czasach myślał, że kiedyś w końcu od tego zdechnie, rekompensowała jej nawet wnikający w meble, ubrania i włosy smród tytoniowej mieszanki.

Wyteżając wzrok, rozejrzała się po ciemnym wnętrzu, a potem — czując, jak miękną jej nogi — osunęła się na łóżko, na którym czasami nocował jej ukochany wnuk. Teraz to był jego pokój. Nie Juliana. A tymczasem...

Tymczasem umysł, zazwyczaj ostry jak brzytwa, zupełnie się rozregulował. I płatał jej figle.

— Julian? — wyszeptała słabym głosem, mając nadzieję, że to tylko koszmarne sen. — To ty?

Ale to nie był Julian. Zza zasłony wyłonił się humanoidalny kształt. Gdy dotarło do niej, z kim ma do czynienia, mózg zaczął się buntować. Zemdląca.

Chwilę potem już nie żyła.

## Piątek, 9 lipca 2021 r.

Rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego pochylił się nad stołem konferencyjnym i złożył zamaszty podpis, a potem zastygł w bezruchu z piórem wciąż przyciśniętym do dokumentu. To była chwila dla fotografa. Laura Woźniak odsunęła krzesło, ale nie zrobiła tego wystarczająco dyskretnie. Jej szef, bladolicy Szwed w staromodnym, kraciastym garniturze, posłał jej śnieżnobiały uśmiech i uczynił zapraszający gest.

— Zostań z nami. To twoja zasługa.

Czując się trochę jak kretynka, zapozowała do zdjęcia. Jej rola w dzisiejszym spotkaniu zakończyła się po kilku minutach, gdy okazało się, że wszyscy uczestnicy swobodnie porozumiewają się po angielsku. Ale szef miał trochę racji. List intencyjny, który podpisali właśnie z uczelnią, był w znacznej mierze jej autorskim dziełem. Spędziła nad nim długie tygodnie, dopinając przy tym szczegóły dzisiejszego spotkania. Spotkania, które miało przynieść firmie — Phisenbaum Labs — zyski liczone w milionach. Rzeczywiście zasłużyła na to, by być na zdjęciu. I na to, by wreszcie pójść na urlop.

Na myśl o dniach wolnych bezwiednie się uśmiechnęła. Miała ładny uśmiech i zielone oczy, które ktoś kiedyś określił mianem kocich. Rektor, który właśnie oderwał wzrok od obiektywu, popatrzył na nią z sympatią.

— Gdzie pani tak dobrze nauczyła się angielskiego?

— Mam to we krwi. Oboje rodzice wykładali swego czasu na anglistyce.

— Laura zna jeszcze niemiecki i rosyjski. — Szef lubił się chwalić jej zdolnościami.

Trochę ją to zawstydzalo, ale akurat dzisiaj była skłonna mu wybaczyć.

Rano, jeszcze przed spotkaniem, na jej konto wpłynęła nagroda. Pięciocyfrowa. Urlop zapowiadał się rewelacyjnie.

— To i tak nic w porównaniu z moim bratem. On zna siedem języków. Jest dyplomata, aktualnie na placówce we Włoszech.

— Rodzice z pewnością są z was dumni.

Słowa rektora zabrzmiały w jej uszach trochę protekcjonalnie, ale nie czuła urazy. Starsi panowie często traktowali ją jak ulubioną wnuczkę. Choćby nie wiem jak się malowała, i tak wyglądała na studentkę pierwszego roku. Nikt nie chciał uwierzyć, że dobijała trzydziestki.

Posłała siwowłosemu rektorowi jeszcze jeden uśmiech, a potem, idąc w ślady swojego szefa, podniosła się z miejsca. Rektor odprowadził ich aż do windy i nawet wcisnął odpowiednie przyciski, jakby chciał mieć pewność, że się nie zgubią. Gdy zostali sami, Milena zrobiła im jeszcze jedno zdjęcie, po czym schowała aparat do etui.

— To co, da się pan namówić na jednego drinka? — spytała, świdrując szefa wzrokiem.

Jej angielszczyzna też była idealna. Ich firma nie uznawała półśrodków. Milena przez kilka lat pracowała jako przedstawiciel handlowy. Umiała namawiać, ale tym razem jej się nie poszczęściło.

— Niestety, dziś nie dam rady. Bawcie się dobrze, a rachunek prześlijcie mnie. Brawo, dziewczyny. To był kawał cholernie dobrej roboty.

Jak przystało na lojalne pracownice, odprowadziły go na parking przed budynkiem. Gdy odjechał swoim wypasionym volvo, Milena natychmiast rozpuściła włosy i rozpięła dwa górne guziki białej bluzki. To wystarczyło, by z eleganckiej bizneswoman przeistoczyła się w kusicielkę.

— Rozejrzymy się za jakimiś fajnymi młodymi lekarzami?

Na terenie kampusu było niemal pusto, ale to wcale jej nie zraziło. Laura też rozpięła guzik bluzki. Tylko dlatego, że było gorąco.

— Ja mam na pewien czas dosyć lekarzy — oznajmiła. — Starych i młodych. Wszystkich.

Firma Phisenbaum Labs — jeden z farmaceutycznych gigantów — współpracowała z medykami na okrągło, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Laura nie zamierzała poznawać kolejnych, zwłaszcza że kilka minut temu zaczęła urlop. Milena była niepokieszona.

— Daj spokój, to tylko zabawa. Ten twój facet... chyba nie jest zazdrosny?

— Nie jest. W przeciwieństwie do mnie.

— Aż takie z niego ciacho? Pokaż zdjęcie.

Laura westchnęła, po czym sięgnęła do torebki i po dłuższej chwili znalazła w niej telefon. Wyświetliła ostatnią fotkę, z dzisiaj. Nie mogła być bardziej norweska.

— To fiordy?

— Fiordy — potwierdziła, patrząc na swojego uśmiechniętego chłopaka, pozującego na tle huczącego Morza Północnego.

— Zajmuje się połowem dorszów?

— Jest architektem. Projektuje wnętrza opery... nie, filharmonii w Oslo. Siedzi tam od dwóch miesięcy.

— Boże, od dwóch miesięcy jesteś bez chłopca?! Ja bym chyba spłonęła.

— Nie miałam ostatnio czasu, by płonąć — zaśmiała się Laura, nawiązując do napiętego okresu w pracy. — Teraz sobie odbijemy.

— Wie, że chcesz do niego polecieć?

— Nie. To niespodzianka.

— Uważaj. Nie wszyscy faceci lubią takie niespodzianki.

— Co masz na myśli?

Do Mileny dotarło chyba, że trochę się zagalopowała, bo zamiast odpowiedzieć, tylko się zaśmiała. Ale Laura nie dała za wygraną.

— Poważnie, odpowiedz.

— Niektórzy mogliby to odebrać jako ograniczenie wolności, ale w przypadku takich gołąbeczków jak wy... Na pewno będzie zachwycony. Tylko nie zapomnij zrobić testu PCR. Bo zamiast w łóżku, spędzisz urlop na kwarantannie.

Ich służbowa toyota nie była tak luksusowa, jak samochód szefa, ale klimatyzacja działała bez zarzutu. Odstawiły ją na podziemny parking pod szklanym wieżowcem warszawskiego City, w którym — na wyższych piętrach — znajdowała się siedziba firmy. Laura miała zamiar się pożegnać, ale koleżanka nie chciała o tym słyszeć.

— Mamy otwarty rachunek — zaprotestowała z błagalną miną. — Nie zmarnujmy tego. Możemy pójść na homary, a potem gdzieś potańczyć. Lubisz homary?

— Lubię. Ale nie mogę...

— Możesz. Bilet na samolot kupisz jutro.

— Muszę odwiedzić babcię.

— Poważnie?

— Tak, poważnie. Ma ponad osiemdziesiąt lat, jej opiekunka pojechała do rodziny... Nie mam ochoty, ale muszę.

— Masz babcię? Ale czad. Moje już dawno nie żyją. Zazdroścę.

Laura miała powiedzieć, że nie ma czego, ale ugryzła się w język. Nie chciała, by koleżanka wzięła ją za ostatnią jędzę. Stosunki z babcią były raczej chłodne, lecz nie było powodu, by to rozgłaszać.

— Chcesz przejść się do niej ze mną? Potem możemy pójść na tego homara...

— No pewnie! — Entuzjazm Mileny był tak szczery, że aż zastanawiający. — Uwielbiam starych ludzi. Mają do opowiedzenia tyle historii! A ja kocham stare historie.

Babcia Laury mieszkała na Filtrach. Osiedle przedwojennych kamienic nazywano kiedyś Kolonią Lubeckiego, ale dziś już nikt tak nie mówił. Większość kamienic od ulicy Filtrowej miała cztery piętra, ale te wybudowane bliżej parku były niższe. Wyrastały wśród zieleni niczym przerośnięte wille.

— To miejsce ma klasę — zawyrokowała Milena. — Ile krzyczą tu za metr?

— Pewnie ze dwadzieścia kilka tysięcy.

— To już rozumiem, czemu tak zależy ci na babci. — Mrugnęła okiem. — Każdy by chciał dostać taki spadek.

— Przestań. — Laura nie lubiła takich stwierdzeń, nawet jeśli padały tylko w żartach. — Jeśli interesują cię stare historie, to tu masz jedną z nich.

Wskazała na tablicę przytwierdzoną do ściany kamienicy.

— Kto to ten Julian Kalinowski?

— Mój dziadek. Zmarł jeszcze przed moim urodzeniem. To ponura historia. Nie wspominaj o nim przy mojej babci.

— Za kogo ty mnie masz?! Nie zamierzam rozdrapywać ran.

— To dobrze.

Laura uśmiechnęła się, bo te rany były zupełnie innego rodzaju. Babcia szczerze dziadka nie znosiła. Cóż, w tej rodzinie wszystko stało na głowie.

— Umarł dawno temu. Był jeszcze młody, nie? Zawał?

— To nie był zawał...

Laura niespodziewanie umilkła ze wzrokiem utkwionym w balkonie. Nawet stąd było widać, że wczorajsza burza zmieniła babciny kwietnik w pobojuwisko. Jedna donica była przewrócona, a pnącze — wspinające się przedtem po drewnianym rusztowaniu — teraz zwisało smętnie, niemal dosięgając chodnika.

— To balkon twojej babci?

Laura nie odpowiedziała. Ruszyła w kierunku wejścia do budynku, stukając obcasami po asfaltowej ścieżce. W drzwiach prawie zderzyła się z korpulentną Klementyną Sobecką i wspierającym się na lasce mecenasem Emilem Góreckim.

— Dzień dobry, jest babcia? — spytała na jednym oddechu, otrzymując w odpowiedzi bezradne spojrzenia.

— Widziałam ją kilka dni temu. Chyba w niedzielę. A pan?

— Niestety. — Mecenas, jak zwykle na jej widok, zaprezentował czar sztucznego uzębienia. — Ale wyrosłaś. Dopiero co chodziłaś stąd do szkoły z workiem na kapcie, a teraz...

Uśmiechnęła się z przymusem, po czym przecisnęła do środka, ocierając się o skrzynkę na listy. Milena wślizgnęła się za nią.

— Mieszkałaś tu?

— Tak. Przez trzy lata, w czasach gimnazjum.

— Ach, gimnazjum. Jakie to były piękne czasy.

Laura nie słuchała tej egzaltowanej gadki. Wbiegła po schodach i wcisnęła przycisk dzwonka, a potem nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły.

— To ja, babciu! — rzuciła w głąb mieszkania. Nagle zrobiło jej się zimno. Ramiona pokryła gęsia skórka. — Babciu, jesteś?!

W przedpokoju panował wzorowy porządek, ale na kuchennym stole dostrzegła talerz z resztkami tortu. Tego samego, który przyniosła ostatniej soboty. Sześć dni temu.

— Babciu! — krzyknęła, czując, jak ogarnia ją panika.

— Uspokój się. Nigdzie jej nie ma. Wyszła i zapomniała zamknąć drzwi.

Spokojny głos Mileny, dobiegający z głębi mieszkania, podziałał na jej napięte nerwy niczym balsam. Koleżanka nie traciła czasu. Zdążyła zajrzeć do wszystkich pomieszczeń.

— Może coś się stało. Zabrała ją karetka albo...

— Nie obraż się, ale ci sąsiedzi wyglądali na wyjątkowo wścibskich. Na pewno nie przegapiliby karetki pogotowia. A poza tym... nie czujesz?

Laura pociągnęła nosem. Po covidzie wciąż miała osłabiony węch.

— Nie.

— Zupa. Pachnie tu zupą. Chyba krupnikiem. Wyraźnie czuć rozgotowaną marchew.

Laura musiała uwierzyć jej na słowo. Przesunęła palcem po ramie lustra, a potem zdmuchnęła z palca drobinki kurzu. Trzaśnięcie drzwi wejściowych, których nie domknęły, było tak głośne i niespodziewane, że aż podskoczyła.

— Przeciąg. — Milena położyła jej dłoń na ramieniu. — W ostatnim pokoju jest otwarte okno.

Niepokój powrócił. Laura mieszkała u babci przez trzy lata i przez ten czas dobrze ją poznała. Ją i jej dziwactwa. Babcia nie zostawiłaby otwartego okna, a już na pewno nie od strony parku. Panicznie bała się owadów. Much i os, które krążyły w okolicach rosnącej pod oknami lipy.

— Nie możesz do niej zadzwonić?

Propozycja była sensowna. Wybierając numer, Laura przeszła do pokoju, który kiedyś — przed jej urodzeniem — był gabinetem dziadka, a później — w czasach, gdy tu mieszkała — azylem jej starszego brata Karola. Okno rzeczywiście było otwarte. Zasłony wydymały się niczym spódnica baleriny.

— Naprawdę pachnie marchewką.

Zamiast głosu babci usłyszała w słuchawce komunikat operatora. *Abonent jest poza zasięgiem sieci lub ma wyłączony telefon.* Ruszyła w kierunku okna, by je zamknąć. Nagle telefon wypadł jej z dłoni i roztrzaskał się o podłogę.



— Babciu.

Babcia, czyli Krystyna Kalinowska, leżała za łóżkiem. Martwe oczy celowały w sufit, a po sinych policzkach spacerowały muchy. Zapach gotowanej marchwi pochodził właśnie stąd. Tak pachniały nieświeże zwłoki.

— Babciu.

Laura usiadła na łóżku i po raz pierwszy od bardzo dawna uzmysłowiła sobie, że mimo wszystko bardzo ją kochała.

Świdrujący uszy krzyk budził skojarzenie z porodówką, a to przecież nie była porodówka. Doktor Michał Tracz wyszedł z gabinetu i ruszył energicznym krokiem w kierunku stanowiska rejestracji. Na jego nieogolonej twarzy malowało się zaniepokojenie, ale zaprawione szczyptą niepokoju.

— Co to za wrzaski?

— Pacjentka z trójki.

Pielęgniarka, która pełniła z nim nocny dyżur, miała zblazowaną minę i niski, zachrypnięty głos. Zbliżając się do niej, miał wrażenie, jakby wchodził do palarni. To mu przypomniało, że od godziny nie palił.

— Która?

— Jankowska. Ta z myszką na policzku. Janek poszedł ją położyć.

— Pasy?

Kobieta pokiwała głową. Na oddziale trzecim umieszczano najbardziej problematycznych pacjentów. To tam najczęściej stosowano pasy służące do przytwierdzania delikwentów do łóżek. Po to, by nie zrobili krzywdy — sobie lub komuś.

— Niech pani powie Jankowi, żeby w takich sytuacjach zamykał okna. Przynajmniej te od ulicy. Bo znów napiszą, że znęcamy się nad pacjentami.

Kiwnęła głową i wróciła do swojej krzyżówki. To był spokojny wieczór. Jak dotąd na izbę przyjęć zgłosiły się tylko dwie osoby i żadna nie kwalifikowała się do przyjęcia. Od pół godziny byli sami. Doktor Tracz miał nadzieję, że taki stan rzeczy będzie trwać jak najdłużej. Lubił swoją robotę, ale akurat dziś, pod koniec tygodnia, nie miał ochoty na wyzwania zawodowe. Wczorajszej nocy balował w akademiku, na imprezie młodszej siostry. Dziś chciał odpocząć.

Zamiast wrócić do gabinetu, poszedł do palarni. W innych szpitalach palenie było zabronione, psychiatryki jednak działały na specjalnych prawach. Mądrzy ludzie zdecydowali, że palenie może pełnić funkcję terapeutyczną. Palarnia była wspólna, dla lekarzy i pacjentów, ale o tej porze Michał miał ją tylko dla siebie. Pstryknął zapalniczką i przez chwilę wodził leniwym wzrokiem po widocznym zza szyby szpitalnym ogrodzie, skąpanym w blasku zachodzącego słońca. Zarejestrował, że krzyki pacjentki nagle się urwały. Sanitariusz wreszcie wpadł na to, by zamknąć okno. A może zadziałały leki? Nieważne. Ważne, że teraz był spokój.

Spokój nie trwał długo. Gdy Michał kończył palić, do palarni wparowała pielęgniarka z izby przyjęć.

— Coś poważnego? — Lekarz nawet nie próbował ukrywać niechęci.

— Nie, telefon. — Jej energia nagle wyparowała. Włożyła do ust papierosa i pstryknęła zapalniczką. — Profesor Łapiński. Prosi o kontakt w wolnej chwili.

Telefon od Łapińskiego mógł zwiastować kłopoty. Profesor cenił sobie swój wolny czas. Jeśli dzwonił o — Michał zerknął na zegarek — dwudziestej pierwszej, to na pewno nie po to, by zapytać o zdrowie. Zgasił papierosa i wrócił do gabinetu, wybierając po drodze numer. Głos profesora, znanego z tego, że nierzadko potrafił nawrzeszczyć, był zaskakująco przymilny.

— Bardzo się ucieszyłem, panie Michałku, że to pan ma dzisiaj dyżur. Potrzebuję kogoś bystrego, z trzeźwą oceną sytuacji...

Pochlebstwa nie wróżyły niczego dobrego. Wyglądało na to, że profesor, który jeszcze przed rokiem, gdy Michał kończył specjalizację z psychiatrii, był jego opiekunem naukowym, chciał go zrobić w jakąś nadprogramową robotę. Najgorsze, że Michał nie mógł się wykręcić. Słowo Łapińskiego było tu prawem.

— W czym mogę pomóc, profesorze?

— Widzi pan, panie Michale, mam tu u siebie, pod miastem, bardzo miłego sąsiada. Niejakiego Zbyszka Komara. I ten pan Zbyszek poprosił mnie o pomoc w pewnej delikatnej sprawie. Otóż... ten pan Zbyszek ma syna. Syna z pewnymi, że się tak wyrażę, deficytami.

Zanosilo się na dłuższą opowieść. Profesor Łapiński był strasznym gadułą. Michał usiadł wygodnie za swoim biurkiem, a gdy do gabinetu zapukał jakiś facet w średnim wieku, kazał mu poczekać na korytarzu. Zanim zamknęły się drzwi, w tle mignęła mu bujna czupryna sanitariusza Janka. Facet — potencjalnie z problemami psychicznymi — był pod dobrą opieką.

— Profesorze, przecież nie mogę przyjąć dziecka — zaprotestował, bo opowieść Łapińskiego zmierzała do takiej właśnie puenty. — Mogę je oczywiście wstępnie zdiagnozować, ale finalnie i tak trzeba będzie chłopaka odesłać na Koszykową albo na Marszałkowską.

— Ten syn jest pełnoletni — przerwał profesor. — I ja panu nie mówię, panie kolego, żeby na siłę go przyjmować. Proszę tylko o ocenę. Ten jego tata... on naprawdę był zdesperowany.

— Przyjadą dzisiaj?

— Tak mówił. Proszę pana tylko o...

Tym razem pukanie było bardziej energiczne. Drzwi gabinetu uchyliły

się na kilka centymetrów, a przez szparę dobiegł rozgorączkowany szept, przerywany młodzieńczym dyszkantem. Młodszy z mężczyzn przeklinał, a starszy próbował go uspokoić. Obrazek, który tu, na izbie przyjęć, był codziennością.

— Panie profesorze, chyba już są...

Michał nie zdążył dokończyć. Rozległ się huk, a potem drzwi gabinetu wyskoczyły z dolnego zawiasu i oparły się smętnie o futrynę. W ciszy, która zapadła, wyraźnie było słychać szloch, a potem — odgłosy ucieczki.

Michał poruszył myszką, ożywiając ekran. Obaj mężczyźni, starszy i młodszy, siedzieli po drugiej stronie biurka. Drzwi gabinetu, decyzją Michała, były zamknięte. Kopniak nie wyrządził im poważnych szkód.

— Pana imię i nazwisko.

— Moje?

Michał popatrzył na starszego z mężczyzn i pokręcił głową.

— Mówiłem do pańskiego syna.

Głos, który pod wpływem emocji brzmiał jak głos dorastającego chłopca, wprowadzał w błąd. Pacjent, który przed chwilą rozwalił drzwi, a potem próbował uciec, nie był młodzieńcem, tylko dorosłym mężczyzną. Z dowodu wynikało, że kilka miesięcy temu skończył trzydziestkę. Był bardzo wysoki, a na skroniach pojawiły mu się już pierwsze oznaki siwizny. Zawstydzony swoim krótkotrwałym wybuchem nie wypowiedział dotąd ani jednego słowa. Z wyjątkiem wymamrotanych pod nosem przeprosin, skierowanych do sanitariusza Janka, z którym trochę się poszarpał.

Ojciec również sprawiał wrażenie zawstydzonego. Ścisnął syna za rękę, chyba trochę mocniej, niż należało.

— Łukasz, odpowiedz panu doktorowi.

— A może woli pan porozmawiać w cztery oczy?

Młody mężczyzna drgnął i pokręcił głową.

— Nie. Niech tata zostanie. Przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Po to tu jesteśmy, synku. — Ojciec tym razem nie ścisnął jego ręki, tylko ją pogłaskał. Też był potężnym facetem, może nawet potężniejszym od syna. Razem mieli ze cztery metry wzrostu, a na twarzach identyczne maseczki antywirusowe. — Odpowiadaj na pytania. Pan doktor na pewno nam pomoże.

Młodszy z mężczyzn nazywał się Łukasz Komar. W rubryce „zawód wyuczony” Michał zapisał „informatyk”, a w rubryce „zawód wykonywany” — „bezrobotny”.

— Dlaczego pan nie pracuje? Na informatyków jest duże zapotrzebowanie.

— Syn dopiero skończył studia. Trochę już pracował, ale teraz... w związku z tymi problemami zdrowotnymi, zrobił sobie przerwę.

Michał podniósł rękę.

— Niech pan pozwoli odpowiadać synowi, dobrze?

— Oczywiście. Przepraszam.

Lekarz obrócił głowę do Łukasza.

— Niech pan zdejmie maseczkę — poprosił, a potem przez chwilę przyglądał się podkrążonym oczom i bladym policzkom. — To gdzie pan pracował?

— Współpracowałem z firmą zajmującą się grafiką komputerową.

— Z domu?

— No... tak. Była pandemia. Inaczej się nie dało.

— Mieszka pan z ojcem?

— Teraz tak. Z ojcem i z mamą. Mamy dom w Magdalence.

— Ma pan partnerkę? Albo partnera?

Ojciec parsknął wymuszonym śmiechem. Gdy zrozumiał, że pytanie zostało zadane na poważnie, zrobiło mu się głupio.

— Syn jest heteroseksualny.

— Panie Łukaszu, ma pan dziewczynę?

Pokręcił głową, a policzki pokryły mu się różem.

— A czy w ostatnim czasie miał pan dziewczynę?

— Spotykałem się z jedną, ale... to nie było nic poważnego.

Mowa ciała wskazywała na co innego, Michał jednak postanowił nie drażnić. Miał uprawnienia także do psychoterapii, ale teraz był psychiatrą. I miał ocenić, czy jego rozmówca kwalifikuje się na oddział. Tylko tyle... i aż tyle.

— Rozumiem, że nie leczył się pan wcześniej psychiatrycznie.

— Nie — odpowiedzieli jednocześnie ojciec i syn. Młodszy z mężczyzn wziął głęboki wdech. — Ale to nie jest tak, że zawsze byłem zdrowy. Mówię oczywiście o zdrowiu psychicznym... Już od liceum miałem takie dziwne lęki. Na przykład nie lubiłem spać poza domem. Nie lubiłem tłumów.

— Nikt ich nie lubi.

— Ale ja panicznie się ich bałem. I nadal się boję. Po prostu muszę mieć otwartą drogę ucieczki. Gdy jej nie mam... na przykład kiedy stoję w kolejce do kasy w supermarkecie, między ludźmi, czuję się niekomfortowo. Naprawdę niekomfortowo. — Mężczyzna zaszurał nogami. Był wielki, ale w tym momencie wydawał się mały. Tak mały, jakby miał schować się w mysiej dziurze. — Przepraszam za te drzwi. Nie wiem, co...

Umilkł i ukrył twarz w dłoniach. Michał odczekał chwilę, wklepując w komputer kolejne zdania. *Pacjent ujawnił obecność mechanizmów racjonalizacji własnych zachowań. Afekt żywy, dostosowany. Wypowiedzi dorzeczne, skoncentrowane na treściach egocentrycznych...*

— Jaki jest dziś dzień tygodnia?

— Piątek.

*Prawidłowe i wszechstronne zorientowanie, pacjent pozostaje w dobrym kontakcie.*

— Czy ma pan problemy ze snem?

— Nie.

— A z napadami agresji?

— Nie wiem, co się ze mną stało. Te drzwi... to stres. Wcześniej to się nie zdarzało. Przepraszam.

— Niech się pan nie przejmuj. Te drzwi wylatywały już wcześniej. Nie chciał pan tu przyjeżdżać, prawda?

Ojciec chrząknął, ale zanim zdążył się odezwać, Michał przyłożył palec do ust.

— Nie chciał pan? — powtórzył pytanie, wodząc wzrokiem po wystającym spod koszulki bicepsie swojego potencjalnego pacjenta.

— Sam nie wiem. Chciałbym otrzymać pomoc, ale nie sądzę, bym kwalifikował się do hospitalizacji. Może skierowałby mnie pan do poradni zdrowia psychicznego?

— Jeszcze nie wiem. Czy pan ćwiczy?

— Kiedyś regularnie chodziłem na siłownię. Teraz czasem zrobię kilka pompek...

— Czy zażywa pan narkotyki?

Łukasz Komar pokręcił głową, ale chyba nie był szczery.

— Miał pan kiedyś myśli samobójcze?

— Nie. Nigdy. Naprawdę.

Ojciec znów chrząknął, a potem poprawił maseczkę. Wykonywał ten gest za każdym razem, gdy miał ochotę dodać coś od siebie. Michał podjął już

decyzję, ale postanowił jeszcze się upewnić. Wstał, delikatnie objął młodszego z mężczyzn i wyprowadził go z gabinetu.

— Zamienię kilka zdań z pana tatą. Niech pan tu zaczeka. — Spojrzał znacząco na sanitariusza, a potem zamknął drzwi, wrócił do biurka i pochylił się nad Komarem seniorem. — Jak to jest z tymi narkotykami?

— Syn nie zażywa. Ale coraz częściej pije alkohol. Głównie piwo. Nocami, przed komputerem. Od dwóch lat gra w taką sieciówkę. Grę, symulator lotów. Sądzę, że jest uzależniony.

— Ale nie to pana martwi, prawda?

— To też, ale...

— Ramię, tak?

Ojciec pokiwał głową.

— Nakryłem go wczoraj... a w zasadzie już dzisiaj, nad ranem. Stał przed lustrem i bawił się nożem. Po ramieniu płynęła krew. Rozpłakał się. Dałem mu valium, położyłem, a potem pilnowałem, przez cały dzień. Żona nic nie wie. Jakby się dowiedziała, że Łukasz próbował zrobić sobie krzywdę...

— Szpital psychiatryczny to nie jest przyjemne miejsce.

— Na pewno, ale...

— Pana syn powinien tu zostać. Być może na kilka dni, a może kilka tygodni. Czy podpisze zgodę?

— Pogadam z nim. Dziękuję.

Michał usiadł przed komputerem. Przyjęcie do szpitala wiązało się ze sporą dawką papierkowej roboty.

— Czy w ostatnich dniach w jego życiu wydarzyło się coś nadzwyczajnego? — spytał, drukując odpowiednie formularze. — Przeżył jakiś wstrząs? Silne wzruszenie?

Zbigniew Komar znów poruszył maską.



— Nie wiem — stwierdził z zakłopotaniem. — Kiedy siedziałem przy jego łóżku, zaczął mówić przez sen. Krzyczeć. Miał koszmar. Może to od tej jego gry, ale...

— Co krzyczał?

Komar ściągnął maskę. Jego szpakowata bródka była mokra od potu.

— Tylko dwa słowa. *Nie zabijaj.*

Fasada Szpitala Nowowiejskiego budziła skojarzenia ze zrujnowanym pałacem nawiedzonym przez duchy, ale po zeszłorocznym remoncie przynajmniej wewnątrz nie straszło. Ściany pociągnięto pastelową farbą, a miejsce nagich żarówek zajęły schludne kinkiety. Zamiast na wpół przegniętego parkietu położono wykładzinę z PCV. Trzej podążający korytarzem mężczyźni stąpali po niej cicho niczym koty. Czwarty, Łukasz Komar, co chwila się potykał.

— Trochę jak w więzieniu, co? — mruknął, wskazując na swoje obuwie.

Drogie trampki, pozbawione teraz jaskrawożółtych sznurowadeł, wyglądały jak łapcie bezdomnego.

— Takie są przepisy. — Doktor Michał Tracz chciał podtrzymać walczącego o utrzymanie równowagi pacjenta, ale ubiegł go Janek, sanitariusz. — Na oddział nie można wnosić przedmiotów potencjalnie niebezpiecznych. Na przykład maszynek do golenia, pasków od szlafroka...

— I sznurowadeł — dokończył pacjent.

Jeszcze przed chwilą, składając podpis pod zgodą na hospitalizację, sprawiał wrażenie zawstydzonego, ale chyba pogodził się z losem, bo w jego głosie pobrzmiwało rozbawienie. Ojciec był z kolei ponury jak noc.

— Czy mój syn nie mógłby dostać pojedynczego pokoju? Profesor Łapiński zapewniał, że zrobicie wszystko, co w waszej mocy...

— Robimy. Ale niestety nie mamy jedynek. To nie hotel.

Michał Tracz wstukał kod, odblokowując wejście na klatkę schodową. Roszczeniowy ton starszego z Komarów trochę go irytował, ale nie dawał tego po sobie poznać. Facet powinien być mu wdzięczny. Wprowadzając go na oddział, nagiął procedury antycovidowe. Osoby postronne formalnie nie miały tu wstępu.

— A izolatki? — nie dawał za wygraną pan Zbigniew.

— Są dla pacjentów, którzy mogą stwarzać zagrożenie. Lepiej, żeby Łukasz ich nie potrzebował, prawda?

Weszli po schodach na piętro. Wejście na oddział drugi blokowały następne drzwi. Tu również należało wpisać kod. Kontrola dostępu była jednym z elementów, które odróżniały placówki takie jak ta od innych szpitali. Drugim takim elementem były kraty w oknach. Rzeczywiście — na oddziale można było poczuć się jak w więzieniu. Starszy z Komarów jeszcze bardziej się nachmurzył, ale młodszy potraktował tę nową okoliczność z wisielczym humorem.

— Z kim będę dzielił swoją celę?

— Z Pawłem. Tak jak ty jest informatykiem. I z Rafałem. Obaj są mniej więcej w twoim wieku. Na pewno się dogadacie.

— Od dawna tu są?

— Przekonasz się, że na oddziale czas biegnie trochę inaczej — odpowiedział wymijająco lekarz. Ruszył przodem słabo oświetlonym korytarzem, mijając po obu stronach kolejne pary bliźniaczych drzwi. Zatrzymał się przed jedynymi pozbawionymi wizjera. Zastukał i nie czekając na odpowiedź, szarpnął za klamkę, ale nie ustąpiły. — Na co dzień opiekę nad pacjentami sprawują pielęgniarki. Zazwyczaj można je znaleźć tutaj. — Klepnął dłonią w zamknięte drzwi, zza których pachniało kawą i środkami dezynfekcyjnymi. — W tym pokoju będziesz mógł zostawić telefon. Jak będziesz chciał zadzwonić, to...

— Nie będę mógł mieć ze sobą telefonu?

— Takie są procedury. Na oddziale nie wolno robić zdjęć.

— Ale ja...

Michał dobrze znał ten bezradny ton. Dla wielu młodych ludzi odstawienie Internetu było niewyobrażalną traumą, niewskazaną w procesie walki z zaburzeniami psychicznymi. Na szczęście był pewien sposób.

— Jutro nasz informatyk wyłączy ci czasowo możliwość robienia zdjęć. Wymontuje ci to urządzenie... — urwał, bo Łukasz Komar zrobił to samodzielnie. Rozłożył telefon i wyciągnął z jego wnętrza dwa obiektywy — przedni i tylny — a potem umieścił pozostałe elementy konstrukcji na swoich miejscach. Zajęło mu to łącznie kilkanaście sekund. — Dobry jesteś. Dobry jest, pani Bożenko. Proszę mieć na niego oko.

Pielęgniarka, która wyłoniła się z pomieszczenia gospodarczego, posłała lekarzowi zmęczony uśmiech, a potem zaprosiła pacjenta do swojego gabinetu, by wypełnić jeszcze kilka papierów. To był ten moment i obaj, ojciec i syn, wyczuli go doskonale.

— Trzymaj się, synku. Przyjedziemy jutro z mamą.

— Nie trzeba. Dam sobie radę.

— Wiem, synku. Wiem. — Starszy z Komarów zsunął maseczkę i cmoknął młodszego w czoło, a potem nakreślił na nim znak krzyża.

— Panie Zbigniewie...

Psychiatra delikatnie, ale stanowczo pociągnął ojca za sobą, zostawiając Łukasza pod dobrą opieką pielęgniarki i Janka. Dotąd palił się co trzeci kinkiet, teraz jednak pielęgniarka włączyła im pełne światło. Z oczu starszego Komara popłynęły łzy, wsiąkając w opuszczoną maseczkę. Przy synu jakoś się trzymał, ale teraz, gdy zostali sami, zupełnie się rozkleił. Przy wyjściu z oddziału stanął i oparł się o parapet, gapiąc się na pordzewiałą kratę w oknie.

— Będę mógł go odwiedzać?

— Ale nie za często. W związku z epidemią koronawirusa zgodę na każde odwiedziny musi wyrazić dyrektor szpitala.

— Ale... to nieludzkie.

— Proszę być dobrej myśli. Wyleczymy pańskiego syna, a tymczasem...

Michał chciał dodać, że powinien być na dole, w izbie przyjęć, ale nie zdążył. Jedne z drzwi uchyliły się i na korytarz wyszedł potężny mężczyzna w rozchylonym szlafroku. Nawet z miejsca, w którym stali, czuć było fetor niemytego ciała. Obrzucił ich wrogim spojrzeniem i głośno zaklął.

— Panie Romanow, pański szlafrok.

Mężczyzna łypnął na psychiatrę, ale posłusznie zakrył przyrodzenie. Oddziały w Szpitalu Nowowiejskim były koedukacyjne. Regulamin jasno zabraniał publicznego obnażania się.

— Mogą tak swobodnie się przemieszczać? — spytał szeptem Komar, nie odrywając wzroku od powarkującego mężczyzny.

— Tak — odpowiedział machinalnie Michał. Agresywni pacjenci trafiali na inne oddziały. Tu, na dwójce, było spokojnie jak na plaży. — Panie Romanow, czy coś się stało?

Pacjent w szlafroku nie odpowiedział. Jeszcze przez chwilę na nich patrzył, a potem rzucił się w ich stronę z dzikim wyciem. Zanim Michał zdążył zareagować, podbiegł i uderzył Komara w twarz. Tak mocno, że ten nakrył się nogami.

Widok policyjnych mundurów był na izbie przyjęć czymś naturalnym. Funkcjonariusze odwiedzali ją bardzo często, zwykle wlokąc ze sobą kandydatów na pacjentów. Tym razem było inaczej, ale twarze obojga mundurowych, którzy zjawili się po telefonie Tracza na komisariat, okazały się znajome. Psychiatra pozdrowił przyjaźnie młodego policjanta, a potem

niechętnie obrócił się do jego partnerki. Ta zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, po czym — zupełnie niepotrzebnie — dokonała formalnej autoprezentacji.

— Sierżant Zawadzka.

— Cześć, Basiu. Miło cię widzieć.

— Wzajemnie. — Uprzejmemu słowu przeczył ton, jakim zostało wypowiedziane. Cóż, trudno było się dziwić. Kilka miesięcy temu Michał zaprosił tę kobietę na randkę, po której już nigdy nie zadzwonił. — Czy będzie potrzebne pogotowie?

Zbigniew Komar, który był adresatem tego pytania, pokręcił głową. Na rozbitym nosie miał plaster, ale poza rozciętą skórą nie odniósł poważniejszych obrażeń. Janek zareagował wzorowo. Zanim przebrzmiał okrzyk Michała, już siedział na miotającym się Romanowie i opanowanym głosem prosił, by dostarczono mu kaftan bezpieczeństwa.

— Nic się nie stało. — Michał najchętniej nie wzywałby policji, ale takie były procedury. Nie mógł przejść nad tym incydentem do porządku. — Zwyczajny dzień na oddziale zamkniętym. Nasz napastnik dostał leki i teraz sobie śpi... Na wszelki wypadek przypięliśmy go pasami.

Na ogół w takich sytuacjach interwencja policji kończyła się wspólną kawą i dwoma standardowymi notatkami, z których jedną pisał on, a drugą policjanci. Teraz jednak było inaczej. Basia podziękowała za kawę — tak ostentacyjnie, że zrezygnował z niej również Maciek, jej partner. Oboje pełnili służbę w pobliskim komisariacie przy Filtrowej.

— Kim jest sprawca? — Długopis Basi zawisł nad notatnikiem, a zimne spojrzenie jej orzechowych oczu przeniosło się z ofiary na doktora Tracza. — Macie jego numer PESEL?

Michał westchnął i uruchomił komputer, a potem zalogował się do szpitalnego intranetu.

— Mamy nie tylko PESEL, ale i całą historię choroby. Szymon Romanow, lat pięćdziesiąt siedem, zamieszkały w domu pomocy społecznej w Legionowie... To nieaktualne, od listopada zeszłego roku mieszka u nas.

— Jest u was pierwszy raz?

— Nie. To stały klient. Z tego, co tu mam, wynika, że pierwszy raz był u nas hospitalizowany w dwa tysiące piątym.

— A więc szesnaście lat temu.

— Być może leczył się u nas już wcześniej, ale tego nie ma tutaj — postukał w ekran komputera — tylko co najwyżej w dokumentacji papierowej.

— Jakie ma zaburzenia?

Michał rozłożył bezradnie ręce.

— Sama rozumiesz, nie mogę.

Pojęcie tajemnicy lekarskiej nie było jej obce. Nie nalegała. Przez chwilę pisała coś w notatniku, a potem popatrzyła na Komara.

— W jakim charakterze pan tu przebywa?

— Przywiozłem syna. Na oddział.

— Syn tu zostaje?

Komar nerwowym gestem poprawił maseczkę.

— Miał zostać, ale... nie wiedziałem, że to tak wygląda.

Popatrzył spode łba na psychiatrę, a ten pochylił głowę.

— Zapewniam pana, że to absolutnie wyjątkowy przypadek. Człowiek, który pana uderzył, nie zachowuje się agresywnie. Nigdy dotąd nie mieliśmy z nim problemów.

— I to ma mnie uspokoić? Człowieku, tam został mój syn!

— Jest pod dobrą opieką. I nic mu nie grozi.

Policjantka zaczęła cierpliwie, aż skończą, a potem wycelowała

długopisem w pierś Michała. Z takim wyrazem oczu, jakby zamiast długopisu trzymała szpadę.

— Czy pan Romanow doświadczał ostatnio silniejszych wzruszeń, które mogły wywołać taki atak agresji?

Michał stwierdził w duchu, że to w gruncie rzeczy fajna, inteligentna babka. Żałował, że potraktował ją jak jednorazową chusteczkę, ale czasu nie da się cofnąć.

— Nic o tym nie wiem. Romanow to duży facet, ale dotąd był łagodny jak baranek.

— Kiedy będzie można z nim porozmawiać?

— Najwcześniej jutro, ale o tym zdecyduje lekarz dyżurny.

— A z tym pielęgniarzem, który go obezwładnił?

— Teraz jest potrzebny na oddziale. Powiedziałem mu, żeby tu przyszedł, jak już będzie wolny. Jeśli chcecie, to zaczekajcie. Może jednak napijecie się tej kawy?

Gdzieś z góry dobiegł przeraźliwy wrzask. Pani Jankowska najwyraźniej odzyskiwała wigor.

— Nie. — Maciek, młody policjant, lekko się wzdrygnął.

Jego partnerka, bardziej przyzwyczajona do szpitalnych klimatów, zachowała kamienną twarz, ale go poparła.

— Będziemy się zbierać, chyba że... ma pan coś do dodania?

Zbigniew Komar, do którego się zwróciła, pokręcił głową. A potem na moment znów się ożywił.

— Tylko to, że to skandal. Taki wielki szpital, a w nocy pilnują go trzy osoby na krzyż. Lekarz, kilka pielęgniarek... Gdyby nie ten sanitariusz...

— Czy zna pan napastnika?

— Tego niedźwiedzia? — Mężczyzna wymownie wzruszył ramionami.

— A niby skąd?

— Jest pan pewien, że nigdy się nie spotkaliście?

Zbigniew Komar poprawił się na krześle, a potem — jak zwykle — zaczął manipulować przy maseczce, odsłaniając szpakowaty zarost. Między siwymi włosami widać było tkankę starej blizny. Dotąd była blada, ale teraz zapłonęła czerwienią.

— Nie. Na pewno nie.

Michał popatrzył w orzechowe oczy policjantki i znalazł w nich odbicie własnych wątpliwości. Zaprzeczenie nie brzmiało szczerze. Oboje odnieśli to samo wrażenie.

Zbigniew Komar coś ukrywał.



## Niedziela, 11 lipca 2021 r.

Kobieta miała wielkie orzechowe oczy. Karol Woźniak, który od wczesnej młodości był bardzo wrażliwy na kobiece piękno, nie mógł oderwać od nich wzroku. Od początku przesłuchania zastanawiał się, czy reszta jest równie doskonała. Ta reszta była jednak ukryta pod fioletową maską i mundurem policyjnym: koszulą i spódnicą w jednolitej barwie granatu. Karol gapił się na dziewczynę nie tylko dlatego, że miała ładne oczy. Było w niej coś znajomego.

— Czy pan się dobrze czuje?

Pytanie zadał drugi z pary śledczych, niedogolony drab w cywilnych ciuchach. On nie miał na sobie maseczki. Leżała przed nim na blacie biurka zmięta i obrzydliwie przeupocona.

— Bywało lepiej — odparł Karol, odrywając zmęczone spojrzenie od policjantki, która protokołowała ich wymianę zdań, nie odzywając się ani słowem. — Dawno nie spałem. Piętnaście godzin za kółkiem, a potem...

— No właśnie. Przyjechał pan z Włoch dziś rano. Co pan robił przez cały dzień?

Karol z trudem powstrzymał westchnienie. Przyszedł tu pełen werwy do działania, ale ślimaczy sposób, w jaki prowadzone było przesłuchanie, zamienił tę werwę w senne rozdrażnienie.

— Wpadłem do pracy. Spotkałem się z mamą i razem pojechaliśmy do babci. Zjadłem coś na mieście, a potem odebrałem od was telefon. I przyszedłem.

— Mówiąc, że pojechał pan do babci, ma pan na myśli jej mieszkanie?

— Też. Mieszkanie i kostnicę.

— A dlaczego pojechał pan do pracy? Chyba dali panu wolne, prawda?

— Zostałem wezwany przez przełożonego.

— Czyli?

— Marka Ochnala, radcę ministra.

— Czy dzisiejszego dnia widział się pan jeszcze z kimś?

Karolowi nie podobały się te pytania, ale umiał ukryć niechęć. Nie na darmo od kilku lat był dyplomatą, pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Chcąc odzyskać choć część kontroli nad rozmową, postanowił sam o coś zapytać.

— Czy jestem teraz przesłuchiwany na okoliczność śmierci mojej babci?

Policjant przez chwilę mierzył go wzrokiem. Karolowi udało się zachować kamienny wyraz twarzy. On też nie miał maski. Pozbył się jej na polecenie policjanta, na początku przesłuchania. To też mu się nie podobało. Chcieli obserwować jego mimikę. Traktowali go jak podejrzanego.

— Panie Karolu, czy jest coś, co chciałby pan nam powiedzieć? Co nie ma związku z pana babcią?

— Nie. Zastanawiam się tylko, po co te pytania. Z kim się widziałem, po co byłem w pracy... Przecież nie potrzebuję alibi. Babcia została zabita trzy dni temu. A wtedy byłem daleko stąd. W Rzymie.

Orzechowe oczy policjantki zrobiły się jeszcze większe. Tylko na moment, ale Karol był uważnym obserwatorem. Powiedział coś ważnego, ale co? A może po prostu robiła go w konia?

Policjant przez chwilę wertował dokumenty, czekając nie wiadomo na co, a potem znów popatrzył na Karola. Miał bladoniebieskie oczy i prawie nie mrugał. Karol odniósł wrażenie, że mężczyzna próbuje go zahipnotyzować. Przygwoździć do niewygodnego krzesła, ustawionego

odpowiednio daleko od biurka, tak by było widać całą sylwetkę, łącznie z nogami.

— Dlaczego przyjechał pan do Polski dopiero dzisiaj?

— Miałem napięty okres w pracy. Poza tym Jacek, nasz synek, miał w piątek gorączkę. W tych czasach... sam pan rozumie. Lepiej być nadopiekuńczym, niż coś zlekceważyć.

— Przyjechał pan z rodziną?

— Nie.

— Dlaczego?

Karol z trudem powstrzymał się od komentarza w stylu: a co cię to obchodzi?

— Żona i syn zostali w Rzymie. Uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

— Syn cały czas choruje?

— Nie. Wyzdrowiał.

Karol zerknął na policjantkę, a gdy podniosła głowę, przeniósł wzrok na brudną szybę, po której spacerowała mucha. Był zbyt zmęczony, by się złościć.

— Panie Karolu, jeszcze chwila. Niech pan nie odpływa.

Zamrugął oczami i wziął głęboki wdech, a potem przejechał dłonią po spoconym czole. W pomieszczeniu — niewielkiej salce z pojedynczym oknem — było gorąco jak w piecu. Ulicą Filtrową toczył się tramwaj. Równie wolno co myśli w jego głowie.

— Przepraszam — mruknął, a potem odchrząknął. — Kto to mógł zrobić? Kto zabił moją babcię?

Nie spodziewał się odpowiedzi i oczywiście jej nie otrzymał. Ale policjant zmienił ton. Stał się bardziej przyjazny, a raczej... mniej wrogi.

— Jeśli dobrze zauważyłem, w portfelu nosi pan jej zdjęcie.

Karol otworzył portfel tylko na chwilę, gdy wyjmował dowód. Teraz

zrobił to raz jeszcze.

— Bardzo pan spostrzegawczy — zauważył, patrząc na paszportową fotografię babci.

Krystyna Kalinowska miała na niej o dziesięć lat mniej niż w chwili śmierci. Prezentowała się elegancko, wręcz wytwornie. Zupełnie inaczej niż w kostnicy.

— Rozumiem, że był pan z nią w dobrych relacjach.

— Najlepszych — stwierdził z przekonaniem Karol. — Dzwoniliśmy do siebie przynajmniej raz w tygodniu. Przez znaczną część dzieciństwa babcia zastępowała mi matkę. Mieszkałem u niej trzy... prawie cztery lata.

— W mieszkaniu przy Filtrowej?

— Tak. W pokoju, w którym... to się stało.

Umiał panować nad emocjami, ale tym razem nie zdołał powstrzymać drżenia głosu. Podobnie jak w momencie, w którym odebrał telefon z informacją, że została zamordowana. Wtedy uronił nawet łzę. Teraz też dyskretnie otarł oczy. Policjant nie czekał, aż mu przejdzie.

— Czy pana zdaniem pańska babcia była osobą majątną?

— Chyba tak. Kilkanaście lat temu odzyskała kamienicę po pradziadku. Wcześniej też nie żyła w biedzie. Wujek Jarek pracował kiedyś w londyńskiej filii ówczesnego Banku Handlowego. Za komuny przysyłał podobno dużo paczek.

— Podobno?

— Ja tego nie pamiętam. Urodziłem się w osiemdziesiątym siódmym.

Policjant pochylił się do koleżanki. Karol się domyślił, że sprawdza jego numer PESEL.

— Wygląda pan poważniej.

— Bardzo pan miły.

Zerknął na policjantkę, ale orzechowe oczy pozostały surowe. Żałował,

że się nie uśmiechnęła. Potrzebował odrobiny rozluźnienia.

— Czy Krystyna Kalinowska trzymała w mieszkaniu pieniądze albo inne cenne przedmioty?

Patrząc na policjanta, pokręcił głową.

— Babcia była rozsądna. Trzymała wszystko w banku.

— Żadnych drogich pamiątek? Bizuterii?

— Nic aż tak cennego, by usprawiedliwić... — urwał.

Zabójstwa nie dało się usprawiedliwić. Nigdy.

— Czy babcia w ostatnim czasie skarżyła się, że ktoś ją obserwuje? Śledzi? Nachodzi?

— Nie. Nic takiego nie mówiła.

— A czy miała wrogów?

— Tylko dziadka — odpowiedział odruchowo Karol. — Przepraszam, to taki rodzinny żart. Babcia nie znosiła dziadka. Żyli jak pies z kotem, tak przynajmniej mówili rodzice. Oficjalnie nigdy nie powiedziała na niego złego słowa, ale to dało się wyczuć. Niechęć, nawet po tylu latach.

— Mówiąc o dziadku, ma pan na myśli... — policjant przez chwilę przewracał karty papierowej teczki, o którą opierał dotąd łokcie — Juliana Kalinowskiego, tak?

— Tak. Dziadek umarł wkrótce po moim urodzeniu. Był zasłużonym pracownikiem warszawskich Filtrów. Mój ojciec zawsze żartował, że to babcia... że to babcia go wykończyła. Ojciec jej nie lubił... Niech pani tego nie pisze, ojciec nie mówił tego na poważnie.

Policjantka przebierała palcami po klawiaturze. Na przedramieniu miała wytatuowaną twarz małego dziecka.

— Pana ojciec... jak bardzo jej nie lubił? — zapytał jej partner, wywołując u Karola pogardliwe prychnięcie.

— Nie na tyle, by rozbijać jej głowę. Ojciec ma problemy z poruszaniem

się. Już prędzej to babcia pobiłaby jego.

Karol miał nadzieję, że są blisko końca. Bez telefonu, który zostawił w depozycie, nie wiedział nawet, która jest godzina. Był umówiony, a nie lubił się spóźniać. Policjant nie wyglądał jednak jak ktoś, kto widzi przed sobą linię mety.

— Kiedy po raz ostatni rozmawiał pan z babcią?

— W zeszłą sobotę.

Orzechowe oczy policjantki znów stały się większe. Znów tylko na moment, ale wystarczająco długi, by Karol to dostrzegł.

— Przez telefon? — spytał z naciskiem jej partner.

— Tak.

— Przez prywatną komórkę?

— Nie. Przez służbową. Prywatnej używam rzadko. Zwykle rozmawiamy z babcią przez WhatsAppa... ale wtedy zadzwoniła normalnie, bo miałem problemy z zasięgiem.

— Czy pamięta pan, o czym rozmawialiście?

Karol nagle przestał się czuć zmęczony. Gdyby mógł, zachowałby tę rozmowę tylko dla siebie, bo stawiała go w... powiedzmy, że niekorzystnym świetle. Ale to było przesłuchanie. Nie mógł kłamać.

— Babcia chciała się ze mną zobaczyć.

— W jakiej sprawie?

Nabrał powietrza jak przed skokiem na głęboką wodę.

— Odniosłem wrażenie, że chciała pogadać o swoim testamencie.

Orzechowe oczy patrzyły na niego ze współczuciem. Teraz nie były już obce. A twarzy nie przykrywała maseczka.

— Przyjmij, proszę, moje kondolencje.

Karol podziękował skinieniem głowy, a potem przepuścił policjantkę

przodem. Alejka była tak wąska, że przez chwilę podążali gęsiego.

— Świat potrafi być jednak bardzo mały — stwierdził, wkładając ciemne okulary. Popołudniowe słońce przeświecało przez korony drzew parkowych, parząc skórę i roztopiając asfalt pod stopami. — Nie wiedziałem, że wstąpiłaś do policji.

Policjantka, która kilka minut temu skończyła spisywać jego zeznania, nazywała się Basia Zawadzka. W czasach liceum, czyli kilka ładnych lat temu, była najlepszą koleżanką jego siostry Laury. Karol, który zawsze zwracał uwagę na ładne dziewczyny, nie mógł jej przegapić. Rozmawiali wtedy przynajmniej kilka razy, ale potem stracili kontakt — aż do teraz. Po części dlatego, że przyjaźń Laury i Basi uległa stopniowemu rozluźnieniu, a po części dlatego, że rozluźniły się także relacje Karola z własną siostrą.

— Zawsze o tym marzyłam. By wstąpić do policji — dodała Basia, bo Karol sprawiał wrażenie zdekoncentrowanego.

— I co? Jesteś zadowolona?

— Mam niedaleko do pracy — odparła wymijająco, wskazując na kamienicę, bardzo podobną do tej, w której mieszkała babcia Karola. Budynek dzieliło kilkaset metrów otwartej przestrzeni. Malowniczy skwer imienia Sue Ryder. — Pamiętasz tę ławkę obok fontanny? Kiedyś piliśmy tam piwo.

Nie pamiętał, by pili razem piwo, ale uprzejmie pokiwał głową, patrząc na miejsce, do którego się zbliżali. Siedziało tam kilkoro młodych ludzi. Na widok jej munduru zeszywnieli i pospuszczali głowy.

— Dajesz mandaty?

— Czasami. Jestem dzielnicowym... a raczej dzielnicową. Głupio brzmi, prawda?

— I prowadzisz śledztwo w sprawie zabójstwa?

— Śledztwo prowadzi stołeczna. Dokooptowali mnie, bo to mój rewir.

Karol...

— Tak?

— Nie pytaj mnie, czy coś wiemy. I tak nie mogłabym ci powiedzieć.

— Wcale nie chciałem pytać.

— Akurat. Od kiedy cię dogoniłam, przez cały czas się zastanawiasz, jak zacząć. Może nie?

Przy fontannie było nieco chłodniej. Nad miejscem, w którym się zatrzymali, unosił się obłok wilgotnej mgły.

— Nie umiem myśleć o niczym innym. Laura za babcią nie przepadała, ale ja... Była dla mnie nie tylko babcią, ale i przyjaciółką. Chciałbym go dorwać. Bydlaka, który rozwalił jej głowę.

— Zostaw to nam.

Karol zorientował się, że zaciska pięści. Natychmiast przestał. Wolał uchodzić za zdystansowanego.

— Tobie i twojemu kumpłowi? Temu, który patrzy na mnie tak, jakbym to ja zamordował babcię dla tego głupiego spadku?

Trąciła go łokciem. Przyjaźnie, po kumpelsku.

— Daj spokój. Już nie oglądasz kryminałów? Przypadła mu rola złego policjanta. Trudno, żeby podejrzewał kogoś, kto w chwili śmierci babci był tysiąc kilometrów stąd.

— Tysiąc osiemset... ale rozumiem, o co ci chodzi.

— Z drugiej strony, statystycznie rzecz ujmując, za dziewięćdziesiąt procent zabójstw odpowiadają osoby najbliższe. Członkowie rodziny i tak dalej. Nic dziwnego, że interesujemy się środowiskiem, w którym obracała się twoja babcia.

— Twój kolega nie pytał mnie o rodzinę...

— Przepytał za to twoją siostrę. Bardzo dokładnie. Laura jest bardzo skrupulatna. Darek... mój kolega ze stołecznej, uznał, że to, co nam



zeznała, jest wystarczające. Ale ja wolałabym usłyszeć to również od ciebie.

Karol spojrział na policjantkę z udawanym rozczarowaniem.

— Myślałem, że pobiegłaś za mną dlatego, że chciałaś odnowić starą znajomość, a ty po prostu jesteś w pracy.

Uśmiechnęła się niewinnie.

— Powiedzmy, że tak. Pracuję na własne nazwisko. Pomożesz mi?

— A będziesz dobrą policjantką? Czy tym razem złą?

Wyjęła notatnik.

— Może zaczniemy od twojego wujka. Brata twojej mamy, Jarosława Kalinowskiego.

Karol nie miał nic przeciwko rozmowie o wujku, za którym — Bogiem a prawdą — nie przepadał. Ale nie teraz.

— Muszę iść — oznajmił, sprawdzając godzinę w telefonie. — Możemy spotkać się później. Nawet tu. — Wskazał na fontannę. — Jak za starych czasów.

Nie wychwyciła kpiny. Albo zrobiła dobrą minę do złej gry.

— Zadzwoń do mnie — poprosiła, chowając notes. — Dokąd idziesz?

Zrobiło mu się głupio. Jeszcze nawet nie było pogrzebu. Ciało babci, po sekcji zwłok, wciąż znajdowało się w kostnicy.

— Mamy spotkanie rodzinne... z prawnikiem babci — powiedział, patrząc w bok na parę siedzących w piasku gołębi. — W sprawie spadku.

Laura Woźniak miała wrażenie, że tylko jej zależy na podtrzymaniu rozmowy. Wujek Jarek — jak zawsze elegancki, można powiedzieć, że wręcz wymuskany — był jakby nieobecny, a jego żona, ciocia Monika, co rusz zniknęła w kuchni. Akurat ona nigdy nie czuła się tu zbyt pewnie.

Babcia Krysia traktowała ją jak kobietę z gminu, a ich małżeństwo — jak mezalians.

W blisko osiemdziesięciometrowym mieszkaniu babci była jeszcze jedna osoba, ale spoza rodziny. Emil Górecki był sąsiadem i starym przyjacielem nieobecnej już na zawsze pani domu. Starym nie tylko stażem, bo ich znajomość trwała wiele dziesięcioleci, lecz także wiekiem. Laura nie wiedziała, ile ma lat, ale przypuszczała, że z dziewięćdziesiąt.

— Panie Emilu, niech pan usiądzie.

Zatrzymał się i obrócił ku niej swą siwą głowę.

— Nie, moje dziecko. Nie umiem. Zbyt wiele wspomnień, za dużo wzruszeń...

Ruszył dalej. Przeszedł przez salon pełen zabytkowych mebli, kierując się w stronę długiego korytarza. Zawsze był pompatyczny, ale dziś przechodził samego siebie. Podczas przywitania wręczył Laurze poźólką ze starości wizytówkę. Emil Górecki, radca prawny. Był prawnikiem starej daty. Babcia Krysia była jego ostatnią klientką, ale wciąż walczył o nowych.

— Niech pan się chociaż czegoś napije. Jest herbata. Cola. Woda.

Podziękował i zniknął w głębi mieszkania. Jeszcze dziś rano było tu pobożowisko, ale Laura spędziła ostatnie kilka godzin na porządkach. Mogła rzecz jasna wynająć ekipę, ale — choć nie była sentymentalna — chciała to zrobić samodzielnie. Sprzątanie odświeżyło wspomnienia. Tych kilku lat, gdy mieszkała tu z bratem, a także ostatnich lat, gdy pojawiała się u babci sporadycznie, aby choć trochę ulżyć jej w batalii ze starością.

— Nie mieliście problemów na granicy?

Musiała powtórzyć, bo wujek Jarek wciąż sprawiał wrażenie nieobecnego. Zwykle był duszą towarzystwa, ale w obliczu śmierci matki zupełnie się rozsypał. Ku zdziwieniu Laury nie próbował nawet udawać, że

jakoś się trzyma. W jego starannie przystrzyżonych wąsach dostrzegła dużo nowych srebrnych nitek. A może były tam już wcześniej?

— Jakich problemów?

— Z testami na covid — wytłumaczyła cierpliwie, odnosząc wrażenie, jakby wujek urwał się z choinki.

Żył tymi testami nie tylko ostatnio, przed urlopem, ale także przez okrągły rok. Pracował w branży turystycznej. Jego życie koncentrowało się wokół przekraczania granic.

— A nie, jakoś poszło.

Potarł się po opalonym przedramieniu. Jeszcze trzy dni temu odpoczywał w jednym z hoteli, w których jego firma miała udziały. Prawdopodobnie na Malediwach. Laurze się wydawało, że w jego włosach dostrzega drobinki śnieżnobiałego piasku, ale było to tylko złudzenie. Wuj pod tym względem był pedantem. Dbał o swój wygląd bardziej niż większość kobiet.

— Kochani, jest kawa.

Ciocia Monika nie była aż tak zadbana, ale na jej zmęczonej twarzy można było dostrzec resztki dawnej urody, która sprawiła, że wujek stracił dla niej głowę i wbrew zdaniu swej matki, z którym na ogół bardzo się liczył, wziął potajemny ślub. To była podobno historia jak z romansu: górski kościółek i tak dalej, ale potem, gdy o ślubie dowiedziała się babcia Krysia, nie było już tak romantycznie. Babcia traktowała żonę syna jak śmiertelnego wroga. Zbliżyły się do siebie dopiero w ostatnich latach, gdy ciotka — trochę bez wyboru — została jej opiekunką. Ale nawet wtedy babcia pozwalała sobie na złośliwe uwagi. Ciotka, która to znosiła, była aniołem.

— Usiądziesz z nami, ciociu? — Laura posłała jej przyjazny uśmiech. Ciocia Monika zawsze była jej ulubienicą. — Może wtedy udałoby się usidlić także pana Emila, zanim wydepcze w dywanach ścieżki...

Ciotka usiadła, ale po sekundzie się zerwała, bo od strony drzwi wejściowych dobiegły odgłosy szamotania się z klamką, a potem niecierpliwy, podwójny dzwonek.

— Boże, przepraszam, musiałam odruchowo zamknąć. Pewnie to Lucynka.

— Raczej Karol — sprostowała z ciepłym uśmiechem Laura. Bratu zawsze się spieszyło. — Zaczekaj, ciociu. Ja otworzę...

Otworzyły jednocześnie. Karol, spocony jak mysz, przywitał się z wyjątkowo — nawet jak na niego — kwaśną miną. Ciotkę, która przeproszała go za zamknięte drzwi, cmoknął w rękę, a Laurze tylko skinął głową. Nie miała pretensji. Taki już był.

— Matki nie będzie — oznajmił, wchodząc, a raczej wkraczając do pokoju. — Powiedziała, żebyśmy przeprowadzili to bez niej. Ona i tak nie chce po babci ani grosza. Jej udziały przechodzą na nas...

— Może najpierw usiądziesz i coś zjesz — burknęła Laura, bo jej brat przechodził dziś samego siebie. Zauważyła, że nawet nie przywitał się z wujkiem.

— Mogę zjeść — stwierdził łaskawie, sięgając na stół po nóżki w galarecie. — Sama robiłaś? — zapytał, patrząc na nią podejrzliwie.

— Tak. Piekłam je przez całą noc — zażartowała. Jedzenie było z cateringu. — Dlaczego nie będzie mamy?

— Wyjechała do Gremzdów — odpowiedział z pełnymi ustami, ale dojrawszy w korytarzu pana Emila, natychmiast zapomniał o jedzeniu. I o siostrze. — Jesteśmy już wszyscy, panie mecenasie. Możemy zaczynać.

Laura była zdziwiona, że ten głupi spadek wzbudza aż tyle emocji. Nie tylko Karol, lecz także wujostwo, czyli ludzie obrzydliwie bogaci... Wszyscy utkwili wzrok w panu Emilu, tak jakby był jakąś cholerną wyrocznią. Znów poczuła zażenowanie. Gdyby wiedziała, jak to będzie

wyglądać, też chętnie by wyjechała. Nawet do tych Gremzdów, z matką i jej mężem.

Pan Emil, którego spowalniał zaawansowany wiek, przysiadł na skraju krzesła i zaczął czegoś szukać w przepastnej aktówce. Laura przysunęła się do brata.

— Gdzie się tak spociałeś? — spytała szeptem, który w panującej ciszy zabrzmiał jak uderzenie dzwonu.

— Na przesłuchaniu — odburknął Karol, nie odrywając spojrzenia od trzęsących się dłoni pana Emila. — Spotkałem naszą starą znajomą.

— Na policji? Kogo? Basię?

— No... tak. Ciebie nie przesłuchiwała?

— Nie, to byli dwaj faceci. A Basi nie widziałam od stu lat. Co u niej? Jak malutka?

— To jest jakaś malutka?

— Już nie taka malutka. Basia zaszła w ciążę niedługo po liceum.

— Ma męża?

Laura miała ochotę parsknąć śmiechem, ale nie wypadało. Brat był niereformowalny.

— Nie ma. Ale ty masz żonę. Nie przyjechała, co?

— Jak widać — prychnął, a potem przyłożył palec do ust, bo pan Emil uniósł rękę, dając znak, że pragnie zabrać głos.

— Skoro zebraliśmy się tu w tych tragicznych okolicznościach, nie sposób nie wspomnieć o innym tragicznym wydarzeniu, do którego doszło już ponad trzydzieści lat temu, choć akurat ja pamiętam je tak dokładnie, jakby stało się zaledwie wczoraj. Zaledwie wczoraj... — Pan Emil zawiesił głos, nic sobie nie robiąc ze zdziwionych spojrzeń. — Mówię rzecz jasna o tragicznej śmierci pana Juliana. Doszło do niej w tym samym miejscu,

w tym samym pokoju, w którym odeszła Krystyna. A okoliczności były nie mniej dramatyczne...

— Chyba jednak mniej — przerwał niedelikatnie Karol. — Panie mecenasie, czy moglibyśmy...

— Nie możesz tego wiedzieć, chłopcze. — Pan Emil uśmiechnął się do niego, odsłaniając klawiaturę sztucznej szczęki. — Nie było cię jeszcze na świecie...

— Byłem. I wiem, co się wtedy stało. Porównywanie tego do śmierci babci jest trochę zbyt... odważne.

Laura spojrzała na brata z uznaniem. Wyraził się tak subtelnie, jak na dyplomatę przystało. Dziadek Julian rozwalił sobie głowę po alkoholu. A babcia padła ofiarą włamywacza. Porównania były nie na miejscu.

Pan Emil chyba uznał podobnie, bo ograniczył się do stwierdzenia, że trzydzieści lat temu, po śmierci Juliana Kalinowskiego, występował w tej samej roli, co teraz — również był wykonawcą testamentu. Historia zatoczyła koło.

— Wtedy jednak majątek, który podlegał rozdysponowaniu, był znacznie mniej imponujący. — Prawnik rozpromienił się w taki sposób, jakby miał mu przypaść procent od masy spadkowej, co nie było prawdą. Działał, jak sam to wyraził, *pro bono*. — Pani Kalinowska zdołała zgromadzić znaczny majątek, co niestety — uśmiech zniknął — przyczyniło się zapewne do jej przedwczesnej śmierci.

Laura po raz kolejny poczuła obrzydzenie na myśl o spadku i łasych na pieniądze członkach rodziny. To ona towarzyszyła policji przy wstępnych czynnościach po śmierci babci. To ona musiała określić, co zginęło. Przez kilka godzin po tym, jak mieszkanie opuścili technicy, zaglądała w każdy kąt i sprawdzała, czego brakuje. Babcia nie trzymała w domu gotówki. Miała sprzęt elektroniczny — laptop, telewizor, ekspres do kawy —

i kilkanaście cennych książek, a także trochę biżuterii. Morderca zabrał właśnie błyskotki — naszyjnik, jakieś broszki, kolczyki i kilka pierścionków, które pozdejmował z palców swej ofiary. Poproszona o oszacowanie ich wartości Laura podała kwotę dwudziestu tysięcy złotych. Biżuteria na pewno nie była warta więcej. Myśl, że tak relatywnie drobna kwota zabrała babci te kilka, kilkanaście lat życia, które jej zostały, była dla Laury niczym cios w żołądek.

A kochani krewni, z wujkiem Jarkiem na czele, wypytywali o tę biżuterię z takim naciskiem, jakby znaczyła dla nich więcej niż jej zamordowana właścicielka.

Teraz też ich myśli wypełnione były mającym im przypaść majątkiem. Karol, patrząc na kopertę, którą z nieodłącznym drzeniem rąk otwierał pan Emil, przygryzał wargi, a wujek Jarek nerwowo skubał wąsy. U cioci Moniki zdenerwowanie objawiało się wyłamywaniem palców i przyspieszonym oddechem. Chociaż klimatyzator bez przerwy włączał do salonu chłodne powietrze, wszyscy byli spoceni.

— W polskim systemie prawnym jest kilka rodzajów testamentów. Ja zaleciłem pani Krystynie sporządzenie testamentu holograficznego, zwanego inaczej testamentem własnoręcznym. Jest to najprostsza forma testamentu, ale w pełni wystarczająca. Testatorka sporządziła testament na początku tego roku. Dokładnie drugiego stycznia. Nie ukrywam, że długo ją do tego namawiałem. Gdy tylko powiedziała mi, że zamierza zmienić niektóre zapisy, nie ustawałem w wysiłkach, by przekonać ją, że w czasach koronawirusa pewnych spraw nie wolno odkładać na później.

— To moja matka sporządziła testament już wcześniej?

Pan Emil poprawił okulary i spojrzał na wyraźnie poruszonego wujka Jarka, którego angielska flegma, pamiątka po wielu latach spędzonych na Wyspach Brytyjskich, gdzie wyparowała.

— Tak. W lutym dwa tysiące siedemnastego roku. Ale ten nowy testament znosi dyspozycje poprzedniego.

— W jaki sposób?

Pan Emil wyjął z koperty kartkę czerpanego papieru.

— Zaraz wszyscy się dowiemy. Nie konsultowałem zapisów testamentu. Nie znam ich. Pomagałem pani Krystynie wyłącznie od strony prawnej. A skoro już mowa o stronie prawnej, to czuję się w obowiązku poinformować państwa, że z chwilą otwarcia spadku jest on nabywany wyłącznie warunkowo. Spadkobierca ma sześć miesięcy...

— Panie Emilu — przerwał wujek Jarek, bębniąc niecierpliwie palcami po białym obrusie, którym Laura nakryła stół. — Wszyscy zainteresowani doskonale orientują się w meandrach prawa spadkowego, a zatem...

Pan Emil niespodziewanie się rozkaszał. Laura nalała mu wody, ale wybrał inhalator. Przez chwilę łapczywie się zaciągał, a potem umoczył usta w szklance. Karol z wujkiem patrzyli na niego w taki sposób, jakby — w wypadku zasłabnięcia — zamiast wezwać karetkę, mieli go udusić.

— A zatem — wydyszał, przybliżając kartkę do grubych szkieleł — przejdźmy do rzeczy. Testament jest własnoręczny, zawiera datę i podpis, więc na tę chwilę nie widzę podstaw, by go podważać. Spadkodawczyni postanowiła podzielić swój majątek w następujący sposób...

Do salonu wleciała mucha. Przez chwilę jedynym dźwiękiem w mieszkaniu było bzyczenie, a potem dołączył do niego syk wypuszczanego z płuc powietrza. Karol denerwował się tak bardzo, że bezwiednie wstrzymał oddech.

— Dzieci, czyli pan Jarosław Kalinowski oraz pani Lucyna Woźniak-Lubecka, otrzymają udział w wysokości trzech szesnastych każde. Aleksandra Arbaszewska otrzyma udział w wysokości dwóch szesnastych...



— Co?! Ta opiekunka?!

Wujek Jarek wstał i zacisnął dłonie na oparciu krzesła. Wyglądał na wściekłego, w przeciwieństwie do Karola. Wszystko wskazywało na to, że pozostałe udziały — połowa spadku — przypadną wnukom, czyli jemu i Laurze. Ich kawałek tortu był bezpieczny.

— Nieźle, co?

Laura, która od początku tego żalosego spektaklu miała ochotę zapaść się pod ziemię, tylko pokręciła głową. Nie rozumiała, czemu podział był aż tak nierówny. Po chwili zdziwiła się jeszcze bardziej. Nie ona jedna.

— Pozostałe udziały w masie spadkowej — oznajmił drżącym głosem pan Emil — przypadają... firmie Poszukiwania Osób Zaginionych pana Andrzeja Pietrzyka.

Karol wyglądał tak, jakby dostał ataku apopleksji. Zbladł, potem poczerwieniał, a z ust wyrwało mu się bełkotliwe przekleństwo. Laura, której było wszystko jedno, dotknęła jego dłoni.

— Daj spokój. To tylko pieniądze.

Wyrwał dłoń i znowu zaklął. Po opanowanym dyplomie nie zostało nawet wspomnienie, ale to nie był jeszcze koniec emocji. Ostatnią, największą, zafundował im pan Emil.

— Wybaczcie państwo... Za dużo wzruszeń... — Złapał powietrze otwartymi ustami, a potem — centymetr po centymetrze — zsunął się z krzesła i spadł pod masywny, zabytkowy stół.

Spojrzenie jego wytrzeszczonych oczu było nieruchome jak u trupa.

Firma Laury Woźniak obok leków produkowała także defibrylatory, ale Laura jeszcze nigdy nie przeprowadzała reanimacji. Na szczęście pan Emil szybko odzyskał przytomność. Razem z ciocią pomogły mu usiąść i poić

wodą, a Karol — wciąż z wykrzywioną ze złości twarzą — zadzwonił po karetkę.

— Przepraszam państwa... Taki kłopot — kajał się słabym głosem mecenas.

Laura pogłaskała go po siwych włosach, a potem zwróciła się do krążącego nerwowo wujka:

— Wyjdiesz na zewnątrz?

— Ale...

— Ktoś musi wskazać drogę ratownikom.

Karetką przyjechała po dziesięciu minutach. Pan Emil poczuł się wystarczająco dobrze, by zaprotestować, ale ratownicy — mężczyzna i dwie kobiety — nie byli w nastroju do dyskusji.

— Zabieramy pana na SOR.

— A dokąd? — zainteresował się wujek Jarek.

— Na Lindleya. Do Dzieciątka Jezus.

Wujek pochylił się nad prawnikiem i szepnął mu kilka słów. Okazał się bardziej empatyczny od Karola, który — jak gdyby nigdy nic — siedział z nosem w telefonie. Laura po raz ostatni przejechała dłonią po rzadkich włosach staruszka, a gdy go zabrali, usiadła pod ścianą na podłodze i wypila duszkiem pół butelki wody. Była mokra od potu i wyczerpana.

— To jakaś firma krzak.

— Słucham?

Karol przykucnął obok niej i podsunął jej pod nos swój telefon. Na ekranie widniały wyniki z wyszukiwarki. Firma Poszukiwanie Osób Zaginionych Andrzej Pietrzyk miała tylko kilka suchych odnośników. Żadnej strony internetowej, żadnych komentarzy... Nawet numeru telefonu. Był tylko adres. Lwowska 8a.

— Sprawdziłeś właściciela? — zapytał wujek, pochylając się nad nimi

i mrużąc oczy krótkowidza.

— Andrzejów Pietrzyków jest kilku, ale żaden z nich nie jest detektywem.

— W testamencie nie ma jakichś namiarów?

Laura podniosła się na kolana i popatrzyła na stół, ale dokumentu tam nie było. Karol z kwaśną miną wyjął go z wewnętrznej kieszeni marynarki. Pojedyncza kartka pokryta odręcznym pismem babci była zmięta. Tak jakby ktoś w przyływie złości zamierzał wyrzucić ją do kosza.

— Lepiej ja ją wezmę — zdecydowała Laura.

Nie chciała, by brat zrobił coś głupiego. Na przykład zniszczył testament. Na to na pewno były paragrafy. Przebiegła wzrokiem krótką treść. W testamencie była tylko nazwa firmy. Żadnych dokładniejszych danych.

— Trzeba tam pojechać — zdecydował jej brat. — Na tę Lwowską...

Laura już miała mu oddać telefon, gdy coś ją tknęło. Lwowska 8a. Wprowadziła adres w wyszukiwarkę i kliknęła na street view. Na ekranie wyświetliła się fasada eleganckiej, czteropiętrowej kamienicy z charakterystycznymi kolumnkami. To właśnie te kolumnki sprawiły, że ją rozpoznała. Gdy tam była kilka lat temu, kamienica znajdowała się w ruinie, ale kolumnki były w tych samych miejscach, co kiedyś. Aby ostatecznie się upewnić, przybliżyła obraz i odnalazła na frontowej ścianie płaskorzeźbę lwa. Kiedyś była popękana i zmurszała, teraz dumnie błyszczała złotem.

— To kamienica pod złotym lwem.

Karol stanął jak wryty.

— Ta firma ma siedzibę w kamienicy babci?!

Karol wyraził się nie do końca precyzyjnie. Kamienica przy Lwowskiej 8a nie należała do babci już od wielu lat. Kalinowska sprzedała większość

swoich udziałów zaraz po uzyskaniu decyzji reprivatyzacyjnej. Musiała. Nie miała środków, by przeprowadzić remont, bez którego stary budynek lada chwila by się zawalił.

Na żywo kamienica prezentowała się jeszcze lepiej niż w Internecie. Laurze udało się znaleźć miejsce bezpośrednio pod bramą. Jej malinowa honda stanęła między kabrioletem i corvetą. Pod tym adresem nie mieszkali biedni ludzie.

— Babcia zrobiła kiepski interes — stwierdził Karol, obracając głowę. Stary mercedes wujka przejechał powoli wąską, jednokierunkową uliczką, bezskutecznie szukając miejsca. Lokalizacja może i była prestiżowa, ale parkowało się tutaj fatalnie. — Powinna była sama znaleźć inwestora. Teraz bylibyśmy milionerami.

— Nie my, tylko babcia — sprostowała Laura. — A nie była milionerką?

Beztraska, z jaką podchodziła do kwestii finansowych, wydała się Karolowi irytująca, ale ukrył swe uczucia za maską wystudiowanej obojętności.

— A gdzie tam — westchnął. — Wiesz, jak to jest z reprivatyzacją. Potomków dawnych właścicieli zawsze robi się w konia. Proza życia...

To były sparafrazowane słowa babci. Gdy rozmowa schodziła na temat odzyskanej kamienicy, zawsze się irytowała. Tak naprawdę otrzymała tylko ułamek dawnej własności swoich rodziców. Jedynie cztery mieszkania — bo pozostałe zostały wcześniej wykupione przez najemców — a także trzy lokale użytkowe i poddasze, na którym od lat funkcjonował hostel. Niestety razem z aktywami babci przypadły w udziale także pasywa, czyli roszczenia miasta o nakłady remontowe. Koszty powojennej odbudowy były równowartością otrzymanych mieszkań i hostelu. Jedyne zysk pochodził z lokali użytkowych — największego, za który otrzymała

konkretną sumkę, i dwóch mniejszych, które pozostały jej własnością i które wynajmowała.

Laura jako dziewczynka bardzo lubiła tu przychodzić. Tu były jej korzenie — patrząc na kamienicę, zawsze czuła unoszące się wokół duchy przodków. Pradziadkowie zajmowali mieszkanie na pierwszym piętrze, na lewo od głowy lwa. Teraz w jednej części tego lokalu mieściło się biuro obrotu nieruchomościami, a w drugiej — jak wynikało z zawieszzonego w oknie banneru — gabinet dentystyczny.

— Musimy na nich czekać? — zniecierpliwił się Karol, patrząc na mercedesa stojącego za zajmującą połowę jezdni furgonetką firmy kurierskiej.

— Przecież mu obiecałeś — przypomniała Laura. — Słuchaj, czemu wujek jest tak napalony na ten spadek? Przecież jest bogaty.

— Bo każdy, kto jest bogaty, jest też chciwy. Tak się dochodzi do majątku.

— To w takim razie ty też będziesz bogaty — zażartowała, ale on, zamiast się odciąć, tylko zaklął.

Od kiedy pamiętała, bratu zawsze brakowało pieniędzy. I zawsze pożyczał je od niej. Nawet teraz, gdy byli już dorośli, wisiał jej okrągłą sumkę, ale miała to gdzieś. Według jego teorii nie miała szans na bogactwo, bo — w przeciwieństwie do niego — w ogóle nie zależało jej na kasie. A co do wujka... Cóż, lubił przepych. Sama kolekcja zabytkowych mercedesów była warta małą fortunę.

— Hej! Miałeś zaczekać!

— Tylko sprawdzę.

Zamknęła samochód i pobiegła za nim do bramy. Minął wejście do banku, który zajmował pół parteru, a potem, nie zwracając uwagi na tabliczkę z napisem „zamknięte”, zastukał do zegarmistrza. Laura

przypomniała sobie słowa babci, która zwykła narzekać, że jej zegarmistrz spóźnia się z czynszem. Chciała jeszcze raz przypomnieć Karolowi, że wypadałoby zaczekać na wuja i ciotkę, ale zanim otworzyła usta, drzwi do zakładu zegarmistrzowskiego uchyliły się, ukazując w szparze duży, przestawiony nos, spod którego popłynęły stanowcze słowa, ozdobione warszawskim akcentem.

— Szanowny pan wybaczy, ale dziś mam wolne. Chce pan coś zostawić?

— Nie, nie noszę zegarka.

— A szkoda.

— Jestem wnukiem Krystyny Kalinowskiej. — Z miną pana wszechświata wskazał na Laurę. — A to moja młodsza siostra.

Drzwi, dotąd tylko uchylone, otworzyły się na oścież. Właściciel pokaźnego nosa skłonił głowę tak, jakby zwracał się do swoich starych kłapek.

— Przyjmijcie państwo moje najszczerze kondolencje. Dowiedziałem się dopiero wczoraj, z nekrologu MPWiK. Jakbym dostał obuchem w łeb.

Pod skrótem MPWiK kryło się Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji. Laura nie wiedziała, że dawny pracodawca jej dziadka, dyrektora Stacji Filtrów, zdążył w tak krótkim czasie wykupić nekrolog. Obiecała sobie, że go poszuka. Chciała zapytać, gdzie się ukazał, ale Karol nie dopuścił jej do głosu.

— Chcielibyśmy skontaktować się z panem... — Karol zawiesił głos. Chyba dotarło do niego, że stąpa po kruchym lodzie. Nie przyjechał tu przecież, aby poinformować tajemniczego Andrzeja Pietrzyka o odziedziczonej fortunie. Przybył na przeszpiegi. — Przepraszam, jak pana godność?

Zegarmistrz nie był Andrzejem Pietrzykiem. Nazywał się Filaber i — jak

się okazało — w życiu nie słyszał o firmie Poszukiwania Osób Zaginionych.

— Tu nigdy czegoś takiego nie było. Wiem, co mówię. Pracuję w tym lokalu czterdzieści pięć lat. — Nagle posmutniał. — I na stare lata przyjdzie mi się wynieść.

— Dlaczego?

Mężczyzna potarł palcami w sposób znany od San Diego po Władystok.

— Podwyżka czynszu.

— A ile pan płaci?

— Za dużo.

Karol, który bez trudu wszedł w buty właściciela, zrobił srogą minę, ale Laura zdołała go ubiec.

— Babcia podwyższyła panu czynsz? — spytała ze współczuciem, bo jego przygnębienie nie było udawane.

Facet wydał jej się autentycznie przybity. Pokręcił głową.

— Pani Krysia... świętej pamięci pani Krystyna była w porządku. Nie to, co ten złodziej.

Serce Laury zaczęło bić szybciej. Złodziej, o którym wspomniał, zlał jej się w jedno z włamywaczem-zabójcą, ale okazało się, że mężczyzna określił w ten sposób faceta, któremu płaci czynsz.

— Babcia wynajęła... administratora?

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale w końcu zrozumiał.

— Państwo nic nie wiecie? Pani Krysia sprzedała mój lokal.

— Kiedy? — spytali jednocześnie. Drugie pytanie padło już wyłącznie z ust Karola. — I komu?

— W zimie — odpowiedział zegarmistrz, a potem skłonił głowę tak jak

wtedy, gdy składał im kondolencje. — Naprawdę, nie mam do niej żalu. Widocznie musiała...

— Komu sprzedała? — powtórzył Karol.

Głos mężczyzny zabarwiony był goryczą.

— Tak zwanym czyścicielom kamienic.

Zegarmistrz posłużył się skrótem myślowym. Owiani złą sławą czyściciele kamienic, czyli ludzie zajmujący się wykurzaniem najemców ze zreprivatyzowanych kamienic, nie byli inwestorami, lecz jedynie wykonawcami zleceń. Inwestorowi-właścicielowi zależało na jak największym zysku, a nie egzystencji opartej na chudych czynszach skromnych lokatorów albo — jak w przypadku Filabera — ubogich rzemieślników. Zysk przynosiły biura, apartamenty i przede wszystkim — lokale gastronomiczne. Te, które funkcjonowały pomimo pandemii.

Przylegające do zakładu zegarmistrzowskiego Thai Lunch Bistro radziło sobie wystarczająco dobrze, by reklamować się w metrze. Laura, która lubiła tajską kuchnię, już od dłuższego czasu zbierała się, by tu przyjść. Nie miała pojęcia, że lokal mieści się w kamienicy jej pradziadków.

— Kiedyś był tu chyba bar mleczny. — W głosie Karola nie było pewności.

— Rodzinna cukierenka — poprawiła brata, marszcząc brwi. — Jakiś czas temu babcia mówiła, że właściciel interesu miał zawał albo udar... W każdym razie zawiesił działalność.

— Na nasze szczęście — mruknął Karol. Chodziło mu chyba o to, że mała cukiernia nie miała takich możliwości finansowych jak knajpa dla białych kołnierzyków ze Śródmieścia. — No chodź.

— Zaczekaj, już idą. — Wskazała na parę, która zbliżała się ku nim od



strony Marszałkowskiej: poruszającego się niemal truchtem wujka Jarka i próbującą za nim nadążyć ciocię Monikę. — Karol, stój.

Brat, głuchy na zaklęcia, ruszył w kierunku wejścia, ale jego celem nie była knajpka, tylko przechodząca przed nią kobieta, która przed momentem wyłoniła się z bramy. Laura ze zdumieniem stwierdziła, że kobieta — na oko w wieku ich babci — obejmuje Karola i składa na jego gładkim jak zwykle policzku żarliwy pocałunek. Ich słowa zagłuszył warkot polewaczki. Gdy przejechała, staruszka wciąż go obściskowała, a Karol usiłował się uwolnić.

— Droga pani...

— To była taka dobra osoba. Pani Krysia.

— No właśnie, chciałem tylko spytać...

— Trudno uwierzyć, że nie żyje. Zawsze mówiła o tobie z taką dumą. Mój mały dyplomata!

W innych okolicznościach zakłopotanie Karola, który przerastał staruszkę o głowę, wydałoby się Laurze nawet zabawne, ale teraz — trochę pod wpływem brata — także i ona była ciekawa, kim jest tajemniczy beneficjent testamentu, Andrzej Pietrzyk. Dlatego postanowiła przerwać tę dziwną scenkę.

— A ja jestem wnuczką. O mnie babcia na pewno też mówiła.

— Wspominała. — Staruszka odkleiła się od Karola i obrzuciła ją chłodnym spojrzeniem. — Podobno uciekałaś z domu, co? I umawiałaś się z Murzynem...

Laura wiedziała, że babcia nie miała o niej najwyższego mniemania, ale uwaga o Patricku, koledze ze studiów, była do tego stopnia wyrwana z kontekstu, że musiała zaprotestować. O babci można było powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że była rasistką.

— Bardzo go lubiła. A poza tym to nie był mój chłopak, tylko przyjaciel.

— I całe szczęście, dziecko. Całe szczęście.

Nie miała zamiaru zbawiać świata. Pragnęła tylko zakończyć tę rozmowę, a najkrótsza droga wiodła przez zadawanie pytań.

— Pani tu mieszka, prawda? Od jak dawna?

Okazało się, że staruszka była lokatorką tej kamienicy od wczesnej młodości, która przypadła na lata sześćdziesiąte. I nigdy nie słyszała o Andrzeju Pietrzyku ani o firmie Poszukiwania Osób Zaginionych.

— Może warto zajrzeć do rejestru spółek? — zaproponował wujek Jarek, który dołączył do nich chwilę przed zakończeniem rozmowy ze staruszką.

Ciocia Monika dopiero się zbliżała, trzymając się za bok.

— A dadzą nam zajrzeć? — zainteresował się Karol. — Tak z ulicy?

— Mam w sądzie rejestrowym dobrego znajomego.

— Daj spokój, wujek. Ktoś musi kojarzyć tego cholernego Pietrzyka.

W dawnych czasach zwróciliby się do dozorca, ale teraz utrzymaniem czystości zajmowała się firma zewnętrzna, a za bezpieczeństwo odpowiadała agencja ochrony. Poszli więc do knajpy. Kelnerki w Thai Lunch Bistro nosiły krótkie spódniczki i kuse topy, które może i pasowały do tej pogody, ale jednocześnie sprowadzały ubrane w ten sposób dziewczyny do roli obiektów seksualnych.

— Stolik dla waszej czwórki? — zagadnęła jedna z nich, uśmiechając się do Karola.

— Czy moglibyśmy pogadać z kierownikiem? Jesteśmy właścicielami.

— Potoczył dumnym wzrokiem po lokalu.

— Właścicielami? Właściciel jest na zapleczu — oświadczyła kelnerka, a jej uśmiech wyglądał teraz na wymuszony.

— Właścicielami lokalu — uzupełniła Laura, dodając w myślach słowo „chyba”, bo przecież nie można było wykluczyć, że babcia Krysia pozbyła

się również i tych pomieszczeń, na przykład po zawieszeniu działalności przez poprzednich użytkowników prowadzących cukiernię.

Kelnerka, wciąż z wymuszonym uśmiechem, powiodła ich przez stylizowane na egzotyczne wnętrze restauracji aż do niewielkiego stolika przy przejściu do części gospodarczej. Były przy nim tylko trzy krzesła, więc Karol oczekiwał w pozycji stojącej. Właściciel knajpki, czterdziestoletni brunet, który wyglądał bardziej na Hindusa niż na Taja, zjawił się po niecałej minucie.

— Czym mogę służyć? — spytał angielszczyzną, w której pobrzmiwał dalekowschodni akcent.

Z czworga jego rozmówców tylko ciotka nie znała tego języka na poziomie native speakera. Pozostali posługiwali się nim perfekcyjnie, ale wujek — przynajmniej w swoim mniemaniu — był o krok przed nimi. Spędził w Wielkiej Brytanii łącznie kilkanaście lat i uważał, że już dawno wyprzedził Szekspira.

— Jesteśmy spadkobiercami właścicielki tego lokalu, pani Krystyny Kalinowskiej... — zaczął, ale zanim wyłuszczył sprawę, z twarzy jego rozmówcy zniknął uprzejmy uśmiech.

— To mnie nie interesuje. Dla mnie wiążąca jest umowa z najemcą.

— Z kim? — Wujek trochę się zapowietrzył.

Ciotka patrzyła na niego z zainteresowaniem, próbując coś zrozumieć.

— Z najemcą — powtórzył stanowczo mężczyzna. — Mam umowę podnajmu, jeszcze na pięć lat. Powinniście rozmawiać z najemcą. Mnie to nie dotyczy.

— A tym najemcą jest...

— Andrzej — wymówił to imię z wyraźnym trudem. — Spółka pana Andrzeja.

— Andrzeja... Pietrzyka? — wybełkotał Karol, otrzymując

potwierdzenie w postaci kiwnięcia głową. — Jak się z nim skontaktować?

Właściciel knajpki pokiwał palcem. Gest był wystarczająco wymowny.

— Nie powie nam pan? — upewniła się Laura.

— W naszej umowie jest klauzula poufności. Panu Andrzejowi nie zależy na rozgłosie, a mnie... nic do tego.

— Dlaczego nie zależy mu na rozgłosie?

Mężczyzna rozejrzał się i cichym gwizdnięciem przywołał kelnerkę. Przybiegła tak szybko, że o mało nie zgubiła szpilek.

— I tak powiedziałem wam za dużo — stwierdził, udając, że nie dostrzega emocji Laury. Na jej twarzy ciekawość została wyparta przez oburzenie. Po gwizdnięciu. — Czy to wszystko?

— Nie można tak traktować pracowników.

— Jeśli to wszystko, Amanda odprowadzi państwa do wyjścia.

Laura jeszcze długo nie umiała wyrzucić z głowy obrazu młodziutkiej kelnerki i upokarzającego ją palanta.

— Nie rozumiem, jak te dziewczyny mogą się godzić na takie traktowanie. — Pacnęła dłonią w kierownicę. — W dwudziestym pierwszym wieku...

— Mają pracę — wtrąciła od niechcienia ciotka Monika, wywołując u Laury kolejny atak złości.

— Do dupy z taką pracą. Pracę można zmienić.

— To nie jest dobry moment na zmianę pracy.

Łagodny i cierpliwy głos ciotki zwykle przynosił ukojenie, ale tym razem podzielał na Laurę jak płachta na byka.

— Niby dlaczego?

— Nie obraż się, ale żyjesz w korporacyjnej bańce, kochana. Nie wiesz, jak wygląda rynek pracy, teraz, w pandemii. Jest źle.

— Aż tak?

— Nawet gorzej niż źle.

Laura poczuła, że jeszcze moment w dusznej kabinie i nie wytrzyma. Eksploduje albo rozpuści się z gorąca we własnym pocie. Opuściła okno, ale zamiast spodziewanego orzeźwienia do wnętrza wtargnął wilgotny afrykański żar.

— Co oni tam robią? — mruknęła, patrząc przez przednią szybę na wejście do szpitala i palących na podjeździe dwudziestolatków, prawdopodobnie studentów uniwersytetu medycznego.

— Te dzieciaki?

— Nie, wujek i Karol. Są tam już z pół godziny.

— W szpitalach czas płynie inaczej. Chcesz książkę?

Ciocia Monika zawsze miała przy sobie książki. Pracowała w dzielnicowej bibliotece. Nie musiała tego robić, mieli z wujkiem dosyć pieniędzy. Ale uwielbiała obcować z literaturą. Nawet teraz miała w ręku otwartą książkę.

— Nie, dzięki. Sprawdzę, czy w cieniu jest trochę chłodniej.

Vis-à-vis wejścia do Szpitala Klinicznego Dzieciątka Jezus znajdował się niewielki, zadrzewiony park. Po jego drugiej stronie wznosił się inny szpital, położniczy. Po parku zwykle kręcili się zaaferowani tatusiowie in spe, ale dziś pogoda wykurzyła stąd nawet ich. Lejącemu się z nieba żarowi towarzyszyły burzowe chmury. Zbliżały się już do pobliskiej Stacji Filtrów. Laura weszła między drzewa, licząc na odrobinę chłodu, ale wcale nie było tam lepiej niż w aucie, a na domiar złego nad koszem na śmieci unosiła się mdła woń rozkładu.

Przebiegła wzrokiem po fasadzie szpitala, przeklinając w myślach pomysł wujka, który niedostatecznie uspokojony informacją, że pan Emil ma się lepiej, postanowił odwiedzić go na intensywnej terapii. Sądziła, że

go nie wpuszczą, ale najwyraźniej była w błędzie. Obaj z Karolem wsiąkli tam jak kamfora. To zainteresowanie staruszką, szczególnie ze strony brata, który — pod jego nieobecność — zwykł nazywać go starym komuchem, wydało jej się podejrzane. Odnosiła wrażenie, że coś knuli. I wzajemnie się przy tym pilnowali.

— Nie ma jak kochająca rodzinka — mruknęła i w tym momencie zobaczyła w wejściu do szpitala swojego brata. Truchtał ku niej ze zwycięskim uśmiechem, powiewając nad głową — niczym zwycięskim losem na loterii — białą kopertą. — W porządku?

— Tak. Mamy to!

— A co z panem Emilem? I co to jest?

Zapewnił, że pan Emil ma się dobrze, ale nie to budziło jego entuzjazm. Sięgnął do koperty i wydobył z niej pojedynczą kartkę eleganckiego papieru. Zamiast miłosnych wyznań znajdował się na niej rząd cyfr, przeplatanych gdzieniegdzie literami.

— Co to? Zapiski ufoludków?

— Lepiej. Hasła dostępu do kont bankowych babci Krysi. Zaraz się przekonamy, ile nam przepadło... tfu, przypadło.

Laura udała, że ją to bawi, ale wujek, który do nich dołączył, nie zdobył się nawet na to. Był ponury jak chmura gradowa. Choć na co dzień był żartownisiem, dziś trudno było w to uwierzyć. Laura odnosiła wrażenie, że bardziej niż śmierć matki dotknęły go zapisy jej testamentu. Nie umiała tego zrozumieć.

— Wujku, chcesz mokrą chusteczkę?

— Nie, umyję się w domu. Pokaż to.

Ręka, którą wyciągnął po kartkę od pana Emila, wciąż była czarna od smaru. Ślady po smarze widniały też na jego koszuli, a także na spódnicy ciotki Moniki. Po tym, jak rozstali się po wyjściu z Thai Lunch Bistro,

zabytkowy mercedes wujostwa odmówił posłuszeństwa. Usiłowali go naprawić, ale gdy wujek oparzył się w palec, zadzwonili do Laury, by ich zgarnęła. Teraz podróżowali we czwórkę.

— To co, wujek? — zagadnął Karol, gdy wrócili do nagrzanego wnętrza hondy. — Jedziemy do was? Tylko błagam, włączmy klimatyzację...

— Nie da rady. Od razu bym się rozchorował. Pokaż te hasła. Zaloguję się z komórki.

— To niebezpieczne — zaproponował Karol. Tak naprawdę nie było to niebezpieczne, ale chyba nie chciał rozstawać się ze zdobytymi hasłami. — Jedźmy na ten Mokotów.

— Nie da rady. — Wujek powtórzył to jak mantrę. — Mamy w domu mały remont. Może skorzystamy z komputera babci?

— Zabrała go policja. Może u ciebie, Lauro?

Laura była gościnną, ale nie zamierzała podejmować zwaśnionej rodziny. Nie dzisiaj. Karol i wujek łypali na siebie w taki sposób, jakby mieli skoczyć sobie do gardeł. Zachowanie pozorów przychodziło im z wyraźnym trudem.

— Mam w bagażniku laptop. Z programem antywirusowym i wszelkimi zabezpieczeniami — dodała złośliwie, a Karol skłonił głowę i wymamrotał pretensjonalne *touché*. — Stąd nie dosięgniesz, wujku. Jedźmy do babci.

Wujek, który właśnie klęczał na tylnym siedzeniu, posłusznie się odwrócił i posłał jej swój zwykły uprzejmy uśmiech. Gdy dotarli na miejsce, nie był już jednak tak uprzejmy.

— Proszę nas przepuścić — warknął do sąsiadki babci z parteru, pani Klementyny Sobeckiej, gdy ta oderwała się od grupki rozprawiających przed wejściem lokatorów, by zapytać o zdrowie pana Emila. — Moniu...

Ciocia, która miała już chyba dosyć bezustannego napięcia, z wyraźnym zadowoleniem zastosowała się do niewypowiedzianego polecenia małżonka

i została na dworze z zaaferowanymi mieszkańcami, wcielając się w rolę rzecznika prasowego. Laura, Karol i wujek pomknęli na piętro i wpadli do mieszkania.

— Chcecie kawy?

— Dziewczyno, nie igraj z ogniem — warknął Karol. — Włączaj tego cholernego laptopa.

Czując na karku dwa zniecierpliwione oddechy — wuja i brata — Laura uczyniła zadość poleceniu, a potem — nie chcąc uczestniczyć w tym spektaklu — zostawiła ich samych. Nie oglądając się za siebie, przeszła korytarzem aż do końca. Wstąpiła do wyremontowanej niedawno łazienki i przemyła zimną wodą spoconą twarz, a potem, trochę onieśmielona, wkroczyła do pokoju, w którym umarła jej babcia.

Gdy porządkowała go po policyjnym przeszukaniu, układała w głowie scenariusze, jak mogło do tego dojść. Każdy z nich prowadził w to samo miejsce, na przylegający do pokoju balkon. Policja zbadała każdy centymetr, ale najwięcej śladów dziwnego talku, który usuwała odkurzaczem, znajdowało się w dwóch miejscach: obok łóżka, gdzie leżała babcia, a także właśnie w pobliżu drzwi na balkon. Laura pamiętała, że w chwili, gdy odkryła ciało, te drzwi były uchylone. Cóż, od zewnątrz nie dało się ich zamknąć.

Wyszła na balkon, który teraz, po podwójnych porządkach — jej i wcześniej policji — lśnił czystością. Wychodził na park zwany skwerem Sue Ryder. Pod samym oknem rosła stara, rozgałęziona lipa. Policyjni technicy interesowali się także nią i nie było w tym nic zaskakującego. Po lipie można było bez trudu dostać się na balkon. Wiedziała to z autopsji. W czasach, gdy tu mieszkała, robiła to wielokrotnie, ku niezmiennemu utrapieniu babci i Karola, który twierdził, że nie ma przez to prywatności we własnym pokoju.



— Powiedziałam im.

Laura drgnęła. Okazało się, że nie wszyscy mieszkańcy kamienicy zeszli na dół. Pani Lewandowska była już mało mobilna. Od czasu, gdy kilka lat temu upadła w wannie, po domu poruszała się najczęściej na wózku. Z wiekiem i to przychodziło jej z coraz większym trudem.

— Dzień dobry. — Laura podeszła do barierki, która oddzielała balkon od balkonu sąsiadki. — Czy nie jest pani za gorąco?

Starowinka, która opatuliła się pledem, nie odpowiedziała. Patrzyła wciąż w ten sam punkt. Na poskręcane gałęzie lipy. Wózek wydawał się dla niej za duży. Wyglądała w nim jak wróbel.

— Długo pani tu siedzi?

Laura poczuła niepokój, bo oba balkony były od południa. Teraz słońce było nisko i raz po raz znikало za chmurami, ale wcześniej musiało tu być jak na patelni. Staruszka sprawiała wrażenie przegrzanej. Głos miała bełkotliwy, a wzrok — trochę nieprzytomny.

— Czy pani coś piła?

Nie chodziło jej rzecz jasna o alkohol, ale sąsiadka właśnie tak to odebrała.

— Nie piłam. — W szeleszczącym głosie zabrzmiała uraza. — Wiem, co mówię.

Laura pokiwała głową, nie chcąc jej denerwować.

— Przyniosę pani pysznej lemoniady.

Przemknęła do kuchni i napełniła dwie szklanki, wrzucając do nich uprzednio po dwie kostki lodu. Od strony salonu dobiegały głosy Karola i wujka. Nie wsłuchiwała się. Zakładała, że świętują, ale sama miała to gdzieś. Wróciła na balkon.

— Proszę.

Staruszka przyjęła napój, a potem wskazała na drzewo. Palce miała

jeszcze bardziej poskręcane niż jego konary.

— Mówiłam im.

— Komu?

— Temu wysokiemu policjantowi. On tu przychodził. Widziałam... jak próbuje włązić na drzewo.

— Kto? Policjant?

— Nie. — Staruszka nieoczekiwanie się roześmiała. Po parku poniósł się jej złośliwy rechot. — Ten kloszard. Menel. Próbował tu włązić, ale nie było mu łatwo, bo miał tylko jedną nogę.

Laura omal nie upuściła swojej szklanki.

— Menel... z jedną nogą?! Jest pani pewna? Kiedy... Kiedy go pani widziała?

— Wiele razy. Kto wie, czego po takim się spodziewać? Może udało mu się wejść. Ten policjant bardzo się tym zainteresował.

Nie musiała kończyć. Chociaż słońce zniknęło na dobre za granatową chmurą, a temperatura powietrza leciała na łeb na szyję, Laurze zrobiło się gorąco.

— Proszę pani...

— Kurwa mać!

Przekleństwo nie padło rzecz jasna z ust staruszki. Karol wpadł na balkon jak kometa. Wyglądał jak psychopata. Miał dziki wzrok i wykrzywione usta.

— Co jest? — warknęła Laura wciąż zszokowana słowami staruszki. — Pali się?

— Gorzej. Znacznie gorzej. — Oparł się plecami o ścianę i osunął przy niej na kafelki balkonu. — Wiesz, ile jest na kontach babci?!

— Ile by nie było, chyba lepiej o tym nie krzyczeć.

Ukrył twarz w dłoniach. Z niesmakiem stwierdziła, że jej starszy brat

połyka łyzy.

— Laura...

— No co?

— Na kontach babci nie ma ani grosza. Tylko debety.

Po wujku Jarku zostały w salonie jedynie okulary. Rozczarowany zawartością kont wyszedł tak szybko, że o nich zapomniał. Laura pochyliła się nad monitorem. Akurat na tym rachunku nie było debetu.

— Dwa tysiące sto — odczytała. — To w złotych?

— Tak — potwierdził z goryczą Karol. — Jej jedna emerytura.

— Pewnie przeniosła środki na inne konto. Może... Bo ja wiem? Może straciła zaufanie do pana Emila?

Chwycił ją za bluzkę. Tak mocno, że odruchowo kopnęła go w piszczel.

— Puszczaj!

— Na jakie konto je przeniosła?! Znasz je?!

— Puść! Zwariowałaś?! Nie znam. Skąd miałabym znać? To tylko przypuszczenia.

— Przepraszam — wysapał. — W ciągu ostatniego roku wypłaciła z osiemset tysięcy złotych. W bankomatach. Kiedy pomyślę, że tych pieniędzy nie ma...

— Daj spokój. Potrzebujesz kasy? — Bez słowa pokiwał głową. — To ci pożyczę, znowu. A teraz posłuchaj, co powiedziała czarownica.

— Lewandowska?

Nazywali ją tak, gdy tu mieszkali. Nieelegancko, ale Laura była wtedy nastolatką, a Karol chodził jeszcze do liceum, tego, w którym uczyła babcia. Do Staszica. To, co powiedziała Lewandowska, wiązało się bezpośrednio właśnie z tym okresem. I z ich liceum. Nie pamiętała tylko jednego.

— Jak ten mężczyzna się nazywał?

— My mówiliśmy na niego Cyrkiel.

Laura aż przewróciła oczami, bo przezwisko nawiązujące do kalectwa było szczytem buractwa, nawet biorąc pod uwagę niewyśrubowane standardy młodzieży szkolnej.

— Pewnie miał jakieś nazwisko...

— Pewnie tak — przytaknęła Laura, ale Karol nie wyczuł ironii.

— Babcia mu wtedy pomagała. Kupowała mu papierosy. Wiem, bo je podkradałem.

Człowiek, o którym mówili, kilkanaście lat temu był stróżem nocnym w liceum Staszica. Miał drewnianą protezę. Gdy szedł, po korytarzach niósł się charakterystyczny stukot. Kilka lat później, gdy Karol już studiował, wyrzucili go ze Staszica za pijaństwo. Fakt faktem, rzadko bywał trzeźwy.

— Co się z nim potem działo? Babcia chyba o nim nie wspominała, co?

— Nie kojarzę. — Karol zmarszczył brwi i popatrzył na Laurę w taki sposób, że dla odmiany zrobiło jej się zimno. — Zdaje się, że przez jakiś czas pracował w Stacji Filtrów, też jako stróż, ale szybko się na nim poznali. Potem mieszkał w takiej altanie, na ogródkach działkowych przy Rostafińskich. Praca wreszcie przestała przeszkadzać mu w picciu.

— To nie musiał być on.

— Menel, bez nogi, pod oknem babci... Wszystko pasuje. Ale zaczekaj. Zaraz się dowiemy. Chodź.

Wziął ją za rękę i niczym małą dziewczynkę powiódł za sobą na klatkę schodową, a potem przed budynek. Tłumek sąsiadów nieco się przerzedził, ale pani Sobecka wciąż tam była. Karol przywołał ją dyskretnie. Przeszli we troje za załom muru.

— O co chodzi?

Sąsiadka była wyraźnie zaintrygowana. Stanowiła doskonałe źródło

informacji. Mąż milicjant, zanim umarł, zdążył zarazić ją dociekliwością. Wiedziała wszystko o wszystkich.

— Czy do babci przychodził taki pan bez nogi?

Wydeła z niesmakiem usta. Byli na dobrym tropie.

— Nie pan, zwykły kloszard. Kilka razy pogoniłam go spod klatki. Krysia, świeć Panie nad jej duszą, miała do niego słabość. Czasem wносиła mu jedzenie, chociaż ją ostrzegałam, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Od takich jak on trzeba się trzymać jak najdalej.

— Odwiedzał babcię w domu?

Kobieta popatrzyła na Karola z uwagą.

— Takie samo pytanie zadali mi na policji.

— I co im pani odpowiedziała?

— Że nie. Jeszcze tego by brakowało. Zasmrodziłyby mieszkanie. On cuchnął.

Laura przypomniała sobie, że ona też odpowiadała na podobne pytanie. Przesłuchujący pytał ją o ewentualnych znajomych babci z marginesu. Odpowiedziała, że o nikim takim nie wie. Nie wpadła na to, by cofać się do czasów, gdy chodziła do liceum.

— A nie próbował wspinać się do niej po drzewie?

Sobecka pokręciła energicznie głową. Jej przypominająca hełm fryzura ani drgnęła.

— W stanie, w którym się znajdował, byłoby to niemożliwe. Ledwo chodził po chodniku. Musiałby najpierw wytrzeźwieć, a tacy jak on nie trzeźwieją.

— Czasem trzeźwieją. Jeśli mają motywację.

— Jesteś taki sam jak babcia. — Sobecka pogroziła mu palcem. — Ona też miała w sobie mnóstwo wiary w ludzi. Też była taka naiwna. Bo ludzie, mój drogi, są z gruntu rzeczy źli.

Zostawili ją w tym przeświadczeniu niezainteresowani dyskusją o naturze człowieka. Laura ze zdziwieniem skonstatowała, że brat prowadzi ją do samochodu. Wstąpiła w niego dziwna energia, która nie do końca jej się podobała.

— Dokąd chcesz jechać?

— Na Rostafińskich.

Przez całą drogę przekonywała go, że powinni zadzwonić na policję albo przynajmniej — w sposób nieformalny — skontaktować się z Basią Zawadzką. Nie chciał o tym słyszeć.

— Nie wiemy, czy to on — wyliczał, gdy wciskała się na jedyne wolne miejsce parkingowe, między samochody amatorów relaksu na Polu Mokotowskim. — Czy ten menel to dawny stróż ze Staszica. Nie wiemy, czy wciąż mieszka na działkach. A poza tym chcę tylko sprawdzić, czy jest. I wolałbym, żebyś została w samochodzie.

— Pocałuj psa w nos.

Chociaż burza była o krok, ogródki działkowe przy Rostafińskich tętniły życiem. Zewsząd słychać było śmiech i rozmowy, a w naelektryzowanym powietrzu rozchodził się zapach grilla. Niemal wszystkie parcele, które mijali, były zadbane, wręcz wypieszczone. Trudno uwierzyć, by ostała się tu altana z alkoholiem.

— Pamiętasz, gdzie to było?

— Z grubsza.

Ogródki przywodziły na myśl małe miasteczko z miniaturowymi uliczkami, noszącymi tak sympatyczne nazwy jak Śliwkowa, Różana czy Piwoniowa. Laurze nawet by się tu podobało, gdyby nie wątpliwości, czy to, co robią, jest rozsądne. Karol zawsze był lekkomyślny, a rozczarowanie, którego doznał w związku ze spadkiem, tylko tę lekkomyślność pogłębiało.

— Zaczyna padać. Może... wracajmy.

— To było gdzieś tutaj. Chyba...

Dalsze słowa zagłuszył odgłos gromu. Pojedyncze krople gładko przeszły w ulewę. Ściana deszczu sprawiła, że wieczorny półmrok w ciągu sekundy zamienił się w noc.

— Uciekajmy! — krzyknęła, ale nie posłuchał. Pchnął furtkę i zniknął wśród smaganych deszczem krzaków. Przeklinając, pobiegła za nim. Po plecach płynęły jej strużki zimnej wody. Mokre miała już nawet majtki.

Krzaki były gęste i przy ograniczonej widoczności tworzyły szumiący labirynt. Przeszła się przez niego i stanęła jak wryta, bo jej oczom ukazała się zupełnie niepasująca tu stara altana. Budynek, a właściwie szopa, przylegał do ogrodzenia, za którym, jeśli czegoś nie pokręciła, rozciągało się mauzoleum żołnierzy radzieckich.

Nigdzie nie widziała natomiast Karola. Rozejrzała się po zdziczałym ogrodzie, ale zamiast brata dostrzegła rupiecie. Stosy zwykłych śmieci wznoszące się na wysokość dorosłego człowieka, wydzielające przykry zapach zgnilizny. I resztki pływającego w kałuży paleniska, z fragmentami czegoś, co przywodziło na myśl kości małego zwierzęcia.

— Karol?

Słowa zginęły w huku kolejnego grzmotu. Ruszyła powoli ku altanie i wtedy go zobaczyła. Stał w drzwiach i oddychał przez otwarte usta.

— Chodźmy stąd — poprosiła, ale nie zareagował.

Przez chwilę tkwił nieruchomo, a potem zaczął się trząść. Odsunęła go jak manekin.

— Nie patrz tam — wychrypiał, ale było za późno.

Od ciemności wyraźnie odcinał się jeszcze ciemniejszy kształt. Ludzka sylwetka sprawiająca wrażenie większej niż w rzeczywistości, bo wisząca pod sufitem, z pętlą na szyi.

Wisielec trwał nieruchomo niewrażliwy na grzmoty i deszcz. Jeden

z trzewików niemal muskał podłogę. Drugiego nie było. Zamiast niego w podłogę celowała drewniana proteza.



## Poniedziałek, 12 lipca 2021 r.

Szymon Romanow zachowywał się tak, jakby przebywał po drugiej stronie szyby. Nie był w stu procentach wycofany, ale Michał Tracz miał wrażenie, jakby docierało do niego co drugie słowo.

— To jest doktor Karnowski.

Wskazał na swojego podopiecznego, a potem zaczekał na reakcję. Ta nastąpiła dopiero po chwili.

— Nie za młody?

— Świat należy do młodych, panie Szymonie. Ma niezbędne kwalifikacje.

— Aha.

Pacjent przyjął to do wiadomości, a potem obrócił się na drugi bok. W tym geście nie było nic obraźliwego, po prostu był zmęczony. Pielęgniarka, która w ciągu nocy zaglądała do jego izolatki kilkanaście razy, poinformowała Michała, że prawie nie spał. Ale przynajmniej nie potrzebował już pasów. Dwa dni po incydencie ze Zbigniewem Komarem — ojcem nowego pacjenta — był równie spokojny, jak przedtem. Zupełnie jakby nic nie zaszło.

— Będzie miał pan dziś gości. Z policji.

Chwila milczenia była tak długa, że Michał zaczął tracić nadzieję. Ale okazało się, że jego komunikat dotarł tam, gdzie powinien.

— Mówi się trudno — wychrypiał Romanow, wpatrując się w zakratowane okno.

Było po siódmej. Warszawa leniwie budziła się do życia.

— Czy chce pan, żebym był w pobliżu?

— Tak. Proszę.

Pacjent przeciągnął się i niespodziewanie zachrapał. Michał zagarnął swojego młodego towarzysza na korytarz.

— Co sądzisz?

Kacper Karnowski, który kilka tygodni temu zaczął specjalizację z psychiatrii, nie szukał kwadratowych jaj, tylko potwierdził jego diagnozę.

— To pobicie wygląda mi na jednorazowy incydent. Prawdopodobnie oszukał pielęgniarkę i nie wziął leków.

Izolotka, w której przebywał Romanow, była ostatnim przystankiem ich rozpoczętego godzinę temu obchodu po oddziale drugim. Karnowski był tu po raz pierwszy. Dotąd zapoznawał się z oddziałem siódmym, na którym leczono łagodniejsze zaburzenia. Na przykład bezsenność, która była tematem jego pracy dyplomowej. Kontakt z pacjentami z dwójki wyraźnie go przytłoczył. To nie były praktyki — nie był już studentem, tylko lekarzem.

— Co teraz? — spytał ze słabo skrywanym napięciem.

— Kawa — odparł Michał, prowadząc go za sobą niczym dzieciaka, który zgubił się w muzeum. Niektórzy koledzy bywali dla nowicjuszy przykrzy, ale on doskonale pamiętał swoje pierwsze dni w pracy. Też spodziewał się Bóg wie czego i też się stresował. — Jaką pijesz? Czarną czy ze śmietanką?

Zamiast odpowiedzi usłyszał obcy głos, a potem na jego ramię opadła ręka. Klepnięcie było lekkie, ale i tak się najeżył. Obrócił się na pięcie, stając twarzą w twarz z chudzielcem o potarganych włosach i rozbieganym spojrzeniu.

— Panie Rafale, już to przerabialiśmy. W komunikacji z personelem szpitala nie używamy rąk, tylko ust...

— Przepraszam. Doktorze, musimy porozmawiać. Ja znów nie spałem.

Gdy byli w jego sali, tryskał energią skowronka, ale Michał nie był zaskoczony. Pacjent cierpiał na rodzaj urojeń prześladowczych. Nie lubił ujawniać uczuć w towarzystwie innych pacjentów.

— A co się stało? — spytał, wyjmując z fartucha klucze do gabinetu. Trzymał je w zapinanej kieszeni — od czasu, gdy kiedyś w jednej z sal zwyczajnie mu je buchnęli.

— Wolałbym na osobności — ściszył głos, owiewając Michała nieświeżym oddechem. — To przez tego nowego w naszej sali. On jest jakiś... dziwny.

Psychiatra spojrział na pacjenta z zainteresowaniem. Tym nowym pacjentem był Łukasz Komar. Pierwsze dni na oddziale zamkniętym na pewno nie były dla niego łatwe.

— Ma pan szczęście, panie Rafale. Tak się składa, że mamy tu specjalistę od zaburzeń snu.

Wskazał na Karnowskiego, a ten lekko się zaczerwienił. Pacjent, dla odmiany, nieco zbladł.

— Ale... Panie doktorze... Wolałbym powiedzieć to panu.

— Cały czas będę obok pana. Proszę.

W gabinecie rzeczywiście zajął miejsce obok pacjenta, a walczący z zakłopotaniem Karnowski usiadł za biurkiem. Sposób, w jaki zmarszczył nos, wskazywał, bardziej niż wszystko inne, na jego brak obycia. Pacjenci szpitali psychiatrycznych często nie zwracali sobie głowy higieną, a Rafał nie był wyjątkiem. Michał już dawno przestał zwracać uwagę na przykre wyziewy. Były dla niego czymś tak naturalnym, jak zapach chmielu dla piwowara.

— Niech pan opowie panu doktorowi, co nie pozwalało panu zasnąć.

— Nie co, lecz kto. Ten Komar.

— Komar? — Karnowski pokiwał głową i zanotował coś w swoim

nowiutkim notesie. Nie miał szans, by przez tę godzinę zapamiętać nazwiska wszystkich pacjentów. Na oddziale było ich ponad dwudziestu, więc zapewne sądził, że chodzi o insekta, ale kolejne słowa uświadomiły mu, że był w błędzie.

— Łukasz Komar, wysoki mężczyzna około trzydziestki, znaków szczególnych brak — wyrecytował pacjent. Z jego akt wynikało, że od kilku lat ubiegał się o przyjęcie do policji. Zaliczał testy sprawnościowe, ale oblewał te u psychologa. Na szczęście... — Komar nie rozstaje się z telefonem. Korzysta z niego przez cały czas...

— Dzwoni? — przerwał Karnowski.

— Nie. Nagrywa nas. Szpieguje. Uważam, że ktoś go nasłał.

— Kto?

Pacjent wskazał palcem w górę, jakby sugerował, że w kinkiecie może być zainstalowany podsłuch. Głos ściszył tak mocno, że trzeba się było wspomagać czytaniem z ruchu warg.

— Wiadomo. Służby.

Karnowski znów coś zanotował. Michał zakładał, że były to dwa słowa. Zespół urojeniowy. Jeśli tak, to diagnoza była trafna. Rafał Copik był ciężkim przypadkiem. Siedział tu już kilka miesięcy, a lekarze próbowali kolejnych terapii lekowych, wciąż nie wiedząc, jak mu pomóc.

— Czy to wszystko?

— Nie, panie doktorze. To dopiero początek.

Pacjent zaczął przekonywać, że Łukasz Komar jest nie tylko prowokatorem służb, ale przy tym groźnym szaleńcem, nie dostrzegając, że jedno wykluczało drugie. Karnowski pilnie notował, sprawiając wrażenie, jakby wierzył w każde słowo, ale gdy Michał wstał, by włączyć czajnik, zobaczył, że młody lekarz zamiast pisać, rysuje w kajecie kolejne geometryczne kształty. Wyglądało na to, że będą z niego ludzie.

— Czy pan Komar nie skarżył się na skutki uboczne leków? — wtrącił, sięgając po puszkę z kawą.

— On nie bierze leków — stwierdził z przekonaniem pacjent. — Wypluwa je. W toalecie. Sam mi mówił.

Wbrew jego przekonującemu tonowi Komar łykał wszystkie przepisane mu tabletki. Pielęgniarki, tak jak w przypadku każdego nowo przyjętego pacjenta, sprawdzały to wyjątkowo dokładnie, z otwieraniem ust i zagładaniem pod język włącznie. Podczas porannego obchodu Komar zrobił dobre wrażenie. Zachowywał się jak modelowy pacjent, który wie, że ma problem, i jest gotowy na wszystko, by się go pozbyć. Miał podkrążone oczy i spierzchnięte wargi. Typowa reakcja na leki, które dostał.

— Jak zachowywał się w nocy? Spał?

Pacjent obrócił się na krześle w stronę Michała.

— Pierwszej nocy, gdy go przywieźli, do trzeciej w nocy bawił się telefonem. Chyba bał się zasnąć. Może myślał, że go przecwelimy...

— Panie Rafale...

— Przepraszam. Drugiej nocy spał normalnie, sprawdzałem, nie udawał. Ale wczoraj... To znaczy dzisiaj... dzisiejszej nocy coś mu się porobiło. Krzyczał przez sen. Darł się.

Słowa pacjenta były zgodne z raportem pielęgniarki. Łukasz Komar o drugiej nad ranem dostał zastrzyk z morfiną. W tym, że krzyczał przez sen, nie było nic niepokojącego. Jeszcze jedna typowa reakcja na przepisane mu leki.

— Co krzyczał?

— Najpierw jakieś bzdury o śmierci.

— Żeby go nie zabijać?

— Żeby nie zabijać... jakiejś kobiety. *Nie zabijaj jej. Zostaw ją.* Krzyczał tak głośno, że trzęsły się szyby. Potem, już ciszej, zaczął gadać do

jakiejś dziewczyny. Albo chłopaka, bo z takimi jak on nigdy nie wiadomo. Prosił, żeby mu wybaczyła. Albo wybaczył. *Wybacz mi, kochanie.*

To była pierwsza rzecz, którą trzeba było zapisać. Karnowski wyczuł to bezbłędnie. Michał znów pomyślał, że kiedyś będą z niego ludzie.

— A może krzyczał... do siebie?

Pacjent przez chwilę się wahał.

— Nie można tego wykluczyć.

Michał Tracz uznał, że kawa ma smak pomyj. Po części odpowiadała za to lekka infekcja gardła, której nabawił się podczas weekendu na Mazurach, a po części — cień podejrzenia. Miał już kiedyś na oddziale zabójcę. Czy teraz historia miała się powtórzyć? Oczywiście nic nie było przesądzone, ale jak dotąd nic nie wskazywało na to, że Komar cierpi na urojenia. Najpierw okrzyki, by nie pozbawiać kogoś życia, a potem błagania o wybaczenie... Wnioski nasuwały się same. Nie tylko jemu. Karnowski również był zaniepokojony.

— Co robimy?

To było dobre pytanie, na które Michał nie miał w tym momencie dobrej odpowiedzi. Przez chwilę błędził wzrokiem po suficie gabinetu, a potem sięgnął po telefon i wybrał numer do oddziałowego psychoterapeuty.

— Będiesz dzisiaj? — Przez jakiś czas słuchał jego zaspanego głosu, a potem brutalnie mu przerwał. — A mógłbyś być wcześniej? Na przykład... za pół godziny?

Psychoterapia była dopełnieniem terapii lekowej. Przysługiwała każdemu pacjentowi, ale ze względu na niedobór personelu w praktyce należało na nią zaczekać. Na prośbę Michała Łukasz Komar trafił na początek listy. Psychoterapeuta zjawił się po trzech kwadransach. Przez chwilę rozmawiali, a potem udał się po pacjenta, tymczasem Michał

z Karnowskim zajęli miejsce w pomieszczeniu, które przylegało do gabinetu psychoterapii. Jedna ze ścian była przeszklona.

— Będzie nas widział?

— Nie. To lustro weneckie.

— A co z dźwiękiem?

— W pomieszczeniu jest mikrofon.

Gdy założyli słuchawki, do sąsiedniego pokoju wszedł w towarzystwie brodatego psychoterapeuty Łukasz Komar. On też miał już zaczątki brody. Było w niej dużo siwych włosów.

— Pan wybaczy, ale zawsze traktowałem psychoterapeutów jak szarlatanów — dobiegło ze słuchawek. Łukasz uśmiechał się rozbrajająco.

— Cwaniaków, którzy wyłudniają pieniądze od pań u progu menopauzy.

— Ja nie wyłudzam. — Terapeuta zdjął ciemne okulary i mrugnął okiem.

— Spotkania ze mną są w pełni refundowane przez NFZ.

— A... To co innego. Proszę bardzo. Niech pan mnie naprawi.

— A co panu dolega?

— Mam stany lękowe. Boję się wyjść z mieszkania.

— A tutaj? Jak pan się czuje? Chyba nie najgorzej, co?

Łukasz Komar potrząsnął głową. Był tak racjonalny, że psychoterapeuta, który zazwyczaj stykał się z pacjentami bardziej lub mniej oderwanymi od rzeczywistości, poczuł się wyraźnie nieswojo.

— Nadrabiam miną. Tak naprawdę mam ochotę stąd zwać, a jedyne, co mnie powstrzymuje, to to, że na zewnątrz będzie mi jeszcze gorzej... Mam się położyć na kozetce?

Terapeuta uczynił zapraszający gest.

— Jeśli pan chce, to proszę. Spróbujemy przepracować kilka rzeczy. — Udał, że się zastanawia, ale zaczął od pytań z podręcznika. — Czy ma pan partnera lub partnerkę?

Łukasz położył się i dopiero wtedy można było dostrzec, jak bardzo jest sztywny. Twarz wykrzywił mu wymuszony uśmiech.

— Leci pan Freudem, tak? Wszystkie problemy mają swoje źródło w nieudanym seksie?

— A pański jest udany?

— Poproszę o następne pytanie.

Michałowi, który śledził tę wymianę zdań z nosem przy szybie, wydawało się, że Komar lekko się uśmiechnął. Tym razem naturalnie. Wyglądało na to, że seks nie jest tu problemem. W innych okolicznościach można by zostawić ten temat, ale teraz psychoterapeuta realizował założony z góry scenariusz.

— Czy lubi pan, kiedy robi się niegrzecznie?

— Proszę pana...

— Czy zdarzyło się panu odgrywać role, w których pana partnerka była... powiedzmy, że ofiarą przemocy?

Komar przestał się uśmiechać.

— Nigdy. Może i jestem świrem, ale nie takim.

— A poza łóżkiem? Czy zdarzyło się panu stosować przemoc?

Sposobu, w jaki terapeuta zabrał się do tematu, nie można było określić mianem finezyjnego, ale nie chodziło o finezję, tylko o prawdę. Reakcja Łukasza była zaskakująca. Usiadł na kozetce i objął kolana ramionami.

— Nienawidzę przemocy. Nigdy jej nie doświadczyłem. I nigdy nie stosowałem.

Słowa nie były tu istotne. Liczyła się mowa ciała, a ta sugerowała nagły wzrost napięcia. Psychoterapeuta zareagował błyskawicznie.

— A był pan jej świadkiem?

Komar zacisnął zęby. Przez chwilę trwał w bezruchu niczym osaczone zwierzę, a potem chwycił się za usta i wyjął spomiędzy warg zakrwawiony



biały okruch. Wyszczерzył się i przesunął po zębach językiem. Brakowało większej części górnej trójki.

— Cholera. Przydałby się dentysta.

Utrata zęba sprawiła, że stracił zainteresowanie rozmową. Terapeuta zerknął na szybę, za którą siedział Michał, i wzruszył bezradnie ramionami. Ale Michał zobaczył już to, co chciał. Łukasz Komar wyglądał bardziej na ofiarę niż na sprawcę przemocy. Psychiatra wysłał terapeutę SMS-a zawierającego tylko jedno słowo. *Wystarczy*. Psychiatra odczytał wiadomość, po czym pochylił się nad pacjentem.

— To może na dzisiaj skończymy, co?

— Kiepsko panu poszło. Straciłem zęba. Wolałbym go mieć.

— Może pan wyjść na przepustkę. Chciałby pan pójść do jakiegoś konkretnego dentysty czy jest panu wszystko jedno?

Chłopak odzyskał humor. Znow był pogodny, ale na swój dziwny, wymuszony sposób.

— Konkretnego. Bo widzi pan, ja bardzo się boję dentysty. Chodzę do tego samego, od samego początku. Od kiedy miałem mlecza. To świetny fachowiec. Jakbym miał iść do innego, to chyba dostałbym ataku paniki. Nie, nie chyba. Na pewno bym dostał...

Terapeuta chciał być uprzejmy, więc udał zainteresowanie.

— W strachu przed dentystą nie ma nic nienormalnego. A gdzie pan chodzi? Gdzieś blisko domu? W Magdalence?

— Nie. W Warszawie. Niedaleko stąd. Na Dantyszka.

— Na Dantyszka? Gdzie to jest?

— Przy Filtrowej — odparł Komar, patrząc wprost na Michała z makabrycznym uśmiechem. W istocie przeglądał się w lustrze, badając przerwę w uzębieniu. — To moje rewiry. Tam się wychowałem. Przy samej Stacji Filtrów.

Salowa pchała przed sobą wózek. Brudne naczynia grzechotały, a resztki pożywienia wydzielały zapach, który nie był szczególnie apetyczny.

— Co to jest? — spytał Zbigniew Komar, mrużąc oczy.

Michał zgadywał, że pod maską skrzywił się z obrzydzenia.

— Obiad. Zrazy z ziemniakami i surówką z białej kapusty.

— Wieprzowina? Pachnie jak mięso z psa, i to trzeciej kategorii.

— Trzeciej?

— Zmielone razem z budą.

Psychiatra udał, że go to bawi. Od chwili, gdy weszli na oddział, ojciec Łukasza Komara rzucał sucharami, chcąc chyba zamaskować własną nerwowość. Rzecz jasna, martwił się o syna, ale chodziło o coś jeszcze. Albo o kogoś. Nerwowe spojrzenia na prawo i lewo, a także w kierunku stołówki wskazywały na to, że obawia się ataku. Widoczna spod maseczki nasada nosa wciąż nosiła ślady po ciosie Romanowa.

— Niech pan się nie obawia. Tego faceta nie ma na stołówce. Kazałem podać mu obiad do pokoju.

Komar dotknął miejsca uderzenia, a potem machnął ręką.

— Obiad w pokoju? Jak w Sheratonie. — Zachichotał pod nosem, bo porównanie oddziału do ekskluzywnego hotelu było... No cóż, karkołomne. — Czy mógłbym zabrać syna na jakieś normalne jedzenie?

— Wykluczone. Pański syn nie może opuszczać oddziału. Po pierwsze, procedury antycovidowe. A po drugie, ustawiamy mu leki. Może czuć się trochę zdezorientowany.

— Pogorszyło mu się?!

Michał wrócił myślami do porannej sesji Łukasza z psychoterapeutą.

— Nie. Ale wymaga zwiększonej uwagi. Pan wybaczy.

Od strony wejścia na oddział zbliżało się, w asyście pracownika ochrony,

dwóch policjantów. Psychiatra podniósł rękę, a gdy go dojrzel, jeszcze raz odwrócił się do Komara seniora.

— Jeszcze jedno, panie Zbyszku. To ostatni raz, przynajmniej na jakiś czas. Nie może pan przychodzić tu codziennie. I tak naginamy dla pana wszystkie zasady.

Komar, nagle pokorny i cichy jak myszka, zniknął w pokoju, który nazywali na oddziale salą widzeń. Policjanci byli już o krok.

— Panie Zbyszku, mówię poważnie — rzucił raz jeszcze, chcąc być dobrze zrozumiany, a potem ruchem ręki przywołał snującego się po korytarzu Karnowskiego. — Miej tu na wszystko oko. A panów zapraszam ze sobą.

Z pewną ulgą uświadomił sobie, że obaj funkcjonariusze mają męskie mundury. Baśka nie przyszła. Ruszył przed siebie, ale jeden z policjantów zastąpił mu drogę. Był bardzo młody i — sądząc po niepewnej minie — mało doświadczony. W sam raz do realizacji tego mało skomplikowanego zadania, jakim było rozpytanie sprawcy zdarzenia przed definitywnym zamknięciem sprawy.

— Czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć... o tym Romanowie?

— Jest po terapii silnymi opioidami. Może być otepiały i mało rozmowny.

— A co z poziomem agresji?

— Nie jest niebezpieczny. Pod warunkiem, że nie zaczniecie spuszczać przy nim wody. Ma alergię na ten dźwięk. Reaguje bardzo gwałtownie.

Na młodej twarzy policjanta odmalowało się zdziwienie.

— Na dźwięk spuszczenia wody... w kiblu?

— Tak jest. Do toalety zawsze wchodzi wtedy, gdy jest pusta. I nigdy nie jest w niej dłużej niż kilka sekund.

Pozwolił, by te słowa wybrzmiały. Obaj policjanci skrzywili się

z obrzydzenia. Ich wyobraźnia pracowała prawidłowo.

— Jeden z ochroniarzy z Rasztowa miał kiedyś taki sygnał na przyjęcie wiadomości. Spuszczanie wody. Romanow dostał ataku paniki. Wpadł na ścianę i złamał sobie rękę.

Policjanci nie zadawali dalszych pytań. Michał widział to już tyle razy, że się nie dziwił. Na oddziale zamkniętym nawet najwięksi junacy tracili rezon. I marzyli o chwili, w której znajdą się daleko stąd.

Doktor Tracz pchnął drzwi i uczynił zapraszający gest, a gdy policjanci nie zareagowali, wszedł do izolatki pierwszy.

— Panie Szymonie, ma pan gości.

— Super — mruknął pacjent, drapiąc się po skołtunionym zarostcie.

W izolatce ustawiono cztery krzesła, ale Romanow wolał pozostać w łóżku. Leki, które przyjmował, nie tylko otępiały, lecz także zaburzały równowagę. Skutków ubocznych było oczywiście więcej, ale pacjent był do nich przyzwyczajony. Z papierowej dokumentacji wynikało, że pierwszy raz wylądował w szpitalu takim jak ten w połowie lat osiemdziesiątych. Leczył się więc — z większymi lub mniejszymi przerwami — od blisko czterdziestu lat.

Policjanci nie tracili czasu na wstępy. Podstawowe dane spisała za nich Baśka w dniu zajścia.

— Pana zawód wykonywany? — spytał ten młodszy, do którego należało prowadzenie rozmowy. Drugi, wyższy i lepiej zbudowany, był tu chyba tylko po to, by go ochraniać.

— Rencista — odparł niechętnie Romanow.

— A zawód wyuczony?

Romanow poprawił się w łóżku i zerknął w stronę pytającego z wyraźnym rozbawieniem, tak odmiennym od prezentowanej jeszcze przed chwilą obojętności.

— Mundurowy, tak jak pan.

— Był pan... policjantem?

— Żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego. Ale w stanie wojennym patrolowaliśmy ulice. Grzaliśmy się przy koksownikach... — Na kilka sekund odpłynął myślami do odległych i chyba miłych wspomnień, potem jednak znów się nachmurzył. — To was nie obchodzi. Pytajcie, o co chcecie. I sobie idźcie.

Jeśli policjanci przygotowali jakieś podchwytliwe pytania, to trzymali je w zanadrzu.

— Pana miejsce zamieszkania?

— Tutaj.

— A poza szpitalem?

— Dom pomocy społecznej w Legionowie... Panie doktorze, pamięta pan, przy jakiej to ulicy?

Michał zerknął na kartkę, na której wynotował sobie najważniejsze dane, a potem bez słowa podał ją policjantowi. Romanow nie mieszkał pod tym adresem od pięciu lat. Cały ten czas spędził pomiędzy dwoma placówkami: Szpitalem Nowowiejskim i zakładem opiekuńczo-leczniczym w Rasztowie.

— Niech pan opisz, co wydarzyło się dziewiątego lipca około godziny dwudziestej trzeciej piętnaście — poprosił policjant. Jego długopis zawisł nad otwartym notesem. I wisiał, bo Romanow sprawiał wrażenie, jakby zupełnie się wyłączył. — Panie Szymonie, powtórzę pytanie: co wydarzyło się...

— Czemu pan go uderzył? — wtrącił Michał.

Pacjent drgnął i zamrugał oczami. Leki, które przyjął przez ostatnie dwie doby, zrobiły mu z mózgu kiesel. Nie przyswajał dat, trafiały do niego tylko najprostsze komunikaty. Takie jak ten.

— Bo się pomyliłem, panie doktorze. Chyba. Coś mnie napadło. Sam nie

wiem.

Michał zerknął do policyjnego notatnika. Funkcjonariusz miał ładne, wyraźne pismo. *Rozpytywany nie jest w stanie określić, co skłoniło go do zastosowania przemocy. Jego wypowiedź jest chaotyczna, wyraźnie zdradzająca zaburzenia psychiczne.*

— Zna pan mężczyznę, którego pan zaatakował? — spytał Michał, znów wyręczając policjanta.

— Nie, chyba nie. Musiałem się pomylić. To nie był on.

— Czyli kto?

Romanow przez chwilę pocierał nos czubkami palców. Trudno o bardziej neurotyczny gest.

— Nikt. Pomyliłem się. To trwa już tak długo... Czy mogę wreszcie zostać sam?

Rozmowa, a raczej — w terminologii policyjnej — rozpytanie, trwała najwyżej od pięciu minut, ale w stanie, w jakim się znajdował, Romanow miał prawo do zaburzeń w zakresie postrzegania czasu.

— Jeszcze chwila — poprosił policjant. — Muszę się upewnić, że zajście miało charakter przypadkowy. Okażę teraz panu zdjęcie człowieka, którego pan uderzył. Pan go nie rozpozna i kończymy.

Pochylił się i wyjął ze skórzanego notesu dużą, kolorową fotografię, a raczej jej wydruk — z bazy dowodów osobistych. Zbigniew Komar miał na niej pogodny wyraz twarzy, krawat i starannie przystrzyżoną brodę. Wyglądałby jak polityk z plakatu wyborczego — gdyby nie jeden szczegół. Brzydka, różowa blizna, która przecinała policzek.

— I co? Czy widział go pan wcześniej?

Romanow rzucił okiem na fotografię i nie odpowiedział. Zmrużył oczy, jakby był senny.

— Panie Szymonie, jest pan tam? Proszę, niech pan się przyjrzy. To

człowiek, którego pan uderzył. Wtedy zapewne był w maseczce, więc musi mi pan uwierzyć na słowo...

W tej sekundzie Michał uświadomił sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, Zbigniew Komar nie miał wtedy maseczki. Zdjął ją chwilę wcześniej, gdy żegnał się z synem. A po drugie... Szymon Romanow wcale nie był senny. Udawał senność, a w rzeczywistości był napięty. Jak łuk chwilę przed wypuszczeniem strzały.

— Panowie... — zaczął ostrożnie, ale było za późno. Rozległ się krzyk, a potem rumor przewracającego się krzesła. Romanow znalazł się nagle na podłodze, koło obalonego policjanta. Sięgnął w kierunku jego twarzy i — nie zwracając uwagi na odgłos przeładowanej broni — złapał go za włosy.

— Nie strzelaj.

Michał zasłonił kotłujących się na podłodze mężczyzn własnym ciałem, a potem zafascynowany patrzył, jak Romanow wyciąga spod głowy policjanta zdjęcie Komara i drze je na maleńkie kawałki, zanosząc się szlochem. Drugi z policjantów odsunął psychiatrę, ale na szczęście schował broń. Zagrożenie minęło. Zamiast furiata sprzed sekundy na linoleum siedział teraz zapłakany wrak człowieka.

— Nie skuwaj go — polecił z poziomu podłogi przewrócony policjant.

— Na pewno? — Kolega zadzwonił w powietrzu kajdankami.

— Tak. Wszystko jest w porządku.

Ta opinia była kontrowersyjna. U Romanowa nic nie było w porządku. Płakał, rozrywając resztki zdjęcia. Michał widział go w takim stanie tylko raz, kiedy przed szpitalnym ogrodem zaparkowała polewaczka.

Szymon Romanow nienawidził dwóch rzeczy. Dźwięku spływającej wody i Zbigniewa Komara.

Rozpytanie nie mogło być kontynuowane. Oczywiście nikt nie miał na to

ochoty, ale czynnikiem, który przeważył, był stan Romanowa. Mężczyzna pod wpływem emocji narobił pod siebie. Michał odprowadził policjantów do stanowiska ochrony, a potem wrócił do swojego gabinetu.

Przez niemal godzinę wertował stare akta Romanowa, ale nie znalazł w nich niczego, co łączyłoby go z Komarem. Pacjent rzeczywiście był kiedyś żołnierzem. Po raz pierwszy trafił do psychiatryka z karnej jednostki w Orzyszu, a rentę przyznało mu Ministerstwo Obrony Narodowej.

Reakcje pacjenta zaintrygowały Tracza w takim stopniu, że zatelefonował do Rasztowa — zakładu opiekuńczo-leczniczego, do którego trafiali między innymi pacjenci, których stan był stabilny, ale nie rokował poprawy. Pobyt w tym miejscu mógł trwać wiele lat, a nawet całe życie. Romanow był tam tak dobrze znany, że jego rozmówca nie musiał podpierać się dokumentacją. Zapewnił, że mężczyzna nigdy nie był agresywny.

— A o co chodzi z tym spuszczeniem wody?

— Nikt nie wie, skąd to się wzięło. To pewnie echo jakiejś traumy. Może topił się przy wodospadzie? Albo w dzieciństwie ktoś robił mu tak zwaną spłuczkę...

— Co robił?

Pod pojęciem „spłuczka” krył się ponury rytuał z internatów i domów poprawczych, sprowadzający się do zaciągania ofiary do toalety, wkładania jej głowy do muszli klozetowej i spuszczenia wody.

— O co chodzi?

Do gabinetu wpadł jak bomba Karnowski. Miał tak zaaferowaną minę, że Michał przeprosił i odłożył słuchawkę.

— Dzwonili z portierni. Zgłosił się do nich ten ojciec...

— Komar? Znowu? Przecież mu mówiłem, że nie może bez przerwy tu wchodzić i wychodzić...



— Twierdzi, że zgubił gdzieś syna.

— Co?!

Dalsze słowa Karnowskiego sprawiły, że natychmiast zapomniał o Romanowie. Okazało się, że starszy Komar, wykorzystując nieobecność Michała, który uczestniczył w czynnościach policji, wydebił od Karnowskiego zgodę na lunch w towarzystwie syna.

— Wypuściłeś pacjenta, któremu dobieramy terapię? — spytał z niedowierzaniem, a potem wskazał na swoje biurko. — To teraz tu za wszystko odpowiadasz. A ja wychodzę.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył korytarzem. Gdy wyszedł z oddziału, przyspieszył. Na portiernię wpadł już biegiem. Zbigniew Komar czekał, wyłamując nerwowo palce.

— Nie wiem, jak to się mogło stać. Weszliśmy do knajpy, powiedział, że musi do łazienki... I zwiął przez okno! Zorientowałem się dopiero po dwudziestu minutach.

Michał chwycił go za łokieć i wyprowadził poza zasięg ciekawskich uszu portiera.

— Gdzie byliście?

— Tu, zaraz... Przy placu Politechniki.

— Syn był w stroju szpitalnym?

— Przywiozłem mu buty i spodnie.

Sytuacja była poważna. Michał przez chwilę się zastanawiał, czy aż tak, by od razu wzywać policję. Procedury były w tym zakresie jednoznaczne — samowolne oddalenie się z oddziału zamkniętego podlegało niezwłocznemu zgłoszeniu. Z tym że z formalnego punktu widzenia Łukasz się nie oddalił, tylko wyszedł na przepustkę klepniętą przez tego idiotę Karnowskiego.

— Czy pana syn zachowywał się inaczej niż zazwyczaj?

— Uciekł przez okno.

— Czy był zdenerwowany?

— Chyba nie. Martwił się tym zębem. Gdy mówił, zasłaniał dłonią usta.

Michał podjął decyzję. Chwilę potem siedzieli w lexusie Komara, jadąc Nowowiejską w kierunku Ochoty. Tak szybko, że na zakręcie przy Filtrach zapuszczają opony.

— Nie odpowiada.

Komar odrzucił telefon na tylną kanapę i złapał kierownicę również drugą ręką. Minęli zwałistą siedzibę NIK.

— Łukasz?

— Nie, nasz dentysta. Może jest zajęty wstawianiem zęba.

— Oby... Wolniej!

Chodnikiem szedł wysoki mężczyzna. Michał obrócił głowę, ale to nie był uciekinier. Opony znów zapuszczają na zakręcie. Mur Filtrów zniknął zastąpiony zielenią parkowych drzew.

— To tutaj.

Nie musieli nawet wysiadać z samochodu. Do tablicy z reklamą usług stomatologicznych przyklejono kartkę z informacją, że dentysta nie przyjmuje do końca lipca.

— Dupa — westchnął Michał, prześlizgując się wzrokiem po dwupiętrowej kamienicy, a potem po parkowej zieleni i grupce osób skupionych wokół fontanny. — Dokąd pan jedzie? — spytał, bo Komar niespodziewanie ruszył z kopyta, znów drąc opony.

— Wynająłem mu mieszkanie. Tu, zaraz, za rogiem. Wątpię, by miał klucze, ale chyba warto sprawdzić.

Michał pierwszy raz słyszał o wynajętym mieszkaniu, ale ta luka w życiorysie pacjenta była teraz drugorzędna.

— Nie mieszka tam... Jeszcze. Czasem tylko pomieszkuje. Uznaliśmy

z żoną, że powinien się usamodzielnąć. A to dobre miejsce. W tej okolicy się wychował.

Zahamował na środku wąskiej uliczki, po czym popędził do klatki schodowej. Ta kamienica była jeszcze mniejsza od tej, w której urzędował dentysta. Kameralna przedwojenna kamieniczka w otoczeniu parku, o krok od centrum miasta... Michał nie chciał nawet zgadywać, ile wynosił tu czynsz najmu. Wysiadł z samochodu i zaczekał, aż Komar ponownie pojawi się w drzwiach.

— Cholera.

Nie musiał zadawać pytań. Przygnębiona sylwetka Komara seniora mówiła sama za siebie. Sięgnął po komórkę, ale zanim zadzwonił na zaprzyjaźniony komisariat, coś go tknęło.

— Gdzie dokładnie mieszkaliście?

— Co?

— Gdzie mieszkaliście... gdy Łukasz był dzieckiem?

To była chybotliwa teoria, ale nie mieli nic lepszego. Osoby z zaburzeniami nerwicowymi najbezpieczniej czuły się w miejscach, które dobrze znały. Takim miejscem mógł być z pewnością dom rodzinny. Także ten z przeszłości, z czasów beztroskiego dzieciństwa.

Podróż trwała niecałą minutę. Ta kamienica też stała na skraju parku. Przy wejściu wisiała tablica honorująca jakiegoś dawnego notabla ze Stacji Filtrów, a na drzwiach — nekrolog. Zbigniew Komar zatrzymał się przed nim na moment. Michał zauważył, że osoba z nekrologu i prominent z tablicy nosili to samo nazwisko. Przypadek? Miał to gdzieś.

— Kto tam teraz mieszka? W waszym mieszkaniu?

— Jakaś schorowana babuleńka. — Komar oderwał wzrok od nekrologu i dyskretnie się przeżegnał. — Okna wychodzą na drugą stronę. Na park. Łukasz bardzo lubił tam chodzić. Uczyłem go tam jeździć na rowerze.

Oczy miał pełne łez, ale nie był człowiekiem, który okazywałby słabość. Obrócił się i ruszył wzdłuż ściany budynku. Michał poszedł za nim, przechodząc pod tablicą. *W tym domu w latach 1940–1987 mieszkał Julian Kalinowski, zasłużony pracownik i dyrektor warszawskich Filtrów.* Za rogiem budynku rosła stara lipa. Jej gałęzie niemal sięgały balkonu. Było tu spokojnie i zacisznie. Słyszeć było jedynie śpiew ptaków i szum liści, ale po chwili wszystko zagłuszył głośny krzyk.

— Synku! O Boże, synku! Co ty robisz?!

Z gałęzi zwisał Łukasz Komar. Przez jedną, przerażającą sekundę Michał miał wrażenie, że patrzy na wisielca, ale chłopak się poruszył. Przez chwilę bujał się jak mała, a potem zeskoczył na ziemię. Z twarzy biło mu poczucie winy. Stał przed nimi niczym uczeń przyłapany na puszczeniu dymka.

— Narozrabiałem, prawda? Ale musiałem. To było silniejsze ode mnie.

W przeciwieństwie do ojca nie grał twardziela. Po policzku spływała mu łza.

Karol dopił kawę i wstawił szklanę do babcinej zmywarki — razem z talerzem, na którym kilka godzin temu podgrzewał sobie mrożone lasagne. Kiedy nocował tu poprzednio, zmywarki nie było, podobnie jak sinych worów pod oczami i bruzd na policzkach. Miał wtedy dwadzieścia lat. Świat wydawał się znacznie prostszy.

Poranna kawa nie wypędziła z niego senności. I nie pomogła na ból głowy. Spojrzał na zwichrowane łóżko, na którym przewracał się z boku na bok jeszcze długo po wschodzie słońca. Było tak samo niewygodne, jak kiedyś, ale to nie ono nie dawało mu zasnąć. Za bezsenność odpowiadał duch zmarłej babci, a raczej projekcja z duchem w tle — we wnętrzu jego głowy.

Jeszcze raz popatrzył na miejsce, w którym Laura znalazła jej ciało.

— Dzień dobry, babciu — mruknął, udając sam przed sobą, że nie ma do niej żalu.

Miał, i to cholerny. Potrzebował pieniędzy z tego spadku. Dużych pieniędzy, a nie ochłapów.

Był już spóźniony, ale — chociaż nie znosił się spóźniać — dziś nic sobie z tego nie robił. Umył zęby podróżną szczoteczką i wtarł w ogolone policzki sporą ilość płynu. Gdy wychodził na klatkę schodową, szczęknęły sąsiednie drzwi.

— Pomoże mi pan? — spytała płaczącym tonem sąsiadka, stara Lewandowska.

Stłumił westchnienie, a potem wziął ją pod ramię i sprowadził po schodach na parter. W holu wejściowym stał jej balkonik.

— Czy ten menel bez nogi naprawdę próbował wspinać się po drzewie?

Popatrzyła na niego jasnymi, zażawionymi oczami. Wyglądała tak, jakby miał ją przewrócić najłżejszy podmuch powietrza. Suche wargi rozchyliły się w uśmiechu.

— Nie wiem — przyznała rozbijając. — Czasem wzrok płata mi figle.

Przepuścił ją w drzwiach, ale gdy znaleźli się na chodniku, szybko odszedł. Towarzystwo Lewandowskiej wprawiało go w zakłopotanie. Staruszka była niespełna rozumu, a najbardziej jaskrawym przykładem jej szaleństwa było zbieractwo. Gromadziła w swym mieszkaniu setki niepotrzebnych przedmiotów, często wygrzebanych na śmietnikach. Bywało, że smród rozlewał się na całą kamienicę. Sąsiedzi szczerze jej nienawidzili.

Basia czekała na niego obok fontanny. Była w cywilnych ciuchach — letniej sukience i sandałach. Gdy podszedł, zdjęła ciemne okulary.

— Cześć.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział ze skruchą, której nie odczuwał. — Miałem ciężką noc, ale to pewnie już wiesz...

Do mieszkania babci wrócił o drugiej nad ranem. Wcześniejsze godziny spędził na ogródkach działkowych, a potem w budynku komendy stołecznej. Męczyli go tam tak długo, że wyschło na nim ubranie. Na pamiątkę po wieczornej burzy został mu tylko lekki katar.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś na policję?

Wczoraj wałkowali to z nim długo, więc odpowiedział tak płynnie, jakby czytał z kartki:

— Nie sądziłem, że ten kuternoga wciąż tam pomieszkuje, na tych działkach. Czułem potrzebę działania. Przecież nie mogłem przewidzieć tego, co się stało.

— Podejrzewałeś, że jest zabójcą, tak?

— Dopuszczałem taką możliwość. Oczywiście tylko do momentu, w którym go zobaczyłem wiszącego pod sufitem. Wtedy zrozumiałem, że to nie on... Że on nigdy nie dostałby się po drzewie na ten balkon.

— Bo nie miał nogi?

— Bo był w kiepskim stanie fizycznym... — Karol przełknął ślinę. Razem z Laurą odcięli go i próbowali reanimować. Na samo wspomnienie pokręconego, chudego ciała robiło mu się niedobrze. — Wybacz, ale nie chcę o tym gadać. Mogę?

Resztką coli z butelki policjantki pomogła mu zapanować nad mdłościami.

— Nie wiedziałeś, że Rajzer przychodził pod kamienicę babci i dopytywał, czy to prawda, że nie żyje?

— Rajzer? — Tak widocznie nazywał się zmarły, którego on pamiętał jako Cyrkla. — Dowiedziałem się przypadkiem, na komendzie. Wiem, nie

zachowywał się jak morderca. Ale skoro to nie on, to dlaczego się powiesił?

Wzruszyła ramionami.

— Chyba łatwo się domyślić. Twoja babcia regularnie dawała mu jedzenie. Od kilku lat. Po jej śmierci stracił oparcie. Wiesz, czemu był tak chudy? Bo przed śmiercią przez ponad tydzień nie miał nic w ustach. Pewnie oprócz warzyw i owoców, skoro mieszkał na działkach... — Urwała, bo Karol gapił się na nią jak sroka w gnat. — Mam coś na twarzy?

— To w końcu kiedy umarła moja babcia? Tego dnia, gdy znalazła ją Laura? Czy wcześniej?

Rozmówczyni lekko się zaczerwieniła.

— A jakie to ma znaczenie?

— Chcemy umieścić na grobie prawidłową datę śmierci.

— Akt zgonu został wystawiony...

— Przestań. Chcę wiedzieć, kiedy umarła moja babcia. Jeśli mi nie powiesz, to nie będę z tobą rozmawiał. Bo przecież nie muszę.

Zatrzepotała rzęsami, ale akurat w tym momencie nie zrobiło to na nim wrażenia.

— Twoja babcia zmarła prawdopodobnie w zeszłą niedzielę. Laura znalazła ją po pięciu dniach.

— Co?! — Karol starał się nie okazać szoku, ale wyszło mu to bardzo średnio. — Czyli leżała tam pięć dni, tak? — dodał po chwili spokojniejszym tonem.

— Na to wychodzi. Ale nie mów nikomu, że wiesz to ode mnie, bo mnie wywałą. I opowiedz mi o testamencie.

To nie był jego wymarzony temat, ale — po tym, co mu zdradziła — nie bardzo mógł się wykręcić.

— Pytasz z ciekawości?

Gdy się uśmiechała, na jej policzkach formowały się dołeczki. W takich chwilach nie wyglądała jak policjantka i matka nastoletniej córki, tylko jak beztroska maturzystka u progu życia.

— Masz kwaśną minę... jak na milionera.

Wyjaśnił jej, że na kontach babci pozostały jedynie grosze, a połowę majątku odziedziczyła firma zajmująca się poszukiwaniami osób zaginionych. Firma widmo, bez aktualnego adresu i choćby jednej konkretnej wzmianki w Internecie. Baśka zanotowała nazwę, ale w pierwszej kolejności zainteresowały ją wyciągi z rachunków bankowych.

— Co twoja babcia zrobiła z tymi pieniędzmi?

— W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach dokonała wypłat gotówkowych.

— Jakie to były banki? I które oddziały?

Podał jej nazwy banków, ale przy oddziałach rozłożył ręce.

— Nie wiem, po co jej było tyle gotówki. Naprawdę, nie mam pojęcia.

— Wiesz, co to jest akcja na wnuczka? Twoja babcia mogła paść ofiarą oszustwa. Ktoś do niej zadzwonił, podał się za ciebie, powiedział, że coś nawywijał, że potrzebuje kasy i że przyśle kolegę... Nie wspominała o niczym takim?

— Babcia nie była naiwną staruszką. Była wykształcona, obyta... Trudno uwierzyć, by dała się nabrać na stary numer.

Baśka westchnęła.

— Oszuści znają wiele sztuczek. Na twoim miejscu bym tego nie wykluczała. Czy pieniądze wypłacono jednocześnie?

— Nie, w kilkutygodniowych odstępach. W zimie.

— Czy w życiu twojej babci wydarzyło się wtedy coś niezwykłego?

Karol przez chwilę się zastanawiał.

— Prawdę mówiąc... to nie wiem. Nie widywaliśmy się przez ten covid.



Zresztą i tak na co dzień mieszkam we Włoszech.

— Kto o nią wtedy dbał? Kto się nią zajmował?

— Babcia była samodzielna.

— Na pewno?

Do Karola dotarło, że policjantka wie o babci więcej, niż okazuje. Prawdopodobnie już wcześniej orientowała się w stanie jej majątku, bo przecież w śledztwie można było pozyskać informacje o kontaktach bankowych. Nagle poczuł się nieswojo. Charakter ich spotkania był mętny.

— Czy ty mnie sprawdzasz?

Udała zdziwienie, ale nie była aż tak dobrą aktorką, by w stu procentach jej uwierzył. Postanowił bardziej uważać na słowa.

— Babcią zajmowali się wujek z ciocią. W szczytowym okresie pandemii zatrudnili dziewczynę po to, by mieszkała z babcią. Chodziło o to, by ograniczyć kontakty. Ta dziewczyna miała z nią siedzieć w domu. Nie wychodzić.

— Co to za dziewczyna?

— Na imię ma Ola. Pochodzi z jakiejś dziury. Gdy pandemia przystopowała, dali jej wolne...

— Poznałeś ją?

— Nie. Ale babcia mówiła, że jest w porządku.

Tryby w jego głowie obracały się bardzo powoli, ale w końcu to dostrzegł. Tę koincydencję. Pieniądze z kont wyparowały wtedy, gdy babcią zajmowała się obca osoba. Popatrzył na Baškę, a ona uniosła brew.

— Ja niczego nie sugeruję. Ale zastanów się... czy jest jeszcze coś, co mógłbyś mi o niej powiedzieć?

Przez dłuższą chwilę składał w głowie te strzępy informacji, które babcia — w rozmowach przez telefon i WhatsAppa — przekazała mu o opiekunce. Mimo usilnych starań nie udało mu się wyłowić nic kontrowersyjnego.

— Babcia za nią przepadała. Przedstawiała ją jako nieoszlifowany diament.

— Nieoszlifowany?

— W sensie wykształcenia, bo go nie miała. Babcia chciała posłać ją na studia.

— I uwzględniła ją w testamencie.

— Dlaczego jej jeszcze nie zatrzymaliście?

Baśka spojrzała na niego niepewnie, nie wiedząc, czy mówi poważnie. On sam nie wiedział. Z jednej strony coś rzeczywiście śmierdziało: Ola zjawiła się w życiu babci w momencie, w którym ta wypłaciła oszczędności całego życia. Ale z drugiej — Karol nie wyobrażał sobie, by policja nie sprawdziła tak oczywistego wątku. Skoro dziewczyna była wolna, to wyglądało na to, że jest niewinna.

— Czy ta Ola... ona nie jest pewnie bogata, co?

Policjantka przez chwilę się wahała.

— Te informacje i tak są w Internecie — stwierdziła wreszcie, a potem przez chwilę przesuwiała palcem po ekranie telefonu. — Proszę.

— Ola to Aleksandra Arbaszewska? — spytał, a Baśka kiwnęła głową. Nazwisko opiekunki babci pojawiała się kilkakrotnie na stronach zajmujących się handlem długami. Kwoty zadłużenia nie były duże. Nijak nie korespondowały z kwotami, które wyparowały z kont babci Krysi. — Jakby ją okradła, to najpierw spłaciłaby wierzycieli — zauważył, a policjantka udała, że bije mu brawo. — Pewnie spłaci ich teraz... Jeśli spadek to nie będą tylko trzy guziki i wycieraczka.

Posmutniał. Nie chciał wracać myślami do testamentu, ale Baśka — niczym złośliwy dzieciak wyrywający skrzydełka schwytej muchy — uczepiła się tego tematu i nie zamierzała odpuścić. Jak mógł się

spodziewać, zatrzymała się na dłużej przy firmie od poszukiwań. Pytanie, które zadała, zabiło mu ćwieka.

— Czy babcia kogoś poszukiwała? — powtórzył, a potem wzruszył ramionami. — Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

— Jacyś zaginieni członkowie rodziny? — Potrząsnął głową. — Młodzieńcza miłość?

— Wyszła za dziadka, gdy miała dwadzieścia lat.

— To skąd ten zapis w testamencie? Dlaczego zapisała połowę majątku firmie od poszukiwań? Dlaczego firmie, a nie stojącej za nią osobie... temu Pietrzykowi?

Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Policjantka jeszcze przez chwilę go męczyła, a potem oznajmiła, że musi iść. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że też jest już spóźniony. Godzina, którą dla niej wygospodarował, zleciała szybciej, niż się spodziewał.

— Kiedy przyjeżdża twoja żona?

— Jeszcze nie wiem.

— Ale przyjedzie, prawda? Chociaż na pogrzeb?

Odruchowo cmoknął ją w policzek, jak wtedy, gdy byli nastolatkami, a potem patrzył, jak odchodzi. Pytania o żonę zazwyczaj psuły mu humor, ale teraz głowę miał nabitą zupełnie czymś innym. Do tego stopnia, że nie zwrócił uwagi nawet na odznaczające się pod sukienką Basi stringi, od których — w innych okolicznościach — nie odrywałby wzroku. Jego uwaga koncentrowała się na dwóch kwestiach.

Kogo poszukiwała babcia Krysia? I co to była za pilna sprawa, o której nie chciała rozmawiać przez telefon — a o której powiedziała mu w zeszłą niedzielę, a więc w dniu swojej śmierci?

Rozmówca Karola miał śnieżnobiałą koszulę i czarny, żałobny krawat, a na

twarży wyraz fałszywego współczucia. Wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy — patrząc na niego, Karol uświadomił sobie, że ktoś z rodziny powinien odwiedzić prawdziwego przedsiębiorcę pogrzebowego i zorganizować pogrzeb. Na szczęście nie będzie to on. Od trudnych spraw zawsze była Laura.

— Czy ma pan jakieś pytania?

— Nie, panie dyrektorze. Wszystko jest jasne i klarowne.

— W takim razie czekam na pański ruch.

— Dziękuję za wyrozumiałość.

Dyrektor Biura Spraw Osobowych MSZ nie podał mu ręki. Takie zachowanie było usprawiedliwione pandemią, ale Karol był pewien, że nie chodziło tylko o przeciwdziałanie transmisji wirusa. Facet nim gardził. I nawet nie usiłował tego ukrywać. Skinął mu głową i wyszedł na korytarz gmachu przy alei Szucha. Mimo działającej pełną parą klimatyzacji był mokry jak mysz.

— Karolku! Dobrze cię widzieć! — Dla kontrastu z zimnym jak ryba dyrektorem Dominik Celmer uściskał go i wycałował z temperamentem południowca. Wprost trudno było uwierzyć, że na co dzień kieruje konsulatem w Birmingham, wśród flegmatycznych i skąpych w okazywaniu uczuć Brytyjczyków. Opanował się dopiero wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że Karol jest strzępem człowieka. — Wybacz. I przyjmij kondolencje. Gdy Luśka powiedziała nam, co się stało, nie mogliśmy uwierzyć. Wciąż nie możemy...

Mówiąc o Luśce, miał na myśli matkę Karola, Lucynę Woźniak-Lubecką. Byli zaprzyjaźnieni. Aktualnie spędzali razem wakacje — we czwórkę, częściowo w Warszawie, a częściowo na Suwalszczyźnie. Czwartym do brydza był mąż Lucyny, ambasador Marcel Lubecki.

— Co tu robisz?

— Składam wniosek o urlop naukowy. Nie, nie dla mnie. — Celmer roześmiał się, jakby to było zabawne. — Dla Amelii. Postanowiła dokończyć swój doktorat. W domu wciąż słyszę tylko o cichociemnych. To robi się nie do wytrzymania.

Amelia Celmer była jego żoną. Wychowała się na Wyspach, w rodzinie wojennych emigrantów. Jej dziadek zginął w drodze do Polski, w samolocie zestrzelonym przez niemieckiego messerschmitta. Amelia pisała o nim pracę na University of London, a dodatkowo — jak wiele małżonek dyplomatów — była na etacie w MSZ. W jej przypadku w charakterze pracownicy sekretariatu w konsulacie.

— Pozdrów ją.

— Sam to zrobisz. Widzimy się dzisiaj na obiedzie, u Lucynki. Mam nadzieję, że cię zaprosiła?

Skrzywił się komicznie, udając przerażenie, że popełnił gafę. Oczywiście nie było mowy o żadnej gafie — matka zapraszała Karola jeszcze wczoraj wieczorem, wkrótce po tym, jak wraz z Laurą odkryli zwłoki Rajzera. Miał ochotę się wykręcić, ale nie znalazł żadnej wymówki. Jego centrum życiowym był Rzym, w Warszawie był tylko gościem. Nie miał tu pilnych spraw, na które mógłby się powołać.

— Oczywiście, będę.

— Pojedziesz ze mną?

— Nie, dzięki. Muszę jeszcze...

Celmer ujął go pod rękę, tak jak potrafią to robić tylko dyplomaci, po czym powiódł korytarzem w kierunku Departamentu Azji i Pacyfiku. Tu było znacznie spokojniej. Gdyby nie ścierająca podłogę sprzątaczką, byłiby sami.

— To prawda, co mówią? — spytał, zasłaniając dyskretnie usta. — Chcą ci zrobić postępowanie?

Karol w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć.

— To wersja do pewnego stopnia wyolbrzymiona — powiedział wreszcie, czując na sobie badawcze spojrzenie. — Plotki i półprawdy.

— Nieuzasadnione wydatki ze służbowej karty kredytowej. Hotele, kolacyjki...

Zielone oczy Karola robiły się coraz większe. Skąd o tym wiedział?

— To nie do końca tak, jak mówisz — zaprotestował bez przekonania, a Celmer mrugnął okiem.

— Romanse się zdarzają. Ważne, żeby nie stracić głowy.

— Nie ma żadnego romansu. To naprawdę... zupełnie nie tak.

— Kiepsko kłamiesz, ale... niech ci będzie. Chcę, żebyś pamiętał, że jakby co... Wiesz, że możesz na nas liczyć, prawda? Na mnie i na Amelię.

Karol zrobił minę niewiniątka, ale wiedział, że to na nic. Celmer był dyplomatą, i to doświadczonym. Na kłamstwach znał się jak mało kto. Karol czuł się przy nim jak amator oceniany przez profesjonalistę.

— Poradzę sobie.

— Dobrze. Do zobaczenia na obiedzie.

— To naprawdę przejściowe problemy.

Był tak przekonujący, że prawie sam w to uwierzył. Uśmiechając się do Celmera, pomyślał o swojej irytująco doskonałej młodszej siostrze. Miał nadzieję, że Laura okaże się słowna. Potrzebował pożyczki. Najlepiej już dziś.

Lucyna Woźniak-Lubecka była o dwadzieścia pięć lat młodszą kopia swojej matki, ale podobieństwo ograniczało się do cech fizycznych. Poza wyglądem różniło je niemal wszystko. Krystyna Kalinowska była elegancką konserwatystką, miłośniczką starych kamienic i ciastek z kremem. Jej córka miała na ramieniu wytatuowane serce, przez wiele lat

żyła w wolnych związkach i nigdy nie gustowała w słodyczach, co w połączeniu ze zdrowym stylem życia pozwoliło jej zachować szczupłą, wysportowaną sylwetkę. W rodzinie krążyły legendy o jej hipisowskim wyjeździe zaraz po maturze. Opuściła wtedy dom rodzinny na ponad trzy miesiące, aby żyć — jak zwykła powtarzać — w zgodzie z naturą. Ustatkowała się dopiero kilka lat później, po urodzeniu Karola. Ale nie na długo. W przeciwieństwie do swej konserwatywnej matki nie znosiła starych kamienic — w Londynie wynajmowała apartament w nowoczesnej dzielnicy, a w Warszawie, podczas urlopu, dysponowała trypokojowym mieszkaniem w penthousie na Kabatach.

Karol nie był tu pierwszy raz, ale ekskluzywne wnętrze jak zwykle wprowadziło go w stan, w którym podziw walczył z zazdrością. Przepuścił Laurę w drzwiach wejściowych, a gdy przechodziła, cmoknął ją — w rzadkim przypływie braterskich uczuć — w policzek.

— Opanuj się, wariacie.

— Dzięki, siostrzyczko — szepnął, bo jego prośba o pożyczkę została spełniona.

Uzgodnili wszystko w windzie, w ciągu kilkunastu sekund.

Lucyna Woźniak-Lubecka nie zachowywała się jak ktoś, kto kilka dni wcześniej stracił matkę. W przeciwieństwie do cioci Moniki i wujka Jarka w jej ubiorze nie dominowała czerń. Kremowa garsonka odsłaniała świeżą opaleniznę i — jak zwykła mawiać babcia Krysia — ten nieszczęsny tatuaż.

— Dobrze wyglądasz, mamó. — Karol pochylił się i cmoknął ją w policzek.

— A ty fatalnie... Słyszałam, że nocami włączysz się po jakichś ogródkach działkowych. Laura, dobrze cię widzieć.

— Piękne mieszkanie, mamó.

— Miło, że wreszcie się do mnie pofatygowałaś.

Stosunki matki z córką od lat były napięte. Laura, która odziedziczyła konserwatyzm po babci Krysi, kiepsko zniosła rozwód rodziców, a potem emigrację matki na Wyspy. Była wtedy nastolatką, a to wiek, gdy zadaje się dużo pytań, a świat wydaje się czarno-biały.

— Co u ojca?

— Nic nowego — odparła, kierując te słowa zarówno do mamy, jak i Karola, który uświadomił sobie, że do tej pory nawet o niego nie zapytał.

— Żyje. Mamo, myślałam, że to będzie spotkanie rodzinne...

— Bo jest — mruknęła Lucyna, patrząc na córkę z wyrzutem. — Oni są dla mnie jak rodzina.

W ogromnym salonie, którego centralnym punktem była gigantyczna imitacja kominka, stało obok wujka i cioci małżeństwo Celmerów. Dominik podszedł do Laury, ukłonił się i przedstawił.

— Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się, gdy odwiedzałaś mamę w Londynie, kilka lat temu. Słyszałem, że robisz karierę. Gratuluję i... przyjmij, proszę, kondolencje.

— Dziękuję.

Amelia Celmer była kilka lat młodsza od męża. Zbliżała się pewnie do czterdziestki, ale gdy stanęła obok Laury, Karol odniósł wrażenie, że wyglądają jak rówieśniczki. Miały podobne uśmiechy — ciepłe, ale jednocześnie trochę nieśmiałe.

— Bardzo mi przykro.

— Dzięki.

— Ja też niedawno straciłam babcię...

Gospodyni przerwała tę wymianę zdań. Jak na żonę ambasadora, zrobiła to dość obcesowo.

— Dajcie już spokój z tymi kondolencjami. Życie idzie naprzód.



Wszystko się kiedyś kończy. A jak się kończy, to trzeba zorganizować pogrzeb... I żyć dalej. Chcesz coś dodać?

Ciotka Monika popatrzyła na nią z wyrzutem, ale nie odważyła się odezwać. Lucyna miała tylko jedną przypadłość, którą dzieliła ze swoją mamą. Obie serdecznie nie znosiły swojej — odpowiednio — synowej i szwagierki. Zgodnie dawały jej to odczuć. Monika Kalinowska znajdowała się na ich czarnej liście.

— W kwestii pogrzebu... — zaczął wujek Jarek, ale pod wpływem spojrzenia Lucyny od razu umilkł.

Mógł być przebojowym biznesmenem, ale w rodzinie od zawsze uznawał prymat swojej siostry. Karol miał nadzieję, że on sam nie jest aż tak uległy wobec Laury. Choć w pierwszej chwili sprawiała wrażenie nieśmiałego podlotka, młodsza siostra też miała silną osobowość.

— Kochani, usiądźmy teraz do stołu. Z tym pogrzebem sprawa jest trochę bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać, ale... zaraz sobie wszystko omówimy. A tymczasem... Marcel ustrzelił przedwczoraj dzika. Wiem, że niektórzy z nas są eko — zmierzyła swoją córkę ciężkim spojrzeniem — ale uwierzcie, że nie ma nic lepszego od świeżej dziczyzny. Jadłaś kiedyś dzika, kochanie?

— Wolałabym nie — odparła Amelia Celmer. Choć była z pochodzenia Polką, w jej głosie pobrzmiwał akcent brytyjski. — Dziki są takie śmieszne.

Lucyna westchnęła z udawaną rezygnacją.

— No dobrze. Siadaj w takim razie obok Laury. Dostaniecie ziemniaki i surówkę.

Wbrew tej groźbie potraw było tak wiele, że każdy mógł wybierać do woli. Karol obok plastra dziczyzny włożył sobie na talerz filetowanego pstrąga i kopę talarków ziemniaczanych. Uwielbiał jeść — wyrazem tej

pasji był odznaczający się nad paskiem brzuch, ale mama... Jak to mama. Wciąż podsuwała mu kolejne przysmaki — a to sałatkę śledziową, a to marynowane grzybki, a to sałatkę krabową... Catering spisał się wyśmienicie.

— Dość, bo pęknę.

Wytań usta serwetką, a potem nachylił się do siedzącej obok mamy. Z głośników wypasionego sprzętu grającego, którego wygląd budził skojarzenia z marsjańskim łazikiem, sączyła się muzyka Chopina, a z przeciwnej strony masywnego stołu — słowa kolejnej anegdoty wujka Jarka.

— A może spróbujesz jeszcze...

— Nie, mam. Dziękuję. Powiedz, czy znasz kogoś o nazwisku Pietrzyk?

Z dźwięków w tle pozostał tylko Chopin. Anegdota wujka Jarka urwała się w pół słowa. Wszyscy odwrócili głowy — z wyjątkiem Laury, która nie bacząc na to, że znajduje się w środowisku dyplomatów, sprawdzała coś w telefonie. Matka niespodziewanie się zaśmiała, zakrywając dłonią usta.

— Chcesz, żebym się udławiła? Przecież mój szanowny brat pytał mnie o to już chyba cztery razy. Gdybym coś wiedziała, przywiązałby mnie do krzesła, podłączył do akumulatora...

— Ależ Lucynko!

— ...i dokumentnie przesłuchał. No co, Jareczku, nie byłoby tak? Ale na szczęście nie znam żadnego Pietrzyka i nigdy nie słyszałam o tej jego firmie poszukiwawczej.

— Czy babcia mogła kogoś szukać?

Uśmiech na twarzy mamy nieco przybladł. Trwało to ułamek sekundy, ale Karol znał ją zbyt dobrze, by to przegapić.

— Nie mam pojęcia.

— Mamo...

— Naprawdę — ucięła, a potem w jej głosie pojawiło się lekceważenie.

— Tak wam zależy na tym, żeby poznać tego Pietrzyka? Poznacie go, nie ma obawy. Gdy się dowie, że babcia zapisała mu fortunę, sam do was przybiegnie.

— O ile to rzeczywiście będzie fortuna — zauważył przytomnie wujek Jarek, otrzymując w zamian lekceważące prychnięcie.

No tak, matka mogła mieć to gdzieś. I tak nie chciała tego spadku. Jeśli kogoś stać było na takie apartamenty, to spadek po babci wiązał się tylko z niepotrzebnym zawracaniem głowy.

— Jest jeszcze mieszkanie — zaczął Karol, ale nikt nie podjął tematu.

Przy stole zapadła cisza przerywana tylko akordami Chopina i szczękiem sztućców. Laura, która wreszcie odłożyła telefon, rozejrzała się po salonie, napotykając spojrzenie matki.

— Poznamy go wreszcie?

— Kogo?

— Twojego wybranka. Myślisz, że nie wiem, z kim tak korespondowałeś? — Wskazała na komórkę, która w tym samym momencie zawibrowała. — Umiem w tobie czytać jak w otwartej księdze. Jak ma na imię? No śmiało, odpisz mu.

Laura zachowała olimpijski spokój.

— To czat służbowy...

— Akurat. Znam tę minę, w końcu jestem twoją matką.

— O co chodzi z tym pogrzebem?

Lucyna jeszcze przez chwilę mierzyła córkę wzrokiem, dając do zrozumienia, że próba zmiany tematu spełzła na niczym. Nieoczekiwanie w sukurs Laurze przyszła Amelia, najwyraźniej zakłopotana tym wypytywaniem.

— Chcielibyśmy z Dominikiem zostać w Polsce do dnia pogrzebu. Czy ustalono już datę?

Lucyna Woźniak-Lubecka pokręciła z niesmakiem głową. Ten niesmak nie dotyczył pytania, tylko — jak się okazało — nieoczekiwanych trudności.

— Nasze rodzinne groby znajdują się na cmentarzu Powązkowskim — powiedziała, zwracając się do Amelii i jej męża. — Zadzwoiłam dziś do kancelarii. W księdze wieczystej grobu... tak, jest coś takiego... grobu ojca znajduje się podobno oświadczenie mojej matki. Z tego oświadczenia wynika, że nie chciała, by ją tam chowano.

— Dlaczego? — W głosie Celmera pobrzmiwały nuty szczerego zdziwienia.

— Tego nie zdradziła, ale przypuszczam, że ma to związek z osobą, która leży w tym grobie. Jedyńm, że się tak wyrażę, lokatorem, czyli jej mężem, Julianem. Matka szczerze go nienawidziła.

Dominik Celmer wyraźnie się stropił.

— Przepraszam, to rodzinne sprawy. Nie chciałem być wścibski.

— Nie sprawy, tylko brudy — zaoponowała Lucyna. — Mój ojciec był człowiekiem... Powiedzmy, że rozrywkowym. Matka nie umiała mu wybaczyć.

Karol słuchał jej słów z nieudawaną ciekawością. Julian Kalinowski był dla niego zagadką. Przez kilka lat spał w jego łóżku i mijał poświęconą mu tablicę pamiątkową, ale prawie nic o nim nie wiedział. Znał tylko przyczynę śmierci, a przynajmniej tak mu się wydawało.

— Dziadek lubił sobie wypić, prawda? — spytał ostrożnie, nie mogąc przyzwyczać się do tego, że tak swobodnie o tym rozmawiają.

Za życia babci wszystko, co dotyczyło jej zmarłego męża, było tematem tabu.

— To też. Przede wszystkim lubił kobiety.

Przywołał z pamięci wizerunek przodka ze zdjęcia w rodzinnym albumie. Dziadek Julian zawsze wydawał mu się postacią pomnikową. Jako dzieciak lubił bawić się jego fajkami. W mieszkaniu babci było ich kilkanaście.

— Zdradzał babcię? — zapytał z niedowierzaniem, nic sobie nie robiąc z zakłopotania Celmera.

Dyplomata czuł się niezręcznie, ale przecież rodzinne sekrety małżonków Kalinowskich miały już długą, siwą brodę. Nie mogły też nikomu zaszkodzić. Ani nikogo zranić. Najwyraźniej Lucyna była tego samego zdania, bo pospieszyła z odpowiedzią:

— Podejrzewam, że ją zdradzał, i to wielokrotnie. Wasza babcia nigdy się nie skarżyła, ale żyli jak pies z kotem. Po jego śmierci ta niechęć jeszcze się nasiliła. Mam rację?

Wujek Jarek, do którego się zwróciła, pokiwał głową.

— Nie była nawet na jego pogrzebie. Twierdziła, że źle się czuje, że przytłacza ją żal... Wtedy w to wierzyłem, ale z biegiem lat zrozumiałem, jak było naprawdę. Nigdy nie chodziła na jego grób. W Święto Zmarłych odwiedzała na Powązkach tylko swoich rodziców, a jego kwaterę omijała. Szerokim łukiem.

Dla Karola była to nowość. Przywołał z pamięci wspomnienia swoich wizyt na grobie dziadka. Rzeczywiście, w tych wspomnieniach babcia nie pojawiała się ani razu. Zawsze zostawała gdzieś z tyłu. Unikała tego grobu jak zarazy.

Nic dziwnego, że nie chciała w nim leżeć.

— Jak umarł? — spytała nieśmiało Laura.

Matka spojrzała na nią z wahaniem. Karol odniósł wrażenie, że wciąż traktuje Laurę jak dziewczynkę.

— Nie wiesz?

— Zawsze mówiło się, że to był wypadek. Czy dziadek popełnił... samobójstwo?

Lucyna pokręciła niepewnie głową.

— Wiem, że tamtego dnia był pijany. To było lato. Byliśmy wtedy w Zakopanem: ja, ty, synku, i twój ojciec. Laury nie było wtedy jeszcze nawet w planach. Wujek z kolei był w Anglii. Nie wiemy, co tak naprawdę się tam stało.

— Jak to: nie wiecie? — prychnął Karol. — Przecież chodziło o waszego ojca...

— Nie widziałam nawet jego ciała. Gdy wróciliśmy, było już zamknięte w trumnie. Matka nie chciała nic powiedzieć. Twierdziła, że porozmawia z nami, gdy opadnie kurz. Użyła właśnie takich słów, prawda?

Wujek Jarek potwierdził, a potem z zakłopotaniem podrapał się po głowie.

— Wtedy myślałem, że próbuje oszczędzić nam bólu. Mieliśmy z Monią wziąć ślub. Matka nie pochwałała co prawda tego kroku. Uważała, że do siebie nie pasujemy, ale ostatecznie stwierdziła, że nie będzie się wtrącać. Chociaż mogła. Miała przecież doskonały argument, by nam przeszkodzić. Żałobę po ojcu. Pobraliśmy się dwa miesiące po pogrzebie, w tym romantycznym górskim kościółku. Nie była zachwycona samym ślubem, ale nigdy nie wypominała mi, że na weselu była muzyka i tańce. Chciała, żebym był szczęśliwy...

— I nigdy nie powiedziała wam, jak to się stało?

Wujek Jarek i matka zgodnie pokręcili głowami.

— Zналиśmy tylko plotki. Bardzo różne. I wiedzieliśmy, że śmiercią naszego ojca interesowała się policja... To znaczy milicja.

— Dziadek zmarł w swojej sypialni, prawda? — wtrącił Karol. — Tak

mówili koledzy z podwórka. Gdy o tym usłyszałem, przez kilka dni kiepsko spałem...

— Umarł tam, gdzie babcia. Trochę to niesamowite, co? Dzisiaj też tam spałeś...

Karol wzruszył ramionami. Z wiekiem okrzepł. Nie bał się już duchów.

— Mamo, wspomniałaś o plotkach... Co masz na myśli?

Lucyna spojrzała na brata.

— Pamiętasz, Jareczku? Jedna sąsiadka twierdziła, że ojca zabiła matka, za niewierność. Mówiło się też o samobójstwie. — Przeniosła wzrok na Karola, a potem na Laurę. — Wasz ojciec usłyszał gdzieś, że Julian podciął sobie żyły czy też gardło... Nie pamiętam. Pokazywał nawet plamę na dywanie, ale to mogło być cokolwiek: krew, ale też sok albo kawa...

— Stara Semeniukowa utrzymywała, że w dniu, w którym umarł, czuła gaz — dodał wujek Jarek. — Ale nie wiem, czy można jej ufać. Miała wtedy ponad dziewięćdziesiąt lat.

— Ja zawsze uważałam, że to był nieszczęśliwy wypadek spowodowany alkoholem. Mój ojciec był twardzielem. Budowniczym Filtrów i ich dyrektorem, a nie jakimś neurastenikiem. Nie wierzę, że popełnił samobójstwo. A ty, Moniu?

Ciocia Monika spojrzała na Lucynę niechętnie. To, że rozprawiali o śmierci z taką swobodą, jakby dyskutowali o pogodzie, musiało obrażać jej poczucie dobrego smaku. Była od nich wrażliwsza i chyba — jak mimochodem stwierdził Karol — normalniejsza.

— Słabo go znałam — stwierdziła. — Wiem tylko, że twoja mama, Lucynko, bardzo przez niego cierpiała. Chyba bardziej za życia niż po śmierci.

— Masz na myśli jego... nieobyčajność?

— Wiem, że o zmarłych nie można mówić źle, ale on był dla niej niczym

Swidrygajłow.

W jej nawiązaniach do literatury — w tym przypadku do Dostojewskiego — było coś pretensjonalnego, ale Lucyna nie zdążyła jej dociąć. Na ratunek żonie ruszył wujek Jarek, król anegdot.

— Na temat śmierci waszego dziadka Juliana krążyła jeszcze jedna plotka. Nie pamiętam, od kogo ją słyszałem, ale to ma znaczenie drugorzędne. Otóż plotka głosiła, że dziadek wcale nie umarł. Że do grobu włożono pustą trumnę.

Uśmiechał się. Karolowi wcale nie było do śmiechu, ale gdy zerknął na siostrę, na chwilę zapomniał o problemach i też się wyszczerzył. Laura miała poważną minę i bezwiednie przygryzała wargę. Zawsze bała się takich historii. W dawnych czasach uwielbiał ją straszyć.

Była zbyt przerażona, by ubrać w słowa to, o czym pomyślała. Niespodziewanie wyręczyła ją Amelia Celmer.

— Biuro poszukiwań osób zaginionych. I mąż, który zniknął w tajemniczych okolicznościach, wiele lat temu... — Potoczyła wzrokiem wokół stołu, zatrzymując spojrzenie na wyraźnie poruszonej Laurze. — Czy ma to sens?

Ktoś mógłby uznać, że związki na odległość mają swoje zalety, ale Laura nie dostrzegała żadnych. Tęskniła tak, że aż kłuło ją w brzuchu.

— Zazdroszczę ci, wiesz?

— Chcesz posłuchać morza?

W słuchawce rozległ się szum. Przymknęła oczy, wyobrażając sobie rajską plażę, ale wewnętrzny głos podpowiadał jej, że rzeczywistość nie jest aż tak piękna.

— Plaża jest kamienista?

— Same kamienie. Właściwie trudno to nawet nazwać plażą.



— A woda?

— Ma z dziesięć stopni. Najwyżej.

Miejscowość, z której dzwonił, można było znaleźć tylko na najdokładniejszych mapach. Znajdowała się na północy Norwegii, daleko za kołem polarnym. Praca architekta nie polegała wyłącznie na sporządzaniu planów. Równie ważne było poszukiwanie inspiracji.

— Da się tam do ciebie dolecieć?

— Nie wiem. Przywieźli nas tu kutrem, który przypomina łódź wikingów.

— Dużo tam was?

— Kilka osób. Mój zespół. Ten sam, co zawsze.

Wiedziała, że w skład zespołu wchodzi także kobiety, w tym obłudnie seksowna Szwedka, ale starała się nie okazywać zazdrości. Związki powinny być oparte na zaufaniu — powtarzała to sobie tak często, że stało się to jej życiowym mottem. Ale i tak odczuwała niepokój. Miłość na odległość... Co za kanał.

— Pożyczyłam dziś bratu kupę kasy.

— Kupę... czyli ile?

— Sto tysięcy — skłamała, bo tak naprawdę było tego prawie dwa razy więcej.

— Euro?

— Nie. Nie jestem aż tak bogata. Złotych.

— To tylko pieniądze.

Stosunek do pieniędzy miał lekceważący. Nigdy mu ich nie brakowało, zarabiał jeszcze więcej niż ona. W zimie, gdy wirus na chwilę odpuścił, zabrał ją do Wenecji wycarterowanym samolotem. Na kolację. Spędzili na miejscu tylko kilka godzin, z tego przynajmniej połowę na lotnisku. Taka wycieczka musiała kosztować, ale gdy o tym napomknęła, pocałował ją

i stwierdził, że ten pocałunek był wart wszystkich pieniędzy świata. Tandetne? Trochę tak. Ale i bardzo miłe.

Odgłos fal chłoszczących niegościnne wybrzeże przybrał na sile. Słyszała teraz co drugie słowo, a potem nagle nastąpiła cisza. Uprzedzał ją, że ma słaby zasięg. Podniosła się z parkowej ławki i wtedy zauważyła Olę. Dziewczyna patrzyła na nią z odległości kilkunastu metrów, z alejki wiodącej w kierunku kamienicy, w której mieszkała babcia. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Na chwilę klapnęła na ławkę i rozmasowała opaloną łydkę.

— Myślałam, że pani już nie skończy.

— Czekalaś na mnie?

— Na kogokolwiek. — Wstała i poprawiła ramiączko. Jej strój był minimalistyczny: top z odkrytym brzuchem i krótka spódniczka. — Chciałam odebrać swoje rzeczy, a ktoś zamknął drzwi na dolny zamek. Z kim pani tak ćwierkała? Pewnie z narzeczoną?

— Z chłopakiem — sprostowała Laura. — I daj, proszę, spokój z tą panią. Nie jestem aż tak stara.

Widziały się dotąd trzy lub cztery razy, ostatnio w okolicach weekendu majowego, ale nigdy nie rozmawiały. Funkcjonowały w zupełnie innych światach. Ola, którą ciocia z wujkiem zatrudnili do opieki nad babcią na czas pandemii, była od Laury o kilka lat starsza, ale w jej wypadku wiek był tylko liczbą, bo ubierała się i zachowywała jak dwudziestolatka. Pochodziła z północno-wschodniej Polski. Kilka lat temu opuściła rodzinną miejscowość w poszukiwaniu pracy, której na miejscu niestety brakowało. Z tego, co powiedziała babcia, wynikało, że pracowała jako au pair, najpierw w Niemczech, a potem w Wielkiej Brytanii. Mimo pewnych deficytów w wychowaniu, które babcia nazywała nieokrzesaniem, jej zatrudnienie okazało się strzałem w dziesiątkę. Babcia, która w pierwszej

chwili nie chciała słyszeć o opiekunce, szybko ją polubiła — i to tak bardzo, że zapisała jej część swojego majątku. Laura była ciekawa, czy dziewczyna w ogóle o tym wie.

— Kiedy wróciłaś?

— Wczoraj. Chciałam wcześniej, ale miałam kłopot z chłopakiem. Trzeba się było nim zająć, bo na meczu dostał w mazak.

Laurę korciło, by dopytać, którego z chłopaków ma na myśli, ale uznała to za zbyt obcesowe. Wokół Oli kręciło się kilku wielbicieli. Można było o niej powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że hołduje monogamii. Tak w każdym razie twierdziła babcia i chyba rzeczywiście coś w tym było, bo nawet teraz, gdy szły w kierunku przyparkowej zabudowy, dziewczyna strzeliła wzrokiem w kierunku jakiegoś młodego tatusia z wózkiem. Mało brakowało, a wjechałby nim w drzewo.

— Gdzie się zatrzymałaś?

— U kumpeli. Ale byłam u niej tylko chwilę, żeby się zdrzemnąć. Większość czasu spędziłam na psach.

Laura doszła do wniosku, że przydałby jej się słownik więziennego slangu.

— Mówisz o policji, tak?

Na potwierdzenie strzeliła balonem z gumy do żucia.

— Wypyтали mnie tak dokładnie, że myślałam, że spytają też o rozmiar tamponów, ale poprzestali na marce kremu do rąk...

— Mnie też pytali o ten krem. A potem wzięli odciski palców.

Ola machnęła nogą, płosząc wygrzewającego się w piachu gołębia.

— Ode mnie nie brali. Byłam już w bazie.

Nie przerywając marszu, wyciągnęła przed siebie dłoń, oglądając opuszki palców. Miała zniszczone dłonie, a za paznokciami — półksiężycy żałoby. Gdyby o siebie zadbała, mogłaby zostać modelką.

— Jak tam trafiłaś?

— Do bazy? — Wypluła gumę, trafiając do mijanego kosza na śmieci. — Błędy młodości. Popatrz, to ta stara lampucera. Od rana mi się przygląda...

Miała na myśli panią Sobecką, która przysiadła na swojej ulubionej ławeczce, przy wejściu do klatki. Laura też za nią nie przepadała, ale w przeciwieństwie do Oli już z daleka pozdrowiła kobietę przyjaznym „dzień dobry”. Miała do niej interes, ale to mogło poczekać.

— Napijesz się ze mną kawy?

— Jak chcesz, to mogę — odparła Ola bez entuzjazmu.

Gdy znalazły się w mieszkaniu babci, Laura włączyła ekspres i przeszła w głąb mieszkania, za opiekunką. Ola zajmowała najmniejszy z pokoi, który kiedyś, przed laty, należał do niej. Babcia pozostawiła stary wystrój. Nad biurkiem, przy którym Laura odrabiała lekcje, wciąż wisiał stary plakat Metalliki.

— Czy babci w ostatnich miesiącach coś dolegało?

Ola zamknęła szafę. Cały jej dobytek zmieścił się w jednej średniej wielkości torbie.

— Tylko starość — odparła. — Ale jak na wiek trzymała się całkiem nieźle.

— Jak myślisz, kto to mógł zrobić?

Opiekunka nie była wdzięcznym rozmówcą. Piła kawę z taką miną, jakby to była cykuta, traktując śmierć staruszki niczym temat tabu. Każde słowo trzeba było z niej wyciągać bez mała obcęgami. Gdy Laura zadała jej pytanie o Pietrzyka, przez chwilę się zastanawiała.

— Chyba słyszałam to nazwisko... Ale nie pamiętam kiedy i gdzie...

Gdy dopiły kawę, Laura zabrała ją do pokoju, w którym zamordowano babcię. Ola porzuciła na moment swoją obojętność, ale stan ten nie trwał długo.

— Szkoda, że tak się stało — mruknęła, patrząc na podłogę, z której Laura ścierała kilka dni temu krople zaschniętej krwi. — Dobrze mi tu było. Prawie pozbyłam się długów...

Zachowywała się, jakby nie miała uczuć, ale wszystko zmieniło się przy pożegnaniu, gdy Laura wspomniała jej o zapisie w testamencie. Ola niespodziewanie zaczęła walczyć ze łzami, które napłynęły jej do oczu.

— Pani Krysia... postanowiła mi coś dać? Ile?

Odpowiedź, że na razie nie wiadomo, spowodowała, że łzy pociekły ciurkiem.

— Czy moja babcia została okradziona?

Ola wtuliła się w Laurę, brudząc jej bluzkę rozmazanym tuszem do rzęs.

— Nie wiem — łkała, drżąc jak osika. — Myślałam, że jest... bardzo... bogata. A ja tak bardzo... potrzebuję kasy. Nie zapłacili mi za ostatni miesiąc...

Laura łagodnie, acz stanowczo wyswobodziła się z uścisku. Była wściekła, bo to, co wzięła za wyczekiwany przejaw wrażliwości, okazało się jedynie tanią gierką dla własnego interesu. Ola z pewnością nie była zabójczynią, bo w końcu policja miała sposoby, by sprawdzić, czy rzeczywiście przebywała w tych swoich Sejnach w dniu śmierci babci... Ale na pewno była egoistką. Wyrachowaną i zepsutą do szpiku kości.

— Ile jesteśmy ci winni? — Laura zadała to pytanie zimnym tonem, wyjmując z torebki notes.

— Dwa tysiące.

— Wpisz tu numer konta.

Patrząc, jak opiekunka przepisuje z telefonu długi rząd cyfr, uświadomiła sobie, że jak tak dalej pójdzie, zostanie bankrutką. Ale jej myśli nie zatrzymały się na długo przy pieniądzach. Myślała o wujku i ciotce.

Jak mogli zatrudnić do opieki nad babcią kogoś tak zepsutego?

Pani Sobecka siedziała w tym samym miejscu — na wąskiej ławeczce na lewo od wejścia na klatkę, w cieniu rozrośniętego krzaka bzu. Laura ze zdziwieniem spostrzegła, że nagie stopy kobiety spoczywają w misce wypełnionej wodą.

— Upał, prawda?

— Oj, tak. — Sąsiadka babci poruszyła nogami, rozbryzgując trochę wody po asfalcie. — Oj, tak.

Miała zwieszoną głowę. Wpatrywała się w mokry asfalt, wyłamując nerwowo palce.

— Pani Klementyno, czy źle się pani czuje?

Drgnęła, jakby dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę z towarzystwa.

— Ach, to ty... Wiesz, wciąż nie mogę się otrząsnąć. Byłam ostatnią osobą, która widziała ją żywą. Oprócz mordercy.

— Skąd pani wie, że ostatnią?

— Pytałam. Potem już nikt jej nie widział. Pożegnałyśmy się około jedenastej. W niedzielę. Ja zostałam u siebie, na parterze, a ona poszła na piętro... Od chwili, gdy się dowiedziałam, zamykam drzwi na wszystkie zamki. Słuchasz mnie?

Laura uśmiechnęła się ze skrucą.

— Przepraszam. Odwiedziłam babcię dzień wcześniej, w sobotę. Przyniosłam jej ćwiartkę tortu urodzinowego mojej mamy. Myślałam, że to ja byłam ostatnią osobą, która widziała ją żywą. Mówiła, że źle znosi upały. Nie sądziłam, że wybierze się na spacer.

— Nie wiem, czy to był spacer. Przyjechała tramwajem. Nie zapytałam, skąd wraca. Wydawała się przybita. No i patrzyła na tablicę Juliana z jeszcze większą wrogością niż zazwyczaj.

Laura przyszła tu, żeby porozmawiać właśnie o swym dziadku. To był

dobry moment, by o niego zapytać.

— Babcia niewiele o nim mówiła. Dlaczego?

— Bo nie był dobrym mężem. Mój Kazik też nie był aniołem, ale nigdy bym się nie zamieniła.

Zważywszy na to, że mąż Sobeckiej był agresywnym alkoholikiem, jej opinia o Julianie musiała być naprawdę kiepska.

— Słyszałam, że był babiarzem...

— Łagodnie mówiąc. Tracił głowę dla każdej, która na niego spojrzała, a z wiekiem było tylko gorzej. Szczególnie gustował w tych młodziutkich.

— Jak bardzo... młodziutkich?

— Kiedyś uganiał się za uczennicą Krysi. Maturzystką.

Laura odetchnęła z ulgą. Przykro byłoby się dowiedzieć, że miała w rodzinie pedofila. Afekt do dziewiętnastolatki nie miał z pedofilią nic wspólnego. Dziadek był co najwyżej starym satyrem — i to tylko pod warunkiem, że Sobecka mówiła prawdę, co wcale nie było takie pewne. Miała skłonności do konfabulacji i — jak utrzymywała babcia — lubiła mącić.

— Jak umarł?

Sobecka podniosła się z ławki, rozchlapując resztę wody. Nie zawracała sobie głowy wkładaniem kłapek. Podreptała na bosaka w kierunku klatki.

— O takich sprawach trudno rozmawiać bez kieliszka nalewki — stwierdziła, widząc zaskoczenie Laury. — Chodź ze mną. Wszystko ci opowiem. Ze szczegółami. Od nikogo nie usłyszysz takich szczegółów.

Słowa staruszki brzmiały obiecująco, ale przede wszystkim zagadkowo. Wynikało z nich, że ze śmiercią dziadka rzeczywiście było coś nie tak.

— W domu mówiło się zawsze, że to był wypadek...

— To na pewno nie był wypadek.

Mieszkanie Sobeckiej wyglądało tak, jakby czas zatrzymał się w połowie

lat osiemdziesiątych. Na ścianach wisały białobłękitne talerze, czyli tak zwany fajans włocławski. Stała tu meblościanka, pod nią wyliniałe fotele, a podłogę tworzyły płytki ciemnozielonego PCW przykryte wyblakłym dywanem z wystrzępionymi frędzlami. Dwie półki meblościanki zajęte były w całości przez kolekcję połyskujących kieliszków. Sobecka wybrała dwa, wyjątkowo wzorzyste, a potem otworzyła barek. Jego zawartość, w odróżnieniu od innych elementów wystroju, była względnie nowa — miała nie więcej niż kilkanaście lat. Wcześniej ze wszystkimi butelkami rozprawiał się jej mąż Kazik, milicjant, który — jak twierdziła babcia Krysia — na krótko przed śmiercią nie gardził nawet denaturatem.

— Ja tylko odrobinę.

— Oczywiście, kochana. — Sobecka napełniła kieliszek po same brzegi.  
— To samo zdrowie. Z pigwy, z przepisu mojego taty.

Laura nie lubiła alkoholu, ale nie widziała sposobu, jak się wykręcić. W niektórych aspektach życia wciąż brakowało jej asertywności. Wstrzymała oddech i przełknęła odrobinę gryzącej cieczy. Zapiekło ją w gardle.

— Bardzo dobre... To jak to było z tym moim dziadkiem?

Sobecka mlasnęła, wławszy w siebie pół kieliszka, a potem opadła na stary fotel. W powietrzu zawirowały drobinki kurzu.

— Mój Kazik... pewnie wiesz, że pracował w komisariacie na Filtrowej. Tamtego dnia, a było to w lipcu, tak samo upalnym jak ten... otrzymał wezwanie do naszej kamienicy. Chyba wyobrażasz sobie, jak się zdenerwował. Gdy dotarł na miejsce, przed wejściem stała karetka, ale nie była potrzebna. Julian nie żył już od kilku dni. Był tak nadpsuty, że można było się porzygać.

Laura przypomniała sobie ciało babci i przełknęła ślinę. Po covidzie



wciąż nie odzyskała węchu, ale wzrok miała sprawny. Babcia była obrzmiała, jakby spuchnięta. Też musiała wydzielać nieprzyjemną woń...

— Gdzie była wtedy babcia?

— Na koloniach. Była opiekunką. Traf chciał, że wróciła właśnie tamtego dnia. Nic nie wiedziała. Gdy zobaczyła, co się stało, dostała ataku... Musieli jej zrobić zastrzyk. Pogotowie na coś się jednak przydało...

— W jaki sposób zginął? To było samobójstwo?

Sobecka nie odpowiedziała na jej pytanie. W każdym razie nie bezpośrednio.

— W mieszkaniu znaleziono włosy kobiety. Powyrywane, jakby ktoś ją szarpał. A także ślady po libacji. I nóż. W ciele twojego dziadka.

— Dziadek pchnął się nożem?!

— Byłoby mu trudno. Nóż miał wbity w plecy, między łopatkami. To był zwykły, domowy nóż, do krojenia mięsa...

— Dziadka ktoś... zamordował?!

Sobecka niespodziewanie się rozpromieniła.

— Mówiłam ci, że nikt nie powie ci o tym więcej niż ja. Kazik miał na tym punkcie coś na kształt obsesji. Nie prowadził śledztwa, był zwykłym krawężnikiem... Ale zadawał pytania. I wyciągał wnioski. W libacji w mieszkaniu Juliana uczestniczył jeszcze jeden mężczyzna. Alkohol lał się strumieniami, prawdopodobnie zaprosili jakieś kobiety... może prostytutki, choć nikt niczego nie widział. I doszło do kłótni. Twój dziadek został zabity.

Laura przechyliła kieliszek. Tym razem nie poczuła pieczenia, tylko przyjemne ciepło. Była w szoku.

— Kim był ten mężczyzna?

Sobecka wstała i przez chwilę szukała czegoś w szufladzie biurka.

Wróciła, ściskając w starczej dłoni poźółkłą kartkę pokrytą wyblakłym drukiem i gdzieniegdzie fioletowym tuszem. Laura czekała bez ruchu, nawet nie mrugając.

— To kopia postanowienia o zatrzymaniu. Zrobiona przez kalkę. Kazik gwizdnął ją z akt śledztwa, oczywiście wtedy, gdy już dawno było zamknięte. Przeczytaj, bo ja słabo widzę.

Dokument był ledwie czytelny, a miejsca, w których szablon uzupełniono przez kalkę danymi zatrzymanego, wydały się Laurze najmniej wyraźne. Przez chwilę wysilała wzrok i wyobraźnię.

— Alfred Warszawski?

Sobecka pokiwała głową.

— Jakoś tak. Trafił do więzienia, na wiele lat.

— Babcia o nim wiedziała?

— Chyba nie chciała wiedzieć. Gdy próbowałam z nią rozmawiać, powiedzieć jej o tym, czego po latach dowiedział się Kazik, kazała mi pilnować własnego nosa. I nie odzywała się do mnie przez kilka miesięcy, a przecież ja... Ja nie miałam złych intencji. Współczułam jej, bo jednak mąż to mąż.

Laura czuła się tak, jakby ktoś walnął ją kijem w czubek głowy. Była oszołomiona, ale to wcale nie był koniec.

— Krysia zachowywała się tak, jakby to nie był jej mąż. Jakby w jej mieszkaniu zginął obcy facet. Podobno odmówiła formalnej identyfikacji. Nie założyła żałoby. Nie przełożyła obrączki na lewą rękę. A gdy Filtry ufundowały tablicę pamiątkową, poszła do dyrekcji i prosiła, żeby ją zdjąć.

Serce Laury uderzało coraz szybciej.

— A może to rzeczywiście nie był dziadek Julian?

— Co ty mówisz, dziecko? Przecież Kazik go widział, tam,

w mieszkaniu, z nożem... Poznał go. Mówił co prawda, że śmierć zniekształca rysy, ale...

— Mówił, że śmierć zniekształca rysy?!

Sobecka sięgnęła po nalewkę i napełniła kieliszki.

— Coś w tym guście. Powiedział, że to był on... A jakby nie on.

Laura wypijała swoją porcję na jeden raz. Czy to możliwe, by w mieszkaniu zamordowano kogoś podobnego do dziadka, a dziadek — z niewiadomych przyczyn — postanowił zapaść się pod ziemię? Taka mistyfikacja była mało prawdopodobna, ale teraz, po latach... Nie dało się jej wykluczyć.

Laura miała ochotę przetrzeć oczy. Im dłużej przyglądała się fotografii, tym bardziej dostrzegała podobieństwo. Dziadek Julian, którego nigdy nie poznała, bo przecież zmarł kilka lat przed jej narodzinami, był starszą wersją jej nicponiowatego braciszka. Obaj mieli to samo zawadiackie spojrzenie i mocno zarysowaną szczękę. Choć zdjęcie nagrobkowe było czarno-białe — a może brązowo-białe — to była gotowa się założyć, że zgadzał się także kolor oczu. Czyli intensywna zieleń, pełna zagadkowych iskierek.

Wyglądało na to, że podobieństwo nie ograniczało się do cech fizycznych. Obaj byli niepoprawnymi kobieciarzami.

Rozrywkową naturę Karola znała z autopsji. Od kiedy pamiętała, zawsze otaczały go dziewczyny. Na licealnych potańcówkach był królem parkietu, a z jego pokoju, gdy w mieszkaniu nie było babci, często dochodziły pełne emocji szepty, gardłowe chichoty i inne odgłosy, które sprawiały, że na jej nastoletniej twarzy pojawiał się rumieniec. W ciągu ostatnich lat starała się wierzyć, że po tym, jak ożenił się z Sabiną, inne kobiety przestały dla niego istnieć, ale teraz miała poważne wątpliwości. Te prośby o pożyczkę, to

spłoszone spojrzenie... Miała nadzieję, że geny dziadka Juliana nie okazały się aż tak silne, by zmienić go we wiarołomnego lowelasa. Spojrzała na nagrobne zdjęcie, tym razem z obrzydzeniem i niechęcią. Ze słów i wymownych przemilczeń matki wynikało, że dziadek Julian regularnie zdradzał babcię. Laura nie była tolerancyjna, nie w tej sprawie. Nie znosiła takich mężczyzn. Dziadek Julian znalazł się na jej czarnej liście. Ale mimo to, a może właśnie dlatego, nie umiała przestać o nim myśleć.

Czy to możliwe, że dziadek Julian, zniewolony małżeńskim węzłem, postanowił się od niego uwolnić, inscenizując własną śmierć? A babcia, po latach, próbowała go odnaleźć, korzystając z pomocy tajemniczego Andrzeja Pietrzyka i jego biura poszukiwań?

Te pytania nie dawały jej spokoju od momentu, w którym zwerbalizowała je Amelia Celmer w mieszkaniu mamy. Historia z inscenizacją własnej śmierci na pierwszy rzut oka wydawała się nieprawdopodobna, ale jeszcze kilka godzin wcześniej za równie nieprawdopodobne uznałaby twierdzenie, w myśl którego dziadek padł ofiarą zabójcy. Tymczasem fakty były, jakie były. Ktoś wylądował w więzieniu... Dlaczego nikt z rodziny nie wiedział o istnieniu Alfreda Warszawskiego?

Zadała to pytanie na głos, ale w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby odpowiedzieć. Otaczały ją jedynie milczące kamienne nagrobki. W tej części Powązek Wojskowych od lat nie było dużego ruchu. Czasy, w których czczono pochowanych nieopodal komunistycznych dygnitarzy, były na szczęście odległe. Dziadkowi także nie oddawano czci. Na marmurowej płycie stał pojedynczy, pęknięty znicz i uschnięty kikut kwiatka w omszałej donicy. Może babcia nie dbała o grób małżonka, bo nie umiała wybaczyć niewierności?

A może wiedziała, że jej małżonek, zamiast leżeć pod płytą, wciąż

korzysta z życia?

Laura dumiała nad tym przez dłuższą chwilę, aż wreszcie cmentarną ciszę zakłócił wesoły dzwonek telefonu. W innych okolicznościach odłożyłaby tę rozmowę na później, ale w zasięgu słuchu było tylko kilka zmęczonych upałem wron. Usiadła na przynależącej do grobu solidnej ławeczce. Zwykle wpadali do dziadka jak po ogień. Nie pamiętała, by ktoś kiedykolwiek z niej korzystał.

— Cześć, kochanie! Czy wszystko w porządku?

— Dzień dobry, panie Kazimierzu. Tak, w porządku, ale...

Głos w słuchawce należał do jej znajomego z pracy. Firmy farmaceutyczne zatrudniały różnych specjalistów, nie tylko chemików i marketingowców. Jeden z najważniejszych działów zajmował się ochroną poufnych informacji, przeciwdziałając szpiegostwu gospodarczemu ze strony konkurencji. Pan Kazimierz, emerytowany policjant, był jego szefem.

Wzbudzał w firmie postrach — we wszystkich, ale nie w Laurze. Z nieznanых jej powodów została jego ulubienicą. Odwiedzał ją popołudniami przy stanowisku pracy, częstował ślazowymi cukierkami i scenicznym szeptem pytał, czy nikt jej nie mobbinguje. Panowie po sześćdziesiątce często traktowali ją jak ulubioną wnuczkę, ale on szedł krok dalej. Dla niego była wnuczką-księżniczką. Dlatego, chociaż prośba wykraczała poza sprawy służbowe, nie miała oporów, by ją przedstawić.

Rozmówca zinterpretował tę prośbę po swojemu.

— Jest jakiś problem z identyfikacją ciała babci?

— Nie, ja tylko...

— Znasz nazwisko człowieka, który prowadzi to śledztwo?

— ...pytam teoretycznie. Nie, nie chodzi o babcię. Zastanawiałam się tylko, jak wyglądają procedury policyjne. Czy identyfikacja zwłok zawsze

odbywa się w sposób formalny? — Zawiesiła głos, ale tym razem nie zdążył jej przerwać. — Przy babci nikt nie prosił, bym potwierdziła, że to ona. Ani mnie, ani nikogo z rodziny.

— Identyfikacja zwłok przeprowadzana jest jedynie w sytuacji, w której powstają wątpliwości co do tożsamości denata. Na przykład przy dekompozycji zwłok.

— Dekompozycji?

— Kiedy zwłoki są w kiepskim stanie. Na przykład w stadium gnilnym. Istotne jest też miejsce ich ujawnienia. Inna jest sytuacja, w której zwłoki znajdują się w mieszkaniu, a inna, gdy zostają odnalezione na przykład na górskim szlaku...

— Czyli gdy ktoś umiera w mieszkaniu, identyfikacja ciała jest niepotrzebna?

Pan Kazimierz był niepoprawnym gadułą, ale tym razem przez chwilę milczał. Laura wcale mu się nie dziwiła. Był na urlopie, zdaje się, że nad Bałtykiem. Pytania, które zadawała, nie pasowały do relaksu na plaży.

— Sam fakt ujawnienia zwłok w lokalu mieszkalnym jest oczywiście niewystarczający. W twojej sytuacji... to znaczy w sytuacji twojej babci tożsamość dało się zapewne potwierdzić na podstawie dokumentów — powiedział wreszcie, bez zwykłej pewności. — Dodatkowo w trakcie czynności wstępnych policja uzyskała potwierdzenie tożsamości babci od osoby, która dokonywała zgłoszenia. Kto wezwał policję?

— Ja.

W jego głosie pojawiło się współczucie.

— To ty ją znalazłaś? Nie wiedziałem. Policjanci na pewno pytali cię o imię i nazwisko babci.

Laura przez chwilę wysilała pamięć, ale bezskutecznie.

— Nie jestem pewna — przyznała. — Byłam trochę... No, w szoku.

— I nic dziwnego. — Odczekał chwilę, a potem ciągnął, wciąż delikatnym tonem: — Właśnie dlatego policja woli materialne dowody. Świadkowie... Członkowie rodzin są w takich sytuacjach wątpliwą pomocą. Pod wpływem szoku ich postrzeganie świata nie jest... jak by to powiedzieć...

— Idealne?

— Z ust mi to wyjęłaś, księżniczko. Pojawia się mechanizm wyparcia. Ludzie nie chcą, żeby ofiarą był ktoś bliski.

— Zdarza się, że oszukują?

— Najczęściej nie robią tego świadomie. Ale to robią, więc żaden policjant nie będzie się opierał jedynie na wskazaniach ze strony świadka. Są inne sposoby. Dokumenty, bazy danych...

— Jakie bazy danych?

Pan Kazimierz przeprosił ją na chwilę. W tle usłyszała nawoływania małych dzieci.

— Nie chciałem prowadzić tej rozmowy przy rodzinie — wyjaśnił po chwili. Krzyki dzieci ucichły, pozostał jedynie jednostajny szum. Fal lub wiatru. — Jest baza zdjęć z dowodów osobistych. Baza odcisków palców. Baza policyjna, w której umieszcza się informacje o znakach szczególnych.

Laura była w dziewięćdziesięciu procentach pewna, że wszystkie te bazy, teraz na pewno rozbudowane, w latach osiemdziesiątych, gdy zmarł dziadek Julian, co najwyżej raczkowały. Gdy o to zapytała, pan Kazimierz wyraźnie się odprężył.

— Nie chodzi o twoją babcie — stwierdził pogodnie, jakby dopiero teraz w to uwierzył. Zapewne tak było. — W czasach milicji nie było bazy ze zdjęciami, ale zdjęcia były, fizycznie, w dokumentach. Wy, młodzi, myślicie, że PRL był państwem z innej planety, ale to nieprawda. Wtedy był większy porządek niż teraz. Jeśli ktoś umierał, to jego tożsamość była

dokładnie sprawdzana. Pewnie nawet dokładniej niż dziś. Weźmy na przykład standardową kontrolę drogową...

Laura zaczerpnęła powietrza. Pan Kazimierz był apologetą poprzedniego systemu. Potrafił go wychwalać godzinami, ale teraz nie zamierzała wysłuchiwać jego anegdot.

— Nie słyszał pan o żadnym przypadku, w którym próbowano pochować nie tego, co umarł?

Nie mógł zobaczyć cudzysłowu, który nakreśliła w powietrzu przy słowie „pochować”, ale od razu się połapał, o co chodzi.

— Pisziesz powieść sensacyjną? — spytał, a gdy nie odpowiedziała, zaśmiał się pod nosem. — Jeśli tak, to wyrzuć ten wątek. Fingowanie własnej śmierci jest tak ograne, że...

— Ale się zdarzało, prawda?

Nie przestał się śmiać.

— Może i tak. Na przykład w którymś odcinku przygód porucznika Borewicza... Wybacz, kochanie, ale pytając, czy coś takiego jest możliwe, należałoby również spytać, po co ktoś miałby to robić. Po co ktoś miałby w tamtych czasach fingować własną śmierć?

Laura zrozumiała, że jej rozmówca odnosi się stricte do czasów Polski Ludowej. Ale chociaż znała ją tylko z opowiadań, nie miała problemu z odpowiedzią.

— Na przykład żeby uwolnić się od kłopotów.

— Uwierz mi, dziecko, w takiej sytuacji kłopoty dopiero by się zaczęły. Nowa tożsamość nie sprowadzała się wtedy do konta na Facebooku. Człowiek bez tożsamości byłby poza nawiasem życia. Nie mógłby pracować, mieszkać... bo było coś takiego jak obowiązek meldunkowy. Nie mógłby nawet kupić szynki, bo była na kartki.

Pokręciła głową, bo pan Kazimierz zdawał się pomijać możliwość, która



pierwsza przyszła jej do głowy.

— Mógł za to wyemigrować.

— Jako kto?

— Na przykład jako uchodźca polityczny.

Zaczął jej tłumaczyć, że do uzyskania azylu politycznego też potrzebna była jakaś tożsamość, ale słuchała go jednym uchem. Przecież to oczywiste, że tożsamość można sobie było pożyczyć. Dziadek Julian mógł wykorzystać choćby tożsamość osoby, która spoczęła w grobie zamiast niego. Jeśli ta osoba była do niego wystarczająco podobna, by wprowadzić w błąd milicję...

Aby zniknąć, wystarczyło znaleźć kogoś podobnego, sprawić, by ten ktoś umarł, a potem uzyskać oświadczenie babci...

Nie, to chyba głupie.

— Jesteś tam, kochanie?

— Tak, przepraszam, panie Kazimierzu. Zamyśliłam się.

— Mam nadzieję, że nad czymś przyjemniejszym niż identyfikacja zwłok.

— Niestety nie. Czyli, podsumowując, identyfikacja zwłok sprowadza się do uzyskania oświadczenia i skonfrontowania go z dokumentami, zdjęciami...

— Oraz ewentualnie liniami papilarnymi i znakami szczególnymi.

Laura nie sądziła, by dziadkowi kiedykolwiek zdejmowano odciski palców. Nie słyszała, by miał zatargi z prawem. Był szanowanym dyrektorem warszawskich Filtrów. Ale co do znaków szczególnych...

— Co pan rozumie pod tym pojęciem?

— Znaki szczególne to cechy wyglądu, które w sposób niebudzący wątpliwości odróżniają nas od innych. Na przykład znamiona, tatuaże, braki w uzębieniu, blizny...

— Blizny też?

— Oczywiście. Trudno o trwalsze wyróżnienie.

Pokiwała głową, a potem — wciąż z telefonem przy uchu — wstała z ławeczki i zbliżyła się do marmurowej tablicy ze zdjęciem dziadka. Jej teorie wzięły właśnie w łeb, a dziadek — tak, jakby o tym wiedział — zdawał się świdrować ją tym swoim kpiącym, uwiecznionym przez fotografa wzrokiem. Był tak podobny do Karola. Tak podobny... Ale jednak inny. Wyróżniał go pewien szczegół. Skaza, dobrze widoczna nawet tu, na tym wyblakłym zdjęciu.

Lewy policzek dziadka Juliana przecinała szeroka blizna.

Laura lubiła cmentarze, ale nie przyjechała tu przecież po to, by dumać nad historią rodziny, a tym bardziej — by przyglądać się nagrobkowi dziadka. Miała do załatwienia konkretną sprawę. Ku jej zadowoleniu korytarz świecił pustkami. Zerknęła na wyświetlacz — do końca godzin urzędowania wciąż pozostawały ponad dwa kwadransy. Zapukała, a potem pchnęła właściwe drzwi. Urzędniczka podniosła na nią wzrok znad komputera, trąc łuszczący się naskórek nadmiernie opalonego nosa. Laura — jak przystało na kulturalną osobę — zaczęła od swojego nazwiska. Okazało się, że nie musi mówić nic więcej.

— Pani w sprawie pochówku babci, prawda? Dzwoniła do nas pani Lucyna, czyli, jak się domyślam...

— ...moja mama — uzupełniła Laura, patrząc ze zdziwieniem, jak kobieta wstaje i wyłamuje nerwowo palce. — Czy wszystko w porządku?

— Tak... — Urzędniczka omiotła wzrokiem podłogę. Obok znajdowały się jeszcze dwa stanowiska pracy, ale oba były puste. — A w zasadzie to nie. Bo widzi pani... Niechcący wprowadziłam ją w błąd. Powiedziałam, że w księdze wieczystej grobu znajduje się oświadczenie pani babci, że nie

może być pochowana w grobie męża, czyli... — zerknęła na jedną z kilkudziesięciu kartek przyczepionych pinezkami do tablicy korkowej przy swoim biurku — pana Juliana.

— Nie może? — zdziwiła się Laura. — Czy nie chce?

— Ani jedno, ani drugie — westchnęła kobieta. Była młodziutka, wyglądała jak studentka, która właśnie wróciła z wakacji po pierwszym roku. Zostawiła nos i zajęła się drapaniem spalonego słońcem przedramienia. — Autorem oświadczenia nie jest pani babcia, tylko dawna kierowniczką warszawskich cmentarzy komunalnych. Nie Kalinowska, jak pani babcia, tylko Kalicińska. Podobne nazwisko.

Laura bezwiednie przytaknęła, a potem rozłożyła ręce.

— Nie bardzo rozumiem. Babcia nie może zostać pochowana z dziadkiem decyzją kierownictwa cmentarza?

— Tak jest. — Urzędniczka niespodziewanie się rozpromieniła. — Niestety, takie są przepisy. Grób pani dziadka nie jest własnością rodziny, a zatem babcia nie jest uprawniona...

— A czyją jest własnością? — spytała szybko Laura.

Miała nadzieję, że otrzyma od kobiety nazwisko. Kogoś, kto rozwieje jej wątpliwości i opowie o okolicznościach śmierci dziadka. Niestety, zamiast osoby otrzymała nazwę instytucji.

— Właścicielem grobu jest Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji. Z siedzibą przy Filtrowej...

A więc pochówkiem dziadka nie zajmowała się rodzina, tylko warszawskie Filtry. Mogło to świadczyć o żalu, który czuła do niego babcia, ale wcale nie musiało. Równie dobrze można było odebrać to jako gest zakładu pracy wobec pogrążonej w żalu żony zasłużonego pracownika i cenionego dyrektora. Jednak za taką interpretacją nie przemawiał sposób, w jaki potraktowano babcię.

— Dlaczego babcia nie może leżeć przy swoim mężu? — spytała Laura. Nie była jakoś szczególnie oburzona, ale urzędniczka, którą wciąż przepełniało poczucie winy, zaczęła tłumaczyć jej to tak szybko, że trudno było cokolwiek zrozumieć. — Babcia miała tu... drugi grób? — wyjąkała wreszcie, przerywając na moment potok słów.

— Tak, właściwie to pierwszy — poprawiła urzędniczka. — Ten, w którym leży pani dziadek, nie należy do niej, tylko do Filtrów. Babcia wykupiła sobie miejsce za życia. W innej części cmentarza, dwa kroki od miejsca, w którym jesteśmy. Teraz takie praktyki są u nas niedopuszczalne, ale w czasach Polski Ludowej można było sobie zarezerwować...

Laurze zaczęło się wydawać, że wreszcie zaczyna coś rozumieć, ale ostatnie słowa uświadomiły jej, że jednak tak nie jest. W tym, że babcia wykupiła sobie miejsce na cmentarzu, nie było nic dziwnego. Nie pasowała tylko ta Polska Ludowa.

— Kiedy babcia wykupiła kwaterę?

— W osiemdziesiątym szóstym.

— A zatem jeszcze przed śmiercią dziadka.

— Tak. Dokładnie rok przed śmiercią pana Juliana.

Z dalszych słów urzędniczki wynikało, że regulamin cmentarza zakazywał w takich przypadkach pochówków w innych grobach nekropolii. Zasada sprowadzała się do stwierdzenia: masz swoje miejsce, to nie zabieraj go innym. Laura nie była zainteresowana roztrząsaniem słuszności tej zasady. Interesowało ją co innego.

— Babcia nigdy nie wspominała o tym grobie. Nawet ostatnio, w czasie pandemii.

Zdziwienie było uzasadnione. Babcia od początku pandemii wieszczyła sobie rychły zgon. W sprawach zdrowia zawsze była pesymistką. Wyraz „śmierć” odmieniała przez wszystkie przypadki, a jednak ani razu nie

wspomniała o miejscu wiecznego spoczynku. Czy to możliwe, że nie pamiętała?

— Gdzie jest to miejsce? To po prostu prostokąt ziemi?

— Niedaleko, przy siódmej alei. Od razu za pomnikiem armii Berlinga, po lewej, przy samym murze. To murowany grób, a raczej... — Urzędniczka na moment się zawahała. — Najlepiej będzie, jeśli sama pani zobaczy. Jeśli ciało babci nie zostanie poddane kremacji, to pomnik będzie wymagał pewnych przeróbek.

Uwaga była zagadkowa, ale Laura nie dopytywała. Zapewniła urzędniczkę, że nikt z rodziny nie będzie miał pretensji o jej pomyłkę, a potem wyszła z budynku administracji i ruszyła powoli alejką numer siedem, rozglądając się na boki. Duży pomnik dla uczczenia żołnierzy 1. Warszawskiej Dywizji Piechoty im. Kościuszki był o krok. Minęła go i zgodnie z otrzymanymi instrukcjami skręciła w lewo, pod cmentarny mur.

Gdy znalazła się przy wskazanym grobie, w pierwszej chwili zastygła w niedowierzaniu, a potem ruszyła z powrotem w kierunku administracji przekonana, że doszło do nieporozumienia. W połowie drogi zrozumiała jednak, że to nie było nieporozumienie. Słowa urzędniczki nabrały sensu. Pod płytą z lastryko rzeczywiście mogła się zmieścić jedynie urna z prochami, ale nagrobka wcale nie zaprojektowano w tym celu.

Na miejscu wykupionym przed laty przez babcię Krysę znajdował się nagrobek dla dziecka. Bezimienny, gdyż na tablicy nie widniała żadna inskrypcja. Ale za zimne mrówki, które w to upalne popołudnie przebiegły po plecach Laury, wcale nie odpowiadał rozmiar grobu. Ani brak inskrypcji.

Tym, co wprawiło ją w osłupienie, były kwiaty. Bezimienny grobek zdobiły świeże chryzantemy. Było ich tak dużo, że zdawał się w nich tonąć.

Laura wystukała numer alarmowy, ale gdy po drugiej stronie rozległ się automat nakazujący jej poczekać, przerwała połączenie. Kwiaty na niezasiedlonym grobie kojarzyły się z makabryczną inscenizacją, lecz z bliska dostrzegła także znicze — dawno wygasłe, pokryte cienką warstwą glonów. Już na pierwszy rzut oka było widać, że stoją tu od stu lat. Na pewno dłużej niż te niecałe dziesięć dni, które upłynęły od śmierci babci.

Zamiast na policję zadzwoniła więc do matki. Głos w słuchawce zdawał się dobiegać z dna studni.

— Mamo, na cmentarzu jest jeszcze jeden grób.

— Tylko jeden?

— Grób, który należy... który należał do babci.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Laura miała wrażenie, że matkę zatkało, ale ta szybko wyprowadziła ją z błędu.

— Przepraszam, mijałam policję. Nie wiem, gdzie jest ten cholerny zestaw głośnomówiący.

— Słyszałaś, co powiedziałam? Na grobie są kwiaty.

— Świeże?

— Nie bardzo, ale...

W słuchawce rozległy się jakieś trzaski, ale po chwili połączenie zostało przywrócone. Matka była zaskakująco pogodna.

— To chyba rozwiązuje nam problem pochówku. Byłaś w kancelarii?

— Mamo, to jest grób dla dziecka.

— Co ty mówisz? Poważnie? — Cisza, która zapadła, nagle stała się jakby głębsza. Laura się domyśliła, że mama zaparkowała i wyłączyła silnik. — Matka zawsze powtarzała, żeby po śmierci ją skremować. Myślałam, że tylko tak gada, ale wygląda na to, że mówiła serio.

Laura nigdy nie słyszała, by babcia Krysia wspominała o kremacji, ale była w stanie uwierzyć, że tak było. Babcia lubiła mówić o śmierci.

Owszem, w grobie zamiast ciała dziecka mogła spocząć urna z prochami. Ale te kwiaty. I czas, który upłynął...

— Babcia kupiła to miejsce ponad trzydzieści lat temu — powiedziała zaczepnym tonem, dokonując w głowie szybkich obliczeń. — Nie miała wtedy jeszcze pięćdziesięciu lat. Raczej nie spodziewała się rychłej śmierci, co?

Głos matki był zupełnie spokojny. Laura wychwyciła w nim nutki rozbawienia.

— Różnie to bywa. Babcia zawsze była zapobiegliwa, ale żeby jeszcze jeden grób... Nie doceniałam jej. Czy zajmiesz się formalnościami?

Laurze opadły ręce. Matka przyjmowała jej odkrycie z takim spokojem, że było to aż nienaturalne.

— Ty wiedziałaś, że babcia wykupiła sobie miejsce, prawda?

— Ależ skąd. Ale nie jestem tym zaskoczona. Wiesz, że babcia była dyskretna. Lubiała mieć też swoje sekrety, czego najlepszym dowodem jest jej dziwny testament.

W tle zabrzmiał taki warkot, jakby mówiła to spod tartaku.

— A gdzie ty w ogóle jesteś? — spytała Laura, obrzucając ponurym spojrzeniem wysychające chryzantemy.

— Gdzieś pod Tykocinem. Jadę do Gremzdów. Swoją drogą mogłabyś nas odwiedzić. Nie byłaś tam... Sama już nie wiem, od kiedy.

W Gremzdach znajdowało się gospodarstwo agroturystyczne prowadzone przez zaprzyjaźnioną z rodziną Hankę. Matka i jej mąż, Marcel Lubecki, traktowali to miejsce jak letnią rezydencję. On polował tam na dziki i łowił ryby, a ona w dzień opalała się na pomoście, a wieczorami urządzała przyjęcia dla znajomych z wyższych sfer. Laura nie przepadała za tym miejscem. Kojarzyło jej się z rozpadem pierwszego małżeństwa mamy. Z rozwodem rodziców.

— Mam przed sobą jeszcze sporo formalności z pogrzebem — stwierdziła, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiał wyrzut. Rodzina zawsze fundowała jej takie rozrywki. Wszelkie sprawy urzędowe były jej domeną już od wielu lat. — Mamo, a...

Urwała, bo w słuchawce znów rozległ się szum, a potem dźwięk przerwane połączenia. Próbowала zadzwonić jeszcze raz, ale bezskutecznie. Wybrała więc numer do wujka Jarka. Ten, w przeciwieństwie do matki, sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego.

— Kwiaty na bezimiennym grobie?! Zawiadomiłbym policję.

Uznała jego radę za słuszną. Następne kilkanaście minut spędziła na łączach z kolejnymi komórkami policji, aż wreszcie połączono ją z tą właściwą. Opisała sytuację, a potem podyktowała swojemu rozmówcy namiary na nagrobek. Gdy się rozłączył, zadzwoniła do chłopaka, ale on — podobnie jak matka — znajdował się poza zasięgiem sieci.

Kancelaria cmentarza była już zamknięta. Laura westchnęła z rozczarowaniem, bo miała ochotę z kimś pogadać. Z kimś neutralnym, niezaangażowanym. Wróciła do miniaturowego grobu i jeszcze raz przyjrzała się nietkniętej dłutom tablicy, a potem przeniosła wzrok na płytę. Stare znicze — wszystkie, bez wyjątku — miały na plastiku wytłoczony adres witryny internetowej. [Pamietaj-o-bliskich.pl](http://Pamietaj-o-bliskich.pl).

Wklepała ten adres w komórkę i znalazła się na stronie firmy oferującej usługi z zakresu pielęgnacji grobu. Pielęgnacji... Zupełnie jakby pomnik był egzotyczną rośliną, którą trzeba podlewać i przycinać. Przeleciała wzrokiem po wachlarzu usług i rzeczywiście znalazła przycinanie. Przycinanie krzewów, zaraz obok mycia pomników i nasadzeń na grobach ziemnych. *Oddaj wieczny spokój bliskich w nasze ręce* — głosił slogan w górnej części strony. Laura nie była marketingowcem, ale bez trudu wymyśliłaby lepszy.



Kliknęła w zakładkę „kontakt” i obok numerów telefonu — oddzielnych dla rozmówców z Polski, krajów Unii Europejskiej i reszty świata — znalazła adresy kilkunastu przedstawicielstw. Jedno z nich znajdowało się tu, na Powązkach Wojskowych. Obeszła budynek administracji i na jego tyłach dostrzegła szyld ze znajomą nazwą. *Pamiętaj o bliskich.*

Weszła do wnętrza, które wyglądało jak przycmentarna kwiaciarnia. Obok nieśmiertelnych chryzantem pod ścianą ułożono kilkanaście wieńców. W rogu pomieszczenia, na wyłożonej kafelkami posadzce, klęczała młoda kobieta. W jednej dłoni trzymała flamaster, a w drugiej — kartkę papieru ze starannie wykaligrafowanymi literami. *Lesiowi — z wyrazami wiecznej miłości. Halina Gąsowska.*

— Przepraszam...

Kobieta nie spojrzała na nią, dopóki nie naniosiła na szarfę wieńca literki „ą”.

— W czym mogę pomóc? — zapytała z wyraźnym wschodnim zaśpiewem.

— Chodzi o grób. — Laura z niejakim zakłopotaniem wyjaśniła, w czym rzecz. — Wygląda na to, że ktoś wykupił u was usługę pielęgnacji. Chciałabym wiedzieć, kto to był.

Spodziewała się trudności, ale kobieta nie zawracała sobie głowy przepisami o ochronie danych osobowych. Porzuciła wieniec z niedokończonym napisem, przeszła za ladę i pochyliła się nad starym laptopem. Gdy uruchomiła bazę danych, zgrzytał i trzeszczał.

— Potrzebuję imienia, nazwiska, a najlepiej jeszcze daty zgonu.

— Grób jest pusty.

— No to nazwiska właściciela — ciągnęła kobieta zupełnie niezdziwiona tym, że ktoś zlecił pielęgnację pustego grobu.

Laura podyktowała jej nazwisko babci i przechyliła się przez ladę, tak by

widzieć ekran.

— Przez Y, Krystyna, nie Kristina — skorygowała, a potem zaczekała, aż baza przemieli rezultaty. — Jest?

— Zgadza się — potwierdziła kobieta. Na kieszeni fartucha, w który była ubrana, miała plakietkę z imieniem. Natalia. — Usługę zleciła pani Krystyna... No tak, w kwietniu zeszłego roku...

— To dziwne.

— Przeciwnie. Wtedy przyszła pandemia i zaczął się lockdown. Podobno nasze obroty się potroiły, chociaż koleżanki mówią, że nie było tego widać po pensjach.

Z dalszych słów wynikało, że była w tej pracy nowicjuską. Pewnie dlatego dopiero po chwili dostrzegła, że zlecenie było nieaktualne.

— Wygasło po roku, w maju. Mam tutaj, że świeże kwiaty dostarczono jeszcze w czerwcu, bo pani Krystyna nie wypowiedziała umowy. Ma po stronie zobowiązań jeszcze dwieście dwadzieścia złotych...

— Za jeden miesiąc?

— Tak, taką usługę zamówiła. Trzy razy duże kwiaty, dwa duże znicze, mycie i sprzątanie.

Laura wyciągnęła portfel, ale Natalia pokręciła głową.

— Nie trzeba. Ona nie żyje, tak? — upewniła się, a potem uderzyła palcami w klawiaturę.

Laura się domyśliła, że usuwa zlecenie.

— Czy często się zdarza, że ludzie zlecają ukwiecenie pustych grobów?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— W tym biznesie już nic mnie nie zdziwi, ale ma pani rację... To raczej niespotykane.

Laura podziękowała i wyszła. Nogi same poniosły ją do małego

grobu. Stała przed nim i przez chwilę dumiała, ale tym razem przed jej przymkniętymi oczami nie pojawiła się babcia, tylko matka.

Laura była niemal pewna, że rozmawiając z nią, nie wspomniała, że grób jest pusty. Powiedziała tylko, że babcia ma na Powązkach jeszcze jeden grób. Matka powinna była zapytać, czyj grób. Ona, będąc na jej miejscu, na pewno by o to zapytała. Tymczasem matka przeszła nad tym do porządku, jakby wiedziała, że chodzi tylko o coś, co fachowo określano jako miejsce grzebalne. Wiedziała? Chyba tak.

Ale jeśli wiedziała, to dlaczego udawała, że nie wie?

Poziom alkoholu opadł do dolnej krawędzi etykiety, a była to już druga butelka. Karol wrzucił do szklanki trzy kostki lodu. Zagrzechotały o dno, a potem zniknęły zalane bursztynowym płynem. Dominik Celmer napełnił szklankę niemal po brzegi. Można by go uznać za hojnego, gdyby nie to, że butelka pochodziła z barku nieobecnej gospodyni. Matka Karola, wyjeżdżając na Suwalszczyznę, nalegała, by sobie nie żalowali, ale chyba nie spodziewała się, że narobią aż takich spustoszeń.

— Zdrowie pięknych pań. — Celmer uniósł swoją szklankę. Nie przypominał już wymuskanego dyplomaty. Gdy zostali tylko we dwóch, poluzował krawat i podwinął mankiety. Jego wzrok był mętny, a mowa... No cóż, bełkotliwa. — Masz przepiękną siostrę, wiesz?

Karol nie spodziewał się, że kiedykolwiek tego doczeka. Dystyngowany konsul filii londyńskiej ambasady przy drugiej butelce zaczął nawijać jak podochocony licealista. Wcześniej zdążyli już obgadać długonogą sekretarkę ministra i pulchną naczelniczkę z departamentu Bliskiego Wschodu, która zwykła zakładać nogę na nogę w taki sposób jak Sharon Stone w *Nagim instynkcie*. Teraz Celmer postanowił najwyraźniej

skierować rozmowę na przymioty Laury. Karol nie był pewien, czy ma na to ochotę. Był kiepskim bratem, ale... bez przesady.

— Czy ze wszystkich kobiet na świecie musimy rozmawiać akurat o mojej siostrze?

Celmer aż zakrztusił się whisky.

— Ja nie w tym sensie, serio! Po prostu jak byliście u nas z wizytą, była jeszcze dziewczynką, a teraz... Teraz jest kobietą.

Urwał i posłał Karolowi porozumiewawczy uśmiech. Szczęknięty drzwi łazienki i przez przedpokój przemknęła jego żona Amelia. Miała na głowie ręcznik zwinięty w turban, a na ramionach — puchaty szlafrok. Gdy oni rozprawiali się z trunkiem, ona zdążyła wyskoczyć na zakupy, przebiec się po Lesie Kabackim, a potem wziąć długi prysznic. Teraz skierowała się do sypialni. Bez pożegnania, co było na tyle symptomatyczne, że dotarło nawet do Karola, przebijając się przez wzmocnioną alkoholem warstwę animuszu.

— Ja już pójdę.

— Daj spokój. — Celmer wskazał na nieopróżnioną butelkę. — Kiedy będziemy znów się widzieć, tak jak dzisiaj? Pogadajmy. Masz problemy, co?

Poznali się kilka lat temu, w Londynie, gdzie Karol z Laurą odwiedzali matkę. Dominik Celmer był przyjacielem męża matki, Marcela, a jednocześnie jego podwładnym w londyńskiej ambasadzie. Przypadli sobie z Karolem do gustu, ale oczywiście nie aż tak, by Karol miał się teraz zwierzać z kłopotów. Z dwojga złego wolał już rozmawiać o Laurze.

— Laura zawsze była w cieniu — zaczął z głupia frant, nie przywiązując większej wagi do tego, co mówi. Celmerowi i tak było wszystko jedno. Miał swoją butelkę. — Zawsze wszystko, co się działo, działo się wokół

mnie. Wszystko to, co dobre, i to, co złe. Ona była jakaś taka... bezbarwna. A tymczasem wychodzi na to, że wyszła na prowadzenie.

— W czym?

— W wyścigu zwanym życiem.

Celmer przyłożył pięść do ust i cicho czknął.

— Rywalizujecie? — spytał domyślnie, ale Karol potrząsnął głową.

— Ona chyba nie. A ja... Sam nie wiem. Wiem tylko, że miała trudniejszy start. Źle przeszła rozwód rodziców. Była młodsza i wzięła to do siebie. Był czas, kiedy naprawdę nas nienawidziła. Mnie i naszej matki.

Wypowiadając kolejne słowa, Karol dostrzegł, że Celmer usiłuje się skoncentrować. Jak każdy dyplomata, lubił takie obyczajowe smaczki.

— Lucyna zawsze opowiadała, że jej pierwszy mąż, czyli twój ojciec, był inteligentnym człowiekiem, ale przy tym... nie obraź się, strasznym niedojdą.

Karol nie zdołał zapanować nad wesołością. Matka była cholernie dosadna i — jak na kobietę — mało wrażliwa. I taką ją kochał.

— Tata jest przede wszystkim schorowany — powiedział, wciąż chichocząc w duchu z tego niedojdy. Określenie było wyjątkowo mało poprawne politycznie. — Kiepsko odnalazł się po rozwodzie. Laura została z nim, wiesz? Przez pewien czas ze sobą mieszkali, ale potem, dla jej dobra, umieściliśmy ją z mamą u babci.

Celmer spojrzał ponurym wzrokiem na butelkę.

— Pił?

— Nie. Ale o nią nie dbał. Gotowała mu, prała... A on siedział przed telewizorem i puszczał sobie z kaset piosenki Edyty Geppert. Ogarnął się dopiero wtedy, gdy się wyprowadziła. Ale do dziś nie jest z nim najlepiej.

— Pracuje?

— Jest tłumaczem. Pasuje mu to, bo nie musi wychodzić z domu. Laura

często go odwiedza. Robi mu zakupy, gotuje... Zupełnie jakby to on był dzieckiem, a ona rodzicem.

Celmer metodycznie napełnił obie szklanki. Na dnie butelki zostało jedynie kilka centymetrów alkoholu.

— Lucyna zawsze mówiła, że jej rodzina jest trochę niestandardowa. Teraz widzę, że nie przesadziła. Dziadek erotoman, który nie wiadomo, jak umarł. I nie wiadomo, czy w ogóle...

— Daj spokój. — Karol parsknął śmiechem. — Nie baw się w Laureę. Ona ma bujną wyobraźnię. Specjalnie ją nakręciłem na tego dziadka. Bo miała gdzieś ten cały spadek i to wszystko... A teraz przynajmniej się zaangażuje.

— No dobrze, dziadka zostawmy. Ale z twoją babcią to już na pewno nie wszystko było w porządku.

Karol popatrzył na Dominika pytająco.

— Jeśli masz na myśli to, że padła ofiarą morderstwa, to owszem... Nie wszystko.

Celmer znów się zakrztusił. Tym razem whisky poszła mu chyba nawet nosem.

— Nie mówiłem o tym, w jaki sposób odeszła — wychrypiał. — Pewnie o tym nie słyszałeś, ale zdążyłem ją poznać. Niedawno. I wiesz co? Była dziwna.

Wzdrygnął się, a potem wypił duszkiem pół szklanki. Gdyby nie był tak ubzdryngolony, Karol uznałby to za teatralny gest, ale w tej sytuacji nie doszukiwał się drugiego dna. Celmerowi po prostu wciąż było mało.

— W jakim sensie dziwna? — Zdusił w sobie gniew. Kochał babcię, ale brał poprawkę na to, że przez Dominika przemawiały przyjęte procenty. — I tak w ogóle, to kiedy się poznaliście?

Celmer wyjął z kieszeni chustkę i otarł wilgotne czoło.

— Na początku naszego pobytu w Polsce zorganizowaliśmy spotkanie dla przyjaciół. W Red Caffé, na placu Zbawiciela. — Przyłożył szklankę do ust, ale tym razem tylko zwilżył wargi. — Twoją babcię przyprowadził Jarek. Była podekscytowana. To było jej pierwsze takie wyjście od początku pandemii.

Karol wyciągnął telefon i otworzył kalendarz.

— Kiedy to było?

Celmer wstał i obszedł stół. Poruszał się sztywno niczym robot.

— Przewiń na czerwiec. Chyba tu, w sobotę, dziewiętnastego. Ale to nie był ostatni raz, kiedy ją widziałem.

Powiedział to z naciskiem, w taki sposób, jakby komunikował coś niezwykłego. A potem skinął ręką i ruszył w stronę balkonu. Zaintrygowany Karol podążył za nim. Też dość sztywno.

— O co chodzi?

Celmer wtoczył się na balkon i przez chwilę przeczesywał wzrokiem ciemność. Karol stracił nad butelką poczucie czasu. Sądził, że wciąż jest wieczór, tymczasem był już środek nocy.

— O, tam. Tam się widzieliśmy.

Palcem wskazywał ulicę, w okolicach przystanku autobusowego. Za przystankiem rozciągało się ogrodzenie kolejnego strzeżonego osiedla, a dalej był już tylko Las Kabacki.

— Widziałeś tu babcię?

— Z daleka. Gdy mnie zobaczyła, odwróciła się plecami i odeszła. Powtarzało się to trzy razy. Przez trzy kolejne dni.

— Co? Niemożliwe. Dlaczego babcia miałaby wystawać wam pod oknami?

— Zapytaj Amelię. Też ją widziała.

— Może babcia przyjechała do mamy?

Celmer wszedł do środka. Karol, chcąc nie chcąc, ruszył za nim.

— Słyszysz? Babcia na pewno chciała odwiedzić Lucynę.

— Lucyny nie było jeszcze w kraju. Dotarła dopiero pod sam koniec czerwca, nie pamiętasz?

Karol opadł na krzesło i pociągnął ze szklanki. To rzeczywiście było dziwne.

— Miałem wrażenie, jakby mnie obserwowała. Nie mam pojęcia, dlaczego miałyby to robić.

— A co na to moja mama? Dominik, słyszysz? Co na to Lucyna?

Celmer drgnął, jakby pytanie Karola wyrwało go ze snu.

— Jak to Lucyna. Zbyła wszystko śmiechem. Powiedziała, że babcia wzięła nas za dzikich lokatorów. I poradziła, żebyśmy przenieśli się do Hanki, na Suwalszczyznę. Możesz się śmiać, ale właśnie to zrobiliśmy. Przenieśliśmy się do Gremzdów. Od razu. — Czknął i zakrył usta dłonią. — A twoja babcia kilka dni później była martwa. Rozumiesz coś z tego? Bo ja... Ja się boję.

Obijając się o meble, poszedł do łazienki. Zniknął tam na dobre. Po kilkunastu minutach Karol poczuł niepokój. Zapukał, po czym uchylił drzwi i zajrzał do środka. Kompan siedział na podłodze, oparty o wannę. Z gardła dobywał mu się stłumiony charkot. Spał i chrapał.

— Pobudka!

Karol podniósł go, powiódł półprzytomnego do pokoju i ułożył na sofie. A potem wrócił do łazienki. Jego wzrok, pomimo dużej dawki alkoholu, wciąż był wystarczająco ostry, by na półce, pomiędzy szamponami, dostrzec coś, czego wcześniej tam nie było. Opakowanie z charakterystycznym napisem, z dwoma X.

Kładąc się w ostatnim wolnym pokoju, czuł zdziwienie. Dominik Celmer naprawdę ciężko odchorował te tajemnicze wizyty babci Krysi.



Tak ciężko, że musiał wspomagać się lekami, a konkretnie xanaxem.

## Wtorek, 13 lipca 2021 r.

Karol nie należał do osób, u których kac wiąże się z jadłowstrętem. Przeciwnie, po wieczornych pijaństwach zazwyczaj bywał piekielnie głodny. Wciąż we wczorajszych ciuchach, wstąpił do tych samych delikatesów mięsnych, do których przed laty wysyłała go babcia, i kupił dwa potężne pęta kiełbasy. Jedno na teraz, a drugie na później. Do kawy.

W mieszkaniu babci czekały go niespodzianki. Pierwsza w postaci atrakcyjnej kobiety ubranej w bieliznę i narzucony na nią ręcznik. Z jej długich włosów wciąż skapywała woda.

— Dzień dobry. — Ukłonił się, odkładając nadgryzioną kiełbasę na szafkę w przedpokoju, obok starego aparatu telefonicznego z tarczą. — Czy mógłbym zapytać, kim pani jest?

Kobieta żuła gumę i patrzyła na niego tak beznamiętnie, że zgłupiał jeszcze bardziej.

— Jestem Olka — odparła po chwili, a potem, jak gdyby nigdy nic, uruchomiła suszarkę do włosów, chyba babciną.

Po wczorajszym pijaństwie Karol reagował nieco wolniej niż zwykle, ale w końcu zrozumiał, kogo ogląda w skąym stroju. Rozbawienie zniknęło wyparte przez niechęć.

— To pani jest tą naciągaczką, która opiekowała się moją babcią?

— Nie spinaj się tak. Bo ci żyłka pęknie.

Karol od samego początku nie pochwalał decyzji o zatrudnieniu opiekunki, ale będąc we Włoszech, nie miał zbyt wiele do gadania. Jego niechęci nie zmieniły ani pozytywne recenzje babci, ani wideorozmowa, którą przeprowadzili we troje. Mimo swej urody i uśmiechu, który bez

wątpienia topił serca twardszych niż on, Aleksandra Arbaszewska wydała mu się wtedy prowincjonalną cwaniarą. W tym postrzeganiu utwierdziły go zapisy testamentu, który uczynił ją współwłaścicielką masy spadkowej.

— Co pani tu robi?

— Teraz? Brałam prysznic.

— Proszę oddać mi klucze.

— A guzik. — Zamknęła się w łazience i zatrzasnęła zasuwkę. — Wiem o testamencie — oznajmiła przez grube drzwi. — Jedna ósma tego wszystkiego jest moja.

Zirytowany zaklął pod nosem, a potem ruszył w stronę kuchni. Wiedział, że musi ją wyrzucić, ale nie bardzo miał pomysł, jak to zrobić. Liczył na to, że w myśleniu pomoże mu kawa, ale w kuchni czekała go kolejna niemiła niespodzianka.

— Gdzie jest lodówka?! Ekspres?! I mikrofała?!

Wpadł jak bomba do przedpokoju i uderzył pięścią w drzwi łazienki. Był gotów je wyważyć, ale niespodziewanie otworzyła.

— Opanuj się, człowieku.

— Odpowiadaj: gdzie są te wszystkie rzeczy?!

— Sprzedałam na bazarze.

— Co?!

— Uwierzyłeś? — Parsknęła śmiechem. — Rano była tu policja. Zabrali to wszystko na protokół.

Wskazała na plik papierów, na których położył kiełbasę, a potem bez skrepowania zrzuciła ręcznik i zaczęła się ubierać. Spódnica, którą włożyła, ledwo zakrywała pośladki.

— Po co im mój ekspres do kawy?

— Nasz ekspres, cwaniaczku. — Uśmiechnęła się złośliwie, a potem wzruszyła ramionami. — Kto tam za nimi trafi? Pewnie szukają śladów.

— W lodówce? — Odwrócił się, sięgając po kiełbasę. Nagle zdał sobie sprawę z zaistnienia trzeciej niemiłej niespodzianki. — Co tu się, do cholery, stało?!

Wskazał na drzwi, a konkretnie na okolice dolnego zamka. Drzwi w tym miejscu wyglądały tak, jakby potraktowano je młotkiem. Kucnął i przez chwilę badał obtłuczenia palcami, a potem rzeczywiście znalazł młotek.

— To też... policja?

— Nie, to ja. Nie miałam klucza. Babcia nigdy nie używała tego zamka.

— I dlatego próbowałaś go rozwalić?

— Nie chciałam, by ktoś zamykał przede mną moje własne mieszkanie. Niestety, to stary zamek. Solidna robota. Następnym razem będę musiała wezwać ślusarza.

Zaśmiała się, a potem rozwiesiła na grzejniku przepraną bieliznę. Ten gest okazał się kroplą, która przelała kielich.

— Posłuchaj, kochanie. — Karol zbliżył swoją twarz do jej twarzy. — Może i zmanipulowałaś moją babcię tak, że umieściła cię w testamencie. Ale umknęło ci jedno. Postanowienia jej ostatniej woli nie są jeszcze prawomocne. Jak by ci to wytłumaczyć, żebyś zrozumiała? Na tę chwilę nie masz żadnych praw do tego lokalu.

Nie cofnęła się. Wytrzymała jego spojrzenie, a kiedy skończył, teatralnie wypuściła powietrze.

— Cuchniesz wódką i kiełbasą.

— Tylko tyle masz do powiedzenia?

— Tylko tyle. I co mi zrobisz?

Kilka lat pracy w dyplomacji nauczyło go trzymać nerwy na wodzy. Zdusił w sobie pragnienie, żeby wziąć ją pod pachę i wywalić na klatkę schodową. Z trudem, bo z trudem, ale zdołał się nawet uśmiechnąć.

— Jeśli grzecznie sobie nie pójdziesz, to wezwę policję. Używając

twojego języka, nadam cię na pały. Wychodząc, zostaw klucze.

Urwał, bo kompletnie go olała. Stała przed lustrem i zaczęła nitkować sobie zęby. Gdy na tafli lustra osiadły kropelki jej śliny, wyjął telefon. Nie blefował. Naprawdę chciał zadzwonić na policję.

— Czy wiesz, że jestem tu zameldowana?

— Słucham?

— Potrzebowałam meldunku w Warszawie, a twoja babcia nie miała nic przeciwko. Ty też jesteś tu zameldowany?

Zatkało go. Nie był, a Olka od razu to dostrzegła. Na jej ustach pojawił się pobłażliwy uśmiech.

— Dzwonź sobie do tej psiarni, dzwoń. Zobaczymy, kogo wyrzucą.

Karol miał ochotę ją udusić, ale poprzestał na zgrzytaniu zębami.

— Czego ty chcesz, kobieto? Zamieszkać tu?

— Mam gdzie mieszkać. Ale wolę być na miejscu. Przypilnować, żebyście ty i twoja rodzinka mnie nie wydymali. Znam takich jak wy. Kulturalnych i obytych. Odwrócisz się na chwilę i nie masz portfela.

Karolowi opadły ręce. Sięgnął po kielbasę, a potem zerknął w stronę kuchni. Oddałby wiele za łyk kawy, ale nie widział nawet czajnika. Policja pozbawiła go nie tylko ekspresu, lecz także dostępu do wrzątku.

— Skoro mamy razem mieszkać, to może na dobry początek kupisz czajnik?

— Tak, a ty, jak mnie nie będzie, zmienisz zamki. Masz jeszcze jakiś głupi pomysł?

— Nie.

— Twoja babcia była mi winna dwa tysiące.

— To się do niej zgłoś. Nie zapłacę ci nawet złotówki.

Tę sympatyczną wymianę zdań przerwał szcęk otwieranych drzwi. Do

przedpokoju weszła ciocia Monika. Mimo milionów, które wujek Jarek wyciągał z branży turystycznej, wyglądała tak, jak zwykle. Jak kuchta.

— Słysząc was na korytarzu — oznajmiła, wkładając do reklamówki jakieś grube tomiszczce, prawdopodobnie z biblioteki, w której pracowała. Czytała, nawet wchodząc po schodach. Książki były nie tylko jej pracą, ale też obsesją. — Ola, co ty tu robisz?

Karolowi obilo się o uszy, że to właśnie ciotka z wujkiem zajmowali się wyszukaniem opiekunki. Obiecał sobie, że później, na osobności, pogratuluje im wyczucia. Teraz ze zdziwieniem patrzył, jak Olka gubi pewność siebie.

— Słyszałam, że pani Krysia zapisała mi udział w spadku. Chciałam się dowiedzieć, co i jak.

— A przy okazji postanowiłaś uprać majtki? — Monika Kalinowska zdjęła mokrą bieliznę z kaloryfera i rzuciła ją w kierunku Oli. — Zabieraj swoje rzeczy. I więcej tu nie przychodź.

Ku zdziwieniu Karola Olka nie zaprotestowała. Chwyła mokre majtki i schowała je do torby podróżnej, a potem przyniosła z łazienki szampon i jakieś kosmetyki.

— Czy nie mogłabym zostać do jutra?

— Nie. Bez dyskusji.

Łagodna na co dzień ciocia Monika zmieniała się w bezwzględną twardzielkę, a bezczelna Olka — w pokorną pensjonarkę. Metamorfoza obu kobiet była tak zaskakująca, że Karol przyglądał się ich wymianie zdań z otwartymi ustami. Ciocia była zwykle cicha jak mysz, ale teraz... Teraz wymiałała.

— Co zrobiłaś z wyposażeniem kuchni?

— Rano zabrała je policja.

— Tak bez uprzedzenia?

— Powiedziałam im, że tu mieszkam.

— Ale tu nie mieszkasz. Rozumiemy się?

— Oczywiście.

Ciotka wskazała palcem na drzwi, a kiedy Olka, razem ze swą ciężką torbą, znalazła się na klatce schodowej, odwróciła się w stronę Karola i posłała mu uśmiech, łagodny i przepraszający. Na chwilę znów była sobą. Znów przepraszała, że żyje.

— To Jarek ją wybrał — westchnęła. — Przykro mi, że musiałeś na to patrzeć.

Karolowi było bardziej przykro, że ten wulgarny babsztyl dostanie sporą część spadku, ale nie odważył się powiedzieć tego na głos. Nie przy tej nowej, groźnej ciotce.

— Wychodzisz, ciociu?

— Tak. Wpadłam podlać kwiaty, ale skoro tu jesteś... Wolałabym się upewnić, że sobie pójdzie. Z takimi jak ona nigdy nic nie wiadomo.

— Odprowadzę cię.

Wyszli przed kamienicę. Olka, nie oglądając się za siebie, rozplynęła się w parkowej zieleni. Karol odetchnął z ulgą, ale tylko na chwilę.

Chodnikiem szła policjantka Basia.

— To cześć, ciociu. Do zobaczenia.

Cmoknął ciotkę w policzek i zawrócił. Miał nadzieję, że Baśka da mu spokój. Nie miał ochoty z nią rozmawiać.

Basia nie dała mu spokoju. Zadzwoiła do drzwi, a gdy nie otworzył, kilkakrotnie nacisnęła klamkę.

— Jesteś na służbie?

— Co? Nie, nie jestem.

— To chyba nie mam obowiązku ci otwierać, co?

Wbrew tym słowom odsunął zasuwę, a potem — nie odwracając się za siebie — ruszył w głąb mieszkania. Dogoniła go przy wejściu do kuchni.

— Co tu się stało? — spytała, wskazując na zdekompletowane wyposażenie.

— Nie wiesz? — prychnął. — Podobno pracujesz przy tym śledztwie. A nie, czekaj. Przecież nie masz z tym śledztwem nic wspólnego.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

— Jak do tego doszedłeś?

— Że mnie oszukałaś? Próbowałem się do ciebie dodzwonić, dziś rano. Miałaś wyłączony telefon, więc zadzwoniłem na numer, który dostałem od twojego kumpla, tego, który prowadził przesłuchanie. Poprosiłem o skontaktowanie z Barbarą Zawadzką w sprawie śledztwa o zabójstwo. Powiedzieli mi...

— Że nie uczestniczę w tym śledztwie, tak?

— Zgadza się. A gdy wspomniałem, że protokołowałaś moje przesłuchanie, powiedzieli, że to czynność techniczna i że wzięli cię z łapanki.

— To akurat nie jest prawda. Zgłosiłam się sama, na ochotnika.

— Po co? — zapytał Karol, a potem natychmiast się wycofał. — Nie odpowiadaj. Mam dosyć własnych problemów. I nic się nie martw. Nie powiedziałem im, że mnie wypytywałaś. I nie powiem. Mam to gdzieś.

Obrócił się na pięcie i poszedł do łazienki. Gdy wrócił, wciąż stała w tym samym miejscu.

— Zabezpieczyli wyposażenie kuchni?

— Piątka z dedukcji. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, to chciałbym zostać sam.

— Jesteś na mnie zły?

— Umiarkowanie.



— Daj mi się wytłumaczyć. Bo widzisz, mam pewien problem. Być może mógłbyś mi pomóc. Co tu robiła ta kobieta?

W jej głosie pobrzmiwała niechęć. Karol spojrział na nią nieco łaskawiej.

— Masz na myśli uroczą Oleńkę?

— Uroczą jak uroczą. Gdybyś znał jej kartotekę...

— Ma kartotekę? — spytał, połykając haczyk.

— Jeszcze jaką. Aleksandra Arbaszewska, lat trzydzieści siedem, urodzona w Olecku. Dwa razy siedziała w więzieniu. Za pierwszym razem za oszustwo, a za drugim za udział w rozboju. Na północno-wschodnich rubieżach naszego kraju słynie pod mało oryginalnym pseudonimem Głębokie Gardło.

— To prostytutka?

Policjantka odsłoniła w uśmiechu zęby.

— Teraz ty otrzymujesz piątkę z dedukcji. I pałę z wrażliwości społecznej, bo nie mówimy „prostitutka”, tylko „pracownica seksualna”. — Wciąż się uśmiechała, więc Karol nie był pewien, czy mówi poważnie, czy żartuje. — Pracowała nieregularnie, a w przerwach poświęcała się innym aktywnościom. Była kucharką w domu małego dziecka, barmanką w przydrożnej knajpie i jak wynika z informacji przekazanych przez kolegów ze straży granicznej — przemytniczką taniego spirytusu z obwodu kaliningradzkiego. Od lat tkwi po uszy w długach, które zaciągnął na nią jeden z jej byłych partnerów.

Karol nie był tym zdziwiony. Olka z pewnością nie była kobietą, z którą zeswatałby przyjaciela. To, że miała swoje za uszami, wydało mu się oczywiste. Oczywiste nie było natomiast coś innego.

— Skąd tyle o niej wiesz?

— No właśnie... Tu dochodzimy do mojego problemu. Widzisz, ja też

miewałam długi. A w mojej robocie lepiej ich nie mieć.

— Poznałaś ją? Coś was łączy?

— Nie. Dzisiaj widziałam ją pierwszy raz w życiu. Ale przedtem widziałam jej zdjęcia. I poznałam jej dane ze wszystkich możliwych baz. Nauczyłam się ich na pamięć.

Karol miał wrażenie, że coraz mniej z tego rozumie.

— Przechodziła ci w jakiejś sprawie, którą prowadziłaś?

— Nie. Sprawdzalam ją na zlecenie. Za kasę. Zgadnij, kto mi płacił.

Karol poczuł, że zaschło mu w ustach. Podszedł do kuchennego zlewu i napił się kranówki. Była smaczną, najsmaczniejszą w Warszawie. Nie na darmo znajdowali się o krok od Stacji Filtrów.

— Wykradałaś dane na zlecenie mojej babci, tak? — Poczekał na potwierdzenie, a gdy kiwnęła głową, drążył dalej. — Do czego były jej potrzebne?

— Nie zwierzała mi się. To było w zimie, zaraz po tym, jak zatrudniliście tę Olkę jako opiekunkę. Twoja babcia przyszła do mnie do domu. W tajemnicy, bo przecież zabroniliście jej wychodzić z mieszkania.

— Tylko w szczytowych okresach kolejnych fal — sprostował Karol, ale to przecież nie było teraz ważne. — To, co ci zaproponowała, nie było legalne, prawda?

— Nie było. Ale twoja babcia wiedziała, że mam problemy. Poprosiła o pomoc, zaproponowała, że zapłaci... A ja, idiotka, się zgodziłam. Mogę?

Wyjęła z szafki drugą szklanekę i napełniła ją wodą, a potem wypila duszkiem.

— Mojej babci chodziło tylko o Olkę?

— Tak. Interesowało ją wszystko, nie tylko karalność czy zadłużenie. Chciała na przykład wiedzieć, czy ma rodzeństwo, czym zajmują się jej rodzice, czy leczyła się w szpitalach, kiedy zdawała egzamin na prawo

jazdy... Prześwietlała ją bardziej, niż komisja rekrutacyjna prześwietla kandydatów do służb specjalnych. Jak się domyślasz, nie zdołałam dotrzeć do wszystkiego. Nie chciałam robić szumu. Poprzestałam na bazach, do których mam dostęp ze swojego biurka.

— Ile za to dostałaś?

Nalała sobie kolejną szklankę wody. Dochodziło południe i w kuchni robiło się coraz goręcej. Czoło Baśki było mokre od potu, ale chyba nie tylko z powodu temperatury.

— Trzy tysiące — powiedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Ta rozmowa kosztowała ją dużo nerwów. Karol nie do końca rozumiał, dlaczego mu się zwierza. To musiało być dla niej niczym sesja samobiczowania.

— No i super — mruknął. — Zarobiłaś i... tyle. Chyba nie masz wyrzutów sumienia, co? Nikt nie zabił babci dlatego, że wykradłaś dla niej dane.

Przestąpiła z nogi na nogę.

— Nie powinnam była tego robić. A skoro już zrobiłam, powinnam przynajmniej sprawdzić, dlaczego interesuje ją jakaś kryminalistka. Pocieszające jest to, że to nie Arbaszewska ją zabiła. Udało mi się odnaleźć w aktach śledztwa jej alibi. Kiedy twoja babcia umierała, ta Olka przebywała w rodzinnych stronach. Wskazują na to zarówno dane logowania telefonu, jak i wyniki rozpytania na miejscu. Czemu puknąłeś się w czoło?

— Bo nie uczysz się na błędach. Po co w tym grzebiesz? Jak cię na tym złapią, to będziesz musiała się tłumaczyć. Dlaczego w ogóle interesuje cię to śledztwo?

Policjantka westchnęła tak ciężko, że spojrzał na nią ze współczuciem.

— Potraktuj to jak życzliwą radę, Baśka. Odpuść sobie. Zapomnij.

— Nie mogę. Bo widzisz... Każde sprawdzenie jest odnotowane w systemie. Jeśli Arbaszewska jest w jakikolwiek sposób zamieszana w to zabójstwo, to prędzej czy później ktoś zapyta, dlaczego kilka miesięcy wcześniej ją sprawdzałam. I co powiem? Przecież nie skłamię, to za poważna sprawa. Na początek wywalą mnie ze służby, a potem... Kto wie? Przy negatywnym splocie okoliczności mogę nawet dostać zarzuty.

Te kilka zdań sprawiło, że Karol wreszcie zrozumiał, dlaczego Baśka chodzi za nim jak wierny pies. Dbała o własną skórę. Chciała wiedzieć, na czym stoi. Dziwiło go tylko, dlaczego nie zwróciła się z tym do Laury. Wyjaśnienie było zaskakujące.

— Laura nie ma alibi. Była tamtego dnia w Warszawie, jedyna z całej rodziny. Pamiętasz, co ci powiedziałam po przesłuchaniu? Zabójcami są najczęściej bliscy... Nie śmieję się. Ja też nie wierzę, że Laura zabiła własną babcię, ale w jej wypadku to jednak wyłącznie kwestia wiary, a w twoim — pewność. Jak by to wyglądało, gdybym w swojej sytuacji weszła jeszcze w konszachty z zabójcą?

Karol przestał się śmiać. To, co się wydarzyło, było przecież bardzo nieśmieszne.

— Liczysz na to, że nasza współpraca naprowadzi cię na trop mordercy, a ty zanieśes go swoim szefom i przy okazji się oczyścisz?

Pokręciła głową.

— Byłoby super, ale to dość nierealne. Chcę po prostu wiedzieć, co się dzieje, żeby w odpowiednim momencie, kiedy jeszcze nie będzie za późno, przyznać się do tego, co zrobiłam. Wtedy może nie wylecę z pracy, tylko dadzą mi naganę. A jeśli wylecę, to przynajmniej nie pójdę siedzieć.

— Zawsze coś. Myślisz, że to zrobił ktoś od Oli?

— Arbaszewska obraca się w nieciekawych kręgach, ale jak na razie nic na to nie wskazuje. Co tak patrzysz? Nie biorę udziału w śledztwie, ale

mam oczy i uszy. Staram się trzymać rękę na pulsie. Od kilku dni prawie nie śpiam.

Rzeczywiście wyglądała na zmęczoną, także fizycznie. Pod oczami miała głębokie cienie, a na ustach — zapowiedź opryszczki, która często rozwija się właśnie w stanach przemęczenia. Te trzy tysiące od babci były najciężej zarobionymi pieniędzmi w jej trzydziestoletnim życiu. Ale chociaż zarobiła je w sposób naganny etycznie, Karol wcale jej nie potępiał. Przeciwnie, dobrze ją rozumiał.

— Jest jeszcze jedna rzecz, siostró — powiedział, kładąc jej dłonie na ramionach i zaglądając w oczy. — Wczoraj przekazałem ci pewne nazwisko. Chyba lepiej, żeby trafiło do twoich kolegów.

— Nie obmacuj mnie — zażartowała, odsuwając się do okna. — Andrzej Pietrzyk nie jest ważny.

Sądził inaczej. Babcia zapisała mu pół majątku.

— Sprawdziłaś go?

Dla odmiany to ona postukała się w czoło.

— Masz mnie za aż taką idiotkę? Od kiedy to wszystko się zaczęło, trzymam się od baz najdalej, jak się da. Ale popytałam na komisariacie i okazało się, że pan Andrzej jest tam dobrze znany. To nasz człowiek. Nasz, czyli z Ochoty.

Karol aż wstrzymał oddech.

— Przestępca?

— Nie. Bezdomny. Nie wiem, co łączyło go z twoją babcią, ale wiem, że jej nie zabił.

— Dlaczego?

Policjantka opadła na stołek przy kuchennym stole i opróżniła szklankę. Trochę wody pociekło jej po brodzie, wsiąkając w materiał bluzki.

— Andrzej Pietrzyk od roku jest przykuty do łóżka. Nie chodzi.

Zaawansowane stadium choroby alkoholowej. Aktualnie przebywa w hospicjum przy kościele Świętego Jakuba... O ile jeszcze nie umarł.

Neogotycki gmach kościoła Świętego Jakuba przywoływał najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Karol podniósł wzrok na zieloną kopułę tylnej wieży i przed oczami stanęła mu sylwetka ojca z czasów, gdy nie był jeszcze przegrany kaleką. W uszach zadźwięczały mu słowa wypowiedziane trzy dekady temu do malucha, jakim wtedy był. *Ta blacha była kiedyś czerwona. Jest z miedzi, a ta z upływem lat śniedzieje.*

Minął budkę z kwiatami, uśmiechając się do wspomnień. Przed laty kupowali w niej tulipany — za każdym razem, gdy po niedzielnej mszy wybierali się na obiad do babci. A może nie za każdym razem? W końcu tulipany to kwiaty sezonowe. Nie pamiętał. Pamiętał za to, że babcia nigdy nie przychodziła do kościoła. Gdy o to pytał, zawsze zbywała go zapewnieniem, że już za tydzień na pewno się tam pojawi. Ale się nie pojawiała. Miała taki sam stosunek do wiary, jak on obecnie. Może kiedyś, w przyszłości... Ale na pewno nie teraz.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że mają takie same geny.

Przeszedł obok miejsca straceń, które wydało mu się mniejsze, niż zapamiętał, a potem zajrzał przez wyrwę w murze. Na tyłach kościoła znajdowało się boisko, po którym biegało kilkunastu wyrostków. Ten obrazek również powielał wspomnienie z dzieciństwa. Po tym boisku zawsze ktoś biegał. Kiedyś był tu dom poprawczy, a teraz — z tego, co wiedział — katolicka szkoła, w której widocznie nie było wakacji.

Cel jego popołudniowego spaceru znajdował się zaraz za budynkiem szkoły. Chodnik z kocich łbów doprowadził go najpierw do zapomnianego, porośniętego chaszczami ujęcia wody oligoceńskiej, a potem — wiodąc między drzewami zaniedbanego parku — do dwupiętrowego budynku

z szyldem *Hospicjum świętego Łukasza*. Przed wejściem stała stara karetka, a na rozciągniętym za nią sznurze suszyły się poszarzałe prześcieradła. Na gzymsie przy wejściu siedziała wrona. Gdy się zbliżył, ponuro zakrakąła.

Nie było to wesołe miejsce.

W budynku nie było recepcji. Zamiast niej w korytarzu znajdował się przycisk dzwonka. Karol wcisnął go i aż podskoczył. Terkot wywoływał gęsią skórkę. Był bardzo głośny, a wrażenie potęgowała wcześniejsza cisza.

Kobieta, która zjawiła się na wezwanie, miała na sobie strój zakonnicy, ale nie taki, jaki Karol pamiętał z lekcji religii. Nie czarny, tylko biały. Przez całą sekundę myślał, jak się do niej zwrócić. Siostró? Matko? Kompromisowo wybrał najbezpieczniejszą formę.

— Chciałbym porozmawiać z panem Andrzejem Pietrzykiem. Czy mogłaby mi to pani umożliwić?

Spodziewał się oporu, a przynajmniej setki pytań, ale nic takiego nie nastąpiło. Zakonnica powiodła go po skrzypiących schodach na pierwsze piętro i dopiero tam, przed przeszklonymi drzwiami izolatki, poprosiła o dokument tożsamości.

— Zostało mu już niewiele czasu. Musi pan obiecać, że nie będzie go pan męczył.

Obiecał, że nie będzie, jednak siostra, chyba nie do końca mu ufając, weszła do izolatki razem z nim. Wyposażenie było minimalistyczne, ale nie interesowały go meble — dwa stare krzesła, wąskie łóżko i szafka, która wyglądała, jakby nadziały ją korniki. Był zainteresowany wyłącznie człowiekiem, który miał położyć łapę na pieniądzach babci, ilekolwiek ich było. Zbliżył się do łóżka i popatrzył twardym wzrokiem na leżącego w nim mężczyznę, ale spojrzenie nie zostało odwzajemnione. Facet wyglądał, jakby spał. Albo nie żył. Twarz, aż po oczy, skryta była za gąszczem siwego zarostu.

Karol przeniósł wzrok na zakonnice, a ona uczyniła taki gest, jakby zapraszała do stołu.

— Proszę mówić. On prawie zawsze ma zamknięte oczy. Twierdzi, że już się napatrzył.

— Na to miejsce?

— Na ten świat. Nie spotkało go tu wiele dobrego.

Mężczyzna, słysząc głosy, uniósł się do pozycji półsiedzącej i — jakby chciał podkopać wiarygodność zakonnicy — otworzył oczy. Błyszczały na jego wynędzniałej twarzy w taki sposób, jakby miał gorączkę.

— Pan do mnie? — Głos, który wydobył się spomiędzy popękanych warg, był tak chrapliwy, że zrozumienie przekazu wymagało maksymalnej koncentracji. Na szczęście wraz z kolejnymi słowami chrypa była mniej słyszalna. — Czy ja pana znam? Siostrzo Klaro, czy ja go znam?

Między wargami pojawił się na moment pojedynczy ząb. Karol nie należał do wrażliwców, ale i tak starał się za bardzo nie przyglądać. Ludzkie ciało, tak zaniedbane, jak w przypadku Pietrzyka, potrafiło być naprawdę obrzydliwe. I wydzielalo przykre zapachy.

— Nie, nie znamy się — odpowiedział, zerkając na zakonnice, siostrę Klarę, która chyba nie zamierzała ich zostawić. Gdy przeniósł wzrok z powrotem na wymizerowane oblicze Pietrzyka, odniósł wrażenie, że mężczyzna wygląda jednak w pewnym stopniu znajomo. Wiedział, skąd bierze się to wrażenie. Pietrzyk przypominał mu wisielca-kuternogę z ogródków przy Rostafińskich. — Czy mówi coś panu nazwisko Rajzer? Jan Rajzer.

Siwa broda zadrżała w zapowiedzi szlochu. Tak w pierwszej chwili pomyślał Karol, ale okazało się, że jego rozmówca nie zamierzał płakać. Spomiędzy wyschniętych warg dobiegł chrapliwy rechot, który przeszedł następnie w rżenie.



— Znamy się z Jasiem. Długo. Spotkaliśmy się niedawno na bazarku przy Halach Banacha. Kochany Jasio...

— Niedawno, czyli kiedy?

Pietrzyk zmarszczył czoło.

— To była chyba jesień — odparł, a potem odkaszlnął. — Nie wiem tylko, którego roku.

W tym, że dwaj bezdomni byli znajomymi, nie było nic nadzwyczajnego. Karol był już niemal pewien, że Pietrzyk, podobnie jak Rajzer, był znajomym babci. Jej... z braku lepszego słowa, utrzymankiem. Babcia lubiła pomagać tym, którym nie wyszło.

— A czy zna się pan z Krystyną Kalinowską?

Spodziewał się potwierdzenia, okraszonego ewentualnie łzami wzruszenia. Ale zamiast tego otrzymał zaprzeczenie, a potem dalszy ciąg opowieści o kochanym Jasiu.

— Kiedyś nocowaliśmy w piwnicach dawnego opeesu przy Siewierskiej. Rozpaliliśmy ognisko, jeszcze z Czesią. Zrobił się pożar, przyjechała straż...

Zaniósł się śmiechem, który po chwili — dla odmiany — przeszedł w kaszel. Te fragmenty skóry, które były widoczne spod piżamy i skołtunionego zarostu, przybrały niezdrowy, żółtawy odcień.

— Jest pan pewien, że pan jej nie zna? Krystyna Kalinowska.

Karol powtórzył personalia babci jeszcze dwa razy, a gdy to zrobił, poczuł na ramieniu kościstą dłoń zakonnicy.

— Pan jest z policji?

— Nie.

Siostra Klara odprężyła się i wróciła na swoje miejsce.

— Często tu przychodzą. Wielu z naszych podopiecznych miało w przeszłości problemy z prawem.

— A pan Andrzej?

Wzruszyła ramionami, a Pietrzyk — wyraźnie zmęczony atakiem kaszlu — napomknął o jakimś komorniku, po czym znów wrócił wspomnieniami do znajomości z Rajzerem. Sprawiał wrażenie człowieka, do którego nie wszystko dociera. Rozmowa zaczęła schodzić na manowce.

— Niech pan przez chwilę pomyśli — poprosił Karol. — Starsza pani z kamienicy przy skwerze Sue Ryder. Dawniej nauczycielka z liceum Staszica.

— Jasiu pracował w Staszicu.

— A jej mąż był dyrektorem Stacji Filtrów.

Pietrzyk pokręcił głową. Karol miał ochotę złapać go za piżamę i mocno potrząsnąć. Nie wierzył, by babcia zapisała majątek człowiekowi, którego nie widziała na oczy. Po raz kolejny tego dnia nakazał sobie spokój.

— Czy był pan detektywem?

Reakcja Pietrzyka była bezcenna. Otworzył usta i przez chwilę patrzył na Karola niczym wyjęta z wody wyjątkowo brzydka ryba z pojedynczym zębem.

— Dete... ktywem? — wyjąkał. — Nie. Zbierałem złom. I pracowałem przy sortowaniu warzyw. To była dobra praca. Przynajmniej mogłem się najeść... — Ściszył głos, tak by nie usłyszała go zakonnica. — Napiłbym się piwa. Chociaż kilka łyków...

— Może później. Nigdy nie zajmował się pan poszukiwaniami?

— Zbierałem złom. I butelki.

— Poszukiwanie osób zaginionych... Nic to panu nie mówi?

Karol przez krótką chwilę miał nadzieję na jakiś przełom, bo Pietrzyk umilkł i zmarszczył czoło. Ale nadzieja okazała się płonna.

— A winko? Tylko kieliszek wina...

— Panie Andrzeju. — Głos siostry Klary zabrzmiał niczym trzask

z bicza. — Zna pan zasady.

Pietrzyk zapadł się w siebie. Gdy Karol powtórzył nazwę firmy, która miała zostać beneficjentem połowy spadku po babci, tylko pokręcił głową. Były dwa wyjścia: albo Baśka coś pokręciła i podała mu namiary na niewłaściwego Pietrzyka, albo...

— Czy w ostatnich latach udzielał pan komuś pełnomocnictwa?

Istniała możliwość, że Andrzej Pietrzyk był tak zwanym słupem, czyli podstawioną osobą, za którą krył się pragnący zachować anonimowość mocodawca. Ale aby zrobić z kogoś słupa, należało odebrać od tej osoby maksymalnie szerokie pełnomocnictwo do czynności prawnych, takich jak rejestracja firmy.

— Pełnomocnictwa?

— To takie upoważnienie do podejmowania określonych czynności.

— Nie... Chyba nie. Nie pamiętam.

— Nie pamięta pan? To poważna rzecz. Idzie się do notariusza...

Pietrzyk uniósł się na poduszkach i rozłożył ręce.

— Mam duże przerwy w życiorysie.

— Aż tak duże? Przecież żaden notariusz nie firmowałby czynności względem osoby, która jest pijana.

— Byłem pijany przez piętnaście lat. Od momentu, w którym Pan Bóg zabrał mi żonę, aż do chwili, gdy trafiłem tu, do przytułku... Jak mówię, że czegoś nie pamiętam... to nie chodzi mi o jakieś konkretne dni, tylko całe lata. Nie wiem, czy dałem komuś jakieś upoważnienie... Czy coś w tym rodzaju. Nie wiem nawet, gdzie mieszkałem. Jak udało mi się przeżyć...

Karol znał pojęcie amnezji alkoholowej, lecz nie sądził, że może dotyczyć całych lat. W życiu kilkakrotnie urywał mu się film, ale najwyżej na godzinę czy dwie. Myśl, że taki stan mógł trwać kilkanaście lat, była przerażająca, więc szybko ją przegonił, koncentrując się na tym, co istotne.

— Czyli kiedy mówi pan, że nie zna Krystyny Kalinowskiej...

— Mówię o świadomym życiu. O ostatnich dwóch latach. Z dawniejszych czasów mam tylko przebłyski.

— I nie ma w nich kancelarii notarialnej? Eleganckiego pokoju z dużą liczbą pieczętek?

Pietrzyk podrapał się po rzadkich włosach. Paznokcie miał blade jak u trupa.

— Żeby dać komuś upoważnienie, trzeba mieć dowód? — spytał, a potem znów się podrapał.

Pod włosami było widać fragmenty złuszczonej skóry.

— Ma pan na myśli dokument tożsamości? Tak, na pewno.

— Zgubiłem dowód. Myślę, że to było wiele lat temu. Ktoś brał na ten dowód chwilówki... Może tak samo było z tym upoważnieniem?

Karol szczerze w to wątpił. Nie sądził, by w tym kraju znalazł się notariusz, który poszedłby na aż takie szachrajstwo. Sporządzenie aktu pełnomocnictwa pod nieobecność udzielającego byłoby poświadczeniem nieprawdy. Za tego typu machinacje groził kryminał.

— Czy kojarzy pan kamienicę przy Lwowskiej 8a?

Pietrzyk pokręcił głową. Karolowi nie umknął pełen bólu grymas jego twarzy.

— Jest pan pewien?

— Tak. — Pietrzyk uniósł drżący palec w takim geście, jakby składał ślubowanie. — Nie zapuszczałem się do Śródmieścia. Nawet na chwilę. Przez wszystkie te lata nie ruszałem się z Ochoty. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Pochylił się do przodu w ataku kaszlu, a potem — wyczerpany — oparł głowę na poduszce i przymknął oczy. Na wysokim czole, pomiędzy pojedynczymi włoskami, perliły się krople potu.

— Panie Andrzeju, jest pan tu ze mną? Czy jest ktoś, kto pana tu odwiedza?

Pietrzyk niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. Jego głos był tak cichy, że Karol, by cokolwiek zrozumieć, musiał przełamać obrzydzenie i nachylić się nad łóżkiem. Nozdrza wypełnił mu mdły, trupi zapach. Pietrzykowi rzeczywiście nie zostało wiele życia.

— Jedno... małe... piwo. Bo odpłynę.

Karol spojrział niepewnie na zakonnicę. Gdyby decyzja należała do niego, kupiłby mu to piwo, i to wcale nie dlatego, by wyciągnąć więcej informacji. Dowiedział się już wszystkiego, co było mu potrzebne. Teraz było mu go zwyczajnie żal. Ta prośba o piwo urastała do rangi ostatniego życzenia skazańca. Ostatniej małej przyjemności przed pójściem na szafot.

— Nie ma mowy — oświadczyła stanowczo siostra Klara. — Dziś miałby chwilę przyjemności, a jutro znów widziałby białe myszki... Skończył pan z nim?

Karol zerknął na łóżko. Pietrzyk miał zamknięte oczy, a jego chuda pierś unosiła się w miarowym oddechu. Dźwięk, który w pierwszej chwili mógł uchodzić za rżenie, w rzeczywistości był pochrapywaniem.

— On skończył ze mną. — Karol jeszcze raz obrzucił spojrzeniem wynędzniałą postać. Teraz, kiedy wiedział, że facet nie miał nic wspólnego ze spółką, której oddał nazwisko, miejsce niechęci zajęło współczucie. — Pani wybaczy dosadność, ale niektórzy to mają przesrane życie.

— Nawet pan nie wie, jak bardzo. Pietrzyk rozpił się po tym, jak jego żona zmarła na raka. Był wtedy woźnym w Ministerstwie Środowiska. Wyrzucili go z pracy. Najpierw przepił odprawę, potem oszczędności żony, a potem mieszkanie... I wylądował na ulicy. Żył tak przez ponad dwadzieścia lat...

— On twierdzi, że tylko piętnaście.

— Nie wie nawet, jaki mamy rok. Jest warzywem. Dziś i tak był w świetnej formie. Zwykle potrafi mówić jedynie o tym, jak bardzo chce mu się pić... Kilka lat temu, gdy jeszcze był w stanie się poruszać, napił się podczas grupowego wyjścia do kościoła. To było wino mszalne, które ukradł z zakrystii. Słabiutkie, ale i tak stracił przytomność, a potem miał halucynacje.

Zaprosiła go gestem, by podszedł do okna. Zdziwiony stanął obok niej i wyjrzał przez szybę. Okno wychodziło na budynek dawnego poprawczaka. Widać stąd było także boisko, a za nim — zaśnieżoną miedź kościelnej wieży.

— Jego życie zatoczyło pełne koło — stwierdziła filozoficznie, gładząc śnieżnobiały rękaw swojego habitu.

Karol spojrział na Pietrzyka i w duchu przyznał jej rację, bo mężczyzna ślinił się przez sen niczym niemowlę.

— Ile mu zostało?

— Nasz lekarz uważa, że to kwestia tygodni. Najwyżej miesięcy. Wszystko w rękach Pana.

Zgodził się automatycznie, myśląc już o tym, dokąd wybrać się na obiad. Następne słowa zakonnicy brzmiały jednak tak zagadkowo, że zapomniał o jedzeniu.

— I pomyśleć, że kiedyś kopał tu piłkę, tak samo zagubiony, jak te biedne dzieciaki...

Patrzyła w stronę boiska. Zrozumiał, że mówiąc o tym, że życie Pietrzyka zatoczyło koło, miała na myśli coś innego, niż sądził.

— Przebywał w tym domu poprawczym?

— Tak. Tu wszystko dla niego się zaczęło. Z zagubionego dzieciaka stał się tu uczciwym, porządnym mężczyzną. Miał szansę wyjść na ludzi, naprawdę dużą szansę. Ale Pan postanowił, że będzie inaczej. Zabrał mu

najpierw żonę, a potem zdrowie. — W jej głosie pobrzmiwał żal. A może również... nuty goryczy? — Opuszczając to miejsce, wierzył, że tu nie wróci.

— A jednak wrócił.

Siostra Klara pokiwała głową. Zmarszczki na jej twarzy zdawały się głębsze niż jeszcze przed chwilą.

— Tak. Jako strzep człowieka i tylko po to, by umrzeć.

Gabinet profesora Łapińskiego znajdował się na ostatnim piętrze szpitalnego gmachu. Z okna rozciągał się wspaniały widok na przyszpitalny park, otoczony wysokim parkanem. Niebo pokrywały majestatyczne chmury burzowe, ale Michał Tracz nie przyszedł tu po to, by podziwiać widoki. Tryb, w jakim go wezwano — w czasie wolnym, telefonicznie, bez grzecznościowego pytania, czy nie ma innych planów — wskazywał jednoznacznie na to, że czekała go reprymenda. I wcale się temu nie dziwił. Wiedział, że zasłużył.

Profesor Łapiński nie odpowiedział na „dzień dobry”. Siedział przy biurku pochylony nad papierami. Na czubku głowy miał potężną łysinę, okoloną strąkami długich, przetłuszczonych włosów. Z tymi włosami, mikrym wzrostem i pokaźnym brzuchem wyglądał niczym postać z kreskówki, ale nikt go tak nie traktował. Profesor wzbudzał popłoch nawet u kogoś tak zdystansowanego jak Michał.

— Mam poczekać na zewnątrz?

— Co? — Łapiński oderwał się od lektury. Michał z pewnym zdziwieniem odnotował, że była to gazeta. I to nie żaden periodyk medyczny, tylko zwykły dziennik. Ze strony tytułowej patrzyła kobieta z podrapaną twarzą, ściskająca kota. Podpis nie pozostawiał pola do

spekulacji. *To on mi to zrobił.* — Ach, jest pan, panie Michale. Niech pan usiądzie. Napije się pan kawy?

Propozycja poczęstunku, a także to, że szef zwrócił się do niego kordialnie, per panie Michale, sprawiły, że Tracz odetchnął z ulgą. Profesor lubił karać, odbierając urlopy. Jego nie był zagrożony.

— Przepraszam, że dopiero teraz, ale byłem na basenie i...

— Nie, to ja chciałbym przeprosić. I podziękować. Wie pan chyba za co... — Podniósł słuchawkę i zamówił dwie kawy i dwie wuzetki takim tonem, jakby był w Hiltonie. — Gdyby nie pana reakcja, kto wie, co mogłoby się zdarzyć. Aż nie chcę myśleć. Chłopak był nieobliczalny.

Mówiąc o chłopaku, miał na myśli Łukasza Komara, którego Michał — jak mówiono w szpitalu, choć prawda była nieco inna — własnymi rękami ściągnął wczoraj z drzewa.

— Powinienem lepiej go pilnować...

— Czuł się pan w obowiązku, by zapewnić mu możliwie komfortowe warunki. To ja zawiodłem. Wywarłem na panu presję, panie kolego, i właśnie za to chciałem przeprosić. Sąsiedzkie zobowiązania, psia ich mać. Jeżeli ktoś powinien czuć się winny, to tylko ja.

Tak naprawdę winny powinien czuć się jeszcze ktoś. Kacper Karnowski, lekarz rezydent, który wydał zgodę na wyjście. Michał minął go w sekretariacie Łapińskiego. Chociaż w raporcie, który napisał po wczorajszym zajściu, nie umieścił nazwiska młodego medyka, był pewien, że prawda i tak wyjdzie na jaw. Zadbają o to pielęgniarki... o ile już nie zadbały, bo niby w jakim celu siedziałyby w tym sekretariacie z miną jak na ścięcie?

— Grunt, że wszystko dobrze się skończyło.

Łapiński westchnął tak, jakby dźwigał na swych przygarbionych plecach wielki ciężar.



— Ta historia wcale nie skończyła się dobrze. Ba, w ogóle się nie skończyła. Pan zerknie, tu, gdzie zaznaczyłem.

Profesor podsunął mu pod nos kolorową gazetę. Litery na szczycie strony układały się w napis *Kronika kryminalna*. Michał przebiegł wzrokiem po krótkim artykule opisującym zabójstwo siekierą, a potem przesunął spojrzenie niżej, na pasek z suchymi informacjami o innych zbrodniach.

*W eleganckiej kamienicy przy ulicy Dantyszka na warszawskiej Ochocie znaleziono ciało 81-letniej kobiety z obrażeniami głowy. Zwłoki Krystyny K. były w stanie częściowego rozkładu, ale policja zdołała zabezpieczyć ślady wskazujące na udział osób trzecich. Śledztwo prowadzone będzie w kierunku zabójstwa. Zamordowana była żoną Juliana Kalinowskiego, cenionego dyrektora warszawskich Filtrów.*

Michał przypomniał sobie kamienicę, pod którą osaczyli młodego Komara, a także zawieszony na drzwiach nekrolog. W pokoju pracował klimatyzator, ale i tak zrobiło mu się gorąco.

— Jak pan to znalazł?

— To nie ja, tylko salowa z wczorajszego dyżuru. Czyta tego szmatławca, to skojarzyła. Musiał pan wspomnieć nazwę ulicy, na której pan go znalazł...

— I co z tym zrobimy?

Pytanie było z gatunku tych zasadniczych. Zdaniem Michała wystąpiły przesłanki, by zawiadomić policję. Łukasz Komar był jednak ich pacjentem, któremu — zgodnie z zasadami etyki lekarskiej — powinni pomóc. Seria przesłuchań na policji z pewnością nie wpłynęłaby dobrze na stan jego zdrowia.

Łapiński źle się czuł z zepchniętą na jego barki odpowiedzialnością.

— A co pan proponuje, panie kolego?

Michał wrócił myślami do wczorajszej sesji terapeutycznej, podczas

której młody Komar ukruszył sobie ząb. Stało się to bezpośrednio po pytaniu o akty przemocy.

— Chłopak mógł coś zobaczyć. U terapeuty przyznał pośrednio, że w ostatnim okresie doświadczył czegoś paskudnego.

Łapiński oczekiwał chyba innej odpowiedzi, bo zmarszczył czoło.

— Czy jego zeznania wrócą tej kobiecie życie? — spytał retorycznie, trącając dłonią gazetę. — Może to nie jest czas, by narażać go na taki stres. Nie uważa pan?

— Ma pan rację — stwierdził Michał, bo co mu pozostało. Facet był tu guru. Nie chciał mu podpaść. — Ale myślę, że w obliczu tego, co zaszło, chłopak powinien być przeniesiony na oddział z lepszym nadzorem. Tak na wszelki wypadek...

— Niezręcznie mi. — Łapiński skrzywił się tak, jakby rozbolały go zęby. — Niech pan mi powie, czy stwierdził pan u niego elementy agresji inne niż autodestrukcja?

— Jest za wcześnie, by spekulować...

— Stwierdził pan czy nie?

— Nie stwierdziłem.

— No właśnie. Ja znam go od kilkunastu lat. To fajny chłopak, tyle że wrażliwy. Nie róbmy z niego mordercy na zlecenie. Jak zamkniemy go z najpoważniejszymi przypadkami, to jego rodzice przestaną mi się kłaniać, a jest to o tyle istotne, że mieszkamy od siebie przez płot... Co pan myśli?

Michał był gotów naginać swoje opinie, lecz tylko do pewnego stopnia. Artykuł zmienił jego postrzeżenie. Łukasz Komar był zapewne niewinną ofiarą zaburzeń lękowych, ale skoro istniał chociaż cień prawdopodobieństwa, że jego zaburzenia były poważniejsze...

— Uważam, że jeśli ma zostać na dwójce, to powinniśmy przenieść go do izolatki.

Łapiński w jednej chwili się rozpromienił.

— Świetny pomysł, panie Michale. My będziemy spokojniejsi, a on spędzi kilka nocy w bardziej komfortowych warunkach. Damy go do siódemki, bo właśnie się zwolniła.

W sali numer siedem przebywał dotąd Szymon Romanow. Po wczorajszym ataku agresji, podczas którego przewrócił policjanta, decyzja o jego powrocie do sali ogólnej była co najmniej zaskakująca, ale Michał nie zamierzał jej kwestionować. Dziś i tak nie miał dyżuru.

— Romanow ma się już lepiej? — spytał zdawkowo, mając nadzieję, że jego audyencja dobiega końca.

— Zdecydowanie lepiej. I bardzo żałuje tych dwóch incydentów. Wie pan, że o pana pytał?

— O mnie?

— Tak. Niech pan zajrzy do niego w wolnej chwili. To nasz najstarszy pacjent... Pacjent z najdłuższym stażem — skorygował. — Pamiętam, jak trafił do naszej kliniki po raz pierwszy. Miał wtedy dwadzieścia kilka lat i był chudy jak patyk, uwierzy pan?

Łapiński może i wyglądał jak ofiara nieudanego eksperymentu medycznego, ale wcale nie był ofiarą, pod żadnym względem. Jego umysł pracował jak komputer. Michał znał nauczycieli, którzy pamiętali wszystkich swoich uczniów, lecz wśród lekarzy coś takiego niemal nie występowało. A Łapiński pamiętał, co było tym bardziej godne podziwu, że jego kariera trwała już pewnie ze czterdzieści lat. Ilu mógł mieć tych pacjentów? Tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy.

— Jak to się u niego zaczęło?

Łapiński upił kawy. Sekretarka przyniosła tacę tak niepostrzeżenie, że Michał nawet tego nie odnotował.

— Najpierw wzięli go do szpitala w Węgorzewie. Był żołnierzem

kompanii karnej w Orzyszu, na Mazurach. Nie wiem, czym się zasłużył, że tam trafił, bo sprawy wojskowe były w tamtych czasach tajne przez poufne, ale tego, co odwalił w Orzyszu, nie dało się już ukryć. Pobił dwóch kaprali tak ciężko, że obaj trafili na ostry dyżur. Sprawiał wrażenie wycofanego marzyciela, ale od czasu do czasu zamieniał się w bestię.

— Trauma z wojska?

Łapiński przez chwilę się zastanawiał.

— Na pewno musiał być jakiś katalizator, ale przecież obaj wiemy, że to wszystko siedzi już w człowieku. Siedzi i czeka na impuls, żeby się ujawnić, mój kochany... Romanow krążył między placówkami. Dopiero tu dobraliśmy mu leki tak, że był w stanie funkcjonować. Ale funkcjonował na granicy i czasem zdarzało mu się ją przekroczyć. Wtedy wracał, a jak wrócił kolejny raz, kilka lat temu, tak siedzi u nas do tej pory. Na zmianę — tutaj i w Rasztowie.

— Sądzi pan, że jeszcze opuści szpital?

Łapiński pokręcił głową.

— Osobiście nie zalecałbym kolejnej szansy. Problem z nim polega na tym, że przez tyle lat nie udało się go rozgryźć. Co go nakręca?

— Spuszczanie wody?

— No właśnie. W jego życiorysie nie ma żadnego traumatycznego epizodu z wodą. Do niczego takiego nie dotarłem.

— A w wojsku?

— Był w batalionie inżynieryjnym, a nie u pletwonurków. Wie pan, ile czasu straciłem, próbując mu pomóc? Ale to na nic. Jest natomiast pewna kwestia, którą chciałbym wyjaśnić. Nawet dobrze się składa, że pan jest. — Podniósł słuchawkę i ryknął na sekretarkę: — Pani Helu, pani da tu tego Karnowskiego!

Nie minęła sekunda i w drzwiach stanął młody medyk. Michał odniósł

wrażenie, że drżą mu kolana. Nie był zachwycony, że Łapiński postanowił zgnoić go przy nim. Choć prawda była inna, wszystko wskazywało na to, że wyjdzie na kapusia.

— Co ty najlepszego narobiłeś?!

Karnowski miał taką minę, jakby chciał schować się w mysiej dziurze.

— Ojciec tego pana twierdził, że wyjście na przepustkę było już ustalone... — zaczął płaczliwym tonem. — Wprowadził mnie w błąd...

— Co ty bredzisz?! Miałeś dyżur w zeszłą niedzielę, tak? — Wstał i uderzył dłonią w kalendarz ścienny tak mocno, że musiało go to zboleć. — Czwarty lipca, zgadza się?!

Skonfundowany Karnowski przestąpił z nogi na nogę, a Michał odetchnął z ulgą. W tamten weekend był daleko stąd. Zdobywał z przyjaciółmi Śnieżkę.

— Byłem, ale... Czy coś się stało?

— Podobno wpuściłeś tu na oddział osobę postronną.

Karnowski zarumienił się po same uszy.

— To była starsza pani. Była, że się tak wyrażę, bardzo zdeterminowana...

— Wiesz, że odwiedziny w czasie pandemii są ograniczone do niezbędnych, wyjątkowych przypadków?

— Uznałem, że to właśnie taki przypadek...

— Ty uznałeś? Lekarz na specjalizacji?! Kto dał ci prawo, by cokolwiek tu ustalać?!

Michał wolałby przy tym nie być. Dobrze pamiętał takie upokarzające rozmowy z czasów, gdy zaczynał. Profesor Łapiński nie brał jeńców. Potrafił być surowy, i to aż do przesady.

— Przepraszam, profesorze — wyjąkał Karnowski ze wzrokiem wbitym w ziemię. Za oknem rozległ się odgłos grzmotu. — To się nie powtórzy...

Łapiński również spuścił wzrok, w taki sposób, jakby chciał pokazać, jak bardzo jest rozczarowany.

— Musisz zrozumieć, że twoje nadgorliwe działanie wywołało katastrofalny efekt — powiedział z wyrzutem. — Niedługo po wizycie pan Romanow dostał ataku agresji, a potem następnego. Czy ty w ogóle wiesz, kim była osoba, którą do niego wpuściłeś?

Michał oderwał wzrok od okna, za którym przesuwały się burzowe chmury. Nie miał pojęcia, że Romanow przyjmował gościa z zewnątrz. Według dokumentacji medycznej nie miał na tym świecie nikogo bliskiego. Fakt, że do wizyty doszło kilka dni przed atakiem fizycznej agresji, nie oznaczał, że pozostawała bez związku z tym, co zaszło. Pewne rzeczy dojrzewały wolniej niż inne.

Karnowski miał bardzo nieszczęśliwą minę.

— Nie wiem, kim była ta pani. Nie przedstawiła się...

— A ty nie spytałeś?

Rezydent zwiesił głowę.

— To była starsza kobieta. Uznałem, że nie wypada...

— To, że była starsza, wiem od pielęgniarek. Starsza, elegancka pani. Przy kości. Przyjechała tramwajem. To za mało, rozumiesz? Weź dupę w troki, idź do Romanowa i dowiedz się, do cholery, kto to był. Zrozumiano?!

Karnowski zdobył się jedynie na to, by pokiwać głową, a potem czmychnął z gabinetu. Korzystając z tego, że profesor odebrał telefon, Michał zrobił to samo. Płonął ciekawością. Kim była kobieta, która odwiedziła Romanowa? I co mu zrobiła, że z łagodnego, otepiałego grubasa znów na moment stał się bestią, którą był przed laty?

Karnowski przystał na propozycję Michała z taką radością, że mało

brakowało, by go uściskał. Od razu skręcił w stronę pokoju lekarskiego, ale Michał złapał go za łokieć.

— Nie ma mowy, cwaniaczku. Możesz się nie odzywać, ale idziesz ze mną.

Romanow opuścił już izolatkę i wrócił do swojej czteroosobowej sali. Obok niego zajmowało ją dwóch ustawionych lekowo schizofreników i pan Marek, który cierpiał na zaburzenia natury urojeniowej. Wydawało mu się, że jest Mesjaszem. Teraz powitał lekarzy cytatem z Nowego Testamentu, a gdy nie odpowiedzieli w oczekiwany przez niego sposób, opadł na kolana.

— Zaprawdę powiadam wam, że łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne...

— Można trochę ciszej?

Dalsze fragmenty Ewangelii popłynęły już szeptem. Michał podszedł do łóżka Romanowa. Mężczyzna leżał na nim w ubraniu i zdawał się drzemać, ale gdy się zorientował, kto go odwiedza, otworzył oczy i przyjął pozycję siedzącą.

— Dobrze, że pan jest. Chciałem przeprosić.

Zza uchylonego okna dobiegł odgłos kolejnego grzmotu. W sali robiło się coraz ciemniej, a powietrze było jednocześnie naelektryzowane i wilgotne. Burza była o krok. Na szczycie kraty przycupnął przerażony gołąb. Jeden ze schizofreników podszedł do okna i go odpędził, a drugi — panicznie bojący się ptaków — w podziękowaniu skłonił głowę. Takie przykłady uprzejmej troski w miejscu, które nie sprzyjało altruizmowi, były krzepiące.

— A ja chciałbym porozmawiać, panie Szymonie. Kim jest mężczyzna, który tak pana zdenerwował?

— Nikim. — Romanow prezentował się dziś zupełnie inaczej niż

wczoraj. Wciąż nie pachniał fiołkami, ale się nie pocił, a w jego postawie nie było napięcia. Na pierwszy rzut oka mógł uchodzić za przeciętnego pięćdziesięcioparolatka po całonocnej wyprawie na ryby. — Pomyliłem się, panie doktorze. Przypominał mi znajomka z dawnych lat.

— Powie mi pan kogo?

— Jasne. Faceta, z którym walczyłem o dziewczynę. Tamten też miał ze dwa metry wzrostu.

— Pokonał pana?

Na twarzy Romanowa pojawił się na moment paskudny uśmiezek.

— Nie. To ja pokonałem jego. Ale to stare dzieje. Nie ma co do nich wracać.

Michał na moment się zawahał. Romanow naprawdę był w doskonałym nastroju. Nie pamiętał, by kiedykolwiek udało mu się nawiązać z nim tak ożywiony kontakt. Pytanie, które chciał zadać, dotyczyło ciemnej sfery życia pacjenta i jako takie powinno paść podczas rozmowy w cztery oczy. Postanowił odłożyć je na później.

— Panie Szymonie, słyszałem, że miał pan gościa — zagadnął, zezując na Karnowskiego, który na samo wspomnienie tej niefortunnej dla siebie wizyty znów zapadł się w sobie.

Romanow machnął ręką.

— Ta starowinka? To była pomyłka.

Michał pokręcił głową.

— Zależało jej na tym spotkaniu. Znała pana nazwisko. Zadała sobie dużo trudu, by dostać się na oddział.

— Tylko nie wiem po co. Nigdy jej nie widziałem. Nawet się nie przedstawiła. Tylko się na mnie gapiła. Wypaliłem papierosa...

— Do spotkania doszło w palarni?

Karnowski i Romanow jednocześnie skinęli głowami.



— Wypaliłem i wyszedłem. To wszystko.

— Nie interesował się pan, po co przyszła?

O parapet uderzyła kropla deszczu. Tylko jedna. Burza nie zdecydowała się jeszcze na atak. Czaiła się za rogiem.

— A co może być interesującego w takiej starej babie?

— Nie irytowało pana, że się gapi?

— Miałem to w dupie.

Wyglądało na to, że wizyta — chociaż niewątpliwie tajemnicza — nie miała wpływu na to, co nastąpiło kilka dni później. Na znokautowanie Zbigniewa Komara i obalenie policjanta. Romanow podchodził do niej z taką obojętnością, jak do higieny. Karnowski doszedł chyba do podobnego wniosku, bo wyraźnie się odprężył. Gdyby nie nawiedzone szeptu samozwańczego Mesjasza, w sali zrobiłoby się nawet miło.

— Mam jeszcze jedną sprawę, panie Szymonie. Możemy przejść do gabinetu?

Odprowadzani coraz głośniejszą modlitwą wyszli na korytarz. W gabinecie zastali doktor Malanowską, więc skierowali się do pomieszczenia socjalnego.

— Przypilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał — poprosił dyskretnie Michał, zostawiając Kacpra na straży, po drugiej stronie drzwi. — Panie Szymonie, niech mi pan opowie o czasach, gdy był pan w wojsku.

Liczył na to, że dobry nastrój Romanowa pozwoli mu dotrzeć głębiej, niż udało się to kiedykolwiek Łapińskiemu. Było to jednak naiwne myślenie. Pacjent przyznał, że były to szczęśliwe czasy, ale na prośbę o więcej szczegółów zareagował lekceważącym prychnięciem.

— To było tak dawno, że nie warto do tego wracać. Zapali pan?

Na ogół paliło się w palarni, ale tu także przy oknie stała popielniczka, a raczej pełniący jej funkcję słoik, do połowy wypełniony wodą. Michał

otworzył szeroko okno, a potem pstryknął dwukrotnie zapalniczką i wypuścił chmurę dymu wprost w otulającą budynek mgłę.

— Zaraz tu będzie armagedon — mruknął i w tym momencie lunęło, ale tak, jakby ktoś odkręcił kran.

I wtedy rzeczywiście rozpoczął się armagedon.

Deszczówka popłynęła rynną. Było jej tak dużo, że spływając, dudniła niczym górski potok. Albo wodospad. Twarz Romanowa pobladła, a oczy robiły się coraz większe. I nagle zaczął wrzeszczeć. Tak głośno, że bolały uszy.

— Panie Szymonie!

Romanow strącił jego rękę i rzucił się na podłogę. Michał chciał pobiec po pomoc, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Zawrócił i zamknął okno. Szum wody ucichł, a Romanow umilkł i znieruchomiał.

— Dlaczego pan tak się boi wody? — spytał, pochylając się nad przerażonym pacjentem. — Kacper, nie przeszkadzaj!

Karnowski, który wpadł do pomieszczenia zwabiony krzykiem, zatrzymał się w drzwiach. Ale było za późno. Romanow zamknął się w sobie. Dotknął mokrych od moczu spodni, a potem zwinął się w kłębek i zaczął płakać.

Pacjent został odprowadzony z powrotem do izolatki. Na oddział pofatygował się nawet profesor Łapiński. Burza, która przetoczyła się nad szpitalem, uniemożliwiła swobodną wymianę zdań. Wielu pacjentów reagowało na grzmoty nerwowo, a jeden z nich — panicznie. Do tego stopnia, że powędrował na pasy, czyli przywiązano go pasami do łóżka.

Po burzy wyszło słońce, ale doktor Tracz tego nie widział, bo spełniając prośbę profesora, spędził niemal godzinę w pomieszczeniu ochrony, przy portierni. Łapiński, głuchy na jego argumenty, złożył kolejny atak

Romanowa na karb wizyty staruszki. W poczuciu, że to kompletna strata czasu, przejrzał nagrania z kamery monitoringu zainstalowanej vis-à-vis wejścia, nad stanowiskiem portiera. Film co chwila się zaciął, ale w końcu udało mu się odnaleźć na nim staruszkę i wydrukować dla profesora kadr, na którym jej sylwetka nie przypominała, jak na większości innych, rozmytej szarej plamy.

— Elegancka pani. Prawdziwa dama — skomentował Łapiński, rozsiadając się w swoim fotelu. Gdyby wsadzić mu do ust cygaro, wyglądałby jak modelowy impresario. Taksował Michała wzrokiem niczym aktorkę debiutantkę. — Romanow nie obraca się w takich kręgach. Myślałem, że będzie w typie tych nawiedzonych, ale nie... Mam do pana jeszcze ostatnią prośbę.

Michałowi udało się powściągnąć irytację, ale zrobił to z najwyższym trudem. Miał na to popołudnie inne plany. Chciał wyciągnąć się z piwem na sofie i obejrzeć serial na Netfliksie.

— Mam popytać, czy ktoś ją zna?

— Nie. To zadanie w sam raz dla tego bałwana Karnowskiego. — Profesor wstał i podszedł do okna. — Pana chciałbym poprosić tylko o małą przysługę. Widzi pan go?

Szpitalny park po burzy skrzył się srebrem. Efekt wywołało słońce, odbijając się w niezliczonych kałużach, a nawet w pojedynczych kroplach. Alejką spacerowało kilku pacjentów, chciwie wciągając naozonowane powietrze. Jeden stał na uboczu, z nosem w telefonie. Michał bez trudu rozpoznał w nim Łukasza Komara. To jego wskazywał paluchem profesor.

— Mam z nim pogadać?

— Mógłby pan sprawdzić, w jakiej jest formie? Jego ojciec dzwonił do mnie już pięć razy... Poszedłbym sam, ale trochę mi niezręcznie. Ludzie zaczęliby gadać, że kogoś faworyzuję...

Łapiński, jak na psychiatrę, bardzo troszczył się o swoją reputację. Tę uwagę Michał zachował jednak dla siebie. Skinął profesorowi głową, wyszedł z budynku i powlókł się przez szpitalny dziedziniec, zastanawiając się, czego młody Komar zażyczy sobie tym razem. Dostępu do PlayStation? Wczoraj, gdy okrzepł, spytał na przykład, czy nie mógłby korzystać ze swojego laptopa. Nie docierało do niego, że jest uzależniony od gier. Choć... w obliczu jego potencjalnego związku z zabójstwem staruszki takie uzależnienie nie wydawało się poważnym problemem.

Michał dotarł do parku i zerknął w stronę budynku szpitala, lecz okno gabinetu profesora było zamknięte. Skierował się do miejsca, w którym widział Łukasza, ale znalazł tu tylko świeży niedopałek. Zanim zdążył się rozejrzeć, usłyszał głośne przekleństwo, a potem klaskanie stóp po mokrym asfalcie. Sanitariusz przemknął tak blisko, że niemal się o niego otarł. Odruchowo ruszył za nim i wtedy zobaczył Łukasza, który — łamiąc kilka odrębnych zapisów regulaminu spacerów po parku — stał przy parkanie i z kimś rozmawiał.

— Zaczekaj!

Był pewien, że Łukasz gada ze swoim nadopiekuńczym tatą, ale sanitariusz nie zareagował. Dopadł do Łukasza i siłą odciągnął od parkanu. Postać po drugiej stronie na moment zastygła, a potem zaczęła szybko się oddalać. To nie był ojciec Łukasza, tylko kobieta. Atrakcyjna i zbyt młoda, by mogła być jego matką. Serce Michała zaczęło bić szybciej.

— Proszę pani, chwileczkę! — krzyknął, ale w odpowiedzi przyspieszyła kroku. Odwrócił głowę w kierunku Łukasza. — Kto to był?

Łukasz, wciąż w żelaznym uścisku sanitariusza, nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie wzburzonego. Jego pierś unosiła się i opadała, a wargi drżały niczym na kilkunastostopniowym mrozie. Psychiatra nabrał

pewności, że kobieta nie była przypadkową koleżanką, tylko kimś ważnym. Bardzo ważnym.

— Zabierz go, okej? — poprosił, a gdy sanitariusz kiwnął głową, podbiegł do parkanu i niczym mała podciągnął się na rękach. Na górze nie było drutu kolczastego, bo przecież nie było to więzienie. Zgodę na spacer dostawali tylko ci pacjenci, którzy nie sprawiali kłopotów. Łukasz właśnie wykreślił się z tej listy. — Niech pani zaczeka!

Zeskoczył na chodnik i bez trudu ją dopędził. Trudno uciekać na dziesięciocentymetrowych szpilkach.

— Kim pani... dla niego jest? — wydyszał.

Kobieta zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. Była ładna. I chyba nieco starsza od Łukasza. Niewiele, ale zawsze.

— Nikim.

— Proszę nie odchodzić. Jestem lekarzem. Chcę mu pomóc. Rozmowa z partnerką... poznanie jej punktu widzenia może mieć ogromne znaczenie terapeutyczne.

Kobieta usiłowała go wyminąć. Odruchowo zastąpił jej drogę.

— Czy pani jest jego partnerką?

— Puszczaj, gnoju!

— Proszę pani...

— Odpierdol się. Bo będę krzyczeć.

Odpuścił, ale nie dlatego, że nie chciał zbiegowiska. Wstrząsnął nim prymitywny, wulgarny język. O Łukaszu można było powiedzieć wiele, ale nie to, że jest prymitywny czy wulgarny. A ta kobieta... Takie zachowanie przywodziło na myśl osoby z marginesu. Patrzył, jak odchodzi, a potem, gdy znikła za budynkiem, znów wdrapał się na parkan. Miał audytorium, złożone głównie z pacjentów, ale w ogóle się nie przejął. Nie słyszał pojedynczych śmiechów i oburzonego dyszkantu pacjentki, która

twierdziła, że lekarzowi nie wypada. Myślami był daleko stąd. Zrozumiał, że nie obejrzy dzisiaj serialu.

Łukasz Komar był zagadką. Należało ją rozwiązać.

Laura wspięła się na palce i podniosła rurę odkurzacza. Stołek niebezpiecznie pod nią zachybotał, ale misja zakończyła się sukcesem — pajęczyna zniknęła, odsłaniając ciemne kropki wżerającego się w ścianę grzyba. Korzystając z patentu, który opracowała już wiele lat temu, umieściła na rurze odkurzacza szmatkę nasączoną preparatem grzybobójczym i — wciąż walcząc z tym cholernym kulawym stołkiem i ściągając ją ku podłodze grawitacją — zaczęła polerować zainfekowany fragment ściany, aż znów stał się biały. Wtedy odłożyła rurę i wierzchem dłoni otarła czoło. Zadanie byłoby łatwiejsze, gdyby sufit znajdował się niżej niż trzy i pół metra nad podłogą, ale tak kiedyś budowano. Kamienicę, w której mieszkał ojciec, wzniesiono w latach trzydziestych. Była solidna, lecz zaniedbana, a wewnątrz mieszkania od lat dopominało się o remont.

Sufit był jednym z ostatnich akordów jej cotygodniowej aktywności. Zostały jeszcze tylko kwiaty. Opuściła maleńką łazienkę uzbrojona w plastikową konewkę. U taty stało dużo kwiatów w doniczkach. Większość przyniosła tu sama.

— Wyspałeś się?

— A która jest godzina?

— Jedenasta.

— Ach, skoro tak, to... tak. Wyspałem.

Tata popatrzył na nią z łóżka, które w jego wypadku było nie tylko legowiskiem, lecz także miejscem pracy. Na kołdrze leżały w nieładzie kartki zadrukowanego papieru, a na nocnej szafce u wezgłowia — otwarty laptop, który podarowała mu dwa lata temu na sześćdziesiąte urodziny.

Ojciec uwielbiał powtarzać, że zarabia na chleb, pracując w łóżku. Uważał to za bardzo śmieszne. Do śmiechu nie było tylko jego choremu kręgosłupowi, ale Antoni Woźniak już dawno przestał się nim przejmować. W przeciwieństwie do Laury.

— Do której pracowałeś? — spytała, poprawiając poduszki.

— Chyba do czwartej. Było już jasno i śpiewały ptaki. Siedem stron, wiesz? Twój staruszek nie jest jeszcze zupełnie do niczego.

— Brawo. — Cmoknęła go w czoło. Skórę miał pomarszczoną i suchą jak stary pergamin. — Co tłumaczyłeś?

— Fantastykę.

— Fajną?

— Martin to to nie jest — westchnął, a potem podciągnął podkoszulek i zaczął rozmasowywać brzuch.

Był tak chudy, że bez trudu mogłaby policzyć mu zębra.

— Chcesz do łazienki?

— Poradzę sobie. — Zignorował wyciągniętą rękę i z trudem się podniósł. Plecy w górnej części wyginały się w łuk, a w dolnej były nienaturalnie wklęsłe. Budziły skojarzenie z literą S. — Zawsze sobie radzę. Nie jest ze mną jeszcze tak źle.

— Może i nie, ale jakbyś pozwolił mi zatrudnić kogoś do pomocy...

— Nie zaczynaj kłótni, córeczko. Nie jest mi potrzebna żadna cholerna pielęgniarzka.

Pełne bólu stęknienia, które towarzyszyły każdemu jego ruchowi, zdawały się zadawać kłam wygłoszonemu z taką swadą stwierdzeniu, ale Laura wiedziała, że ślepy upór tylko pogorszy sprawę. Na ojca działała wyłącznie łagodna perswazja. Sięgnęła po konewkę i podeszła do okna wychodzącego bezpośrednio na przedszkole, do którego chodziła w tych dawnych, dobrych czasach, gdy stanowili szczęśliwą rodzinę: ona, Karol,

tata i mama. Pozornie szczęśliwą, bo wiedziała, że matka już wtedy przeżywała pozamałżeńskie przygody. Przez chwilę obserwowała dzieci wychodzące dwójkami na plac zabaw, a potem zaczęła podlewać. Kwiaty dawały temu biednemu, bezosobowemu wnętrzu odrobinę życia.

Bez nich byłoby tu jeszcze smutniej.

Mieszkanie miało dwa pokoje, ale mimo wysokich sufitów odniosła wrażenie, że jest strasznie ciasne. Gdy była mała, wydawało jej się pałacem, teraz jednak bardziej kojarzyło się z psią budą. Nie wytrzymywało porównania z ursynowskim apartamentem matki. Mieszkania doskonale oddawały to, co wydarzyło się po rozwodzie. Matka rozkwitła, a ojciec podupadł, nie tylko na zdrowiu, ale i na duchu. Może dlatego od zawsze trzymała jego stronę. Chciała z nim być już jako nastolatka, chociaż często wiązało się to z tym, że była głodna. Zwłaszcza wtedy, gdy dopadała go depresja, czyli w dawnych czasach — bardzo często.

— Tato, czy babcia z dziadkiem mieli jeszcze jedno dziecko? Takie, które... umarło?

Najbardziej zawiłe sprawy miewają trywialne rozwiązania, ale w tym wypadku tak nie było.

— Pierwsze słyszę — odparł ojciec, odstawiając laskę ortopedyczną. Kiedyś korzystał z niej tylko na spacerach, teraz towarzyszyła mu także w domu. — Nie, chyba bym wiedział. Mama by wiedziała, a kiedyś... Kiedyś mówiliśmy sobie wszystko.

Nie dała się nabrać na jego z pozoru obojętny ton. Do oczu napłynęły mu łzy. Na regale wciąż stało jej zdjęcie. Chociaż rozstali się kilkanaście lat temu — prawie dwadzieścia — to wciąż nie umiał o niej zapomnieć. I chyba nadal ją kochał.

— Babcia miała na Powązkach dodatkowy grób. Dziecięcy.

— Dziecięcy? Może na urnę. Zawsze mówiła, że po śmierci mają ją



spalić.

— Poważnie? — zdziwiła się Laura. — Nie słyszałam.

— Twoja babcia była dziwna. Nie lubiłem jej, zresztą z wzajemnością. Kiedy zatrudniłem się w Staszicu, udawała, że mnie nie poznaje. A na naszym ślubie powiedziała, że małżeństwo to stan przejściowy.

— Może miała na myśli swoje małżeństwo?

Tata parsknął śmiechem. Łzy znikły.

— Może i tak.

— Tato, na tym grobku leżą kwiaty. Mnóstwo kwiatów.

Uśmiech zniknął. Zamiast niego na twarzy ojca pojawiło się niedowierzenie.

— Może... Nie, to niemożliwe.

— Co jest niemożliwe?

Podrapał się po siwej szczecinie zarostu. A potem, z błyskiem w oku, pokuśtykał do stolika, na którym Laura postawiła termos z kawą i kanapki. Zaczął od kawy. Pociągnął pierwszy łyk i westchnął z rozkoszą.

— Jesteś kochana.

— A ty zmieniasz temat...

— Bo to... niesmaczne, ale skoro chcesz... Wiesz, że dorastałem pod Serockiem, prawda? Moja wieś nazywała się Karolino. Cały czas, jak mniemam, tak się nazywa. Gdy chodziłem do szkoły, mijałem przydrożną kapliczkę. Zawsze starałem się zdążyć przed zmrokiem.

Wbrew sobie Laura poczuła, że chce poznać ciąg dalszy tej historii, chociaż — przynajmniej na razie — nie miała nic wspólnego z babcią i bezimiennym grobem. Ojciec miał magnetyzujący głos. Kiedyś pracował jako wykładowca akademicki na filologii angielskiej. Umiał opowiadać.

— Bałem się tak bardzo, że kiedy przychodziła zima i wcześniej się ściemniało, wybierałem inną drogę, naokoło, o kilometr dłuższą. Ale

widzisz, było się czego bać, bo na skraju wsi, pod lasem, żył sobie starzec nazwiskiem Matuszewski, który wiele lat wcześniej stracił w wypadku dłoń. Podobno odciął ją sobie kosą, ale nie to jest najważniejsze. Wiesz, co w dawnych czasach robiono z odciętymi kończynami?

— Wkładano w lód, a potem przyszywano?

Żartobliwie pogroził jej palcem.

— Otóż nie, moja damo. Grzebano je w ziemi, i to nie w zwykłej, tylko poświęconej. Zazwyczaj właśnie przy kapliczkach.

— I ręka tego Makuszyńskiego...

— Matuszewskiego — sprostował. — Tak, zgadza się. Zakopano ją przy tej kapliczce. Bałem się, że wyskoczy z ziemi i chwyci mnie za gardło. Nie śmiej się. Przez pewien czas budziłem się z krzykiem...

Urwał i dołączył do Laury. Przez chwilę, jak tyle razy przed laty, w mieszkaniu rozbrzmiewał ich szczery śmiech. Laura opanowała się pierwsza.

— Przyznaję, ta opowieść jest trochę niesmaczna, ale... co ona ma wspólnego z babcią?

— Nie z babcią, tylko z dziadkiem. — Również spoważniał. — Naprawdę nie wiesz?

— O czym?

— Twój dziadek nie miał dwóch palców. Stracił je w wyniku jakiegoś wypadku w Filtrach.

Popatrzyła na ojca ze zdumieniem.

— Sądzisz, że...

Nie dokończyła, bo to było niedorzeczne. Owszem, babcia mogła potajemnie zakopać w ziemi ucięte palce. Mogła postawić na nich pomnik. Zasadzić drzewko. Cokolwiek.

Ale przecież nie zamawiałyby zniczy i kwiatów.

Po śniadaniu jak zawsze wyszli na spacer. Zbierało się na burzę, ale przecież nie odchodzili daleko. Ruszyli niespiesznie Lelechowską, w kierunku jej dawnej podstawówki.

— Co to był za wypadek?

— Twojego dziadka? Nie mam pojęcia. Na pamiątkę zostały mu ucięte palce. Wskazujący i środkowy. No i blizna na policzku. Na mrozie zawsze robiła się fioletowa.

— Czy wiesz, że został zamordowany?

Antoni Woźniak przez chwilę kroczył w milczeniu.

— Jeśli pytasz, czy wiem, to moja odpowiedź brzmi: nie. Nie wiem, ale zawsze się tego domyślałem. Milicja zadawała dziwne pytania. Ja też je zadawałem, ale w rodzinie panowała zmowa milczenia. Jak zwykle stała za tym babcia.

— Słucham?

— Nie oburzaj się tak. Stwierdziłem tylko fakt. W tej rodzinie zawsze za wszystkim stała twoja babcia. Jeśli ktoś, tak jak ja, nie chciał się jej podporządkować, to lądował na aucie. Na marginesie rodziny. Boże, jak ja jej nie znosiłem...

— Zabroniła wam rozmawiać o śmierci dziadka?

— Powiedziałbym, że wprowadziła embargo na informacje. Gdy dziadek umarł, wszyscy byliśmy poza Warszawą. My w Zakopanem, Jareczek w Londynie... Na miejscu była tylko babcia. Słyszałem plotki.

— Plotki?

— Ten sąsiad milicjant mówił, że w mieszkaniu były ślady libacji. Z udziałem kobiet. Temat był wstydlivy, więc mówiło się o tym wyłącznie szeptem.

— Czy to możliwe, że dziadek wcale nie umarł?

Ojciec aż się zatrzymał.

— No coś ty...

— Wujek Jarek mówił, że krążyły plotki, jakoby do grobu włożono pustą trumnę.

— Zapewniam cię, że nie była pusta. Sam ją niosłem, wtedy jeszcze mogłem.

— To może leżał w niej ktoś inny? Może ktoś podobny?

— Wątpię. Twój dziadek był bardzo charakterystyczny. Miał kilka znaków szczególnych. Bliznę i...

— Niekompletne palce — dokończyła Laura, przypominając sobie, co pan Kazimierz mówił jej o identyfikacji zwłok.

Jeżeli w trumnie leżał ktoś inny, to też nie miał palców i odznaczał się blizną na policzku. Taka zbieżność była prawie niemożliwa.

— Wiesz, że twoja babcia nie pofatygowała się na pogrzeb?

— Słyszałam. Ludzie chyba się dziwili, prawda?

— Kto znał ich lepiej, wcale się nie dziwił. Żyli jak pies z kotem. Masz te stare bułki?

— Tato, nie wolno dokarmiać gołębi. A już na pewno nie starą, spleśniałą bułką.

— Nic im nie będzie.

Odebrał jej reklamówkę, którą miała wyrzucić do zsypu, i cisnął pieczywo gołębiom. Natychmiast zleciało się ich więcej. Przykryły trawnik niczym szary, ruchomy dywan.

— Dziadek był lowelasem, tak?

— Tak się mówiło, ale ja nigdy nie widziałem go z kobietą. Jeśli romansował, to był dyskretny.

— No chyba nie bardzo. Mama mówiła o maturzystce ze Staszica.

— A nie mówiła, że babcia wcale nie była tak popularną nauczycielką, jak zwykła powtarzać? Pamiętam tamtą maturzystkę. Chciała zrobić babci

na złość podczas studniówki na sali gimnastycznej. Twój dziadek opieprzył ją przy wszystkich i kazał zapiąć bluzkę. I to by było wszystko, jeśli chodzi o ten domniemany romans.

— Mama przedstawiała to inaczej.

— Nie było jej przy tym. A ja byłem. Twój dziadek był dziwnym człowiekiem. Siedziały w nim dwie osobowości. Raz był budzącym postrach dygnitarzem, dyrektorem potężnego zakładu, a innym razem zwykłym pantoflem.

— Kim?

— Pantoflem. Pantoflarzem. Cholernie bał się babci. I kiedy tylko mógł, to jej unikał. Mam wrażenie, że pół życia spędzał w pracy, a drugie pół w kościele.

— W kościele?

Laura była tak zaskoczona, że odruchowo przegnała ocierającego się jej o buty gołębia. Ojciec spojrział na nią z urazą. Kochał te obsraluchy miłością, która powinna być zarezerwowana dla najbliższych. Był bardzo samotny. Oprócz niej i swych tłumaczeń miał tylko je. Gołębie.

— Tak, u Świętego Jakuba. Był tam stałym gościem. Po imieniu z proboszczem.

— A babcia chyba...

— Twoja babcia twierdziła, że gdyby przekroczyła próg kościoła, stanęłaby w płomieniach... Nie bój się. One nie są groźne.

Dla świętego spokoju pozwoliła, by gołębie odcięły jej drogę odwrotu. Teraz stali pośrodku pierzastego morza.

— Lubiłeś go?

— Współczułem mu. Twoja babcia... świeć Panie nad jej duszą, była autokratką. I nadmiernie dbała o pozory. Jeśli nawet romansował, to i tak

nie był w ich związku tym złym. Zła była ona. Krysieńka, tak właśnie ją nazywał.

Podąła ojcu ramię, ale on pokręcił głową i wskazał na wejście do klatki. Ich spacery były coraz krótsze. Ojcu obok bólu dokuczał także krótki oddech. Chociaż minęły cztery miesiące, wciąż nie doszedł do siebie po covidzie, który mu przywlekła.

— Chcesz jeszcze coś ze sklepu? I tak miałam iść na zakupy — skłamała, bo wiedziała, jak bardzo to go krępuje, że bez jej pomocy jest bezradny jak dziecko.

— Przecież już wszystko przyniosłaś.

— Tylko obiady. Może masz ochotę na jakieś owoce? Chcesz mango?

Z czułością dostrzegła, że pojaśniały mu oczy. Uwielbiał mango. Nieśmiało zaprzeczył, twierdząc, że niczego nie potrzebuje, a potem zachwiał się na nogach.

— Wszystko w porządku? Tato, co to było?

— Za długo wczoraj siedziałem. Odprowadzisz mnie do domu?

Zanim weszli po schodach, spływała potem. Ojciec miewał takie chwile słabości. Być może była to pozostałość po przewlekłej depresji.

— Co u niej słyhać? — spytał, gdy pomagała mu rozsznurować buty.

Nie musiał precyzować, o kogo chodzi. Zawsze interesował się tylko nią.

— Pojechała do Hani, do Gremzdów.

— Z tym bucem?

Męża matki można było określać na wiele sposobów, ale akurat ulubiony epitet ojca — buc — był wyjątkowo źle dobrany. Marcel Lubecki był eleganckim światowcem, dystyngowanym ambasadorem, a przy tym — co Laura przyznawała z niechęcią — człowiekiem zaskakująco jak na swoją pozycję społeczną ciepłym i sympatycznym.

— Daj spokój, tato. Mogła trafić gorzej.

Zacisnął szczęki. Miła atmosfera, której nie zepsuły nawet gołębie, nagle się ulotniła. Ojciec wpadał w milczący stan, w którym potrafił trwać godzinami. Nie chciała, by tak się zadreślał.

— Widziałam się z Karolem. Odgrażał się, że cię odwiedzi.

Prawda była nieco inna. To ona zagroziła, że jeśli brat nie odwiedzi ojca, to nie pożyczy mu samochodu, którym miał pojechać do matki na Suwalszczyznę. Dopiero wtedy, niechętnie, zobowiązał się tu wpaść, w bliżej nieokreślonej przyszłości.

— Zawsze był syneczkiem mamusi.

— Chciałeś powiedzieć maminsynkiem, tak? — Uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej tym samym. Napięcie zelżało. — Pomieszkuje teraz u babci. Chyba znowu coś narozrabiał. Jedyne, o czym myśli, to spadek. Wiesz, z tym spadkiem to w ogóle ciekawa historia, bo...

Wysłuchał w milczeniu jej relacji o dziwnych zapisach dla firmy poszukiwawczej niejakiego Pietrzyka. Nazwisko nic mu nie mówiło.

— Babcia miała świra na punkcie historii rodu. Doszukiwała się herbowych korzeni, ale chyba z tym herbem było jednak coś nie tak, bo nigdy nie potrafiła go nazwać, ani nawet opisać. Może chodziło o genealogię.

— Zamówiła u detektywa drzewo genealogiczne? Za kwotę równą połowie majątku?

— Sama mówiłaś, że po tym majątku zostały tylko skrawki... Zresztą... Nie wiem. Ale na pewno nie wynajęła tej firmy, by odszukać dziadka. On umarł.

W duchu po raz kolejny przyznała mu rację. Ale przewrotna natura nie pozwalała jej zaakceptować wiarygodniejszego wyjaśnienia.

— A może szukała zabójcy dziadka?

— Musiałyby wiedzieć, kto nim był. O ile rzeczywiście to było

morderstwo...

— Było. Zabójca został skazany.

Ojciec wybałuszył oczy.

— Skąd wiesz?

— Od Sobeckiej. A ona od swojego męża.

— Tego milicjanta?

— Tak jest. Jeśli nazwisko zabójcy znał on... i ta plotkara Sobecka, to na pewno znała je też babcia. Tym bardziej że było charakterystyczne.

Role się odwróciły. Teraz to on słuchał jej z otwartymi ustami.

— W jakim sensie... charakterystyczne?

— Geograficznie. Nazywał się Alfred Warszawski.

Usta ojca pozostały otwarte. Trwał z tą idiotyczną miną dobre kilka sekund.

— Znałem kogoś takiego — powiedział wreszcie. — Alfred Warszawski. Koledzy, zwracając się do niego, używali zdrobnienia, które, nie wiedzieć czemu, bardzo mnie bawiło. Alfredek... Śmiesznie, co?

Laura nie podzielała jego wesołości. On również szybko spoważniał. Alfredek okazał się mordercą.

— Jacy koledzy?

— W szkole. Warszawski był uczniem liceum Staszica. Moim uczniem... Ale dosyć krótko. Wyrzucili go. Za udział w bójce.

— Bójce? Z kim się bił?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że był łobuzem, który nigdy nie powinien trafić do tak elitarnej szkoły.

Laura darowała sobie komentarz o tej rzekomej elitarności. Staszic nie był szkołą, do której chodziły tylko grzeczne dzieci. Uczniowie byli różni, lepsi i gorsi. Jak wszędzie.

— Kiedy to było?



Ku jej zdziwieniu odpowiedział dokładnie.

— Na przełomie osiemdziesiątego czwartego i piętego. W pierwszym roku mojej pracy.

Ojciec, który był już wtedy asystentem na anglistyce, nie zatrudnił się w liceum, by nauczać języka Szekspira. Jedynym właściwym językiem obcym, jeśli chodzi o języki współczesne, był wtedy rosyjski. Ale ojciec miał supermoc. Obok angielskiego znał jeszcze języki klasyczne: łacinę i grekę. W Staszycu był właśnie nauczycielem łaciny, czyli — chyba tak się mówiło — łacinnikiem.

— Czy ten chłopak znał babcię? Albo dziadka?

— Babcię znał na pewno. Znali ją wszyscy uczniowie, nawet ci, których nie uczyła. Była... No cóż, charakterystyczna. A co do dziadka... Trudno powiedzieć. Skoro go zabił, to pewnie miał, przynajmniej w swoim mniemaniu, ważny powód. Ergo, musiał go znać.

Laura poczuła mrowienie. Miała z babcią coś wspólnego. Też frapowała ją historia rodziny. A w szczególności rodzinne tajemnice.

— Tylko skąd?

Ojciec wzruszył ramionami.

— Twój dziadek czasem zjawiał się w szkole. Nie z własnej woli, tylko na polecenie babci.

— Na przykład na studniówce.

— Owszem, ale nie tylko. Nie zapominaj, że to kameralna okolica. Mogli poznać się poza szkołą. Choćby i u Jakuba.

Przez chwilę przeszukiwała pamięć w poszukiwaniu mężczyzny o tym imieniu, aż wreszcie skojarzyła, co ma na myśli.

— U Świętego Jakuba? W kościele?

Ojciec pokiwał głową.

— To prawdopodobne, bo przecież twój dziadek bywał tam na okrągło,

a Alfred...

— Co Alfred?

— On też tam bywał. Widywałem go regularnie, już po tym, jak wyrzucili go ze Staszica. Przynajmniej do pewnego momentu. Potem rzeczywiście zniknął na dobre.

— Poszedł do więzienia. — Laura popatrzyła na ojca z nieudawanym podziwem. Odgrzebywał wspomnienia sprzed ponad trzydziestu lat i szło mu naprawdę nieźle. — Ale ty masz pamięć...

Odpowiedział jej skromnym uśmiechem.

— Zapamiętałem go, bo to było dziwne. Był łobuzem. Chuliganem. A jednak w kościele zgodzili się, by służył do mszy.

— Był ministrantem?

— Tak. Widocznie proboszcz postanowił dać mu szansę na odkupienie win. Wygląda na to, że jej nie wykorzystał, co?

Podczas rekrutacji do Phisenbaum Labs Laura musiała rozwiązać piekielnie skomplikowany test na inteligencję. Choć nigdy nie uważała się za osobę szczególnie uzdolnioną, ku swojemu zdumieniu uzyskała doskonały wynik. W tej sytuacji błyskotliwy umysł był niepotrzebny. Nawet ktoś średnio rozgarnięty z łatwością powiązałby fakty. A fakty były takie, że kiedyś, przed laty, w środowisku związanym z liceum Staszica zaszło coś, co doprowadziło do konfrontacji dwóch zupełnie odmiennych osobistości. Mężczyzny o wątpliwej reputacji, czyli jej dziadka, i szkolnego łobuza ze skłonnościami do przemocy.

Dwa plus dwa zazwyczaj dawało cztery.

Teorię, która narodziła się w jej głowie, nietrudno było potwierdzić. Wystarczyło skonfrontować ją z kimś, kto w tamtych czasach był uczniem Staszica. Tak się składało, że absolwentami tej szkoły była znaczna część

rodziny. Nie tylko ona i Karol, ale także mama, wujek Jarek i — chyba — ciocia Monika. Czekaając, aż zwolni się miejsce przy koszu z mango, Laura przez chwilę dokonywała obliczeń. Wujek i mama byli już wtedy absolwentami, a ona sama i Karol... ich nie było wówczas nawet w planach. W czasach, gdy jej ojciec zaczynał pracę w Staszycu, w wieku szkolnym była ciocia Monika. Traf chciał, że biblioteka, w której pracowała, znajdowała się kilka przecznic stąd.

— I tak są brzydkie — mruknęła sama do siebie, zerkając na mango.

A potem wyszła z Hali Kopińskiej i ruszyła Białobrzeską przez miejsca, które знаła z dzieciństwa. Minęła swoją podstawówkę, plac zabaw, który odwiedzała z mamą, tatą i bratem łobuziakiem, i budynek, w którym kiedyś znajdowała się apteka, a teraz — ośrodek pomocy społecznej. Nieopodal biblioteki uświadomiła sobie, że popełniła niewybaczalny błąd w obliczeniach. Ojciec podjął pracę w Staszycu w osiemdziesiątym czwartym, i to wtedy — jak wynikało z jego słów — doszło do incydentu na studniówce. W osiemdziesiątym... piątym roku, bo studniówki organizowano zazwyczaj w lutym. Dziadek Julian zginął dwa i pół roku później, w lipcu osiemdziesiątego siódmego. Mówią, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, ale chyba nie aż tak?

W tym rozumowaniu istniała luka.

Włożyła maseczkę i weszła do osiedlowej biblioteki, pierwszy raz od dobrych kilku lat. Sądziła, że miejsca takie jak to ucierpiały w wyniku pandemii na równi z lokalami gastronomicznymi, ale między półkami dostrzegła kilka głów, a przy ladzie, za którą siedziała bibliotekarka, uformowała się kolejka.

— Laura? — Bibliotekarka, która mogłaby być jej babcią, podniosła się i ruszyła w jej stronę. Uśmiechała się przyjaźnie, ale nagle spoważniała. — Przyjmij, proszę, moje kondolencje.

— Dziękuję — odparła Laura, zastanawiając się, czy w tej sytuacji to odpowiednie słowo. Uznała, że tak. — Zastałam ciocię?

— Poszła na Zieleniak. Na bazar pod Halami Banacha.

Laura dobrze знаła określenie Zieleniak, chociaż dziś stosowali je już tylko najstarsi mieszkańcy Ochoty. To właśnie tam, na terenie istniejącego do dziś targowiska, złożona z rosyjskich kolaborantów brygada RONA wymordowała w bestialski sposób tysiące mieszkańców dzielnicy w tragicznej rzezi Ochoty. Po tym, jak poczytała sobie o tamtejszych dramatach, nie lubiła tam chodzić. Chociaż bazar przy Halach Banacha niczym się nie różnił od innych bazarów, nie umiała wyrzucić z głowy, że w miejscu budek z warzywami kiedyś leżały stosy trupów. Ciała starców, młodych mężczyzn, dzieci i dziewcząt — te ostatnie z sukienkami zarzuconymi na głowę.

Ciotkę odnalazła przy stoisku z mięsem. Sprzedawczyni w poplamionym fartuchu ważyła dla niej mało apetyczny kawał mięsa. Gdy położyła go na ladzie, natychmiast zjawiły się muchy. Machnęła ścierką, ale muchy odleciały tylko na moment.

— Ach, to ty.

W głosie zaskoczonej ciotki wyczuła napięcie i nutkę rezygnacji. Zanim zdążyła się zdziwić, dostrzegła siatki — ciotka była obładowana niczym wielbłąd.

— Pogotowie zakupowe — powiedziała pogodnie, odbierając od niej znaczną część bagażu. — Co ty kupowałaś? Kamienie?

Ciotka wyciągnęła z portfela przetartą dwudziestozłotówkę. W takich miejscach nie płaciło się kartą.

— Głównie warzywa. — Uśmiechnęła się przepraszająco. — Wygląda na to, że przeceniłam swoje siły.

Na wierzchu najcięższej z toreb Laura dostrzegła jakieś ciuchy, ale nie

wnikała, po co ciotce tandeta z bazaru.

— Powinnaś wziąć do pomocy wujka.

— Niestety. Wyjechał w interesach.

Przepuściła ciotkę przodem, starając się manewrować w taki sposób, by jak najprędzej wydostać się z tłumu. W miejscach takich jak to może i nie akceptowali kart kredytowych, ale łatwo można było je stracić — razem z całym portfelem.

— Ciociu, czy ty chodziłaś do Staszica?

Ciotka nie usłyszała, więc Laura ponowiła pytanie, gdy wydostały się z tłumu. Między nitkami Grójeckiej było stąd widać pomnik Barykady Września.

— Niestety, nie wpisuję się w tradycję rodzinną. — Ciotka chciała rozłożyć ręce, ale nawet te dwie siatki, które jej zostały, okazały się zbyt ciężkie. — Skończyłam technikum kolejowe przy Wery Kostrzewy... Tak wtedy nazywała się ulica Bitwy Warszawskiej.

Laura w okamgnieniu przypomniała sobie wszystkie złośliwe uwagi babci. Babcia Krysia nie kochała synowej choćby przez jeden dzień swojego życia. W chwilach, gdy nie nazywała jej dewotką, używała określenia „kolejarka”, które — jak się okazało — nawiązywało do wykształcenia. Oczywiście określała tak ciotkę wyłącznie pod jej nieobecność. Zwracając się bezpośrednio do niej, używała fałszywego „kochanie”.

Ciotka nie miała z nią lekko. Gdyby nie ciężkie siatki, Laura spontanicznie by ją objęła.

— Wychowywałaś się na Ochocie, prawda?

— Przecież wiesz. — Ciotka oparła swoją siatkę o ławkę starego przystanku autobusowego i wskazała na wyłaniającą się z za pomnika Barykady szarą bryłę siedmiopiętrowego budynku z lat pięćdziesiątych.

Z ich perspektywy widać było jedynie fragment, w rzeczywistości budynek ciągnął się dobre dwieście metrów dalej, aż do Przemyskiej. — Zdaje się, że byłaś nawet w mieszkaniu po moich rodzicach.

Laura pokiwała głową. Ta wizyta miała miejsce dawno temu, ale dobrze ją zapamiętała. Przede wszystkim dlatego, że to, co ciotka nazwała mieszkaniem, w rzeczywistości było maleńką klitką. Na kilkunastu metrach kwadratowych mieścił się kuchniopředpokój, mikroskopijna łazienka z brodzikiem i pokój, w którym jakimś cudem zmieścił się stolik i trzy łóżka. Laura nigdy nie widziała czegoś takiego. Architekt, który zaprojektował takie wnętrza, zasługiwał na nagrodę. Za minimalizm.

To była druga rzecz, za którą babcia Krysia tak nienawidziła swojej synowej. Ciotka Monika nie tylko nie miała odpowiedniego wykształcenia, ale też wywodziła się z biednej rodziny. Z nizin społecznych, jak określała to babcia. Wszystko to było jednak niczym przy trzeciej wadzie. Ciotka była religijna. Parafrazując babcie, pół życia spędzała w kościele. W kościele Świętego Jakuba.

— Czy znałaś kiedyś chłopaka o nazwisku Warszawski? Alfred Warszawski? Był ministrantem u Jakuba... tak ze trzydzieści kilka lat temu.

Ciotka odstawiła siatkę i usiadła na nieczynnym przystanku. Nie było to wymarzone miejsce do rozmowy, ale Laura zapomniała na moment o tragicznej historii Zieleniaka i przetaczających się Grójecką samochodach. Ciotka patrzyła na nią w osobliwy sposób. Z ciekawością, ale też chyba ze współczuciem.

— Mogę wiedzieć, skąd to pytanie?

Laura na moment się zawahała. Ciotka była osobą bardzo uczuciową i trochę niedzisiejszą. Nie chciała wyciągać przy niej rodzinnych trupów z szafy. A poza tym... ta rodzina nigdy nie traktowała jej sprawiedliwie.

— Nie daje mi spokoju to, co usłyszałam ostatnio o śmierci dziadka —

powiedziała powoli, starannie dobierając słowa. — Byłam u Sobeckiej. Twierdziła, że dziadek przed śmiercią był widziany w towarzystwie tego chłopaka. Chciałabym do niego dotrzeć. Może wie coś, co mogłoby pomóc...

Ciotka pokręciła gniewnie głową.

— To przez wujka... Namieszał ci w głowie tą opowieścią o pustej trumnie, a prawda jest taka, że nie był nawet na pogrzebie. Nie zdążył. Kiedyś nie dało się wrócić z Wielkiej Brytanii ot tak, w jeden dzień.

— A ty uczestniczyłaś w tym pogrzebie?

— Oczywiście, że nie. Nie chciałam narażać się twojej babci. Widzisz, nie byliśmy jeszcze z wujkiem małżeństwem. Odwiedziłam go w Anglii na zaproszenie przyjaciół, mieliśmy już wyznaczoną datę ślubu, ale twoja babcia wierzyła, że uda jej się jeszcze go zniechęcić. Bardzo się starała.

Laura nie była tym szczególnie zdziwiona. To było takie... babcine.

— To nie był odpowiedni moment, by się pojednać? — spytała nie do końca pewna, czy ciotka nie warknie, że to nie jej sprawa.

Nie warknęła.

— Miałam wtedy dwadzieścia lat. Pojęcie makiawelizmu było mi obce. Nie chciałam wchodzić w rodzinną żałobę. Na pewno nie sama, bez Jarka.

— Ta żałoba nie była chyba zbyt głęboka, prawda?

— Ale wtedy tego nie wiedziałam — wyjaśniła, a potem popatrzyła Laurze prosto w oczy. — Wszystko w porządku, moja droga?

Laura uciekła wzrokiem. Zdała sobie sprawę, że oczy ma pełne łez. Najgorsze było to, że nie umiała nic z tym zrobić. Przełknęła ślinę.

— Biorąc pod uwagę okoliczności... Tak, wszystko w porządku.

Ciotka przyglądała jej się przez chwilę. Obcowanie z książkami uczyniło ją wrażliwszą od większości ludzi. Wyczuwała emocje, z których inni nie zdawali sobie sprawy. I potrafiła być bardzo delikatna.

— Mam nadzieję, że się nie winisz? — szepnęła.

Było w niej coś takiego, co sprawiało, że chciało się do niej przytulić. I Laura zrobiła właśnie to — mocno się przytuliła. Ciotka pogładziła ją po włosach.

— Przecież nie mogłaś być przy babci przez cały czas.

— Czy ja wiem? Może powinnam. Wszyscy powyjeżdżaliście, więc na miejscu miała tylko mnie. — Pociągnęła nosem. — Widziałam, że zachowuje się inaczej niż zwykle. Był w niej jakiś taki... niepokój. Mogłam przynajmniej z nią pogadać. Wszystko przez ten cholerny pośpiech, to tempo życia. Zostawiłam tort, wyszłam... i zainteresowałam się nią dopiero po kilku dniach.

Ciotka przyłożyła palec do ust.

— Cichutko, kochanie. Naprawdę nie masz powodu, by się obwiniać. Takie jest życie, każdy ma swoje problemy. A ty przynajmniej się nią zainteresowałaś, nieważne, że po kilku dniach. Inni... ja, wujek, twoja matka, Karol... nie zrobili nawet tego.

— Nie lubię porównywać się do innych.

— Wiem. Zawsze chodziłaś swoimi drogami. Teraz też, prawda? Dziadek to tylko fasada, prawda? To nie jego śmierć cię interesuje, tylko śmierć babci, mam rację?

Laura, wciąż wtulona w ciotkę, pokiwała głową. A potem postanowiła wziąć się w garść. Nie lubiła się mazgać.

— Dziadek umarł w tym samym miejscu, co ona. Uznałam, że musi być jakaś styczna.

— Dlatego pytałaś o Alfredka?

Laura natychmiast się wyprostowała.

— Znałaś go?

— Oczywiście. Znałam wszystkich ministrantów. Nie wszystkich



pamiętam, ale jego nie da się zapomnieć. To nie był dobry chłopak. Dręczył koty. Życie nauczyło mnie, że ci, którzy znęcają się nad zwierzakami, są jeszcze gorsi od tych, którzy znęcają się nad bliźnimi.

Laura w myślach przyznała jej rację. W obliczu przemocy ludzie są na ogół mniej bezradni od zwierząt.

— Skąd wiesz, że dręczył koty? — spytała z obrzydzeniem.

— Sama widziałam, w kościelnym ogrodzie. Proboszcz w końcu go wyrzucił, a potem bardzo się winił.

— Bo Warszawski poszedł do więzienia?

— Nie wiem. Mówiło się, że zbłądził. Nie odnajdziesz go. On nie żyje.

— Skąd wiesz?

— W kościele była msza za jego duszę. Nie tak dawno, można to sprawdzić. Gdy usłyszałam jego nazwisko, po tylu latach, od razu pomyślałam o tych kotach. Gdybyśmy nie pobiegli wtedy na skargę, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Laura szczerze w to wątpiła, ale nie wypowiedziała tego na głos. Ciotka nie wiedziała, że chłopak, którego nazywała Alfredkiem, miał na sumieniu gorsze grzechy niż znęcanie się nad zwierzętami. Laura postanowiła, że powinno tak pozostać. Ta wiedza nie była ciotce potrzebna, a mogła obciążyć jej sumienie. A ciotka... już ledwo się trzymała. Ręka jej drżała, a w oczach lśniły łzy.

— Byłam dzisiaj u twojej babci. Policja jest już na tropie. Zabrali sprzęty.

— Jakie sprzęty?

— Wyposażenie kuchni. Lodówkę, mikrofalę, ekspres do kawy...

— Po co?

Ciotka nie odpowiedziała. Wyjęła z torebki portfel i przez chwilę

wpatrywała się w jego wnętrze takim wzrokiem, jakby wróżyła ze szklanej kuli.

— Czy to prawda, że Olka wycygała od ciebie jakieś pieniądze?

Laura wzruszyła ramionami.

— Nie chciałam, żeby miała żal do babci...

— To my opłacaliśmy jej pensję. I była regulowana na bieżąco. Ile jej dałaś?

Otworzyła portfel jeszcze szerzej. Laura odniosła wrażenie, że jego zawartość odpowiada kwocie, którą przekazała wczoraj opiekunce.

— Daj spokój, ciociu. Uciekajmy, bo zaraz lunie.

Jakby na potwierdzenie jej słów przez niebo przetoczył się potężny grzmot. Burze tego lata były wyjątkowo spektakularne. Chwyciła siatki i ruszyła wzdłuż Grójeckiej, czując, jak jej bluzkę wydymają poddmuchy ciepłego wiatru. Te poddmuchy usunęły z niej resztkę melancholii, którą wydobyła na światło dzienne ciotka swoimi celnymi uwagami. Laura nie miała obsesji na punkcie śmierci dziadka. To, że poświęcała tyle energii wydarzeniom sprzed wielu lat, wcale nie było oznaką szaleństwa. Woląca działać niż płakać — nawet gdy to działanie miało się sprowadzać do uganiania się za chimerami.

Na szczęście grzmot i wiatr były jedynie zapowiedzią burzy. Zanim dotarły do skrzyżowania, wszystko chwilowo się uspokoiło.

— Do biblioteki?

— Nie, chciałam zostawić zakupy w mieszkaniu.

Mówiąc o mieszkaniu, miała na myśli klitkę po rodzicach. Z przyczyn, które określała mianem sentymentalnych, nigdy się go nie pozbyła. Mieszkanie od lat stało puste i zbierało kurz, podczas gdy ona — wraz z wujkiem — mieszkała w obszernej willi na Mokotowie. Bez sensu, ale kto bogatemu zabroni?

— Pomogę ci.

— Nie trzeba.

Wejścia do klatek schodowych znajdowały się od podwórza. Wchodziło się tam przez bramę, która — choć pociągnięta na kremowo — sprawiała wrażenie ponurej. Pod jedną ze ścian uformowała się kałuża świeżego moczu.

— Cześć, Monia — wychrypiał jakiś drab, uchylając przepoconej czapki z daszkiem.

— Kto to?

— Znajomy z dzieciństwa. Specyficzny klimat, co? Taki... starowarszawski.

Laura określiłaby go raczej mianem menelskiego, ale nie chciała robić ciotce przykrości. Jak chyba każdy, wspominała lata młodości z sentymentem, który zakrzywiał rzeczywistość.

— Często tu bywasz? — spytała, gdy ciotka otwierała drzwi od klatki starym, pordzewiałym kluczem.

— Od czasu do czasu. Dziękuję, kochana. Zostaw zakupy przy windzie. I nie opieraj się o ścianę, bo się usmarujesz.

Na klatce cuchnęło butwiejącymi śmieciami. Zapach dochodził zza drzwi na półpiętrze, za którymi — jak zgadywała Laura — mieścił się zsyp. Obecnie nikt już nie wyrzucał w ten sposób śmieci, ale szyb zsypu wciąż działał jak rura pompująca do wnętrza budynku przykre zapachy ze śmietnika.

— Czy dziadek Julian naprawdę był aż tak religijny?

— Aż tak religijny? — Ciotka spojrzała na nią z charakterystycznym błyskiem w oku. Wśród wielu zalet miała jedną wadę. Uwielbiała ewangelizować. — A czy można być religijnym... tylko trochę?

— Chodzi mi o kontrast. Babcia raczej unikała kościoła.

— A ty swoje. — W korytarzu rozległo się westchnienie. — W tym nie ma żadnej tajemnicy, naprawdę. Twojej babci było z kościołem nie po drodze, za to twój dziadek... Nie wiem, przecież prawie go nie znałam. Widocznie odczuwał potrzebę uczestnictwa we wspólnocie.

— Mój tata twierdzi, że kościół był dla niego czymś na kształt schronienia. Kryjówki przed babcią.

Ciotka nie odpowiedziała uśmiechem na jej mrugnięcie.

— Motywacje bywają różne — skwitowała, a potem wcisnęła przycisk windy. Kilka kondygnacji wyżej rozległo się szczęknięcie. Winda ruszyła w dół. W dół pomknęły również oczy ciotki.

— Czego nie chcesz mi o nim powiedzieć? Chodzi o dziadka czy...

Chciała dopytać, czy aby nie o babcię, ale nie zdążyła.

— Twój dziadek ufundował sztandar ze świętym Dyzmą. Możesz go obejrzeć. Wędruje z procesją przy każdym większym święcie.

— No i co z tego?

Ciotka przez dłuższą chwilę trwała w milczeniu. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy przyjechała winda.

— Nie byłam na pogrzebie, ale tamtego dnia przysłam pod kościół. Było mnóstwo ludzi. Cała załoga Stacji Filtrów. Mszę powinien prowadzić ksiądz Wojtek, opiekun grup modlitewnych. Zawsze to robił, gdy umarł ktoś z naszej wspólnoty, ale tamtego dnia spotkałam go tam. Przed kościołem. Nie odprawiał mszy. Gdy spytałam dlaczego, powiedział mi... — westchnęła w taki sposób, jakby nie była pewna, czy odpowiedź duchownego nie podlegała tajemnicy spowiedzi — że Julian zbłądził. Użył mniej więcej takich słów, a przynajmniej tak to pamiętam. Zbłądził... i zasługiwał na karę.

Laura zawsze sądziła, że religia opiera się na filarze miłosierdzia, tymczasem słowa księdza były brutalne.

— Zaslugiwał na śmierć?

— Tego nie powiedział, ale wyraźnie miał do niego żal. Nie dopytywałam.

Ciotka otworzyła drzwi windy. Zawiasy skrzypnęły, jakby od lat nikt ich nie oliwił. Laura podała jej zakupy, a potem sama wślizgnęła się do środka. Kwestia tego, czy dziadek Julian był dobrym katolikiem, była dla niej drugorzędna. Chciała się tylko dowiedzieć, dlaczego został zabity.

— Ten ksiądz Wojtek...

— Nie żyje. Zmarł wiele lat temu. Nie mówię ci tego wszystkiego, żeby zachęcać cię do grzebania przy tych sprawach. Przeciwnie, uważam, że powinnaś dać sobie spokój. Twój dziadek najwyraźniej nie był wart tego, byś trwonila na niego swój czas, a babcia... — Westchnęła. — Trzeba liczyć na policjantów. I się za nich... — Chciała zapewne powiedzieć, że trzeba się za nich modlić, ale zamiast tego wcisnęła przycisk i winda, głośno trzeszcząc, ruszyła na drugie piętro. — Obiecuj mi, że nie będziesz bawić się w detektywa. To niebezpieczne.

Laura skrzyżowała ukradkiem palce i cmoknęła ciotkę w policzek.

— Obiecuję, ciociu.

— Niech Bóg ci pobłogosławi, moje dziecko.

— To tutaj, prawda?

Ciotka otworzyła drzwi po prawej stronie korytarza, a potem odebrała od niej siatki z zakupami.

— Wybacz, ale cię nie zaproszę — powiedziała, zasłaniając swą korpulentną sylwetką wnętrze mieszkania. — Mam tam straszny bałagan.

— Oczywiście, ciociu. To pa!

Laura zbiegła po schodach i zatrzymała się dopiero na parterze. Była zdumiona... nie, nie zdumiona, tylko wstrząśnięta. Nie sądziła, że tego doczeka.

W mieszkaniu religijnej ciotki Moniki był mężczyzna. Wyraźnie wyczuła zapach wody kolońskiej, a jakby tego było mało, na podłodze w przedpokoju stała miednica, w której moczyły się męskie bokserki.

Wujek Jarek wyjechał przecież w interesach. A poza tym nie lubił odwiedzać tego mieszkania. Niby dlaczego miałyby prac w nim gatki?

Ogrodzony teren Stacji Filtrów liczył ponad trzydzieści hektarów. Trzydzieści hektarów zabudowanej industrialnymi budowlami łąki w samym centrum miasta. W dawnych czasach Laura często biegała wzdłuż muru — jedna pętla miała niewiele mniej niż trzy kilometry, co było idealnym dystansem dla niedzielnej biegaczki. Nigdy jednak nie była za ogrodzeniem. Stacji strzegł nie tylko mur, lecz także rozciągnięte nad nim zasieki drutu kolczastego, a przy bramach czuwali ochroniarze. Wstęp dla osób postronnych ograniczony był do wybranych weekendów wakacyjnych, a kiedy indziej — surowo wzbroniony.

Chociaż przywołała na twarz sympatyczny uśmiech, strażnik był nieprzejezdny. Patrzył na nią spod nasuniętej na oczy czapki z daszkiem niczym na upierdliwą wariatkę.

— Pani Lauro... — Oddał jej dowód, który usiłowała mu wręczyć jako zabezpieczenie. — Nie wpuściłbym pani do środka nawet wtedy, gdyby była pani wnuczką papieża.

— Ale mój dziadek naprawdę był tu dyrektorem. — Stanęła do strażnika bokiem, wskazując w kierunku grupki kamienic. — Na budynku, w którym mieszkał, jest tablica pamiątkowa...

— Wierzę pani. — Zrobił minę, która zdawała się temu przeczyć, ale sekundę później zamaskował ją sztucznym uśmiechem. — Naprawdę nie mogę pani wpuścić. Niech pani zadzwoni do biura obsługi albo najlepiej niech pani wyśle im maila.

Był tak nieprzejednany, że postanowiła odpuścić. To nie była jedyna możliwość — na teren Filtrów można było dostać się przez kilka bram. Największym problemem były burzowe chmury, zdające się dotykać sterczącej w przeciwnej części obiektu wieży ciśnień.

— Zmoknę przez pana.

— Pani Lauro... To próżny trud.

Ignorując bijący z jego słów pesymizm, ruszyła wzdłuż muru. Gdy nad głową przetoczył się kolejny grzmot, zaczęła biec jak za dawnych czasów. Czarna chmura nad wieżą ciśnień rosła w oczach, zajmując teraz połowę nieba. Nad wieżowcami warszawskiego City błysnęło, a potem o chodnik uderzyły pierwsze krople. Strażnik czekał na nią przed wejściem do budki, ściskając w rękę czarną parasolkę. Okazało się, że kolega zdążył go uprzedzić.

— Niech pan nie żartuje — jęknęła.

Do najbliższego budynku użyteczności publicznej, w którym mogła się schronić — czyli do Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych — było przynajmniej dwieście metrów. Dwieście metrów pod burzowym wodospadem. Usiłowała schować się pod daszkiem budki, ale wtedy strażnik wcisnął jej do ręki parasol.

— Proszę to wziąć i stąd iść. Nie żartuję.

Budka znajdowała się już na terenie zakładu, więc nie próbowała się kłócić. Ignorując parasolkę, ruszyła w kierunku, z którego przyszła. Do mieszkania babci, pod którym zostawiła samochód, było stąd dziesięć minut szybkiego marszu. Zanim wróciła do punktu wyjścia, czyli do pierwszej bramy Filtrów, przemokła do suchej nitki. Gdy zamierzała przejść przez jezdnię, od strony budki wartownika ruszyła w jej kierunku bezkształtna sylwetka.

— Pani Laura?! — Głos dobiegał spod peleryny. Był tak donośny, że

przebił się przez strumienie wody. — Mój Boże, bardzo panią proszę. Pani się przeziębi.

Trzasnęło i nad jej głową rozpostarł się parasol. Było jej już wszystko jedno, ale wymamrotała podziękowanie. Na więcej na razie nie było jej stać. Biegła, więc teraz usiłowała złapać oddech.

— Pani pozwoli, że się przedstawię. — Nazwisko mężczyzny utonęło w grzmocie, ale dotarła do niej funkcja, którą pełnił. — Jestem rzecznikiem prasowym MPWiK. Proszę, nie stójmy tak. Tu, za bramą mam samochód. Bardzo panią proszę.

Auto, na które wskazał, w strugach deszczu budziło skojarzenia z czarną wołgą, ale Laura nie dała się prosić. Skryta przed lejącą się z nieba wodą pod baldachimem parasolki, przemaszerowała obok budki pierwszego ze strażników, posyłając w tym kierunku harde spojrzenie. Harde na tyle, na ile pozwalał jej wygląd zmokłej kury.

— Bałem się, że pani nie dopędzę. Pani naprawdę jest wnuczką Juliana Kalinowskiego?

Opadła na fotel, a mężczyzna trzasnął drzwiczkami i po sekundzie pojawił się z drugiej strony, za kierownicą. Krople deszczu wygrywały na dachu samochodu chaotyczną melodię.

— Tak, jestem — potwierdziła, a on, uruchomiwszy silnik, skłonił głowę.

— Proszę zatem przyjąć wyrazy współczucia. Czytałem nekrolog. Byłbym wdzięczny za poinformowanie o czasie i miejscu pogrzebu.

Ogrzewanie było włączone, ale względnie komfortowo poczuła się dopiero wtedy, gdy rozkręcił je na ful. Był starszym już mężczyzną, z zakolami i szpakowatą bródką. Przewiózł ją przez serce Stacji Filtrów, kierując się ku wieży ciśnień. Tajemnicze budowle i cały ten pofałdowany teren zniknęły w deszczowej mgle.



— Pani dziadek jest tu kimś na kształt legendy. W naszym muzeum poświęciliśmy mu odrębną salę. Uważam, że w pełni na nią zasługuje.

— I właśnie tam jedziemy? Do muzeum?

— Ochroniarz przekazał mi, że chce pani o nim porozmawiać. To najlepsze miejsce, ale najpierw... musi się pani osuszyć.

Budynek, w którym znajdowało się muzeum, wznosił się w cieniu wieży ciśnień. Ekspozyty w postaci przeróżnych rur, którymi kiedyś płynęła woda, wyłożono również przed wejściem. Laura minęła je bez większego zainteresowania, a potem podziękowała za łazienkę z suszarką.

— Przeziębi się pani. Proszę przynajmniej podsuszyć włosy...

— Złego diabli nie wezmą — powiedziała pogodnie, bo prawie nigdy nie chorowała. Miała końskie zdrowie, które w ciągu ostatnich lat nie oparło się tylko covidowi. — A więc mój dziadek był bohaterem?

— Dla nas największym z wielkich. Był związany z zakładem przez ponad czterdzieści lat. Najpierw pomagał go podźwignąć z wojennych zniszczeń, a potem nim kierował, aż do śmierci.

Słowa o bohaterstwie dziadka były trochę niefortunne, bo wypowiedział je w milczącej obecności prawdziwych bohaterów. Z plakatów w sali wejściowej patrzyli warszawscy kanalarze z czasów powstania warszawskiego. Laura pochyliła głowę. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy decyzja o wybuchu powstania była słuszna, czy błędna. Należała do pokolenia, dla którego wszyscy jego uczestnicy byli bohaterami.

— Bardzo proszę, niech pani wypije przynajmniej coś gorącego.

Z plastikowym kubkiem herbaty w dłoni wkroczyła do niewielkiego pomieszczenia. Ze ściany uśmiechał się do niej dziadek. Fotografia pochodziła z okresu, w którym jego policzka nie szpeciła jeszcze szeroka blizna. Dziadek w eleganckim garniturze pozował na tle ukwieconej łąki, nad którą górowała w oddali szpiczasta sylwetka Pałacu Kultury

i korpulentna bryła Novotelu, funkcjonującego wówczas pod nazwą hotelu Forum.

— Te kwiaty to pomysł z czasów Starynkiewicza i Lindleya. Pani dziadek wdrożył go na nowo, po kilkudziesięciu latach. To zdjęcie z lat siedemdziesiątych. Był wtedy kierownikiem do spraw administracyjnych.

Laura przyszła tu po to, by zadać kilka krótkich pytań, z których żadne nie dotyczyło sukcesów dziadka na polu zarządzania kompleksem Filtrów, ale wystarczył rzut oka za okno, by przestało jej się spieszyć. Burza wciąż atakowała z brutalną siłą, chłoszcząc rozmiękłe podłoże biczami ulewy.

— Pani dziadek był wielkim entuzjastą nie tylko starych koncepcji, ale ogólnie osób Williama Lindleya i Sokratesa Starynkiewicza. Pierwszy z nich był, jak zapewne pani wiadomo, budowniczym Stacji Filtrów, a drugi dziewiętnastowiecznym, carskim prezydentem Warszawy, pomysłodawcą rozbudowanej sieci wodociągowej, która popchnęła miasto w kierunku nowoczesności. Pan Julian podjął starania, dzięki którym, niestety już po jego śmierci, na terenie Filtrów odsłonięto popiersie Starynkiewicza, które widzieliśmy, przejeżdżając...

Laura nie zwróciła uwagi na żadne popiersie, ale słuchała swojego gospodarza z przyjemnością. Miał głęboki, dźwięczny głos, któremu zapewne — przynajmniej w pewnym stopniu — zawdzięczał swoją posadę rzecznika. Szybko się połapała, że do jego obowiązków należało jednocześnie oprowadzanie wycieczek. Zrelaksowana wysłuchała skróconej wersji historii zakładu, cierpliwie czekając, aż pojawi się w niej dziadek.

Dziadek pojawił się w czterdziestym piątym roku, w charakterze robotnika, który pomagał naprawiać wojenne zniszczenia. Skutecznie, bo przefiltrowana woda popłynęła do mieszkań już w maju tego samego roku, a wkrótce potem zakład zaczął działać pełną parą. Filtry otrzymały od

zarządu miasta trzy wykwaterowane kamienice. Skierowano do nich najbardziej zasłużonych pracowników, w tym dziadka Juliana.

— Niemal od samego początku pełnił w Stacji Filtrów funkcje kierownicze. Uczestniczył w modernizacji filtrów pospiesznych, zarządzał wyłączeniem zbiorników do kontrolowanego spustu wody, był członkiem zespołu projektowego do spraw budowy ujęcia w korycie Wisły, ochrzczonego następnie przez warszawiaków mianem Grubej Kaśki... Można powiedzieć, że był tutaj alfą i omegą na długo, zanim został dyrektorem. Warto podkreślić, że przez wiele lat udawało mu się unikać wstąpienia do partii, co na jego stanowisku było ewenementem. Do partii wstąpił dopiero po wybuchu stanu wojennego, a wkrótce potem wydarzył się wypadek, który zmienił wszystko.

Laura dopiero teraz zauważyła, że w pomieszczeniu, obok fotografii ściennej dziadka i umieszczonych w gablotach eksponatów dotyczących mniej samego dziadka, a bardziej rozwoju Stacji Filtrów pod jego kierownictwem, znajdował się także nowoczesny rzutnik, podobny do tego, z którego sama korzystała, tłumacząc anglojęzyczne prezentacje. Rzecznik uruchomił go, wyświetlając na białej ścianie zdjęcie tak makabryczne, że aż wstrzymała oddech.

— Miał zderzenie z TIR-em?

— Gorzej. Z setką ton wody.

Dziadek również na tej fotografii szczyrzył zęby, ale resztę jego twarzy pokrywały opatrunki i bandaże, przez które miejscami przesączała się krew. Obandażowaną miał też dłoń, a druga ręka wisiała na temblaku.

— W ówczesnej prasie to, co wydarzyło się na terenie zakładu pewnej wrześnieowej nocy, doczekało się jedynie krótkiej wzmianki. — Rzecznik nacisnął przycisk na pilocie i zdjęcie poharatanego dziadka ustąpiło miejsca zeskanowanemu artykułowi z „Życia Warszawy”. Litery były bardzo małe,

ale rzecznik znał je na pamięć: — W dniu wczorajszym na terenie Zakładu Wodociągów doszło do niekontrolowanego spustu wody. W wyniku zdarzenia poważnemu uszkodzeniu uległa część kanałów odprowadzających wodę opadową, a także urządzenie zapadkowe służące do gromadzenia zrzutów nadmiarowej wody z terenu zakładu. Jeden z pracowników został przewieziony do szpitala. Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo... To wszystko. W istocie zniszczenia były znacznie większe, ale rzecz udało się zatuszować. Oczywiście tylko przed prasą. W Filtrach już następnego dnia pojawił się prokurator. Skala zniszczeń, a także okoliczności ich wystąpienia stały się przyczyną usunięcia ze stanowiska poprzedniego dyrektora, któremu zarzucono, używając ówczesnej nomenklatury, szkodnictwo gospodarcze. Powstał wakat, który mógł zostać objęty tylko przez jedną osobę. Juliana Kalinowskiego, bohatera, który uratował miasto przed zalaniem. Nie znała pani tej historii?

Laura pokręciła głową.

— W mojej rodzinie rzadko rozmawiano o dziadku... Co dokładnie się wydarzyło?

Przez chwilę patrzył na nią tak, jakby jej zazdrościł. Widocznie marzył, by mieć w rodzinie bohatera.

— Wie pani, że pod ulicą Koszykową znajdują się dwa potężne zbiorniki z wodą? Kiedyś używano ich do płukania kanałów, ale od lat już się tego nie robi.

— Czemu?

— Postęp technologii. Te zbiorniki używane są teraz w sytuacjach awaryjnych jako retencyjne. Czasem dokonuje się do nich zrzutu wody, a potem powoli się je opróżnia. Tak było wtedy, z tym że...

— Nie odbyło się to powoli — wtrąciła.

— Dokładnie. Z niewiadomych przyczyn zrzut był gwałtowny, tak

gwałtowny, że doszło do uszkodzenia mechanizmu. Można to przyrównać... — wskazał na okno i szalejącą za nim burzę — do stu takich ulew jednocześnie. Do kanałów wtoczyła się woda. Jej ciśnienie było takie, że miejscami strzelała ze studzienek kanalizacyjnych na podobieństwo gejzerów.

— I nikt nie umarł? A bezdomni?

— Bezdomni chronią się w kanałach, ale tylko w ciepłowniczych. Uciekają przed zimnem. Kanały deszczowe to niebezpieczne miejsce. Nie, nikt nie zginął, ale gdyby nie pani dziadek, na pewno nie obyłoby się bez ofiar. Woda zalałaby miasto.

— Całe?

— Nie, tylko niżej położone miejsca. Tu bylibyśmy bezpieczni, ale mieszkańcy na przykład Dolnego Mokotowa czy Powiśla nie mieliby tyle szczęścia. Może skończyłoby się na piwnicach, ale jeśli nie... Lepiej sobie tego nie wyobrażać.

— I co zrobił dziadek?

— Traf chciał, że tego wieczoru pan Kalinowski znajdował się na terenie stacji. Zaalarmowały go wskazania przyrządów... potem pokażę pani te zegary. — Kliknął pilotem, wracając do zdjęcia obandażowanego dziadka. — Pobiegł na teren zbiornika... Opuścił się po metalowych klamrach, chwycił łańcuch, okręcił go wokół dłoni i wskoczył do wody. Wyobraża pani sobie, jaka była wzburzona? Takie wiry, jak przy gwałtownym spuszczeniu wody, powstają chyba tylko w czasie tsunami.

— I te palce...

— Zmielone. Popłynęły do Wisły. Przepraszam za dosadność, można było to ująć delikatniej...

Laura machnęła ręką, by mu pokazać, że się nie gniewa. Wizja zmiażdżonych łańcuchem palców może i była makabryczna, ale pozwoliła

odrzuć hipotezę o złożeniu ich na Powązkach pod płytą dziecięcego grobu.

— W jaki sposób udało mu się... zatrzymać wodę?

— Spust wody regulowało proste urządzenie, z zapadką. Poziom wody opadł na tyle, że udało mu się do niego podpłynąć. Znał się na robocie, wiedział, co zrobić. Rozorał policzek, stracił kilka zębów... Ale udało mu się zatkać odpływ i wydostać z tego piekielnego basenu. Zemdlał dopiero na powierzchni.

Nacisnął przycisk pilota, przenosząc dziadka z okolic szpitalnego łóżka na ceremonię, podczas której powierzono mu stanowisko dyrektora.

— Dostał nie tylko awans, ale również order Odrodzenia Polski. Był dobrym szefem. Załoga bardzo go ceniła.

— Są na to jakieś dowody?

— Poznałem osobiście kilkanaście osób, które miały szczęście z nim pracować. Teraz są już na emeryturze albo nie żyją... Podobno był nie tylko bohaterem tamtej jednej, wrześnieowej nocy, ale też doskonałym fachowcem. Jego pogrzeb był doniosłym wydarzeniem. Uczestniczyła w nim niemal cała załoga. Nie przyszli tylko ci, którzy musieli wtedy pracować, bo filtry nie mogą stanąć. Nawet na moment.

Laura miała na końcu języka uwagę o księdzu Wojtku, który — jak wynikało ze słów ciotki Moniki — wcale nie podzielał tej dobrej opinii o zmarłym, ale zanim ją wypowiedziała, rzecznik wyświetlił kolejną fotografię.

— Oj, przepraszam! — krzyknął, wyłączając rzutnik. — Ktoś zrobił tu bałagan, pomieszał zdjęcia...

— W porządku. Mógłby pan to uruchomić jeszcze raz?

Popatrzył na nią osobliwym wzrokiem, jakby nagle zdał sobie sprawę, że

jego gość, chociaż wyglądał jak Królowa Śnieżka, wcale nie był postacią z bajki, tylko dziewczyną z — jak to się brzydko mówiło — jajami.

— Jest pani pewna? No dobrze.

Włączył z powrotem rzutnik, wyświetlając zdjęcie otwartej trumny. Zdjęcie, które kładło kres spekulacjom. W trumnie leżał dziadek Julian. Blizna na policzku po śmierci rzucała się w oczy jeszcze bardziej niż za życia.

— Ciało wystawiono na widok publiczny w domu pogrzebowym. Nie była to częsta praktyka, ale tak wiele osób pragnęło go pożegnać, że zrobiono wyjątek. Pogrzeb organizowały Filtry. Co roku, w rocznicę śmierci, delegacja z naszego zakładu składa kwiaty na jego grobie.

Laura pamiętała te wielkie wieńce z żółto-czerwoną wstęgą w barwach Warszawy. Na wstędze umieszczano litery, układające się w skrót MPWiK. Zawsze ją to bawiło. Kwiaty z kanalizacji. Teraz jednak nie było jej do śmiechu. Tu, za murem Filtrów, jej dziadek był symbolem solidności i bohaterstwa, a pamięć o nim nosiła cechy kultu. Poza murami prawie nikt o nim nie pamiętał, a ci, którzy pamiętali... No cóż, nie byli o nim najlepszego zdania.

— Dlaczego umarł?

Rzecznik popatrzył na nią bezradnie.

— Wiem, że policja... pardon, milicja prowadziła śledztwo. Zachował się nawet druk wezwania na przesłuchanie dla jego zastępcy. Sam się tym zainteresowałem wiele lat temu. Pytałem tych, którzy go znali, ale dowiedziałem się tylko, że przyczyną śmierci był nieszczęśliwy wypadek. Ciekaw jestem, co mówi się o tym w jego rodzinie...

Zawiesił na niej wzrok. Ciekawość nie była udawana. Wyglądało na to, że nie wiedział o nożu, który utkwiał między łopatkami bohatera dyrektora.

— W rodzinie mówi się o tym... niewiele — powiedziała wymijająco, nie chcąc, by na pomniku, który wybudowano tu dziadkowi, pojawiły się rysy. — Babcia na przykład w ogóle nie opowiadała o dziadku. Większość tego, co o nim wiem, pochodzi z tablicy pamiątkowej na kamienicy, w której mieszkał.

Urwała, bo odniosła wrażenie, że gospodarz nagle się usztywnił. Prześledziła ostatnie słowa, ale nie znalazła wśród nich niczego, co mogłoby go urazić.

— Powiedziałam coś nie tak?

Zawahał się, a potem uciekł wzrokiem.

— Ta tablica... Mieliśmy z nią trochę kłopotów... ale to nic ważnego. Szkoda pani czasu.

Wskazała za okno. Burza oddaliła się w kierunku Mokotowa, ale wciąż siąpiło.

— I tak nigdzie się nie wybieram.

Przez chwilę chrząkał, szukając chyba właściwych słów.

— Tablicę kilkakrotnie profanowali wandalę. Za każdym razem ją odnawialiśmy, chociaż odnoszę wrażenie, że pani babcia wcale tego nie chciała. Kilkakrotnie prosiła, byśmy ją zdjęli.

Informacja o niechęci, którą odczuwała babcia — do tablicy i zmarłego małżonka — nie była dla Laury niczym nowym. Ale nigdy nie słyszała, by ktoś dokonywał na tablicy aktów profanacji — od wielu lat zbierała jedynie kurz.

— Na szczęście te akty wandalizmu się skończyły...

— Chyba dawno temu, prawda?

— Bardzo dawno. Sam znam je tylko z opowieści, a przecież pracuję tu od dwudziestu lat...

— Na czym polegały te profanacje?



Po minie rzecznika poznała, że wolałby nie odpowiadać. Ale nie dała mu wyboru. Patrzyła na niego tak długo, aż się ugiął.

— Ktoś... jakiś wariat, wypisywał na tablicy jedno słowo. Zawsze czerwoną farbą.

— Co to było za słowo?

— Wszetecznik.

Gdy tylko opuściła teren Filtrów, natychmiast wpisała to słowo w wyszukiwarkę. Okazało się, że jej pierwsze skojarzenie było prawidłowe. Wszetecznik oznaczał człowieka oddającego się zakazanej rozpuście, sięjącego zgorszenie. Określenie kojarzyło jej się z kościołem. Musiała je usłyszeć z ambony, prawdopodobnie jako element cytatu z Pisma Świętego.

Przechodząc przez Filtrową, obejrzała się w kierunku placu Narutowicza. Kościół Świętego Jakuba z tej perspektywy wydawał się znacznie mniejszy niż w rzeczywistości, ale w obramowaniu z przedwojennych kamienic prezentował się pocztówkowo. Przypomniała sobie o ufundowanym przez dziadka sztandarze i wklepała w telefon imię jego patrona, świętego Dyzmy. A potem pokręciła głową, bo wszystko pasowało. Święty Dyzma był patronem grzeszników, a jej dziadek...

Dziadek miał dwa życia: zawodowe i prywatne. W jednym był bohaterem, a w drugim — właśnie grzesznikiem.

Zatrzymała się przed poświęconą mu tablicą, ale zanim przebiegła wzrokiem po krótkim tekście, jej uwagę rozproszyło migające światło. Przed klatką stał zaparkowany furgon Straży Miejskiej. Umundurowany funkcjonariusz krążył wokół pojazdu z telefonem przy uchu.

— Nie otwiera. Przecież, do kurwy nędzy, nie wyważę drzwi. To przedwojenna robota. Wtedy umieli robić takie rzeczy...

Zobaczywszy przyglądającą mu się Laurę, przerwał połączenie.

— Pani tu mieszka?

— Czasami.

— Mieliśmy wezwanie pod czwórkę, do pani Lewandowskiej.

— Coś jej się stało?

— Nie wiadomo. Nie reaguje na dzwonek, a z mieszkania wydobywa się dziwny zapach.

Laura odruchowo się cofnęła. W ostatnich dniach dwa razy natknęła się na zwłoki. Nie miała ochoty robić tego po raz trzeci.

— To staruszka. Może nie słyszy...

— Potrzebujemy kontaktu do kogoś spod piątki. Te lokale mają wspólny... Pani jest spod piątki, tak?

Ucieszył się tak bardzo, że poklepał ją po plecach. Chwilę później, w jego towarzystwie, była już na babcinym balkonie.

— Może pani przejść przez barierkę?

— A czemu ja?

Poklepał się po wydatnym brzuchu.

— Sama pani widzi. Nie chciałbym czegoś rozwalić.

W innej sytuacji kazałaby mu iść do diabła, ale wizja pani Lewandowskiej leżącej na podłodze obok swojego wózka inwalidzkiego i walczącej o życie w oczekiwaniu na pomoc była tak sugestywna, że bez dalszych zachęt przełożyła nogę nad mokrą po deszczu barierką i stanęła na sąsiednim balkonie.

— Pani Gabrysiu!

Powoli zbliżyła się do drzwi balkonowych i zmusiła się, by zajrzeć do wnętrza. Tak jak się spodziewała, zawałone było nagromadzonymi przez lata gratami. Gabriela Lewandowska była zbieraczką. Póki pozwalało jej zdrowie, zносиła do domu wszystko, co wydawało jej się potrzebne, tak że w efekcie musiała poruszać się po własnym mieszkaniu korytarzami wśród

śmiec. Mieszkanie kilkakrotnie opróżniały wezwane przez administrację służby sanitarne. Administracja usiłowała skontaktować się z kimś z rodziny, ale okazało się, że Lewandowska była na tym świecie sama jak palec.

— Nikogo tam nie ma — poinformowała strażnika Laura, skanując wzrokiem stosy rupieci.

— A może pani zajrzeć jeszcze tam?

Wskazał na okno znajdujące się poza obramowaniem balkonu, ale wystarczająco blisko, by można było spróbować. Laura przechyliła się przez wilgotną barierkę, przytrzymując się blaszanego parapetu. Balansując na granicy utraty równowagi, zbliżyła twarz do szyby. Ściekały po niej krople deszczu, a między nimi...

— Och!

Niewiele brakowało, a zleciałaby na dół, wprost w objęcia rozłożystego cisu. Lewandowska była tuż obok niej, po drugiej stronie szyby. Stała, przykładając do ust kościsty palec. Wyglądała zdrowiej niż kiedykolwiek.

— Nic jej nie jest. — Laura wróciła na swój balkon, chwyciła strażnika za umundurowane ramię i dosłownie przepchnęła go przez mieszkanie. Chciał coś powiedzieć, ale nie dała mu dojść do głosu. Bliskie spotkanie z dziwną staruszką miało zły wpływ na jej układ nerwowy. — Cieszę się, że mogłam pomóc. Do widzenia.

Chciała zatrzaskać drzwi, ale wtedy usłyszała głos, którego nie spodziewała się usłyszeć. A w każdym razie jeszcze nie teraz. Pan Emil, który na jej oczach zasłabł i trafił do szpitala, stał na klatce schodowej w towarzystwie drugiego strażnika i coś mu klarował. Energicznie i ze swadą, jak zawsze.

— W przypadku przestępstwa naruszenia miru domowego przedmiotem

ochrony jest prawo człowieka do spokojnego zamieszkiwania, wolnego od zakłóceń przez osoby niepożądane...

Wyszła na korytarz i spontanicznie go uściskała, przerywając mu na moment wywód. Drugi ze strażników spojrział na nią z wdzięcznością, po czym zgarnął kolegę i obaj zniknęli na schodach. W panującej ciszy słychać było przez chwilę ich pospieszne tupanie.

— Jak zające — stwierdził z zadowoleniem pan Emil.

— Dobrze się pan już czuje?

— Nigdy nie czułem się lepiej. — Pochylił się i cmoknął ją w rękę. — Służę swoją osobą. Kiedy będą się państwo wybierać do notariusza, z przyjemnością dopilnuję, by wszelkie czynności związane ze stwierdzeniem nabycia spadku przeprowadzone zostały w sposób prawidłowy.

Wbrew zapewnieniu o dobrym samopoczuciu wcale nie wyglądał najlepiej. Był blady jak upiór, a plecy miał jeszcze bardziej wygięte niż zazwyczaj. Budził skojarzenie z wymierającym gatunkiem żółwia albinosa. Nie chciała go męczyć, ale to jedno pytanie musiała zadać:

— Czy słyszał pan o drugim grobie babci na Powązkach Wojskowych?

Spojrział na nią w taki sposób, że dostrzegła swoje odbicie w jego okularach.

— Zasadniczo pani babcia miała na Powązkach tylko jeden grób. Drugi jest własnością Filtrów...

Okazało się, że trafiła w dziesiątkę. Znów miała ochotę go uściskać, ale się powstrzymała.

— Czy w tym grobie... a raczej grobku jest ktoś pochowany?

— Na to pytanie najlepiej odpowie administracja cmentarza. Ma pani prawo, by o to zapytać.

— A jeśli administracja twierdzi, że grób jest pusty?

— To zapewne ma rację. Nie wyobrażam sobie, by można kogoś złożyć do grobu potajemnie. To nie czasy wojny, zresztą nawet wtedy chowano oficjalnie. Tyle że pod fikcyjnymi nazwiskami.

Staruszek szybko się męczył. Na szczęście Laurę olśniło.

— Czy ten grób jest grobem... symbolicznym?

Głos Pana Emila nagle się zmienił. Zabrzmiały w nim stalowe nuty:

— Tajemnica adwokacka.

— Symbolicznym grobem dziecka?

— Tajemnica adwokacka.

Poczuła się tak, jakby grali w grę o nazwie pomidor. Tyle że rolę tytułowego pomidora odgrywała w tym przypadku „tajemnica adwokacka”.

— Babcia miała dziecko, które zmarło?

— Tajemnica adwokacka.

— To dlatego zamawiała kwiaty?

— Tajemnica adwokacka.

— Czy babcia zabroniła panu o tym mówić? Nie, niech pan nie odpowiada. Czy rozmawiała z panem przed śmiercią?

Z wyraźnym ubolewaniem pokręcił głową.

— Byłem w sanatorium, od początku czerwca. Nie mieliśmy okazji porozmawiać. I dlatego muszę się trzymać poprzednich ustaleń. Buzia na kłódkę.

— Nawet kiedy te pytania zada policja?

— A niby czemu miałyby je zadawać? To nie dotyczy sprawy zabójstwa.

— A czego?

— Tajemnica adwokacka.

Poddała się i zaprosiła go na herbatę, ale chyba rzeczywiście kiepsko się czuł, bo podziękował. Jeszcze raz zaoferował swą pomoc przy czynnościach związanych ze spadkiem. Bez przekonania spytała, czy wie,

dlatego na kontach babci nie było prawie żadnych środków. Nie wiedział, ale też nie był tym zainteresowany. Jego mózg rozpatrywał każdą informację pod kątem interesu klienta. A jego klientowi, czyli babci Krysi, było już wszystko jedno. Nie dbała o stan konta. Z wiadomych względów.

— Zapukam do pana jutro — obiecała Laura, dopisując pana Emila do listy osób, którym trzeba pomóc.

Nie wyglądał na kogoś, kto przytaszczy sobie zakupy. Gdy zamknął drzwi, za plecami wyczuła czyjąś obecność. Odwróciła się szybko i odruchowo napięła mięśnie, ale atak nie nastąpił. Wysoki mężczyzna, który zmaterializował się na korytarzu, przyjaźnie się uśmiechał.

— Co pan tak się czai?

— Nie czaję się. — Dobry humor przybysza okazał się zaraźliwy. Sama też się uśmiechnęła, odnotowując przy tym, że facet jest cholernie pewny siebie. — Nazywam się Michał Tracz i jestem lekarzem psychiatrą. Szukam kogoś z rodziny pani Krystyny Kalinowskiej.

Zawahała się, ale facet wzbudzał zaufanie.

— To właśnie pan znalazł — mrugnęła, obrzucając go przeciągłym spojrzeniem.

Psychiatra, który interesuje się babcią? Obiecała sobie, że nic jej już nie zdziwi.

Marszałkowską przemknął wóz straży pożarnej. Dźwięk syreny był słyszalny nawet tu, w zatłoczonym wnętrzu jednej z najpopularniejszych lunchowni w stolicy. Karol oderwał wzrok od artykułu o lokalnych podtopieniach i wstał, by przywitać siostrę. Ceremoniał dyplomatyczny miał we krwi, ale na moment z niego zrezygnował.

— Wyglądasz jak zmokła kura.

— Dziękuję. — Przejechała palcami po włosach, zezując w stronę okna.

Na widocznym stąd fragmencie nieba wciąż kotłowały się chmury, ale burza odeszła gdzieś nad Piaseczno. — Ty za to wyglądasz tak, jakbyś wrócił z plaży. Nie zmokłeś?

— Nawet nie widziałem, że aż tak padało. Byłem w sądzie.

Powiedział to mimochodem i przez chwilę napawał się jej konsternacją.

— Kiedy wspomniałeś, że masz kłopoty...

— To nie była rozprawa. — Parsknął śmiechem, bo od zawsze uwielbiał ją wkręcać. Był złośliwym palantem i nie zamierzał się zmieniać. — Przeglądałem akta. W sądzie rejestrowym, na Czerniakowskiej. Pewnie się domyślasz, jakie to były akta?

— Procesu w sprawie śmierci dziadka Juliana?

— Zgłupiałaś? — Popatrzył na nią z dezaprobatą, bo wyglądało na to, że deszcz, który ją zmoczył, wypłukał z niej cały zdrowy rozsądek. — A co mnie interesuje jakaś prehistoria? Sprawdzalem nasze biuro poszukiwań. Spółkę Andrzeja Pietrzyka, który nawiasem mówiąc, jest śmiertelnie chorym alkoholikiem i nie ma pojęcia, że ma jakąś spółkę.

— Widzę, że nie marnowałeś czasu. — Spojrzała na niego z uznaniem zaprawionym dozą ciekawości. — I czego się dowiedziałeś o tej jego spółce?

— Że nie jest jego.

Przy stoliku zjawił się kelner. W dawnych, dobrych czasach zamówienia składało się przy ladzie, ale pandemia doprowadziła do wielu zmian. Karol zdecydował się na łososia, a Laura, nawet nie zerkając do karty, poprosiła o to samo.

— Jak to nie jego?

Karol poczekał, aż znów zostaną sami.

— To, że spółka ma w swojej firmie jego nazwisko, jeszcze o niczym nie

świadczy. O własności w spółce z ograniczoną odpowiedzialnością decydują udziały.

— A ten Pietrzyk ich nie ma, tak?

— Ma. Ale za mało. Dokładnie czterdzieści dziewięć procent. A pozostałe pięćdziesiąt jeden procent... Czy mogłabyś na chwilę się powstrzymać? Zaczeka.

— Kto? — spytała Laura, posłusznie odkładając telefon.

— Ten twój lowelas.

Zmarszczyła brwi. Przez moment miał wrażenie, że posunął się za daleko, ale respekt przed starszym bratem okazał się silniejszy od złości.

— To nie on — burknęła — tylko lekarz. Psychiatra.

— Chodzisz do psychiatriy?

— Nie, to on przyszedł do mnie. Chciał pogadać o babci, ale wtedy zadzwoniłeś i umówiliśmy się na później. Pisał, czy może być dziewiętnasta. Co, źle się poczułeś?

Karol potrząsnął głową. To, co powiedziała siostra, brzmiało tak surrealistycznie, że...

— Nie wręczasz mnie? Naprawdę to był psychiatra? I pytał o babcię?

— Naprawdę. To znaczy nie pokazał mi żadnej legitymacji, ale... Naprawdę wyglądał na psychiatrę. Kiedy powiedział, że pracuje w Szpitalu Nowowiejskim, kazałam mu opisać profesora Łapińskiego.

— Kogo?

— Najsłynniejszego warszawskiego psychiatrę. Współpracujemy z nim... To znaczy moja firma. Jest charakterystyczny. No i ten facet, który mnie zaczepił, opisał go idealnie. Na pewno jest psychiatrą.

— Albo pacjentem. Przedstawił się?

— Nazywa się Michał Tracz.

Karol przez chwilę skupił się na telefonie. Michał Tracz rzeczywiście był



psychiatrą. W Internecie było kilka jego zdjęć, w tym dwa na stronie szpitala.

— To on?

— Zgadza się, braciszku. Czy teraz pozwolisz mi się z nim spotkać?

— Bardzo śmieszne — burknął, a potem jeszcze raz spojrzął na zdjęcie. Facet miał w sobie coś z rockmana. Nie podobał mu się, ale przecież siostra, chociaż często o tym zapominał, była dorosła. — Mówił, czego od ciebie chce?

— Mówił, że to delikatna sprawa. Chciał powiedzieć więcej, ale wtedy zadzwoniłeś i... Pozostałe udziały ma podmiot zagraniczny, tak?

Zaskoczony tylko kiwnął głową.

— Z Bahamów? Wysp Dziewiczych? Czy z Cypru?

— Z Cypru — wydukał, patrząc na nią w taki sposób, że parsknęła śmiechem. — Skąd wiedziałaś?

— Wyobraź sobie, że wiem, co to jest krajowy rejestr sądowy. Byłam na Czerniakowskiej tyle razy, że mogłabym ubiegać się o kartę stałego klienta. Wspomagałam dział wywiadu gospodarczego. Nie masz pojęcia, ilu kontrahentów Phisenbaum Labs ma udziałowców z bardzo egzotycznych krajów...

— Współpracujecie z takimi szemranymi podmiotami?

— Dlaczego szemranymi? To się nazywa optymalizacja podatkowa. Chodzi o to...

— Wiem, co to optymalizacja, siostrzyczko. — Karol odzyskał wewnętrzny spokój. Nie lubił, gdy uzyskiwała przewagę. — Skoro jesteś taka mądra, to powiedz, proszę, jakie podatki płaci firma, która istnieje tylko na papierze?

Laura przez chwilę błędziła wzrokiem po suficie.

— Nie mam pojęcia — przyznała wreszcie.

— Żadne. W tym wypadku chodziło tylko o to, by ukryć tożsamość osób, które stoją za Pietrzykiem.

Kiwnęła głową i sięgnęła po szklanę, którą przed momentem postawił przed nią kelner.

— Spółki mają swoje zarządy. Niekoniecznie jednoosobowe... Gadałeś z Sabiną? Jeśli dobrze pamiętam, studiuje prawo gospodarcze.

— W Mediolanie — prychnął Karol, jakby ten fakt był dla jego żony dyskwalifikujący. — I to zaocznie. A co do naszej spółki, zarząd jest jednoosobowy. W osobie Andrzeja Pietrzyka. Jest za to...

— Prokurent?

Teraz to on napił się wody. Ta nowa, przemyślana wersja Laury irytowała go bardziej, niż przypuszczał. Wolał dawną Laurę, nieśmiałą i zahukaną.

— Tak, prokurent. Niejaki Adam Wiśniewski. Sprawdziłem go w Google. To prawnik. Podrzędny radca prawny.

— Czemu podrzędny?

— Bo nie ma nawet własnej strony w sieci. Działalność zarejestrował w Otwocku.

— I to po to potrzebny był ci samochód?

— Tak między innymi. — Wolał nie wtajemniczać jej w swoje plany, bo te były płynne. Uśmiechnął się krzywo, w podobny sposób jak wtedy, gdy prosił ją o pożyczkę. — To jak będzie?

— Tak jak zwykle. — Westchnęła i położyła przed nim kluczyki do swojej nowiutkiej malinowej hondy. — Używałeś kiedyś automatycznej skrzyni biegów?

— No pewnie — odparł pogodnie, skrywając irytację. — Moja służbowa toyota jest w automacie.

— No właśnie, co z nią?

— A co, książkę piszesz? Jak nie chcesz, to nie pożyczaj. — Uniosła rękę zaskoczona jego wybuchem. Natychmiast się zreflektował. — Nie mogę z niej korzystać do celów prywatnych. Zmiana polityki ministerstwa.

Nie była to do końca prawda, ale Laura nie wnikała. Karol nie korzystał ze służbowego auta, bo nie chciał, by w ministerstwie znali każdy jego krok. Ministerialne auta miały wbudowany system GPS.

— Uważaj na siebie. Nie zrób sobie znowu krzywdy.

— Spokojna głowa. — Schował kluczyki i dokumenty do marynarki, zastanawiając się, dlaczego wciąż pamięta o jego umiarkowanie groźnej kolizji z czasów studiów. Albo była wyjątkowo złośliwa i gromadziła informacje o jego upadkach, albo zwyczajnie jej na nim zależało. Znając charakter swojej siostry, która zachowywała się czasem niczym Matka Teresa z Kalkuty, stawiał na to ostatnie. — Znalazłem w sądzie jeszcze coś. Otóż mają tam wyszukiwarkę online...

— My w pracy też. To zwykłe narzędzie komercyjne.

— Nie wymądrzaj się. Czy ty zawsze musisz się wymądrzać?

— Sorry, wodzu. Już nic nie mówię.

— Wklepałem w tę wyszukiwarkę numer PESEL Pietrzyka. Okazuje się, że biuro poszukiwań nie jest jedyną spółką, którą firmuje. Jest jeszcze kilka innych. Prawdziwy biznesmen.

— Żeby założyć spółkę, nie trzeba mieć dyplomu SGH. Wiem, miałam nie przerywać, ale...

— Gdybyś go widziała, w tym przytułku. Facet już dawno utopił mózg w alkoholu. Jest słupem, na sto procent. W każdej z tych jego spółek prokurentem jest Wiśniewski, ten radca, a większość udziałów pochodzi z Cypru, z różnych podmiotów, które łączy jedno — ich nazwy to imiona kobiet. Vanessa, Jessica, Dolores...

— Czy twoim zdaniem te nazwy mają znaczenie?

— Wskazują, że to jeden biznes. Ale to wciąż nie wszystko. Bo widzisz, oprócz Pietrzyka w tych spółkach udziałowcami mniejszościowymi są także inne osoby. O statusie równym Pietrzykowi.

— O statusie... W jakim sensie?

Akurat na to pytanie wolałby nie odpowiadać, ale po krótkim zastanowieniu jednak to zrobił.

— Część tych nazwisk figuruje na listach firm handlujących długami.

Miała okazję, by wbić mu szpilkę, ale tego nie zrobiła, chociaż sytuacja sama prosiła się o komentarz. Jego nazwisko również figurowało na takiej liście. To dlatego tak bardzo zależało mu na kasie.

— Czyli ktoś wykorzystywał alkoholików, by przykryć swój biznes, zapewne nielegalny.

— No właśnie. Wygląda na to, że babcia, na krótko przed śmiercią, związała się z kryminalistami. Zapisała im połowę majątku. Może znajdziemy sposób, by to odkręcić.

Laura nie odpowiedziała, bo przy stoliku zjawił się kelner z łososiem. Sięgnęła po sztucce. Karol, który nie był aż tak głodny, przez chwilę obserwował ją z wahaniem.

— Zakrztusisz się.

— Bądź... spokojny — wymamrotała pomiędzy kolejnymi kęsami.

Z ustami pełnymi rybiego mięsa nie prezentowała się szczególnie inteligentnie, ale uznał, że będzie w stanie mu pomóc. W dawnych czasach, zapewne na przekór babci, była bielanką, czyli dziewczynką sypiącą płatki kwiatów podczas procesji. Później, gdy trochę dorosła, wstąpiła do jakiejś scholi czy czegoś w tym stylu... Nazwa nie była ważna. Liczyło się to, że w kościele Świętego Jakuba była wtedy stałym gościem — w przeciwieństwie do niego.

— Jedną z osób, które figurowały w spółkach razem z Pietrzykiem, był

Jan Rajzer, czyli nasz Cyrkiel.

Laura jednak się zakrztusiła. Powinien zaczekać, aż przełknie.

— Tak, mam na myśli człowieka, który powiesił się na działkach. Tego, którego znaleźliśmy.

— Przecież wiem. To chyba nie przypadek, co?

— Żeby to sprawdzić, potrzebuję potwierdzenia. Cyrkiel miał brata, prawda?

Laura zapomniała o jedzeniu.

— Chodzi ci o tego żebraka?

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Jego pamięć funkcjonowała lepiej, niż przypuszczał.

— Tego obdartusa, spod Jakuba. Masz na niego jakieś namiary?

Wzruszyła ramionami.

— Widywałam go tylko w kościele. Spędzał pod nim całe dni, ale potem... potem już go nie widywałam. Pewnie umarł.

— Jak to sprawdzić?

— Może u zakonnic? Opiekowały się takimi jak on. Dzięki nim otwarto nawet noclegownię, która z czasem przekształciła się w dom opieki.

— Dom opieki obok dawnego poprawczaka?

— Zgadza się, na tyłach kościoła. Czy to tam znalazłeś Pietrzyka?

Kiwnął głową.

— A w ogóle... skąd wiedziałeś, gdzie go szukać?

Nie zamierzał zdradzać swoich źródeł. Kooperacja z Basią miała mieć swój dalszy ciąg, wieczorem. Uśmiechnął się, wspominając dzisiejsze pożegnanie z zakonnicą od Pietrzyka. Gdy powiedziała mu „do zobaczenia”, oznajmił, że to mało prawdopodobne. Na ogół omijał instytucje kościelne szerokim łukiem, ale okazało się, że miała rację. Rzeczywiście mieli się spotkać jeszcze raz.

— Co cię tak bawi?

Uświadomił sobie, że się uśmiecha. Na myśl o tym, że powodem tego uśmiechu była myśl o wizycie w przytułku dla pijaków, natychmiast spoważniał.

— Ten brat Cyrkla ma na imię Aleksander, tak?

— Być może. Skąd wzięłeś to imię?

— Bo Aleksander Rajzer poszedł w ślady brata i Pietrzyka. Też był współnikiem... — Nabrał na widelec trochę sałatki, a potem skorygował: — Też był słupem.

Sportowa honda Laury pachniała nowością. Karol z przyjemnością testował jej przyspieszenie. Ruszając spod świateł, zapiszczał oponami, pozostawiając na asfalcie dwie czarne smugi. Samochód wyrwał do przodu niczym dobry koń, któremu wreszcie popuszczono cugli. Laura na pewno nie darła opon. Zawsze prowadziła z dynamiką schorowanej emerytki. I zawsze tankowała do pełna. Był jej za to wdzięczny, bo chciał ruszyć w daleką drogę. Ale to jutro, dziś odwiedzał jedynie Otwock.

Podwarszawskie miasteczko wydało mu się jeszcze senniejsze niż wtedy, gdy odwiedzał je poprzednio, czyli jakieś dziesięć lat temu. Kancelaria Adama Wiśniewskiego mieściła się w prywatnym budynku, zaraz przy wybrukowanym placu z pomnikiem katyńskim. Na ogrodzeniu nie było żadnego szyldu. Gęsty żywopłot uniemożliwiał dostrzeżenie czegoś więcej niż skośny dach wkomponowanego w zieleni parterowego budynku.

— Dobry piesek. — Łypnął na strzegącego posesji dobermana. Na dźwięk towarzyszący zamykaniu samochodu pies zaszczekał jeszcze donośniej, a potem umilkł, obserwując przybysza z nienawiścią bijącą z każdego włoska gładkiej sierści. Gdy Karol wcisnął przycisk dzwonka,

z gardła bestii wydobył się warkot, który budził skojarzenie z klatką pełną lwów. — Mam nadzieję, że twój pan ma dla ciebie jakiś solidny kojec...

Dzwonienie pozostało bez odzewu. Spróbował jeszcze raz, a potem w przypływie złości trącił butem metalowy słup przy furtce. Pies zbliżył się jeszcze bardziej i kłapnął zębami. Gdyby nie ogrodzenie, Karol nie miałby nogi.

— Zadzwońbym, ale twój pan nie podaje w sieci numeru telefonu — mruknął w kierunku psa, który obnażył swoje białe zęby, wyrastające z czarnych jak smoła dziąseł. — Przekaż mu...

Chciał wypowiedzieć obelgę, która chociaż częściowo zrekompensowałaby mu te stracone na dojazd w obie strony półtorej godziny, ale zanim skończył, tuż obok, z piskiem opon, zatrzymał się samochód. Lśniące czernią bmw. Szczekanie rozległo się znowu, ze zdwojoną mocą. Przyciemniona szyba zjechała w dół, odsłaniając oblicze, przy którym pysk dobermana zdawał się emanować empatią.

— Słucham.

— Szukam pana Adama Wiśniewskiego.

— Wiśniewski. Czemu denerwuje mi pan psa?

Adam Wiśniewski nie wyglądał na radcę prawnego. Patryk Vega natychmiast obsadziłby go w jednym ze swoich filmów o mafii. Spod opiętej na ramionach skórzanej kurtki biła agresywna energia, a wyraz twarzy sugerował, że za moment ktoś oberwie.

— Jestem zainteresowany poradą prawną.

— Kto pana przysłał? Halo, proszę pana! Nie słyszy pan? Pytam, kto pana tu przysłał.

W jego ustach słowo „pan”, którego nadużywał, brzmiało jak synonim skurwysyna. W innych okolicznościach Karol z pewnością zwróciłby uwagę na to, że wszystkie te obelżywe słowa nawiązują znaczeniowo do

sfery seksu, ale teraz był zbyt spięty. Słowny atak odebrał mu znaczną część pewności siebie także dlatego, że był niespodziewany.

— Jest pan radcą prawnym?

— To nie pan zadaje pytania, tylko ja. Jak pan tu trafił? Czy ja mówię niewyraźnie? Pytam, kto panu powiedział...

— Andrzej Pietrzyk.

Wypluł z siebie to nazwisko intuicyjnie, chcąc powstrzymać falę napastliwych pytań. Reakcja mężczyzny była natychmiastowa. Wyłączył silnik i wyszedł, a raczej wyskoczył z samochodu.

— Tylko mi nie mów, że on też się powiesił! — warknął, zbliżając się do Karola na odległość dziesięciu centymetrów. — Kim jesteś?!

— Nikim. A Pietrzyk żyje, w przeciwieństwie do Rajzera. Ale chce się wycofać. Ma już dosyć.

— Z czego chce się wycofać?

W zachowaniu Wiśniewskiego — radcy o wyglądzie bandziora — zaszła gwałtowna zmiana. Teraz stał się ostrożny. Karol miał świadomość, że stąpa po kruchym lodzie. Ostrożność w każdej chwili mogła zmienić się w agresję, a ta... w zapach wilgotnej ziemi, sypanej na leśną mogiłę. W okolicach Otwocka nie brakowało lasów.

— Pietrzyk chce wycofać się z działalności w spółkach, którymi pan zarządza. Jest umierający. Nie ma już siły...

— Siły? Przecież nic nie musi robić...

— Ale ma sumienie. Nie ma ochoty uczestniczyć w okradaniu staruszki.

Karol zdawał sobie sprawę, że ryzyko, które podjął, może okazać się nieopłacalne. Odwagi dodał mu widok sunącego po bruku radiowozu. Policjanci minęli posesję Wiśniewskiego w ślimaczym tempie, nie odrywając od nich wzroku.

— Ja nie okradam staruszek.



— Nie? A czym się pan zajmuje? Działalnością charytatywną?

Mężczyzna nagle się odprężył. Przynajmniej pozornie, bo dłonie wciąż zaciskał w pięści.

— Nie wiem, kto pana przysłał...

— Już mówiłem: Andrzej Pietrzyk.

— ...ale wiem, że wprowadził pana w błąd. Działalność, w której uczestniczę, jest zupełnie legalna. Pomagam ludziom zakładać biznesy. Nie odpowiadam za tych ludzi. Jestem tylko doradcą prawnym.

Z grubego karku zwisał mu złoty łańcuch. Podobne łańcuchy zdobiły nadgarstki. Wyglądał w nich jak w kajdankach. Ten widok natchnął Karola do działania. To było w końcu państwo prawa, a nie bananowa republika. Miał prawo walczyć o swoje. I nie musiał się bać.

— Pańska spółka wyłudzała pieniądze od mojej zmarłej babci...

— Pomogłem założyć tysiące spółek. Na tym polega moja praca. Która spółka?

— Poszukiwania Osób Zaginionych.

Z twarzą Wiśniewskiego, która przypominała pysk buldoga, stało się coś dziwnego. Zmieniła kolor. Z czerwonej, nabiegłej krwią, nagle stała się blada.

— Chodzi o setki tysięcy złotych — ciągnął Karol. Suma, którą wymienił, sprawiła, że wkurzył się jeszcze bardziej. — Jeśli myślisz, że to zostawię, to jesteś w błędzie. Wynajmę prawników... takich prawdziwych, w garniturach, a nie w dresach... i skopię wam tyłek. Tobie i tym menelom, za którymi się chowasz...

— Nie wiem, o czym mówisz, człowieku, ale jak zaraz nie znikniesz, to poznasz się z Kajtkiem.

Wskazał na czającego się za ogrodzeniem dobermana, ale Karol dostrzegł, że ręka lekko mu drży. Karta się odwróciła. Teraz to on się bał.

— Numery na wnuczka już nie przechodzą.

— Na jakiego wnuczka?

— To ty mi powiedz. Jak to zrobiliście? Jak wplątaliście moją babcię w to wasze bagno? Uczestniczył w tym Aleksander Rajzer, prawda? To przez niego do niej trafiliście?

Potężne łapska Wiśniewskiego spadły na niego tak niespodziewanie, że nie zdążył się uchylić. Wątpliwy radca potrząsnął nim jak lalką. Tacy jak on nie mdleli ze strachu. Strach wyzwalał w nich dodatkowe pokłady agresji.

— Rajzera widziałem ostatnio pięć lat temu. Pietrzyka również. Obu tego samego dnia, gdy udzielali mi pełnomocnictwa. Nie mam pojęcia, co zrobili twojej babci, ale mnie w to nie mieszaj. Nie mam z tym nic wspólnego. Ani z tym, ani ze śmiercią Rajzera...

— Ale z ciebie niewiniątko... Puszczaj.

Ku jego zdziwieniu Wiśniewski posłuchał. Puścił koszulę Karola, a nawet ją wygładził.

— Jestem prawnikiem, a nie przestępcą — wyjąkał, a Karola nagle olśniło.

— Kogo reprezentujesz?

— Mam wielu klientów...

— Nie udawaj głupszego, niż jesteś. Dla kogo założyłeś tę spółkę... Poszukiwania Osób Zaginionych?

Wiśniewski puścił obelgę mimo uszu. Karolowi wydawało się, że nagle stał się mniejszy. Dostrzegł, że skórzana kurtka bardziej opina się na piwnym brzuszku niż na barkach, a na łańcuchu wisi serduszko, w którym wygrawerowano napis *Dla Tatusia*.

— Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

Na czole, pod linią szpakowatych włosów, perlily mu się krople potu, których jeszcze przed chwilą tam nie było.

— Ten człowiek okradł moją babcię.

— Dam ci dobrą radę. Za darmo. — Ściszył głos i dał Karolowi znak, by się pochylił. Jego usta znalazły się na wysokości ucha Karola. Szept, choć ulotny, był zrozumiały, a treść — jednoznaczna: — Opuść sobie.

Sabina w czasach, gdy między nimi wszystko układało się idealnie, żartowała, że z chwilą przekroczenia progu kościoła oboje staną w płomieniach. Nie przeszkadzało jej to nalegać na ślub kościelny — poddała się dopiero wtedy, gdy zagroził, że w ogóle nie będzie ślubu. Ostatecznie się jednak pobrali — na wodach Morza Jawajskiego, złożwszy przysięgę przed kapitanem statku. Życzył im stu lat miłości, ale chyba nie robił tego szczerze, bo po pięciu latach ich małżeństwo znajdowało się w rozsypce. Tak głębokiej, że Karol wolał o tym nie myśleć.

Wnętrze kościoła Świętego Jakuba przywoływało wspomnienia znacznie odleglejsze niż szalone wakacje na wyspach Indonezji. Zerknął w górę, na freski przedstawiające czterech ewangelistów: Mateusza, Jana, Łukasza i Marka. Miał ochotę im się ukłonić, ale poprzestał na uśmiechu zarezerwowanym dla starych znajomych. Bo tak ich traktował — te cztery namalowane postacie towarzyszyły mu podczas tych wszystkich seansów nudy, w których uczestniczył kiedyś co niedziela i do których już nigdy nie chciał wracać. Były milczącymi towarzyszami jego cotygodniowej udręki. Kontemplowania kościelnych malunków. I odliczania minut, które zostały do końca.

Samo wspomnienie o mszy świętej wywoływało u niego alergię, ale dzisiaj nie miał szczęścia. Trafił na popołudniowe nabożeństwo. Na szczęście, o ile dobrze pamiętał ceremoniał, zaraz miało się skończyć. Opadł na ławkę obok klęczącej kobiety. Zaczekał, aż zajmie pozycję siedzącą, a potem zsunął na chwilę maseczkę:

— Gdzie jest zakrystia?

Wskazała w kierunku otworu drzwiowego po lewej stronie ołtarza. Korzystając z zamieszania towarzyszącego komunii, ruszył główną nawą, zatrzymując się dopiero przy kamiennej balustradzie, oddzielającej sferę sacrum od profanum. Według informacji, które uzyskał kilka minut temu w przykościelnym przytułku, prowadząca go siostra Klara miała być właśnie w zakrystii. Czyli kilka kroków stąd, ale — aż do końca mszy — poza jego zasięgiem.

Przez chwilę wodził wzrokiem po surowych neogotyckich murach, a potem mrugał naprzemiennie oczami, wprawiając w pozorny ruch czerwone światełko wiecznej lampki przed tabernakulum. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że siostra Klara wcale nie jest w zakrystii. Stała kilkanaście metrów od niego, wśród wiernych, i przyglądała mu się w taki sposób, jakby mu współczuła. Zrobiło mu się głupio. W końcu teraz nie był już znudzonym nastolatkiem, tylko dyplomatą. Odczekał, aż ksiądz wypowie zwyczajową formułkę na koniec mszy, a potem wraz z tłumem odpowiedział:

— Bogu niech będą dzięki.

Zrobił to szczerze. Naprawdę był wdzięczny, że to już koniec.

— Przepraszam, czy mogę...? Na momencik.

Siostra Klara skinęła na niego ręką i w akompaniamencie wyśpiewywanej przez wiernych *Barki* poprowadziła do nawy bocznej. Karol uwielbiał gotyckie wnętrza. Chociaż na zewnątrz wciąż była pełnia dnia, tutaj panował półmrok.

— Chciałbym skontaktować się jeszcze z kimś. Ze znajomym pana Pietrzyka.

Jeśli zobaczywszy go w kościele, liczyła na to, że poruszony spotkaniem z Pietrzykiem postanowił złożyć datek na utrzymanie przytułku — nie

okazała rozczarowania. Ascetyczna twarz przywodziła na myśl wykutą w brązie maskę.

— Nie jestem pewna, czy chcę ci pomóc — stwierdziła. — Andrzej ciężko odchorował waszą rozmowę. Zaraz po tym, jak wyszedłeś, miał atak delirium.

— Ale... nic mu nie jest? Przepraszam. — Pytanie nie należało do mądrych, ale uświadomił to sobie poniewczasie. Facet był przecież żywym trupem. — Tym razem chciałbym pogadać z Rajzerem. Aleksandrem Rajzerem. Podobno jest, a przynajmniej był, gorliwym parafianinem.

Nie chciał kpić, po prostu źle dobrał słowa. Rysy zakonnicy stwardniały. Choć wydawało się to niemożliwe, jej twarz stała się jeszcze surowsza.

— Nie był gorliwym parafianinem, tylko biedakiem, który zebrał przy wejściu do świątyni. Nie widziałam go od kilku miesięcy, ale wiem, że żyje. Ktoś widział go dzisiaj pod tablicą z nekrologami. Płakał.

Tablica, o której mówiła zakonnica, stała przed wejściem do kościoła. Laura, która powiesiła nekrolog obok drzwi wejściowych do kamienicy babci, dotarła także i tutaj. Karol zwrócił uwagę na to, że nekrologi wydrukowane przez jego siostrę są nietypowe. Brakowało w nich daty pogrzebu.

— A więc znał moją babcię.

Siostra Klara, która podczas jego wcześniejszej rozmowy z Pietrzykiem zdążyła się zorientować, że właśnie stracił babcię, z powątpiewaniem pokręciła głową.

— Na tablicy wisi nekrolog jego brata. Jana Rajzera, kaleki. Jutro jest pogrzeb.

— Już jutro? — zdziwił się, a potem machnął ręką. To przecież nie miało znaczenia. — Czy doradzi mi pani, jak mógłbym się z nim skontaktować?

Trochę zbyt późno zdał sobie sprawę, że bardziej elegancko byłoby

zwracać się do niej per siostrę, zwłaszcza że prosił o przysługę. Nie wyglądała jednak na urażoną. Na jej twarzy pojawił się przeprasający półuśmiech.

— To niemożliwe. Nie dogada się pan z nim. Nie dzisiaj.

— Dlaczego... nie dzisiaj?

— Bo dzisiaj była burza — stwierdziła zagadkowo, a potem ruszyła wolnym krokiem w stronę wyjścia.

Dogonił ją dopiero po chwili. Przeszli przez przedsionek i stanęli w słońcu. Oślepiało.

— Co ma do tego burza?

— Bo widzi pan, Aleksander Rajzer jest nieszczęśliwy. Trudno nawiązać z nim kontakt.

Chciał spytać o przyczynę jego nieszczęścia, ale zanim znalazł odpowiednie słowa, zrozumiał, że określenie „nieszczęśliwy” było w tym przypadku synonimem szaleństwa.

— Jest z nim tak źle?

— Co mam panu powiedzieć? — westchnęła zakonnica. — Aleksander regularnie odwiedza szpital. Tu blisko, na Nowowiejskiej. Miewa lepsze chwile, ale dzisiaj, po burzy...

— Boi się burzy?

— Boi to łagodnie powiedziane. Wpada w panikę. I nie chodzi o dziwo o pioruny, tylko o deszcz. Panicznie boi się dźwięku spływającej wody.

Karol zaparkował przy Lelechowskiej, pod tym samym drzewem, pod którym jego ojciec parkował przed laty zdezelowanego malucha. Okno mieszkania, w którym kiedyś mieszkali, było uchylone, a na małym balkonie suszyło się pranie. Sposób, w jaki je rozwieszono, wskazywał na rękę Laury. Gdyby nie siostra, ojciec już dawno wylądowałby w domu

opieki. Nie umiał o sobie dbać. Wciąż żył przeszłością, nieświadomy, jak bardzo dezorganizował córce życie. Ale Laura nigdy się nie skarżyła.

Zachowywała się tak szlachetnie, że można było się porzygać.

Podczas obiadu wymusiła na nim obietnicę, że wybierze się do ojca z wizytą, ale nie zamierzał tego robić, a przynajmniej — nie w tej chwili. Skręcając w Białobrzeską, poczuł się tak, jakby spacerował po starym cmentarzu. Wszędzie unosiły się duchy przeszłości. Minął dawną podstawówkę, trzepak, pod którym wypił pierwsze piwo, i bramę, w której po raz pierwszy całował się z dziewczyną. Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał, bo nie wszystkie wspomnienia były miłe. Przechodząc obok prywatnej poradni psychologicznej, do której przed rokiem zapisali się z Sabiną na terapię dla małżeństw, przyspieszył kroku. Terapija im nie pomogła. Ich małżeństwo umierało dalej. W ostatnich miesiącach jeszcze szybciej niż przedtem.

Z wysiłkiem usunął z wyobraźni obraz jej śniadej twarzy, ale gdy to zrobił, jego miejsce zajęła inna śniada buzia. Ich synek Jacek miał trzy lata i był idealną kopią swojej mamy. Na samą myśl o losie, jaki mu zgotowali, do oczu Karola napłynęły łzy. Kopnął ze złością kamień i zmusił się, by o tym nie myśleć. Teraz najważniejszy był spadek po babci. Gwarancja tego, że kiedyś wszystko będzie dobrze.

Ochota jest dzielnicą bardzo niejednorodną. Niektóre kwartały są zadbane, wręcz wypieszczone, inne zaś przywodzą na myśl wspomnienie lat dziewięćdziesiątych — czasów historycznego przełomu i strajku służb oczyszczania miasta, gdy wszystko było szare i brudne. Za bramą, przez którą przeszedł, zaczynała się ta gorsza część. Chodnik był tu nierówny, fasady kamienic odrapane, a miejskie gołębie, walczące ze sobą o najlepsze miejsce pod śmietnikiem, sprawiały wrażenie wynędzniałych. I chorych. To, że Aleksander Rajzer żył akurat tutaj, nie dziwiło. Według słów siostry

Klary był taki sam, jak te gołębie. Wynędzniały i chory. Różnica była jedna. W przeciwieństwie do ptaków bywał niebezpieczny. Jego szaleństwo przeradzało się w agresję.

To właśnie ze względu na napady agresji stracił swoje miejsce w kościelnym przedsionku. Kilka lat temu rzucił się na przypadkowych wiernych, wychodzących z niedzielnej mszy. Tamtego dnia także była ulewa — podobnie jak dzisiaj. Jego napady były skorelowane z pogodą. Nie znosił dźwięku lejącej się wody, ale nawet siostra Klara nie umiała wyjaśnić dlaczego. Od tamtej napaści wspólnota parafialna pomagała mu na odległość. Dostawał paczki z żywnością — zimą dostarczano je w okolicy kanału ciepłowniczego przy Dworcu Zachodnim, w którym urządził sobie kwaterę, a latem tu, na Przemyską. Miał do tego miejsca sentyment. Stąd się wywodził. Z odrapanej kamienicy, z której przed laty go eksmitowano.

Kierując się wskazówkami siostry Klary, Karol zajrzał najpierw na podwórko, a potem — przez brudne okno — do piwnicy, ale Rajzer znajdował się poza swym wakacyjnym schronieniem. Ruszył niespiesznie podwórkiem, skręcił w jeszcze jedną zasikaną bramę i wyszedł na obszerny plac przed ciągiem niedawno otynkowanych budynków. W jednym z nich wychowała się ciotka Monika, ale nie przyszedł tu do niej. Instykt poprowadził go ku wiacie śmietnikowej. Na murku siedział nieruchomo starszy mężczyzna. Gdyby nie tłący się papieros, można by pomyśleć, że śpi.

— Pan Rajzer?

Facet drgnął, a potem wyciągnął rękę, wskazując na coś, co Karol w pierwszej chwili uznał za kłęb szmat.

— Tam.

Z bliska kłęb szmat nabrał humanoidalnych kształtów. I to podwójnie. Na



starym sienniku, w cieniu wiaty śmietnikowej, leżały dwie osoby — kobieta i mężczyzna. Ona miała skórę pomarszczoną niczym pysk shar peia, a on... Trudno powiedzieć, bo jego twarz była niewidoczna — osłaniała ją skołtuniona broda aż po linię oczu.

— Przepraszam, że przeszkadzam... Zależałoby mi na chwili rozmowy z panem Rajzerem.

Mężczyzna pozostał nieruchomy. Na słowa Karola zareagowała kobieta.

— To nie pan Rajzer, tylko Olek. — Jej głos nie pasował do wyglądu. Ani do tego zalatującego moczem siennika. Był zaskakująco przytomny. — Na pana to trzeba mieć wygląd i maniery.

Brakowało jej większości zębów, a kurtka, którą miała na sobie, zdawała się lepić od brudu. Takich jak ona na co dzień nie zauważano. Stanowili wyrzut sumienia.

— Śpi? — spytał Karol, wskazując na jej towarzysza.

— Mam nadzieję. Dałam mu tyle prochów, że...

Zamiast dokończyć, pociągnęła z plastikowej butelki. Ciecz, którą piła, miała żółtawy kolor, przywodzący na myśl... Karol wolał w to nie wnikać. Przełamując obrzydzenie, zajął miejsce na murku, dwa kroki od dziwacznej pary.

— Środki uspokajające?

— Działają jeszcze lepiej, gdy zmiesza się je z alkoholem. — Zarechotała skrzekliwie, ale po chwili śmiech przeszedł w suchy kaszel. Karol, który nie przechorował jeszcze covidu, odruchowo się odsunął. — Lepsze prochy niż psychiatryk — wydyszała, ocierając zmiętą chusteczką to, co osiadło jej na wargach.

— Nie pogadam z nim?

Popatrzyła na niego inaczej niż przed chwilą. Wojowniczo. Przypominała samicę, która broni swojego stada.

— A o co chodzi?

Wymyślił tę historyjkę po drodze. Na tym świecie wszystko miało swoją cenę — także informacje. Należało pokazać marchewkę.

— Moja babcia umarła. Krystyna Kalinowska, może pani znała...

— Nie znałam. I Olek też nie znał.

Powiedziała to z taką pewnością, jakby wiedziała o nim wszystko. Cóż, być może tak było.

— Wygląda na to, że ona was znała. A przynajmniej pana Aleksandra. Zapisła mu w spadku kilka przedmiotów.

Strawił sporo czasu, myśląc nad tymi fikcyjnymi przedmiotami, aż doszedł do wniosku, że najlepsze będą stare meble. Bezdomni nie potrzebowali mebli, ale mogli je sprzedać na targu staroci. Kobieta jednak nawet nie zapytała o przedmiot spadku.

— Bajuj, bajuj. To, że żyję na ulicy, wcale nie znaczy, że jestem naiwna. Nie wierzę ci.

— Ależ zapewniam panią...

— Jak chcesz pogadać, to daj stówę.

— Ale... — Z bólem serca wyciągnął banknot. Gruszki na wierzbie były tańsze. — Czy teraz go pani obudzi? — spytał, obracając w palcach stuzłotówkę.

Pokręciła głową.

— Będzie tak spał do jutra. Ma problem z nerwami.

— Ulewa?

— Tak. Wpada w szał, ale ja umiem sobie z nim radzić.

Pogłaskała go po siwych kudłach. W tym drobnym geście było mnóstwo ciepła. Karol poczuł przez moment coś na kształt zazdrości. W jego związku takie chwile dawno przeminęły i nie zanosił się na to, że wróca.

— Pani nazywa się Czesława, tak?

— Tak. — Uśmiechnęła się, odsłaniając wyrwy po zębach. — Znajomi mówią na mnie Czesia. Pan mnie zna?

— Widziałem pani nazwisko w dokumentach — powiedział zgodnie z prawdą Karol. Wśród słupów Wiśniewskiego znajdowała się jedna kobieta, właśnie Czesława. — Przed dwoma... trzema laty udzieliła pani pełnomocnictwa. Pamięta to pani?

W przeciwieństwie do Pietrzyka nie miała dziur w pamięci.

— A co mam nie pamiętać? Zarobiliśmy z Olkiem dwa tysiące. Balowaliśmy za to przez tydzień.

Mówiąc o pieniądzach, wyciągnęła rękę. Dłoń wieńczyły długie, popękane szpony.

— Komu udzieliliście pełnomocnictwa?

— Zapamiętałam nazwisko, ale najpierw...

Westchnął i wsunął jej w dłoń banknot.

— A teraz po kolei. Komu, dlaczego... Po cholere ktoś miałby brać pełnomocnictwo od...

— Pan się nie krępuje. Od takich jak my? To proste. Jesteśmy niewypłacalni. Komornik zabierze nam najwyżej buty.

Uniosła nogę. Komornik, który zainteresowałby się jej trzewikiem, musiałby być niespełna rozumu.

— Dla kogo pracowaliście?

— To nie była praca. Tyle co jeden podpis. W kancelarii na Szczęśliwickiej, u pani notariusz...

Karol pomyślał o przymiotach charakteru pani notariusz i o jej stosunku do etyki. Seryjne pełnomocnictwa od alkoholików... To przecież śmierdziało na kilometr.

— Kim był człowiek, który to organizował?

Tak jak się spodziewał, podała mu nazwisko Wiśniewskiego. Nie znała

jego mocodawców. Zaklął pod nosem, bo nie usłyszał niczego, o czym by nie wiedział. Stówa przepadła.

— Czy pan Aleksander utrzymywał kontakty z bratem?

Popatrzyła na niego z niechęcią.

— Z tym nadętym bufonem, który zawsze miał się za lepszego? Z tym kuternogą? Broń Boże. Widywaliśmy go raz na kilka lat i zawsze kończyło się awanturą. Gdy usłyszałam, że się wyhuśtał, miałam ochotę otworzyć szampana.

— Nie wybiera się pani na pogrzeb?

— Pójdę. Zatańczę na jego grobie. Co to był za fanfaron...

Chociaż jej wygląd zdawał się mówić co innego, była zaskakująco elokwentna. Karol słyszał o przypadkach, w których bezdomnymi zostawali profesorowie uniwersytetów. Ona nie była profesorką, ale z pewnością zdobyła jakieś wykształcenie. Nadęty bufon... Fanfaron... Takich słów nie usłyszała na ulicy, chyba że... od jakiegoś profesora.

Karol wskazał na pogrążonego w narkotycznym niebycie brodacza.

— Czy pani partner bywał na skwerze Sue Ryder?

— Gdzie?

— W parku za Ministerstwem Środowiska.

— Nie. Tam się nie zapuszczaliśmy.

— Nie pytam o panią, tylko o niego. Zawsze przebywacie razem?

Znów pogłaskała Rajzera po włosach, a on nawet nie drgnął. Spał jak zabity.

— Zawsze. Jesteśmy parą od trzydziestu lat.

Karol pokiwał głową. Ich historia miała być może potencjał na film oscarowy, ale on nie był przecież reżyserem.

— Te jego problemy z nerwami... Miał je od zawsze?

— Od wypadku. Gdyby nie wypadek, nigdy bym go nie poznała. Miał

szansę wyjść na ludzi, a tak... trafił tam, gdzie ja.

— Na ulicę?

Zaśmiała się tak, jakby to, co powiedział, było zabawne.

— Nie zawsze mieszkaliśmy na ulicy. Kiedyś mieliśmy mieszkanie. Tam, widzi pan? Drugie okno od lewej. Tam, gdzie suszą się te szmaty.

Wskazała pazurem na odrapaną kamienicę. Nie było to zapewne wymarzone miejsce do życia, ale i tak o niebo lepsze niż siennik pod wiatą śmietnika. W ich wspólnym życiu coś poszło nie tak, ale Karol miał to gdzieś.

— Znacie Andrzeja Pietrzyka?

Gdy spytał o Jana Rajzera, bezdomna skrzywiła się, jakby nadgryzła cytrynę. Pietrzyk wywołał zupełnie inne emocje. Jej spojrzenie pojaśniało.

— Andrzejka? Oczywiście. Oboje, od samego początku. To zdolny facet, ale nie ma zdrowia. Delikatny. Gdyby nie trafił do poprawczaka, wyszedłby na ludzi, ale niestety — to bagno wciągnęło także jego. Tak jak mojego Aleksandra. Kto wie, co by osiągnęli, gdyby nie ten cholerny poprawczak.

Karol przypomniał sobie widok z okna pokoju, w którym dogorywał Andrzej Pietrzyk. Boisko i piętrowy gmach pełen dzieciaków.

— Mówi pani o ośrodku wychowawczym przy kościele?

— Wtedy był państwowy. Choć to tam poznałam się z Olkiem, uważam, że to było straszne miejsce. Łamało charaktery. Deptało duszę. Ładnie powiedziane, prawda? Takich słów użył kiedyś ksiądz ze Świętego Jakuba. To tam, w poprawczaku, nauczyłam się pić. I robić jeszcze gorsze rzeczy. I Olek. I Andrzej Pietrzyk też.

Karol przeskanował pamięć w poszukiwaniu ewentualnych związków babci Krysi z placówką dla trudnej młodzieży. Bezskutecznie, ale to wcale nie musiało oznaczać, że tego związku nie było. Babcia była nauczycielką.

Być może prowadziła tam zajęcia, organizowała wakacyjne obozy, zielone szkoły... Opcji było wiele.

— Dlaczego umieścili panią w poprawczaku?

— Za niewinność. — Kobieta mrugnęła przekrwionym okiem, a potem uniosła dłoń i wykonała nią taki ruch, jakby sięgała do nieistniejącej kieszeni. — Byłam początkującą doliniarą. Spokojnie, od lat nie praktykuję. Za bardzo trzęsą mi się łapy.

Karol i tak sprawdził, czy wciąż ma portfel. Uspokojony skierował wzrok na śpiącego mężczyznę.

— A pan Aleksander? Co nawywijał?

— Wdał się w bójkę, w szkole. Sprowokowali go. Dla kilkunastoletnich chłopców to atrakcja, gdy jeden z nich wpada w panikę, słysząc dźwięk spuszczonej wody. Dokuczali mu tak długo, że w końcu nie wytrzymał. Pobił się z takim jednym, złamał mu nos, a sam stracił kilka zębów. Dla tamtego to była recydywa, a Olek oberwał rykoszetem. To jego słowa. Obu zamknięto w poprawczaku. Błędy młodości ciągną się za nami do końca życia.

Skwitował tę filozoficzną uwagę pogardliwym prychnięciem. W jego rozumieniu świata bójka, w wyniku której ktoś doznał obrażeń, nie była błędem młodości, tylko chuligańskim wybrykiem.

— Co to była za szkoła?

— Najbardziej elitarne liceum w Warszawie. Staszic.

— Co?!

— Liceum Staszica. — Kobieta, nieświadoma wrażenia, jakie wywarła, mówiła dalej: — Ten kuternoga, jego brat, też tam chodził i nawet udało mu się zdać maturę. Niezbyt mu się przydała. — Parsknęła złośliwym śmiechem. — Rozpił się, wpadł pod tramwaj... Koniec końców wrócił do szkoły, tym razem w charakterze ciecia.

— Przynajmniej miał pracę.

— Ale jaką? Zamiatął podwórko.

Karol miał na końcu języka sentencję, że żadna praca nie hańbi, ale dał za wygraną. Był ostatnią osobą, która powinna moralizować. Myślami krążył wokół gmachu liceum. Babcia uczyła tam prawie czterdzieści lat. W korytarzu na parterze wisiał jej portret. Czy to możliwe, że droga do wyjaśnienia zapisu, który zawarła w testamencie na rzecz Pietrzyka, wiodła właśnie przez liceum i braci Rajzerów? W tej chwili nie miał lepszej koncepcji. Liceum... albo poprawczak.

Pani Czesia miała mu wskazać jeszcze trzecią możliwość. Zerknęła na Rajzera i machnęła ręką, odpędzając muchę, która przysiadła mu na czole. A potem pociągnęła z butelki, mlaszcząc z takim zadowoleniem, jakby w jej wnętrzu pływał pięciogwiazdkowy koniak.

— Pewnie pan się zastanawia, o co chodzi z tą wodą... Dlaczego ma od niej takie ataki.

Karol popatrzył na nią obojętnie. Miał to gdzieś, ale się nie połapała.

— Kiedy był w liceum, uległ wypadkowi. Razem z kolegą, jak to w tym wieku bywa, postanowili się sprawdzić. Zrobili sobie próbę odwagi i weszli do kanałów.

Karol cmoknął z dezaprobatą. Pomysł był nie tylko głupi, ale też niesmaczny. Każdy warszawiak wiedział, co wydarzyło się w kanałach. To nie było miejsce, w którym wypadało się wygłupiać.

— I co? — burknął, z trudem powstrzymując się od komentarza. — Spadł deszcz?

— Nie — zaprzeczyła bezdomna. — Była piękna pogoda, ale ktoś czegoś nie dopilnował. Zrobili jakiś spust, czy jak to się nazywa, i kanałami popłynęła woda. Zabrała go i przytopiła, a oprócz tego poharatała się o jakieś żelastwo. — Bezceremonialnie podciągnęła do góry poplamioną

bluzę swojego nieprzytomnego partnera, odsłaniając paskudną bliznę, biegnącą od usmolonego czymś ramienia aż po zapadnięty brzuch. — Udało mu się wydostać na powierzchnię, ale te minuty, które spędził tam, na dole, topiąc się w ciemnościach, zmieniły go na zawsze. Coś przeskoczyło mu w mózgu. Pytał pan, czy zapuszczamy się w okolice Ministerstwa Środowiska. Nigdy tam nie chodzimy. To za blisko.

— Staszica?

— Nie. Tamtego kanału. Ten wypadek wydarzył się przy Koszykowej, zaraz przy Filtrach. Olek unika tych okolic jak ognia. Z biegiem czasu jego strach jeszcze się pogłębia. Nie znosi też tego szpitala.

— Którego szpitala? Psychiatrycznego, przy Nowowiejskiej?

Kiwnęła głową. Tak energicznie, że spod chustki, którą obwiązała głowę, wydostał się pojedynczy kosmyk sklejonych brudem włosów.

— Szpital jest za blisko tego cholernego kanału na Koszykowej. Nic dziwnego, że nie znajduje tam ukojenia.

Karol chciał ją skorygować. Szpital Nowowiejski znajdował się naprzeciwko miasteczka Politechniki. Do Koszykowej, przebiegającej wzdłuż muru Stacji Filtrów, było stamtąd kilkaset metrów. Zanim jednak otworzył usta, kobieta powiedziała coś dziwnego.

— Olek był tam całkiem niedawno. Kilka miesięcy temu. Było gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Twierdzi, że spotkał tam ducha.

— W szpitalu?

— Tak.

— Ducha w znaczeniu metafizycznym?

— Po prostu ducha. Tak twierdzi. Normalnie nie ma halucynacji, a wtedy zupełnie mu odbiło. Bardziej niż przy odgłosach ulewy.

— Myśli pani, że to echa traumy po tym wypadku?

Rozłożyła ręce.



— Nie chciał o tym gadać. Powiedział tylko, że prędzej zginie, niż tam wróci.

Pod kamienicą babci nie było wolnych miejsc. Coraz bardziej zirytowany, skręcił w Raszyńską i po chwili minął Pomnik Lotnika. Udało mu się zaparkować dopiero przy Wawelskiej, na wysokości centrum onkologii. Po przeciwnej stronie ulicy, obok budynków szpitala, rozciągał się park z ukrytym za drzewami pomnikiem patronki centrum, Marii Skłodowskiej-Curie. Rzeźba miała przestrzeloną głowę. Uszkodzenie powstało w czasie powstania. Dla personelu i pacjentów szpitala, zwanego wtedy Instytutem Radowym, kulka w głowę byłaby wybawieniem. Rosjanie z hitlerowskiej RONA robili z nimi znacznie gorsze rzeczy.

Do wyznaczonej godziny spotkania pozostały tylko trzy minuty, ale wcale się nie spieszył. Liczba trzy odpowiadała liczbie koncepcji, które powstały mu w głowie pod wpływem rozmowy z panią Czesią i jej partnerem, Aleksandrem Rajzerem. Rajzer ocknął się w momencie, gdy się rozstawali. Jego wkład w dyskusję był znikomy. Kazał Karolowi spierdalać, a potem znów pogрузzył się w niebycie. Ale Karol nie miał do niego żalu. To, co usłyszał od jego konkubiny, było warte zainwestowanej w ciemno stówy.

Od kiedy pan Emil odczytał testament, Karol nie umiał przestać myśleć o zapisie dla Pietrzyka, a konkretnie — dla sygnowanego jego nazwiskiem biura poszukiwań. Spółki widmo. Nie miał pojęcia, co kierowało babcią, gdy postanowiła przekazać mu taką część majątku, ale pamiętał jej słowa. Ich ostatnią rozmowę.

Babcia wspomniała, że chce zmienić testament. Była smutna, zupełnie jakby zdała sobie sprawę... że ktoś ją oszukał.

Próba zdemaskowania oszusta okazała się nieskuteczna. Pietrzyk był

słupem, a Wiśniewski — pośrednikiem. O człowieku, który pociągał za sznurki, wiedział tyle, co nic. Mógł na niego trafić na dwa sposoby. Przez babcię. Albo przez wykonawców, czyli między innymi braci Rajzerów. Postanowił to połączyć. Znaleźć to, co ich łączyło, i przyjrzeć się, czy w tle nie czai się on. Tajemniczy mocodawca, który sprawiał, że Wiśniewskiemu drżały łydki.

Punkty styczne były trzy. Na tym fundamencie Karol stworzył na szybko trzy koncepcje. Pierwszą nazwał tropem szkolnym. Obaj bracia Rajzerowie chodzili do Staszica, w którym babcia Krysia uczyła polskiego. Jan Rajzer był tam następnie stróżem, którego uczniowie nazywali Cyrklem. Czy mężczyzna stojący za machinacją, która skłoniła babcię do przekazania majątku trefnej spółce, wywodził się właśnie ze Staszica? A jeśli tak, to kim był? Uczniem czy nauczycielem? I kogo znał? Babcię i Aleksandra? A może babcię i Jana, kulawego stróża? Pytań było wiele, a możliwości... jeszcze więcej. Rajzerowie, podobnie jak babcia, byli związani ze szkołą przez lata.

Choć ta koncepcja wydawała mu się najbardziej prawdopodobna, nie mógł zignorować pozostałych. Druga koncepcja, która zakiełkowała mu w głowie pod wpływem dzisiejszych rozmów, związana była ze Stacją Filtrów. Chociaż babcia Krysia zwalczała pamięć o dziadku Julianie z całych sił, to jego miejsce pracy było nierozzerwalną częścią jej życia. Filtrom zawdzięczała mieszkanie, z Filtrów przychodziła renta po dziadku, Filtry ufundowały tablicę i — jak się dowiedziała Laura — nagrobek dziadka na Powązkach. Obaj bracia Rajzerowie również byli związani ze Stacją Filtrów. Jeden z nich pracował tam jako stróż, a drugi — znacznie wcześniej — uległ w okolicy poważnemu wypadkowi. Podczas obiadu Laura wspominała o wypadku, w którym obrażeń doznał dziadek.

Niezależnie od tego, czy był to ten sam wypadek, czy dwa odrębne, związek istniał. Karolowi trudno było uwierzyć, że to zbieg okoliczności.

Była jeszcze trzecia koncepcja, ale tu nie miał danych — z wyjątkiem tej jednej, najbardziej zastanawiającej. Babcią Krysią zainteresował się po śmierci jakiś psychiatra. I to akurat ze Szpitala Nowowiejskiego, czyli miejsca, w którym regularnie bywał Aleksander Rajzer. Tu też trudno było uwierzyć w przypadek. Ale jeśli nie przypadek, to co? Przecież babcia nigdy nie leczyła się psychiatrycznie. Wiedziałby, na pewno by to wiedział, chociaż...

Ludzie niechętnie dzielą się wiedzą o zdrowiu psychicznym. A więc?

Wzruszył ramionami. Ta koncepcja miała zaletę, której nie miały dwie poprzednie. Można ją było zweryfikować. Już za niespełna... godzinę. Psychiatra będzie musiał odpowiedzieć na kilka trudnych pytań. Nie tylko Laurze, ale także jemu.

Karol sięgnął po telefon, ale kieszeń była pusta. Prywatną komórkę oddał Laurze z prośbą, by ją naładowała. Pozostała mu służbowa, z której — z różnych względów — wolał nie korzystać. Miał niemal pewność, że jego rozmowy są rejestrowane. Wczoraj zasugerował mu to sam dyrektor kadr. Niby w tym, co robił, nie było nic złego, ale wolał dmuchać na zimne.

Bo nie miał pewności, jak to się dalej potoczy.

Przecinając plac pod Pomnikiem Lotnika, wysłał siostrze tylko krótkiego SMS-a.

*Chcę przy tym być.*

Treść była lakoniczna, ale był pewien, że zrozumie. Laura bywała naiwna, ale potrafiła kombinować. Była przecież jego siostrą.

Skwer Sue Ryder tętnił życiem, ale przy fontannie było względnie pusto. Nic dziwnego, nikt nie lubi relaksować się w towarzystwie umundurowanej policjantki.

— Spóźniłeś się. — Baśka ruszyła w jego stronę tak energicznie, jakby miała ochotę go zwinąć. — Co cię tak bawi?

— Mam sesję z psychiatrą — odparł, chowając telefon. Laura nie miała kłopotu, by odczytać jego przesłanie. Odpisała, że kozetka czeka. Był ciekaw, jak jej wiadomość zinterpretują ci, którzy kontrolowali jego kontakty. Cóż, najwyżej po ministerstwie rozejdzie się kolejna plotka. Nie dbał o to. I tak był już na cenzurowanym. — Coś nie tak?

Baśka, która zareagowała na jego słowa cierpkim grymasem, wzruszyła ramionami.

— Psychiatrzy to szarlatani — stwierdziła.

— Masz na myśli psychologów. Psychiatrzy to lekarze. Lekarze duszy.

— Poważnie masz wizytę u psychiatry?

— To on ma wizytę u mnie. Doktor Michał Tracz. Chce pogadać o babci.

Spodziewał się jakiejś reakcji, ale stawiał na zdziwienie, a tymczasem oczy Basi zapłonęły gniewem.

— Po co?

— Gdybym wiedział, nie musielibyśmy rozmawiać. Znasz go?

Coś zatrzeszczało, a potem odezwało się jej radio. Stłumiony głos informował o kolizji przy placu Zawiszy.

— Tak — odparła gniewnie, manipulując palcami przy pokrętle. Radio ucichło. — Spotykaliśmy się.

— Ty z nim? Świat jest mały.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo. To dupek. Ale przy tym fachowiec. Mówią, że najlepszy w mieście.

— Czyli dobra partia?

Odpowiedziała mu słowami, które nie licowały z mundurem. Zreflektowała się dopiero wtedy, gdy napotkała spojrzenie mijającej ich staruszki.

— Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce — zaproponowała.

Chwilę później usiedli na ławce w odludnej części parku. Tuż obok Filtrów, od których odgradzały ich dwupiętrowe kamienice oraz — nieco dalej — potężny gmach Najwyższej Izby Kontroli. Basia wyjęła z kieszeni złożoną na czworo kartkę. Druk był tak mały, że Karol tylko uniósł brwi.

— Masz może lupę?

— Nie. Ale mogę ci wszystko przeczytać.

— To wydruk dla babci?

— Jej też go odczytałam. To, co zrobiłam, było nielegalne. Nie chciałam, by ktoś nakrył mnie nad służbową drukarką. Zmniejszyłam tekst i zrobiłam zdjęcie. A potem wydrukowałam je w punkcie ksero.

— Jak rasowy szpieg.

— Nie taki rasowy, ale... coś w tym jest. Już nigdy nie wyniosę na zewnątrz służbowych danych.

Zadrukowana kartka zawierała dane Aleksandry Arbaszewskiej z KSIP-u i PESEL-a. Karol pochylił głowę, ale drobne literki zlewały mu się w czarne szlaczki. Nie lubił przyznawać się do słabości, ale w tym wypadku nie miał wyjścia.

— Pora na pierwsze okulary. Czytaj.

— Ale co konkretnie?

— Wszystko.

Aleksandra Arbaszewska przyszła na świat w lecie 1984 roku. Jej styl ubierania był zatem mylący. Stylizowała się na dwudziestokilkulatkę, a tymczasem dobiegała już czterdziestki. Jako miejsce urodzenia podano Olecko, a pierwszym miejscem zameldowania była wieś Lipiany, numer dwa.

— To gdzieś obok Olecka?

— Kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód, pod samą granicą

z obwodem kaliningradzkim. Pod tym adresem znajduje się dom dziecka. Jeśli przez te lata nic się nie zmieniło, to Arbaszewska dorastała w tej placówce, bez rodziców.

Rodzicami kobiety, którą poznał dzisiaj rano, byli Jan Arbaszewski i Antonina Kowalska. Z danych, które pozyskała Basia, wynikało, że oboje żyli. Aleksandra nie była zatem sierotą, tylko podrzutkiem. Rodzice, oddając ją do domu dziecka, pozbyli się problemu.

— Nie są małżeństwem. I nigdy nie byli. Oboje mieszkają w niewielkiej miejscowości. Wygląda na to, że Aleksandra była, jak to się brzydko mówi, wypadkiem przy pracy.

— Buziak na pożegnanie i zawiniątko w oknie życia?

Policjantka pokręciła głową.

— Ich wzajemne kontakty nie ograniczyły się do buziaka na pożegnanie. Aleksandra była zameldowana w sierocińcu przez osiem lat. Potem wróciła do biologicznych rodziców. Mieszkała z matką, a po ukończeniu osiemnastego roku życia z ojcem. Tak przynajmniej wynika z danych meldunkowych. Dom dziecka był tylko epizodem... O co chodzi?

Karol zaklął pod nosem.

— Osiem lat. Ładny mi epizod.

Baśka zostawiła tę uwagę bez komentarza. Była policjantką. Trudne wybory, ludzkie nieszczęścia — to wszystko stanowiło jej chleb powszedni.

— Potem zamieszkała sama, w Sejnach. W bloku z wielkiej płyty. Jest tam zameldowana aż do dzisiaj.

— Skąd wiadomo, że to blok z wielkiej płyty? Z policyjnych systemów? Zaprzeczyła.

— Nie są aż tak dokładne. Obejrzałam ten blok w Google Maps. Podobnie jak sierociniec i chałupy, w których mieszkają jej rodzice. Razem z twoją babcią. Na jej prośbę.

Karol poczuł, że drapie go w gardle. To nie było wzruszenie, tylko złość. Nie mógł zrozumieć, że babcia szukała pomocy u obcej osoby, a on, jej jedyny wnuk, nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi.

— Była zadowolona?

— Przeciwnie. Była smutna. Bo to nie są miejsca o wysokim standardzie. Zrujnowany blok z wielkiej płyty, sypiące się chałupy... Ta, w której mieszkała z matką, bardziej przypominała barak. Z tego wszystkiego najlepiej prezentował się sierociniec. Jest położony w ładnym miejscu. Na wielkiej łące, wśród lasów.

Jedną z zalet nowoczesnych technologii było to, że z chwilą, gdy mówiła te słowa, Karol oglądał sierociniec na ekranie swojej służbowej komórki. Owszem, sierociniec wzniesiono w pięknej okolicy, ale wątpił, czy dorastanie w nim było dzięki temu chociaż odrobinę mniej traumatyczne.

— Dlaczego babcia tak dokładnie ją sprawdzała?

— Myślisz, że nie pytałam? Nie chciała powiedzieć. Wiesz, co wydało mi się najdziwniejsze? Czas. Gdyby sprawdzała ją wcześniej, zanim ją zatrudniła, można by to uznać za naturalne. Dziwne, ale naturalne. A ona robiła to w momencie, gdy ta Arbaszewska już u niej pracowała. Już mieszkała pod jej dachem. Więc...

— Olkę zatrudnili ciocia z wujkiem — przerwał Karol. — Tak mówiła mi Laura.

— W takim razie to oni powinni ją sprawdzić.

Karol stwierdził, że policjantka ma rację. Nie miał pojęcia, skąd ją wytrzasnęli, ale zważywszy na jej kryminalną przeszłość... Tak, zdecydowanie powinni byli ją sprawdzić.

— Kiedy siedziała w tym więzieniu?

Baśka obróciła kartkę. Na odwrocie była pokryta tym samym mikroskopijnym drukiem.

— Za pierwszym razem jako dziewiętnastolatka. Dostała dwa lata bezwzględnego pozbawienia wolności, za przemyt.

— Bezwzględnego? Co to znaczy?

— Że rzeczywiście kiblowała. Kara nie podlegała zawieszeniu. To nie była jej pierwsza wpadka, ale pierwsza tak poważna. Znalezione przy niej narkotyki. Nie pytaj mnie, gdzie je schowała.

Nie zamierzał pytać. Oglądał seriale na Netfliksie.

— Po wyjściu z więzienia została prostytutką, tak?

— Owszem. Ktoś musiał jej wytłumaczyć, że to bezpieczniejsze zajęcie niż kursowanie z trefnym towarem przez granicę. prostytutki... Pracownicy seksualne bywają rekrutowane między innymi właśnie w zakładach karnych. Były takie sprawy. To wstrętny biznes, szczególnie przy wschodnich granicach.

Karol jeszcze raz zerknął na mapę. Jak na jego gust Aleksandrze bliżej było do granicy północnej niż wschodniej, ale nie oponował.

— Wyobrażam sobie, że wstrętny — mruknął. — Rozumiem, że nie założyła rodziny?

Aleksandra Arbaszewska była panną. Wszystkie informacje o jej związkach miały charakter kryminogenny.

— Jeden z jej konkubentów odbywał wyrok za wymuszenie rozbójnicze. Innego znaleziono na dnie Wigier, z nogami obciążonymi łańcuchem. Ostatni jest dłużnikiem. Z informacji z lokalnej komendy wynika, że dłużnikiem rekordzistą.

— To wszystko jest w policyjnych bazach?

Zwiesiła głowę.

— Nie wszystko. Twojej babci zależało na szczegółach, więc wysłałam telefonogram.

— Co wysłałaś?



— Telefonogram — powtórzyła nadąsana. — Wyobraź sobie, że jeszcze nie wszędzie dotarły najnowsze nowinki techniczne. Posterunek w Słobódce to nie ambasada. W odpowiedzi przesłali mi raport sporządzony przez tamtejszych dzielnicowych. To stąd wiem na przykład o jej długach... czy długach jej konkubenta. Oraz o tym, że tych konkubentów było więcej, niż można by przypuszczać.

Aleksandra musiała mieć luźne podejście do wierności w związkach. Wskazywało na to również jej zachowanie. Nawet gdy kłóciła się z Karolem o dostęp do mieszkania, jednocześnie kręciła tyłkiem w taki sposób, jakby zamierzała go uwieść.

— Czy praktykowała w zawodzie aż do końca?

Baśka uniosła rękę, dając mu znak, że ma się zamknąć. A potem wsłuchiwała się w głos dobiegający z radia.

— Nic ważnego. Sorry, ale jak pewnie się zorientowałeś, jestem na służbie.

— Nikt cię nie kontroluje? Możesz tak sobie siedzieć i nic nie robić?

— Ten park to siedlisko zła i występku. — Mrugnęła okiem. — Dbam o bezpieczeństwo. Nawet siedząc.

Wskazała ręką na dwoje nastolatków, którzy na jej widok odwrócili się na pięcie i właśnie znikali między parkowymi drzewami. Miejsce, w którym siedzieli, musiało być mekką amatorów piwa pod chmurką. I innych uciech. Świadczyły o tym śmieci — szkło butelek, dywan z petów, a nawet zużyta prezerwatywa.

— I tak zrobią to, co mają zrobić. Tylko gdzie indziej.

— Ale to już nie będzie mój rewir.

— Masz fajną robotę.

Spojrzała na niego spod ciężkich powiek.

— Uwierz mi, że nie zawsze. A wracając do twojego pytania... Owszem,

Arbaszewska pracowała jako sex workerka do zeszłej jesieni, a więc w okresie bezpośrednio poprzedzającym zatrudnienie u twojej babci. Widocznie postanowiła się przebranżowić. Pewnie sporo jej zapłaciliście, chociaż... Sex working przy granicy wschodniej nie jest zapewne zajęciem tak intratnym, jak w Warszawie. A może po prostu chciała coś zmienić?

Karol uniósł brew.

— Nie rozśmieszaj mnie. Gadałem z tą dziewczyną. Nie sprawiała wrażenia skruszonej grzeszniczki. Próbowwała oskubać mnie z kasy.

Baśka przyznała mu rację.

— Ja też z nią gadałam. Z własnej inicjatywy, twoja babcia nie miała z tym nic wspólnego. Chciałam mieć pewność, że nie będzie kłopotów.

— I jak wrażenia z rozmowy?

— Gadała ze mną jak stara cwaniara, ale odniosłam wrażenie, że nadrabia miną. Chyba kiepsko zadomowiła się w dużym mieście. A może doskwierała jej samotność? Pod tym płaszczykiem bezczelności sprawiała wrażenie zagubionej.

— Jak większość ludzi w trakcie kolejnej fali covidu — skwitował Karol. — Warunkiem jej zatrudnienia był całkowity dystans społeczny. Miała nie zarazić babci. To było jej główne zadanie, a wszystko inne, czyli na przykład gotowanie czy zakupy, schodziło na dalszy plan. Więcej luzu dostała dopiero w maju, jak fala zakażeń opadła. W czerwcu poszła na pierwszy urlop, a w lipcu... Wiadomo, co stało się w lipcu. Babcie zamordowano.

— A Aleksandra przebywała wtedy na urlopie.

— Zapewne w Sejnach, w tym bloku z wielkiej płyty.

— Nie, u konkubenta w Suwałkach. Tam logowała się jej komórka. Blok z wielkiej płyty omijała szerokim łukiem.

— Niby dlaczego?

— Bo pod tamtym adresem oprócz niej zameldowanych było siedem innych kobiet. Ten lokal to prawdopodobnie sypialnia dziwek.

Do tej pory nie używała tego określenia. Trudno było za nią nadążyć. Sprawiała wrażenie przybitej. Tak bardzo, że Karol objął ją ramieniem.

— Co się dzieje?

— Jestem w mundurze — syknęła, strząsając jego rękę. — Sorry, ale jakby ktoś zobaczył... Mam już wystarczająco dużo problemów. Dowiedziałam się, że chłopaki ze stołecznej zainteresowały się tym adresem. Sprawdzają te kobiety za pośrednictwem miejscowej policji. Jeśli nie złapią mnie po mojej aktywności w bazach danych, to wpadnę przez ten cholerny telefonogram na posterunek w Słobódce.

Jej oczy wypełniły się łzami. Nie mogąc jej przytulić, ujął ją za dłoń.

— Nie łam się. Każdy ma problemy, a to tylko praca...

— Ta praca jest całym moim życiem. Nie widzę się w urzędzie... Ani tym bardziej w więzieniu. Ciekawa jestem, co ty byś czuł, gdyby wisiał nad tobą taki miecz...

— ...Damoklesa — dokończył odruchowo, a potem wbił wzrok w ziemię i zaścielające ją pety. Inspektorzy NIK-u musieli być strasznymi palaczami. — Wszystko wskazuje na to, że lada moment wylecę z ministerstwa. Nikt o tym nie wie, ale to prawda.

Drgnęła, a potem wyciszyła radio, które znów zaczęło szumieć.

— Dlaczego?

Nie miał pojęcia, czemu zdecydował się na to wyznanie, ale gdy to zrobił, poczuł ulgę. Już dawno powinien z kimś pogadać, a Baśka była idealną powierniczką. Nie dlatego, że potrafiła słuchać, tylko dlatego, że miała szansę go zrozumieć. Była w podobnej sytuacji.

— Jestem winny trochę pieniędzy... różnym ludziom. Miałem problemy finansowe. Mój pracodawca bardzo nie lubi niespłaconych zobowiązań.

W moim zawodzie istnieje ryzyko, że zadłużony dyplomata da się kupić. Jest wtedy łatwym celem...

— Dla kogo? Przepraszam, głupie pytanie. Dla obcego wywiadu, prawda?

— Owszem. Miałem ostatnio kilka nieprzyjemnych rozmów i obawiam się, że nawet jeśli pozbędę się długów, niewiele to zmieni. Machina ruszyła. Bo jest jeszcze jedna rzecz, której moi przełożeni nie lubią bardziej niż zadłużenia.

— Problemy obyczajowe?

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

— Skąd wiesz?

— Wystarczy na ciebie spojrzeć. Ty kochasz kobiety. Zawsze je kochałeś.

Miała oczywiście rację, ale sytuacja była bardziej złożona.

— Oddaliśmy się od siebie, z żoną... — zaczął, ale nie dała mu skończyć.

Nie bacząc na powagę munduru, pacnęła go dłonią.

— Oddaliśmy się od siebie, żona mnie nie kochała, miałem dużo pracy... — przedrzeźniała go, wplatając swoje kwestie. — Typowe tłumaczenie typowego faceta. Michał... Ten psychiatra, z którym masz się widzieć, jest taki sam. Na pewno się dogadacie...

Rozmowa potoczyła się w złym kierunku. Chciał się zwierzyć, ale zrobiło się nieprzyjemnie. Baśka wylała na niego cały kubek swej frustracji, nie dając mu wytłumaczyć, że to nie tak. Otworzył usta, by się bronić, gdy odezwało się radio. Tym razem policjantka nie mogła go wyciszyć, bo zniekształcony elektronicznie głos zwracał się wprost do niej. Karol poczuł się jak na planie serialu z Borewiczem.

— Dwa trzydzieści siedem, dwa trzydzieści siedem... Halo, Baśka, gdzie

jesteś?

— Na tyłach NIK-u — powiedziała policjantka, gestem nakazując mu milczenie.

— Bardzo dobrze. Idź na róg Dantyszka i Mochneckiego. Trzeba zabezpieczyć teren.

Karol poczuł klucie w piersi. Nieopodal tego miejsca znajdowała się kamienica babci.

— Co się stało? — spytała napiętym głosem Baśka.

— Jesteś sama?

— Tak — skłamała, podnosząc się z miejsca.

— Stołeczna będzie przeprowadzać zatrzymanie. Pod Dantyszka...

Padł numer kamienicy, w której mieszkała babcia. A potem numer jej lokalu...

— Kogo zatrzymują?

— Faceta podejrzanego o zabójstwo tej staruszki. Nie powinno być problemów. Namierzyli go po BTS-ach. Przed chwilą wyrzucał śmieci... Nienotowany.

— Dobra, idę. Masz tam może nazwisko tego człowieka?

Na moment zapadła cisza. Baśka popatrzyła na Karola, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Z chwilą ujęcia zabójcy jej problemy dobiegały końca, a w każdym razie... tak sądziła.

Karol czekał na nazwisko z takim napięciem, jak na wyrok. Gdy padło, miał ochotę się rozpłakać. Baśka zbladła, a potem zakłęła. W jej oczach pojawiła się wrogość. I strach.

— Halo. Jesteś tam?

— Jestem — wychrypiała.

— Powtarzam: mężczyzna, który zostanie zatrzymany, to wnuk zamordowanej. Przesłuchiwałaś go. To Karol Woźniak.

Doktor Michał Tracz rzadko czuł się nieswojo, ale to właśnie był taki moment. Chociaż zwykle nie miał problemów z doborem słów, teraz nie wiedział, jak zacząć. Kobieta, z którą się umówił, wprowadziła go do salonu. Miała na twarzy miły uśmiech, ale jej oczy patrzyły tak badawczo, że miał ochotę zasłonić się krzesłem.

— Nie zaproponuję panu kawy...

— Wystarczy woda, dziękuję.

— Policja zabezpieczyła czajnik i ekspres, a ja tu nie mieszkam... — Zawahała się, a potem wyciągnęła dłoń. — Nie miałam okazji się przedstawić. Mam na imię Laura.

— A ja Michał. — Uścisnął jej dłoń, wciąż zakłopotany. — I lubię wodę. Naprawdę. Czy to pani babcia?

— Tak.

Z wiszącego nad kanapą portretu patrzyła na niego staruszka. Bardzo podobna do tej, którą widział na nagraniu z holu szpitala, ale jednak inna.

— To aktualny portret?

— Sprzed kilku lat. Babcia była w rzeczywistości trochę bardziej zaokrąglona.

Podejrzanie zmieniło się w pewność. Kobiecie z portretu brakowało właśnie tych kilku dodatkowych kilogramów.

— Wygląda bardzo sympatycznie...

— Niech pan usiądzie.

W mieszkaniu Krystyny Kalinowskiej wyczuwalny był ten specyficzny nastrój towarzyszący nagłej tragedii. Laura, która była wnuczką zmarłej, starała się nadrabiać miną, ale wewnątrz była rozbita. Widział to i słyszał — w jej oczach, w sposobie, w jaki zerkała na rodzinne pamiątki, i w głosie. Gdy mówiła o babci, głos stawał się stłumiony i jakby chropowaty.

Wskazała mu miejsce przy stole, a sama usiadła obok. Wyglądała na studentkę, ale wrażeniu temu przeczył ubiór. Studentki nie ubierały się tak elegancko nawet na egzaminy. A przynajmniej nie studentki medycyny.

— Niedługo dołączy do nas mój brat. Muszę przyznać, że nas pan zaintrygował.

— Wyobrażam sobie. Sam nie wiem... nie wiedziałem... czy wypada zawracać państwu głowę, ale w tej sytuacji...

Przechylił szklanę, bicząc się w myślach. Dziewczyna była ładna, ale nie aż tak, by się przy niej zacinać niczym wioskowy głupek. Postanowił zacząć od drugiej strony.

— Naczelną zasadą obowiązującą lekarzy, a szczególnie lekarzy psychiatrów, jest dyskrecja — oznajmił, starannie dobierając słowa. — Co do zasady nie możemy ujawniać danych pacjentów, ale od każdej zasady są wyjątki. Pani babcia została zamordowana, prawda?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Do czego pan zmierza?

— Pani babcię zamordowano w zeszłą niedzielę. Tak czy nie?

— Tak twierdzi policja. Nie było mnie przy tym. Czy mógłby pan wyjaśnić...

Wyglądała delikatnie, ale nie dawała się zdominować. Michał uniósł rękę.

— Już wyjaśniam, ale najpierw chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie. Mogę?

Zgodziła się, ale uczyniła to z niechęcią, której nie próbowała ukrywać.

— Niech pan strzela, doktorze.

Psychiatra wyrzucił z głowy obraz sądu koleżeńkiego obradującego nad cofnięciem mu uprawnień. Dane pacjenta oddziału zamkniętego traktowane były jako ultrawrażliwe, a on właśnie je ujawniał.

— Czy mówi coś pani nazwisko Romanow?

— Nie — odparła natychmiast. — To pacjent?

Kiwnął szybko głową, chcąc to mieć za sobą.

— Niech pani rzuci okiem.

Zdjęcie Romanowa, przypiętego pasami do łóżka, było niewyraźne. Zrobił je z ukrycia, towarzysząc lekarzowi dyżurnemu w popołudniowym obchodzie.

— Nie znam go. — Zauważył, że się wzdrygnęła. Zdjęcie było nieostre, ale nie aż tak, by zamaskować szpetotę. Samego pacjenta, a także izolatki, w której przebywał. — Czy ten człowiek ma coś wspólnego z moją babcią?

— To właśnie chciałbym ustalić.

Wysłuchiwała jego relacji z kamienną twarzą. Emocje, które odczuwała, odbijały się tylko w jej oczach. Gdy skończył, oczy stały się mniejsze.

— Skąd pan wiedział, że staruszka, która odwiedziła Romanowa, jest moją babcią?

— To ona — wskazał na portret. — Z całą pewnością.

— Ale skąd pan to wiedział... wtedy? Zanim zobaczył pan portret. I jak pan tu trafił?

Pytania były zasadne, a odpowiedź — kłopotliwa. Nie mógł przecież wyznać, że na ślad zabójstwa pani Kalinowskiej naprowadził go Łukasz Komar swą brawurową ucieczką, którą zakończył na konarze drzewa pod oknem jej mieszkania. Nie zamierzał zdradzać tożsamości kolejnego pacjenta. Co za dużo, to niezdrowo.

— Zasugerował mi to profesor Łapiński. Czy dobrze go pani zna?

Gdy spotkali się kilka godzin temu, na klatce schodowej, wspomniał, że pracuje w Szpitalu Nowowiejskim. Zapytała go wtedy o profesora. Michał odgadł, że poddawała go w ten sposób testowi na prawdomówność. Od tego czasu zastanawiał się, w jakich okolicznościach mogła go poznać. Czy to



możliwe, że profesor był jej lekarzem, a ona — pacjentką? Wymieniając jego nazwisko, piekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Odpowiadał na pytanie, oczekując, że dziewczyna zaspokoi jego ciekawość. I tak się stało.

— W ogóle go nie znam. Robił ekspertyzę dla mojej firmy. — Popatrzyła mu prosto w oczy i przez moment miał wrażenie, że rozgryzła jego podwójną grę. Chodziło jednak o coś innego. — Moja babcia nie jest jedyną staruszką na Ochocie. Dlaczego założyliście, że to ona?

Michał westchnął. W kobietach najbardziej cenił inteligencję, ale czasami jej nadmiar bywał kłopotliwy.

— Po tej wizycie mój pacjent miał kilka epizodów agresji. Zupełnie nieuzasadnionej. Powiedziałbym nawet, że nienormatywnej. Dlatego ja też szukałem nienormatywnych rozwiązań. Profesor pokazał mi nekrolog pani babci, zwrócił uwagę na korelację czasową... Postanowiłem to sprawdzić.

To o korelacji czasowej było oczywiście kłamstwem. Miał nadzieję, że Laura nie będzie drążyć dalej, bo nie lubił kłamać. Bynajmniej nie z powodów etycznych. Po prostu z doświadczenia wiedział, że kłamstwo naprawdę miało krótkie nogi.

— I przyszedł pan do mnie? Tak... w ciemno?

— Nie do końca w ciemno. — Rozluźnił się, bo akurat to było prawdą. — W nekrologu napisano, że pani Krystyna była nauczycielką. W Internecie jest dużo jej zdjęć. Jest na nich młodsza, ale rysy twarzy pozostały te same. Niech pani popatrzy.

Wyciągnął z teczki wydruk starego zdjęcia z Naszej Klasy oraz wydrukowany zrzut ze szpitalnego monitoringu, z zeszłej niedzieli. Laura obejrzała zdjęcie, a potem zerknęła na zrzut. Wystarczyła sekunda.

— To naprawdę moja babcia — mruknęła, a potem musnęła palcem dolny róg, w miejscu, gdzie wyświetlona była godzina i data. — W dniu, w którym umarła. O dziesiątej rano.

Jej oczy zrobiły się mokre. Obraz z monitoringu ostatecznie przekonał ją, że gość mówi prawdę. Ale po chwili zwalczyła wzruszenie.

— Pani Sobecka spotkała się z nią chwilę później, w drodze od tramwaju. Potem już nikt jej nie widział...

— Oprócz zabójcy — wtrącił Michał, ale go zignorowała.

Po chwilowym wzruszeniu nie było już śladu. Znow była twarda. I znow zadawała właściwe pytania.

— Co o tym spotkaniu mówi Romanow?

— Niewiele. Jest w kiepskim stanie psychicznym. Twierdzi, że widział ją pierwszy raz w życiu.

— Wierzy mu pan?

Michał wzruszył ramionami.

— Nie mam powodu, by mu nie wierzyć. Ale z drugiej strony mówimy o człowieku z długoletnimi zaburzeniami psychicznymi. Może jej nie pamięta.

— A skąd jest? Z Warszawy?

— Nie z samej. Pochodzi z Legionowa. Kiedyś był żołnierzem jednostki w Orzyszu. Od lat leczy się w zakładach takich jak mój. Korzysta też z pomocy domu opieki społecznej.

Urwał, bo oczy Laury niespodziewanie rozbłysły. Dostrzegła, że zwrócił na to uwagę. Na chwilę schowała się za szklanką. Gdy ją odstawiła, jej policzki pokrywał rumieniec. Przez chwilę się wahała.

— To prawdopodobnie nie ma znaczenia, ale niech będzie — stwierdziła w końcu, odwzajemniając jego spojrzenie. — Babcia miała takiego... podopiecznego. Jana Rajzera, bezdomnego. Wspierała go materialnie, dbała, by nie był głodny. Może ten Romanow też był takim jej podopiecznym?

Nie można było tego wykluczyć, tyle że — przynajmniej w ostatnim

czasie — Romanow nie potrzebował wsparcia, a w każdym razie nie materialnego. Szpital zapewniał mu jedzenie i dach nad głową, a jeśli chodzi o inne potrzeby, to Michałowi przychodziły do głowy tylko papierosy. Romanow miał za co palić, skarb państwa wypłacał mu rentę. Co do wsparcia duchowego... na pewno nie polegało na wpatrywaniu się w pacjenta bez jednego słowa — a do tego sprowadzała się wizyta Krystyny Kalinowskiej z ostatniej niedzieli.

Galopadę myśli przerwał mu dzwonek telefonu. Laura nie podniosła się z miejsca.

— To komórka mojego brata. Powinien zaraz się zjawić. — Jeszcze raz wzięła do rąk wydruk z monitoringu. — Czy babcia bywała u was wcześniej? U Romanowa... Albo innego pacjenta?

— Sprawdziłem rejestry na trzy lata wstecz. Jej nazwiska nie ma... co oczywiście nie oznacza, że na pewno jej nie było. Zdarza się, że obecność nie zostaje odnotowana, czego przykładem jest ostatnia wizyta pani babci... Pani Lauro, czy ja mógłbym gdzieś zapalić?

Zawahała się, a potem wskazała na uchylone okno.

— Proszę. Ja w tym czasie wyrzucę śmieci.

Zaoferował się, że sam to zrobi. Chwilę później, gdy zaciągał się pod śmietnikiem, odniósł wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Obrócił głowę i napotkał wzrok mężczyzny stojącego przy motorowerze. Zrobił dwa kroki w jego stronę, ale wtedy mężczyzna wszedł na siodło i odjechał. Tak szybko, że została po nim tylko chmura spalin.

Michał przez chwilę drapał się po głowie. Istniały dwa wytłumaczenia. Albo był zbyt zmęczony i doświadczał halucynacji, albo...

Albo kamienica Krystyny Kalinowskiej przyciągała dziwne indywidua. Na przykład Łukasza Komara. Albo bezdomnego, szukającego wsparcia. Jak on się nazywał? Rajfur? Rajzer?

Wyrzucił niedopałek do kosza na śmieci i wbiegł na górę.

— Czy ten bezdomny jeździ na motorowerze?

Laura oderwała wzrok od wydruku z wizerunkiem swojej babci.

— Kto? Jan Rajzer? A skąd. Nie ma nogi, a poza tym... przedwczoraj się powiesił. Na terenie ogródków przy Rostafińskich.

Michał był przyzwyczajony do mocnych doznań, ale to, co usłyszał, wprawiło go w osłupienie.

— Powiesił się z powodu śmierci twojej... pani babci?

— Nie zostawił listu ani innego przesłania, ale wszystko wskazuje na to, że tak. Sąsiedzi twierdzą, że był od mojej babci uzależniony. Kiedy powiedziałaś, że tamten... Romanow, tak? Że miał ataki autoagresji, od razu pomyślałam o Rajzerze. W gruncie rzeczy byli do siebie podobni, prawda?

Potwierdził, ale bez przekonania. Romanow nie był podobny do nikogo, kogo znał. Był wyjątkowy.

— Cieszę się, że tak go odbierasz... Przeszliśmy na ty, tak? — Poczekał na niecierpliwe kiwnięcie głową. — Sądziłem, że będziesz go podejrzewać. O zabójstwo. Ale to niemożliwe. Przebywa na oddziale zamkniętym. Gdyby jakimś cudem się z niego wydostał, na pewno byśmy o tym wiedzieli...

Urwał, bo zauważył, że Laura go nie słucha. Myślami była bardzo daleko stąd.

— Halo. Dokąd odpłynęłaś?

Drgnęła i spojrzała na niego z namysłem. Chyba chciała mu powiedzieć coś ważnego, ale nagle machnęła ręką.

— Powinniśmy pójść z tym na policję.

Michał przygryzł wargi. Sam miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale...

— Wolałbym nie. Nie teraz. Romanow miał dziś atak. Nie nadaje się na przesłuchania, to mogłoby mu zaszkodzić.

Laura w milczeniu opróżniła szklankę. Michał odniósł wrażenie, że rozważa jego słowa, ale okazało się, że deliberuje nad czymś innym. Nad tym, czy mu zaufać. Gdy podjęła wreszcie decyzję, momentalnie poweselała.

— Chciałam poczekać na brata, ale skoro go nie ma... — Zaczepnęła powietrza jak przed skokiem na głęboką wodę. — Załatwiając sprawy babci, odkryłam coś dziwnego. Kilka dziwnych rzeczy. Trudno w to uwierzyć, ale...

Wysłuchał jej, a gdy skończyła, przyznał jej rację. Rzeczywiście trudno było w to uwierzyć. Dziecięcy grób, w którym nie było ciała, a mimo to stały na nim kwiaty. No i zabójstwo sprzed lat — dokonane dokładnie w tym samym miejscu, co to współczesne.

— Mógłbym zobaczyć ten pokój?

Zaprowadziła go do drugiej części mieszkania. Pomieszczenie na końcu korytarza wydało mu się brzydkie i ponure. Stało tu siermiężne łóżko i regał pełen starych, zakurzonych książek. Za oknem widać było balustradę balkonu, a za nią — konary wiekowego drzewa. Drzwi na balkon były uchylone. Przez szparę wdzierały się do wnętrza chłodne podmuchy powietrza.

— To był pokój dziadka, tak? — Zaczekał, aż kiwnęła głową. — Ktoś tu mieszkał, gdy jego już nie było?

— Mój brat, przez kilka lat. A poza nim chyba nikt.

— Babcia nie próbowała ułożyć sobie życia z kimś innym?

— Nic o tym nie wiem. Chyba wystarczała jej młodość z liceum. A potem wnuki. Nigdy nie była samotna.

Laura podeszła do drzwi i wyjrzała przez nie na balkon. Michał stanął za

nią — tak blisko, że gdy się odwróciła, zderzyli się głowami.

— To dziwne — mruknęła, rozcierając czoło. — Dałabym sobie uciąć rękę, że je zamykałam...

Obejrzała z bliska klamkę i zasuwkę, psychiatra natomiast omiół wzrokiem podłogę.

— Wchodziłaś tu zaraz po deszczu?

Sekundę później oboje klęczeli, wpatrując się w mokry ślad stopy. Widać było wyraźnie podeszwę i pięć symetrycznych łezek. Pięć palców.

— To nie ja... — wymamrotała niepewnie Laura.

— Ani ja. — Michał zmierzył wilgotną plamę dwoma palcami. — To wygląda jak odcisk stopy dziecka.

— Dziecka? — powtórzyła szeptem, a potem spojrzała na niego w taki sposób, że się wzdrygnął.

Skojarzenie z dziecięcym grobem z Powązek było nieracjonalne, ale mimo to poczuł chłód. Bardziej dojmujący niż ten, który wpadał tu przez otwarty balkon. Zmusił się do wyjścia na balkonową posadzkę. Wciąż była mokra po ulewie. Woda pochodziła stąd. Z zewnątrz.

— Cholera. — Laura pojawiła się obok niego, oparła łokcie o balustradę i spojrzała w dół, na pień starej lipy. Tej samej, po której dwadzieścia cztery godziny temu wspinał się Łukasz Komar. — Zaczynam się bać.

— Ja też. — Michał przez chwilę walczył ze sobą, ale ostatecznie postanowił jej nie wtajemniczać. Łukasz nie stanowił zagrożenia. Nie teraz. Po wczorajszej ucieczce pilnowano go jeszcze staranniej. Gdyby chciał wydostać się z oddziału, musiałby zmienić się w ptaka. — Wygląda na to, że ktoś złożył ci wizytę...

— A ja zamierzałam tu spać... Dzwonię po policję.

Wystukała numer alarmowy. Tym razem Michał nie oponował. Komfort Romanowa, nawet gdyby mieli go przesłuchiwać, nie był wart ryzyka.

Osobą, która wślizgnęła się tu przez balkon, na pewno nie kierowały czyste intencje. Nawet jeśli miała małe stopy.

— Te drzwi da się otworzyć od zewnątrz — stwierdził, przyglądając się ich zewnętrznej stronie. — Wystarczy kawałek klucza. Chyba ósemki...

Urwał, bo z mieszkania dobiegły odgłosy, które skojarzyły mu się z rozbijaniem kotletów.

— To Karol. Zawsze tak „puka”. — Przytrzymała telefon ramieniem i nakreśliła w powietrzu znak cudzysłowu, a potem stanęła na baczność. — Proszę, by zaczekać. Wpuścisz go?

Zostawił ją na balkonie, przeszedł przez ponury pokój i ruszył korytarzem w stronę drzwi. Gdy znalazł się w połowie drogi, zobaczył, jak porusza się klamka, a potem znów rozległo się głośnie stukanie. Brat Laury musiał być bardzo nerwowy.

Przesunął zasuwę i otworzył drzwi. A potem osłupiał, bo zamiast jednego mężczyzny, w korytarzu zobaczył ich kilkunastu.

— Pan Karol Woźniak?

— A o co chodzi?

Zanim się obejrzał, w korytarzu zrobiło się tłoczno, a na jego nadgarstkach zacisnęły się obręcze kajdanek.

— Komenda Stołeczna Policji. Jest pan zatrzymany pod zarzutem zabójstwa Krystyny Kalinowskiej.

Michał rozmasował zaczerwieniony nadgarstek i jeszcze raz wyraził swoje zdziwienie, że jest już tak ciemno. Wyjaśnienie tego dziwnego nieporozumienia trwało znacznie dłużej, niż można by przypuszczać. Laura szła obok niego, machinalnie stawiając kolejne kroki. Objął ją ramieniem i przyciągnął. W ostatniej chwili. Jeszcze moment, a weszłaby w kałużę.

— Trzymasz się jakoś?

— Tak sobie — przyznała, pozwalając się prowadzić niczym małe dziecko. — Wiesz, co wkurza mnie najbardziej? W ogóle nie chcieli nas słuchać.

Miał takie same odczucia jak ona. I też był wkurzony. Policjanci wpadli do wnętrza z dzikim entuzjazmem, ale gdy nieporozumienie zostało wreszcie wyjaśnione, a kajdanki powędrowały do futerału, entuzjazm przeszedł w zniechęcenie podszyte obojętnością. Tym większą, że mokry ślad stopy zdążył przez ten czas zniknąć. Gdy policjanci dali się wreszcie zaprowadzić do ostatniego pokoju, zostało po nim tylko kilka brudnych kropel.

Laura bez wątpienia była wkurzona, ale gołym okiem było widać, że buzują w niej też inne uczucia. Przede wszystkim niepokój o brata, ale także strach. Redukcja mokrego śladu uświadomiła im, jak bardzo był świeży. Musiał powstać niedługo przed tym, zanim go odkryli. Najwyżej kilkadziesiąt minut, a to oznaczało, że kiedy intruz grasował po mieszkaniu, nie był w nim sam. Za ścianą przebywała Laura. Prawdopodobnie w łazience, pod prysznicem.

— Obiecay mi, że nie będziesz zostawać tam sama.

— W mieszkaniu? — Zaśmiała się nerwowo. — Masz to jak w banku.

Znów złapał ją za ramię. Chałubińskiego nie jechał żaden samochód, ale po drugiej stronie przejścia dla pieszych paliło się czerwone światło.

— Spokojnie.

— Jestem spokojna. Po prostu się zastanawiam.

— Nad czym?

— Czy nie zadzwonić do brata.

Odradzał jej to od samego początku, gdy tylko zostali sami. Teraz zachował się konsekwentnie.

— Lepiej się w to nie mieszaj. Znajdą go sami. Mają swoje sposoby.



— A gdyby... nie chciał być znaleziony?

— Skoro to pomyłka, to lepiej wyjaśnić ją od razu.

— Ale trafiłby do aresztu.

Uśmiechnął się krzepiąco.

— Tylko na chwilę. Prokuratura ma czterdzieści osiem godzin, a potem do akcji wkracza sąd. Skoro twój brat jest niewinny, wyjdzie na wolność.

— Albo i nie. Wymiar sprawiedliwości...

Chciała chyba powiedzieć coś krytycznego, ale umilkła. Po przeciwnej stronie ulicy zaświecił się zielony ludzik.

— Bądź przez chwilę racjonalna. Przecież nie może się przed nimi chować. To nie dziki zachód, w końcu go znajdą. I to raczej prędzej niż później.

— Ale gdyby wiedział, przynajmniej miałby wybór.

— A ciebie zamknęliby w sąsiedniej celi. Słyszałaś, co mówił ten z wąsami? Żadnych kontaktów.

— Powiedziałeś, żeby pocałował cię w...

— Bo mnie wkurzyli. I za mocno zapięli mi kajdanki. Ale ten facet miał rację. Tak bratu nie pomożesz.

Miała bardzo rozbudowane poczucie lojalności. To dobra cecha, ale tylko wtedy, gdy jest dobrze ukierunkowana.

— On jest niewinny.

— Jesteś w stu procentach pewna? — Cisza, która zapadła po tym pytaniu, dawała do myślenia. — Przed chwilą mówiłaś, że wasz kontakt jest ograniczony. Czy na pewno znasz swojego brata?

Wyswobodziła ramię, za które ją trzymał.

— Mogę za niego ręczyć. Mógł zrobić wszystko, ale na pewno nie zamordował naszej babci. W rodzinie nie było nikogo, kto kochałby ją tak jak on.

Położyła nacisk na słowo „kochał”, ale Michał zwrócił uwagę na pierwszą część wypowiedzi.

— Mówiąc, że zrobiłby wszystko, tylko nie to, masz na myśli...

— Karol nie jest aniołkiem. Na pewno ma swoje za uszami, ale nie dotyczy to babci, a co najwyżej...

Nie dokończyła. Przez chwilę słyhać było jedynie uderzenia jej obcasów i dźwięk toczącego się Nowowiejską tramwaju.

— Co najwyżej czego?

— Pracy. I finansów. Wiesz, czym się martwię? — Zatrzymała się i spojrzała Michałowi w oczy. Była wysoka, ale i tak musiała unieść głowę.

— Jak złączą go sprawdzać, na pewno coś znajdą. Nic związanego z zabójstwem, ale i tak wpadnie w kłopoty. Prawdę mówiąc, sam sobie będzie winny, ale nie chciałabym... Życzę mu jak najlepiej.

— To zrozumiałe — powiedział z przekonaniem. Sam miał siostrę i był pewien, że dałaby się za niego pokroić. Nie miał za to pewności, czy brat Laury zasługiwał na taką lojalność. Współpracował w przeszłości z organami ścigania. Wiedział, że decyzja o zatrzymaniu wymagała solidnych podstaw. Nie rozumiał tylko jednego. — Tamtej niedzieli, kiedy umarła twoja babcia, Karol był poza Polską, tak?

— Był we Włoszech. Przyjechał dopiero tydzień później.

— Jesteś pewna? — Popatrzyła na niego w taki sposób, że pospieszył z wyjaśnieniami: — We współczesnym świecie namierzenie kogokolwiek nie przedstawia problemu. Choćby po sygnałach z telefonu, ale też po biletach na samolot, po płatnościach kartą... Wiesz, do czego zmierzam?

— Mojego brata nie było wtedy w Polsce. To jakaś gigantyczna pomyłka. Był w Rzymie, z żoną i synem. Nie wiem, jak mogli przegapić coś tak oczywistego.

Michał był pewien, że nie przegapili. A skoro tak...

— Jest tylko jedno racjonalne wyjaśnienie. Podejrzewają, że twój brat zrobił to na odległość.

Ich rozmowa prowadzona była w duchu powagi, ale teraz Laura parsknęła śmiechem.

— Niby jak? Wysłał jej zatruty list?

Michał wcale tego nie wykluczał. Kiedyś pracował z pacjentem, który zatrął w ten sposób całą rodzinę. Koc, który przysłał im pocztą, był nasączony rzadką trucizną. Cztery osoby trafiły na OIOM, a sprawca — do zakładu zamkniętego przy areszcie śledczym.

— Nie wiem, czy list. Może zatrute ciasteczka? Czy zastanawiałaś się, dlaczego policja zabrała z mieszkania twojej babci lodówkę i wszystkie noże kuchenne?

Popukała się w czoło. Akurat w tym miejscu ten gest był wyjątkowo nie na miejscu. Michał wskazał na ceglana ścianę i przytwierdzoną do niej czerwoną tabliczkę. Natychmiast zapomniała o zatrutych łakociach.

— A więc to tutaj.

Setki razy jechała tędy tramwajem, a mimo to nigdy nie odnotowała, że mija szpital. Michałowi trudno było uwierzyć, że ktoś mógł go przegapić. Był jedyny w swoim rodzaju. Przyciągał spojrzenia niczym średniowieczne zamczysko.

— Panie przodem.

Zawahała się, ale weszła do środka. Nie dziwił się jej niechęci. Budynek odpychał.

Teoretycznie każde wejście osoby z zewnątrz powinno być odnotowane w specjalnym zeszycie, ale teraz — o dwudziestej trzeciej — zeszyt spoczywał na dnie szuflady. Michał przywitał się z nocnym portierem, a ten widząc, że lekarz przyszedł tu z młodą kobietą, dyskretnie mrugnął okiem.

Musiał mieć bujną wyobraźnię. Randka na oddziale zamkniętym psychiatryka? Tego jeszcze nie grali.

— Kto ma dziś dyżur?

— Kobuszewski.

Michał zupełnie się rozluźnił. Doktor Kobuszewski miał swoje zasady, a jedna z nich brzmiała: nie wychylać się. W przenośni, ale też dosłownie. Dyżury spędzał w gabinecie izby przyjęć. Gdy nie miał roboty, nie włóczył się po szpitalu, tylko rozwiązywał krzyżówki. Miał na ich punkcie prawdziwą obsesję. Taką, która zainteresowałaby każdego psychiatrę...

— Jestem tu legalnie? — spytała szeptem Laura, gdy znaleźli się na opustoszałej klatce schodowej.

— Półlegalnie. Jesteś ze mną, ale co do zasady lepiej, żeby widziało cię tu jak najmniej osób. To mała społeczność. Wzięliby mnie na języki jeszcze bardziej niż dotychczas.

Minęli pierwszą kratę. Michał zamknął ją starannie, a Laura przesunęła dłonią po stalowych prętach.

— Jak w więzieniu. Przetrzymujecie tu przestępców?

— Nie. To szpital kliniczny, a nie ośrodek odosobnienia. Sprawcy przestępstw, co do których sąd stwierdzi niepoczytalność, umieszczani są w specjalnych zakładach, w większości na terenie więzień.

— To po co te kraty?

— Przede wszystkim dla dobra pacjentów. Większość z nich przyjmuje silne leki. Na zewnątrz mogliby zrobić sobie krzywdę. Głównie sobie.

— Bywa, że ktoś się wymyka?

Michał pomyślał o Łukaszu Komarze.

— To nie powinno się zdarzać, ale... wszyscy jesteśmy ludźmi. Czasami popełniamy błędy, na szczęście rzadko. Ucieczki nie trwają z reguły zbyt długo. Policja dostaje zgłoszenie o dziwnie zachowującym się osobniku

w niekompletnym stroju, a my go odbieramy. Jedynym problemem jest papierologia. Trzeba wypełnić tonę dokumentów.

Michał otworzył kolejną kratę. Oddział numer dwa pogrążony był we śnie, ale nie cały. Przy wejściu do palarni czuwała pielęgniarka. Była wtajemniczona, więc gdy ich zobaczyła, zniknęła za drzwiami. W ciszy rozległo się pyknięcie zapalniczki.

— Tylko nic nie mów — ostrzegł Michał. Laura posłusznie kiwnęła głową. — Chyba że pozwolę. Facet miał dzisiaj atak. Trudno powiedzieć, w jakim jest stanie. — Wystukał kod i otworzył drzwi izolatki. Romanow nie spał. W przytłumionym świetle zadrutowanego kinkietu jego twarz sprawiała wrażenie żółtej jak u pacjenta chorego na żółtaczkę. — Stań tutaj. I dobrze się przyjrzyj.

Zostawił Laurę pod ścianą, a sam podszedł do łóżka. Kończyny Romanowa tkwiły w pętlach pasów, ale już się z tym pogodził, bo leżał spokojnie. Kilka godzin temu rzucał się jak ryba w sieci.

— Lepiej pan się czuje, panie Szymonie?

Chociaż nie miał wielkich oczekiwań, chciał, by Laura nie tylko go obejrzała, ale także usłyszała jego głos. Romanow spojrzał na niego spod współprzymkniętych powiek, a potem nieoczekiwanie się uśmiechnął.

— Przyprowadził pan jej córkę? — spytał, wskazując brodą Laurę. — Nie, za młoda. To wnuczka, tak?

Po kilku latach praktyki Michał nauczył się ukrywać zaskoczenie.

— Tak, wnuczka.

— Bardzo podobna. Te same rysy twarzy.

Nie dostrzegał tego podobieństwa, ale podczas pracy był świadkiem scen, które ugruntowały w nim przekonanie, że chorzy widzą więcej. Przynajmniej niektórzy. Spojrzał na Laurę, ale ona pokręciła głową.

— Nie zna mnie — stwierdził Romanow. — Ja też jej nie znam. Ani jej,

ani jej babci.

Laura miała chyba ochotę się odezwać, ale Michał pokręcił głową. Nie chciał, by Romanow dowiedział się o śmierci staruszki. Jak na jeden dzień miał i tak dużo wrażeń. Najpierw burza, potem pasy...

— Niech pan spróbuje zasnąć.

— O co chodzi, doktorze? Dlaczego ta stara wariatka jest taka ważna?

Psychiatra zerknął na Laureę, ale dziewczyna stała w tym samym miejscu, z obojętnym wyrazem twarzy. Nie sprawiała wrażenia urażonej.

— Czemu wyraża się pan tak brzydko o starszej kobiecie? — spytał spokojnie.

Romanow poruszył nogami. Spod koca, którym był przykryty, wydostał się mdlący zapach niemytego ciała.

— Miała dziwne oczy. Szalone.

— Dlaczego pan tak twierdzi?

Udał zdziwienie, ale w gruncie rzeczy wcale się nie dziwił. Kalinowska przysłała do szpitala tylko po to, by na niego popatrzeć. Podobno nie wypowiedziała przy tym ani słowa. To nie było normalne, tylko właśnie... szalone.

— W ogóle nie mrugała. Stała i gapiła się na mnie w taki sposób, jakbym był okazem w zoo. A potem nagle się uśmiechnęła. Złośliwie. Tak, jakby się cieszyła, że jestem tu, gdzie jestem.

— Dlaczego obca osoba miałaby się zachowywać w taki sposób?

Romanow niespodziewanie zamknął oczy.

— Nie wiem. Naprawdę. Chce mi się spać. Czy mógłby pan, panie doktorze...

— Jutro, panie Szymonie. Pasy zdejmemy panu jutro. A gdyby przypomniał pan sobie, że pan tę staruszkę jednak zna, to proszę dać mi znać. Choćby i przez pielęgniarkę.

Romanow nie dał po sobie poznać, że usłyszał. W pokoju rozbrzmiało chrapanie, ale Michał nie był tak naiwny, by uwierzyć, że pacjent nagle zasnął. Wcześniej, gdy pytał go o Kalinowską, nie dostrzegł tego, co teraz. Romanow nie był z nim szczery. Zaprzeczał, ale zdradzała go mowa ciała. Babcia Laury nie była dla niego kimś anonimowym, jak utrzymywał. Znał ją, a przynajmniej wiedział, kim jest. Dlaczego zatem kłamał?

Odpowiedź była ukryta gdzieś w jego przeszłości. Przeszłości, którą należało poznać.

Niektóre z dokumentów były już zupełnie żółte. Nic dziwnego, Romanowa leczono przecież od kilku dziesięcioleci. Stan, w którym się znajdował, doskonale pokazywał, że terapia psychiatryczna nie zawsze jest skuteczna. Taka była niestety smutna prawda, także w ujęciu generalnym. Psychiatria bywała bezradna. I to częściej, niż można było się spodziewać.

Kawa była mocna, ale Michał nie umiał powstrzymać ziewania. W jego przypadku senność najlepiej odpędzały papierosy, nie chciał jednak kopcić przy Laurze. Dziewczyna w przeciwieństwie do niego nie sprawiała wrażenia zmęczonej. Chociaż taki stan wydawał się niemożliwy, była jednocześnie przygnębiona i rozemocjonowana. Martwiła się bratem — widział to w jej wzroku za każdym razem, gdy zerknęła na telefon. Czekąca, aż do niej zadzwoni z aresztu. Rozemocjonowanie wynikało z miejsca, w którym się znalazła. Wizyta na oddziale zamkniętym dla osoby z zewnątrz zawsze była przeżyciem co najmniej specyficznym.

— Co to było?

Przestał szeleścić papierami i wsłuchał się w ciszę, która była tylko pozorna. Po chwili wyodrębnił stukanie. Dochodziło z góry, z trzeciego piętra.

— To z oddziału czwartego. Stopniowe odstawianie leków często

przekłada się na problemy z zasypianiem. Jest tu lekarz, który szuka rozwiązania problemu bezsenności w gimnastyce. — Mina, którą zrobił, wskazywała, że nie jest zwolennikiem tej koncepcji. — Na jego wniosek jedną z sal wyposażono w skakanki. Ktoś ćwiczy.

— Skakanie pomoże mu zasnąć?

— Raczej nie. Ale wpływ na ogólny stan zdrowia będzie pozytywny... Na stan zdrowia skaczącego — skorygował. — Pozostali pacjenci oddziału od tych odgłosów nabawią się nerwicy.

Udało mu się ją rozbawić, co wcale nie było takie oczywiste. Śmiech spłukał z dziewczyny część naturalnego w tym miejscu napięcia.

— Mogę ci pomóc?

— No pewnie. — Gestem dłoni zaprosił, by usiadła po jego stronie biurka. Cieszył się, że zgodziła się zostać. Jako psychiatra być może był przewrażliwiony, ale uważał, że nie powinna być teraz sama. — Może coś skojarzysz. Bez ciebie to jak spacer po ciemnym lesie.

Dziś po południu przywieźli mu paczkę z kompletną dokumentacją medyczną Szymona Romanowa. Przechowywano ją w Rasztowie, czyli placówce, w której zajmowano się przypadkami przewlekłymi — takimi, które nie wymagały staranniejszego nadzoru medycznego. Romanow spędził tam łącznie ponad dwadzieścia lat dorosłego życia — więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu, wliczając w to strony rodzinne. Paczka ważyła ponad dwadzieścia kilo, a jej zawartość budziła skojarzenie z twórczym nieładem na biurku artysty. Michał dopiero przed chwilą zaczął się w niej orientować.

— Czego szukamy?

— Powiązań — odparł enigmatycznie, a potem podsunął jej stosik, który uformował już przedtem. Najstarsze dokumenty. — To dokumentacja



z Węgorzewa. To tam trafił po pierwszym epizodzie, w jednostce w Orzyszu. Czy twoja babcia miała coś wspólnego z wojskiem?

Laura przez chwilę się zastanawiała.

— Babcia nie, ale dziadek miał, zdaje się, wojskową kurtkę. Wisiała w szafie przez wiele lat, aż babcia przerobiła ją na szmaty...

— A może z Mazurami?

Tu również wspomniała o dziadku, który ponoć uwielbiał wędkować.

— Wnoszę po liczbie wędek, które zbierały kurz na pawlacz — dodała. — Babcia nigdy o nim nie mówiła. Wyrzuciła większość jego rzeczy. Te wędkę zostały dzięki Karolowi. Zawsze się odgrażał, że zostanie wędkarzem, ale ani razu nie był na rybach. Cały on, słomiany zapach.

Posmutniała. Nie chcąc, żeby zdręczała się myśleniem o bracie, ponownie wskazał na stosik.

— Przejrzyj to. Ja zajmę się innymi incydentami. Trochę ich jest. Jesteś pewna, że babcia nigdy nie leczyła się psychiatrycznie?

— Na sto procent — powtórzyła, bo wcześniej już o to pytał. — Dwa lata temu lekarze wykryli u niej guzek. Wypełniałam z nią ankietę przedoperacyjną. Były w niej pytania o hospitalizacje, przyjmowane w życiu leki... Babcia na pewno niczego nie zataiła. Umierała ze strachu.

Jeżeli było tak, jak utrzymywała Laura, to szansę na to, by Romanow i Kalinowska spotkali się w szpitalu, były bliskie zeru. Na terenie placówek psychiatrycznych nie zjawiali się przypadkowi ludzie. Tylko personel medyczny, obsługa i pacjenci. Oraz ich goście.

— Czy w waszej rodzinie nie było chorób psychicznych?

— Niestety nie — odparła, a na jej ustach pojawił się błady uśmiech, bo żal, z którym to powiedziała, był przecież absurdalny. — Mój brat jest erotomanem, matka ma słabość do eleganckich mężczyzn, ojciec skłonności do depresji, ale... Nie, nikt się nie leczył.

Michał skwitował jej słowa poważnym skinieniem głowy.

— Nikt nie jest w stu procentach zdrowy psychicznie — stwierdził. Starał się powtarzać to jak najczęściej, bo chociaż był to truizm, ludzie mieli skłonności do nadmiernej obawy o stan swojej psychiki. — Rzuć okiem. Może coś ci się skojarzy.

Pochyliła się nad starymi papierami, a on zajął się tymi bliższymi współczesności. Przeglądał machinalnie kolejne zaświadczenia, notatki, opinie i karty chorób, szukając informacji o incydentach. Trochę ich było, ale do większości dochodziło w placówkach medycznych. Głównie w Rasztowie, skąd w efekcie przenoszono Romanowa tu, na Nowowiejską, albo na Sobieskiego. Michała interesowały tylko te incydenty, które wydarzyły się za murami szpitala. Tych było zdecydowanie mniej.

— Czy babcia była kiedyś w Karkonoszach?

Laura nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Podsunęła pomysł przejrzania rodzinnych albumów ze zdjęciami, a potem wróciła do swojej roboty, a Michał raz jeszcze przeczytał notatkę z początku lat dziewięćdziesiątych. Wizyta Romanowa w sanatorium na stokach Śnieżki zakończyła się katastrofą. Po wiosennej burzy zamknął się w pokoju na poddaszu i podpalił swoje łóżko. Z pokoju wyciągnęli go dopiero strażacy, na wpół uduszonego.

— Czy twoja babcia miała jakieś przykre doświadczenia z burzami?

Laura znów oderwała się od papierów. Zauważył, że robi to niechętnie.

— Chyba nie. Nie bała się burzy. Lubiła stać w oknie i obserwować błyskawice.

— A z lejącą się wodą?

— Kiedyś w łazience pękła rura. Zalaliśmy sąsiadów piętro niżej.

Odpowiedź nie była satysfakcjonująca. Kolejny pozaszpitalny incydent, na który natrafił, również zaistniał po gwałtownym deszczu. Romanowa

zdjęli z rynnę przemoczonego i wyziębionego. Na korelację ataków z burzową pogodą zwrócił uwagę jeden z lekarzy ośrodka w Tworkach, bo i tam trafił swojego czasu zagadkowy pacjent. Próba przepracowania lęku, który owładał nim w związku z niestabilną aurą, zakończyła się niepowodzeniem. Notatka nie zawierała co prawda opisu zaordynowanej sesji, ale jej efekt był łatwy do odtworzenia. Następny dokument, opatrzony tą samą datą, wystawił chirurg. Romanowowi założono na łuku brwiowym siedem szwów.

— Dlaczego tych informacji nie ma w karcie pacjenta? — warknął, zastanawiając się, kto odpowiada za to niedopatrzenie.

Nie dało się wskazać żadnej konkretnej osoby. Zawiodła ciągłość pracy. W karcie Romanowa zaznaczono jedynie, że nie znosi odgłosu spuszczonej wody, sugerując tym samym, że zaburzenie ma związek z higieną. Tymczasem chodziło o coś innego. Nie o higienę i nie o burzę, tylko o strach przed płynącą wodą.

Gniew Michała zogniskował się na osobie, która na pewno o tym wiedziała. Profesor Łapiński znał Romanowa na wylot, ale po raz kolejny dał wyraz swojej irytującej beztroski. Zamiast ostrzec personel, by w trakcie burzy trzymać Romanowa z dala od okien, wołał zajmować się wyciszeniem skandalu z ucieczką Łukasza Komara. Po to, by nie psuć sobie stosunków z sąsiadami.

— Co za egoistyczny gamoń.

Laura westchnęła i ostentacyjnie odsunęła się od biurka.

— Jak będziesz ciągle przerywać, to będziemy tu siedzieć do rana.

— Masz coś?

— No właśnie nie. W dokumentacji jest luka. Są informacje o tym pobiciu w Orzyszu, cała otoczka, przesłuchania, opinie biegłych, a nawet wyniki obdukcji tych dwóch kaprali... Ale nie ma ani słowa o tym,

dłaczego w ogóle się tam znalazł. W Orzyszu była kompania karna. Aby się tam dostać, trzeba się było zasłużyć. Coś nawywijać.

Popatrzył na nią z uznaniem. Też się nad tym zastanawiał podczas rozmowy z Łapińskim. Z tym cholernym, zakreconym jak ruski termos Łapińskim, który do tego stopnia działał mu na nerwy, że...

— Muszę pójść na papierosa.

— Nie zostawiaj mnie samej. Idę z tobą.

— No to chodźmy.

Zwykle palił w gabinecie, ale nie chciał, by Laura dusiła się w smrodzie. Zamknął gabinet na klucz i ruszył z nią korytarzem w kierunku palarni. Oddział był pogrążony we śnie, ale nie cały. Gdzieś skrzypnęły drzwi, gdzieś indziej rozległ się odgłos szybkich kroków, a od strony łazienki dobiegł pogłos spuszczonej wody. Na szczęście Romanow był w izolatce. Raz na kwadrans zaglądała do niego pielęgniarka.

— Strasznie tutaj — odezwała się Laura, gdy tylko zamknął za nimi drzwi palarni. — Człowiek ma wrażenie, że zaraz obok, w ciemności, czai się... nie wiadomo co.

— Można się przyzwyczać.

Ziewnął, a potem zapalił papierosa i od razu poczuł, że wraca do świata żywych. Gniew na profesora był tylko pretekstem. Po prostu bardzo chciało mu się palić. Uśmiechnął się do Laury, ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, do palarni wparowała pielęgniarka. Ręce drżały jej niczym gałązki osiki, ale i tak mniej niż głos.

— Panie doktorze... Jeden z pacjentów wyszedł przez okno.

Jednym z objawów rozwijającej się choroby psychicznej są myśli samobójcze. Na początku są subtelne, własna śmierć jawi się w nich wyłącznie jako problem teoretyczny. Z czasem jednak rozważania stają się

coraz bardziej natarczywe. Przekształcają się w obsesję, a ta każe podejmować kolejne kroki. Najpierw jest to szybkie spojrzenie w dół, z balkonu na szóstym piętrze. Zabawa żyletką, obracanie w palcach fiołki z silnymi lekami... Śmierć kusi, z każdym dniem coraz mocniej. Składa obietnice, że położy kres problemom. I wreszcie następuje ten dzień.

W Polsce każdego roku w wyniku samobójstw życie traci ponad pięć tysięcy osób. Znaczna część z nich cierpi na choroby psychiczne. Dlatego na oddziałach psychiatrycznych nie używa się metalowych sztućców ani żyletek, pacjentom odbiera się paski i sznurówki, a dostęp do leków jest ściśle reglamentowany. I dlatego w oknach instaluje się metalowe kraty. Bo drugim najpopularniejszym sposobem odebrania sobie życia po powieszeniu jest rzucenie się z wysokości.

Oddział drugi znajdował się na drugim piętrze, czyli — łącznie z parterem — na trzeciej kondygnacji, a gdyby dodać do tego wysokie przyziemie, nawet na czwartej. Budynek był stary — wybudowano go pod koniec dziewiętnastego wieku — co przekładało się na poziom stropów. Kondygnacje były wysokie. Trzeci poziom w nowszym budownictwie odpowiadał czwartemu, a zatem wypadnięcie z okna w dziewięćdziesięciu procentach skutkowało skręceniem karku. I śmiercią.

Okna oddziału wyposażono rzecz jasna w kraty. Metal był stary, częściowo skorodowany, ale na wskroś solidny. Był tylko jeden problem. Kraty nie znajdowały się w każdym pomieszczeniu. Nie było ich w gabinecie lekarskim, który Michał zamknął na klucz. I w jeszcze jednym pomieszczeniu. W pokoju pielęgniarek.

— Wyszłyśmy tylko na chwilę — wyszłochała jedna z nich, wyłamując palce. Druga, półprzytomna ze strachu, wachlowała się laminowaną instrukcją przeciwpożarową. — Na momencik...

— Proszę zrobić mi miejsce. I odprowadzić panią do mojego gabinetu.

Laura, która od chwili alarmu nie wypowiedziała ani jednego słowa, podążyła za pielęgniarką. Trzymała się sztywno i najpewniej była w szoku, ale Michał nie miał czasu, by się nią zajmować. Wychylił się przez okno i od razu zobaczył pacjenta. Na szczęście nie na chodniku, kilkanaście metrów niżej, tylko kilka kroków w bok. Na gzymsie. Tracz miał na oddziale kilka naprawdę skomplikowanych przypadków, ale najwięcej zamieszania wywoływał człowiek, który wydawał się najzdrowszy. Łukasz Komar.

— Cześć, Łukasz. Możesz podejść i podać mi rękę?

Dwa lata temu ukończył w Akademii Medycznej kurs negocjacji kryzysowych. W ramach zajęć omawiali bardzo podobną sytuację, pod roboczym tytułem „Samobójca na moście”. Prowadzący zajęcia twierdził, że kluczem do sukcesu jest przyjazny głos, maksymalne skrócenie dystansu i nieskomplikowane polecenia, wydawane możliwie niedbałym tonem. Michał zastosował się do wszystkich trzech wskazówek, chociaż w głębi serca chciał zachować się skrajnie inaczej. Skłąć gówniarza, zmieszać z błotem, a na koniec kopnąć w dupę.

Efekt tych kilku wymuszonych słów był odwrotny do oczekiwanego. Łukasz Komar napiął mięśnie i uczynił taki ruch, jakby miał skoczyć. W ostatniej chwili zmienił zdanie i zaczął przesuwać się po gzymsie. W przeciwną stronę.

— Jezu! On zleci!

— Niech pani stąd idzie. Natychmiast.

Ofuknięta przez Michała pielęgniarka zastosowała się do polecenia, stukając podszwami o posadzkę. Nawet na nią nie spojrzał. Przykleknął na parapecie i utkwiał wzrok w przyklejonej do muru sylwetce. Kilkanaście metrów niżej toczył się tramwaj.

— Jeśli chcesz stąd wyjść, możesz zrobić to normalnie. Drzwiami.

Te słowa nie były już zagranie z podręcznika. Michał postanowił iść na żywioł. Nie była to przemyślana decyzja. Na myślenie nie było czasu. Łukasz Komar zastygł w bezruchu, gapiąc się na dach tramwaju. Sprawiał wrażenie odklejonego od rzeczywistości.

— Szkoda życia, Łukasz. Jeszcze wszystko jest przed tobą...

Pacjent drgnął i podjął swą przerażającą wędrówkę donikąd. Parł przed siebie niczym linoskoczek, stopa za stopą, centymetr za centymetrem. Pokonał jakieś dwa metry, a potem znów się zatrzymał. Jego palce zacisnęły się na kracie następnego okna.

— Brawo, Łukasz. Wytrzymaj. Już po ciebie idę... Stój! Stój, proszę! Przecież nic się jeszcze nie stało...

Okrzyki pozostały bez odzewu. Przytrzymując się kraty jak poręczy, Komar ruszył dalej. Odcinek przy oknie pokonał błyskawicznie, ale dalej trudności nagle wzrosły.

— Złap się kraty! Łukasz, słyszysz?!

Gzyms miał najwyżej czterdzieści centymetrów, ale miejscami — tam, gdzie wykruszyły się cegły — był jeszcze węższy. To było właśnie jedno z takich miejsc. Łukasz stracił na moment równowagę. Krzyknął i zamachał rękami, a o chodnik uderzyły okruchy betonu.

— Jesteś cały? Hej, przyjacielu! Wróć do kraty. Zaraz ktoś poda ci rękę... — Odwrócił na sekundę głowę, ale pielęgniarka oddaliła się na dobre. Zaklął pod nosem, lecz gdy się odezwał, jego głos znów był pogodny. — Sam tam pójde. Zaczekaj na mnie. Przytrzymam cię i razem poczekamy na straż pożarną.

Miał nadzieję, że stosowne służby są już w drodze. Pielęgniarki były w szoku, ale nie aż takim, by nie zareagować. Przyjazd straży był kwestią minut. Cholernie długich minut.

— Cofnij się, Łukasz. To tylko dwa krótkie kroki...

Nie dokończył, bo pacjent zrobił dwa kroki, ale nie w tym kierunku co trzeba. Z dołu dobiegł grzechot kolejnych oderwanych fragmentów cegły, a także jeszcze coś. Zduszony okrzyk. Michał dostrzegł na chodniku męską postać w czapce. Ostatnie, czego potrzebował, to tłum przypadkowych gapiów.

— Tam robi się naprawdę wąsko.

Nie widział wyraźnie tamtej części gzymsu, ale chyba trafił w sedno. Łukasz zabalansował ciałem, znów tracąc równowagę, a potem przykleił się do ściany. Miejsce, w którym stał, znajdowało się dokładnie na wysokości latarni. W jej pomarańczowym świetle można było dostrzec drżenie. Łukasz Komar dygotał. Trzęsły mu się wszystkie części ciała. Najbardziej nogi.

— Spokojnie, już po ciebie idę. — Michał ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że już wcześniej, całkowicie bezwiednie, przerzucił nogi przez parapet. — Wytrzymaj. I nie patrz w dół...

To ostatnie było niepotrzebne. Łukasz nie próbował się rozglądać. Wtulał się w ścianę budynku nawet czołem. Michał dobrze znał ten stan. Kilka lat temu zainteresował się wspinaczką. Ukończył kurs, ale dał sobie spokój. Wysokości go przerażały. Bał się, że kiedyś utknie — czyli spotka go to, co teraz Łukasza.

Do obserwującego ich mężczyzny dołączył jeszcze ktoś, ale psychiatra wolał skoncentrować się na tym, co działo się na jego poziomie. Ruszył po gzymsie, twarzą do muru. Muskał palcami chropowatą powierzchnię, a przez podeszwy adidasów wyczuwał spojenia między cegłami. Miał wrażenie, że jego karkołomny spacer trwa bez końca. Gdy dotarł do okna, był mokry od potu. Za szybą zobaczył przerażoną twarz pielęgniarki. Tylko jednej. Druga prawdopodobnie pilnowała wyprowadzonych z sali



pacjentów, ale to nie było istotne. Liczyło się coś innego. Dźwięk syren, który zabrzmiał w jego uszach niczym niebiańska muzyka.

Dał znać pielęgniarce, żeby uchyliła okno. Nie mogła pomóc, ale obecność każdej kolejnej osoby dodawała otuchy — przynajmniej jemu.

— Trzymasz się?

Łukasz po raz pierwszy mu odpowiedział.

— Tak sobie...

— Zaraz przy tobie będę. Jeszcze chwila i wypalimy papierosa, a potem położysz się w swoim łóżku.

— Nie!

Michał nie wierzył w to, co widzi. Komar nadludzkim wysiłkiem oderwał stopę od gzymsu i postawił ją kilka centymetrów dalej. Poruszał się z prędkością ślimaka, ale to nie prędkość była ważna, tylko fakt, że znów postanowił... Uciekać?

— Nie bój się mnie. Łukasz, słyszysz?

— Zamknij się!

Michał bez trudu go dogonił. Gzyms wcale nie był wąski, po prostu Łukaszowi wysiadły nerwy. Koszulkę miał mokrą od potu. Michał musnął palcami ramię pacjenta, a potem wyciągnął rękę za jego plecami. Nie była to najlepsza asekuracja, ale nic innego nie dało się zrobić.

— Wolisz zaczekać na straż czy wrócić do okna?

— Wolę umrzeć...

— Tej opcji nie ma w menu. Czekamy czy wracamy?

Chłopak nie odpowiedział. Michał poczuł dotyk jego spoconej dłoni. Zaciskała mu się na przedramieniu, na początku delikatnie, a potem z każdą chwilą mocniej i bardziej kurczowo. Łukasz Komar wcale nie chciał umierać. Chciał żyć, i to bardzo.

— Pani Helu — Michał wygrzebał z pamięci imię pielęgniarki, a być

może byłej pielęgniarki, bo numer, który wywinęły z koleżanką, kwalifikował obie do zwolnienia. — Proszę wstawić wodę na kawę. Chyba że wolisz herbatę? — Odwrócił się do Komara, napotykając jego nieprzyjazne spojrzenie.

— Chcę stąd wyjść. — W niezdarny sposób kopnął w ceglana ścianę. — Z tego cholernego szpitala. Jestem już zdrowy...

Michał zmusił się, by go objąć.

— Jeszcze kilka dni i cię wypiszemy — skłamał. Po takim incydencie Łukasza czekała prawdopodobnie przeprowadzka na oddział, na którym zajmowano się najcięższymi przypadkami. Mało kto wychodził stamtąd przed upływem kilku miesięcy. — Popatrz na nich. Chyba myślą, że są w kinie, co?

Kilkanaście metrów pod nimi rozlegały się pełne emocji głosy. Z kilku osób zrobiło się kilkanaście. Ktoś robił zdjęcia, ktoś inny gadał przez telefon... Wiele wskazywało na to, że relacja ze zdarzenia lada moment znajdzie się w Internecie. Michał pomyślał o Laurze. Zapowiadało się zamieszanie, a to oznaczało dla niej długie godziny w jego gabinecie. Nie mógł dopuścić do tego, by ktoś ją zauważył. To oznaczałoby kłopoty — przede wszystkim dla niego.

Komar zdawał się czytać w jego myślach.

— Co to za dziewczyna? Ta, która przyszła z panem?

Musiał zobaczyć ich na korytarzu. Chwilę przed tym, jak postanowił pospacerować po gzymsie.

— To moja współpracowniczka — odparł, nie wdając się w szczegóły. Dźwięk syren przybrał na sile. Strażacy byli już za rogiem. — Spodobała ci się? Mogę was poznać...

— Nie, dziękuję. Jestem dziś trochę mało wyjściowy.

Michał nie udawał. Żart chłopaka naprawdę go rozbawił. Poczuł, jak

spływa z niego napięcie. Zarechotał, tracąc czujność. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

Łukasz Komar puścił jego rękę, skoczył w kierunku rynny i zaczął się po niej opuszczać ze zręcznością małpy. Był na wysokości pierwszego piętra, gdy rynna się poddała. Stalowe nity puściły i Łukasz, wciąż wczepiony w żelastwo, poleciał w dół na spotkanie z przeznaczeniem.

Przeznaczenie potraktowało Łukasza łagodnie. Ratownik pogotowia stwierdził jedynie niegroźne zwichnięcie nogi w kostce. Chłopak zwałił się z kilku metrów na chodnik i nie obtarł sobie nawet łokci. Był szczęściarzem, chociaż wcale nie wyglądał na kogoś, komu sprzyja szczęście. Leżał w karetce pogotowia i odwracał głowę, ilekroć Michał usiłował na niego spojrzeć. Policzki miał suche, ale wciąż mrugał. Był o krok od łez.

— Zabieracie go na Lindleya?

Ratownik na moment oderwał się od pracy. Wypełniał jakiś kwit.

— Trzeba go prześwietlić. Ale nie martw się, potem przywieziemy go z powrotem do was... Oho, popatrz. Będziemy w telewizji.

Przy torowisku zaparkował furgon TVP. Dziennikarze przybyli za późno. Straż zdążyła już odjechać, a kierowca karetki właśnie uruchamiał silnik. Michał zignorował zmierzającego ku nim reportera i pochylił się nad Łukaszem. Wszystko, co przychodziło mu do głowy, brzmiało banalnie, ale musiał coś powiedzieć.

— Będzie dobrze, Łukasz.

— Daj mi spokój.

— Do zobaczenia, kolego.

— Do zobaczenia... niestety.

Tracz odsunął się od karetki, a potem oznajmił natarczywemu

reporterowi, że po komentarz musi zgłosić się do rzecznika, w godzinach jego pracy.

— To prawda, że usiłował go pan ratować... tam, na górze?

— Bez komentarza.

Był rozkojarzony, bo eksperyment, który przeprowadził, żegnając się z pacjentem, potwierdził to, co zaobserwował wcześniej, na tym cholernym gzymsie. Łukasz reagował nerwowo na dźwięk swojego imienia. Tak, jakby go nie lubił. Jakby wiązał się z nim jakiś uraz.

— Czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

Policjant, do którego skierował te słowa, pokręcił głową. Wcześniej poinformował go, że jeśli obrażenia Komara rzeczywiście okażą się niegroźne, to śledztwo w tej sprawie zostanie umorzone zaraz po wszczęciu. Pielęgniarki, które były odpowiedzialne za ten incydent, mogły odetchnąć z ulgą. Prokurator odpadał. Czekają je tylko postępowanie przed pracodawcą.

Wykończony jak po trekkingu na Rysy, wspiał się po schodach na swoje piętro. Najpierw zajrzał do gabinetu.

— Jeszcze chwilę. Nie śpisz?

Laura tylko pokręciła głową, nie odrywając wzroku od dokumentacji Romanowa. Incydent z pacjentem na gzymsie nie wywarł na niej, o dziwo, większego wrażenia. Na szczęście nie była świadkiem upadku — okno gabinetu wychodziło na przeciwną stronę. Oszczędna reakcja Laury na dramat sprzed kilku chwil była zapewne efektem błędnego postrzegania rzeczywistości. Sądziła, że takie rzeczy dzieją się na oddziałach zamkniętych na okrągło. Że są niczym chleb powszedni...

A wcale nie były. Michał przeżył coś takiego po raz pierwszy. I miał nadzieję, że ostatni.

Wciąż zdenerwowany wpadł na salę, na której leżał Łukasz. Jego łóżko

było rozścielone. Pozostali dwaj pacjenci siedzieli obok siebie na krzesłach pod kinkietem. Panowała cisza, którą bezceremonialnie przerwał:

— Co mu zrobiłeś?

Skierował to pytanie do młodszego z mężczyzn, nałogowego onanisty, który od czasu do czasu przejawiał skłonności do zachowań agresywnych, oczywiście na tle seksualnym. Dwa tygodnie temu uszczypnął w tyłek atrakcyjną pielęgniarkę, wcześniej zdarzyło mu się złapać za pierś panią roznoszącą jedzenie. Dotąd nie napastował mężczyzn, ale w jego wypadku wszystko było możliwe. Może postanowił spróbować czegoś nowego?

Wstał i poprawił spodnie. Wybrzuszenie w ich przedniej części wskazywało, że zabawiał się ze sobą nawet teraz. Miał niewyraźną minę.

— Nic mu nie zrobiłem. To on... Ja nie chcę z nim spać.

— On zrobił coś tobie? — Michał zazwyczaj odnosił się do pacjentów z większym szacunkiem, ale sytuacja była wyjątkowa. — Zmyślasz.

— Wcale nie. — Ten pacjenta stał się płaczliwy. — Bez przerwy ma w ręku ten swój telefon. Nagrywa mnie. I robi mi zdjęcia, nawet kiedy śpię. Zdejmuje kołdrę, rozbiera mnie i się patrzy. Dotyka mnie, tam na dole.

Michał spojrzał na drugiego z mężczyzn, który zastygł w pozycji wzorowego ucznia, z uniesioną ręką.

— Tak, panie Pawle?

— To nieprawda. — Mężczyzna posłał mu szczerbaty uśmiech. — Łukasz wcale tego nie robi. Nie zakrada się i nie nagrywa. Co najwyżej obrabia stare filmy i zdjęcia. Ma do tego dryg. Ale w jednym muszę się zgodzić. Rzeczywiście nie rozstaje się z telefonem. Nawet w nocy. Jest uzależniony.

Jego świadectwo zasługiwało na uwzględnienie. Cierpiał na chroniczną bezsenność. Zdarzało się, że mimo leków, które przyjmował, nie sypiał przez okrągłą dobę.

— Non stop bawi się komórką?

Zamiast odpowiedzieć, mężczyzna wskazał na łóżko Łukasza. Telefon spoczywał na poduszce podłączony do ładowania. Słowa były zbędne.

— Co mogło go aż tak zdenerwować?

Michał wziął telefon i przesunął palcem po ekranie. Łukasz nie zainstalował blokady. Ekran ożył i pojawiła się na nim strona z mapą pogody. Nad Polską wyświetlone było pełne słońce — to nie był chyba powód, by rzucać się z okna.

— Po prostu wstał i wyszedł. Potem usłyszałem pana, a potem... — Starszy z pacjentów wskazał na okno. — Potem zobaczyłem was tam. Jego i pana. To było straszne. — Ponuro się zaśmiał. — Tak straszne, że chyba dziś nie zasnę.

Te słowa uzmysłowiły Michałowi, że dla ludzi nękanych chorobą widok kolegi spacerującego po drugiej stronie zakratowanych okien oznaczał trudną do zwalczenia traumę. Odłożył zadawanie pytań na później, po czym wydzwonił na izbę przyjęć doktora Kobuszewskiego. Następne kilkadziesiąt minut spędzili, kursując po salach od ulicy i upewniając się, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Ku zdziwieniu Michała większość pacjentów nawet się nie obudziła. Dźwiękoszczelne okna, mające w założeniu niwelować hałasy ulicy, skutecznie odgrodziły ich od jego krzyków i buczenia strażackich syren.

Ze zdumieniem skonstatował, że — ni stąd, ni zowąd — wybiła czwarta nad ranem. Niebo na wschodzie poróżowiło, a gdy otworzył okno, by zapalić, usłyszał głosy ptaków. Zaciągnął się kilka razy i wrócił do gabinetu lekarskiego. Laura, zwinięta niczym kociak, pochrapywała w jego fotelu, ale gdy nakrył ją kocem, otworzyła oczy.

— Przepraszam — powiedział krótko, a ona rozejrzała się nieprzytomnie, zastanawiając się chyba, gdzie jest i jak tu trafiła.

A potem, niespodziewanie, klasnęła w dłonie.

— Myślałam, że już nie przyjdiesz. Mam dwie rzeczy. Po pierwsze, Romanow nie jest aż tak samotny, jak myśleliśmy. W aktach znajduje się adnotacja o nadanej do niego paczce. Otrzymał ją wiele lat temu, nie zgadniesz skąd.

— Z Los Angeles? — zakpił Michał, ale okazało się, że niechcący trafił blisko środka tarczy.

— Z Wielkiej Brytanii. Niestety nie ma nazwiska nadawcy.

Michał, z mało inteligentną miną, podrapał się po głowie. Czy to, że Romanow dostał przed laty zagraniczną paczkę, mogło mieć jakieś znaczenie dla terapii? Wątpił, bo paczka wcale nie musiała zostać nadana przez znajomego, tylko na przykład przez fundację zajmującą się wspieraniem takich jak on.

— A ta druga rzecz?

Podawała mu pojedynczą kartkę papieru. Opis jednej z tysięcy potyczek stoczonych przez Romanowa z nękającą go chorobą. Natychmiast rozpoznał pieczętkę u dołu strony. Dokument sporządzono tu, na Nowowiejskiej. Pieczętka była ta sama, chociaż przystawiono ją czternaście lat temu.

Zaczął czytać, powtarzając pod nosem losowe frazy.

— Awaria kranu... Całą łazienkę zalała woda, powodując ubytki w terakocie... Szymon Romanow uderzył głową w drzwi, powodując ich usterkę... — Chrząknął, bo tekst był dziwaczny. — To pisał lekarz czy hydraulik? A może stolarz...

— Doczytaj do końca — poprosiła Laura.

Dokończył już w milczeniu. W tekście nie było nic nadzwyczajnego. Wyciek wody wywołał atak paniki u dwóch pacjentów. Szymon Romanow rozbił drzwi i głowę — dla sporządzającego notatkę stażysty ważniejsze

były drzwi... Drugi z pacjentów ograniczył się do kilku krzyków. Obydwaj dostali środki uspokajające.

— Przeczytałem.

— I nic? Zero reakcji? Spójrz na to drugie nazwisko.

Michał spojrział i wzruszył niepewnie ramionami.

— Powinienem je znać?

— Takie samo nazwisko nosił podopieczny mojej babci. Ten, który się powiesił. Jan Rajzer.

— Tutaj mamy Aleksandra... To rzadkie nazwisko. Myślisz, że byli spokrewnieni?

— Nie odpowiedziała. Zrozumieli się bez słów.



## Środa, 14 lipca 2021 r.

Karol wyciągnął przed siebie rękę i na tle różowiejącej zapowiedzi przedświt dostrzegł swoje palce. Z zadowoleniem stwierdził, że już nie drżą. Tutaj, na zapomnianym, zagubionym wśród mgieł i trzciny pomoście znów poczuł się jak człowiek, a nie jak zaszczute zwierzę. Wciągnął w płuca upajający zapach jeziornej wilgoci, ale po chwili poczuł coś jeszcze. Gryzący dym z tej cholernej fajki.

Ojczym, Marcel Lubecki, zawsze kojarzył mu się z emerytowanym Sherlockiem Holmesem, ale w tej chwili to podobieństwo było wyraźniejsze niż kiedykolwiek.

— Jak się tu dostałeś? — spytał, przyglądając się rozżarzonemu tytoniowi.

— Przyszedłem z tym czarnym diabłem. — Karol wskazał na dużego labradora, który leżał kilka kroków od nich i z zadowoleniem merdał ogonem.

Lubecki odłożył fajkę, podniósł się ze swego wędkarskiego stołka i przez chwilę manipulował przy kołowrotku. W jaśniejące niebo celowały dwie wędki — jego i wujka Jarka, który udał się na brzeg, by — jak sam powiedział — odcedzić kartofelki, i dość długo już nie wracał.

— Nie pytam, jak dostałeś się tutaj, na pomost. — Przesunął dłonią po wędce. Kij musiał być wilgotny, bo wytarł dłoń w bojówki. — Pytam, w jaki sposób dotarłeś do Gremzdów.

— Samochodem Laury. — Karol pociągnął nosem. W obecnej sytuacji do szczęścia brakowało mu tylko kataru. — Jechałem prawie siedem godzin.

— Aż tyle? Zwykle wystarczy połowa tego czasu...

— Jechałem bocznymi drogami. Bałem się, że na głównych zrobią blokady.

Po wodzie poniósł się basowy śmiech.

— Naczytałeś się za dużo książek sensacyjnych. To tak nie działa. Nie uciekłeś im, zastrzeliwszy po drodze dwóch policjantów. Po prostu nie zastali cię pod adresem.

Ojczym Karola był uosobieniem spokoju. Lata spędzone na placówkach dyplomatycznych w różnych anglosaskich krajach pozostawiły ślad, którego nie dało się zatrzeć. Brytyjską flegmę. Na wieść o tym, że jego pasierb ma być zatrzymany za zabójstwo babki, odwrócił się plecami, chwycił za wędkę i wyciągnął z wody rybę, by chwilę później wypuścić ją z powrotem do jeziora. A potem, zanim zadał pierwsze pytanie, nabił na haczyk kolejną przynętę — jakiegoś wstrętnego, oślizgłego robala. Podobnie było i teraz. Jediną reakcją na emocje Karola było stonowane rozbawienie.

— Nie będą mnie szukać?

— Będą, ale nie sparaliżują z twojego powodu ruchu na sieci dróg krajowych. Wyśledzą cię po telefonie, tym razem służbowym. W końcu dojdą do tego, że dyplomata na twoim stanowisku ma służbową komórkę.

Karol dobrze pamiętał swoje przesłuchanie. Także fragment, w którym opowiadał śledczym o ostatnim telefonie do babci, w dniu jej śmierci. „Zapomniał” im jedynie wspomnieć, że nie dzwonił z Rzymu, tylko z autostrady w Czechach. Teraz było już za późno, by to odkręcić.

— Już to wiedzą, ale widocznie ministerstwo nie udostępniło im numeru.

— Wierzysz w to, że będą cię kryć?

Zawodowa pozycja Karola jeszcze nigdy nie była tak słaba, jak obecnie.

— Nie, na pewno nie. Miałem na myśli biurokrację. W naszej robocie

decyzje zapadają powoli. Ale nie martw się, Marcel. Wyrzuciłem służbowy telefon do śmietnika od razu po tym, jak się dowiedziałem. Jeszcze w tym cholernym parku.

Lubecki poruszył wędką, wprawiając w ruch umieszczony na jej szczycie dzwonek.

— Bez sensu. Powinieneś jak najszybciej się do nich zgłosić. Przecież nie zabiłeś własnej babci. Znam cię na wylot. Jesteś draniem, ale nie mordercą...

— Dzięki za zaufanie. — Głos Karola ociekał sarkazmem. Lubił ojczyzna, ale w tym momencie miał ochotę go udusić. — I za dobre rady. Różnica między nami wynika z tego, że ty wierzysz w skuteczność wymiaru sprawiedliwości, a ja przeciwnie, nie wierzę. Więzienia są pełne niewinnych ludzi. Nie mam zamiaru stać się jednym z nich.

— Chcesz przez całe życie uciekać?

— Nie. Chcę się dowiedzieć, co tu jest grane. Ale najpierw... — Ziewnął w kułak. — Najpierw chcę się wyspać. Przygarniecie mnie?

Lubecki nie próbował go przekonać do zmiany zdania. Usiadł obok niego na wilgotnych deskach i poklepał go po ramieniu.

— Przecież wiesz, że tak. Mam tylko jedną wątpliwość. Chodzi o tę policjantkę, która ci pomogła...

— Co z nią?

— Aż tak jej ufasz? Pamiętaj, pozamałżeńska miłość to śliska sprawa... Może uznać, że bardziej od ciebie lubi własną karierę.

Karol wrócił myślami do chwili, w której rozstał się z Basią. Wyglądała niczym zbity pies, a z jej podmalowanych oczu płynęły łzy, i bynajmniej nie były to łzy miłości. Bała się o własny tyłek.

— Baśka nie powie ani słowa — stwierdził, nie wdając się w szczegóły.

— Skoro jesteś jej pewien... — Ojczym jeszcze raz ścisnął mu ramię,

a potem wstał do wędek. Tym razem o uwagę dopominała się ta druga, pozostawiona przez wujka Jarka. — Ty i ta Basia... To coś poważnego?

Karol z ciekawością obserwował zmagania z wędką. Kij wygiął się niemal w literę U, a potem nagle wyprostował. Tego było zbyt wiele nawet jak na angielską flegmę. Lubecki zaklął, a potem ponowił swe pytanie:

— Czy coś z tego będzie?

— To tylko koleżanka, a poza tym... Ja przecież mam żonę.

Ojczym opuścił obciążoną żyłkę, a później przypomniał sobie o fajce. Przez chwilę na nowo ją rozpałał. Dym gryzł w oczy, ale miał tę zaletę, że przeganiał komary.

— Tak. Masz żonę.

Sposób, w jaki to powiedział, nie pozostawiał wątpliwości co do tego, co sądził o ich małżeństwie. Karol powinien machnąć na to ręką, ale nie potrafił.

— Tak. Mam żonę. Piękną, mądrą i wspaniałą. Wszystkie Baśki tego świata mogą jej co najwyżej wyczyścić buty.

Lubecki przez chwilę pykał z fajeczki. Miał w domu całą ich kolekcję, bogatszą nawet od wyeksponowanej w mieszkaniu babci kolekcji dziadka Juliana.

— Twoja lojalność małżeńska wystawia ci wspaniałe świadectwo, synku.

Zwracał się do niego w taki sposób tylko wtedy, gdy chciał mu dogryźć. Karol zwykle odpłacał mu pięknym za nadobne. Zazwyczaj w ich dialogach nie było złości, a wypowiedane docinki były elementem szermierki słownej. Ale nie dzisiaj. Nie teraz. Teraz Karol był zmęczony. I zły.

— Co masz na myśli, tatuśku?

Lubecki znów zniżył się do jego poziomu, przysiadając na deskach pomostu. Rozwidniało się i Karol mógł zobaczyć jego starannie przyciętą

bródkę i wyraz oczu. Nie było w nich złośliwych iskierek. Ojczym zdawał się sugerować, że zależy mu na szczerej rozmowie.

— Byłem ostatnio na Szucha — zaczął pozornie bez związku. Przy alei Szucha miał swą siedzibę ich wspólny pracodawca, Ministerstwo Spraw Zagranicznych. — Pewnie wiesz, że nie lubię tam zaglądać w trakcie urlopu... W ogóle nie lubię tam zaglądać, nigdy. — Zaśmiał się krótko, podkreślając, że to nie było bolesne wyznanie, tylko próbka angielskiego humoru. — Rozmawiałem z dyrektorem kadr. To mój stary, dobry znajomy.

— Powiedział ci o postępowaniu w mojej sprawie? — najeżył się Karol.

— Coś tam wspomniał.

— Ale... to przecież jest niejawne. Tak mi mówili. Dokumenty opatrzone są klauzulą „ściśle tajne”!

Lubecki objął go ramieniem.

— Nie unoś się tak, bo płoszysz ryby. — Wziął kawałek luźnej deski i zanurzył ją w wodzie, jakby chciał pokazać, że nie o ryby tu chodziło, tylko o dyskrecję. — Tę rozmowę odbyliśmy po to, żeby ci pomóc. Dlatego wybaczone, że nie przyklaskuję, gdy opowiadasz bajeczki o tym, jak to ubóstwiasz swoją żoneczkę. Nie jestem obłudnikiem. Ty też nim nie bądź. Wbrew temu, co ci się wydaje, to okropna cecha, także u dyplomaty. Zwłaszcza gdy ta obłuda cuchnie fałszem.

Karol patrzył na ojczyma wilkiem, a po tych słowach spuścił głowę. Był nadęty niczym balon, ale celnie wbita szpilka sprawiła, że uszło z niego powietrze.

— Wywalą mnie?

— Ja bym cię wywalił. Dyplomata nie może być uzależniony od hazardu. — Dłoń Lubeckiego, przed chwilą swobodnie oparta na ramieniu, zacisnęła się nagle w okolicach kołnierzyka. Ojczym mocno nim potrząsnął. — Co ty sobie myślałeś, do cholery? Że zapłacisz służbową kartą w kasynie,

a w ministerstwie nikt się nie dowie? Nikt nie zauważy, że zostawiłeś tam kilkaset tysięcy?

— Karta mi nie szła.

— Ruletka. Tak było na rachunkach. W co ty ze mną grasz?

Karol trącił czubkiem buta ciemną wodę.

— Karta czy ruletka... Co to za różnica?

— Masz rację, żadna. — Lubecki puścił jego koszulę, a potem nawet poprawił mu kołnierzyk. — Gdyby to był jednorazowy wyskok, nie byłoby sprawy. Miałybyś postępowanie, powiedziałbyś, że zaszkodził ci alkohol... Alkoholików mamy na placówkach tyłu, że już dawno przestałem liczyć. Czasem mam wrażenie, że cała ta nasza służba dyplomatyczna jest ciągle pijana. Ale twoich wybryków nie da się zwalić na jednorazową wpadkę z alkoholem. Ile razy płaciłeś tą kartą w kasynie. Dziesięć? Dwanaście?

— Coś koło tego.

— I naprawdę robiłeś to, by zaimponować jakiejś Włoszce?

Karol pochylił się jeszcze bardziej. W wodzie odbijał się zarys zawstydzonej twarzy.

— Zakochałem się.

— W hazardzistce?

— Miłość bywa ślepa.

— Opowiesz mi o tej dziewczynie? Jaka jest?

Karol zanurzył dłoń w jeziorze. Woda była ciepła jak krew.

— Twój przyjaciel z kadr ci nie mówił? Wszystko jest w papierach.

— W papierach są same ogólniki. Chyba nie wyznałeś im całej prawdy...

— Nie wyznałem.

— Dlaczego? W twojej sytuacji...

— Wstydzilem się, Marcel. Po prostu się wstydzilem. I teraz też się

wstydę. Ta sprawa jest dla mnie uwłaczająca, a do tego... Gdyby nie to cholerne wezwanie, nie przyjechałbym wtedy do Polski. I nikt by mnie teraz nie oskarżał.

— Kiedy przyjechałeś?

— W niedzielę. Dokładnie wtedy, gdy umarła babcia.

Gdy się dowiedział, że babcia Krysia została zamordowana w niedzielę, a nie — tak jak sądził — kilka dni później, bliżej momentu, w którym ciało odnalazła Laura, opadły go złe przeczucia. Poczł się trochę jak złodziej, na którym — zgodnie z przysłowiem — czapka gore. O jego bytności w Polsce nie wiedziała nawet żona. Zgodnie z poleceniem, które wydali mu funkcjonariusze ABW, trzymał buzię na kłódkę. Przyjechał, zameldował się w hotelu, w poniedziałek odpowiedział na Rakowieckiej na kilkanaście kłopotliwych pytań, a potem wsiadł w samochód i pojechał do Rzymu. Nie miał ze sobą nawet prywatnego telefonu — i pewnie dlatego namierzyli go tak późno, prawdopodobnie przy udziale ABW.

— Czyli kiedy policja pytała o twoje ostatnie dni...

— Ci z ABW kazali mi trzymać dziób na kłódkę, więc podczas przesłuchania powiedziałem, że siedziałem w Rzymie. Skąd miałem wiedzieć, że babcia umarła akurat tamtego dnia, gdy przyjechałem do Polski?

Lubecki podrapał się po rzednących włosach.

— Byłeś wtedy w okolicy jej mieszkania?

— Niestety nie.

— Niestety?

— Jakbym był, to może dorwałbym tego skurwiela, który zabił moją babcie. Skurwiela... albo kurwę.

Przekleństwa popłynęły po wodzie, roztopiając się w porannej mgle. Lubecki przyłożył palec do ust.

— Cicho. Płoszysz ryby... Myślisz, że twoja babcia zginęła z ręki kobiety?

— Chwilowo nic nie myślę. — Karol nie był gotowy, by podzielić się swoimi podejrzeniami. Przez całą drogę z Warszawy myślał tylko o jednej osobie. O Olce. Fakt, że babci zależało, by ją przeświecić, był bezdyskusyjny. Pytanie brzmiało: dlaczego to robiła? Tak bardzo chciała poznać prawdę o tej dziewczynie, że posunęła się do tego, by skorumpować policjantkę. — Marcel, pomożesz mi?

Lubecki westchnął i pokiwał głową.

— A czy od dnia, w którym cię poznałem, robię coś innego?

Karol zacisnął dłoń na gumowanym sztormiaku, w miejscu, gdzie powinno być ramię. Lubecki był mężem jego mamy, ale dla niego kimś więcej. Był niczym prawdziwy ojciec. To pod wpływem Lubeckiego postawił na karierę w dyplomacji. To Lubecki rekomendował go na placówkę w Rzymie. I teraz to Lubecki trzymał klucz do jego dalszej kariery. Był jednym z najbardziej doświadczonych dyplomatów w resorcie. Z jego zdaniem liczył się nie tylko minister, lecz także mądrale z ABW, decydujący o tym, kto jest godny zaufania, a kto nie. Wystarczyło poprosić.

— Marcel...

— Potrzebujesz pieniędzy?

— Nie, kasę mam. Od Laury. Na początek wystarczy. Potrzebuję...

Chciał powiedzieć, że potrzebuje pozytywnej rekomendacji, ale nie zdążył. Deski pomostu zaskrzypiały i po chwili zza trzciny wyłonił się wujek Jarek. Na jego rudawych wąsach osiadła wilgoć. Zwykle prezentował się elegancko, ale teraz przypominał morsa. Uśmiechniętego morsa.

— Trochę ci zeszło, tam, na brzegu — zauważył Lubecki.

Poufałość była usprawiedliwiona. Znali się od dobrych trzydziestu lat. Gdy wujek był początkującym bankowcem w londyńskiej filii banku,



Lubecki odpowiadał z ramienia polskiej ambasady przy Baker Street za kontakty gospodarcze.

— Chciałem dać wam chwilę. Karolek wyglądał, jakby zobaczył ducha, ale widzę, że wszystko w porządku...

Sam prezentował się niezbyt okazale. Wąsy morsa były jedynie detalem — jeszcze bardziej uwagę zwracały potargane włosy i cienie pod oczami — tak ciemne, że wujek Jarek wyglądał, jakby właśnie znieśli go z ringu. Ze strzępów rozmowy, którą Karol nieświadomie podsłuchał, zbliżając się do pomostu, wynikało, że wujek przyjechał do Gremzdów w nocy, niewiele wcześniej niż Karol. Wersję tę zdawało się potwierdzać miejsce, w którym zostawił samochód. Czarny mercedes parkował za bramą, przy samej drodze.

— Złowiłeś coś, wujek?

— Co? A skąd. Ja też jestem tu nocnym gościem. Może nawet mniej oczekiwanym niż ty.

Ta uwaga była zagadkowa, ale zanim Karol zdążył poprosić o wyjaśnienie, znów odezwał się dzwonek. Lubecki zaciął wędkę i tym razem udało mu się wyciągnąć z toni potężną rybę. Uwolnił ją z haczyka, pocałował i wypuścił z powrotem do jeziora. Karol przełknął ślinę. Myśli o smażonej rybce były coraz intensywniejsze. I jak się okazało — daremne.

— Macie coś do jedzenia? Już nie pamiętam, kiedy jadłem. Chyba wczoraj, z Laurą.

Szprotki w oleju, które dostał od Marcela, smakowały mu bardziej niż wczorajszy łosoś.

— Co tu robisz, wujku? — spytał z pełnymi ustami.

Wujek Jarek odwrócił się plecami. Karol nie umiał pozbyć się wrażenia, że brat mamy jest inny niż zazwyczaj. Wydawał się przygnębiony. Trudno było nie powiązać tego stanu z puentą opowieści Laury. Opowieści tak

niesamowitej, że w pierwszej chwili trudno było w nią uwierzyć. W kawalerce cioci, tej, którą odziedziczyła po rodzicach, w miednicy moczyła się męska bielizna. Czyżby ciocia rzeczywiście miała kochanka?

— Przyjechałeś sam, prawda? — Zwykle z żoną byli nierozłączni. Babcia za plecami nazywała wujka Jarka pantoflarzem. — Gdzie ciocia Monika?

Wujek wciąż był odwrócony, ale Karol spostrzegł, że opadły mu ramiona.

— W Warszawie.

— Dlaczego?

Ramiona opadły jeszcze niżej, ale odpowiedź była zaskakująca.

— Nie chciałem jej w to mieszać.

— W co?

Podszedł do wujka i spojrzał mu w oczy. Wujek nie odwzajemnił spojrzenia. Uciekł wzrokiem, ale Karol zdążył dostrzec obecny na dnie jego oczu wyraz bólu.

— Bardzo liczyłem na ten spadek, wiesz? Przez całe życie, przez cały ten czas... Nigdy nie potrzebowałem pieniędzy bardziej niż w tej chwili. A pieniędzy nie ma. Nie ma i nie będzie.

Jego twarz, choć opalona, wydała się Karolowi bardzo blada.

— Co ty mówisz, wujku? Przecież masz swoje biznesy. Jesteś... — Chciał powiedzieć „bogaty”, ale nie przeszło mu to przez gardło. Przypomniawszy sobie samochód wuja. Starego mercedesa, który aż prosił się o remont. To nie był egzemplarz zabytkowy, tylko zwykły stary grat. — Co z hotelami?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Karol obrócił się ku Lubeckiemu, ale ten ostentacyjnie się odwrócił, dając do zrozumienia, że nie chce się wtrącać.

— Wujku. Dlaczego nic nie mówisz?

— A co tu mówić? — Głos wujka Jarka był wyprany z wszelkich emocji. Takim tonem mówili ludzie, którzy lada moment mieli strzelić sobie w łeb.

— Wystarczy tylko jedno słowo. A raczej dwa. Epidemia koronawirusa.

— Słucham?

Lubecki nie wytrzymał długo w roli niezaangażowanego widza. Był niczym aktor. Uwielbiał występować.

— Koronawirus najbardziej uderzył w branżę turystyczną — mruknął, a wujek Jarek ze smutkiem pokiwał głową, po czym schylił się i podniósł z pomostu płaski okruch żwiru.

— Straciłem hotele — stwierdził, a potem usiłował puścić kaczkę. Włożył w rzut dużo siły, ale źle dobrał kąt. Kamień plusnął tylko raz i na zawsze zniknął pod wodą. — Straciłem wszystko. Jestem bankrutem.

Karol popatrzył na Lubeckiego. Ojczym chrząknął i z zakłopotaniem odwrócił głowę.

— Przyjechałem tu, żeby pożyczyć pieniądze — wyznał matowym głosem wujek Jarek. — Jesteśmy splukani. Została nam tylko ta obskurna kawalerka przy Bitwy Warszawskiej...

Karol pomyślał o Laurze i wyśmiał jej podejrzenia. Romans, dobre sobie... Sekretni kochankowie nie piorą u siebie gaci.

— A co z waszym domem na Mokotowie?

— Wynajęliśmy, żeby pospłacać długi. A raczej odsetki od długów. Nie jest dobrze, Karolku. Jest bardzo źle.

— A twoje mercedesy?

— Został mi jedynie ten grat, który ciągle się psuje. I tylko dlatego, że nikt nie chciał go kupić. Kolekcja poszła pod młotek. Cała, do ostatniej sztuki.

Karol jeszcze raz spojrział na jego opaloną twarz.

— To skąd te Malediwy? Polecieliście, żeby ratować biznes.

Wujek Jarek uśmiechnął się smutno.

— Jakie Malediwy? Byliśmy pod Babimostem.

— Gdzie? — wyjąkał Karol.

— Pod Babimostem. Potrzebowaliśmy pieniędzy, na jedzenie.

Wstydziliśmy się prosić po rodzinie, a tam naprawdę dobrze płacili.

— Za co?

Spuścił wzrok.

— Zbieraliśmy truskawki.

Łóżko było ciepłe i wygodne, lecz Karol nie znalazł w nim ukojenia. Chrapanie wujka Jarka raz po raz wyrywało go z płytkiej drzemki i w końcu się poddał. Próbował czytać, ale na półce stały same tomiszczą o drugiej wojnie światowej. Przez chwilę kartkował dzieje cichociemnych, a potem je odłożył. Tragiczne historie spadochroniarzy za bardzo go przygnębiały, a teraz potrzebował czegoś innego. Pocięchy.

Turystyczna część gospodarstwa jeszcze spała. Wujek chrapał, ojczym odsypiał całonocne wędkowanie, a matka podczas urlopu rzadko kiedy wstawiała przed dziewiątą. Karol wziął z lodówki kawałek żółtego sera, sięgnął po na wpół opróżnioną butelkę wody i przedelfilował przez salon, stukając bosymi stopami o klepki podłogi. Wyszedł na taras i rozsiadł się przy dębowej ławie. Czuł się zupełnie swobodnie. Jak zwykle. Agroturystyka u Hani była miejscem tak przyjaznym, że wracał tu co rok, podczas każdego urlopu, który spędzał w kraju.

Po podwórku przechadzał się czarny labrador, ten sam, który kilka godzin wcześniej zaprowadził go na ukryty wśród trzciny pomost odległego o góra dwieście metrów jeziora. Psisku towarzyszyła kilkuletnia

dziewczynka, córka właścicielki. Zobaczywszy Karola, wydała pisk radości, a potem podbiegła i zaczęła podskakiwać — mały wulkan energii.

— Wujku, a czemu wujek Jarek tak chrapie?

Znała ich wszystkich, całą rodzinę, być może z wyjątkiem Laury, bo siostra Karola nie przepadała za rodzinnymi wakacjami. Oficjalnie przeskadzały jej wszechobecne w gospodarstwie kury, ale Karol wiedział, że wcale nie chodzi o kury, tylko o Marcela. Laura nigdy do końca go nie zaakceptowała. Była dla niego miła, ale w głębi duszy winiła go za rozpad małżeństwa rodziców, chociaż prawda była zupełnie inna. Ich małżeństwo rozpadło się na długo przed tym, zanim matka poznała swojego obecnego męża.

— Cześć, Karolku. Niezła bryka.

Hania, właścicielka gospodarstwa, nadeszła od strony obory, w której mieszkały kozy. Karol nie lubił tych brodatych bydlątek, ale nie miał nic przeciwko koziemu mleku. Zaczekał, aż gospodyni napełni po brzegi gliniany kubek, a potem wstał i cmoknął ją w policzek. Po urodzeniu drugiego dziecka nieco się zaokrągliła, ale te kilka kilogramów nie odebrało jej wdzięku. Przeciwnie, Karol uznał, że wygląda jeszcze seksowniej niż przedtem. Uśmiechnął się, wspominając swe umizgi sprzed dziesięciu lat. Była od niego trochę starsza i powiedziała mu wtedy wprost, że nie interesuje jej przygodny romans. Już wtedy dobrze wiedziała, czego chce od życia, i jak dotąd doskonale realizowała swoje marzenia. Dziesięć lat temu była tu kimś w rodzaju pokojówki, a teraz cała agroturystyka należała do niej, miała też męża nauczyciela i dwójkę cudownych dzieci. Oraz nowy samochód, też hondę, tak jak Laura. Motoryzacja była jednym z jej koników, ale Karol nie chciał rozmawiać o samochodach. Głupio mu było przyznać, że gdyby nie siostra, mógłby tu przyjechać co najwyżej na hulajnodze.

— O której przyjechałeś?

Czułym gestem zmierzwiła mu włosy. Oczywiście zawsze płacili jej za pobyt, ale był pewien, że gościłaby ich nawet za darmo.

— Późno. A raczej wcześniej... — urwał, odnotowując ze zdziwieniem, że Hania gładzi go po policzku.

Chociaż był zmęczony i rozbity, poczuł się nagle bardzo męsko, ale okazało się, że źle odczytał kontekst.

— Przyjmij, proszę, kondolencje. Bardzo mi przykro. Krystyna była wspaniałą starszą panią.

Podziękował, a potem napił się mleka. Było gęste, znacznie gęstsze od krowiego. I jeszcze ciepłe. Ktoś wrażliwszy od niego mógłby się po nim pochorować, ale Karolowi to nie groziło. Miał strusi żołądek.

— Mam nadzieję, że trochę tu z nami zostaniesz.

— Jeszcze nie wiem — odparł, zmuszając się do uśmiechu. — Żyję chwilą.

Symptomatyczne było to, że nie zapytała o Sabinę. Kilka razy przyjechali tu razem, ale matka na pewno zdążyła jej napomknąć o ich kłopotach małżeńskich. Miała zdecydowanie zbyt długi język. No i nigdy nie przepadała za synową. Zanim wzięli ślub, twierdziła, że Sabina jest niestabilną histeryczką. Potem trochę złagodziła swoje wypowiedzi, ale nigdy specjalnie nie przykładała się do tego, by ukryć swe prawdziwe uczucia. Stosunki na linii teściowa–synowa były napięte, i to niezależnie od tego, jak bardzo się starał, by je poprawić.

Hania poczekała, aż opróżni kubek, a potem zagarnęła go na — jak się wyraziła — prawdziwe śniadanie. Przechodząc pod oknem pokoju, z którego dobiegało chrapanie wujka Jarka, uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Wujek zawsze był taki elegancki, wymuskany, wręcz

zniewieściał... Twardy sen czynił go bardziej męskim. Zawsze chrapał jak drwal.

I zawsze był bogaty. Aż do teraz. Jak bardzo musiał podupać, by zbierać truskawki. I patrzeć, jak to samo robi ciocia Monika, jego hołubiona żona.

— Mnie też było ciężko — stwierdziła Hania, nagle poważniejąc. Wyglądało na to, że niedyskrecja matki obejmowała także członków dalszej rodziny. — Przez ostatni rok przyjechało do mnie pięć osób na krzyż, no ale to wszystko — wskazała na dom i podwórko, na którym czarny labrador ganiał się z kurami — to inna skala. No i ja nie mam kredytów. Wejdz. Przepraszam za bałagan.

Całe wnętrze budynku (Hania nie znosiła słowa „pensjonat”, uznając je za pretensjonalne) stylizowane było na szlachecki dworek. W centralnym punkcie ogromnego salonu znajdował się stół na kilkanaście osób, a wszędzie wokół stały stare meble — kredensy, sofy, szafki, skórzane fotele, sekretarzyki... Wystroju dopełniał kominek i książki, setki książek, od których ugiwały się półki. Te książki, jako element dekoracji, były autorskim pomysłem gospodyni. Hania pozyskała je za darmo, z likwidowanej biblioteki. Było ich tak dużo, że stały również w każdym z siedmiu pokoi dla gości, rozłożone tematycznie. Na przykład w pomieszczeniu zajmowanym przez ojczyrna i matkę, czyli tak zwanej kwaterze rybackiej, większość książek dotyczyła turystyki i wędkarstwa, a w pokoju, w którym próbował spać z wujkiem Jarkiem — historii drugiej wojny.

W salonie, obok książek i starych mebli, było jeszcze coś, co od zawsze go fascynowało. Galeria starych fotografii, na których uwieczniono przodków. Nie byli to przodkowie Hani, tylko poprzednich właścicieli gospodarstwa, ale Hania doskonale orientowała się w zdjęciach i znała zyciorys każdej ze sfotografowanych osób. Karol uwielbiał słuchać, jak

o nich opowiada. Historia przedstawiana przez pryzmat losów konkretnych ludzi była znacznie ciekawsza od tej z podręcznika.

Hania przeszła do kuchni, by wrzucić do garnka garść parówek. Gdy wróciła, Karol, jak tyle razy przedtem, oglądał fotografie. Byli właściciele gospodarstwa wywodzili się ze zubożałej szlachty. Ich fotografie też tu były, na samym dole, bo zdjęcia rozmieszczono w taki sposób, by przypominały drzewo genealogiczne. Poniżej portretów dawnych właścicieli znajdowało się jeszcze trochę wolnego miejsca, które jednak miało pozostać puste. Dawni właściciele zmarli bezdzietnie, kilka lat temu. Chałupę, nawet w połowie nie tak dopieszczoną, jak obecnie, odziedziczyła po nich Hania, którą zatrudnili do pomocy i która z biegiem czasu stała się dla nich niczym córka.

— Jak to jest dostać taki spadek?

Pytanie było mało delikatne, ale Karol wiedział, że może je zadać. Hania była totalnie bezproblemowa.

— Dużo roboty. Także papierkowej. Pozwolenia, decyzje, umowy, wnioski o płatność, rozliczenia, kontrole... Nie wiem, czy przeszłabym przez to drugi raz. Pamiętasz, jak tu było przed remontem?

Karol pamiętał. Gdy był tu pierwszy raz, z matką, budynek był, łagodnie rzecz ujmując, niedofinansowany. Hania, po śmierci właścicieli, postawiła go na nogi. Matka nie mogła się jej nachwalić. I zawsze porównywała ją z Sabiną, a wnioski, które formułowała, były proste do przewidzenia. Tyle że Karol zupełnie się z nią nie zgadzał. Lubił swoje życie i wciąż kochał Sabinę. Gremzdy były piękne, ale gdyby miał spędzić tu całe życie, chyba strzeliłby sobie w łeb. Był obieżyświatem. Nie znosił stagnacji.

Hanka ujęła go za rękę i pociągnęła za sobą, najpierw na korytarz, a potem w górę, po wąskich schodach. Rzadko bywał w tej części domu. Tu, na poddaszu, w dwóch małych pokoikach, gnieździli się gospodarze:



Hanka, jej mąż i dzieci. Mieli ciasno, ale tylko w sezonie turystycznym. Poza sezonem mieli do dyspozycji cały dom.

— Chcesz mnie uwieść?

Pacnęła go ręką. Żartobliwie, ale mocno.

— Dorośnij. Chcę ci pokazać coś, co lubisz. Zdjęcia.

Spodziewał się, że pokaże mu jakiś stary album, tymczasem poprowadziła go do komputera. W pokoju panował nieład, za który odpowiadały dzieci. Co krok można było potknąć się o jakąś zabawkę, a z kołyski dobiegało wesołe gulganie.

— Otwórz sobie folder, a ja go nakarmię — zakomunikowała, włączając komputer i podciągając bluzkę.

Młode matki muszą być wielofunkcyjne. Inaczej nie starczyłoby im doby. Karol, trochę zaniepokojony tym, że wyciąga przy nim pierś, odwrócił się w stronę ekranu i zbaraniał.

— Co to jest?

Na środku ekranu widniał folder o zaskakującej nazwie, na którą składało się imię i nazwisko. Krystyna Kalinowska.

Babcia Kryśka śmiertelnie bała się covidu. Od chwili, gdy epidemia z Chin przywędrowała do Polski, praktycznie przestała opuszczać mieszkanie. W pierwszym okresie zajmowały się nią Laura i ciocia Monika. Robiły zakupy, wносиły śmieci, a od czasu do czasu udawało im się nawet wyciągnąć babcię na krótki spacer — najczęściej nocą, gdy prawdopodobieństwo spotkania kogoś w parku lub pod murem Filtrów było bliskie zeru. Ale potem nadszedł listopad, szczyt drugiej fali. Strach babci jeszcze się nasilił, więc ciocia z wujkiem zaproponowali inne rozwiązanie. Aby ograniczyć do minimum ryzyko zarażenia, z babcią zamieszkała najęta opiekunka — Aleksandra Arbaszewska. Miała pomagać babci

w codziennym życiu w izolacji, a ponadto robić to, czym zajmowały się przedtem Laura i ciotka. Przynosić zakupy, wyrzucać śmieci, realizować e-recepty... Ale nie to było najważniejsze. Główny obowiązek zatrudnionej można było określić jednym zdaniem.

Miała nie przywlec babci covidu.

Gdy wychodziła za próg mieszkania, musiała mieć na sobie dwie maski. Jej nieobecności miały ograniczać się do wyjść absolutnie niezbędnych dla życia. Nie mogła spotykać się z nikim poza babcią — wykluczone były wieczory z koleżankami, randki, a nawet poranny jogging. Spała u babci, jadła razem z babcią... Była zawsze obok niej, niczym jej dwa pokolenia młodszy, znacznie szczuplejszy cień. Karol widywał ją niemal za każdym razem, gdy łączył się z babcią przez Skype'a lub WhatsAppa. Zawsze kręciła się gdzieś w tle.

Tak ekstremalna izolacja społeczna często wywoływała skutek odwrotny do zamierzonego. Starsi ludzie, zamknięci w czterech ścianach, podupadali na zdrowiu — także psychicznym, a przy tym tracili odporność. Covid czaił się w pobliżu i atakował, zbierając swe śmiertelne żniwo. Ale babcia miała to szczęście, że ominęły ją zarówno covid, jak i inne choroby. Przynajmniej na pierwszy rzut oka tryskała zdrowiem — w przeciwieństwie do reszty rodziny: wujka i cioci, którzy przechorowali covid jesienią, Laury, która zmagala się z nim w marcu, a także matki i ojczyma, których w tym samym czasie dopadł wariant brytyjski. Szalony i jednocześnie hurraoptymistyczny plan wypalił w stu procentach. Ale potem nadszedł maj i czerwiec. Fale pandemii na chwilę się cofnęły, a babcia zapragnęła znowu żyć.

Najpierw zaczęła przyjmować gości — koniecznie w maseczkach. Później znów odważyła się wyjść na spacer, pierwszy, a potem drugi. Odwiedziła ciotkę i wujka w mieszkaniu na Mokotowie i zdecydowała się wrócić do domu tramwajem. Rozmawiając z Karolem, obiecała mu

spotkanie, pierwsze od września zeszłego roku, gdy przebywał w Polsce na szkoleniu. Pozwoliła Arbaszewskiej, którą nazywała Oleńką, na krótkie wakacje. Zaczęła względnie normalne życie, po czym zrobiła coś jeszcze.

Czaiła się pod oknami apartamentu matki, gdy przebywali w nim Celmerowie. I pojechała do Gremzdów, do Hanki.

Zdjęcia w folderze, który otworzył Karol, dokumentowały właśnie tę wizytę. Był zbyt zaskoczony, by poczuć wzruszenie, ale widząc jej pulchne ciało w fotelu, w którym usiadł na chwilę po powrocie z ryb, pokręcił melancholijne głową. Zdjęcie datowane było na dwudziestego maja, czyli na sześć tygodni przed dniem, w którym zginęła.

— Przyjechała tu sama?

— Tak. Odebrałam ją z dworca w Suwałkach.

— Kolejowego?

— Nie. Przyjechała autobusem. Na trzy dni. Spała w tym samym pokoju, co ty i wujek.

Zdjęć było kilkanaście. Wszystkie zrobiono tutaj, na parterze. Na jednym babcia, z córką Hani na kolanach, pozowała na tle książek, które przeglądał dziś rano, siedząc w tym samym miejscu, co ona. Wzruszenie nadeszło niespodziewanie i chwyciło go za gardło.

— Co to? — wychrypiał, wskazując na broszurę, którą babcia trzymała w wolnej ręce.

Drugą ręką obejmowała dziewczynkę.

— Gdzie?

Hania oderwała synka od piersi i pochyliła się nad Karolem, trącając go nabrzmałym sutkiem. Nawet tego nie odnotował.

— Tutaj. To wygląda jak...

— To mapa Suwalszczyzny. Twoja babcia uwielbiała wycieczki po okolicy. Często sama ją woziałam.

— Ostatnio też?

Hania kiwnęła głową i ponownie przystawiła do piersi niemowlę. Chłopczyk lekko się uśmiechał i chyba zrobił się senny.

— Chciała zwiedzić Sejny.

— Sejny? A co tam jest do zwiedzania?

Była lokalną patriotką, nic więc dziwnego, że spojrzała na niego wojowniczo.

— Klasztor, synagoga, Muzeum Ziemi Sejneńskiej... Mam wymieniać dalej?

Nie zamierzał się z nią spierać o przymioty Sejn. Ani żadnej innej miejscowości.

— Wierzę na słowo. Oglądałyście coś konkretnego?

— Zostawiłam ją pod klasztorem i pojechałam na zakupy. Miała półtorej godziny. Uprzedzając twoje kolejne obraźliwe pytanie: nie narzekała na nudę. Była zadowolona.

— Masz tu Internet?

Potwierdziła, a potem odłożyła dziecko do łóżeczka. Karol otworzył w tym czasie Google Maps i wycentrował obraz na Sejnach.

— Są tu jakieś bloki z wielkiej płyty?

— Ciszej, bo go obudzisz. Czego szukasz? Starych bloków? — Zaskoczona, przez chwilę jeździła po mapie kursorem, a potem powiększyła jej fragment i przełączyła na obraz satelitarny. — Tylko to jedno osiedle. Nie wiem, czy to wielka płyta. Chyba są starsze. I cholernie zaniedbane. Lepiej się tam nie zapuszczać, zwłaszcza wieczorem.

— Czy to daleko od klasztoru? — spytał Karol, usiłując przypomnieć sobie nazwę ulicy, przy której stał blok, w którym zameldowana była Aleksandra Arbaszewska. Bezskutecznie. Pamiętał jedynie, że blok miał

być z wielkiej płyty, ale Basia, która mu o tym powiedziała, nie była przecież specem od architektury.

— Jakież kilkaset metrów — obliczyła szybko Hania. — Czemu pytasz? Postanowił nie odpowiadać. Nie dlatego, że jej nie ufał. Dla jej dobra.

— Babcia lubiła takie zakazane miejsca.

— Poważnie?

— Tak, poważnie. — Z trudem wydobył z pamięci nazwę miejscowości, w której mieszkali rodzice Arbaszewskiej. — A powiedz, czy nie byłeś z babcią czasem w Walaskach?

Ta nazwa nic jej nie mówiła. Karol odszukał miejscowość na mapie. Była prawie trzydzieści kilometrów stąd, przy samej granicy.

— Czy da się tam dojechać komunikacją publiczną?

Pokręciła głową.

— Wątpię. To koniec świata.

Karol na moment wstrzymał oddech.

— A czy wybrałyście się do Lipian? — spytał z napięciem, przywołując kolejną miejscowość z życiorysu Arbaszewskiej.

Hanka drgnęła, zupełnie jakby wystrzelił jej nad uchem.

— Do Lipian? — spytała z niedowierzaniem. — A po co tam jechać?

— Babcia kiedyś wspominała, że tam jest ładnie.

Badawcze spojrzenie Hanki spoczęło najpierw na jego ustach, a potem powędrowało wyżej, zatrzymując się na oczach. W jej oczach, czarnych jak okruchy węgla, pojawiło się wahanie.

— Nie wiem, co tam jest ładnego. Wieś jak każda inna.

— Nie dla babci.

— Twoja babcia rzeczywiście miała do niej słabość. Ale to miał być nasz sekret. Obiecałam, że nikomu nie powiem.

— Była w Lipianach, prawda? — Odczekał kilka sekund, a gdy nie

odpowiedziała, wytoczył najcięższe działa. — Hanka, moja babcia nie żyje. Ktoś ją zabił. A ja chcę się tylko dowiedzieć kto.

Nie była zaskoczona, ale w tym akurat nie było nic dziwnego. Matka miała prawo ją wtajemniczyć. Zdradzić, że babcia nie umarła ze starości. W końcu Hanka była przyjaciółką rodziny. Zaskakujące było natomiast to, co miała do powiedzenia o Lipianach.

— Twoja babcia jeździła tam co roku. W sierpniu. To, co tam robiła, na pewno nie było dla niej groźne. Nie w tym sensie.

Karol miał dosyć tych łamigłówek. Był zmęczony i głodny, a na dole gotowały się parówki.

— Jeździła tam co roku? — spytał z niedowierzaniem. — Jesteś pewna? Po co?

— Nigdy nie chciała powiedzieć, a ja nie pytałam. To zbyt prywatne sprawy.

— W jakim sensie prywatne?

Hanka westchnęła, a potem wyjaśniła mu to tak powoli, jakby rozmawiała z dzieckiem:

— Jedynym obiektem w Lipianach jest katolicki sierociniec.

Nazwa Sejny pochodziła od jaćwińskiego słowa *seina* oznaczającego siano lub trawę, ale trawnika, przy którym zaparkował Karol, na pewno nie można było uznać za reprezentacyjny. Więcej niż źdźbeł trawy było tu niedopałków, szkła i pordzewiałych kapsli od piwa. Szpetota tego miejsca była tym jaskrawsza na tle pozostałej części Sejn. Miasteczko było urocze, wszędzie, ale nie tutaj.

Pod pamiętającym z pewnością lata komuny trzepakiem leżał martwy kot. Nad zwiniętym w kłębek ciałkiem latały muchy, a kilka metrów dalej, na pozbawionej oparcia ławeczce siedziało dwóch niechlujnych mężczyzn.

Zwłoki kota nie zepsuły im apetytu. Raczyli się winem, przekazując sobie prawie już opróżnioną butelkę. Zanim Karol zdążył podejść, jeden z nich wprawił butelkę w ruch wirowy i wlał resztkę cieczy do ust, nie dotykając nimi szyjki. W sposobie, w jaki to zrobił, wyczuwało się wieloletnią praktykę.

— Smacznego! — Karol wykrzywił twarz, ale nie odpowiedzieli ani na powitanie, ani na uśmiech. Z ust tego, który trzymał pustą już butelkę, wydobyło się beknięcie. — Czy zastanę w domu Aleksandrę... Ołę Arbaszewską?

Jeszcze przez chwilę panowała cisza.

— My nie informacja turystyczna — padło wreszcie. — Chyba że... Masz pan dychę?

Karol miał w portfelu kilkadziesiąt złotych, ale nie zamierzał pozbywać się nawet grosza. Od chwili, gdy dotknęły go kłopoty z płynnością finansową, stał się bardzo oszczędny, a poza tym wiedział, że to, co miał, musiało mu wystarczyć na długi, trudny do określenia czas. Nie mógł wypłacić pieniędzy z konta — ani w banku, ani w bankomacie. Śledczy z komendy stołecznej tylko na to czekali.

— Do widzenia — powiedział z uśmiechem.

Ten uśmiech, a może jego pojednawczy ton... Coś sprawiło, że u jednego z drabów objawiła się wrażliwsza strona natury.

— Jak pan powiedział? Ola...

— Arbaszewska. — Informator zaczął kręcić głową. — Taka niestara, zgrabna, z nogami do szyi.

Karol uniósł dłoń, podkreślając walory tych nóg. Gdyby rzeczywiście były takie długie, już dawno jakiś skaut zwerbowałby ją do żeńskiej ligi koszykówki.

— Nie ma tu takich. — Mężczyzna splunął na chodnik. — Tylko stare

i brzydkie. No, chyba że tam.

Wskazał w kierunku najbardziej odległego z trzech paskudnych bloczków, układających się w literę U. Na jednym z balkonów łopotała białoczerwona flaga.

— Ale tam to pan nie chodź — wtrącił drugi z pijaczków. — Nie warto.

— Dlaczego?

— Bo możesz pan już nie wyjść.

Karol skinął głową, udając, że to, co usłyszał, dało mu do myślenia. Tak naprawdę — nie dało. Miał znacznie większe zmartwienia niż miejscowa chuliganeria. Na obecnym etapie wołał chuliganów od stróżów porządku. Przeciął wylany asfaltem plac, kierując się we wskazane miejsce. Z bliska to, co wziął za flagę, okazało się dwoma ręcznikami, które — razem z resztą prania — suszyły się na wietrze. Pozostałe elementy wypranej garderoby bardziej kojarzyły się z dzielnicą czerwonych latarni niż architektonicznym koszmarkiem na obrzeżach Sejn. Susząca się bielizna była tak skąpa, jakby krawcowi zabrakło materiału. I na pewno nie chroniła przed chłodem.

Wciąż towarzyszył mu zapach martwego kota, ale na klatce schodowej wcale nie pachniało ładniej. Podejrzana kałuża przy zejściu do piwnicy wydzielala fetorek amoniaku, a drewniane schody gniły, śmierdząc stęchlizną. Karol z rozbawieniem przypomniał sobie słowa Basi. Może to nie była wielka płyta, ale na pewno wielka katastrofa.

Pranie suszyło się na drugim piętrze, lecz Karol najwyraźniej pomylił się w obliczeniach, bo kobieta, która otworzyła mu drzwi, na pewno nie zarabiała na życie seksem. Miała ze sto lat, dwadzieścia kilo nadwagi, a jej płuca rzeziły przy każdym oddechu niczym zainfekowane gruźlicą.

— Czy tu mieszkają dziewczyny?

Rozkaszała się. Odskoczył, bo kaszel w dzisiejszych czasach wzbudzał



tyle respektu, co kiedyś trąd, a wtedy ona trzasnęła drzwiami. Tak mocno, że mało brakowało, a wypadłyby z futryny. Gdy przebrzmiał huk, w tle odezwała się taneczna muzyka. Karol skierował się do sąsiednich drzwi i wcisnął przycisk dzwonka, a potem — dla pewności, bo muzyka stała się głośniejsza — zapukał. Wcale nie interesowała go Olka Arbaszewska. Chciał się dowiedzieć, czy była tu jego babcia, a jeśli tak — czego szukała.

Dziewczyna, która otworzyła mu drzwi, również nie wyglądała na pracownicę seksualną, a w każdym razie nie na taką, której ktoś dałby napiwek. Miała zniszczoną twarz i obgryzione paznokcie, a włosy tak sklezione brudem, że przypominały dredy. Powiedziała coś w języku, którego nie rozpoznał, a potem zaczęła zamykać drzwi. Zaskoczony zrobił krok do przodu, blokując je stopą.

— Mam tylko dwa pytania — powiedział powoli, mając nadzieję, że go zrozumie. — Pierwsze, czy zna pani Olę.

Kobieta odsunęła się od drzwi niezainteresowana jakąkolwiek rozmową. Odniósł wrażenie, że musiała być pod wpływem czegoś paskudnego. Wzrok miała mętny, a ruchy budziły skojarzenie z kimś, kto właśnie dostał wylewu i lada chwila ma się przewrócić. Brakowało jej energii. I koordynacji.

— Sasza! — zawołała w głąb mieszkania, po czym usiadła na podłodze. Poły szlafroka, którym była okryta, rozchyliły się, ukazując posiniaczone nogi. Karol cofnął się o krok. Instynkt ostrzegał go, że rosyjscy alfonsi nie są wzorem dobrych manier, ale determinacja, którą czuł, nie pozwoliła mu uciec. I słusznie, bo Sasza — jak się okazało — była kobietą, a w zasadzie dziewczyną o delikatnej urodzie i miłym uśmiechu.

— Czy mogłabym w czymś pomóc, proszę pana? — zapytała, dygając przed nim niczym pensjonarka.

Karol natychmiast odzyskał rezon. Dziewczyna nie wymawiała „r”, ale

mimo tego defektu jej akcent nie pozostawiał wątpliwości.

— Pani jest Polką?

— Tak. Mam na imię Aleksandra, ale znajome mówią na mnie Sasza. Pan pewnie od...

Imię człowieka, o którego zapytała, kojarzyło się jednoznacznie. I nie tylko imię. Zapuszczona klatka schodowa też przywoływała wspomnienie ulubionego serialu Karola.

— Ferdka? — powtórzył z uśmiechem. — Ale chyba nie Ferdka Kiepskiego, co?

Uniosła brew, a potem, prawidłowo odczytując jego zdziwienie, uśmiechnęła się przepaszająco.

— Pan w innej sprawie, tak?

— Przyszedłem do pani imienniczki. Również do Oli, ale Arbaszewskiej.

W zachowaniu kobiety nastąpiła dyskretna zmiana. Kto inny nie zwróciłby na to uwagi, ale Karol był kobieciarzem, a ci zazwyczaj umieją rozpoznać babskie nastroje. Dostrzec moment, w którym uprzejmość staje się fałszywa.

— Nie znam. Zresztą tutaj nie mamy nazwisk. Tylko imiona. W tym lokalu nie mieszka druga Ola. Jestem jedyna... i wyjątkowa.

Jej usta się śmiały, ale oczy pozostały zimne i wyrachowane. Karol w pierwszej chwili wziął ją za prostytutkę, ładniejszą i mniej zniszczoną życiem wersję obcojęzycznej koleżanki, ale Sasza była kimś więcej. Sama myśl o hazardzie sprawiała, że robiło mu się niedobrze, ale jeśli już musiałyby stawiać, to postawiłyby na to, że pełniła w tym okrutnym często biznesie funkcję opiekunki. Kogoś nazywanego dawniej burdelmamą.

— Ja nie jestem tym, za kogo mnie pani uważa. Nie jestem klientem.

— To kim pan jest?

— Znajomym Oli. Z Warszawy.

— Zakochał się pan? — spytała z udawanym zainteresowaniem.

Osiągnął swój cel. Przez chwilę sprawiała wrażenie zaniepokojonej, ale teraz w jej oczach dostrzegał wyłącznie rozbawienie.

— Bynajmniej. Opiekowała się moją babcią, ale wygląda na to, że przez nieuwagę zabrała coś, na czym mi zależy.

Improwizował i wydawało się, że robi to skutecznie. Sasza łyknęła tę bajeczkę, na to przynajmniej wskazywały jej następne słowa:

— Na pewno nie przywiozła tego tutaj. Nikt taki tu u nas nie był. — Popatrzyła mu w oczy. — Ostatnio.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, a potem zaczęła zamykać drzwi. Karol przytrzymał je ręką.

— Moja babcia twierdzi, że ją tu odwiedzała, jakiś czas temu.

— Pana babcia musi już być staruszką, a staruszki miewają halucynacje.

To ostatnie nie zabrzmiało grzecznie. Trzasnęły drzwi, a Karol uświadomił sobie, że dziewczyna, którą nazywano Saszą, na sam koniec pokazała mu swoją prawdziwą twarz. Wcale nie była milutka. Była twardą babką, bo tylko takie mogły funkcjonować w środowisku przygranicznej prostytutki. Wcisnął dzwonek raz jeszcze, ale bez odzewu. Zerknął na wizjer i odniósł wrażenie, że jest uważnie obserwowany. Zapewne tak było. Wyszedł przed klatkę i odetchnął z ulgą. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że końcówka konfrontacji z Saszą kosztowała go mnóstwo nerwów. Otarł czoło i wtedy, zupełnie przypadkiem, zobaczył swój kolejny cel. Wymalowaną kobietę w lateksowej spódniczce, stojącą w cieniu bloku i palącą cienkiego papierosa.

W przeciwieństwie do wielu znajomych mężczyzn nie traktował prostytutek z wyższością. Ani z obrzydzeniem. Wciąż dobrze pamiętał moment swej inicjacji seksualnej. Mieszkanie kolegi przy Spiskiej, ciepłą wódkę i dwie kobiety w taksówce spod Marriotta. Widok jednej z nich,

kłęczącej przed kolegą, a potem te piękne chwile z jej koleżanką Anetą — o ile imię, którym się przedstawiła, było prawdziwe. Macanko w łazience, przy pralce. Wypięte pośladki i pragnienie, by to, co trwa, trwało w nieskończoność, aż wreszcie finał, po którym zatrzęsła się ziemia. Pierwszy raz z prostytutką... Brzmiało fatalnie, ale to był naprawdę cudowny wieczór.

Podszedł do kobiety akurat wtedy, gdy zgasła papierosa.

— Możemy chwilę pogadać?

Przesunęła po nim zmęczonym wzrokiem, a potem obojętnie skinęła głową. W jej dłoni zmaterializował się kolejny papieros.

— Chodź. — Złapała go za rękę i pociągnęła za ciąg garaży. — Mamy umowę — wyjaśniła. — Tutaj ma być spokój, ale to była słaba noc.

Było już południe, lecz widocznie dla niej noc nie trwała od świtu do zmierzchu, tylko była synonimem godzin pracy. Od razu poinformował, że nie jest zainteresowany szybkim numerkiem. Ani płatnym, ani... żadnym. Prychnęła i chciała iść, więc prędko zapytał o jej stawkę, a potem z bólem serca wyciągnął z portfela wszystkie banknoty.

— Tu jest trochę mniej, ale przynajmniej się nie spocisz. Znasz Olkę Arbaszewską?

Natychmiast chciała oddać mu pieniądze.

— Nie znam jej.

— Dobrze. Dobrze, przecież ci wierzę. — Karol uniósł ręce na znak, że się poddaje. Solidarność, którą zaprezentowała, kryjąc koleżankę po fachu, wystawiała jej jak najlepsze świadectwo. — Wcale nie chodzi mi o Olkę, tylko o taką staruszkę, która tu o nią pytała.

— Staruszkę? Ty jesteś zboczony? — Popatrzyła na niego z umiarkowanym obrzydzeniem, ale w tej sytuacji nie chodziło o jej

koleżankę, więc po chwili zastanowienia kiwnęła głową. — Była tu jedna taka. Nawiedzona. Przywiozła pieniądze. Ale nikt nie chciał z nią gadać.

— Pieniądze? Za co?

— Szefowa mówiła, że chciała spłacić dług. Za jedną z dziewczyn.

— Za Arbaszewską?

Popatrzyła na niego beznamiętnie.

— Dobra, nieważne za kogo. A dlaczego nie chcieli z nią gadać?

— Nie tylko nie chcieli gadać, ale nawet nie chcieli tej kasy. Szefowa była zdziwiona, bo przecież kasa nie śmierdzi, ale decyzja była taka, żeby nie brać.

— Czyja decyzja?

Zacisnęła wargi chyba zła, że wymusnęło jej się o jedno słowo za dużo.

— Muszę lecieć.

— Czekaj. Powiedz, kto podjął taką decyzję?

— Nie ma mowy.

— Ferdek?

Trafił w dziesiątkę. Za zabawnym imieniem z kultowego serialu, które w tym wypadku było zapewne ksywką, krył się człowiek trzęsący lokalnym biznesem płatnej miłości. Człowiek ten z jakichś powodów obawiał się babci — do tego stopnia, by nie brać od niej pieniędzy. Karol pokręcił głową. Babcia okazywała Oli, którą nazywała Oleńką, trudną do wytłumaczenia atencję. Dziewczyna była zwykłą kurewką, przekwalifikowaną na pomoc domową, a babcia dbała o jej sprawy bardziej niż o swoje. Nie tylko zapisała jej pieniądze, ale próbowała także uregulować zaciągnięte przez nią zobowiązania. Zadała sobie przy tym mnóstwo trudu, bo aby to zrobić, musiała przyjechać do Sejn. Z Warszawy było tu prawie czterysta kilometrów, a babcia miała ponad osiemdziesiąt lat i panicznie bała się covidu.

— Dobrze, to wszystko. Ucałuj ode mnie tego waszego Ferdka. Albo nie.  
— Roześmiał się, a potem sparafrazował ulubione powiedzenie bohatera *Świata według Kiepskich*. — Lepiej zasadź mu kopa w dupę.

Dziewczyna rozejrzała się na boki.

— Mam dla ciebie radę — szepnęła. — Gratis. Ty z niego nie kpij.

Przez połowę drogi do położonych na północ od Sejn Walasek Karol zastanawiał się, z czym skojarzył mu się ten wyraz twarzy. prostytutka, ostrzegając go przed Ferdkiem, wprost trzęsła się ze strachu. Olśniło go dopiero w momencie, gdy minął tabliczkę informującą o strefie nadgranicznej. Podobną minę miał radca prawny Adam Wiśniewski w momencie, gdy mówił o swoim mocodawcy. W Polsce, blisko czterdziestomilionowym kraju, było na pewno wielu bandziorów, ale częstotliwość, z jaką pojawiali się w tej sprawie — sprawie babci i jej spadku — była zastanawiająca.

Walaski okazały się zapomnianą wioską, ukrytą wśród pól i lasów. Kiedyś musiał tu działać PGR — pozostały po nim zrujnowane zabudowania gospodarcze i dziwny parterowy budynek, który budził skojarzenie z zamieszkaną przez ludzi oborą. Każdy z lokali miał osobne wejście, z gliniastego podwórza. I każdy wyglądał na skrajnie zaniedbany.

Karol zaparkował metr od budynku i jeszcze raz zerknął na mapę — tę samą, z której przed niespełna dwoma miesiącami korzystała jego babcia. Koło nazwy Walaski widniała kropka, naniesiona na mapę czerwonym tuszem. Babcia do samego końca miała nauczycielskie nawyki. Używała czerwonego długopisu i wszystko metodycznie oznaczała. Podobne czerwone kropki widniały przy Sejnach i jeszcze w jednym miejscu. Przy nadgranicznej miejscowości Lipiany, w której znajdował się katolicki sierociniec — ten, w którym przebywała niegdyś Arbaszewska. Oprócz

nauczycielskich nawyków babcia miała jedną przywarę, także kojarzącą się z zawodem pedagoga, głównie za sprawą Kornela Makuszyńskiego, który na kartach *Szatana z siódmej klasy* wykreował postać profesora Gąsowskiego. Babcia, podobnie jak profesor, bywała roztargniona. Mapę, która leżała teraz obok niego, w hondzie, znalazł pod łóżkiem, w miejscu, w którym ją zostawiła.

Wysiadł z auta i zapukał do pierwszych drzwi. Nie miał pamięci do nazwisk, ale akurat to z oczywistych względów zapamiętał.

— Czy zastałem panią Kowalską? — zapytał, gdy w drzwiach pojawiła się kobiecina w chustce.

Antonina Kowalska. Tak nazywała się matka Olki Arbaszewskiej. A to, o ile dobrze zapamiętał, był jej adres.

— Jest tu, za ścianą. — Kobieta, dla podkreślenia wagi swych słów, klepnęła ceglaną przegrodę między lokalami. — Pan do niej? A po co?

— Z wizytą — odpowiedział, kręcąc głową na jej wścibstwo.

Odwrócił się plecami, ale nie dała za wygraną.

— Kim pan jest? Chwileczkę. Drzwi są zamknięte. Pan poczeka.

Karol nacisnął klamkę, ale sąsiadka Kowalskiej miała rację. Drzwi nie ustąpiły. Przeszując z nogi na nogę, czekał, aż kobieta pojawi się znowu, podzwaniając pękiem kluczy.

— Mam do pani Kowalskiej sprawę — poinformował, a potem dodał z naciskiem: — Prywatną.

Kobieta spojrzała na niego z jeszcze większą ciekawością. Gdy dotarło do niej, że niczego więcej się nie dowie, skrzywiła się obłudnie.

— Mnie to nie interesuje. I tak mam z nią krzyż pański. Teraz to muszę ją nawet zamykać.

— Dlaczego?

Z wysiłkiem przekręciła klucz. Zamek zgrzytnął tak, jakby zżerała go

korozja. I pewnie tak było.

— Bo inaczej by uciekła.

Słowa sąsiadki nie pozostawiały pola do spekulacji, ale Karol wolał się upewnić. Wszedł do niewielkiej izby i zmarszczył nos, bo przy unoszącym się tu fetorze bladł nawet smród rozkładającego się kota z Sejn. Na wąskim łóżku leżała staruszka. Chociaż w pomieszczeniu było bardzo ciepło, trzęsła się pod kocem, a jej spojrzenie było nieprzytomne.

— Ileż ja z nią mam kłopotu.

— Demencja?

— Całkowita. Od lat, ale do niedawna umiała przynajmniej zrobić przy sobie. A teraz wszystko na mojej głowie. Trzeba ją do domu opieki, ale mówią, że miejsc nie ma.

— A córka?

Kobiecina powiedziała tylko jedno słowo, które w ogóle nie pasowało do jej wyglądu wiejskiej baby.

— Nie interesuje się nią? — spytał domyślnie.

— Nigdy. To zły dzieciak.

Ten „dzieciak” dobijał teraz czterdziestki, ale Karol nie zamierzał prostować.

— Z tego, co wiem, jest jeszcze ojciec dziecka.

— Stary Arbaszewski? Ten pijaczyna? On sam potrzebuje pomocy. Przez całe życie dał Kowalskiej tylko dwie rzeczy. Najpierw bachora, a potem nazwisko dla bachora.

Karol wykreślił w myślach ojca Olki ze swojej zaimprovizowanej naprędce listy świadków. Informatorów należało poszukać gdzie indziej. Być może nie trzeba było ich szukać daleko.

— Czy pani rozmawiała może z taką starszą panią, która...

— Która pytała o Kowalską i jej córkę? — Babina dokończyła, a potem



pokiwała głową. Karol otworzył usta, ale zanim zdążył się odezwać, niespodziewanie zniknęła we wnętrzu swojego mieszkania, by wrócić po chwili w towarzystwie przygarbionego mężczyzny z wianuszkami siwych włosów wokół spalonej słońcem łysiny. — Kaziu, opowiedz o tej pani, która przyjechała do Kowalskiej.

— O kim?

— O tej, no wiesz... Co przyjechała tu taksówką.

Kaziu, czyli chyba mąż babiny, nie zaliczał się do ludzi o bystrym umyśle, ale kiedy wreszcie zrozumiał, czego od niego chcą, posłusznie zaczął mówić:

— Wpuściłem ją do Kowalskiej, ale ona jest taka... nie bardzo. No i wtedy ta pani spytała, czy dobrze ją znam.

— Kaziu. Do rzeczy!

Mężczyzna włożył rękę pod koszulkę i podrapał się po zarośniętej piersi.

— Spytała, czy Olka, jej córka, była... No, tego...

— Adoptowana, Kaziu.

— No właśnie. Adoptowana. Gdy powiedziałem, że nie, po prostu wsiadła do taksówki i pojechała. I to wszystko.

Karol nie był szczególnie zaskoczony pytaniem babci. Kolejnym punktem jego wyprawy był przecież sierociniec. Sierociniec, który odwiedzała regularnie od kilku lat. Adopcja i sierociniec — te słowa często występowały w parze. Nie zgadzało się tylko jedno. Według bazy PESEL Ola była biologicznym dzieckiem Arbaszewskiego i Kowalskiej, a jej pobyt w Lipianach był tymczasowy. Była w sierocińcu, ale nie była sierotą.

Tylko czy na pewno? Czy informacjom z bazy PESEL zawsze należało ufać?

— Jest pan pewien, że Ola nie była adoptowana?

Zamiast Kazia odpowiedzi udzieliła jego małżonka:

— Kowalska chodziła z brzuchem. Była panienką, więc ludzie wytykali ją palcami.

— A może... — Karol zmusił się do myślenia. — Może to dziecko, które miała w brzuchu, nie przeżyło. A ona postanowiła adoptować inne, by ukoić ból. Takie historie się zdarzają.

— Chyba w filmach. A tu są Walaski, a nie Hollywood. — Wymówiła tę nazwę tak, jak się ją pisze: z „w” i podwójnym „o”. — Kowalska rodziła córkę u siebie, w chałupie. — Klepnęła w ścianę. — A ja nosiłam jej wodę, a po wszystkim bujałam Olkę na rękach. Oddała ją do tego sierocińca, bo musiała, ale przez te lata wciąż tam jeździła. Kiedyś nawet ją tam wiozłeś furą, nie?

— A bo to raz? — potwierdził mężczyzna zwany Kaziem.

— No właśnie. Potem, gdy się jej poprawiło, ściągnęła małą do siebie. A ta mała, jak tylko podrosła, zwyzywała ją i okradła, a potem uciekła do ojca. To się musiało tak skończyć, jak się skończyło. Więzienie, kurewstwo... Wstyd na całą wieś.

— Jest pani absolutnie pewna, że to było to samo dziecko, które oddała?

Kobieta spojrzała na Karola, jakby był z Marsa. Nieoczekiwanie jego wątpliwości rozwiązał pan Kazio.

— Myszka — powiedział, drapiąc się tym razem po pośladku. — Mała miała myszkę.

— Takie znamię? Gdzie?

— Na dupie. No... może trochę niżej. Jak wróciła, myszka wciąż była tam, gdzie przedtem.

— Hej, stary! A ty skąd wiesz, co to kurwiszcze miało na dupie?!

Kobiecina uniosła ścierkę, a pan Kazio szybko cofnął się do wnętrza. W innych okolicznościach Karol nie odpuściłby takiej sceny, ale teraz obrócił się na pięcie.

O co chodziło z tym sierocińcem? Ten wątek stawał się coraz bardziej zagmatwany.

Sunący drogą radiowóz był dla Karola niczym zmora rodem z sennego koszmaru. Chwycił mocniej kierownicę i spojrzął na licznik, a potem jeszcze bardziej zredukował prędkość. Nie wiedział, czy policja rozmawiała z Laurą, a jeśli tak, to czy przedmiotem tej rozmowy był także samochód, który mu pożyczyła, mimo to zrobiło mu się gorąco. Dał się wyprzedzić, a po szyi spłynęła mu kropla potu. Na szczęście radiowóz skręcił w polną drogę i niemal od razu zniknął mu z oczu, chowając się za linią równo posadzonych modrzewi.

Karol dojechał do zakrętu i się zatrzymał. Przygody takie jak ta rujnowały mu nerwy. Wcześniej, gdy mijał pojazd straży granicznej, też dostał palpacji. Na szczęście zielony drogowskaz, częściowo zatopiony w bujnej roślinności, uzmysłowił mu, że stres związany z podróżą po drogach publicznych dobiegał końca. Przynajmniej na razie. Przez chwilę gapił się na nazwę Lipiany i umieszczoną przy niej dwójkę, a potem wziął się w garść i wrzucił bieg. Koła sportowej hondy — jeszcze przed półgodziną lśniące malinowym lakierem, a teraz brudnej w kolorze ziemi — potoczyły się po nierównej nawierzchni, wzbijając kolejne tumany kurzu.

Lipiany były położone tak blisko granicy, że z miejsca, w którym się zatrzymał, widać było słupki — białoczerwone, czyli polskie, i czerwonozielone, rosyjskie. Gdzieś nieopodal musiał być tak zwany trójstyk granic pomiędzy Polską, obwodem kaliningradzkim i Litwą, ale Karol nie był tu na wycieczce krajoznawczej. Jedyne, co go interesowało, to sierociniec. I przyczyna, dla której odwiedzała go babcia. I to nie raz czy dwa, tylko — jak wyznała Hanka — regularnie.

Budynek sierocińca wznosił się w szczerym polu. O jego kościelnym charakterze świadczył jedynie prosty krzyż przy bramie. Nie było tu widać kościoła ani nawet niewielkiej kaplicy. Miejsce przypominało szkołę, o tyle dziwną, że wybudowaną na kompletnym odludziu.

Obok sierocińca rozciągał się teren, na którym krzyży było znacznie więcej. Cmentarz.

Karol, którego bliskie spotkanie ze stróżami prawa wydrenowało z pewności siebie, przez dłuższą chwilę wahał się, co robić. Liczył na ludzi, których można by pociągnąć za język, ale na tym odludziu łatwiej było o wilka niż człowieka. Najlepszym źródłem informacji byłyby zakonnice, ale niestety w czarnym kolorze widział tu jedynie stadko wypoczywających na świeżo wykoszonej łące gawronów. Gdy podszedł do bramy, zobaczył, że dostępu na teren sierocińca nie broni żadna kłódka. Pchnął skrzydło bramy — niechętnie, bo miejsce budziło w nim instynktowny lęk — może dlatego, że wyglądało na opuszczone. Wszedł do środka i ruszył przez plac zabaw, czując się jak w nawiedzonym wesołym miasteczku. Stara huśtawka skrzypnęła, a ze zjeżdżalni poderwał się drapieżny ptak. A potem rozległo się szczekanie.

— Cholera.

Karol zastygł w bezruchu. Zawsze czuł respekt przed psami. Nad ranem, gdy z mroku wyłonił się czarny jak smoła labrador Hanki, o mało nie zszedł na serce. Ten pies też był duży, ale nie aż tak. Podbiegł do Karola, a potem nieoczekiwanie położył się na plecach, odsłaniając jasny brzuch. Był zupełnie niegroźny i chciał się bawić.

— Pius, do nogi!

Nie spodziewał się, że pies strzegący kościelnej placówki otrzyma imię po papieżach. I słusznie, bo chwilę później zdał sobie sprawę, że się przesłyszał. Pies nie wabił się Pius, tylko Plus. Zbliżający się do nich

chłopak wypowiedział to imię tyle razy, że Karol był pewien, iż go już nie zapomni.

— Plus, zostaw pana. Nie liź. Hej!

Chłopak miał najwyżej dwadzieścia lat. Szedł powoli, bo szybsze tempo uniemożliwiała jego niepełnosprawność. W rękach trzymał kule, a nogi wisiały na wpół bezwładnie, zbyt szczupłe, by utrzymać ciężar reszty ciała.

— Plus, siadaj. Piesku, przecież mówię, spokój!

Karol pogłaskał pieszczoła za uchem, a potem wyszedł chłopakowi na spotkanie. Oprócz ich trzech na wielkim terenie nie było żywej duszy. Przez głowę przemknęła mu myśl, że się pomylił: obiekt nie był domem dziecka, tylko pozostałością po kolejnym PGR-ze, strzeżonym przez tę dziwną parę — człowieka i jego czworonożnego przyjaciela — w nie wiadomo jakim celu. Jego wątpliwości rozwiały po chwili słowa chłopaka — pierwsze, które skierował nie do psa, tylko do niezapowiedzianego gościa.

— Pojechali na wycieczkę do Świętej Lipki. Wszyscy. Zostałem tylko ja. Karol podał mu rękę. W swojej sytuacji potrzebował przyjaciół.

— Pracujesz tutaj?

— Jestem stróżem. I kocham to miejsce. To mój dom. Mieszkam tu od samego początku.

— To znaczy od kiedy?

— Jestem milenialem. Dosłownie. Urodziłem się w Nowy Rok, w dwa tysiące pierwszym. To znaczy... Wtedy mnie znaleźli. W koszu na śmieci, na dworcu w Suwałkach.

Mówił o tym tak pogodnie, jakby dzielił się miłym wspomnieniem. Na szczęście znał tę historię tylko z opowieści. Skończyła się szczęśliwie, chociaż... czy do końca? Karol spojrzał na nogi chłopaka, ale nie odważył się zapytać, dlaczego są bezwładne.

— Czyli są małe szanse, byś poznał kogoś, kto przebywał tu przez kilka

lat w latach osiemdziesiątych?

Chłopak spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Lata osiemdziesiąte? To kogo pan chce odnaleźć? Siostrę czy brata?

— Muszę od razu kogoś szukać?

— Inni tu do nas nie przychodzą. Tu nie ma co zwiedzać. Ani czego oglądać, ale niech pan nic nie mówi. Ja wiem, że to nie są łatwe sprawy. Napatrzyłem się na takie historie. I wie pan co? Czasem lepiej nie szukać.

Karol odruchowo przyznał mu rację. Jest takie powiedzenie, że z rodziną wychodzi się dobrze tylko na zdjęciu. On nie miał akurat na co narzekać, ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że taka siostra jak Laura nie trafiała się każdemu. Miał szczęście.

— Jeśli chciałbym kogoś znaleźć, to do kogo mam się zwrócić?

Chłopak miał dziwny wyraz twarzy. Tak, jakby mu współczuł.

— Najlepiej do Pana Boga. Chociaż nie. W latach osiemdziesiątych nie był tu szefem. Rządziło państwo polskie.

— Słucham?

— Sierociniec był wtedy państwowy. Do sióstr wrócił dopiero po przemianach. Zapewne na początku lat dziewięćdziesiątych.

Karol przypomniał sobie, że taki sam los był udziałem poprawczaka przy Świętym Jakubie. On też został zsekularyzowany, a pod skrzydła Kościoła wrócił wraz z upadkiem komunizmu.

— Skoro nie Pan Bóg, to może jakieś archiwum?

Zmarszczka na czole chłopaka jeszcze się pogłębiła.

— Niestety. Całe archiwum spłonęło w pożarze w dwa tysiące piątym. Pamiętam ten pożar. Spaliło się całe piętro. Na szczęście nikt nie zginął. Tylko dokumenty.

— Tylko? — spytał z przekąsem Karol.

— Zakonnice najpierw ratowały dzieci. Na dokumenty zabrakło czasu.

Karol przez chwilę przyglądał się budynkowi. Ostatnie piętro — czyli drugie — różniło się od reszty budynku względnie zwartym tynkiem. Na parterze i pierwszym piętrze odpadał całymi płacami, a tam wciąż się trzymał. Odkrycie, że po pożarze odnowiono tylko fragment zabudowań, było przygnębiające.

— To biedne miejsce — stwierdził chłopak, jakby czytając mu w myślach. — Ale to nie znaczy, że złe. Dzieci otrzymują tu dużo miłości. To ważniejsze niż stan murów.

— O ile nie zawała się na głowę — mruknął Karol, a kaleki chłopak wybuchnął śmiechem. Równocześnie rozległo się też radosne szczekanie. — Czy ludzie chętnie tu wracają?

Chłopak popatrzył na Karola niczym noblista poproszony o poprowadzenie wykładu w przedszkolu.

— Nie mamy tu zjazdów absolwentów, jeśli o to pan pyta. Ja kocham to miejsce, ale jestem wyjątkiem. Większość wychowanków nigdy tu nie wraca.

— Mimo tej całej miłości?

Pytanie było podszyte ironią, ale chłopak potraktował je serio.

— Bywa, że wychowankowie wspierają to miejsce. Przelewają pieniądze, kupują podręczniki, fundują stypendia. Ale najczęściej robią to z daleka, bo powrót, nawet na chwilę, wiąże się ze zbyt wieloma bolesnymi wspomnieniami. Nikt nie lubi być sierotą, jeśli pan wie, co mam na myśli.

— Niestety... — Karol za późno ugryzł się w język, ale od razu poprawił: — Na szczęście nie.

— Na naszej stronie internetowej jest lista darczyńców, ale znajduje się na niej tylko kilka nazwisk. Przeważnie wolą pomagać anonimowo. Wstydzą się.

— Wstydzą? A czego?

— Tego, że byli niekochani. Bo większość wychowanków to wcale nie sieroty. Ich rodzice żyją... lub żyli, tylko ich nie chcieli. Wyrzucili dzieci na śmietnik. W przenośni, a czasem dosłownie.

Karol żałował, że nie ma tu Laury. Był niemal pewien, że w tej chwili właśnie zalałyby się łzami. Jemu też zrobiło się żal chłopaka i jemu podobnych, ale nie stracił z oczu celu, dla którego tu przyjechał.

— Masz telefon? Chętnie przyjrzałbym się tej waszej stronie internetowej.

Chłopak dysponował tylko przedpotopowym gratem, który nie miał dostępu do sieci. Ale oprócz telefonu miał też dobre serce. A może po prostu bardzo się nudził? Chwilę później zostawili psa przed wejściem, a sami znaleźli się w głównym budynku. Sala komputerowa znajdowała się na parterze. Aby się do niej dostać, należało minąć kilka otwartych pokoi. Karol zajrzał do jednego z nich i utwierdził się w przekonaniu, że instytucja jest biedna. Bardzo biedna. Ale oprócz tej biedy w oczy rzucało się coś jeszcze. Czystość. Nigdzie nie dostrzegł kurzu ani nawet fragmentu pajęczyny.

Ale i tak nie chciałby tu spędzić nawet jednego dnia.

Strona sierocińca była mało okazała, lecz przyjazna w obsłudze. Niepełnosprawny chłopak był jednym z jej twórców i głównym administratorem. Jego obowiązki nie ograniczały się, jak widać, do stróżowania. Na prośbę Karola wyświetlił listę darczyńców, a kiedy ten pokręcił głową, zaproponował inne rozwiązanie.

— Mamy tu forum, na którym udzielają się wychowankowie, także ci, którzy już stąd odeszli. Jakby zdecydował się pan podać nazwisko, moglibyśmy spróbować je wyszukać.

— Arbaszewska. I drugie — Kalinowska.

Chłopak nie okazał zdziwienia, że nazwisk było więcej niż jedno.



Wklepał je do komputera, ale wyniki wyszukiwania okazały się niezadowalające.

— Nie wiem, jak mógłbym jeszcze pomóc.

— Może pamiętasz starszą panią, która przyjeżdżała tu co roku, zawsze w sierpniu. W tym roku też była, ale w maju. Krystyna Kalinowska.

Chłopak rozłożył bezradnie ręce.

— Mamy wielu gości. I nie prowadzimy rejestru wizyt.

— Mówiłeś przed chwilą, że wychowankowie rzadko tu wracają.

— Bo to prawda. Ale odwiedzają nas inni. Ludzie dobrej woli. A poza tym mamy tu rozbudowany program adopcyjny. I fundację, która stara się zapewnić dzieciom kontakt ze światem. Organizuje wizyty znanych ludzi. Ciągle coś się tu dzieje.

Karol wyjrzał przez okno. Aż po horyzont widać było tylko łąki i pola. Hektary łąk i pól.

— Trudno w to uwierzyć.

Chłopak uderzył się w pierś.

— Mamy tu naprawdę duży ruch, niemal każdego dnia. Akurat dziś jest inaczej, ale to naprawdę wyjątkowa sytuacja.

— Osiemdziesięcioletnia kobieta, która przyjeżdżała tu taksówką.

Liczył na to, że wzmianka o taksówce otworzy w mózgu chłopaka właściwą przegródkę, ale nic z tego. Chłopak bardzo się starał, wręcz wychodził z siebie, lecz wciąż tkwili w miejscu. Także po tym, jak Karol otworzył portfel i pokazał mu zdjęcie babci.

— Przykro mi. Nie kojarzę jej. Jest pan pewny, że przyjeżdżała do nas?

Karol uniósł brwi.

— A po co miałyby przyjeżdżać do Lipian?

Odpowiedź dała mu do myślenia.

— Ludzie odwiedzają u nas dwa miejsca. Sierociniec i cmentarz. Może

ta pani przyjeżdżała tu na cmentarz? Na przykład... w rocznicę czyjejś śmierci?

Dziwny to był cmentarz. Dziwny i przerażający. Karol nigdy nie był w takim miejscu. Nagrobki były identyczne — kwadratowe płyty z lastryko o wymiarach metr na metr, a nad nimi proste metalowe krzyże. Wszystko to wśród powykręcanych ze starości wierzb.

Ciszy, która tu panowała, nie mącił nawet najśłabszy szelest. Gałęzie wierzb zwisały bez żadnego ruchu, tak jakby odlano je z brązu. Na jednej z nich przysiadł kruk. Przypatrywał się Karolowi, bezgłośnie otwierając i zamykając dziób. Jego spojrzenie było przenikliwe. Zdawało się pytać: czego tu szukasz?

Karol nie umiałby odpowiedzieć na to pytanie. Przesuwał wzrokiem po identycznych nagrobkach, czując, jak ramiona pokrywa mu gęsia skórka. Cmentarz przypominał nekropolię ofiar epidemii, ale przeczyły temu wyryte na płytach daty zgonu. Najstarsze pochodziły z lat czterdziestych, a najnowsze — dziewięćdziesiątych. Rozpiętość czasowa wynosiła niemal pół wieku. Żadna epidemia nie trwała tak długo. Jednak to nie daty sprawiały, że miał ochotę uciec i nigdy tu nie wracać. Przerażające były imiona pochowanych. Niemal wszystkie zapisano w formie zdrobniałej. Marysia, Bartuś, Adaś... A nawet jeden Karolek.

Na cmentarzysku pochowane były dzieci.

Przewodnikiem na tym ponurym spacerze był niepełnosprawny wychowanek sierocińca. Przedstawił się imieniem Marek — imię to nadały mu siostry po tym, jak tu trafił. Gdyby nie jego milcząca obecność, Karol już dawno by zawrócił. Ale nie wypadało — posuwał się zatem krok za krokiem, dostosowując prędkość do ograniczonych możliwości towarzysza.

— I nikt się tym nie zainteresował? — spytał, gdy wreszcie udało mu się

odzyskać głos. — Nigdy? Przecież to temat na pierwsze strony gazet.

— Pisali o tym cmentarzu w „Echu Suwałk”. Ale tylko w jednym numerze, dawno temu. Widocznie się nie sprzedał, bo nigdy do tego nie wrócili.

— Przecież to jest... — Karolowi zabrakło słowa. — Ile jest tych grobów?

— Dziecięcych koło dwustu. Dalej, w stronę lasu leży też kilkunastu dorosłych. Głównie zmarłych zakonnic.

Karol, chociaż nie był religijny, miał ochotę się przeżegnać.

— Niczym kaci obok swoich ofiar.

— Mówiąc o katach, ma pan na myśli nasze zakonnice? Jest pan w błędzie, że się tak wyrażę, logicznym. Prawie wszystkie groby dzieci pochodzą z czasów, gdy sierocińcem administrowało państwo.

— Chcesz powiedzieć, że te wszystkie dzieci zabiło państwo? — Karol zatrzymał się i potoczył wzrokiem po nagrobkach. Niewielkie rozmiary krzyży wykluczały porównanie z lasem. To był raczej zagajnik. Zagajnik krzyży. — Dlaczego tych grobów jest tak dużo?

Marek również się zatrzymał. Oparł jedną z kul o pień samotnej wierzby i otarł czoło. To, co Karolowi kojarzyło się ze spacerem, dla niego było mozolną wyprawą.

— Dwieście grobów przez pięćdziesiąt lat. Czyli cztery śmierci rocznie. To chyba nie aż tak dużo.

Karol zachłysnął się śliną.

— Dwie setki zmarłych dzieciaków to cholernie dużo — stwierdził po chwili, nie wierząc, że rozmawiają o tym tak spokojnie.

— To zależy od kontekstu. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że duży procent podrzutek to dzieci trapiące różnymi chorobami i schorzeniami, to te dwieście zgonów wcale nie jest niczym niezwykłym. Zwłaszcza że

kilkadziesiąt lat temu nie było hospicjów. Dzieci chorowały i umierały. Z powodu nowotworów, wodogłowia, wad serca... Nie tylko w sierocińcach. Śmiertelność niemowląt była znacznie wyższa niż obecnie.

— Ale dwieście dzieciaków... To nie mieści się w głowie!

Chłopak niespodziewanie się zaśmiał. Zza cmentarnego płotka zawtórowało mu pogodne szczeknięcie.

— Niech się pan nie gniewa za to porównanie, ale przypomniał mi pan siostrę Łucję, jedną ze starszych zakonnicek. Jej metody wychowawcze określiłbym jako niedzisiejsze, a może nawet naganne, ale na szczęście nikt nie traktuje jej poważnie. Otóż siostra Łucja ma w zwyczaju opowiadać dzieciom, że przed laty w sierocińcu niegrzeczne dzieci po prostu znikają. Porywała je czarna ręka z długimi pazurami.

— Czyli diabeł, tak? To zsakralizowana wersja opowieści o czarnej wółdze...

— Raczej lokalna legenda.

— Legenda? Mówi się, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy.

— Tyle że dzieci nie znikają. Umierały i chowano je w ziemi. Widziałem kości.

— Co widziałeś?

— Kości. Czy zwrócił pan uwagę na to, że wszystkie groby są identyczne?

Karol prychnął.

— Trudno tego nie zauważyć. Identyczne i względnie nowe.

— Ten cmentarz ma kilkanaście lat. Wcześniej dzieci chowano tam, w tamtych krzakach. — Wskazał za ogrodzenie, na grupkę kilku wątłych drzew rosnących w centralnym punkcie ogromnej łąki. — Mogiły były zaniedbane, w błocie, tabliczki nagrobne zardzewiały... No i nie było

krzyży. Siostry zdecydowały o przeniesieniu zwłok w jedno miejsce. Odbyła się ekshumacja.

— Tak przy was? Przy dzieciach?

— Teoretycznie nie, ale pewnie się pan domyśla, jak to było. Dzieci to dzieci. — Powiedział to tonem chwiejącego się nad grobem starca, chociaż dopiero niedawno zaczął się golić. — Już przedtem zakradaliśmy się wieczorami na tamten cmentarz. Tam było niesamowicie. — Pokręcił głową na wspomnienie dziecięcych wybryków. — Gdy ekshumowano te dziecięce szczątki, też tam bywaliśmy. Wieczorem, nocą. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Dziesiątki równych stosików. Białych jak kreda.

Karol nie był pewien, czy chce słuchać dalej. I bez tego miewał koszmary, ale chłopak postanowił zapewnić mu nowe.

— Pewnej nocy obok jednego z takich stosików złapała nas siostra Łucja. I jak to ona, postraszyła nas ogniem piekielnym. — Oblizwał wargi. Mimo upływu lat reprimenda zakonnicy wciąż wzbudzała w nim niepokój. — Wzięła jedną z kości i powiedziała, że przez nas zmarłe dziecko zmieniło się w świnie.

— Psychopatka.

Chłopak dyskretnie się rozejrzył.

— To poczciwa kobieta, ale w tej sytuacji... Nie zaprzeczę. Chociaż, z drugiej strony, słowa odniosły skutek. Już nigdy się tam nie zapuszczaliśmy.

Ruszyli dalej. Karol wyrzucił z głowy obraz, który podsuwała mu wyobraźnia. Gdy świnki z twarzami niemowląt znikły, znów skoncentrował się na wyrytych w lastryko znakach. Mniejszą uwagę zwracał na imiona i nazwiska, a większą — na daty śmierci. Szukał dzieci, które zmarły w sierpniu, ale narastało w nim poczucie, że to daremne.

— Dlaczego w tylu przypadkach nie ma daty, tylko sam rok?

— To było już po pożarze w archiwum. Siostry przepisywały daty ze starych tabliczek, a te z pewnością były nieczytelne. Czasami nie dało się odczytać nawet nazwiska. O, na przykład tutaj.

Na grobie, na który wskazywał, nazwisko zapisane było w sposób alternatywny. Julianek Michalski vel Michalak. W następnym rzędzie w ogóle nie udało się go odczytać. Edytka NN. Doszli do ogrodzenia i ruszyli z powrotem, skrajną alejką. Minęli kilka większych grobów, w których pochowano zmarłe zakonnice, a potem znów znaleźli się wśród dziecięcych.

— Znów Karolek.

— Słucham?

— Nieważne — uciął Karol, zezując na płytę, pod którą pochowano jego imiennika. Wyznanie, które usłyszał, było tak dziwaczne, że wolał się upewnić, czy dobrze zrozumiał chłopaka. — Mógłbyś powtórzyć?

— Gdy przyjdzie mój czas, chciałbym tu leżeć, razem z nimi.

— Myślisz o śmierci?

Chłopak uciekł spojrzeniem.

— Każdy o niej myśli.

W pierwszej chwili Karol posądził go o zaburzenia psychiczne. Popatrzył na niego z troską, bo chłopak był sympatyczny i pomocny, ale im dłużej patrzył, tym większe miał wątpliwości. Chłopak nie wyglądał zdrowo, i to nie tylko z powodu kalectwa. Twarz miał bladą, a ciało tak żylaste, że ubranie wisiało na nim jak na wieszaku. Czy gdyby nie toczyła go choroba, siostry pozwoliłyby mu zostać w sierocińcu — po tym, jak osiągnął pełnoletniość? Wizyta na tym cmentarzu była przygnębiająca i nie chodziło wyłącznie o zmarłych, ale także — a może przede wszystkim — o żywych.

Na każdym grobie stał pojedynczy, wygasły znicz. Oprócz tego wyrazu pamięci, zorganizowanego zapewne przez zakonnice i wychowanków,

większość nagrobków była pusta. Tylko gdzieniegdzie można było dostrzec suche kwiaty albo dodatkowe znicze. Grób, przed którym zatrzymał się Karol, również był pozbawiony tych dodatkowych ozdób, ale w pokrywającym go kurzu widać było okrągłe ślady, a pociemniałe lastryko było miejscami jaśniejsze — tam, gdzie kiedyś stały donice i lampki.

Ślady wskazywały na to, że grób miał kiedyś swojego opiekuna, ale Karol na razie o tym nie myślał. Nie analizował. Wpatrywał się w tablicę, zastanawiając się, czy to nie zbieżność nazwisk.

— Och, znalazł pan. To ja poczekam na zewnątrz.

Marek poprawił uścisk na kulach i skierował się w stronę cmentarnej furtki, ale Karol tego nie odnotował. Wpatrywał się w znajome nazwisko i towarzyszące mu dziwaczne imię.

Jeżeli napis na płycie nie kłamał, to kilkadziesiąt centymetrów od niego spoczywały szczątki Petronelki Kalinowskiej.

W drodze powrotnej również minął się z radiowozem, ale tym razem prawie go to nie obeszło. Na grobie nie było dokładnej daty, jedynie miesiąc i rok. Petronelka Kalinowska zmarła w marcu osiemdziesiątego szóstego roku. Obliczył, że babcia Kryśka miała wtedy czterdzieści sześć lat.

Czyżby Petronelka była jej córeczką?

Biologicznie było to możliwe, ale kompletnie nie trzymało się kupy. Karol nie był w stanie uwierzyć, że babcia przez dziewięć miesięcy była w ciąży i nikt tego nie zauważył. Przecież mama i wujek Jarek byli już dorośli. Mama studiowała filologię, na której poznała tatę, a wujek był wtedy pracownikiem banku. Nie uwierzyliby przecież, że ich matka tak nagle przytyła.

Ale jak wytłumaczyć, że właśnie wtedy, w połowie lat osiemdziesiątych,

babcia wykupiła miejsce na Powązkach i postawiła na nim dziecięcy grób? Czy grób miał charakter symboliczny? Czy babcia dekorowała go kwiatami właśnie z myślą o zmarłej córeczce, a tu, do Lipian, przyjeżdżała tylko raz w roku? Po to, by odwiedzić także realny grób, a nie tylko jego pusty substytut?

Pytań było wiele, ale teorię o wymazanej z rodzinnych wspomnień córeczce psuł ten brzuch, którego nie można było wciągnąć. Karol zabębnił palcami po kierownicy i nagle zdał sobie sprawę, że problemu brzucha nie należało przeceniać. Petronelka wcale nie musiała umrzeć jako noworodek.

Mogła być starsza.

W takiej konfiguracji elementy układanki pasowały do siebie dużo lepiej. Babcia mogła oddać dziewczynkę do sierocińca znacznie wcześniej, nawet kilkanaście lat wcześniej. Może Petronelka była niepełnosprawna, a dziadek nie chciał w domu takiego dziecka? To tłumaczyłoby niechęć, którą do niego czuła, ale... Hipotezy można było mnożyć, a ta najbardziej prawdopodobna wciąż brzmiała tak samo.

To, w czym doszukiwał się drugiego i trzeciego dna, było zwyczajną zbieżnością nazwisk. Kalinowskich było przecież jak psów.

Sformułował w głowie to nieeleganckie porównanie, a chwilę później gwałtownie zahamował, aby nie rozjechać właśnie psa — labradora Hanki. Zatrąbił i przez kilkadziesiąt metrów jechał obok uradowanego zwierzaka, a potem skręcił w bramę. Miejsce, z którego wyjechał, było zajęte. Stała tam wypożyczona toyota. Zastawił ją i wparował do wnętrza budynku. W salonie natknął się na niespodziewanych gości.

— Gdzie jest mama? — wypalił, ale po sekundzie się zreflektował i, jak na dyplomatę przystało, ukrył swoje wzburzenie pod płaszczkiem uprzejmości.

Uklonił się przed Amelią, a potem kordialnie przywitał jej małżonka,



Dominika Celmera. Ten, odwzajemniwszy jego uścisk, odsunął go na odległość wyprostowanych ramion.

— Karolku, czyś ty zwariował?

Karol nie był zaskoczony. Matka nie umiała dochowywać sekretów. Prosił co prawda Marcela, żeby nic jej nie mówił, ale ojczym — ze zrozumiałych względów — odmówił. Nie chciał mieć tajemnic przed swoją żoną i w efekcie o problemach Karola z wymiarem sprawiedliwości wiedziała teraz cała okolica.

— Nie zwariowałem. Po prostu nie miałem ochoty spędzić tej nocy na dołku.

— Ale teraz szuka cię cały kraj.

— Co ty mówisz? — zaniepokoił się Karol. — Mówili o mnie w telewizji? W radiu?

Na szczęście prawda była znacznie mniej dramatyczna. Wizerunek Karola pojawił się tylko na stronie komendy głównej, w zakładce „poszukiwani”. Pod jego zdjęciem paszportowym umieszczono krótki opis, z którego tak naprawdę niewiele wynikało. Podstawą prawną poszukiwań był artykuł sto czterdziesty ósmy kodeksu karnego, czyli zabójstwo, a policja ostrzegała, że może być niebezpieczny — co w gruncie rzeczy nie powinno dziwić. Każdy zabójca jest niebezpieczny. Jednostką, która koordynowała poszukiwania, była komenda stołeczna. Jeszcze niżej znajdował się rysopis. Karol dowiedział się z niego, że ma „prostolinijny nos” i „podbródek z dołkiem”.

— Robię się sławny. — Oddał telefon Celmerowi, po czym tknięty nagłym niepokojem przygryzł wargi. — Wypłacą mi pensję?

— Tak. Nie mają podstawy, by tego nie zrobić. Oczywiście tylko do momentu, w którym nie zostaniesz skazany. Ale na twoim miejscu nie leciałbym do bankomatu, by sprawdzić, czy wpłynęły pieniądze. Chwilę

potem byłbyś zaobrączkowany. — Celmer uniósł ręce i sugestywnie potarł nadgarstkiem o nadgarstek.

Fakt, że poszukiwania jego osoby nabrały oficjalnego charakteru, rodził jeszcze jedną implikację. Wszyscy, z którymi się stykał, ponosili odpowiedzialność za ukrywanie go przed organami ścigania. Spojrzał przez okno na zaparkowaną na podwórzu hondę. Miał nadzieję, że wystarczy mu paliwa.

— To jadę.

— Nie wygłupiaj się. Tutaj jesteś bezpieczny.

— A wy? Hania? Mama i Marcel?

Celmer spokojnie zaczekał, aż wymieni wszystkich, którzy przebywali pod tym dachem. Jak na człowieka, który zażywał xanax, był zaskakująco opanowany.

— Prokurator nie może wymagać, żeby obywatele regularnie odwiedzali strony policji. Jakby co, niczego nie wiemy. Jeśli będziesz siedział cicho, to wcale nie będzie im łatwo cię odszukać.

Mówił dalej, ale Karol przestał go słuchać. W korytarzu wiodącym do kuchni mignęła mu matka. Przeprosił Celmera oraz przysłuchującą mu się w milczeniu małżonkę i w dwóch skokach znalazł się przy rodzicielce, która miała właśnie zalać sobie herbatę.

— Mamo, czy babcia miała jeszcze jedno dziecko?

Szklanka rozprysnęła się na milion kawałków. Matka spojrzała na niego z wyrzutem, a potem wskazała na szczotkę i szufelkę.

— Posprzątaj to — poleciła sucho. — A potem przyjdź. Zaczekam przed domem.

Marcel Lubecki lubił żartować, że jego żona ma cechy nałogowej palaczki, ale jej nałóg jest na szczęście nienachalny. Tak mówił. Nienachalny.

Określenie było usprawiedliwione, bo paczka marlboro, którą matka kupiła siedem lat temu w Londynie, wciąż była w połowie pełna. Teraz jednak jej zawartość uległa redukcji. Zanim Karol dołączył do niej przed domem, zdążyła wypalić dwa papierosy i właśnie wkładała do ust kolejnego.

— Co tak długo? — warknęła. — Szukałeś tego szkła pod mikroskopem?

Karol poprawił chustkę, którą tamował krwawienie ze skaleczonego palca. Prace porządkowe nigdy nie były jego najmocniejszą stroną.

— Czy babcia...

— Ciszej — ostrzegła, a potem chwyciła go za dłoń, tak jak przed laty, gdy przeprowadzała go na drugą stronę Lelechowskiej, w drodze do przedszkola. — Przejdźmy się. Nie chcę, żeby Marcel zobaczył, że tyle palę.

Karol miał już powiedzieć, że Marcel ma to gdzieś, ale się powstrzymał. To nie było ważne. Podążył posłusznie za matką za ogrodzenie, ale kiedy próbowała ciągnąć go na dół, w stronę jeziora, wyswobodził rękę i się zatrzymał.

— Babcia miała jeszcze jedno dziecko, tak? Dlaczego nikt mi nie powiedział?!

— Nie histeryzuj. Nikt ci nie powiedział, bo nikt nie wiedział. Sama dowiedziałam się niedawno.

— Niedawno?! Czyli kiedy?

— Ciszej. Czy wszyscy muszą wiedzieć, że rozmawiamy? Chyba nie chcesz ściągnąć tu policji?

Uśmiechnęła się złośliwie, ale nie ciągnęła wątku. Był jej wdzięczny. Nie miał ochoty po raz kolejny się tłumaczyć, tym bardziej że i tak nigdy nie podałyby w wątpliwość tego, że był niewinny. Była przecież jego matką.

— Chcę to usłyszeć. Babcia miała córkę?

— Babcia miała córkę — powtórzyła jak echo matka, a potem wskazała na gospodarstwo Hani. — Czy wiesz, jak odkryliśmy to miejsce z twoim ojcem?

— A co to ma do rzeczy? To było ze dwadzieścia lat temu. Szukaliście noclegu, bo... Bo przyjechaliście po babcię, żeby odebrać ją ze szpitala — dokończył, patrząc na nią z zaskoczeniem.

— Zgadza się. Zamknij te usta, bo wyglądasz jak wiejski półgłówek. Babcia zasłała na tym cholernym cmentarzu. Tym na końcu świata, w Lipianach. Wyduślam z niej całą tę historię, gdy leżała jeszcze na intensywnej opiece. Gdzie indziej by się nie przyznała, ale perspektywa nagłej śmierci wyzwoliła w niej chęć do zwierzeń. Teraz ci je streszczę... Miała córkę. Córkę, która umarła. I tyle.

Spojrzała na niego w taki sposób, jakby ich rozmowa dobiegła końca, ale nie ruszyła się z miejsca. Wiedziała, że to nie koniec. Za dobrze go znała.

— Dlaczego oddała ją do sierocińca? I jak to się stało, że nic o tym nie wiedziałaś?!

— Ciszej. Nie wiedziałam nawet, że była w ciąży. To było w latach osiemdziesiątych. Chodziłam już do liceum. Babcia miała wtedy po raz pierwszy problemy z gardłem. Choroba nauczycielska. Wiesz, o czym mówię, prawda?

Karol kiwnął głową. Gdy powietrze było zbyt suche, babcia naprzemiennie chrypiała jak stary marynarz albo zupełnie traciła głos.

— Co mają problemy z gardłem do oddanego dziecka?

— Nic. To nie były problemy z gardłem. Babcia wyjechała na cztery miesiące. Myśleliśmy, że jest w sanatorium, a przynajmniej ja tak myślałam. A ona była... Diabli wiedzą gdzie. Tam, gdzie nikt się nie dziwił, że jest w ciąży. Urodziła dziecko, zostawiła je w sierocińcu i wróciła do domu. I do pracy.

— Tak po prostu? Wyrzuciła dziecko, a kilka dni później mówiła uczniom o Mickiewiczu i Słowackim?

— Nie dramatyzuj. Tobie nie wypada. Sam nie jesteś, jak by to wyrazić... apologetą zdrowych układów rodzinnych.

— To porównanie jest trochę nie na miejscu.

— Wiem. I przepraszam. Sama tak naprawdę nie wiem, czemu to zrobiła. Ile mogła mieć lat? Czterdzieści? To nie powód, by tak się poddać.

Karolowi przychodziły do głowy znacznie mocniejsze słowa, ale zatrzymał je dla siebie.

— To dziadek jej kazał, prawda?

Popatrzyła na niego łagodnie.

— Tak byłoby prościej, prawda? Ale znałeś swoją babcię. Jej nie można było czegoś nakazać. Robiła tylko to, co uznawała za słuszne. Sama.

— Ale przecież babcia nie była bezdusznym potworem.

Przez twarz matki przemknął cień.

— Na pewno żałowała tego, co się stało. Przyjeżdżała tu, na jej grób. Gdy Laura powiedziała mi o tym drugim grobie, symbolicznym, na Powązkach... Wierz mi, miałam ochotę się rozplakać. Nie wiedziałam, że ta dziewczynka...

— Petronelka.

— Że zajmowała aż tak ważne miejsce w jej życiu. Że babcia żyła w cieniu tej tragedii i nigdy nikomu nie chciała wyznać prawdy. Że do końca jej duszę toczył wstyd.

— Ciszej, mamó.

— Słucham?

— Zależało ci na tym, żeby nikt nas nie usłyszał. A teraz ty zaczynasz krzyczeć.

Lucyna Woźniak-Lubecka ze złością kopnęła kamyk.

— Masz rację, ale kiedy myślę o tym wszystkim, trafia mnie szlag. Mimo że się domyślam, co się stało. — Matka znów machnęła nogą, tym razem wyładowując złość na leżącym w trawie jabłku. — Czy wiesz, co to była RONA?

Pytanie było zaskakujące, ale Karol nie musiał się zastanawiać.

— Oddziały Rosjan w służbie Hitlerowi. Kolaboranci. Babcia często o nich mówiła. O nich i rzezi Ochoty. Uczestniczyła w obchodach rocznicowych, pisała jakieś artykuły, wspomnienia okolicznościowe i tak dalej. Tylko co to ma do Petronelki?

— Wydumane imię, prawda? Takie niedzisiejsze, ale nieważne. — Sięgnęła po czwartego papierosa. — Wiesz, co robili ci ronowcy mieszkańcom Warszawy?

— Mordowali.

— A mieszkankom?

Wzruszył ramionami.

— Też mordowali.

— Ale najpierw gwałcili. Matki, żony i córki. W ich własnych mieszkaniach, na ulicach, w bramach. Po kilku, a nawet kilkunastu. Nie zdajesz sobie sprawy ze skali. Jest trudna do oszacowania. To, co działo się na Ochocie, nie ma precedensu w historii Polski.

— Wiem. Czytałem teksty babci. Nie rozumiem tylko...

— Myślę, że zainteresowanie babci akurat tą tematyką nie było przypadkowe. Pamiętasz, co się z nią działo, gdy mówiła o zgwałceniach?

— Czerwieniła się, jakby miała dostać wylewu. Myślisz...

Matka wypuściła chmurę dymu.

— Tak, tak myślę. Gwałty nie zdarzają się tylko na wojnie. Sądzę, że babcia Krysią została zgwałcona. Petronelka była dzieckiem z gwałtu.

Marcel już trzy razy dzwonił, że siada z Celmerami do obiadu, a oni wciąż gadali. Towarzyszył im pies Hani. Karol odruchowo gładził czarną sierść.

— Trudno uwierzyć, że to przypadek. Wujek z cicią podesłali babci tę Arbaszewską z jakiegoś powodu.

— Nie sędzę. — Matka skręciła w żwirówkę prowadzącą do zabudowań gospodarstwa. Wcześniej nogi same zniosły ich nad jezioro. — To niemożliwe z prostego powodu. Wujek nie ma pojęcia o tym dziecku. Ani o tym, że babcia oddała je do Lipian. Gdy babcia urodziła, był już w Anglii. Pracował w banku i równolegle robił podyplomówkę w tym cholernym Oksfordzie.

— A potem? Dlaczego mu nie powiedziałaś?

— Obiecałam babci, że będę milczeć. I przez te wszystkie lata milczałam. Nie zdradziłam jej sekretu ani twojemu ojcu, ani Marcelowi, ani nawet Laurze, gdy tak przeżywała odnalezienie tego grobu na Powązkach.

— I dlatego tak mnie uciszałaś?

— Babcia nie chciała, by wiedzieli. Uszanuj to.

— Uszanuję. Ale tak się zastanawiam...

Umilkł, znała go jednak tak dobrze, że czasami potrafiła czytać mu w myślach.

— Nie daje ci spokoju ta Arbaszewska?

— Nie daje. To nie może być przypadek. Była w tym domu dziecka, i to w tym samym czasie, co Petronelka.

— Mówiłeś, że była wtedy małym dzieckiem. Nie może pamiętać.

Karol zatrzymał się i potarł skronie. Miał w głowie mętlik, spod którego do świadomości przebijała mu się nie do końca sprecyzowana myśl.

— A może... — Potarł się po czole. — A może Olka to Petronelka? Może zostały podmienione w sierocińcu.

— Długo nad tym myślałeś? Postaw je w myślach obok siebie. Olkę

i babcię. Są podobne?

Nie były, a dodatkowo w grę wchodziło znamię na udzie. Aleksandra Arbaszewska była córką Antoniny Kowalskiej — co do tego nie było wątpliwości.

— A może wujek z ciotką podesłali babci Olkę, żeby ją rozchwiać psychicznie? Stracili majątek, potrzebowali zastrzyku gotówki. Może chcieli przyspieszyć moment, w którym otrzymają spadek.

— Sam się przekonałeś, co to za spadek. Tyle, co nic.

Matka odrzucała jego hipotezy jedna za drugą. Ale Karol nie dawał za wygraną. W głowie kiełkowały mu kolejne pomysły.

— A może wyprowadzili pieniądze już wcześniej, przez Olkę? Pozwolili babci myśleć, że Olka jest jej córką. Że wcale nie umarła. Tak, to ma sens!

Klasnął w ręce, ale matka sprowadziła go na ziemię.

— Jakby mój brat wyłudził pieniądze, to nie miałyby tyle długów, a w każdym razie nie zatrudniłby się przy zbiorze truskawek.

— Może to tylko kamuflaż. Może wujek...

Ale matka nie miała ochoty na dalsze spekulacje.

— Nie zapominaj, że Jarek jest moim bratem. Masz wątpliwości, to go zapytaj. Tylko pamiętaj. — Pogroziła mu palcem. — Ja trzymałam buzię na kłódkę przez kilkadziesiąt lat, a przecież wiesz, jak trudno mi dochować tajemnicy. — Przejechała mu dłonią po włosach. — Nie zdradz sekretu babci, dobrze? Bo przyjdzie i będzie cię straszyć.

Obiecał, że do tego nie dopuści, a potem przepuścił ją w drzwiach. Po raz pierwszy w życiu stracił w niej oparcie i było mu z tym bardzo źle. Mama nie była z nim szczerą. Coś ukrywała, zapominając chyba, że zna ją niemal tak dobrze, jak ona jego. Dlaczego to robiła? Przecież chodziło o śmierć jej własnej matki! Powinna węszyć w poszukiwaniu spisku, próbować połączyć te wszystkie zagadkowe punkty w jedną całość. A tego nie robiła.



Była nieuczciwa, ale Karola jeszcze bardziej irytował zastanawiający u niej brak zaangażowania.

Zachowywała się tak, jakby nie zależało jej na wykryciu sprawcy — lub sprawców — zabójstwa.

Wujek Jarek zostawił gdzieś swoją oksfordzką wytworność i razem z Lubeckim zjadał golonkę, nie przestając mówić nawet z pełnymi ustami. Dominik Celmer zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu, tak jak gdyby chciał się od nich odciąć. Zamiast golonki na jego talerzu leżało jakieś mało apetyczne zielsko. Karol przypomniał sobie, że jego niedawny kompan od kieliszka jest jaroszem.

— Gdzie Amelia? — spytał, z trudem przebijając się przez gwar rozmowy dwóch starszych mężczyzn.

— A to ja mam wiedzieć?

— Mówiła, że idzie po was nad jezioro.

— To może po nią pójde — zaoferowała się Woźniak-Lubecka, ale Celmer zaprotestował tak energicznie, że usiadła przy wolnym nakryciu.

— Trafi. A jeśli nawet nie od razu, to spacer dobrze jej zrobi. Ostatnio słabo sypia. Co wolicie? Golonkę czy hummus z ciecierzycy?

Karol lubił wegetariańską kuchnię, ale wybrał golonkę. Klapnął obok wujka Jarka i zaczął czekać, aż ten skończy opowiadać dowcip o księdzu, biskupie i dorodnej rybie. Przy ciotce wujek zachowywał się znacznie bardziej wstrzemięźliwie. I nigdy nie kłął.

Karol odczekał stosowną chwilę, dając im się wyśmiać, bo chociaż żart był niskich lotów, rechotali niczym ropuchy. To, że nad Karolem wisiał miecz Damoklesa, nie miało wpływu na ich nastroje.

— Wujku, skąd wytrzasnęliście tę Arbaszewską?

Wujek Jarek wciąż miał na twarzy pogodny wyraz, ale w oczach

pojawiły się kryształki lodu. Wspomnienie o spadku, który w ósmej części przypadł opiekunce, wciąż było świeże.

— Z ogłoszenia — burknął, odkładając widelec.

— W Internecie?

— Nie. Z klatki schodowej. Wisiało u nas, na Mokotowie, na tablicy ogłoszeń.

Po śmiechu sprzed chwili nie zostało nawet wspomnienie. Wzmianka o mieszkaniu, które teraz było wynajęte, by umożliwić spłatę odsetek, była dla wujka tak bolesna, że drżały mu ręce. Chyba najchętniej porzuciłby ten temat, ale Karol nie odpuścił. W jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie:

— Olka zostawiła ulotkę akurat na waszej klatce?

— Ulotki to zostawiają dziewczyny w szkarłacie. Ola przyczepiła do tablicy zwyczajną kartkę, z hasłem „opieka nad starszymi” i numerem telefonu. Nie wiem, dlaczego się tak dziwisz. Tak się robi. W obecnych warunkach rynkowych pracownik z tej branży sam wybiera, gdzie chce się zatrudnić.

Zdziwienie Karola wynikało po części z tego, że wujek najwyraźniej trwał w nieświadomości. Nie wiedział, że Arbaszewska, zanim zajęła się babcią, pracowała w najstarszym zawodzie świata. Nie prześwietlili jej z ciotką ani na jotę. Tylko gdyby to zrobili... Czy zdecydowaliby się ją zaangażować?

— Były jakieś inne kandydatki?

— Ja zatelefonowałem do Olki, a ciocia zaprosiła dwie inne panie, z Internetu. Zrobiliśmy coś w rodzaju castingu. Olka okazała się bezkonkurencyjna. Pozostałe kandydatki... No cóż, bez komentarza.

Olka nie była, łagodnie rzecz ujmując, ósmym cudem świata. Jaki poziom musiały prezentować dwie pozostałe? Karol wołał nawet o tym nie myśleć.

— A skąd ten pomysł, żeby w ogóle kogoś zatrudniać?

— To akurat wiem nawet ja — wtrącił Lubecki, wycierając zatłuszczony podbródek chusteczką higieniczną. Na jego talerzu pozostała jedynie ogryziona kość, budząca swoimi rozmiarami skojarzenie z kością mamuta. — Pomysł wyszedł od Krystyny. Dopominała się o panią do pomocy tak energicznie, że echa jej determinacji dotarły nawet do Londynu.

— To prawda — potwierdził wujek. — Twoja babcia, Karolku, potrafiła postawić na swoim. Ciocia nie chciała się zgodzić. Chyba poczuła się zdradzona. Opiekowała się nią od początku pandemii, a tu się nagle okazało, że jest niepotrzebna. Dostała, że się tak wyrażę, kopniaka. I to nie pierwszego.

Wujek nawiązywał do szorstkości, z jaką babcia Krysia traktowała jego żonę. Ciocia Monika mogła stawać nawet na głowie, a i tak dla babci była tylko tą wstrętną małolată, która uwiodła jej kochanego Jarusia. Akcje synowej nie wzrosły ani razu. Przez trzydzieści lat.

— Czy babcia miała wpływ na wybór kandydatki?

— No coś ty. Bała się covidu. Po tym, jak dokonaliśmy wyboru, Ola musiała przejść dwutygodniową kwarantannę, u nas w domu. Dopiero potem babcia zgodziła się, żebym ją przywiózł. Ciocia była temu przeciwna, ale jej nie posłuchaliśmy, choć teraz dostrzegam, że był to głos rozsądku.

— Jareczku, ociągasz się.

Marcel Lubecki podniósł kieliszek. Po drugiej stronie stołu to samo zrobił Celmer. Miarą rozkojarzenia Karola było to, że dopiero w tej chwili zwrócił uwagę na stojącą na stole butelkę. Była w połowie opróżniona, a biesiadnikom zaczynało dymić z czachy.

— Na zdrowie, Marcelku.

— *To your health.*

Wypili, a potem zgodnie sięgnęli po wyłożone na talerzykach grzybki i korniszony. Hania dobrze wiedziała, jak dogodzić swoim gościom. Mężczyźni otrzymali zagrychę, a przed nakryciami pań — Lucyny i Amelii — stały dwa kremowe ciastka zwieńczone kandyzowaną wisienką.

— O czym to ja mówiłem?

— Mówiłeś, wujku, że ciocia była przeciwna zatrudnieniu Oli.

— Ach tak. To prawda, ale nie potraktowałem tego poważnie. Spędziła z nią całą tę kwarantannę, sama, bo ja musiałem wyjechać w interesach. — Westchnął, bo w interesach zdecydowanie mu nie poszło. — Możesz się domyślić, jak to było. Dwie kobiety pod jednym dachem, skazane na swoje towarzystwo przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Monia twierdziła, że Ola jest prymitywna. Nie potrafiły się dogadać.

— Ale w końcu chyba im się to udało — zauważył Karol, wspominając scenkę w mieszkaniu babci: władczą ciocię Monikę i zaskakująco potulną Arbaszewską.

— Ciocia się z nią rozliczała. A wiadomo, jak to jest. Kto trzyma kasę, ten ma władzę. — Wujek włożył do ust kolejnego ogórka i spojrzał na Karola z uprzejmym zaciekawieniem. — Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego interesujesz się tą dziewczyną?

Pytanie nie miało zapewne negatywnego podtekstu, ale Lubecki aż zakrztusił się sałatką śledziową.

— Nasz Karol od zawsze interesuje się ładnymi dziewczynami — stwierdził wojowniczo.

— Ale chyba nie w sytuacji, gdy okazują się naciągaczkami.

Ich mowa stawała się coraz bardziej bełkotliwa. Patrząc na nich, można było dojść do wniosku, że mężczyznom w ich wieku doprawdy niewiele potrzeba.

— Pytam, bo dowiedziałem się, że pochodziła stąd, z Suwalszczyzny —

przerwał im Karol, napotykJając ostrzegawcze spojrzenie matki.

Siedziała obok Celmera niby pochłonięta rozmową, ale rejestrowała każde słowo.

— No pewnie, że z Suwalszczyzny. — Wujek schował na moment pretensje do kieszeni i się rozpromienił. — To dlatego nie posłuchałem Moni. Już na starcie miała u mnie kilka dodatkowych punktów. Ładna dziewczyna, i do tego z Suwalszczyzny... Kto mógł przypuszczać, że okaże się cwaniarą i wyłudzaczką.

Sięgnął po butelkę i napełnił kieliszki. A potem, nie czekając na kompanów, osuszył swój. Był naiwny jak dziecko. To, że do pewnego momentu robił karierę w biznesie, było po części zasługą cioci, a po części — dobrego początku. Jeszcze w trakcie studiów na SGPiS wyjechał na stypendium do Wielkiej Brytanii, a po studiach przeniósł się tam na stałe — jako pracownik Banku Handlowego. Karol wyczytał gdzieś, że znaczna część zatrudnionych w londyńskiej filii miała także drugie etaty. W strukturach MSW. Wątpił jednak, by wujek był w tamtych czasach agentem służb albo tajnym współpracownikiem bezpieczeństwa. Był nie tylko naiwny, lecz także zbyt prostolinijny. Nie umiał ani kłamać, ani udawać. I dlatego Karol mu uwierzył. Za zatrudnieniem Olki nie stały żadne ukryte intencje, nie było tu drugiego dna. Oczywiście tylko ze strony wujostwa, bo jeśli chodzi o Olkę... Tu nie było przypadku. Dziewczyna umieściła ogłoszenie w konkretnym celu. Chciała być blisko babci, żeby oskubać ją z pieniędzy. A przynajmniej wszystko na to wskazywało.

Tyle że *summa summarum* jej misja zakończyła się porażką. Nie zdobyła majątku, wciąż miała długi, a potencjalny spadek... No cóż, był właśnie tylko potencjalny. Wiele wskazywało na to, że babcia zakończyła życie jako niemal zupełna bankrutka.

Karol wyszedł do kuchni i nałożył sobie całą furę sałatki jarzynowej.

Zawahał się przy golonce, ale ostatecznie odpuścił. Tłuste mięso należało popijać, a on nie chciał się ubzdryngolić. W jego sytuacji trzeźwy osąd był konieczny. Chciał zgłosić się na policję na własnych warunkach, jeszcze nie dzisiaj. Nie uśmiechała mu się nocka w celi.

Gdy wrócił, męska część towarzystwa oddawała się wspomnieniom. Wspomnienia te nie dotyczyły, jak można by przypuszczać, babci Krysi, tylko lat spędzonych w Londynie. Osobą, która mówiła najczęściej i najgłośniej, był rzecz jasna Marcel, urodzony gawędziarz.

— A czy ty wiesz, Karolku, że gdyby nie przypadek, miałbym szansę zostać twoim ojcem?

Karol słyszał tę historię tyle razy, że mógłby przytoczyć z pamięci każdy niuans. Chciał przerwać, ale uniemożliwiły mu to usta pełne sałatki. Machnął ręką. Przecież i tak trzeba było o czymś rozmawiać. W tym towarzystwie posiłek w ciszy jeszcze się nie zdarzył.

— To był osiemdziesiąty szósty rok, byliśmy wtedy piękni i młodzi: Jareczek zaczął niedawno pracę w banku, a ja byłem pomocnikiem konsula. Poznaliśmy się na spotkaniu opłatkowym w ambasadzie. Oczywiście nieoficjalnym, bo w czasach demokracji ludowej placówki dyplomatyczne miały być wolne od religii... a raczej, jak mawiał ówczesny minister, od guseł i zabobonu. Słowo do słowa zgadaliśmy się z Jareczkiem, że ma ładną siostrę. Czy nie było tak, Jareczku?

— Było. Ale chłopak słyszał tę historię z tysiąc razy.

— Usłyszysz tysiąc pierwszy, bo jest tego warta. — Ojczym Karola upił trochę z kieliszka i mlasnął, rozprowadzając alkohol po języku. — Umówiliśmy się, że po powrocie do Polski przyjadę na sylwestra do Warszawy, a Jarek przedstawi mi Lucynkę. No i tak zrobiłem. Wystroiłem się w londyńskie ciuchy, skropiłem londyńską wodą toaletową, w portfelu miałem zwitek londyńskich funtów. Byłem cholernie pewny siebie. Impreza

była w Stodole. Ten klub jeszcze działa, prawda? No więc, kiedy znalazłem się w środku, Jarek pokazał mi twoją mamę. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Włosy miała... o takie.

Uniósł ręce nad głowę, żeby pokazać, jak bardzo były napuszone. Matka, która wciąż konferowała z Celmerem, rozłożyła ręce.

— Ta fryzura wyglądała idiotycznie, ale wtedy była bardzo trendy. Podobnie jak londyńczycy. Poderwałeś dziewczynę, prawda?

Marcel udał, że jest przybity.

— Tak, ale nie tę, którą chciałem. Czy wiesz, co powiedziała mi twoja mama, kiedy Jarek nas sobie przedstawił? Że nie rozmawia z kapusiami. Z kapusiami, rozumiesz? Że niby każdy pracownik ambasady musiał współpracować z reżimowymi służbami. Despekt był tym większy, że po chwili zjawiał się twój ojciec, w starym swetrze i podartych portkach. A ona zaczęła się z nim całować. Bo podobno nosił solidarnościową bibułę. Nielegalne ulotki.

Urwał i dla podkreślenia doznanego zawodu — opróżnił kieliszek. W przeciwieństwie do wujka Jarka był świetnym aktorem. Karol mógł się założyć, że matka miała wtedy rację. Marcel mógł być agentem, ale — jak każdy dobry agent — nigdy się do tego nie przyznał, a jego teczka w IPN podobno zaginęła. Jeśli współpracował, to nie był w tym odosobniony. W MSZ był większy odsetek ludzi związanych ze starymi służbami niż gdziekolwiek indziej.

— Wolą spotykać się z bohaterem, a nie z aparaczką — zazartował Karol, wywołując przy stole wybuch gromkiego śmiechu. Marcel może i był aparaczką, ale jego ojciec na pewno nie spełniał definicji bohatera. Był wiecznie zaaferowanym lingwistą w grubych okularach. Karol podejrzewał, że tak naprawdę nigdy nawet nie zbliżył się do

nielegalnych ulotek. — Pamiętasz, mamó, jak dałaś kosza swojemu przyszłemu mężowi?

— Drugiemu mężowi — sprecyzowała, a potem pokręciła głową. — Nie pamiętam, ale... mogło tak być. Byłam wtedy pijana. Zdaje się, że wyszłam z tej imprezy z takim brodaczem, który utrzymywał, że jest marynarzem.

— A ojciec?

— Twój tata już dawno spał w swoim akademiku dla doktorantów. Spanie zawsze wychodziło mu najlepiej.

Umilkła, bo do salonu wparowała Hania. Miała tak zaaferowaną minę, że Karol zerwał się na nogi.

— Coś z dziećmi?!

Na moment ją przytknęło, więc tylko pokręciła głową.

— Amelia.

— Co z nią?! — Celmer wstał, przewracając masywne krzesło.

— Dzwonił znajomy znad jeziora. Wypłynęła łódką i chyba... Chyba zemdląła.

Do przystani wiodła porośnięta trawą dróżka. Teren obniżał się stopniowo, aż na sam brzeg, z miejscem na ognisko. Dalej znajdował się pomost, ten, z którego wczorajszej nocy łowili ryby. Do pomostu przycumowana była łódka, lecz tylko jedna. Drugiej brakowało. Marcel podbiegł do drewnianej wiaty i spojrzał w górę, na krokwie. Zwykle leżała tam para wiosł, ale teraz...

— Zabrała wiosła — zakomunikował takim tonem, jakby dokonał właśnie przerażającego odkrycia.

Dla Karola, w którego żyłach nie krążył alkohol, to było oczywiste. Skoro nie było łódki, nie było też wiosł. Przecież nie odpłynęła, uderzając w wodę rękami.



Jednocześnie z całą ich szóstką, bo oprócz Celmera, wujka Jarka, Lubeckich i Karola przybiegła tu też Hanka, nad wodę dotarł zdyszany staruszek. Nie czekając, wbiegł na pomost i drżącym ze zmęczenia palcem wskazał na dryfującą ku trzcinom łódkę.

— To ona.

— Hej, hej! Amelia!

Celmer, nie bacząc na to, że jest w butach i spodniach, wszedł z brzegu do wody i ruszył wzdłuż pomostu. Gdy woda sięgnęła mu do pasa, znacznie zwolnił. Stopy ugrzęzły mu w mule.

— Amelia!

— Nie słyszy — poinformował z przejęciem staruszek. — Krzyczałem z sąsiedniego pomostu. Ale nic. Żadnej reakcji.

Na drobnych falach tańczyło słoneczne światło. Karol zmrużył oczy i przyłożył dłoń do czoła, robiąc z niej daszek. Trudno było określić odległość, ale odniósł wrażenie, że dziób łodzi skierowany był w ich stronę. Leżała na nim jakaś czarna tkanina. Koc, chusta, a może...

Czarne włosy.

Na czoło wystąpił mu pot. Staął na końcu pomostu i kilka razy wykrzyczał jej imię, ale odpowiedziało mu tylko echo. A potem rozległ się kaszel. I charczenie.

— Wyjdź z wody — zakomenderował. — Bo zaraz się utopisz.

Celmer zignorował wyciągniętą rękę i parł do przodu, ale jego żabka wyglądała pokracznie. Był bez szans. Karol położył się na pomoście i przewiesiwszy się przez jego krawędź, złapał Dominika za ubranie i przyciągnął.

— Tak nie pomożesz. Zadzwoń po pogotowie.

Pomógł Celmerowi wdrapać się na pomost, a potem zdjął koszulkę, buty i spodnie. Matka, jak to matka, zaczęła panikować.

— Mamo, umiem pływać. Wezwijcie pomoc, a ja ją przyholuję. Hanka! — przywołał ją, bo jako jedyna jakoś się trzymała. Nie histeryzowała i nie była pijana. — Przypilnuj ich. Mają nie wchodzić do wody!

Nie oglądając się więcej za siebie, skoczył do jeziora. Woda wydała mu się cholernie zimna, ale wystarczyło kilka energicznych ruchów ramionami, by wrażenie przyszło. Oszczędzając siły, popłynął krytą zabką. Wyminął kępę trzciny, wysokich jak dojrziała kukurydza, i obrał kurs na łódkę, która z każdą chwilą rosła mu w oczach. Z tyłu dobiegały go strzępy okrzyków. Krzyczeli do Amelii, przede wszystkim Celmer, jej mąż, i matka. Byli coraz bardziej zachrypnięci. Karol widział z poziomu wody dolną część kadłuba i nieruchome pióra wiosła. Okrzyki pozostawały bez odzewu.

— Że też zawsze... muszę się wpakować... w takie gówno — wydyszał do siebie zły i przestraszony.

Nie cierpiał akcji ratunkowych, a widok nieprzytomnych ludzi sprawiał, że i jemu robiło się słabo. Niedawno w jego obecności zasłabła staruszka. Pomagał jej do momentu, w którym zjawiała się obsługa rzymskiego metra, a potem wychylił się nad tory i z emocji puścił pawia. Teraz znów miał zostać ratownikiem. Uderzając rękami w wodę, przypominał sobie zasady resuscytacji.

Ustabilizować głowę, oczyścić usta... Trzydzieści uciśnień, dwa wdechy. A co, jeśli to udar? Albo wstrząs po ugryzieniu osy?

Zamiast os nad wodą unosiły się ważki. Jedną niechcący nawet połknął. Krztusząc się, dopłynął do łodzi i zacisnął dłoń na krawędzi burty.

— Amelio, jesteś tam?

Miał wrażenie, że z góry dobiegł odgłos ciężkiego westchnienia. Z żołądkiem ściśniętym w supeł podciągnął się na rękach, a potem znów opadł do wody. Wgramolenie się na łódź wcale nie było proste. Okrążył ją, zatrzymując się tym razem w okolicy dziobu. Jedną dłonią złapał się łodzi,

a drugą — zwisającej cumy. Stękając tak, jakby miał zaraz urodzić kamień nerkowy, podciągnął się na rękach i — chociaż woda trzymała go niczym klej — przerzucił nogę przez krawędź burty. Potem wcale nie było łatwiej, ale wreszcie udało mu się legnąć na emaliowanym dnie. Przez kilka sekund łapczywie chwycił powietrze, poruszając ustami niczym świeżo złowiony karp.

— Amelia. O cholera.

Brytyjka leżała w łódce niczym w kołysce. Głowę oparła wygodnie o wznoszącą się krzywizną części dziobowej, a jej ciemne długie włosy kontrastowały z białym lakierem, rzeczywiście przypominając chustę. Wyglądała tak, jakby spała, z jedną, ale istotną różnicą.

Miała otwarte oczy.

— Amelio! Słyszysz mnie?

Odruchowo przetłumaczył to na angielski, ale nie dostrzegł żadnej reakcji. Dotknął jej policzka. Skóra była ciepła, wręcz rozpalona. To był dobry znak. Pochylił się nad jej twarzą i wtedy to zauważył.

Mrugnęła oczami.

— Amelio. Co ci jest?

— Nic — odpowiedziała zupełnie przytomnym głosem. — Zupełnie nic. Zostaw mnie. Chcę być sama.

Po wodzie wciąż niosły się okrzyki. Nie można było rozpoznać słów, ale ich sens był oczywisty. Celmer, Lubecy, Hanka... Wszyscy się o nią martwili. Umierali ze strachu. A ona nic sobie z tego nie robiła.

— Zemdlałaś? Hej, Amelia! Co się dzieje?!

— Nic. Daj mi spokój.

Na kursie pierwszej pomocy, który przeprowadziła w ambasadzie jednostka *carabinieri*, ostrzegano, że objawy udaru bywają niespecyficzne. Mając z tyłu głowy słowa prowadzącego kurs *ufficiale*, Karol przyjrzał się

dokładnie jej oczom, kącikom ust i ogólnie, symetrii ciała. Nie zauważył nic niepokojącego. Była zdrowa jak rydz, przynajmniej na zewnątrz.

Karol przypomniał sobie opakowanie xanaxu.

— Masz problem z depresją?

— Nie mam. Zostaw mnie.

Wstał i pomachał w kierunku brzegu, a potem uniósł do góry kciuk, mając nadzieję, że chociaż Hanka zdoła zobaczyć, że wszystko jest okej. Bo było okej. Przynajmniej w porównaniu z tym, czego można się było spodziewać. Na ogół depresja, nawet ta ciężka, jest lepsza od zawału czy udaru.

— Leż sobie. A ja powiosłuję.

Zanim dotarł do przystani, zjawiała się na niej karetka pogotowia. Ratownicy czekali na pomoście razem z Celmerem. Już z daleka pokazał im, że sytuacja jest pod kontrolą. Przekazał Amelię małżonkowi, wziął ubranie, a potem szybkim krokiem opuścił pomost i skręcił w krętą ścieżkę wzdłuż jeziora. Nie wiedział, jak to działa — obawiał się, że wezwanie karetki do wypadku (bo to, co zaszło, przynajmniej z formalnego punktu widzenia było wypadkiem) automatycznie wiąże się z przyjazdem policji. A akurat policji, z oczywistych względów, wolał uniknąć. Kilkadziesiąt metrów dalej wdrapał się po zboczu i opłotkami dotarł do zabudowań Hanki. Gdy przechodził przez tylną furtkę, usłyszał psi skowyt.

— Co pan robi?! — krzyknął, widząc skulonego labradora i mężczyznę, który wyplącał mu kopniaka. Ta scena poruszyła go nawet bardziej od innej, która rozgrywała się tuż obok. Drugi drab, uzbrojony w kawał drutu, rysował po malinowym lakierze hondy. Drzwi kierowcy wyglądały już tak, jakby ktoś grał na nich w kółko i krzyżyk. — Ty bydlaku!

Labrador znów pisnął, a potem podkulił ogon i uciekł, utykając na

przednią łapę. Karol nie zdążył nawet odetchnąć — mężczyźni znaleźli się przy nim i jeden z nich złapał go za gardło.

— Zasada numer jeden: nie pchaj się tam, gdzie cię nie chcą.

— Ale o co chodzi?!

— Zasada numer dwa: za wścibstwo trzeba płacić.

Ustawił Karola niczym manekin i przygotował się do ciosu. Karol nagle zrozumiał:

— Jesteście z Sejn. Od Ferdka, tak?

— To nie twój biznes — warknął bandzior.

A potem zamachnął się i wyprowadził pierwszy cios.

Pierwsze uderzenie staroświeckiego zegara można było zignorować, ale kolejne zdawały się coraz głośniejsze. Laura poczuła się niczym na dzwonnicy. Naliczyła osiem uderzeń, a potem zapadła cisza. Przewróciła się na drugi bok, jednak sen nie chciał wrócić. Odpłynął. Ta cisza miała w sobie coś niepokojącego.

Laura westchnęła i zwlekła się z łóżka, a potem potarła powieki, chcąc usunąć spod nich piasek bezsennej nocy. Bezskutecznie. Chrząknęła i sięgnęła po szklankę z fantazyjnym uchem. Szklanka, zegar, ozdobne lustro i łóżko, które pamiętało czasy międzywojnia... Wszystko to pozostało w mieszkaniu po byłych właścicielach — pracownicy naukowej uniwersytetu i jej małżonku, wziętym lekarzu, którzy po przejściu na emeryturę postanowili zmienić klimat i przenieść się nad morze.

Laura wciąż nie zdecydowała, w jakim duchu urządzić kupione od nich dwupokojowe lokum w zabytkowej kamienicy przy Madalińskiego. Na razie zostawiła stary wystrój, jednak dzisiejsze przebudzenie utwierdziło ją w przekonaniu, że styl retro czy nie retro — zegar musi zniknąć. Był

piękny, ale dźwięk, z jakim wybijał kolejne godziny, mógł przyprawić o nerwicę.

Napiła się wody i nagle oprzytomniała. Zegar stracił znaczenie, myśli pomknęły w kierunku brata. Tupiąc bosymi stopami, wybiegła z sypialni do sąsiadującego z nią salonu i uruchomiła laptop. Na Wirtualnej Polsce głównym newsem były zniszczenia po burzach. Przeleciała wzrokiem po kilkunastu umieszczonych niżej tytułach i odetchnęła z ulgą. To był cudownie nudny dzień. Bez wiadomości o strzelaninach i obławach na podejrzanych o zabójstwo.

Uspokojona zaczęła przeglądać Internet w poszukiwaniu informacji o instytucji zatrzymania. Z tego, co znalazła w sieci, wynikało, że zatrzymanie mogło trwać maksymalnie siedemdziesiąt dwie godziny — czterdzieści osiem godzin dla policji i prokuratury i dodatkowe dwadzieścia cztery dla sądu. Po tym czasie zatrzymanemu należało dostarczyć postanowienie o tymczasowym aresztowaniu. Jeśli tego nie zrobiono, to mógł iść do domu. Postanowienie o tymczasowym aresztowaniu wydawał sąd. Laura żywiła nadzieję, że to nie była formalność, tylko efekt skrupulatnej analizy. Nie miała jednak złudzeń co do roli przypadku — siedemdziesiąt dwie godziny to nie był czas, który umożliwił wytarczająco precyzyjne zapoznanie się z tematem, by wykluczyć możliwość pomyłki. Karol — na wolności czy nie — potrzebował dwóch rzeczy. Odrobiny szczęścia i przede wszystkim — dobrego prawnika.

Laura z miejsca odrzuciła kandydaturę mecenasa babci, pana Emila. Wynotowała kilkanaście nazwisk z wyszukiwarki, po czym zaczęła szukać informacji o uprawnieniach zatrzymanego do kontaktu z adwokatem. Pierwszy link nie chciał się otworzyć, a drugi przywiódł ją na stronę Komendy Głównej Policji. Zapoznała się z czytelnym tekstem, a potem jej

wzrok zatrzymał się na zakładce „poszukiwani”. Kliknęła w nią i zaparło jej dech. Ekran wypełniła fotografia brata.

Przez moment sądziła, że Karol jest najbardziej poszukiwaną osobą w kraju, ale po chwili dotarło do niej, że zdjęcia umieszczono w katalogu chronologicznie — od najpóźniej dodanego. List gończy za bratem był jeszcze ciepły. Wystawiono go dzisiaj, dosłownie kilka minut temu. Nie klikając w odnośnik, przesunęła obraz w dół, odsłaniając następne fotografie. Patrząc na kolejne ponure gęby, wpadała w coraz bardziej buntowniczy nastrój. Umieszczenie w tej galerii zdjęcia brata nie było nieporozumieniem, tylko grubym nadużyciem. Nadużyciem, które mogło zniszczyć mu życie, a jeśli nawet nie życie, to z pewnością karierę.

Wystukała dwa pierwsze numery z wynotowanej listy, upewniając się, że Karol mógł liczyć na pomoc. Odniosła wrażenie, że jej telefony, chociaż wykonane bladym świtem, wzbudziły po drugiej stronie jeśli nie entuzjazm, to przynajmniej życzliwe zainteresowanie. Obaj prawnicy, do których ją przełączono, zgodnie doradzili, by poszukiwany oddał się w ręce policji, oferując pomoc także na tym etapie sprawy. Ich argumenty brzmiały sensownie, ale niestety była bezradna. Służbowy telefon Karola był wyłączony, a prywatny, który zostawił w mieszkaniu babci, zabezpieczyli policjanci.

Laura dopiła wodę, a potem, w drodze do kuchni, przejrzała się w lustrze. Brak snu i napięcie ostatnich dni odcisnęły na jej wyglądzie zauważalne piętno, ale deficyty urody były ostatnią rzeczą, która mogłaby ją teraz przygnębić. Miała inne powody, by ciężko wzdychać. Martwiła się Karolem, wciąż przeżywała nagłe odejście babci, a poza tym — od wczorajszego popołudnia nie miała żadnych wiadomości z Norwegii. Cholernie tęskniła. Zdecydowanie nie była dobra w związkach na odległość.

Wybrała numer, ale po drugiej stronie znów odezwał się tylko sygnał. Zwykle odbierał niemal natychmiast, lecz od wczoraj milczał jak zakłętą. Napisała mu krótkie „co słyhać”, a potem ze złością zaciągnęła zasłonę. Świecące jasno słońce nijak nie korespondowało z jej ponurym nastrojem.

Pieczyno zrobiło się tak twarde, że można nim było wbijać gwoździe. Włożyła spodnie i pierwszy z brzegu T-shirt i wyskoczyła za róg ulicy, do piekarni. Wracając, wpadła na Milenę. Dosłownie: wpadła. Obie zamachały rękami, żeby nie upaść.

— Już wstałaś? — Milena, nie wiedzieć czemu, mrugnęła okiem. — Myślałam, że pośpisz przynajmniej do południa.

Ostatni raz Laura widziała się z koleżanką w piątek, gdy znalazła babcię. Takie przerwy w kontaktach nie zdarzały im się często. Nie dość, że razem pracowały, to niedawno Milena, zachwycona klimatem mieszkania Laury, wynajęła tuż obok kawalerkę.

— Padam z nóg. Ta sprawa z babcią naprawdę mnie dobija... — urwała, bo Milena, zamiast zrobić współczującą minę, otwarcie się zaśmiała.

— Widziałam cię wczoraj. A raczej dzisiaj, nad ranem. Też jeszcze nie spałam. I muszę stwierdzić, że poprawił ci się gust. Niezłe ciacho.

— Jakie ciacho?

— Nie udawaj. Ten twój szarmancki motocyklista. Nie miałabym nic przeciwko, żeby przewiózł także mnie.

Laura popatrzyła na przyjaciółkę spode łba. W pracy nadawały na tych samych falach, ale różniło je podejście do spraw damsko-męskich. Milenie wszystko kojarzyło się z seksem.

— Michał to tylko znajomy.

— Ach, Michał. Ładne imię i... siostró?

— Tak?

— Nie ściemniaj. Nie mam kurzej ślepoty, a zresztą nawet gdybym



miała, to było już jasno. Widziałam, jak cię przytulił.

— Miałam ciężki dzień — mruknęła Laura, czując, że się rumieni. Cholerna jasna cera. Jak zwykle ją zdradziła. — Znajomi tak robią. No przestań! Nie jesteśmy przecież w podstawówce.

Ale Milena wciąż chichotała. Przestała dopiero wtedy, gdy dotarły do wejścia na klatkę. Wyjęła z reklamówki puszkę z napojem energetycznym i otworzyła ją z cichym syknięciem.

— Wypijesz ze mną na spólkę? — zaproponowała pojednawczo.

Laura nie pijała na ogół takich rzeczy, ale puszka była tak cudownie chłodna, że nie umiała odmówić. Cofnęły się na ławkę, elegancką i solidną, z kutymi podporami.

— Nie gniewaj się. Po prostu myślę, że zasługujesz na kogoś, kto będzie zabierał cię na całonocne randki i odwoził na motorze. I motor jest tu przenośnią.

— Motocykl — sprostowała odruchowo Laura.

— Co?

— Nie mówi się motor, tylko motocykl, a zresztą... nieważne. — Machnęła ręką. Ważniejsze było coś innego. — To nie była randka. Chyba zdążyłaś już zapomnieć, że mam chłopaka.

— Wiesz, że prawie zapomniałam. Mówiłaś przed chwilą, że nie jesteśmy w podstawówce, a tymczasem twój związek jest właśnie na tym poziomie. Na poziomie ósmej klasy. Widywaliście się dwa razy w tygodniu. A teraz wyjechał. I nieźle się tam bawi, szkoda tylko, że bez ciebie.

— Skąd wiesz, że nieźle? — Laura poczuła niepokój, ale następne słowa przyjaciółki sprawiły, że zniknął.

— Z Instagrama. Nie żebym go śledziła, ale mignęło mi, że wrzucił zdjęcia z jakiejś imprezy.

— Z balu przebierańców? — Laurze nie było dziś do śmiechu, lecz

wspominając kostium, nie umiała powstrzymać wesołości. — Widziałas jego przebranie?

— Przebrał się za kobietę — mruknęła Milena, a potem dodała jeszcze ciszej: — To wiele tłumaczy.

— Co masz na myśli? — spytała Laura wciąż z uśmiechem.

Wiedziała, że jej chłopak był dla wiecznie samotnej Mileny solą w oku. Nie zamierzała się obrażać.

— To, że nigdy nie przyjedzie po ciebie motorem. No dobrze, niech ci będzie — motocyklem. Co najwyżej przyniesie ci przywiedłe kwiaty i zabierze do kina na durną komedię.

— Czemu zwiędłe? — Laura chichotała, czując, jak spływa z niej napięcie. — I dlaczego komedia musi być durna?

— Bo ten typ tak ma. To nie Michał. Z Michałem na pewno nie byłaś w kinie. Michał nie ma mentalnie czternastu lat.

— To prawda, nie byliśmy w kinie.

— A gdzie byliście? I co ci tak wesoło?

Laura zdołała zapanować nad chichotem, choć wcale nie było to łatwe. Na samą myśl o tym, jak zareagowałaby Milena, gdyby się dowiedziała, że spędzili tę niby-randkę na oddziale zamkniętym szpitala psychiatrycznego, chciało jej się wyć ze śmiechu. Niestety, nie mogła sprawdzić, czy rzeczywiście miałaby głupią minę. Michał poprosił ją o dyskrecję.

— To lekarz, głuptasie. Pomagał mi w formalnościach związanych ze śmiercią babci.

— Jakich formalnościach?

Milena miała wykształcenie medyczne, ale kiedyś zwierzyła się po kilku głębszych, że nigdy nie nauczyła się obcować z krwią i ciałami. Zajęcia w prosektorium były dla niej koszmarem, a ten jedyny raz, gdy obserwowała operację chirurgiczną, zakończył się dla niej omdleniem. To

dlatego zrobiła specjalizację z pediatrii i dlatego, wkrótce potem, odeszła z zawodu.

— Chodzi o dekompozycję ciała w wyniku sekcji. Jesteś pewna, że chcesz o tym słuchać? Bo ja chyba nie chcę o tym mówić.

Przyjaciółka ze zrozumieniem pokręciła głową.

— To powiedz chociaż, jaki on jest?

— Michał? — Laura wysączyła ostatnie krople energetyka, a potem podniosła się z ławki. Szukała krótkiego określenia, którym będzie mogła zamknąć tę rozmowę, i wreszcie je znalazła: — Jest dominujący.

— To super!

— Jak chcesz, to cię z nim poznam — zaoferowała na odczepnego, choć wiedziała, że tego nie zrobi. Facet nie wyglądał na kogoś, kto lubi aranżowane randki. — A teraz wybaczone, ale muszę zadzwonić.

— Do Norwegii, tak? — spytała Milena, krzywiąc się z udawanym niesmakiem.

— Nie. Do przyjaciela.

— Jeszcze jednego?!

— Przyjaciół nigdy za wiele — zakończyła sentencjonalnie, uśmiechając się w duchu.

Milena wyobrażała sobie na pewno niestworzone rzeczy. I dobrze, bo dotąd miała ją za polną myszkę.

Nie musiała wiedzieć, że przyjaciel, o którym wspomniała Laura, jest od nich ponad dwa razy starszy.

Pan Kazimierz, szef firmowego działu ochrony i jednocześnie emerytowany policjant, był jak zwykle czarujący. Nie zadawał zbędnych pytań, a na koniec rozmowy chciał tylko wiedzieć, czy może jeszcze jakoś pomóc. Laurę przez moment korciło, by powiedzieć mu o Karolu, ale ostatecznie

postanowiła tego nie robić — i to nie była kwestia braku zaufania. Po prostu nie chciała go stawiać w niezręcznej sytuacji.

— Jak tylko zdobędę te dane, dam ci znać. Alfred Warszawski... Mam wrażenie, że kiedyś już to nazwisko słyszałem.

Podziękowała i się rozłączyła, a potem wgryzła się w chałkę. Telefon zawibrował, informując o nieodebranych połączeniach. Zerknęła z nadzieją na ekran, ale numer nie był norweski, tylko polski. Oddzwoniła.

— Cześć, mamó.

— Genialna książka.

— Co? Jaka?

— *Orzeł wylądował*. Dziękuję, córeczko. Buziaki.

Połączenie zostało przerwane. Laura przez chwilę patrzyła na telefon, zastanawiając się, o co mogło chodzić, bo przecież nie pożyczała mamie żadnej książki. Ani żadnej nie rekomendowała. Nagle zrozumiała, że matka — w ten zawołany sposób — poinformowała ją, że Karol był z nią, na Suwalszczyźnie. Szyfr był tak czytelny, że od razu pomyślała o policji. Czy podsłuchiwali ich rozmowy? Uznała to za bardzo prawdopodobne.

Na wszelki wypadek nie oddzwoniła, mając nadzieję, że policja uzna ich rozmowę za to, czym nie była, czyli za krótką wymianę zdań o literaturze. Wzięła chłodny prysznic, włożyła letnią sukienkę i kwadrans później jechała już tramwajem, tęskniąc nieśmiało w porannym tłoku za swoją hondą.

Tramwaj przewiózł ją nieopodal mieszkania babci i dalej, na plac Narutowicza. W Świętym Jakubie właśnie skończyło się nabożeństwo pogrzebowe. Na podjeździe stało czarne renault w wersji kombi, a obok — sześciu mężczyzn w identycznych garniturach. Gdy przechodziła, ładowali do wnętrza trumnę. Zwolniła i odczytała litery na białej tabliczce w kształcie tarczy, a potem opuściła głowę. Jan Rajzer. Mężczyzna, którego

znaleźli wiszącego na działce przy Rostafińskich, właśnie wyruszał w swą ostatnią podróż.

Weszła do ciemnego wnętrza kościoła, czując, jak spływają na nią wspomnienia. W dawnych latach, ku zadowoleniu ojca i przy milczącej dezaprobachie matki, uczestniczyła w procesjach jako bielanka. To był przyjazny kościół, z otwartymi i mądrymi kapłanami. Miała nadzieję, że to się nie zmieniło.

— Proszę księdza, przepraszam. Czy mogłabym mieć pytanie?

Łysy jak kolano ksiądz poprawił stułę. Zmierzał w kierunku konfesjonału, ale widząc jej błagalne spojrzenie, przysiadł na jednej z ław, zapraszając ją gestem, by zrobiła to samo.

— O co chodzi, dziecko? — spytał, zerkając w kierunku konfesjonału.

Laura też tam zerknęła. Kolejka do spowiedzi nie była długa. Najwyżej dziesięć osób.

— Może ksiądz pamięta: był tu kiedyś ministrant, który następnie umarł, jeszcze w młodym wieku. Wiem, że odprawiano mszę za zbawienie jego duszy. Nazywał się...

Nie zdążyła podać mu nazwiska. Ksiądz posmutniał.

— W historii kościoła był tylko jeden ministrant, który tak wcześniej odszedł do Pana. Alfred Warszawski.

— Kiedy to było?

— Dawno. Nie wiem kiedy dokładnie, ale na pewno wiele lat temu. Pewnie ze dwadzieścia. — Podniósł się z miejsca i rozłożył ręce. — Jestem na parafii dopiero od czterech lat. Przykro mi.

— A który z księży ma najdłuższy staż?

— Tak długi... to żaden. Biskup nie pozwala, byśmy zapuszczali korzenie. — W jego głosie zabrzmiały tony delikatnej urazy. Cóż, znakomita większość ludzi nie lubi zmian. Widocznie dotyczy to też księży.

— Na pani miejscu popytałbym zakonnic. Czy zmarły to ktoś dla pani ważny?

— Tak — potwierdziła. — W pewnym sensie bardzo ważny.

Nie dociekał, w jakim sensie. Uśmiechnął się i ruszył przed siebie, ale po chwili zatrzymał się i odwrócił.

— Jest jeszcze nasz rezydent, ksiądz Ludwik van Thissen. Związany z parafią na pewno dłużej niż nasz proboszcz. Może on będzie mógł pomóc.

— To Holender? — spytała, zastanawiając się, czy dogadają się po angielsku.

Holenderskiego nie znała.

— Nie, Polak. Wybitny naukowiec, profesor filozofii. Całkowicie oddany nauce, ale może będzie pamiętał. To wybitny umysł.

Z kolejnych słów wynikało, że najpewniej Laura znajdzie go w pokoju za kancelarią parafialną. Podziękowała i opuściła budynek kościoła, bo — jak pamiętała — kancelaria mieściła się w odrębnym gmachu, po prawej stronie od wejścia. Wstąpiła po wąskich schodach, minęła poczekalnię i zajrzała nieśmiało przez uchylone drzwi.

— Ksiądz Ludwik?

Kapłan podniósł na nią wzrok znad oprawionej w skórę księgi. Był zaskakująco młody i gładko ogolony — nie wiedzieć czemu, filozofowie kojarzyli się jej wyłącznie z leciwymi, a przy tym zasepionymi brodacami. A ten nie dość, że był młody, to jeszcze się uśmiechał.

— W czym mogę pani pomóc?

— Chciałabym porozmawiać o jednym z dawnych ministrantów — zaczęła nieco onieśmielona.

Ostatnie afery pedofilskie dotyczyły wprawdzie promila księży, ale miała w sobie tyle empatii, by wyobrazić sobie, że takie pytanie może zostać odebrane jako wstęp do ataku i oskarżeń. Ksiądz van Thissen nie zmienił

jednak wyrazu twarzy. Wciąż patrzył pogodnie, a w jego błękitnych oczach nie było nic oprócz życzliwości.

— Czy ten ministrant ma imię i nazwisko?

— Nazywał się Alfred Warszawski. Z tego, co wiem, już nie żyje.

Idąc tu, nie spodziewała się cudów. Ale ksiądz nie wyglądał na oderwanego od rzeczywistości myśliciela. Jego słowa wskazywały na to, że nie buja w obłokach, tylko twardo stąpa po ziemi.

— Dlaczego pani o niego pyta?

— Bo jeśli nie umarł, to chciałabym z nim porozmawiać o moim zmarłym dziadku, Julianie Kalinowskim.

Spodziewała się następnych pytań, ale van Thissen nie potrzebował więcej danych. Jego słowa sprawiły, że Laura poczuła się dziwnie, a nawet — niekomfortowo.

— Pani dziadek umarł jeszcze przed pani narodzeniem, prawda?

— Skąd pan... Skąd ksiądz to wie?

Spojrzenie błękitnych oczu stało się wyrozumiałe.

— To łatwo obliczyć. Pan Julian zmarł w osiemdziesiątym siódmym roku, czyli trzydzieści cztery lata temu. Pani nie ma jeszcze trzydziestu.

— Mam równo trzydzieści.

— To pani nie wygląda.

— Darujmy sobie te uprzejmości. — Popatrzyła na niego wzrokiem bazyliuszka. — Skąd ksiądz wie, kiedy umarł mój dziadek?

— Wprowadzałem niedawno treść ksiąg parafialnych do komputera.

— Ale czemu ksiądz zwrócił uwagę akurat na mojego dziadka?

— Nie zwróciłem. — Uśmiechnął się skromnie. — Po prostu tak mam. Zapamiętuję takie rzeczy. A jak już zapamiętam, to kaplica. — Postukał palcem w czoło. — Zostają tu na zawsze.

— Zapamiętał ksiądz wszystkie zapiski z księgi zgonów?

— Narodzin i małżeństw też. Niektórzy nazywają to darem, ale czasem myślę, że to przekleństwo. Z drugiej strony, jak się pamięta, gdzie co jest, to łatwiej to znaleźć.

— Kiedy wzięli ślub moi rodzice? Antoni Woźniak i Lucyna z Kalinowskich?

— W osiemdziesiątym szóstym. W sierpniu. A pani nie ma jeszcze trzydziestu lat. Urodziła się pani we wrześniu lub w październiku, prawda?

— Trzydziestego września — wymamrotała Laura. Niezwykłe zdolności księdza sprawiły, że poczuła się naga. — Czy pamięta ksiądz, kiedy zmarł Alfred Warszawski?

Van Thissen pokręcił głową.

— W księgach nie ma informacji o jego śmierci. Jest akt chrztu, z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego... albo dziewiątego roku.

— Czyli nie umarł?

— Chyba niestety umarł, tylko nie tutaj, nie jako nasz parafianin. Na marginesie wpisu w księdze chrztów była adnotacja. W latach dziewięćdziesiątych odprawiano mszę za spokój jego duszy. Dwa albo trzy razy.

— To w końcu dwa czy trzy? — spytała poważnym tonem Laura, ale nie dał się nabrać.

Wyczuł, że żartuje.

— Nie mam pojęcia. Ale pamiętam, kto składał intencję, czyli mówiąc kolokwialnie, kto dał na mszę.

— Kto, proszę księdza? — zrobiła błagalną minę. Chciała się tego dowiedzieć i wyjść. I nigdy tu nie wrócić. Ludzie z nadnaturalnymi zdolnościami zawsze ją przerażali. Geniusze, jasnowidzący, telekinetycy... W duchu podejrzewała ich o czarną magię. — Czy mógłby ksiądz podać mi nazwisko? I najlepiej numer telefonu.



— Zrobię coś więcej. Napiszę pani adres.

Wziął z biurka kartkę czerpanego papieru i pióro. Przez chwilę słyszała skrobanie stalówki, a potem...

— Co to jest?

— Adres naszego kościoła. Z intencją wystąpiła jedna z sióstr. Siostra Klara. Od lat zajmuje się prowadzeniem przytułku.

Siostra Klara była postawną sześćdziesięciolatką o ascetycznej twarzy i wydatnym nosie, na którym nosiła grube okulary w rogowej oprawie. Wczoraj w restauracji Karol, opowiadając o odwiedzinach u Pietrzyka, wspomniał o jakiejś zakonnicy. Nie wymienił co prawda jej imienia ani nie opisał wyglądu, ale określenie „pingwin w okularach”, które Laura uznała za szczeniackie i prymitywne, było pierwszą wskazówką, że tą zakonnica była właśnie ona — siostra Klara. Drugą wskazówką, tym razem niepozostawiającą wątpliwości, była reakcja siostry na jej nazwisko.

— Jesteś taka podobna do brata.

To podobieństwo wcale nie było tak wielkie, jak twierdziła, ale łączyły ich oczy — duże, lekko skośne i identycznie zielone. Te oczy, które odziedziczyli po matce, były jedyne w swoim rodzaju. Nie mogli się siebie wyprzeć. A przynajmniej nie bez ciemnych okularów.

— Wiem, że Karol odwiedził przytułek. Wczoraj, przed burzą, prawda? Spotkał się z panem Pietrzykiem.

Siostra strzepnęła poszewkę na poduszkę i rozwiesiła ją na sznurze w ogrodzie. Za ich plecami wznosił się ponury gmach przytułku, a przed nimi — bryła dawnego poprawczaka, obecnie ośrodka szkolno-wychowawczego, i zielona kopia kościelnej wieży.

— Pani brat był tu także po burzy. W kościele.

— Tak? — zdziwiła się Laura. Czyżby nagle się nawrócił? — O której?

— Po popołudniowej mszy. Około siedemnastej. Tym razem interesował się panem Rajzerem.

Zdziwienie ustąpiło zainteresowaniu. Laura przestąpiła z nogi na nogę.

— Panem... Janem? — spytała, zabarwiając głos smutkiem, bo pewnie właśnie w tej chwili składano go do grobu. — Czy może panem Aleksandrem?

Jan Rajzer powiesił się na terenie ogródków działkowych, a teraz jego ciało jechało w karawanie. Aleksander z kolei, jak wynikało z dokumentacji medycznej, był kiedyś pacjentem Szpitala Nowowiejskiego.

— Karol pytał o Aleksandra — odparła zakonnica. — Czyli brata Jana, świeć Panie nad jego duszą. Odniosłam wrażenie, że zamierzał złożyć mu wizytę.

Laurze na moment odebrało mowę. Wyglądało na to, że podążali z Karolem w tym samym kierunku, niezależnie od siebie. Tyle że brat wyprzedzał ją o krok. Aleksander Rajzer. Mężczyzna, który przebywał w Szpitalu Nowowiejskim z takimi samymi objawami jak pacjent, którego przed śmiercią odwiedziła babcia. Obaj lękali się szumu płynącej wody.

— Czy w waszej rozmowie padło może nazwisko... Romanow?

Siostra wyjęła z kosza kolejny element upranej pościeli. Zawiesiła go na sznurze i dopiero wtedy pokręciła głową.

— Nie. Nie znam tego pana. Na pewno nie był klientem tych instytucji. — Wskazała na przytułek, a potem na dom poprawczy. — W przeciwieństwie do braci Rajzerów. Obaj cierpieli na chorobę alkoholową. Jan przechodził ją względnie łagodnie, a Aleksander zdecydowanie ciężiej.

Laura zamrugała oczami. Jan Rajzer był niedołącznym kloszardem, uzależnionym od pomocy staruszki. Człowiekiem, który umarł w nędzy,

wieszając się na haku. Ze słów zakonnicy wynikało, że jego brat był jeszcze bardziej zdegenerowany. Czy to w ogóle możliwe?

— Jak to się dzieje, że ludzie stają się tak nieszczęśliwi? — spytała, odruchowo przyjmując z rąk siostry Klary dwa rogi prześcieradła.

— Nie ma na to reguły. Najczęściej decyduje o tym środowisko, w którym dorastali, ale akurat w przypadku braci Rajzerów środowisko nie było takie złe. Ich rodzice byli biedni, ale uczciwi. Zanim umarli, zrobili wszystko, by synowie wyszli na ludzi. Jeśli chodzi o Jana, przyczyną upadku było kalectwo. Wypadek z udziałem tramwaju i odjęta noga. A Aleksander? Był bardzo inteligentny, ale się pogubił. Takim ludziom zazwyczaj jest trudniej. Miał wszystko, by wieść szczęśliwe życie. Kręgosłup moralny, zdolności, sprawny umysł... Chodził do bardzo dobrej szkoły.

Laura ze zdziwieniem dowiedziała się, że Aleksander Rajzer był uczniem Staszica, zupełnie jak Alfred Warszawski, o którego przyszła zapytać.

— To był jednorazowy wybryk — ciągnęła zakonnica, zapominając na moment o prześcieradle. — Ta bójka, po której Aleksandra relegowali ze szkoły... Jednorazowy wybryk, ale i moment, który zaważył na całym jego życiu. Trafił do poprawczaka i odtąd już nigdy nie był sobą. Dręczyły go koszmary, pojawił się alkohol i niewłaściwa kobieta, z którą się ożenił... Wylądowali na ulicy.

— Siostra go pamięta?

— Ja nie. Nie było mnie tutaj, ale po odwiedzinach twojego brata zasięgnęłam języka. Aleksander Rajzer zaczął wariować. Do pewnego momentu jego zachowanie można było kontrolować. Potem zaczęły się szpitale.

— I lęk przed lejącą się wodą.

— Tak. Paniczny lęk.

— Z czego wynikał?

Tego zakonnica nie wiedziała. Wiedziała natomiast, że bracia Rajzerowie nie utrzymywali kontaktów. Więdlili osobno, niezależnie od siebie. Aleksander nie pojawił się nawet na mszy pogrzebowej.

Laurę korciło, by spytać o miejsce pobytu Aleksandra Rajzera, ale ostatecznie odpuściła. Nie wiedziała, jak rozmawiać z bezdomnymi alkoholikami. Liczyła na to, że zrobił to już Karol. Pomogła siostrze strzepywać prześcieradło, a potem wspięła się na palce i ściągnęła spinacze.

— Dziękuję, moje dziecko.

— Nie ma za co. Ja też chciałam o kogoś spytać. To też będzie dawny uczeń Staszica.

Gdy wypowiedziała nazwisko Warszawskiego, siostra odłożyła kolejne prześcieradło. Zsunęło się z kosza i spoczęło w trawie, ale nawet tego nie dostrzegła. Otworzyła szeroko oczy i świdrowała Laurę wzrokiem.

— To dlatego zapytałaś wcześniej o Aleksandra? Wiedziałaś, prawda?

— O czym?

— Że trafił do poprawczaka właśnie za bójkę z Warszawskim.

— Nie miałam pojęcia — wyjąkała Laura.

Informacja wskazująca na związek Rajzera i Warszawskiego była zaskakująca, ale nie aż tak, jak późniejsze słowa zakonnicy:

— To był wspaniały chłopiec.

— Kto? Alfred Warszawski?!

Zakonnica przymknęła oczy.

— Poznałam go jako młoda dziewczyna, podczas nowicjatu. Był ministrantem, a jednocześnie podopiecznym domu poprawczego. Widziałam, jak bardzo się stara. Jak robi wszystko, by się zmienić. By stać się dobrym katolikiem. I dobrym człowiekiem. — Westchnęła i splotła ręce,

wyłamując nerwowo palce. — Wkrótce potem trafił do więzienia. Został skazany na wiele lat. Bardzo się za niego modliłam.

— Za zabójcę?!

— Rozmawiałam z nim. W więzieniu. Pytałam, jak mógł... Jak mógł zabić człowieka.

— Tym człowiekiem był mój dziadek — wtrąciła matowym głosem Laura.

Ale siostra Klara była chwilowo w swoim świecie. Niczego nie słyszała. Nic do niej nie docierało.

— Nie zapomnę tego, co mi wtedy powiedział. Uśmiechnął się, w tym więziennym drelichu na sali widzeń, i zacytował mi Biblię: *Nie sądzcie, bo sami będziecie sądzeni.*

Następne słowa zakonnicy wprowadziły Laurę w zdumienie.

— A potem powiedział, że tego nie zrobił. Że jest niewinny, rozumiesz?

Laura prychnęła.

— Rozumiem. Rozumiem, że dała się siostra nabrać.

Zakonnica popatrzyła jej w oczy.

— Znam się na ludziach. Umiem ocenić, czy ktoś kłamie. Zawsze umiałam.

Złośliwy uśmiezek Laury zbladł. Siostra Klara naprawdę wierzyła w to, co mówi.

— Alfred Warszawski nikogo nie zabił — stwierdziła, chowając kosmyk siwych włosów, który wydostał się spod kornetu. — Zgnił w więzieniu za coś, czego nie zrobił.

Ojczym Laury, Marcel Lubecki, był dystyngowanym dyplomata, ale poza godzinami pracy często zachowywał się jak błazen. Niektóre żarty weszły mu w nawyk. Na przykład widząc zakonnicę, odruchowo łapał się za guzik.

Twierdził, że to przynosi szczęście — zawsze, z wyjątkiem jednej sytuacji. Zakonnica nie mogła płakać. W świecie jego chorych wyobrażeń płacząca zakonnica zwiastowała nieszczęście. Ciekawe, jak zachowałby się teraz?

Siostra Klara nie płakała, ale oczy miała pełne łez. Wspomnienie Alfreda Warszawskiego napełniało ją wzruszeniem. Laura sądziła, że jednym z jego powodów była tęsknota za dawno utraconą młodością. Jednym, ale nie jedynym. Za jej poruszeniem kryło się coś jeszcze. Współczucie? A może platoniczna miłość? Wolą w to nie wnikać.

— Czy siostra prowadziła wtedy zajęcia w domu poprawczym?

— Nie. Dom był państwowy. Ale wychowankowie chodzili na religię do salki katechetycznej. Prowadziłam czasami zajęcia w zastępstwie. Różna to była młodzież. Często podatna na złe wpływy. A ja, choć pewnie trudno w to uwierzyć, byłam wtedy młoda i wrażliwa. Dokuczali mi. — Jej usta rozciągnęły się w smutnym uśmiechu.

— Warszawski też?

— Alfred był inny. Nie dokuczał, a czasem nie pozwalał tego robić innym. To był dobry dzieciak. Niepokorny, ale o złotym sercu.

Laura zrozumiała, że tym, co połyskiwało w oczach zakonnicy, wcale nie była miłość czy współczucie, tylko wdzięczność. Wdzięczność, która zaburzała jej osąd.

— Czytałam uzasadnienie wyroku. Warszawski się przyznał. Przyznał się, że zabił mojego dziadka.

— Skłamał, moja droga. Ale jeśli chcesz go winić... To go win. On już ci nie powie, że się mylisz. Zmarł, ale wcześniej przeszedł piekło.

— Umarł w więzieniu?

Siostra Klara powiodła ją wzdłuż murów dawnego poprawczaka i otworzyła niewielkie drzwi. Zamierzała spełnić swą obietnicę i pokazać

Laurze zawartość starego archiwum, chociaż chyba wolałaby zaszyć się w najciemniejszym zakamarku kościoła i zmówić modlitwę.

— Nie wiem, gdzie umarł ani jak to się stało. Odwiedzałam go przez kilka lat, i byłam chyba jedyna. Inni postanowili o nim zapomnieć. Początkowo się trzymał, ale potem było coraz gorzej. Dręczyli go współwięźniowie. Nigdy się nie skarżył, ale widziałam ślady. Siniaki, otarcia, a na ubraniu ślady krwi. W końcu odsunął się nawet ode mnie.

— Kiedy siostra widziała go po raz ostatni?

Zakonnica nie musiała się zastanawiać.

— W dziewięćdziesiątym siódmym roku, tuż po pielgrzymce Ojca Świętego. Pojechałam do Wronek prosto z Lednicy, ze spotkania młodzieży pod Bramą Trzeciego Tysiąclecia. Nie chciał się ze mną spotkać, ale gdy odjeżdżałam, zmienił zdanie. Powiedział, że nie potrzebuje już mnie ani mojej litości. Że nie chce, żeby odwiedzała go zakonnica. Kiedyś mocno wierzył w Boga, ale tamtego dnia powiedział, że Bóg go opuścił. Z jego ust popłynęły straszne bluźnierstwa. Nie mogłam tego słuchać, wybiegłam... A wkrótce potem dowiedziałam się, że umarł.

Stały wciąż przed otwartymi drzwiami. Zaraz za nimi zaczynały się schody wiodące w dół, w ciemną czeluść piwnicy. Wionęło stamtąd chłodem i zapachem kiszzonej kapusty. Na murze wydrapany był symbol jednego z klubów piłkarskich, a nad nim — ramię szubienicy. Przykościelny czy nie — poprawczak pozostawał poprawczakiem.

— Skąd się siostra dowiedziała?

— Od parafian. Okazało się, że nie byłam jedyna. Ktoś dotrwał przy nim do samego końca. Alfred się powiesił.

Przed oczami Laury natychmiast pojawił się obraz Jana Rajzera zwisającego spod sufitu działkowej altanki. Im bardziej zagłębiała się w tę sprawę, tym więcej było makabry.

— W więzieniu?

— Ponoć tak. Do końca wyroku zostało mu jeszcze kilka lat. Nie wytrzymał. Co wieczór modłę się do dobrego Boga, by mu wybaczył.

— Zamawiała siostra msze za jego duszę, prawda?

— Owszem. Ale przestałam. Teraz modłę się za niego w duszy.

— A czy kościół nie zabrania modlić się za samobójców? — spytała Laura.

To był odruch, z którego od razu chciała się wycofać, ale nie zdążyła. Siostra Klara poweselała.

— Czy wiesz, co sądził na ten temat święty Jan Vianney? Pocieszając kobietę, której mąż rzucił się z mostu, powiedział jej, że w drodze między krawędzią mostu a wodą, a więc przed samobójczą śmiercią, mężczyzna ten miał jeszcze dość czasu, by poprosić Boga o przebaczenie. Sam koniec egzystencji człowieka jest dla nas tajemnicą. Nie można z góry odmawiać komukolwiek zbawienia. Piętnować. Potępiać.

Słowa te były mądre, ale w gruncie rzeczy nieistotne. Liczyło się jedno. Zabójcą babci z pewnością nie był ktoś, kto od dwudziestu lat spoczywał na cmentarzu. Chyba że wierzyło się w duchy. Zakonnica zarzekała się, że Warszawski nie zabił również jej dziadka. Jeśli tak było, to pytanie, kto to zrobił, pozostawało otwarte.

Laura zadała to pytanie, ale zakonnica rozłożyła ręce.

— Nie chciał powiedzieć. Pytałam, z tysiąc razy. Za każdym razem odmawiał odpowiedzi. Twierdził, że zrobił to, co musiał. Z kontekstu wypowiedzi jasno wynikało, że nie mówił o morderstwie, tylko o tym, co stało się później. O przyjęciu odpowiedzialności.

— Tylko za kogo? Czy miał rodzinę? Albo kogoś bliskiego?

— Był dzieckiem z poprawczaka. Przyjaźnił się z łobuzami takimi jak on



sam. Zaraz pokażę ci nazwiska innych wychowanków z tamtych lat. Może znajdziesz wśród nich winnego.

Do Laury dotarło, że pomoc zakonniczy nie jest bezinteresowna. Siostrze zależało na Warszawskim nawet teraz, wiele lat po śmierci. Pragnęła rehabilitacji. Chciała, by jego imię zostało oczyszczone.

— Teraz to jest kościelne, tak? — upewniła się Laura, wskazując w górę na trzypiętrowy gmach.

— Wróciło do Kościoła razem z upadkiem komunizmu.

— Razem z wychowankami i dokumentacją?

— Przejście było płynne. Została z nami także część kadry. Proszę bardzo. — Wskazała na czeluść schodów i przekreśliła włącznik światła. Pod sufitem i niżej, u stóp schodów, rozblęły dwie nagie żarówki. — Kiedyś znajdowało się tu coś na kształt karceru. Izolatka dla niegrzecznych dzieci.

Laura popatrzyła na obmierzłe mury i lekko się wzdrygnęła. Krok po kroku zeszła po stromych stopniach, uświadamiając sobie, że gdyby to ją zamknęli w takiej izolatce, umarłaby ze strachu. Na szczęście dawne metody wychowawcze odeszły do lamusa. Teraz nie przetrzymywano tu podopiecznych, tylko przetwory, rupiecie i stare szpargały.

— Dziwne miejsce jak na archiwum.

— Kiedyś było na pierwszym piętrze, ale dyrekcja uznała, że podopieczni bardziej skorzystają, gdy pomieszczenie zostanie zaadaptowane na czytelnię. Te stare papiery już dawno powinny wylądować w skupie makulatury. Czekają tu na zmiłowanie. Uważaj, moja droga, tu będzie stopień.

Ciemny korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność, ale — jak wszystko na tym świecie — miał swój kres. Kończył się solidnymi,

metalowymi drzwiami. Siostra Klara włożyła do zamka ciężki klucz, lecz nim zdążyła go przekręcić, Laura złapała ją za chude ramię.

— Słyszysz siostra?

— Co mam słyszeć?

— Coś jak... szum ciekącej wody.

Wypowiedziawszy te słowa, poczuła zabobonny lęk. Doznanie było tak silne, że miała ochotę odwrócić się i uciec.

— Niech siostra nie otwiera.

— Co? Dlaczego?

Zgrzyt zamka na chwilę zagłuszył odgłos przelewającej się wody, ale gdy zakonnica otworzyła drzwi, dziwny szum powrócił ze zdwojoną siłą. Z ciemnego wnętrza buchnęło cuchnącą wilgocią. Laura poczuła się niczym na dnie zapomnianej kopalni.

— Możesz namacać włącznik światła?

Wstrzymując z przejęcia oddech, odnalazła puszkowatą wypukłość. Gdy wnętrze pomieszczenia zalał pomarańczowy blask, zakonnica krzyknęła. Podłoga była mokra od wody. Woda gromadziła się w kałużach i ściekała po ścianie, wydostając się do innych piwnic przez pokaźne pęknięcie w murze. Laura, bacząc, by nie zgubić butów, podeszła do miejsca, gdzie wody było najwięcej, i stanęła obok regału, pod uszkodzoną rurą.

Wszystkie zgromadzone w pomieszczeniu dokumenty były zalane. Nie było szans, by ktoś zdołał je jeszcze odczytać. Rozpadały się w palcach, przywodząc na myśl bezkształtną pulpę. Laura uniosła głowę i przyjrzała się rurze. Pierwsze spostrzeżenie okazało się błędne. Rura wcale nie była uszkodzona.

Ktoś po prostu odkręcił zawór.

Woda sączyła się leniwie. Towarzyszące temu odgłosy przyprawiłyby co poniektórych o palpitację.

Dom pomocy społecznej Weteran sąsiadował z lasem sosnowym. Nowoczesny budynek wznosił się przy jednym z rond, na dużej, ogrodzonej posesji. Laura zdjęła kask i poprawiła włosy. Podzielała zachwyty Mileny, jednak tylko częściowo. Motocykl doskonale poradził sobie ze spowolnieniami w ruchu na Modlińskiej, ale mijając sznury samochodów, nałykała się spalin i teraz, gdy dotarli do Legionowa, było jej niedobrze.

Michał Tracz miał na sobie skórzany strój motocyklisty, w którym wyglądał jak współczesny kowboj. Czterdzieści minut temu odebrał ją spod Świętego Jakuba. Podróż jednośladem miała jeszcze jeden minus — nie dało się porozmawiać. Dopiero teraz, na prawie pustym parkingu, opowiedziała mu o nieudanych poszukiwaniach w zalanym archiwum i szumie wypływającej z rury wody.

— Mam znajomego w Centralnym Zarządzie Służby Więziennej. Spróbuję się dowiedzieć, jak to było z tym samobójstwem. Bo skoro ten twój Warszawski był niewinny, to może ktoś chciał mu zamknąć usta. A co do odgłosów wody... Mam nadzieję, że zaraz nam powiedzą, dlaczego aż tak go nakręcały. Przecież spędził tu, w DPS-ie, mnóstwo czasu, a Legionowo jest jego miastem. Nigdzie nie znają go lepiej.

Druga część jego wypowiedzi odnosiła się oczywiście do Szymona Romanowa, czyli mężczyzny, którego poznała wczoraj wieczorem. Na samą myśl o przebiegu wizyty na oddziale zamkniętym dostawała dreszczy. Michał chyba to dostrzegł, bo przytroczywszy kask do motocyklowego bagażnika, musnął palcami jej ramię.

— Sporo się działo. Chyba się wczoraj nie nudziłaś, co?

— Przez grzeczność nie zaprzeczę — odparła, a on się uśmiechnął. W ogóle nie było po nim widać skutków bezsennej nocy. Najwyraźniej jako lekarz był przyzwyczajony do nocnego czuwania. — Co z tym facetem, który spadł? Wrócił do was?

— Wrócił. Cały, zdrowy i skruszony. Zapakowaliśmy go do łóżka, daliśmy śniadanko... głównie w postaci tabletek, a potem położyliśmy spać. Oczywiście nie zapominając o pasach. Nieprzyjemnie zrobiło się dopiero potem. Kiedy w szpitalu pojawiła się dzienna zmiana, z profesorem Łapińskim na czele. Widzisz, facet, który skoczył, jest jego sąsiadem. Bezpośrednim, przez płot. Profesor nie był zachwycony faktem, że o mały włos nie stracił pacjenta i sąsiada w jednym. Przeciwnie, trafił go szlag.

— Miałeś kłopoty?

— Ja? No skąd? Kłopoty miał jedynie nasz amator spacerów po gzymsie. Zanim zasnął, wysłuchał od profesora całej litanii.

— A pielęgniarki? Mówiłeś, że tracą pracę.

— Dramatyzowałem. W obecnych czasach personel pomocniczy jest na wagę złota. Napisaliśmy w notatce z zajęcia, że zepsuł się zamek. W drzwiach pokoju pielęgniarek. I to wcale nie było poświadczenie nieprawdy, bo wcześniej trochę przy nim majstrowaliśmy. Nieprzyjemnie zrobiło się później, gdy do szpitala przyjechała w odwiedziny rodzina naszego alpinisty.

— Skąd wiedzieli?

— Daliśmy im znać. Wybuchła oczywiście awantura, bo w izolatce nie ma odwiedzin. Gdy wychodziłem, Łapiński wysłuchiwał takich słów, że... Powiem w skrócie — jego stosunki sąsiedzkie doznały nieodwracalnego uszczerbku.

Uśmiechnął się krzywo, a potem wcisnął guzik dzwonka. Na przeszklonych drzwiach DPS-u umieszczono informację, że w związku z pandemią możliwość odwiedzin ulega tymczasowemu zawieszeniu. To tymczasowe zawieszenie musiało trwać od kilkunastu miesięcy, ale trudno się temu dziwić. Laura wiedziała z mediów o innych DPS-ach, w których covid zebrał wielkie żniwo.

Czekali dobre dwie minuty. Michał zdążył w tym czasie zagadnąć o Karola, ale oczywiście nie powiedziała mu, że brat ukrywa się na Suwalszczyźnie. Zełgała, że nie ma pojęcia, dokąd mógł się udać, a potem — z ulgą, bo nie lubiła kłamać — obróciła się w kierunku maszerującej ku nim kobiety ze służbowym identyfikatorem określającym funkcję. Kobieta była tu kierowniczką.

— Słucham państwa — powiedziała, a raczej warknęła, ale gdy Michał przedstawił się jako psychiatra, jej niechętna postawa uległa zmianie. Ludzie na ogół ufali lekarzom. — Przepraszam, ale mamy tu dzisiaj kocioł. Już dwa razy przyjeżdżała karetka.

— My tylko na sekundę. Chcieliśmy zapytać o jednego z dawnych podopiecznych. Po niego też zapewne przyjeżdżała karetka...

— Chodzi o Szymona Romanowa?

— Umie pani czytać w myślach?

— Nie. Ale nie mieliśmy tu przypadku, który byłby bardziej interesujący dla lekarzy o państwa specjalizacji.

Laura, która właśnie awansowała na lekarza psychiatrę, odruchowo wyprężyła się niczym żołnierz podczas uroczystej zmiany warty. Po kolejnych słowach pracownicy DPS-u odeszła jej jednak ochota na błaznowanie.

— To znaczy były takie przypadki. Oj, były. Ale z tego, co wiem, pan Romanow jest ostatni. Pozostali już nie żyją.

Zaprosiła ich do części biurowej. Budynek DPS-u był dość nowoczesny i ładnie położony, ale wewnątrz jasno pokazywało, że ten sektor usług publicznych jest zdecydowanie niedofinansowany. W gabinecie, w którym mieli poczekać, każde z pięciu krzeseł pochodziło z innego kompletu. Wszystkie wyglądały tak, jakby znaleziono je na strychu.

— Kawy?

Laura w pierwszym odruchu nie chciała uszczuplać i tak już skromnych zasobów DPS-u, ale senność przeważyła. Po tym, jak nałykała się powietrza (i spalin), dosłownie zamykały jej się oczy.

— Poproszę. — Uśmiechnęła się do kobiety, a gdy ta wyszła, natychmiast znalazła się przy oknie. Z zewnątrz dobiegały dźwięki skocznej piosenki, wykonywanej przez dzieci. Wesołe dziecięce głosy brzmiały w tym ponurym miejscu tak surrealistycznie, że miała ochotę się uszczypnąć. — Skąd to słychać? — spytała zdumiona.

Przed budynkiem dostrzegła tylko parę staruszków drzemiących na nasłonecznionej ławce. Oprócz nich jedynymi reprezentantami przyrody ożywionej były trzy koty kręcące się przy drzwiach parterowego baraku, w którym prawdopodobnie mieściła się kuchnia.

— To ze środka. Chyba z sąsiedniego okna, ale wybaczyć, nie będę się wychylać, żeby to sprawdzić. Po wczorajszym cierpię na lęk wysokości.

Laura zerknęła w dół. W tym budynku też były gzymsy, ale znacznie węższe niż w gmachu szpitala. Po nich z pewnością nie można by urządzać sobie spacerów. Chciała to powiedzieć, ale zanim otworzyła usta, do gabinetu wparowała kierowniczka.

— O matko! Znowu to puszczają. Ciekawe, kiedy im się znudzi. Jak chcecie, to zamknę okno.

— To z odtworzenia? — spytała Laura, otrzymując w odpowiedzi pobłażliwe spojrzenie.

Jej akcje jako domniemanego medyka, jeszcze przed chwilą wysokie, poleciały na łeb na szyję.

— Przecież nie mogłabym wpuścić do DPS-u dwudziestki dzieci, bo zaraz miałabym tu ognisko covidu. Występ nagrały panie w przedszkolu. To tutaj hit sezonu. — Uśmiech, z jakim to powiedziała, nagle zniknął. — Większość naszych podopiecznych to osoby w starszym wieku. Część to

ludzie samotni, a pozostali, przez pandemię, też zostali pozbawieni kontaktu z rodzinami. Te dzieciaczki z nagrania są dla nich niczym wnuki. Podśluchałam, że niektórzy nadają im nawet imiona. Mam nadzieję, że nie uznają tego państwo za niepokojące.

— Przeciwnie, pani kierownik — odpowiedział Michał. Laura poprzestała na zrobieniu mądrej miny. — Pandemia i tak podwoiła liczbę naszych pacjentów. Im więcej takich akcji, tym lepiej. Natomiast przechodząc do pana Romanowa...

— Mam tu jego dossier. — Kobieta położyła na biurku cienką teczkę, a potem usiadła po jego drugiej stronie. Laura odniosła wrażenie, żeteczka jest tylko rekwizytem. Kierowniczką podawała im kolejne informacje w taki sposób, jakby odtwarzała je z pamięci. Ksiądz van Thissen byłby z niej dumny. — Szymon Romanow, urodzony w Nowym Dworze w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku, od urodzenia mieszka w Legionowie... Oczywiście z licznymi przerwami na hospitalizację. Kawaler, bezdzietny, nie posiada rodzeństwa, z rodziny przy życiu pozostaje tylko ciotka, siostra matki.

— A rodzice? — spytała Laura.

Te informacje znajdowały się zapewne również w dokumentacji szpitala, ale minionej nocy nie zwróciła na nie uwagi. Koncentrowała się na ewentualnych związkach Romanowa z jej babcią, a także na przebiegu jego choroby.

— Rodzice zmarli. Ojciec już dawno temu, a matka przed siedmioma laty. Byłam na pogrzebie, ale bez niego. Po tym, jak dowiedział się o jej śmierci, trafił do was. Albo do Tworek.

— A gdzie mieszkał? Z rodzicami? Zameldowany był tu, w Weteranie.

— I właśnie tu mieszkał — odparła kobieta. — Rodzinny dom był przed nim zamknięty. Prawda była taka, że na miejscu matki zrobiłabym to samo.

Facet miewał kłopoty z poruszaniem się, często nie kontrolował wypróżnień... A ważył ze sto kilogramów. Nie miała siły się nim zajmować. I chyba nie chciała.

— Nie chciała? Przecież to jej syn.

Laura otrzymała kolejne pobłażliwe spojrzenie.

— Nie każda matka jest gotowa do poświęceń. Pani Romanow nie była. Ale w dawniejszych czasach, gdy jeszcze była w stanie się poruszać, często go tu odwiedzała. Z tego, co wiem, odwiedzała go również w szpitalach. Mogą państwo zdradzić, jak mu się wiedzie?

Michał rozłożył ręce.

— Niestety, tajemnica lekarska.

— Wróci tu kiedyś?

— Mam nadzieję. Ale chyba nieprędko. Proszę nam opisać jego... nazwijmy to odchyleniami od normy.

Kierowniczka po raz pierwszy na dłużej zerknęła do papierów.

— Mam tu informacje o atakach paniki. Były okresy, gdy zdarzały się one bardzo rzadko, a potem następowała eskalacja. Jak przy chorobie afektywnej dwubiegunowej.

— Co wywoływało tę eskalację?

— Powiedziałabym, że pora roku. Zimą zazwyczaj był spokojny. Im robiło się cieplej, tym ataki były częstsze.

— Nic dziwnego. W zimie nie pada deszcz. A jeśli już, to nie jest on ulewny.

— Słucham?

Kobieta sprawiała wrażenie, jakby nie dostrzegała korelacji między atakami Romanowa a kwestią szumiącej wody, ale Laura wolała się upewnić.

— Jak pan Szymon reagował na odgłosy towarzyszące ulewom?



— Nie mam pojęcia.

— A na prysznic lub dźwięk spuszczonej wody?

— Był abnegatem. Nie znosił się kąpać, a toalety unikał jak ognia. Lubił... proszę wybaczyć mi dosłowność, lubił zrobić kupę w krzakach. Goniliśmy go za to, ale efekty były niezadowolające. Zimą często się przez to przeziębiał. No i wtedy zdarzało się, że robił to, co miał robić, bezpośrednio w spodnie.

Laura spojrzała na Michała, a on pokręcił głową. W szpitalu Romanow nie miał takich problemów. Okazało się, że znalazł idealne rozwiązanie.

— U nas po prostu nie spuszczał po sobie wody. Pani kierowniczo, a proszę nam powiedzieć, czy pan Romanow miał w przeszłości jakieś złe doświadczenia z wodą. Na przykład wypadek na łodzi albo podtopienie.

Kobieta zaprzeczyła.

— O niczym takim nie słyszałam. Nigdy bym na to nie wpadła. Jego zaburzenia naprawdę były związane z fobią na tle szumu wody?

Laura zerknęła na Michała, a Michał na Laurę.

— Chcieliśmy to potwierdzić właśnie u pani.

Kobieta wyraźnie się zasępiła. Jej wyraz twarzy kontrastował z coraz głośniejszymi dźwiękami dziecięcego występu.

— Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że coś rzeczywiście musiało być na rzeczy. Odgłosy deszczu. Spuszczanie wody. No tak. — Otworzyła zeszyt, wyrwała kartkę, a potem naniosła na nią adres, przepisując go z dokumentacji. — Ciotka pana Romanowa nazywa się Zofia Majewska. Musi być już dobrze po osiemdziesiątce, ale nie słyszałam, by miała jakieś poważniejsze problemy ze zdrowiem. Mam nadzieję, że wciąż tam mieszka, bo ten adres podała nam naprawdę dawno temu.

— Myśli pani, że ona coś wie?

Kierowniczka wstała i zatrzasnęła okno. Dźwięki przedszkolnego walczyka urwały się niczym ucięte nożem.

— Nie myślę, tylko wiem. Teraz rozumiem.

— Co pani rozumie?

— Ciotka zawsze dawała mu na urodziny parę nauszników.

Zofia Majewska, ciotka Szymona Romanowa, mieszkała na osiedlu Kozłówka. Laura, zanim wsiadła na motocykl, znalazła je na mapie. Już na pierwszy rzut oka było to miejsce jedyne w swoim rodzaju. Ze wszystkich stron otaczały je tory kolejowe.

— Zjemy coś teraz czy potem?

Słowa Michała tłumił kask.

— Potem — zdecydowała Laura. — Miejmy to już z głowy.

Na żywo osiedle Kozłówka robiło jeszcze większe wrażenie niż na mapie. Obecność wyznaczających jego granice torów sprawiała, że przejechawszy przez jedyny przejazd kolejowy, można się było poczuć jak w twierdzy. Przy przejeździe stały nowe budynki, ale Majewska mieszkała w głębi, w jednym z ceglanych budynków, przywodzących na myśl zabudowania pofolwarczne. Laura przepuściła nazwę osiedla przez wyszukiwarkę. Niewiele się pomyliła. Budynki były pozostałością po carskich koszarach.

— Dziwny klimat, co? — Michał wskazał na wybite okno i dwóch kloszardów ćmiących papierosy na placu zabaw. — Mam nadzieję, że będziemy mieli na czym wrócić — dodał, zerkając na motocykl.

Kozłówka była miejscem kontrastów. Pięknie ukwiecone balkony sąsiadowały z takimi, na których suszyły się stare szmaty. Na skwerze między budynkami parkował czerwony chevrolet, a obok niego — zbrązowiały od rdzy duży fiat. Budynek, którego adres zapisała im

kierowniczką DPS-u, znajdował się na skraju osiedla, tuż obok linii kolejowej. Gdy do niego dochodzili, po torach przemknął pociąg — tak blisko, że owiał ich pęd powietrza. Na schodkach domu siedział najwyżej dziesięcioletni chłopiec. Pociąg nie wzbudził w nim żadnych emocji. Nie podniósł nawet głowy, oddając się kontemplowaniu rysunku, który właśnie ukończył. Uproszczonej wersji męskich genitaliów.

— Czy mieszka tu pani Majewska?

— Tak — odparł, obracając w palcach ogryzek kredy. — Pod czwórką. Pan do niej?

Jak na dziesięciolatka miał zaskakująco chropowaty głos i impertynenckie spojrzenie. Laura, mijając go, mocniej przytrzymała torebkę — tę, która podczas jazdy motocyklem nabijała jej siniaki na pośladku. To była ta gorsza część Kozłówek. W budynku nie było kwiatów. A na tle obscenicznych grafik na klatce schodowej rysunek stworzony przez chłopca wcale nie wydawał się wulgarny. Przeciwnie, był wręcz wysublimowany.

— Chciałabyś tu mieszkać?

— Tu? — Laura wskazała na drzwi, które wyglądały tak, jakby ktoś potraktował je siekierą, a potem przeniosła wzrok na podejrzaną kałużę na półpiętrze. Cuchnęło stęchlizną i moczem. — Nie, nieszczególnie. Zrobiłabym wiele, żeby się stąd wyrwać.

Zza drzwi na pierwszym piętrze dobiegały odgłosy awantury. Zachrypnięty bas mieszał się z histerycznym mezzosopranem, a w tle słychać było brzęki, jakby ktoś rozbijał talerze. Na drzwiach jakaś drżąca dłoń nakreśliła piątkę.

— Przyjemne sąsiedztwo — stwierdził z przekąsem Michał.

Zachowywał się tak, jakby spacerowali po Łazienkach. Laura nie była

tak wyluzowana. Miała ochotę stąd wyjść, i to jak najszybciej. Powstrzymywała ją tylko ciekawość.

— To tutaj.

Wskazała na drzwi opatrzone czwórką, a potem zapukała. Michał zrobił to również, tyle że energiczniej. W jego wykonaniu było to bardziej walenie niż pukanie.

— Jest po osiemdziesiątce. Kiepsko słyszy.

Wbrew jego przeświadczeniu kobieta, która otworzyła im drzwi, wcale nie sprawiała wrażenia wiekowej. Miała wyrazisty makijaż, a włosy ufarbowane na czarno przywodziły na myśl skrzydła kruka. Wrażenie witalności prysło jednak jak bańka mydlana, gdy tylko się odezwała. Jej głos był świszczący i cichszy od szeptu. W panujących tu warunkach, z dobiegającymi z sąsiednich drzwi odgłosami kłótni, praktycznie niesłyszalny.

Michał przedstawił się jako lekarz, ale kobieta nie była z tych, którzy ufają obcym. Biorąc pod uwagę miejsce, w którym żyła, nie można było mieć o to pretensji. Gdy psychiatra zaproponował, by wpuściła ich do środka, cofnęła się i zaczęła zamykać drzwi.

— Pani Zofio, a może wyjdziemy na zewnątrz? — zaproponowała szybko Laura. Zdążyła w ostatniej chwili. Majewska popatrzyła na nią przez szparę. — Chcielibyśmy porozmawiać o pani siostrzeńcu, Szymonie. Czy możemy zaczekać przed domem?

Staruszka kiwnęła głową. Zeszli na parter i po chwili od strony schodów dobiegły ich odgłosy niepewnych kroków.

— Chodź, wyjdźmy, bo się wystraszy.

Czując na sobie zaciekawione spojrzenie warującego przed wejściem dziesięciolatka, usiedli na ławce. Majewska zjawiała się po niespełna

minucie. Jej usta poruszyły się bezgłośnie. Laura skupiła uwagę i jakoś udało jej się zrozumieć na wpół nieme pytanie.

— Nie, proszę się nie martwić. Pan Szymon żyje i jest bezpieczny. I nic mu nie dolega. Pan, który ze mną przyjechał, jest lekarzem. Próbuje mu pomóc i w tym celu chciałby zadać kilka pytań.

Staruszka przyłożyła dłoń do ucha, dając w ten sposób znać, że słucha. Wokół szyi miała zawiązaną apaszkę, spod której było widać dziurę po wyciętej krtani. Problemy z gardłem nie wyleczyły jej z palenia. W szczupłej dłoni pojawił się cienki papieros. Michał najwyraźniej postanowił schować skrupuły do kieszeni, bo podał jej ogień.

— Czy pan Szymon od zawsze bał się szumu wody?

Staruszka pokręciła głową, a potem poruszyła ustami. Laura, która próbowała czytać z ruchu warg, odniosła wrażenie, że słowem, które próbowała wypowiedzieć, była Polska, ale Michał, który siedział bliżej, niewrażliwy na zapach papierosa, usłyszał lepiej.

— Od czasów wojska, tak?

Staruszka potwierdziła, a potem przyłożyła do ust papierosa. Michał poczekał, aż się zaciągnie.

— Gdy był w wojsku, miał jakiś wypadek, tak? — Skinienie głową. — Dręczyli go żołnierze ze starszego rocznika?

Tym razem głowa staruszki wykonała ruch przeczący. A więc problemy Romanowa nie były wynikiem sadystycznej fali. Nikt go nie podtapiał. Pozostawała tylko jedna możliwość.

— Czy pan Szymon się topił? — spytała z przejęciem Laura. — Jak to się stało? I gdzie?

Staruszka niespodziewanie wstała i ruszyła w kierunku klatki. Michał zrobił za nią kilka kroków, ale potem się zatrzymał.

— Obraziła się czy co?

Laura przeanalizowała swoje słowa. Nie było w nich nic obraźliwego.

— Może musiała pójść do toalety?

— To zaczekajmy, chociaż wiemy już wszystko, co trzeba. Teraz musimy dotrzeć do kogoś z batalionu saperów. Do kogoś albo czegoś, czyli w tym wypadku do papierów.

— Dlaczego akurat do batalionu?

— Saperów? — dokończył. — To jednostka, z której Romanow trafił do Orzysza. Ewentualny incydent z podtopieniem na pewno nie przeszedł bez echa. Zapisał się w ludzkiej pamięci, a jeśli nawet nie, to pozostały jakieś protokoły, wyjaśnienia... Ślad w dokumentach.

— O ile ich nie zniszczono.

— Żartujesz? W wojsku wszystko jest ściśle tajne. Istotne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa i tak dalej. Takich danych się nie niszczy. Leżą sobie w archiwum, aż się rozpadną. A tak się składa, że mam kolegę w Alejach Niepodległości.

— W alei — poprawiła odruchowo. — Co tam jest?

— Ministerstwo Obrony Narodowej.

— Masz wielu kolegów.

Wzruszył ramionami.

— Jestem rozchwytywany. Każdy chce znać jakiegoś psychiatrę, tak na wszelki wypadek... — Przymrużył oko, a potem podniósł się z ławki. — Wraca. Niesie jakieś szpargały.

Szpargały okazały się starym albumem. Gdy go otworzyła, w powietrzu zaroilo się od drobinek kurzu. Zdjęcia były czarno-białe. Wionęło od nich czasami realnego socjalizmu.

— To on?

Ze zdjęcia patrzył młody przystojniak z wypomadowaną czupryną i zbyt długimi bakami. W niczym nie przypominał przegranego, zmęczonego

życiem i niedomytego grubasa, którego widziała na oddziale. Przemiana była stuprocentowa. Laura uznała ją za cholernie przykrą.

Na następnej fotografii Romanow był już w mundurze. Uśmiechał się zawadiacko, a na pagonie miał pojedynczą belkę. O ile czegoś nie pokręciła, w ten sposób oznacza się starszego szeregowego. Zdjęcie zrobiono zapewne bezpośrednio po awansie. A może w dawnym życiu zawsze się tak uśmiechał?

Teraz był ponury i pogodzony z losem.

— A to... Co to za zdjęcie?

Ujęła fotografię za brzegi, a gdy staruszka nie zaprotestowała, wyjęła ją z albumu. Na odwrocie była data. Sierpień 1984.

Data również miała znaczenie, ale najbardziej liczyło się to, co uwiecznił fotograf. Kilku żołnierzy w pełnym rynsztunku pozowało na tle panoramy Warszawy. W tle było widać Pałac Kultury i niedokończoną wieżę Marriotta. Laura widziała niedawno podobne zdjęcie. Westchnęła i jeszcze raz zerknęła na datę, a potem przeniosła wzrok na staruszkę. Zofia Majewska wskazywała na zdjęcie i poruszała ustami, powtarzając — na granicy słyszalności — te same dwa słowa.

*To tam.*

Wypadek, który zniszczył życie Szymona Romanowa, wydarzył się tam, gdzie zrobiono to zdjęcie. Na terenie Stacji Filtrów.

— Wyglądasz jak Sigma i Pi — zażartował Michał Tracz.

Dotąd zachowywał uprzejmy dystans, ale teraz pozwolił sobie na poufałość. Laura nie była pewna, czy jej się to podoba. Owszem, wspólna jazda motocyklem zmniejszyła bariery, ale czy aż do tego stopnia?

— Albo Sigma, albo Pi — sprostowała. — Nie mogę być nimi obojgiem jednocześnie, ale prawdę mówiąc... tak się czuję.

Kombinezon, który nałożyła na ubranie, był na nią o kilka numerów za luźny. Nogawki i rękawy mogła zawinąć, lecz pozostawały fałdy nadmiarowego materiału w okolicach brzucha i bioder. No i kwestia zapachu. Rzecznik Filtrów zapewnił ją, że wypożyczony ubiór jest wyprany, ale nawet jeśli tak było, to smród warszawskich kanałów wniknął w każdą z nitek. Czuła się tak, jakby przed chwilą kąpała się w ścieku. Cuchnęła nawet naszywka z logotypem miejskiego zakładu wodociągów.

Stali we dwoje przed budynkiem filtrów powolnych, tylko kilkadziesiąt metrów od budynku muzeum — miejsca, w którym wczoraj przeczekala burzę. Kusilo ją, by porównać tamtejsze zdjęcie dziadka z fotografią, którą wypożyczyła od Zofii Majewskiej. Romanow wraz z kolegami z jednostki — batalionu saperów — pozował do zdjęcia z miejsca położonego chyba nieco bliżej Pałacu Kultury niż to, w którym stał jej dziadek... Ale niewiele bliżej. Krążyli z Julianem Kalinowskim po tych samych ścieżkach, oddychali tym samym powietrzem. I wiele wskazywało na to, że uczestniczyli w tym samym wypadku — we wrześniu osiemdziesiątego czwartego roku.

— Co ci powiedział ten kumpel z MON?

— Niewiele — przyznał Michał, spozierając w kierunku wieżowców: Pałacu Kultury i wyższego od niego Varso Tower. W tle widać było jeszcze najpiękniejszy z warszawskich drapaczy chmur, tak zwany Żagiel. — Na pewnym etapie część żołnierzy batalionu saperów rzeczywiście stacjonowała na Filtrach. Pomagali przy pracach inżynieryjnych.

— Mają coś o tym wypadku?

— Nie. Batalion saperów był częścią Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych, a te podlegały pod inny resort. Pod MSW.

— Inny resort, inne archiwum?

— Na to wygląda. Niestety akurat w MSW nie mam żadnego kolegi.



— Trudno — westchnęła z udawanym zawodem Laura. — Będziemy musieli z tym żyć.

Popatrzył na nią spod przymrużonych powiek i uczynił gest, jakby chciał sprzedać jej kuksańca. Na wszelki wypadek zrobiła dwa kroki w tył, a jej myśli popłynęły do Norwegii. Milena miała rację. Michał rzeczywiście był fantastycznym facetem. Ale nie umywał się do jej chłopaka. Nie dorastał mu do pięt. Tęskniła. Tak bardzo, że sprawiało jej to fizyczny ból.

Ten ból musiał objawiać się nie tylko w duszy, ale i na twarzy, bo rzecznik Filtrów, który dołączył do nich po kilkuminutowej nieobecności, natychmiast zaczął się tłumaczyć:

— Na dole jest mokro, brudno i zimno. Wiem, że ten kombinezon jest odstręczający, ale...

— Jest w porządku.

Otrząsnęła się z melancholii i nawet udało jej się uśmiechnąć. Michał coraz częściej wykazywał cechy wysublimowanego podrywacza, natomiast rzecznik zdawał się jego przeciwieństwem. Jego postrzeganie świata było mało skomplikowane. Jeżeli kobieta była smutna, to musiało chodzić o brzydkie ubranie.

— Na pewno?

— Jasne. Wieczorem zamówię sobie taki na Allegro.

Jej poczucie humoru może i nie było wysokich lotów, ale spełniało swoją funkcję — pozwalało zamaskować zdenerwowanie. Kiedy przed godziną zadzwoniła do rzecznika z prośbą, by postarał się wydobyć z mroków niepamięci jak najwięcej szczegółów dotyczących wypadku, nie spodziewała się, że zaproponuje wizję lokalną. Nazwisko jej dziadka otwierało tu naprawdę wiele drzwi i czyniło możliwym nagięcie przepisów. Zwiedzający nie byli oprowadzani po zbiornikach pod Koszykową. Podobno miejsce należało do tych niebezpiecznych, ale dla niej zrobiono

wyjątek. Nie była do końca pewna, czy ma się cieszyć. Chyba wolałaby pogadać o wypadku w gabinecie, przy szklance herbaty.

A tymczasem czekała ją wycieczka po oślizgłych, przerażających podziemiach.

Minęła szesnasta i Stacja Filtrów stopniowo pustoszała. Wśród pracowników zmierzających w kierunku bramy Laura dostrzegła strażnika, który wczoraj nie chciał jej wpuścić. Gdy rzecznik zamachał w jego kierunku rękami, zrobiła kwaśną minę. Strażnik miał na sobie taki sam kombinezon, jak ich troje.

— On też z nami schodzi?

— Tak — odparł rzecznik, a potem uśmiechnął się tajemniczo. — Może nam się przydać, a teraz... Proszę to wziąć. Na dole jest ciemno jak w grobie.

Wyposażona w silną latarkę i pełna nadziei, że wypadek dziadka był ostatnim takim zdarzeniem w historii zakładu, weszła do niepozornego ceglanego budynku, pamiętającego czasy Lindleyów. Rzecznik poprowadził ich grupkę do metalowego wjazdu, a potem — uzbrojony w stalowy pręt — podniósł pokrywę, odsłaniając owalny otwór. W ścianę wmontowane były klamry, a bijący z wjazdu zapach budził skojarzenie z zalaną piwnicą. Zaświeciła w mglistą ciemność i — ostatnia z grupy — postawiła stopę na pierwszej klamrze, opuszczając się w kierunku wnętrza ziemi.

— Za czasów pani dziadka było tu trochę inaczej. — Głos rzecznika dobiegający z poziomu jej stóp był dziwnie dudniący. — Ta część Stacji wciąż była w użyciu, a teraz... Teraz to zabytek. I jak, panie Zygmuncie? Podoba się panu?

Mówił do mrukowatego strażnika. Mężczyzna stwierdził krótko, że tak, a potem zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami uderzeń stóp

o klamry. Było coraz ciemniej i zimniej. Chłodna wilgoć atakowała każdy fragment odsłoniętej skóry, wprawiając Laurę w drżenie.

— Nie po oczach, proszę.

Michał skierował światło latarki nieco w bok i podał jej rękę. Zeskoczyła z ostatniej klamry na twardą powierzchnię. Wszystko wokół — podłoga, ściany i rozpoczynający się kilka kroków dalej korytarz — wykonane było z czerwonej cegły. Znajdowała się w idealnym stanie. Wprost trudno było uwierzyć, że opiera się panującej tu wilgoci od...

— Od ponad stu lat. — Rzecznik upewnił się, że wszyscy ominęli ogromną kałużę. — Tę część Filtrów zbudowano tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Niech pani patrzy pod nogi. I pan, panie Michale. Takich niespodzianek będzie więcej.

Laurze niestraszne były kałuże. Wypożyczony strój, w którego skład wchodziły także kalosze, doskonale izolował nie tylko przed zimnem, lecz także wilgocią. Michał nie miał tyle szczęścia, co ona. Jego stopy miały rozmiar czterdzieści siedem, dlatego musiał pozostać w swych przypominających kajaki mokasynach. Istniało ryzyko, że je tu zostawi, bo w korytarzu, którym podążali, oprócz kałuż pojawiały się pryzmy kleistego szlamu.

— Mniej więcej w tej chwili wychodzimy poza teren Filtrów. Powyżej jest ogrodzenie, a dalej — ulica Koszykowa.

Pod Koszykową miały się znajdować gigantyczne zbiorniki, ale na razie nic na to nie wskazywało. Korytarz, będący zapewne elementem sieci kanałów, stawał się coraz węższy i niższy. Laura czuła się tak, jakby penetrowała bunkier. Nigdy nie cierpiała na klaustrofobię, ale nagle odniosła wrażenie, że ceglaste mury zaczynają na nią napierać.

— Robi się wąsko, prawda?

Pogodny ton rzecznika nijak nie przystawał do sytuacji. Laura chciała

zapytać, jak daleko jeszcze, ale udało jej się powstrzymać. Nie chciała wyjść na cykora — tym bardziej że maszerujący za nią Michał pogodnie pogwizdywał.

— Nie boisz się? — spytała półgłosem, który i tak wrócił do niej echem.

— Umieram ze strachu — odparł Michał. Poważny ton wskazywał na to, że nie żartuje. — Nie znoszę takich miejsc. Kiedyś, gdy bawiłem się w speleologię... Wiesz, co to takiego?

— Badanie jaskiń?

— Dokładnie. Łączyłem to z amatorską wspinaczką. I pewnego dnia w Jaskini Mylnej, w zacisku poza trasą udostępnianą turystom, uszkodziłem swoją czołówkę...

Nie poznała finału tej przygody. Korytarz doprowadził ich do ogromnej podziemnej komnaty, której ceglany strop wspierał się na ceglanych — a jakże! — kolumnach. Posadzkę przykrywała woda, w której mogli się przejrzeć niczym w lustrze. Było tu magicznie i tajemniczo. Laura poczuła się jak w podwodnej katedrze.

— Brakuje tylko złotej kaczki — wyszeptała, a stojący obok Michał zachichotał.

— I bazyliuszka. Wiem, to nie ta bajka.

Rzecznik bez najmniejszego zawahania skoczył z krawędzi wprost do wody. Okazała się płytko — jej głębokość nie przekraczała dziesięciu centymetrów, ale gdy Laura, ufając swym kaloszom, poszła w jego ślady, przytrzymał ją za rękaw kombinezonu.

— Proszę się nie oddalać. To niebezpieczne miejsce. Piękne, ale niebezpieczne. — Z jego dalszych słów wynikało, że pod lustrem wody co kilkanaście metrów znajdowały się studnie spustowe. Miały po kilkanaście metrów głębokości, zatem nieostrożny krok mógł się skończyć — w najlepszym wypadku — całkowitym przemoczeniem ubrania.

I wyziębieniem. — Spuszczamy tu nadmiar wody, już przefiltrowanej. Można ją pić. Jest czystsza niż w górskim potoku. Proszę. Na koszt zakładu.

Laura nie zamierzała korzystać z zaproszenia. Ruszyła za rzecznikiem, oświetlając drogę swoją latarką. Promień światła wydobywał z ciemności kolejne tajemnice zatopionej komnaty. Jakieś dziwne żelazne mechanizmy budzące skojarzenie z salą tortur, niespodziewane wnęki w murze, krople odrywające się od sklepienia i pędzące na spotkanie podziemnego jeziora... Na krople zwrócił uwagę także Michał, ale na swój pozbawiony romantyzmu sposób:

— To nie jest środowisko dla osób cierpiących na reumatyzm. Ile tu jest procent wilgotności? Pewnie z dziewięćdziesiąt.

Chciała syknąć, żeby się zamknął, ale w tym momencie blask którejś z latarek padł na jego kompletnie przemoczone buty. Nic dziwnego, że był tak niewrażliwy na piękno tego miejsca. Miał prawo marudzić.

— To, co się wtedy wydarzyło, zaczęło się tutaj.

Rzecznik zatrzymał się tak niespodziewanie, że Laura odbiła się od jego pleców. Przed kłapnięciem w płytką wodę uchronił ją desperacki balans, lecz i tak nie uniknęła podpórki. Woda może i była czysta, ale także cholernie zimna. Momentalnie zdrętwiały jej palce.

— Rozumiem, że swój udział w tym wypadku miało to żelastwo?

Michał wskazał na siermiężny mechanizm i znajdującą się za nim klapę, teraz uchyloną. Miała powierzchnię nagrobnej płyty. Każdy element metalowego ustrojstwa pokrywała warstwa chropowatej rdzy.

— To główny spust do sieci kanałów. Obecnie zamurowany. W chwili gdy doszło do wypadku, trwały właśnie prace inżynierskie. Prowadzono je przy udziale wojska.

Stękając z wysiłku, pokręcił zardzewiałym kołem, otwierając klapę

jeszcze szerzej. Towarzyszący temu dźwięk przyprawił Laurę o gęsią skórkę. Kłapa protestowała metalicznym jazgotem, ale wreszcie stanęła otworem.

— Proszę bardzo.

Laura zaczerpnęła powietrza, przywołując odwagę. Ciemność za kłapą wydała jej się bardziej nieprzenikniona niż gdzie indziej. Gdy się zorientowała, że zaproszenie nie było skierowane do niej, spłynęła na nią fala ulgi.

— Bardzo proszę, panie Zygmuncie. To pańska działka.

Strażnik na moment zniknął w otworze. Potem wewnątrz rozbłysło światło.

— Zapraszam. Tu jest sucho i chyba trochę cieplej, ale i tak nie mógłbym tu spać. Nie te lata.

Laura sądziła, że uwaga o śnie ma charakter wyłącznie teoretyczny, jednak Michał odebrał ją inaczej.

— Pan tu spał?

Niedowierzenie w jego głosie sprawiło, że strażnik parsknął śmiechem.

— Wiele razy, kochany. Ktoś musiał pilnować, żeby nie rozkradli narzędzi. Rozkaz to rozkaz. Ale miałem wtedy dwadzieścia lat.

— Był pan w wojsku? W batalionie saperów?

— Zgadza się. — Odwrócił głowę i odszukał w ciemności sylwetkę Laury. — Wypadek z udziałem pani dziadka odbił się u nas szerokim echem.

Ciemna czeluść za kłapą kończyła się wymurowaną ścianą. Jakość robót nijak nie przystawała do tej z czasów Lindleyów. Mur łuszczył się i pękał, a jego powierzchnia była nierówna — miejscami gładka jak stół, a miejscami chropowata. Kojarzyła się z zepsutym zębem.

— Tak to jest, gdy takie zadania powierza się żołnierzom zasadniczej służby wojskowej — skwitował pan Zygmunt, opierając się o solidną ścianę z cegły. Muru, który pomagał postawić, wolał nie dotykać, wystawiając w ten sposób świadectwo jego wątpliwej jakości. — Podobno wcześniej korzystaliśmy z lepszych materiałów, ale to i tak nic nie dało. Gdy wdarła się tu woda, z prawie ukończonego muru... z jego pierwotnej wersji nie został kamień na kamieniu.

— Gdzie pan wtedy był?

— Gdy doszło do wypadku? — Pan Zygmunt przez chwilę milczał. — W internacie przy placu Zawiszy.

— Wojsko kwaterowało w internacie?

— Nie, w koszarach przy Kocjana. Gdy doszło do wypadku, chodziłem jeszcze do technikum. Na Woli, przy Okopowej. W kamasze wzięli mnie rok później. Uczestniczyłem w budowie drugiego muru, który powstał w miejscu zawałonego.

— Czyli nie znał pan Szymona Romanowa?

Strażnik popatrzył na Michała z zastanowieniem. Powtórzył to nazwisko kilka razy, po czym pokręcił głową. W blasku oświetlających pomieszczenie latarek jego twarz wyglądała na znacznie młodszą niż na zewnątrz.

— Tak nazywał się ten żołnierz? Nazwiska nie kojarzę, ale oczywiście wiem, co się z nim stało. To wszystko stanowiło tajemnicę wojskową, ale i tak się o tym mówiło. Ku przestrodze. — Podniósł się i podszedł do klapy. Z tej perspektywy rozciągający się za nią zbiornik zdawał się nie mieć końca. — To wydaje się niewiarygodne, ale w wypadku awaryjnego spustu filtrowanej wody jej poziom wzrasta o dwa metry w przeciągu kilkunastu minut. To wygląda tak, jakby ktoś napełniał ogromne naczynie z jeszcze większego dzbana. Podobno, bo ja na szczęście tego nie widziałem. I chyba

niewielu jest ludzi, którzy mogą o sobie powiedzieć, że widzieli. Z chwilą, gdy otwierają się spusty, to miejsce zamienia się w piekło.

— Wyobrażam sobie.

— Z całym szacunkiem, panie doktorze, to przekracza granice wyobraźni. Pan Kalinowski zszedł tutaj do samego środka tego piekła. Dlatego cieszył się w Filtrach taką estymą.

— A w jaki sposób dostała się tu woda?

Laura wskazała na sklepienie. Gdzieś wyżej znajdowały się kanały łączące zbiornik z miejscami, w których filtrowano wodę — w takich ilościach, że starczało jej na większą część Warszawy.

— Spusty były otwierane z poziomu głównej sterowni — odpowiedział jej rzecznik. — Wszystko było zautomatyzowane. Mówiąc prościej — na guzik.

— I kto wcisnął ten czerwony guzik?

— Nigdy tego nie odkryto. Po wypadku zmieniono nie tylko dyrektora, ale także procedury, a z czasem wprowadzono dodatkowe zabezpieczenia. Nigdy wcześniej... i nigdy później do tego nie doszło. Zrzuty wody dokonywane były w sposób kontrolowany, także w celu przepłukania kanałów. Ale o tym już pani mówiłem.

Michał, który na moment wrócił do podziemnej komnaty zbiornika, pojawił się z powrotem w oknie klapy. W butach chlupotała mu woda, ale zdawał się tego nie zauważać.

— Po otwarciu spustów poziom wody podniósł się na tyle, że dostała się tutaj?

— Wpłynęła z prędkością górskiej rzeki — skorygował rzecznik. — Podobno zniosła budowany właśnie mur, a przynajmniej jakąś jego część. I popłynęła dalej, kanałami.

— A Romanow? Rozumiem, że miał to nieszczęście, że akurat pełnił



wartę.

— Prawdopodobnie spał — wtrącił pan Zygmunt. — Za moich czasów był tu siennik. — Wskazał na róg pomieszczenia. — Gdzieś w tym miejscu. Służba wartownicza w tym miejscu, przy murze i narzędziach, była niezłą fuchą. Można było odpocząć. Porządnie się wyspać.

Laura nie próbowała nawet wyobrazić sobie, że tu zasypia — sama, odcięta od świata, w absolutnej ciemności. To było zbyt surrealistyczne.

— Mój dziadek uratował mu życie?

Skierowała to pytanie do pana Zygmunta, ale odpowiedzi udzielił jej rzecznik.

— Owszem. W pewnym sensie. Pan Julian najpierw zablokował spust wody, a potem zszedł tutaj, zdołał dostać się do klapy i ją zamknął. Po drodze stracił fragmenty dwóch palców.

Wskazał na krawędź pordzewiałej klapy, a Laura nie zdołała powstrzymać westchnienia. Wyobraźnia podsunęła jej obraz dwóch unoszących się na wodzie kielbaskopodobnych kształtów z długimi paznokciami.

— A co z Romanowem? — zapytał Michał, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu. — Został tu, razem z tym siennikiem?

Pan Zygmunt przesunął dłonią po murze. Tym, który pomagał stawiać.

— Tej przegrody wtedy tu nie było. Korytarz prowadził dalej, do miejsca, które nazywaliśmy rozdzielnią. Takiej salki, z której we wszystkich kierunkach rozchodziły się kanały burzowe. Był pan w Muzeum Powstania Warszawskiego?

— Byłem.

— To pan wie, jak wyglądają. Z cegły, wysokie na mniej więcej półtora metra, a szerokie na niecały metr.

— I Romanow popłynął z wodą tymi kanałami?

Były żołnierz skinął głową.

— Trudno sobie wyobrazić, co musiał wtedy czuć. Na wpeł utopiony, niesiony wodą, która płynęła kanałami z prędkością górskiego potoku. W jednostce mówiło się o różnych miejscach. O placu Unii Lubelskiej. O studziencie przy Alejach Ujazdowskich. A nawet o ujściu kanału pod mostem, bodajże Syreny. Nie sądzę jednak, by woda przepchnęła go tak daleko. Aby zwariować, wystarczyłoby nawet kilkadziesiąt metrów.

Laura miała bujną wyobraźnię, ale akurat tego wołała sobie nie wyobrażać. Bała się, że szalona podróż podziemną rzeką będzie nawiedzać ją w koszmarach.

— Sam się wydostał? — spytała zachrypniętym głosem.

— Podobno tak. Trudno w to uwierzyć, ale nic mu się nie stało. Nie miał nawet otarć, a przynajmniej w jednostce powstała taka legenda. Wyszedł bez szwanku, oczywiście tylko pod względem fizycznym. Zabrali go do szpitala, ale jeszcze tej samej nocy go wypisali. A potem — pan Zygmunt pochylił głowę — narobił głupot i podobno trafił do wariatkowa...

Rzecznik chrząkał już od dłuższej chwili. W końcu nie wytrzymał i przerwał strażnikowi w połowie zdania:

— To nie było do końca tak. Z dokumentów, które udało mi się odnaleźć, wynika, że Julian Kalinowski zarządził akcję ratunkową. Wzięli w niej udział również żołnierze. Znaleźli tego biedaka... Romanowa, tak? — spytał, a potem ciągnął dalej, nie czekając na potwierdzenie: — Nie przy żadnym placu Unii ani w Alejach Ujazdowskich, tylko pod CePeLekiem, na rogu Koszykowej i Chałubińskiego. Nie dość, że wydostał się z kanału o własnych siłach, to jeszcze wyciągnął dwóch gówniarzy.

Laura poczuła, jak na ramieniu zaciska jej się dłoń Michała.

— Wyciągnął ich z kanału? — spytał psychiatra.

— Na to wygląda. Obaj byli mokrzy i wymagali hospitalizacji. Nie mieli

tyle szczęścia, co ten żołnierz. Byli poranieni. Do tego stopnia, że trzeba było podać im krew.

— Skąd czerpie pan te informacje?

— Dotarłem do dokumentacji komisji odszkodowawczej. Dziadkowi pani Laury przysługiwało odszkodowanie za uszczerbek na zdrowiu. Za te utracone palce. W aktach sprawy jest notatka, w której pan Julian opisał przebieg akcji, aż do samego końca.

— Podał nazwiska tych chłopaków?

— Nie. Wspominając o nich, posłużył się tym samym określeniem co ja. Nazwał ich gówniarzami. No i opisał ich stan.

Wiele wskazywało na to, że jednym z gówniarzy był Aleksander Rajzer. On też, tak jak Romanow, od lat zmagał się ze stresem pourazowym, który eskalował w momencie ekspozycji na szum płynącej wody. Czy zaburzenia obu mężczyzn miały to samo źródło? To było możliwe, a wręcz prawdopodobne.

— Co oni tam robili?

— Ci gówniarze? Cholera wie. Być może akurat penetrowali kanały, tak dla zabawy. W tamtych czasach również nie brakowało eksploratorów, łowców mocnych wrażeń. Nie było tylko Internetu, technologii i co za tym idzie — filmików na YouTube.

— A może ci chłopcy też byli tutaj, na terenie zbiornika? — Laura starała się nie szczekać zębami, ale średnio jej to wychodziło. Od kilku minut trzęsała się z zimna. Kombinezon był gruby, lecz zbyt luźny. Chłód wnikał pod niego przez każdą fałdkę. — Może woda porwała ich razem, bo przecież prawdopodobieństwo, że wpadli na siebie w kanale, jest chyba niewielkie. Ile kilometrów ma warszawska sieć kanałów?

— Ponad trzy tysiące — odparł rzecznik. — Ale to niemożliwe. Nie

mogli się tu dostać. Filtry były i są dokładnie pilnowane. To kwestia bezpieczeństwa mieszkańców Warszawy.

Laura nie była przekonana i dała temu wyraz:

— Ktoś jednak dostał się tamtej nocy na teren Filtrów. Ktoś musiał nacisnąć ten cholerny guzik.

— Komisja uznała to za efekt awarii. Zwarcie instalacji. A jak było naprawdę? Tego się niestety nie dowiemy.

Udała, że się zgadza, ale w głębi duszy powzięła postanowienie. Musi się tego dowiedzieć. Czowała przez skórę, że wyjaśniając tajemnicę wypadku w Stacji Filtrów, rozwiąże także tę drugą, znacznie ważniejszą.

Kto zabił babcię. I dlaczego.

Wielu spośród jej znajomych postrzegało lata nauki w liceum jako najlepszy okres w życiu, ale Laura nie podzielała tego poglądu. Czas nauki w szkole średniej, który częściowo pokrywał się z latami spędzonymi u babci Krysi, kojarzył jej się z okresami nudy przeplatanej kilkoma nietrafionymi miłostkami, kończącymi się zwykle po jednej randce. Wspomnienia Michała musiały być lepsze, bo gdy zatrzymali się przed budynkiem jej szkoły średniej, westchnął z melancholią, o którą go nie podejrzewała.

— Chodziłeś do Staszica? — spytała zaskoczona, bo nie zaliczał się do ludzi, których łatwo było przegapić.

— Nie, ale wszystkie licea są do siebie podobne. Pachną piwem, mentolowymi papierosami i brzoskwiniową pomadką do ust.

W reminiscencjach Laury dominowały zapachy kredy, papieru i pasty do podłogi, ale każdy przeżywał ten czas inaczej. Ona była kujonem, a on — jak sądziła — duszą towarzystwa. Nie przyjechali tu jednak, by oddawać się wspomnieniom, a w każdym razie — nie takim.

Jedyne wspomnienia, które ich interesowały, wiązały się z osobą Aleksandra Rajzera, niedoszłego absolwenta, który wyleciał ze szkoły w wyniku bójki z Alfredem Warszawskim. Sama bójka nie była tu ważna. Liczyło się przede wszystkim to, co mogło nastąpić wcześniej, we wrześniu osiemdziesiątego czwartego roku. Kilkaset metrów stąd. W okolicy Stacji Filtrów.

W szkole z pewnością zachowałyby się pamięć o dramatycznych wydarzeniach, w wyniku których jeden z uczniów trafił na ostry dyżur i miał przetaczaną krew. Zachowałyby się... o ile jednym z poszkodowanych w wyniku niekontrolowanego spustu do kanałów byłby rzeczywiście uczeń Staszica. Wiele wskazywało na to, że tak — jedną z ofiar był istotnie Aleksander Rajzer, ale Michał i Laura nie mieli stuprocentowej pewności. I tak miało pozostać.

— Zamknięte — stwierdził Michał, mocując się z klamką.

Laura odczytała na głos przyklejoną do drzwi informację:

— Szkoła nieczynna do drugiego sierpnia. No tak. Pandemia odpuściła i wszyscy wybrali się na wakacje.

— Trudno. — Michał nie należał do osób, które długo się przejmowały. — Tu pogadalibyśmy najwyżej z jakąś sklerotyczną nauczycielką. A tak dotrzemy bezpośrednio do kogoś z jego rocznika. Za pośrednictwem Naszej Klasy... o ile ten portal jeszcze działa.

Nasza Klasa miała zawiesić działalność dwudziestego siódmego lipca, a zatem dopiero za kilkanaście dni. Zanim wrócili do motocykla, psychiatra wynotował z portalu kilka nazwisk, a potem wklepał pierwsze z brzegu w wyszukiwarce innej, znacznie popularniejszej platformy — Facebooka. Niestety wyników było zbyt wiele. Westchnął i włożył kask.

— W pobliżu jest fajna pizzeria. Może pokombinujemy przy jedzeniu?

Nie miała ochoty przekopywać Internetu, ale na myśl o pizzy aż się

oblizwała. Umierała z głodu.

— A mają dostawę na telefon?

— Jasne. Często zamawiam stamtąd do szpitala.

— Chciałabym na chwilę wpaść do babci. Może zjemy tam?

Jeśli miał coś przeciwko, to starannie to ukrył. Zadzwoił do pizzerii, a potem przywiózł Laurę na Dantyszka i zaparkował kilka kroków od tablicy poświęconej Julianowi Kalinowskiemu.

— Co na niej bazgrali? Zboczeniec?

— Bardziej staroświecko. Wszetecznik.

— Za murem — wskazał w kierunku Filtrowej i przylegającego do niej ogrodu Stacji — mają go za bohatera. A tutaj za wszetecznika. To pokazuje, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

— Co masz na myśli?

— Nie, nic — wycofał się szybko, myśląc, że ją uraził.

Był w błędzie. Kiedyś dziadek wzbudzał w niej uczucia idealnie ambiwalentne, lecz po tym, co usłyszała o nim od ojca i przede wszystkim cici Moniki, nie dałaby za niego złamanego szeląga. Dziadek mógł być bohaterem, ale z pewnością miał też swoje za uszami. Niewinni nie fundowali sztandarów, a już szczególnie sztandarów z patronem grzeszników.

— Popatrz, glonojad — zażartowała, aby rozładować atmosferę.

Uśmiechnął się i pomachał pani Sobeckiej, a ta odkleiła się od szyby i znikła w głębi mieszkania. Widziała już dosyć. Dostyć, by rozpuścić plotki.

Mieszkanie było zamknięte na oba zamki. Laura weszła pierwsza i otworzyła okna, a potem wyjęła z szafy swój podróżny neseser. Zwykle wozila go w samochodzie, ale teraz jej honda była... No właśnie, gdzie? Nie wiedziała i prawdę mówiąc — zupełnie o to nie dbała. W tej chwili

liczył się neseser, a zwłaszcza jego zawartość. Świeże ubranie, bo to, które miała pod kombinezonem, wciąż cuchnęło wodorostami.

— Wezmę prysznic. Umiesz obsłużyć domofon?

— Wyobraź sobie, że tak. — Michał przełknął ślinę. Był chyba jeszcze bardziej głodny niż ona. — Nie spiesz się. Jeśli pozwolisz, to przejrzę książki.

— Jasne. — Zerknęła na regał. Nie sądziła, że znajdzie na nim coś, co go zainteresuje. Babcia czytała tylko dwa rodzaje lektur: te szkolne, w większości ambitne, a przy tym przeraźliwie nudne, i dla kontrastu — romanse, głównie przedwojenne. — Miłej zabawy.

Babcia nie miała kabiny, tylko obszerną wannę. Laura kucnęła i zmyła z siebie zapach wilgotnych podziemi. Gdy się wycierała, telefon wydał z siebie ćwierknięcie. Podskoczyła, pozwalając, by ręcznik spłynął po wciąż wilgotnej skórze na podłogę. Ćwierknięcie nie miało nic wspólnego z Twitterem. Czekala na ten dzwonek przez całe przedpołudnie. Zbyt długo.

— Nie gadam z tobą — powiedziała, ale się nie rozłączyła.

— Ojej. A czym sobie zasłużyłem?

W tle usłyszała szum fal. Znowu telefonował do niej znad zimnego morza.

— Nie odbierałeś.

— Spałem. Prawie do teraz. Miałem pracowitą noc. A co u ciebie?

Stała przed lustrem, gapiąc się na swój idiotyczny uśmiech, który z każdym jego słowem stawał się jeszcze głębszy. Uwielbiała go słuchać. Barwa jego głosu była tak ciepła, że miała ochotę owinać się nią jak kocykiem.

— Ja też nie spałam. Nie zgadniesz, gdzie byłam.

— Pewnie na randce — westchnął z udawanym fatalizmem.

— W szpitalu psychiatrycznym. Ale spokojnie, nie jako pacjentka. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale moja babcia...

Jak zwykle wpadła w słowotok. Po minucie przerwał jej w taki sposób, że ją zatkało.

— Wyrwałem się tylko na chwilę. Kocham cię, maleńka.

Powiedział jej to pierwszy raz. Ładunek emocji był po jego stronie ogromny. Tak ogromny, że odniosła wrażenie, jakby na łączach coś zatrzeszczało. Zanim się pozbierała, połączenie zostało przerwane.

— Ja też cię kocham — szepnęła i nagle zrobiło jej się bardzo wesoło.

Wcisnęła się w obcisłą kieckę i nucąc pod nosem skoczną melodię, wparowała do pokoju. Opakowanie z pizzą wyglądało na nietknięte. Michał pochylał się nad albumem ze zdjęciami. Gdy ją usłyszał, szybko go zamknął, a sposób, w jaki to zrobił, wskazywał na tłące się w nim poczucie winy.

— Oglądaj sobie — stwierdziła beztrąsko, kładąc telefon na stole. Zapach pizzy pobudził jej kubki smakowe do tego stopnia, że do ust napłynęła jej ślina. — Znam ten album. Wiem, że nie ma w nim żadnych świństw.

— Świństw?

— Negliżu, momentów... Co z tobą? Ja żartuję, a ty masz taką minę, jakbyś właśnie zobaczył ducha.

Otworzyła kartonowe opakowanie i sięgnęła po kawałek pizzy. Zamówił taką, jaką lubiła, z dużą ilością sera, cebulką i pieczarkami.

— Bo zobaczyłem.

— Co zobaczyłeś?

— Można powiedzieć, że ducha. Kogoś, kogo szukałem.

— W starym albumie babci?!

Odłożyła nadgryziony kawałek i zbliżyła się do kanapy, na której siedział. Album wcale nie był tak stary. Zdjęcia zrobiono w większości podczas uroczystości rodzinnych. Wspólnie spędzonej Wigilii, imienin



babci czy letniego wypadu do Gremzdów. Były też zdjęcia bardziej oficjalne.

— To jest właśnie mój brat, Karol — wskazała na fotografię przedstawiającą Karola w towarzystwie Amelii Celmer podczas jakiegoś przyjęcia w londyńskiej ambasadzie.

Ale Michał nawet nie spojrział. Przewrócił kilka stron i zatrzymał się na ostatniej. Ostatniej, w którą wpięto zdjęcia, bo pozostałe karty albumu, aż do końca, były już puste.

— Kto to jest?

Laura podeszła do decyzji umieszczenia tej fotografii w albumie rodzinnym z lekkim zaskoczeniem, które jednak szybko minęło.

— To Ola. Aleksandra Arbaszewska. Opiekunka babci, chociaż... Babcia traktowała ją jak kogoś więcej niż opiekunkę. Umieściła ją w testamencie.

— Skąd ją wytrzasnęliście?

— Nie mam pojęcia. Trzeba o to zapytać wujka Jarka.

— Masz na nią jakiś namiar?

Laura, która po telefonie sprzed chwili trwała w euforii, wreszcie dostrzegła, że Michałowi latają ręce.

— O co chodzi, Michał?

Pokręcił głową.

— Przykro mi. Tajemnica lekarska. Masz do niej telefon?

— Kontaktowaliśmy się z Olą przez Facebooka. Numer telefonu może mieć wujek, a raczej ciocia, bo sprawami organizacyjnymi zawsze zajmuje się ona. Dokąd się wybierasz?

— Muszę iść — oznajmił, nie wdając się w szczegóły. — Aleksandra Arbaszewska, tak?

Potwierdziła, a on wyszedł — najpierw z pokoju, a potem z mieszkania. Spieszył się tak bardzo, że nawet zapomniał się pożegnać, ale w gruncie

rzeczy miała to gdzieś. W tej chwili była w stanie myśleć tylko o jednym — i wbrew pozorom wcale nie o intruzie, który zostawił wczoraj mokre ślady w ostatnim pokoju. Jej myśli krążyły wokół telefonicznego wyznania i tego, że muszą wreszcie pójść do łóżka.

Zalogowała się na stronie linii lotniczych i zaczęła szukać najwygodniejszego połączenia do północnej Norwegii. Jednocześnie wsuwała pizzę. Gdy była przy czwartym kawałku, telefon znów zadzwonił, ale tym razem nie było to ćwierkanie, tylko melodyjka, którą przypisała do kontaktów z pracy. Przełknęła i odebrała.

— Tak, panie Kazimierzu?

Ten dzień był jedną wielką gonitwą. Zdążyła zapomnieć, że rano poprosiła go o przysługę, lecz on pamiętał. I jak zwykle był szarmancki.

— Proszę mi wybaczyć zwłokę w odpowiedzi, ale mężczyzna, który panią zainteresował, ma bogatą kartotekę kryminalną. Zebranie tych wszystkich danych musiało trochę potrwać. Ale mam już wszystko. Tylko od czego tu zacząć?

Laura poczuła wyrzuty sumienia. Powinna odwołać swą prośbę, lecz zwyczajnie zapomniała. Prośba była już nieaktualna. Alfred Warszawski nie żył, i to od wielu lat.

— Niech pan zacznie od początku — poprosiła, patrząc łakomie na niedojedzony kawałek pizzy.

Nie miała wyjścia, musiała go wysłuchać. Każde inne rozwiązanie byłoby niegrzeczne.

— Pan Warszawski wychował się na Ochocie. W osiemdziesiątym siódmym roku został skazany za zabójstwo. W chwili popełnienia czynu nie był jeszcze pełnoletni, więc zamiast czapy dostał w miarę łagodny wyrok. Piętnaście lat. Ubiegał się o przedterminowe zwolnienie, ale nieskutecznie.

Jego zachowanie w więzieniu nie należało do przykładowych. Wpływały na niego skargi, że maltretuje współwięźniów.

— Naprawdę? — Laura zapomniała o pizzy.

Zakonnica twierdziła coś przeciwnego.

— Naprawdę — potwierdził pan Kazimierz. — Organ, który rozpatrywał wniosek, uznał, że więzień wciąż potrzebuje resocjalizacji. Tak więc został w więzieniu do końca.

— Do śmierci.

— Do końca wyroku — sprostował pan Kazimierz. Jego następne słowa były zaskakujące: — Warszawski nie umarł, chociaż... W pewnym sensie odszedł. Po wyjściu z więzienia zmienił nazwisko. I nawet imię.

Laura słuchała z otwartą buzią.

— Jak nazywa się teraz? — wyjąkała.

— Wojciech Orłowski.

— Nie znam — przyznała odruchowo, a pan Kazimierz niespodziewanie się roześmiał.

— Zna go za to policja. I straż graniczna. Facet specjalizuje się w stręczycielstwie, ale nie unika też innych aktywności. Ma na koncie flirt z przemytem, wymuszenie rozbójnicze... Jego kartoteka jest tak gruba, jak książka telefoniczna. Wiesz co, Lauro? Na twoim miejscu nie zapraszałbym go do domu.

— Nie zamierzam — wyjąkała.

Pan Kazimierz potrafił być nie tylko szarmancki, lecz także dyskretny. Umiał też poskromić ciekawość. Nie spytał, dlaczego młoda dziewczyna interesuje się kryminalistą. Zaoferował pomoc, a kiedy grzecznie odmówiła, kazał jej na siebie uważać.

— Jak mogę go znaleźć? — spytała, a on po raz pierwszy się zawahał.

— Na twoim miejscu bym nie szukał — powiedział wreszcie — ale jeśli

już musisz... W tych rzadkich chwilach, kiedy nie siedzi akurat w więzieniu, mieszka na Suwalszczyźnie. W okolicach Sejn.

Aleksandra Arbaszewska pozowała do zdjęcia profilowego w skąnym bikini. Połowę twarzy zasłaniały ciemne okulary, ale w galerii były jeszcze inne fotografie, w tym ujęcie en face. Michał Tracz nie miał wątpliwości — to ona była tą tajemniczą kobietą, która spotkała się przy szpitalnym ogrodzeniu z jego pacjentem, Łukaszem Komarem. Tajemniczą i wulgarną. Dobrze pamiętał, jak go wtedy skłęła, dlatego nie bawiąc się w subtelności, postawił na prosty komunikat.

*Jestem lekarzem w Szpitalu Nowowiejskim. Musimy się spotkać.*

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast, zanim zdążył uruchomić motocykl. Była uroczo prymitywna.

*Ja nic nie muszę. Spadaj.*

Nie oczekiwał, że będzie lekko, łatwo i przyjemnie. Nawet nie pomyślał o tym, żeby odpuścić.

*Uważam, że tylko Pani może pomóc Łukaszowi.*

Tym razem na odpowiedź przyszło mu poczekać nieco dłużej. Przyszła, gdy zatrzymał się na światłach, przy GUS-ie. Począł, aż zapaliło się zielone, przejechał przez skrzyżowanie i zaraz potem skręcił w boczną uliczkę, wiodącą wzdłuż szpitalnego parkanu. Stał w tym samym miejscu, w którym próbował ją zatrzymać — i w którym przed nim uciekła. Tym razem także zamierzała zrejterować.

*Nie znam żadnego Łukasza. Daj mi spokój.*

Wiadomość była zwieńczona wykrzywioną ze złości emotką. Michał, czując się trochę jak błędny rycerz, spróbował przekonać ją jeszcze raz.

*Bez Pani pomocy leczenie będzie trwało dłużej i przyniesie gorsze rezultaty.*

Nie musiał czekać na odpowiedź.

*A skąd mam wiedzieć, że w ogóle jesteś lekarzem?*

Pytanie było idiotyczne. Michał wrócił do strony głównej, a potem przeszedł na swoje konto. Na zdjęciu profilowym pozował na tle budynku Uniwersytetu Medycznego, w lekarskim fartuchu, a wśród jego znajomych co drugi był lekarzem. Przeskrollował tablicę i znalazł inne zdjęcie, przed swoim miejscem pracy. W powiększeniu było wyraźnie widać czerwoną tabliczkę: *Warszawski Uniwersytet Medyczny. Klinika Psychiatrii.*

Skopiował zdjęcie i wkleił je w treść kolejnej wiadomości. *Jak się spotkamy, mogę pokazać Pani skan dyplomu.* Tym razem odpowiedź przyszła błyskawicznie, ale jej nadawcą nie była Arbaszewska, tylko Facebook.

*Odbiorca wiadomości dodał cię do listy kontaktów blokowanych.*

Zaklął pod nosem, a potem się rozejrzał. Od strony alei Niepodległości szła w jego stronę wysoka kobieta. Przez moment liczył na przypadek — taki z gatunku jeden na milion — ale z bliska się okazało, że nie jest nawet do niej podobna. Wsiadł na motocykl i podjechał pod szpital od drugiej strony.

Arbaszewska się wypięła — zarówno na niego, jak i na Łukasza. Zastanawiał się, czy postąpi podobnie, gdy prośba o spotkanie wyjdzie z oficjalnego profilu szpitala. Wparował na oddział i — zupełnie niespodziewanie — nadział się na swojego kłopotliwego pacjenta. Łukasz Komar nie był sam. Stał pod oknem w towarzystwie ojca i niespuszczającego ich z oczu pielęgniarza.

— Cieszę się, że pana widzę.

— A ja mniej. — Michał chciał go wyminąć, ale Zbigniew Komar zastąpił mu drogę. — Proszę się odsunąć.

— Chciałem przeprosić za swoje poranne zachowanie. I podziękować.

Łukasz wszystko mi opowiedział. Wcale nie musiał pan po niego wychodzić.

Michał chwycił mężczyznę za łokieć. Nie zależało mu na przeprosinach i podziękowaniach, tylko na informacjach.

— Czy pański syn ma dziewczynę?

Komar senior spojrział wymownie w stronę swojego syna. Michał zrozumiał ten niewerbalny komunikat i pociągnął go za sobą, na drugi koniec korytarza.

— Prosił, żebym o tym nie wspominał. To był element układu. Warunek jego zgody, by podjąć leczenie.

— Jak zdążył się pan już zorientować, objawy się nasilają.

— Objawy czego?

— Nie wiem. Do wczoraj sądziłem, że to przeciętnie nasiloną formą nerwicy. Jeśli mamy mu pomóc, potrzebujemy wiedzieć o wszystkim.

— O kobietach też?

— Nie też, tylko przede wszystkim.

Zbigniew Komar wciąż się wahał. Lojalność wobec syna była godna podziwu, ale Michał, zamiast mu jej pogratulować, udał, że patrzy przez okno, na znajdujący się w dole chodnik.

— Niby nie tak wysoko, ale to cud, że nie skręcił karku.

— Dobrze już, dobrze. Mój syn ma powodzenie. Zawsze miał. Zawsze kręciło się wokół niego mnóstwo dziewczyn.

— Nie chodzi mi o mnóstwo dziewczyn, tylko o tę jedną. Jedną jedyną.

Komar senior znów popatrzył w kierunku syna. Pielęgniarski prowadził go do izolatki. Łukasz wspierał się na jego ramieniu, wyraźnie oszczędzając zwichnięty staw skokowy.

— Była taka... Niby sympatyczna, ale kompletnie go rozchwiała.

— Sympatyczna? — zdziwił się Michał.

Z tego, co zauważył, o Arbaszewskiej można było powiedzieć wiele, ale nie to, że jest sympatyczna.

— Takie robiła wrażenie, ale co ja tam wiem. Widziałem ją wszystkiego może dwa razy.

— To ona? Aleksandra?

— Tak, zgadza się. Ola.

Zbigniew Komar przez chwilę przyglądał się profilowej fotografii, tej w kostiumie. Na jego ustach, chyba po raz pierwszy tego dnia, pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

— Gdy nas odwiedziła, prezentowała się znacznie skromniej. Ale co tu się dziwić? W końcu była z wizytą u potencjalnych teściów.

— Czym się zajmuje?

— Pyta pan, gdzie pracuje? Nie wiem, zdaje się, że w jakiejś korporacji.

Michał udał, że go to nie bawi. Praca w charakterze opiekunki rzeczywiście miała coś wspólnego z pracą dla korporacji. I tu, i tu można było trafić na zręczliwych szefów.

— Czy uważa pan, że była odpowiednią partnerką dla pana syna?

— Umówiliśmy się z żoną, że nie będziemy się wtrącać w jego wybory.

Michał odczekał, aż minie ich pielęgniarka. A potem popatrzył na swojego rozmówcę z nieskrywanym niedowierzaniem.

— Panie Zbigniewie.

— No dobrze, uznaliśmy, że mógł wybrać lepiej. W przeszłości przyprowadzał naprawdę fajne dziewczyny, a ta Olka... — Westchnął. — Chyba nie traktowała go poważnie.

— W jakim sensie? Przecież mówił pan, że zachowywała się tak, jakby odwiedzała przyszłych teściów.

— To taki skrót myślowy. Sądzę, że chciała go oskubać, ale... tak jak mówiłem. Postanowiliśmy się nie wtrącać.

Łukasz Komar był modelowym przykładem tego, że nadopiekuńczość ze strony rodziców mogła mieć destrukcyjny wpływ na całą sferę poznawczą. Być może Komarowie zrozumieli wreszcie, że nie da się przeżyć za kogoś życia — nawet jeżeli tym kimś był ukochany jedynak. Szkoda tylko, że tak późno.

— Daliście mu wolną rękę?

— Można tak powiedzieć. To było coś na kształt pokuty. Za to, że za bardzo się wtrącaliśmy. — Poprawił nagle maseczkę, podciągając ją aż po same oczy. — Kilka miesięcy wcześniej zabawiliśmy się z żoną w swatów. Pierwszy i ostatni raz.

— Było aż tak źle?

— Fatalnie. Zupełnie się rozsypał. Przez pewien czas bał się wychodzić z domu, nawet do kawalerki, którą mu wynająłem. Ola jest, jaka jest, ale pomogła mu z tego wyjść. A przynajmniej... — Zachłysnął się powietrzem. — Przynajmniej tak myślałem.

Michał klepnął go w ramię, chcąc dodać mu otuchy. Odwrócił się, ale Komar niespodziewanie złapał go za rękę.

— Jeszcze chwilę, doktorze. Co teraz z nim będzie?

Michał był przekonany, że odpowiedź na to pytanie padła już wcześniej, prawdopodobnie z ust samego profesora Łapińskiego. Zaczął przedstawiać skrótowo planowane etapy leczenia, ale po chwili dotarło do niego, że Komar słucha go jednym uchem. Postanowił zastosować terapię szokową.

— W kolejnym etapie wdrożymy elektrowstrząsy — oznajmił z poważną miną, ale Komar, zamiast ocknąć się z letargu, tylko kiwnął głową.

Michał zajrzał mu w oczy. Zaburzenia psychiczne potrafiły być dziedziczne. Jeżeli cierpiał na nie syn, to istniało prawdopodobieństwo, że na którymś etapie życia mogło to spotkać także ojca. Ale żeby tak jednocześnie?



— Panie Zbigniewie, co z panem?

Mężczyzna drgnął, a potem zerknął na postać w szlafroku, prowadzoną przez pracownika szpitala w kierunku toalet. Z tej perspektywy widać było jedynie plecy, ale Michał od razu się zorientował, że to plecy Szymona Romanowa.

— Pan wybaczy. Ten człowiek mnie przeraża.

— Nie przypomniął pan sobie, skąd pan go zna?

Zbigniew Komar opuścił maskę i podrapał się po brodzie. Michał zrozumiał, że wcześniej podciągnął ją tylko po to, by zasłonić twarz. Spojrzał na niego wyczekująco, ale Komar nagle się uśmiechnął. Po wcześniejszej zadumie nie pozostał nawet ślad.

— A pan, panie kolego, chyba niedługo tu zamieszka, co?

Profesor Łapiński pojawił się znienacka za plecami Michała i owiał go zapachem czosnku, a potem pieśczośliwie zmierzwił mu włosy. Był w doskonałym nastroju. Być może powodem było zachowanie Komara, który na jego widok nie poprzestał na uśmiechu, ale także zgiął się w ukłonie.

— Jeszcze raz przepraszam za rano, sąsiedzie. I dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Łapiński łaskawie podał mu rękę, a potem zagarnął Michała i zanim ten zdążył zaprotestować, wcisnął mu dodatkową połówkę dyżuru — od północy do siódmej rano.

— Da pan radę, kolego. — Łapiński zatarł ręce. — Ja w młodości prawie nie sypiałem. Ach, jeszcze jedno. Podczas obchodu zahaczył mnie ten Romanow. Chce koniecznie z panem porozmawiać.

Ta chęć była wzajemna, dlatego Michał piętnaście minut później pchnął drzwi izolatki. Za ścianą, w podobnym pomieszczeniu, przebywał Łukasz Komar. Po końskiej dawce leków nawet tu było słyhać, jak chrapie.

Romanow nie spał. Leżał na łóżku, już bez pasów, i patrzył w okno, za którym widać było zaniedbaną fasadę drugiego skrzydła.

— Kapał się pan?

Pacjent oderwał wzrok od okna i obrócił głowę. Rzadkie włosy wciąż były wilgotne.

— Nie miałem wyboru — stwierdził, a potem odsłonił w uśmiechu zaniedbane zęby. — Twierdzili, że śmierdzą. Naprawdę śmierdziałem?

— Ja nie czułem.

— No tak. Pan jest przyzwyczajony. Chciałem przeprosić. Za wczoraj.

Pacjenci po zażyciu silnych leków często mówili w taki sposób. Powoli i w jednostajnym rytmie. Michał zbliżył się do łóżka i zerknął w kartę pacjenta. A potem gwizdnął.

— Jak pan się czuje?

— Dobrze — odparł Romanow. — I tak... lekko.

Michał obiecał sobie, że utnie pogawędkę z lekarzem, który polecił podać pacjentowi bromoperidol. To był zbyt silny lek, a zaordynowana dawka — zbyt duża. Romanow znajdował się na haju. Istniało ryzyko, że dopadną go halucynacje.

— Byłem dzisiaj w Legionowie. A dokładniej na Kozłówce.

— Współczuję — odparł Romanow, ale wyraz jego twarzy nie wskazywał na współczucie, tylko raczej na zazdrość. Oczy zaświeciły mu niezdrowym blaskiem. — To niebezpieczne miejsce. Tak mówi moja mama. Widział ją pan?

Michał podrapał się po głowie. Lek uwolnił się już do organizmu. Nie można było nic zrobić... Pozostawało czekać i ewentualnie wdrożyć pasy.

— Nie widziałem pana mamy, za to rozmawiałem z ciotką.

— Ciocia Zosia Samosia. Mama mówi, że to już stara panna. Prawda, że stara?

Michał przywołał z pamięci obraz niedołążonej kobieciny, poruszającej się z prędkością żółwia i komunikującej ze światem bezgłośnym szeptem.

— Tak. Dosyć stara.

— Przychodzi do niej taki jeden. W mundurze. Wszyscy w Legionowie tak chodzą. W mundurach.

Romanow znalazł się mentalnie w latach młodości. Nawet mówił jak dziecko. Niewyraźnie, ze zmięczonym „r”. Było to na swój sposób fascynujące, przynajmniej dla psychoterapeuty. Ale Michał był psychiatrą. Wkurzało go, że nie może pomóc.

— Ty też chodziłeś w mundurze. Pamiętasz?

Romanow zmrużył oczy, a potem się rozpromienił. W izolatce rozbrzmiał ochrypły śpiew.

— *Przyjeżdż mamó na przysięgę, zaproszenie wysłał szef...*

— Gdzie służyłeś?

— *Syn ci wyrósł na potęgę...*

— Panie Szymonie. Gdzie pan służył?

Romanow dokończył zwrotkę, a potem usiadł, opierając się plecami o poduszkę.

— W saperach. A potem kazali mi biegać. Piłem wodę z kałuży.

Bieganie było zapewne związane ze służbą w kompanii karnej. Michał wolał rozmawiać o czasach wcześniejszych. Rozmowy, które odbył z nim w ostatnich dniach, wskazywały, że jego pacjent wyparł z pamięci wypadek w Stacji Filtrów, ale stan, w jakim się znajdował, sprzyjał odtworzeniu zagubionych wspomnień. A poza tym... Lekki wstrząs, związany z traumatycznymi przeżyciami, mógł mu tylko pomóc. Wyrwać go z narkotycznego transu.

— Służył pan na terenie Filtrów?

Romanow momentalnie się wyprężył. Michał zerwał się z krzesła, ale

okazało się, że zaniepokojenie było przedwczesne. Pacjent tylko salutował. Jego palce dotknęły mokrych włosów na skroni.

— Tak jest. Batalion saperów. Druga kompania, pierwszy pluton. Starszy szeregowy Szymon Romanow melduje się na rozkaz.

Michał dał mu skończyć. Z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że facet powinien trafić pod kroplówkę. Ale to nie był jego dyżur, nie mógł decydować, tylko co najwyżej podpowiedzieć takie rozwiązanie lekarzowi dyżurnemu. A na to był jeszcze czas.

— Prowadziliście prace w podziemnym zbiorniku, prawda?

— Ja nie. Byłem w służbie wartowniczej. W mundurze. A za mundurem...

— ...panny sznurem — dokończył odruchowo Michał, otrzymując w odpowiedzi porozumiewawcze mrugnięcie. — Pamięta pan wypadek? Zbiornik został zalany.

Romanow się wzdrygnął, ale momentalnie powrócił do równowagi.

— Woda — stwierdził obojętnie. — Dużo wody.

— A pan w tej wodzie, tak?

— Tylko ciemność i huk. Płynę, płynę, brakuje mi powietrza...

Michałowi przemknęło przez głowę, że musi pogadać z terapeutą. Czuł, że psychoterapia może być w tym przypadku skuteczniejsza od leków. Szkoda tylko, że nikt nie wpadł na to wcześniej. Trzydzieści lat temu.

— Jest pan tam sam?

— Nie jestem tam. Jestem w szpitalu. Panie doktorze, w co pan ze mną gra?

Efekt przesadzonej dawki leku mijał szybciej, niż można było oczekiwać. Organizm Romanowa umiał się bronić. Przyjął przez te lata więcej medykamentów, niż zmieściłoby się w największej aptece.

— Chcę się dowiedzieć, jak to się skończyło. Wyszedł pan przez właz,

prawda?

Pacjent podciągnął nogi pod brodę i jednocześnie przymknął oczy.

— Czy pan to pamięta? Czy był pan wtedy sam? Panie Szymonie, niech pan jeszcze nie zasypia. Słyszysz mnie pan?

— Słyszę. — Głos Romanowa dobiegał jak zza grubej szyby, a głowa opadała, jakby nagle zrobiła się cięższa. — Słyszę.

— Co tam się wydarzyło? Wyciągnął pan dwóch chłopaków, tak?

Romanow pokiwał tą ciężką głową, a potem, z wyraźnym trudem, otworzył usta.

— Tam była krew. Dużo krwi...

— Dokąd was zabrali? Panie Szymonie, dokąd zawiozła pana karetka?

Głowa Romanowa opadła na poduszkę, a przez jego ciało przeszedł krótki dreszcz. Nie odpowiedział. W izolatce rozległo się miarowe pochrapywanie. Michał pochylił się nad nim i zmierzył puls. A potem wyszedł z izolatki i odszukał dyżurującego lekarza. Chwilę później do izolatki wjechał stojak z adrenaliną. Gdy wkłuwali się w żyłę, Romanow nawet się nie skrzywił. Spał tak twardo, że gdyby nie chrapanie, można by odnieść wrażenie, że nie żyje.

— Pan to chyba tu mieszka — zagadnęła go pielęgniarka po tym, jak ustawiła odpowiednią dawkę kroplówki.

Była młoda i atrakcyjna. Michał zwrócił na nią uwagę już wcześniej, ale nie przyjął zaproszenia do rozmowy.

— Zaraz znikam — powiedział tylko, po czym wszedł do pokoju lekarzy.

— Mogę na moment?

Dyżurny, ten sam, który źle dobrał leki Romanowowi, wciąż skruszony, bez słowa zwolnił mu miejsce przed komputerem. Michał zalogował się na szpitalne konto na Facebooku. Do niedawna, jako rezydent, uczestniczył w jego prowadzeniu.

— No proszę. Jednak odpowiedział.

Reagując na jego wezwanie, Arbaszewska pozostawiła dwie wiadomości. Obie były irytujące. W pierwszej w dosadny sposób dawała mu znać, że się z nim nie spotka, a w drugiej, nadesłanej kilka minut później, informowała, że jeśli nie przestanie jej nękać, to zawiadomi policję. Zgrzytnął zębami. Nie lubił, gdy go lekceważono, ale jeszcze bardziej nie lubił, gdy ktoś go straszył.

— Tak chcesz się bawić? No to zobaczymy...

Uderzył palcami w klawiaturę niczym wytrawny pianista w klawisze fortepianu.

*Niech Pani zawiadamia. Ja też na Panią doniosę. Zobaczymy, kto lepiej na tym wyjdzie.*

Odpowiedź spłynęła po kilku sekundach. Tak jak zakładał, dziewczynie nie zależało na kontakcie ze stróżami prawa.

*O czym Pan doniesie?*

To, że zaczęła tytułować go panem, i to wielką literą, było symptomatyczne. Poczuł, że jest o krok.

— Teraz... tylko tego... nie spieprzyć — wydukał, konstruując kolejną wiadomość.

*Pani najlepiej wie, co Pani zrobiła.*

Odpowiedź znów przyszła niemal natychmiast. Pan zniknął. Znów zwracała się do niego na ty.

*Łukaszowi? Jesteś śmieszny.*

Bał się, że zaraz zablokuje także profil szpitala. Zdał się na instynkt. Arbaszewska na pewno nie była niewiniątkiem. Tylko gdzie był jej czuły punkt?

*Nie chodzi o Łukasza.*

*A o kogo?*

Wybór był niewielki. Wstrzymał oddech, wiedząc, że kolejnej szansy już nie dostanie.

*O panią Kalinowską.*

Odpowiedzi nie było. Odczekał okrągłą minutę, czując narastającą irytację. Przestrzelił. Dziewczyna nie była aniołkiem, ale to nie oznaczało, że miała coś wspólnego ze śmiercią chlebobawczyni.

— Brawo, Sherlocku — mruknął, a potem otworzył nową kartę, by zamówić online kolejną pizzę.

Przez dłuższą chwilę komponował składniki, a potem, gdy już potwierdził zamówienie, cofnął się jeszcze raz na Facebooka. Ku jego zdumieniu czekała tam na niego wiadomość od Arbaszewskiej. Tym razem nie była obraźliwa. Cała treść zawierała się w dwóch słowach połączonych spójnikiem.

*Gdzie i kiedy.*

Odpisał, a potem odwołał zamówienie i podszedł do lustra. Uśmiechnął się do swojego odbicia zadowolony, że wygląd nie zdradzał tego, jak się czuje. A czuł się nieswojo.

Tak, jak powinien czuć się człowiek, który ma zjeść pizzę z potencjalną zabójczynią.

Aleksandra Arbaszewska nie wyglądała jak zabójczyni. Miała na sobie sukienkę w kwiatki, a włosy zaplotła w dwa dziewczęce warkocze. Z bliska widać jednak było, że nie jest dziewczyną, tylko dojrzałą kobietą. W kącikach umalowanych oczu miała kurze łapki, a na szyi — zapowiedź pierwszych zmarszczek. Czekwała w knajpianym ogródku, kręcąc się nerwowo przy okrągłym, dwuosobowym stoliku. Gdy zobaczyła Michała, zerwała się na nogi. Jej spojrzenie budziło skojarzenie z oczami sarny wpatrującej się w światła pędzącej ku niej ciężarówki.

— Ja nie zrobiłam nic złego — wyjąkała.

Pachniała dymem tytoniowym, co w tych okolicznościach nie stanowiło problemu. Michał zatrzymał się przy granicy ogródka i wsadził do ust papierosa.

— Coś jednak zrobiłaś — mruknął i ścisnął mocniej zapalniczkę, aby nie zobaczyła, jak trzęsą mu się ręce. — Ale w tej chwili chcę porozmawiać o moim pacjencie. Jesteście razem?

Też wyciągnęła papierosa. Nie podał jej ognia. Ręce drżały jej niczym w febrze i w przeciwieństwie do niego nie zamierzała tego ukrywać.

— Nie zabiłam pani Krystyny. Niech pan mi uwierzy. Uwierzyła mi nawet policja. I to mimo mojej kartoteki.

Miała w twarzy coś, co sugerowało, że nie wolno jej ufać. Pierwiastek zła, dostrzegalny nawet teraz, gdy umierała ze strachu. Michał, który także miał schorowaną babcię, nigdy nie zdecydowałby się przyprowadzić kogoś takiego do jej mieszkania. Nawet na chwilę. Bardzo dziwił się też rodzicom Łukasza. Umowa umową, ale gdyby jego przyszły syn przedstawił mu taką synową, natychmiast pokazałby jej drzwi.

— Po co Łukasz wspinał się na to drzewo?

— Na jakie drzewo? — spytała, udając zaskoczenie. Zdradziły ją dłonie, które na moment zacisnęła w taki sposób, jakby chciała się boksować. Popatrzył na nią w milczeniu. Wystarczyło kilka sekund. — Ach, myśli pan o tej lipie pod oknami. Łukasz jest żalonym frajerem. On wchodził na to cholerne drzewo, żeby mnie podglądać.

— Ciebie czy staruszkę?

Zgasiła papierosa, bo i tak miała kłopot, by trafić nim do ust. Zdenerwowania nie była w stanie przykryć nawet śmiechem.

— No co pan?! — Śmiech przeszedł w kaszel. — Nie był aż tak



zбочony. O Boże! — Położyła dłoń na piersi, a potem znów się rozkaszała. — Sorry. Żyję ostatnio w dużym napięciu. I za dużo palę.

— Jak się poznaliście?

— Z Łukaszem?

Za każdym razem, gdy wypowiadała jego imię, w jej głosie rozbrzmiewało lekceważenie. O ile Michał miał jeszcze jakieś wątpliwości, to teraz się ich pozbył. Dobrze, że go nie odwiedzała. Nie zamierzał jej do tego namawiać.

— Tak, z Łukaszem — powtórzył cierpliwie. — Jak i kiedy?

— Wiosną. Wczesną wiosną — uściśliła. — Pewnie pan tego nie wie, ale babcia, bo tak nazywałam panią Kalinowską, nie pozwalała mi wychodzić, żebym nie przywlekła wirusa. Taka była umowa, od samego początku, ale ja... Ja już się dusiłam. Potrzebowałam wyjść, spotkać się z ludźmi. Bez tego idzie zwariować.

Nie była kimś, kogo warto słuchać, ale akurat w tej kwestii miała stuprocentową rację. Przez wywołane pandemią ograniczenia w kontaktach społecznych on i specjaliści z pokrewnych dziedzin — głównie psychoterapeuci — mieli teraz pełne ręce roboty. Liczba osób szukających pomocy, w stosunku do czasów sprzed pandemii, wzrosła o kilkaset procent.

— I co? Wyszłaś z domu i spotkałaś akurat jego?

— Zgadza się. — Po fakcie nie była tym chyba zachwycona. — Zagadałam do niego w piekarni przy Filtrowej. Babcia Kalinowska lubiła słodczyce. Ciastka, pączki, eklerki. I tak dalej. Na piekarnię miałam tę, no...

— Dyspensę?

— Dokładnie. Gdzie pan idzie?

— Zamówić pizzę. Jak zaraz czegoś nie zjem, to się tu przewrócę. A wolałbym nie zemdleć w twoim towarzystwie.

— Czemu?

— Jakoś mało ci ufam.

Wrócił po chwili z dwoma szklankami coli i obietnicą, że pizza będzie gotowa najpóźniej za dziesięć minut. Nie było jeszcze ciemno, ale słońce wisiało na tyle nisko, że zapalił świeczkę. Olka sięgnęła po jedną ze szklanek.

— To dla mnie? — Gdy kiwnął głową, usiłowała zażartować: — Jak romantycznie. Napoje, świece...

— Z Łukaszem też było romantycznie?

— Z Łukaszem było przede wszystkim ryzykownie. Wynajmował mieszkanie dwie kamienice dalej. Wymykałam się do niego nocami, gdy Kalinowska spała. Dosypywałam jej środków nasennych. Na przesłuchaniu pytali mnie o te środki. Czy babcia je brała. Nie wiem, skąd wiedzieli, bo te tabletki trzymałam u siebie w torebce, a innych u niej nie było.

— Badanie toksykologiczne.

— Co takiego?

— Nieważne. — Wypił duszkiem swoją colę, czując, że musi napełnić żołądek. Czymkolwiek. — Czy uprawialiście seks?

— To osobiste pytanie. — Rozejrzała się ukradkiem, a potem ściszyła głos: — Różnił się jak zwierzęta. Ja byłam wyposzczona, a on też dawał radę. Oczywiście najpierw musiałam nauczyć go kilku sztuczek, bo nie miał doświadczenia. Uwierzy pan? Trzydziestka na karku, a w łóżku jak prawiczek.

— Miał szczęście, że trafił na ciebie.

— Pan żartuje, tak?

— Bingo. I daj spokój z tym panem. Powiedz, co się stało, że między wami tak się zepsuło.

— A co się zepsuło?

— Naprawdę muszę ci to tłumaczyć?

Westchnęła i podparła podbródek rękami.

— Tak w skrócie, to skończył się lockdown. Babcia Kalinowska w końcu też przestała się bać. Pozwoliła mi wychodzić, a jak obiecałam, że będę uważać, dała mi nawet zanoć u koleżanki. — Mrugnęła okiem. — Poszłam na imprezę, poznałam nowych ludzi, a Łukasz... No cóż, uczeplił się mnie jak rzep. Czasem się z nim spotkałam, ale wszystko i tak zmierzało ku końcowi.

— Chyba nie z jego perspektywy. — Michał urwał i uśmiechnął się do kelnerki, która położyła na ich stoliku gorącą pizzę i dwa talerze. Wziął dwa kawałki na raz i złożył je jak calzone. — On chyba liczył na coś trwalszego.

Oderwał zębami ogromny kęs. Pizza wydała mu się pyszna, ale był tak głodny, że ta ocena mogła być niemiarodajna. Prawdopodobnie smakowałby mu nawet spleśniały chleb.

— Zawiózł mnie do swoich rodziców. I to dwa razy. A przedtem nic mi nie powiedział. To miały być niespodzianki. Niespodzianki, rozumiesz? Oczywiście tylko dla mnie, bo oni już na mnie czekali. Przez cały obiad liczyli moje zmarszczki i wypytywali, gdzie pracuję.

— To fajna rodzina — wtrącił Michał. — I dobry chłopak.

— No właśnie, chłopak. A nawet nie chłopak, tylko duży dzieciak. Nocował u rodziców co drugi dzień. Przywoził im pranie i grał po nocach w jakieś durne gry. Ja nie lubię takich. A poza tym mam już faceta.

Michałowi udało się uniknąć zadławienia, ale niewiele brakowało. Dziewczyna była bardziej rozrywkowa, niż przypuszczał. I miała bardzo wybiórcze podejście do wierności w związku. Wybiórcze, bo sama wybierała, kiedy dochować tej wierności, a kiedy pozwolić sobie na skok w bok.

— Kiedy postanowiłaś kopnąć go w dupę?

Mówił o Łukaszu i tak też zrozumiała.

— Kiedy dostałam pierwszy urlop. Pojechałam w rodzinne strony, spotkałam się ze swoim Sławkiem i obiecałam mu, że już nie będzie innych.

— Jak zareagował?

— Sławek? No, ucieszył się.

— Pytam o Łukasza.

Odłożyła ledwie napoczęty kawałek pizzy i spuściła wzrok.

— Nie powiedziałaś mu?

— Nie.

— Czyli on wciąż myśli, że jesteście parą?

Michał nie był zły ani szczególnie zaskoczony. Drażył temat, bo chciał udzielić swojemu pacjentowi możliwie kompletnej pomocy. Wbrew jego intencji Arbaszewska odebrała te pytania jako zarzut. I ku jego bezbrzeżnemu zdumieniu — zaczęła szlochać.

— To wszystko wyglądało trochę inaczej. — Otarła oczy. Na policzki wystąpiły jej czerwone plamy, postarzając ją o dziesięć lat. — Nie wsypiesz mnie? Co? Doktorze?

Michał wciąż nie wiedział, kto tak naprawdę siedzi przy stoliku. Czy prosta dziewczyna z luźnym podejściem do seksu, czy wyrafinowana zabójczyni, która wyprowadziła w pole nie tylko Laurę i resztę jej rodziny, lecz także najlepszych specjalistów z policji. Instynkt podpowiadał mu, że Arbaszewskiej bliżej do cwanej lambadziary niż do mistrzyni zbrodni, ale oczywiście nie mógł wykluczyć, że to ona pozbawiła życia babcię Laury. Nie wahał się jednak ani sekundy.

— Nie wsypię — obiecał, bo przede wszystkim był lekarzem, a dopiero potem praworządnym obywatelem.

W tej chwili liczyło się dla niego tylko jedno: skutecznie pomóc Łukaszowi.

— Napisałam mu, kiedy wracam z urlopu — zaczęła Olka. W jej głosie pobrzmiwało wahanie, które jednak znikło. Zamiast niego pojawiła się gorycz. — Jak zwykle wlaźł na to cholerne drzewo. Chciał mi chyba zrobić niespodziankę. No i zobaczył. Wszystko, kurwa, zobaczył.

Michałowi zrobiło się zimno.

— Co zobaczył?

— To, co zrobiłam. Przepraszam. Trudno mi o tym mówić. — Podniosła szklankę, ukrywając za nią większą część twarzy. Przełykała tak powoli, jakby to nie była cola, tylko czysty spirytus. — To była straszna głupota. Gdybym tylko mogła cofnąć czas, nigdy bym się tak nie zachowała. Ta pani była taka dobra i taka naiwna. Kazała mówić do siebie „babciu”, dawała mi pieniądze. To, co zrobiłam, było straszne. I głupie.

Michał nie był w stanie przełknąć ani kęsa więcej. Brakowało mu słów.

— Jak to się stało? Dlaczego? I przede wszystkim po co? Po co ci to było?

Rozłożyła ręce.

— To był impuls.

— Impuls, który kazał ci zabić drugiego człowieka?

Arbaszewska przewróciła szklankę. Resztką coli rozlała się po stoliku, a kilka kropel wylądowało na jej sukience.

— Zgłupiałeś, doktorku?! Przecież jej nie zabiłam. — Zakryła dłonią usta. Następne słowa wypowiedziała znacznie ciszej: — Co za dureń. Jak mogłeś w ogóle tak pomyśleć? Przecież gdybym to zrobiła, toby mnie tu nie było.

— To co zrobiłaś?

Przestała płakać. Następne słowa rzuciła mu bez cienia wstydu, prosto

w twarz:

— Okradłam ją. Miała na sobie biżuterię, którą wcześniej trzymała w kuferku. Przepiękną. Ściągnęłam ją, a potem wróciłam jeszcze po pierścionek. Łukasz musiał widzieć, jak wchodzę do kamienicy, bo wspiął się na to cholerne drzewo. Zajrzał akurat wtedy, gdy ściągałam pierścionek.

— Z trupa?!

— Ciszej — warknęła.

Ogródek nie był już pusty. Nieopodal usiedli przed chwilą chłopak z dziewczyną, na oko licealiści. Wyglądali na zajętych sobą, ale Olka miała rację. Michał nakazał sobie spokój.

— Zakładając, że mówisz prawdę... Nie bałaś się, że zostawisz przy zwłokach ślady, a policja zarzuci ci coś więcej niż kradzież?

— Mało brakowało, a właśnie tak by się to potoczyło. Miałam nakremowane dłonie. Staralam się niczego nie dotykać, ale zostawiłam trochę kremu obok zwłok. Policja pytała mnie o ten krem. Myślałam, że ze strachu wyskoczy mi serce... To była cena za nieostrożność, ale z drugiej strony skąd miałam wiedzieć, że babci ktoś pomógł? Myślałam, że to jakiś udar czy inny zawał.

— Nie poznałaś, że staruszkę ktoś zaciukał?

— Dowiedziałam się o tym dopiero jakieś dwa-trzy dni później, gdy podsłuchiłam rozmowę sąsiadów. Po tym, jak ciało znalazła jej świętojebliwa wnusia. Laura.

— Laura nie miała wątpliwości, że jej babcia została zamordowana.

— Bo jaśnie panienska nigdy nie widziała starego trupa. Zobaczyła trochę krwi na policzku i od razu zadzwoniła po prokuratora.

— Krew jest dosyć istotną przesłanką do twierdzenia, że doszło do morderstwa.

— Ty naprawdę jesteś lekarzem? To było tylko kilka kropli. Tyle, ile

wypływa z jednej żyłki. Dla mnie było jasne, że babcia upadła i uderzyła się w głowę. Ale nie to ją zabiło.

— A co?

Rozłożyła ręce.

— Jak bym wiedziała, że ktoś ją ukatrupił, to nie brałabym tych cholernych błyskotek, tylko zadzwoniłabym na psy. Wtedy Łukasz by nie ześwirował i wszystko byłoby inaczej.

Michał przypomniał sobie scenkę z psychoterapii. Gdy terapeuta zapytał o doznane traumy, Łukasz zagryzł zęby tak mocno, że jeden się ukruszył. Trudno było wyobrazić sobie większą traumę niż poczucie, że ukochana okazała się bezwzględna zabójczynią, mordującą dla kilku błyskotek.

— Ukradłaś tylko to?

Potwierdziła skinieniem głowy.

— Potem już się bałam. A poza tym... To trochę tak, jakbym okradała samą siebie. Podobno Kalinowska zapisała mi część majątku. Mam tylko nadzieję, że mnie nie wycyckają.

— Nie włamywałaś się przez okno?

Michał przypomniał sobie ślad mokrej stopy na parkiecie w ostatnim pokoju. Myśl, że zostawił w mieszkaniu Laurę, trafiła go jak obuchem.

— Nie. Mam klucz, do górnego zamka. Rzadko zamykali na dolny.

Tracz sprawdził godzinę. Dochodziła dwudziesta druga. Widoczny między blokami kawałek nieba przybrał barwę kobaltu.

— Jak zareagował?

— Łukasz? — upewniła się, wypowiadając to imię tak jak zawsze. Z lekceważeniem. — Zupełnie mu odbiło. Zsunął się z tego drzewa. Albo w ogóle z niego spadł. I uciekł, chociaż za nim wołałam. Nic dziwnego, że finalnie trafił do wariatkowa. Selekcja naturalna. Słabsi muszą zginąć.

— Wiesz, kto tak mówił? Hitlerowcy.

Wzruszyła ramionami i ciągnęła dalej, oszczędzając mu już autorskich komentarzy.

— Wybiegłam z mieszkania i goniłam za nim jak głupia, aż do miejsca, w którym parkował. Odjechał mi sprzed nosa. A potem... — urwała, bo do stolika podeszła kelnerka z pytaniem, czy wszystko w porządku. Oboje odpowiedzieli, że tak, nawet na nią nie patrząc. — Potem zaczął do mnie wydzwaniać. Gdy chciałam się wytłumaczyć, kazał mi nic nie mówić. Naprawdę uwierzył, że jestem zabójczynią. Dawał mi do zrozumienia, że ze mną ucieknie.

— Mówił dokąd? — zapytał szybko Michał.

Ucieczka mogła oznaczać rozszerzone samobójstwo, ale na szczęście jego domniemania były chybione.

— Za granicę. Potem przestał się odzywać, a kiedy znowu zadzwonił, był już u czubków. To znaczy — poprawiła się — w twoim szpitalu.

— Poprosił cię o spotkanie?

— Tak. Akurat byłam w pobliżu.

— I co mu powiedziałaś? Coś o selekcji naturalnej?

— Nie, skąd. Zrobiło mi się go żal. Zełgałam, że go Kocham i takie tam... bzdety. A potem przybiegłeś ty. No i zwiałam — zakończyła.

Popatrzył na nią w milczeniu, przeżuując ostatni kawałek pizzy. Nie zauważył, kiedy zniknęły pozostałe. Myślał o Łukaszu. Jego nocny spacer po gzymsie był prawie na pewno wywołany silnym wzruszeniem, naturalnie o podłożu negatywnym. Tracząc od początku zakładał, że źródłem tych negatywnych emocji było spotkanie z Olką. Tymczasem z jej słów wynikało coś przeciwnego. Emocje były wyłącznie pozytywne. Dlaczego więc zrobił coś tak desperackiego?

Michał traktował to jako próbę samobójczą, względnie wołanie o pomoc. A może prawda była inna? Może Łukasz chciał po prostu uciec?



Tylko dlaczego w środku nocy? I to przez okno?

Studia medyczne to nie sielanka, ale może właśnie dlatego zadziergnięte tam przyjaźnie trwają nieraz przez całe życie. Michał Tracz był człowiekiem bardzo towarzyskim, więc miał z czego wybierać. Pierwsza osoba, do której zadzwonił, przebywała na wakacjach, a druga właśnie zeszła z dyżuru. Za trzecim razem miał więcej szczęścia. Doktor Błażej Chabrowski — dla przyjaciół Chaber — pojawił się przy wejściu do szpitala niespełna dwie minuty po telefonie kumpla.

— Słyszałem, że pacjenci uciekają od was przez okna.

— To przez catering. Masz chwilę?

— No jasne. Przecież jestem w pracy.

— Chciałbym się tu trochę rozejrzeć.

Szpital Dzieciątka Jezus został założony ponad dwieście pięćdziesiąt lat temu, a od ponad stu mieścił się w tym samym kompleksie budynków — między ulicami Lindleya i Chałubińskiego. Część budynków pochodziła z czasów, kiedy budowano pobliską Stację Filtrów, ale do budowy szpitala użyto chyba gorszych materiałów, bo widać tu było wyraźne ślady zużycia. Na siermiężnym korytarzu oczekiwało w towarzystwie pielęgniarki dwóch nieszczęśników, na oko w równym stopniu pijanych. Chaber zaprosił Michała do gabinetu — takim gestem, jakby zapraszał go do sali tronowej — po czym przywołał pielęgniarkę.

— Pani Klaudyno, niech pani da tutaj tego, który szybciej się wykrwawia.

Pielęgniarka była młoda i korpulentna. Chaber zawsze gustował w kobietach o pełnych kształtach. Michał dostrzegł ten błysk w oku, ten uśmiech...

— Nie śliń się tak — zażartował, gdy pielęgniarka poszła po pacjenta.

— Myślisz, że jestem bez szans?

— Spójrz na siebie.

Chabrowi niczego nie brakowało — był przystojnym chudzielcem o poczciwej twarzy i wysokim czole. Ale to było niczym element ich DNA. Nigdy nie przestawali sobie dokuczać. Chaber w odpowiedzi rzucił coś o opaleniznie Michała, sugerując, że praca psychiatry nie należy do zbyt obciążających. A potem zajął się pacjentem.

— Kto pana tak urządził?

— Potknąłem się na schodach, panie doktorze. A potem uderzyłem w ścianę.

— To musiała być bardzo agresywna ściana.

Sprawnie zakładał kolejne szwy na rozciętym łuku brwiowym, nie przestając zabawiać Michała rozmową. Asystująca mu pielęgniarka, w przerwach między przecieraniem otarć, zrobiła kawę. Michał nie wiedział, jak jest gdzie indziej, ale w warszawskim środowisku medycznym obowiązywała zasada „gość w dom, Bóg w dom”. Rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął do pielęgniarki. Z Chabrem na pewno nie miała lekko, ale sprawiała wrażenie osoby, która potrafiła sobie radzić. Właśnie kogoś takiego potrzebował.

— Czy mógłbym panią na moment wypożyczyć?

Dziewczyna posłała mu uśmiech, tylko w niewielkim stopniu wymuszony.

— Musi pan zapytać Chabra. Dzisiejszej nocy jest tu panem i władcą.

— Jakoś się dogadamy. — Michał popatrzył na rozanieloną minę kolegi i przewrócił oczami. Chaber był łasy na komplementy. Można było mieć pewność, że gdy się ożeni, jego wybranka owinie go sobie wokół palca. — Chciałbym zerknąć do dokumentacji. Archiwalnej, sprzed wielu lat.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę.

— Służbowo czy prywatnie?

— Naturalnie, że służbowo — odpowiedział i to nie było kłamstwo. Był tu, by pomóc Romanowowi. Prywatne śledztwo Laury było na drugim miejscu. — Pewnie jest tu jakieś archiwum, co?

— Który oddział?

— Prawdopodobnie chirurgia.

— To ma pan szczęście. Na studiach miałam tam praktyki. To poziom niżej, w przyziemiu.

Oboje popatrzyli na Chabra. Pielęgniarka miała rację, informując, że on tu rządzi. Chaber ciapnął chirurgicznymi nożycami. Nie wyglądał na zadowolonego.

— Myślałem, że wpadłeś do mnie — zaprotestował, patrząc krytycznym wzrokiem na zaszytą ranę. — Będzie pan miał piękną bliznę. I to, jak widzę, nie pierwszą... Niech pan trzyma się z daleka od ścian, taka przyjacielska rada.

— Dziękuję, doktorze.

— Następny! — Wstał i podszedł do umywalki, a pielęgniarka wyszła na korytarz. Odczekał, aż zamkną się drzwi. — Myślałem, że masz jakiś interes, ale nie sądziłem, że chcesz mi wbić nóż w plecy — powiedział, markując płaczliwy ton. — Czy to musi być akurat Klaudyna? Ja się nie nadam?

— A co miałeś na drugim roku z procedur medycznych?

— Nie pamiętam. Pewnie poprawkę.

— No właśnie. Ja też. A ona wygląda na taką, co się zna. Wie co, gdzie i jak. Pozwolisz mi ją zabrać?

Wbrew pozorom w tej infantylnej rozmowie wcale nie chodziło o atrakcyjną Klaudynę. Dane zawarte w dokumentacji medycznej podlegały utajnieniu. Oczywiście można je było przekazywać, służyły przecież

leczeniu, ale Chaber na pewno wolał, by Michał zwrócił się o nie w sposób bardziej oficjalny.

— Bardzo ci zależy?

— Bardzo.

Jeszcze przez chwilę się wahał, a potem westchnął — trochę teatralnie, by dać koledze do zrozumienia, że robi to niechętnie i tylko przez wzgląd na ich znajomość.

— No dobrze. Idźcie. Najlepiej od razu, bo potem zrobi się tu młyn. Wiesz, gorączka lipcowej nocy. Kawę możesz zabrać ze sobą.

Michał zaczekał, aż Klaudyna przygotuje pacjenta do zabiegu, co w tym przypadku wiązało się z koniecznością zeszkobania z poharatanej ręki warstwy starego brudu, a potem ruszył za nią korytarzem pamiętającym czasy *belle époque*, która w Warszawie wcale nie była taka *belle*.

— Od dawna tu pracujesz?

— Od dwóch lat, panie doktorze.

— Daj spokój z tym panem. Nie chciałaś wyjechać za granicę?

— Na razie nie. Mam małe dziecko.

Pobrała z pustej chwilowo portierni komplet kluczy, a potem powiodła go po schodach w dół, do przyziemia. Korytarz był tak niski, że odruchowo pochylał głowę. Na szczęście miejsce, do którego zdążali, znajdowało się niedaleko. Zgrzytnął zamek i owiał ich zapach niewentylowanego pomieszczenia, wypełnionego po sufit stertami papieru. I kurzem.

— Proszę. — Pielęgniarka uchyliła okno piwniczne, wpuszczając do środka nieco orzeźwiającego powietrza, a potem uruchomiła wentylator, ustawiając go na pełną moc. Biały fartuch zatrzepotał w powietrzu. Zrobiło się przyjemniej, ale tylko trochę. — To miejsce było przez miesiąc moim drugim domem.

— Współczuję ci.

— Jakbyś posiedział tu dłużej, zobaczyłbyś, że jest czego... Na szczęście wszystko jest skatalogowane i opisane. Co cię interesuje?

Gdy jej wytłumaczył, na czym mu zależy, wyraźnie oklapła.

— Niepotrzebnie tu przychodziliśmy — stwierdziła, kierując się znów w stronę okna, tym razem, by je zamknąć. — Dokumentacja medyczna podlega komisijnemu zniszczeniu po dwudziestu latach.

— Znam ustawę. Ale znam też praktykę. Zwykle dokumentacji nie niszczy się na bieżąco. Jest cała procedura, protokoły, świadkowie. Nikomu nie chce się w to bawić, przynajmniej do czasu, w którym w archiwum zaczyna brakować miejsca.

— No tak. Przeciąga się to o kilka lat, ale przecież — policzyła w pamięci — nie o siedemnaście.

Michał może i nie był na studiach fanem zajęć z procedur medycznych, ale zapamiętał z nich, że obok standardowej dokumentacji medycznej, podlegającej brakowaniu po dwudziestu latach, istniała też dokumentacja traktowana odrębnie. Ją niszczyło się dopiero po upływie trzydziestu lat. Dotyczyła specjalnego typu świadczeń zdrowotnych.

— Tam prawdopodobnie przetaczano krew.

— Po podtopieniu w kanałach?

— Jeden z poszkodowanych mocno się poharatał. Jak myślisz? Są jakiegokolwiek szanse, że zachował się jakiś ślad?

Pokiwała głową. Dokumentacja, która ich interesowała, powinna była co prawda zostać zniszczona, ale nie siedemnaście, tylko siedem lat temu. Archiwum było pojemne, a personel pomocniczy miał zawsze pełne ręce roboty. Szanse więc były, i to dość duże.

— Masz pewność, że przywieźli ich tutaj?

— Mieli dwa kroki. Karetka podjęła ich pod CePeLekiem. Trzy osoby.

Szymon Romanow, Aleksander Rajzer i jeszcze jeden mężczyzna, a raczej chłopak. Prawdopodobnie nastolatek.

— I co konkretnie cię interesuje?

Szymon Romanow nie był w stanie rozmawiać o wypadku, a drugi jego potencjalny uczestnik — Aleksander Rajzer — nie potrafił rozmawiać w ogóle, na żaden temat. Wypadek był przyczyną zaburzeń Romanowa i jednocześnie kluczem do ich redukcji. Mógł mieć także znaczenie dla wyjaśnienia śmierci pani Kalinowskiej, na czym bardzo zależało Laurze.

— Interesuje mnie tożsamość tego trzeciego uczestnika. Tego chłopaka. Może to właśnie jemu podano tę krew. Ranny był jeden z chłopaków, więc szanse są pół na pół. Albo Rajzer, albo ten, na którym mi zależy.

W rogu pomieszczenia stał stary komputer stacjonarny. Uruchamiał się tak długo i wydawał przy tym takie dźwięki, że Michałowi przypominały się czasy, gdy Windowsy rywalizowały z Norton Commanderem. To wspomnienie przywołało inne, tym razem traumatyczne. Miał wtedy jakieś cztery lata i wylał na komputer ojca szklanekę soku. Tamtego dnia pierwszy i jedyny raz w życiu dostał w skórę.

— Macie tu *Prince of Persia* w wersji na peceta? — zagadnął, otrzymując w odpowiedzi pytające spojrzenie.

No tak, Klaudyna była już z innej epoki. Nawiązanie do cudownego świata gier z lat dziewięćdziesiątych było dla niej bredzeniem tetryka.

Kiedy komputer wreszcie się uruchomił, jej zręczne palce ujęły myszkę i najechały kursorem na folder o nazwie „Wszystko”, otwierając listę podkatalogów. Każdy rok, począwszy od 1990, przyporządkowany był do odrębnego zespołu plików. Ale był tam jeszcze jeden podkatalog, ten, który ich interesował. O wdzięcznej nazwie „Rupiecie”.

Klaudyna kliknęła w niego, otwierając kilka setek plików. Każdy był starannie opisany — przygotowanie takiej bazy musiało być wysiłkiem

zgoła benedyktyńskim. Pielęgniarka ustawiła pliki w porządku chronologicznym i powędrowała w dół listy. Najstarszy dokument z katalogu został wytworzony w grudniu osiemdziesiątego pierwszego roku. Data kojarzyła się jednoznacznie. Michał wyrzucił z głowy obraz koksowników i ciężarówek z wojskiem, który znał wyłącznie z filmów, i skupił się na przelatujących mu przed oczami cyferkach. Gdy na końcu pojawiła się czwórka — rok 1984 — przeniósł wzrok bliżej prawej strony ekranu, na nazwiska.

— Jest! — krzyknął, pukając w szklany ekran palcem. — Romanow!

— Romanowski — poprawiła go pielęgniarka, rozwijając okno. Entuzjazm Michała poleciał na łeb na szyję, aż do poziomu zniechęcenia. — Niestety, twojego Romanowa nie mamy. Jak nazywał się ten drugi?

— Rajzer.

— Rajzera też, ale to dobra wiadomość. Jest szansa, że wśród tych ludzi — wskazała na listę kilkudziesięciu nazwisk — znajduje się ten drugi chłopak.

— Czekaj. Możesz kliknąć tutaj?

Wskazał palcem na jedno z nazwisk. Klaudyna otworzyła wskazany plik i wzruszyła ramionami.

— A więc jednak Rajzer. Ktoś zrobił literówkę. Bo nie ma przecież nazwiska Sajzer.

Obok błędnie zapisanego nazwiska znajdowała się sygnatura. R17/P2/Z26.

— R to regał, P — półka, a Z — pozycja na półce. Chodź. Sama jestem ciekawa, co się zachowało.

Regał numer siedemnaście znajdował się po przeciwległej stronie pomieszczenia. Było tu jeszcze więcej kurzu, a powietrze zdawało się tak gęste, że można by je kroić nożem. Migająca jarzeniówka wydawała takie

dźwięki, jakby miała spaść im na głowy. Klaudyna wspięła się na palce i przez chwilę wodziła dłonią po nieobłożonych szpargałach.

— Dosięgniesz?

Michał zacisnął palce na wskazanym pliku.

— Tylko kilka kartek.

— A czego oczekiwałeś? Encyklopedii?

Migająca jarzeniówka doprowadzała go do szału. Wrócił do biurka z komputerem, wystawiając ciało na podmuchy wentylatora. Potrzebował ochłodzenia, bo zrobiło mu się gorąco. Wystarczył rzut oka na pierwszy z dokumentów, wypełniony przez załogę karetki pogotowia:

*Wezwanie o godzinie dwudziestej pierwszej dwadzieścia na Chałubińskiego, pod siedzibę Centralnej Przychodni Lekarskiej. Na miejscu trzy osoby, w tym dwie wymagające podjęcia działań w celu przywrócenia czynności życiowych: Mężczyzna lat ca. 20 — ofiara podtopienia, oraz młodociany lat ca. 16 — z ranami szarpanymi lewego uda i przerwaną tętnicą udową...*

Dalej następował opis podjętych czynności, a potem informacja, że poszkodowani zostali przewiezieni do szpitala Dzieciątka Jezus na Lindleya. Michał dotarł do końca, a potem niecierpliwie przerzucił stronę. Drugim i jednocześnie przedostatnim dokumentem była karta informacyjna z leczenia szpitalnego Aleksandra Rajzera, wypełniona później, prawdopodobnie przy wypisie ze szpitala. Obok danych osobowych w dokumencie znajdował się opis obrażeń i podjętego leczenia. Nie było tam wzmianki o konsultacji psychiatrycznej. Ktoś ewidentnie dał ciała, przegapiając objawy, które miały towarzyszyć Rajzerowi już do końca życia. Gdyby pomoc wdrożono od razu, jego życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej.

Do dokumentu, za pomocą przerdzewiałej zszywki, przytwierdzona była



kartka papieru. Dołączono ją później, przynajmniej pół roku po wypadku, bo Rajzer miał już nowe miejsce zamieszkania, do którego skierowano go postanowieniem sądu dla nieletnich.

— Państwowy Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy przy ulicy Barskiej — odczytała na głos Klaudyna. — Teraz też jest tam ośrodek dla trudnej młodzieży prowadzony przez księży orionistów. W pięknej starej kamienicy.

— Wiem. — To stamtąd odebrał dziś Laurę. — A ty skąd wiesz?

— Mieszkałam niedaleko. Jako nastolatka przeskakiwałam przez mur, żeby pograć tam w piłkę.

— Byłaś chłopczycą?

— Chyba wciąż jestem.

Uśmiechnął się, bo tak wypadało, a potem wrócił do starych akt. Ostatni dokument sporządzono na maszynie. Jego autor nie był wprawnym maszynistą — świadczyły o tym liczne skreślenia i nadpisy.

— Informacja o zabiegu przetoczenia krwi — odczytał na głos, a potem pochylił się nad maszynopisem, bo niektóre litery odbiły się słabiej niż inne. Lektura wymagała skupienia.

Z tekstu wynikało, że pacjent został zidentyfikowany na podstawie legitymacji szkolnej z liceum Staszica, a jego grupę krwi — AB Rh+ — oznaczono na podstawie podwójnego testu. Wcześniej, ze względu na konieczność ratowania życia, pacjentowi podano do żyły obwodowej tak zwany KKCz, czyli koncentrat krwinek czerwonych, oczywiście grupy zero. Potem, już po prawidłowym oznaczeniu grupy, otrzymał krew bezpośrednio od dawców.

— Miał szczęście, że znalazło się ich aż tylu — zauważyła Klaudyna. — Same młode chłopcy.

Wszyscy dawcy, zgodnie z procedurą, musieli być wymienieni. Obok

imienia, nazwiska, wieku i grupy krwi podany był adres, zawsze ten sam. Kocjana 3.

— To żołnierze batalionu saperów. Stacjonował zaraz obok, na Filtrach, a na Kocjana znajdowała się siedziba i koszary.

Adres przy Kocjana wymieniony był dwadzieścia cztery razy, czyli tyle, ile było nazwisk. W jednym przypadku, pod koniec listy, był jednak przekreślony. Gdyby nie Klaudyna, nie zwróciłby na to uwagi.

— Ten to chyba nie żołnierz. Za młody. Popatrz, tylko szesnaście lat. Teraz by od niego nie wzięli. Oddać krew może tylko osoba pełnoletnia.

Mówiła coś dalej, ale Michał przestał słuchać. Wpatrywał się w nazwisko, nie wierząc w to, co widzi.

Młodym krwiodawcą był Zbigniew Komar.

## Czwartek, 15 lipca 2021 r.

Honda Laury jak na auto sportowe dysponowała dość wygodnym wnętrzem, ale Karol preferował limuzyny. Volvo Marcela miało skórzaną tapicerkę i tyle systemów wspomagających kierowcę, że w zasadzie prowadziło się samo. Z głośników sączyła się muzyka poważna, a także — od czasu do czasu — seksowny głos asystentki jazdy, informujący o przebiegu trasy. Niestety w nieregularnych odstępach do tych relaksujących dźwięków dołączał inny. Odgłos damskiego szloch. Siedząca na tylnej kanapie Amelia Celmer płakała, wtulając się w ramię swojego podpitego małżonka. Matka Karola co chwila odwracała się w fotelu, podając jej chusteczki i wypowiadając krzepiące słowa. Zachowywała się niczym siostra miłosierdzia. Karol był na nią tak wściekły, jak chyba nigdy w życiu.

— Kurwa mać — zaklął, mijając rogatki Warszawy.

Radiowóz jechał co prawda przeciwnym pasem ruchu, ale jego żołądek i tak po raz kolejny wywinął koziołka. Podczas trzystukilometrowej trasy wypatrzył aż pięć policyjnych samochodów. Rozsądek sugerował, że to zwykłe patrole drogówki, ale Karol nie mógł przestać myśleć o liście gończym. Czuł się jak zwierzyna, na którą polowano, a bezksiężycowa noc sprzyjała snuciu ponurych scenariuszy.

Matka też nie była w najlepszym nastroju. Chociaż wybawił ich wszystkich z kłopotu, bo jako jedyny z tej wesołej gromadki nie miał we krwi nawet grama alkoholu, zdawała się go winić — nie wiedział tylko za co.

— Masz na tle tych radiowozów jakąś paranoję. Uważaj, jak jedziesz!

Ocknij się!

Karol, który jeszcze chyba nigdy nie był tak rozbudzony, dokończył manewr wyprzedzania, a potem posłał matce ponure spojrzenie, którego i tak nie mogła zobaczyć. Znów klęczała w fotelu, obrócona w kierunku Amelii. Zerknął przez ramię. W świetle jednej z nielicznych działających latarni blada twarz kobiety skojarzyła mu się z maską z greckiej tragedii. Była groteskowo wykrzywiona, a jednocześnie nieruchoma. Nie ulegało wątpliwości, że Amelia potrzebuje pomocy. Nie rozumiał jednak, dlaczego nie skorzystali z niej na miejscu, tylko tłukli się nocą przez pół kraju.

— Mam nadzieję, że ten twój lekarz naprawdę jest dobry — warknął w kierunku matki.

— Doktor Łapiński jest najlepszy.

— Wiesz to z autopsji?

Z tylnej kanapy dobiegło głośne chrapanie Marcela. Piąty z uczestników ich eskapady na wysokości Białegostoku zapadł w pijacką drzemkę. Matka próbowała go uciszyć, ale się nie dało. I bardzo dobrze, bo odgłos miarowego chrapania — o dziwo — podziałał na Amelię uspokajająco. Szlochanie ustało.

— Jeśli pytasz, czy korzystałam z jego usług, to odpowiedź brzmi... nie. Nie korzystałam. Ale słyszałam o nim wiele dobrego. Znam go i wiem, że nie odmówi pomocy.

— Nie wiedziałem, że masz znajomości w takich kręgach.

— Mam. I nie zawaham się ich użyć. Po wszystkim poproszę Łapińskiego, żeby przyjrzał się także tobie.

— Słucham?!

— Jesteś strzępem człowieka — warknęła. — Każdy inny kierowca już dawno dowiózłby nas na miejsce.

Według komunikatu asystentki jazdy do celu, którym był Szpital

Nowowiejski, pozostały im dwadzieścia dwie minuty. Z każdą chwilą robiło się jaśniej. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał dziesięć po czwartej. Karol chciał powiedzieć coś niemiłego, ale matka znów odwróciła głowę do tyłu.

— Dominik, nie ściskaj jej tak. Bo ją udusisz.

Mąż Amelii był w kiepskim stanie. Strach o żonę i efekty przepicia, czyli to, czego doświadczał już od ładnych kilku godzin, pchnęły go na skraj wyczerpania. On też był zwolennikiem szukania pomocy na Suwalszczyźnie, ale podobnie jak Karol, a wcześniej załoga pogotowia, uległ argumentom Lucyny i ostatecznie zgodził się powierzyć swą żonę wychwalanemu profesorowi Łapińskiemu.

I teraz chyba żałował.

— Lucynko, znów mi niedobrze...

— To pościskaj sobie to. — Rzuciła mu na kolana reklamówkę. Podobnie jak wtedy, gdy przejeżdżali przez Tykocin. Wtedy skorzystał, teraz udało mu się powstrzymać. — Co z was za chłopy. Żadnego pożytku...

— A ze mnie? — spytał ze złością Karol, ale kontra była bolesna.

— Ty wyglądasz jak znokautowany bokser. Wstyd wyjść z tobą między ludzi.

Karol przejrzał się w lusterku wewnętrznym. Światło świtu nie było dla niego łaskawe. Obrażenia nie były groźne, ale opuchlizna nad jednym okiem i siniec pod drugim prezentowały się niezwykle malowniczo. Na szczęście niespodziewani goście, na których natknął się przy samochodach, poprzestali na kilku ciosach. Na koniec jeden z nich pochylił się nad leżącym na trawie Karolem i wyszeptał mu do ucha kilka gróźb. Karol upewnił się wówczas, że pobicie zlecił facet ukrywający się pod przydomkiem Ferdek. Bandzior z Sejn. Powtórzył jego pseudo,

a w odpowiedzi otrzymał jeszcze jeden cios. Wiele wskazywało na to, że lokalny mafioso nie lubi swojej ksywy i nasuwających się z nią skojarzeń z bohaterem kultowego serialu.

— Ty z niego nie kpij.

— Z kogo?

Oprawca zawahał się, a potem wypowiedział ksywkę szefa, ale tak niewyraźnie, że zabrzmiała jak Fredek. Karol nie zamierzał się nad tym zastanawiać. To, w jaki sposób określano stręczyciela sejneńskich prostytutek, miało znaczenie drugorzędne. Liczyło się przesłanie.

Trzymaj się z daleka.

Karol zamierzał się do niego zastosować. Potarł się po opuchliznie, po czym ignorując matkę, która znów zainteresowała się okolicznościami jego pobicia, w milczeniu przejechał przez most na Wiśle. Centrum Warszawy wyglądało o tej porze jak wymarłe miasto. Przemknąwszy przez kilka skrzyżowań, przez Wolę i Ochotę dotarł pod kampus politechniki. Szpital Nowowiejski wznosił się po drugiej stronie ulicy. Był ciemny i odpychający.

— Mamo, naprawdę jesteś pewna, że to właściwe miejsce?

— Zamknij się. Zasnęli. — Miała rację, spośród osób z tylnej kanapy nie spała tylko Amelia. Instruowany przez matkę Karol odsunął fotel Celmera maksymalnie do tyłu, a potem pomógł wysiąść Amelii. — Ciszej. — Ostrożność matki była usprawiedliwiona okolicznościami. Izba przyjęć szpitala psychiatrycznego nie była odpowiednim miejscem dla pijanego neurotyka. Na szczęście Celmer chrapał niemal tak głośno, jak Marcel. — Zamknij ich. Najlepiej tak, żeby nie umieli się otworzyć.

— Ale mamo...

— Rób, co mówię. Nie potrzebujemy ich. Prawda, kochana?

Amelia nie odpowiedziała. Podtrzymywana przez Lucynę poruszała się

niczym manekin z gotyckiego horroru. Sztywno, noga za nogą. Karol złapał ją z drugiej strony i wyczuł, że dziewczyna cuchnie. Potem i czymś jeszcze. Amoniakiem.

— Mamo...

— Zamknij się, do cholery. Zrobiłeś się marudny jak twój ojciec.

Przez otwarte zachęcająco drzwi weszli do wnętrza szpitalnego budynku. W odpowiedzi na ich pytanie zaspany portier machnął ręką w kierunku strzałki wskazującej właściwą drogę. W poczekalni przed izbą przyjęć czekali dwaj policjanci eskortujący jakiegoś obdartusa. Na ich widok Karol miał ochotę zrobić to, co Amelia. Posikać się w gacie.

— Przepuście nas?

Matka w przeciwieństwie do niego była zupełnie opanowana. Policjanci nie chcieli się zgodzić, a gdy dyskusja przeszła w kłótnię, w drzwiach gabinetu pojawił się zaspany wielkolud.

— Spokojnie, bo wezwę policję — mruknął, a gdy obie strony konfliktu zbaraniały, obrzucił wzrokiem obdartusa i Amelię, oceniając chyba, który z przypadków jest pilniejszy. — Panie mają pierwszeństwo — zadecydował, a kiedy jeden z mundurowych zaklął pod nosem, poklepał go po ramieniu. — Uwierz mi, kolego, ja też wolałbym być teraz gdzie indziej.

Matka, prowadząc Amelię, skwapliwie przekroczyła próg gabinetu. Karol ruszył za nimi, bojąc się, że lekarz każe mu zostać w poczekalni, czego ze względu na obecność policjantów wolałby uniknąć. Lekarzowi było jednak wszystko jedno. Usiadł za biurkiem i ruchem myszki ożywił ekran komputera.

— Niech pani zdejmie maskę — poprosił, zwracając się bezpośrednio do Amelii. — I przygotuje dowód osobisty.

Wstał i zakrył zasłonką ogromne lustro, które byłoby bardziej na miejscu w zakładzie fryzjerskim, a nie na izbie przyjęć. Amelia, chyba po raz

pierwszy od chwili, gdy Karol znalazł ją na dnie łódki, ocknęła się z letargu.

— Nie mam dowodu. Jestem obywatelką Wielkiej Brytanii.

— Woli pani rozmawiać po angielsku?

— Nie, nie trzeba. Moi rodzice pochodzą z Polski. Znam wasz język od dzieciństwa.

Podyktowała mu wszystkie dane, których potrzebował. W miarę jak to robiła, jej głos stawał się coraz bardziej zrelaksowany. Karol obserwował ją z coraz większym zdziwieniem. Dotąd sądził, że takie cudowne ozdrowienia zdarzają się tylko u dentysty, na widok fotela i wiertek. Tymczasem Amelia sprawiała wrażenie zupełnie zdrowej. Wrażeniu temu przeczył jedynie zapach moczu, ale Karol i tak przewidywał, że psychiatra lada moment wstanie i wyprosi ich z gabinetu. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Widocznie widział więcej.

— Kim są dla pani ci państwo?

Matka Karola podała imię i nazwisko, a potem przedstawiła także Karola. Psychiatra popatrzył na niego w taki sposób, jakby umiał czytać w myślach. Albo jakby regularnie odwiedzał witrynę, na której publikowano listy gończe.

— Stresuje się pan, co?

— Nie, po prostu jestem zmęczony...

— Kim są dla pani ci ludzie? — psychiatra zwrócił się znowu do Amelii.

— To rodzina?

Amelia na moment się zawahała.

— Są jak rodzina. Wolałabym, żeby zostali.

— Jak pani sobie życzy. — Lekarz upił łyk kawy i wrócił do wypełniania



dokumentacji. Palce znów uderzyły w klawiaturę. — To nie jest pani pierwszy kontakt z psychiatrą, prawda?

— Nie. Pozostaję pod opieką psychiatryczną od dzieciństwa. W przeszłości cierpiałam na zaburzenia nerwicowe oraz depresję. Od dłuższego czasu biorę leki, które raczej mi pomagają.

— Jakie leki?

Amelia wymieniła kilka specyfików, z których Karol kojarzył z nazwy jedynie xanax.

— Czy ostatnio wydarzyło się coś, co mogło wywołać nawrót pani problemów?

Amelia zawahała się na moment. Karol poczuł się cholernie niezręcznie. Wolał, by jego rola w rozgrywającym się dramacie ograniczyła się do prowadzenia samochodu. Matka wyczuła go bezbłędnie.

— Synku, wyjdź. Masz dosyć własnych kłopotów.

Spojrzał na nią spode łba, bo uwaga o kłopotach była niepotrzebna, a potem posłusznie wyszedł. Zamykając drzwi, usłyszał pociągnięcie nosem, które — jak zdążył się już zorientować — poprzedzało u Amelii wybuch płaczu. Spokój sprzed chwili zniknął bezpowrotnie. Rany na jej duszy musiały być naprawdę głębokie, a do tego dochodziła wrażliwość. Przypomniał sobie, jak bardzo przejęła się dziwną wizytą jego babci, która — według relacji jej i jej małżonka — miała czaić się pod oknami mieszkania na Ursynowie. Nie miał ochoty uczestniczyć w tej uczuciowej wiwisekcji. Matka miała rację.

Rzeczywiście miał własne problemy, a jeden z nich czekał na niego już w poczekalni, w osobie Dominika Celmera, który przepychał się z policjantami. Jego ochryply głos zaalarmował również portiera, wypłaszając z niego senność.

— Proszę o spokój!

— Dominik, opanuj się!

Karolowi do spółki z portierem udało się odciągnąć Celmera w przeciwny kąt poczekalni. Jeden z policjantów z bardzo urzędową miną zażądał od niego dokumentów. Celmer oklapł i zauważalnie pobladł, a może nawet pozieleniał. Brakowało tylko tego, by zhaftował się na policyjne buty.

— Pan jest tu z nim?

Karol przełknął ślinę. Spodziewał się wezwania do okazania dokumentów, ale drugi z policjantów nie był aż takim formalistą, a może po prostu cenił sobie święty spokój.

— Niech go pan stąd wyprowadzi. Natychmiast.

Karol nie ociągał się ani sekundy. Chwycił Celmera za rozchełstaną koszulę i wyciągnął go z budynku. Podróż korytarzem zajęła im nie więcej niż dziesięć sekund.

— Uspokój się, chłopie! Tak jej nie pomożesz!

— Ale ja muszę...

— To nie jest jej pierwszy raz. Bywała już w takiej sytuacji, nie? I ty też!

Celmer oparł się o mur szpitala i zwymiotował, a potem otarł usta maseczką.

— Hospitalizowano ją w Londynie — wymamrotał. — Bardzo jej się wtedy polepszyło...

— No widzisz. Tutaj też jej pomogą. A ty idź się wyśpij i po południu wróć tu z kwiatami. Marcel, pomożesz mu? Weźcie taksówkę i jedźcie na Ursynów albo do hotelu...

Marcel, który wyrósł jak spod ziemi i tylko nieco chwiał się na nogach, chwycił Celmera z drugiej strony. Karol zaprowadził ich na przystanek pod politechniką i usadził pod wiatą, a potem wezwał taksówkę. Świeże powietrze uwolniło resztkę procentów. Obaj wyglądali tak, jakby dopiero

co wyszli z wesela. Matka i w tym miała rację. Powinien był ich zamknąć w aucie.

— Znasz tu w okolicy jakiś hotel? — wymamrotał Marcel, patrząc z odrazą na Celmera, który pochylił się do przodu, jakby znowu chciał wymiotować. — On nie nadaje się na dłuższe jazdy.

Karol zerknął w stronę Lwowskiej i pomyślał o hostelu w kamienicy babci. Mieli do niego kilkaset metrów, ale... To nie było miejsce dla dyplomatów, choćby i zalanych, tylko dla robotników i studentów.

— Taksówkarz poleci wam coś odpowiedniego — stwierdził i skinął ręką.

Nie zamierzał ich doglądać. Byli dorośli. Nie potrzebowali niańki.

Gdy wrócił na izbę przyjęć, Amelia właśnie wychodziła z gabinetu. Matka kręciła się wokół niej niczym troskliwa kwoka.

— Mamy zgłosić się za godzinę. Ten młody człowiek chce zabrać ją na swój oddział. Nie musiałam się nawet powoływać na znajomości...

Chodziło jej zapewne o znajomość z profesorem Łapińskim, ale Karol nie był zainteresowany słuchaniem. Czuł na sobie wzrok policjantów, a po chwili jeszcze kogoś. Młody człowiek, jak matka określiła wysokiego lekarza, podszedł prosto do niego i bezceremonialnie wciągnął go za automat ze słodkimi przekąskami.

— Zaczekaj na mnie — rozkazał, lekceważąc konwenanse. — Załatwię ich jak najszybciej, zabiorę cię w bezpieczne miejsce i pogadamy, okej?

— A czy mogę wiedzieć, o co chodzi? Czy my się znamy?

Wysoki lekarz popatrzył na Karola z zaskakującą sympatią.

— Nazywam się Michał Tracz. Znam twoją siostrę, a ciebie szuka policja, czyż nie?

Bezpiecznym miejscem, o którym wspomniał Tracz, okazał się gabinet

oddziału zamkniętego. Widok krat w oknach podziałł na Karola depresyjnie. Lekarz wskazał mu krzesło, zapraszając, by usiadł. W pomieszczeniu, podobnie jak w gabinecie izby przyjęć, wisiało duże lustro. Karol przejrzał się ukradkiem, po czym szybko odwrócił wzrok. To, co zobaczył, niezbyt mu się spodobało. Rzeczywiście wyglądał jak pięściarz po walce, a jego włosy zdawały się błagać o kawałek grzebienia.

— Kawy? — zaproponował lekarz, po czym nie czekając na odpowiedź, włączył czajnik.

On też nie wyglądał jak model z okładki czasopisma o zdrowiu. Miał podkrążone oczy i wymięty fartuch. Jego wygląd zdawał się korespondować z kondycją publicznej służby zdrowia.

— O co chodzi z tymi lustrami?

Tracz spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Dobre pytanie. Słyszałeś o zespole Quasimodo? — Karol w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. — To zaburzenie polega na nieakceptowaniu elementów własnego wyglądu. A czasami tylko pojedynczego elementu. Na przykład wielkości nosa czy kształtu brwi.

— Kompleks brzydala. — Karol uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu, ale zaraz potem jego wzrok napotkał kraty.

Uśmiech zbladł.

— Niekoniecznie brzydala. Zaburzenia mają charakter urojeniowy. Osobie tylko się wydaje, że coś jest brzydkie. Etiologia zespołu Quasimodo jest złożona i niejednorodna.

— A wy identyfikujecie ją na podstawie sposobu patrzenia w lustro — skwitował Karol, ale okazało się, że trafił tylko częściowo.

— Ludzie borykający się z zespołem Quasimodo często w ogóle unikają patrzenia w lustro. To częsty motyw filmów grozy. Rzeczywistość jest

raczej smutna niż straszna, tym bardziej że zaburzenia tego typu są bardzo trudne do leczenia.

Karol wcale tak nie uważał. Być może obejrzał w swoim życiu zbyt wiele horrorów o wampirach. Obraz pacjentów unikających własnego odbicia w lustrzanej tafli wydał mu się przerażający — ale tylko przez chwilę. Nagle zrozumiał to dziwne spojrzenie lekarza. Malujące się w jego oczach zaskoczenie, a także osobliwe zachowanie Amelii i nagłe polepszenie się jej nastroju.

— Amelia ma zespół Quasimodo?

— Pomidor — odparł natychmiast lekarz. — Zaprosiłem cię tutaj nie dlatego, żeby rozmawiać o twojej przyjaciółce. Mogę ci tylko powiedzieć, że rokowania są dobre. Pomożemy jej. Osobą, o której chciałbym pogadać, jest twoja...

— ...babcia — dokończył Karol. Dobrze pamiętał zdziwienie siostry, gdy mu mówiła, że zgłosił się do niej psychiatra. — Spotkałeś się z Laurą, prawda? O co tu chodzi?

Wysłuchał relacji lekarza, a potem rozłożył ręce.

— Nie znam tego, jak mu tam...

— Romanowa — podpowiedział lekarz, a Karol wzruszył ramionami. — Wcale tego nie oczekiwałem. W tej chwili interesuje mnie wyłącznie twoja babcia. Laura powiedziała mi, że byłeś z nią bliżej. Znacznie bliżej niż ona. Wasza relacja była podobno wyjątkowa.

— Laura zawsze trzymała stronę ojca, którym babcia trochę pogardzała. Ale w ostatnich latach widywała się z nią znacznie częściej niż ja.

— Czy rozmawiałeś z nią o wypadku, w którym ucierpiał wasz dziadek?

Karol nie umiał powstrzymać uśmiechu.

— Widzę, że Laura przekabaciła cię na swój punkt widzenia. Tyle że to

spiskowa teoria dziejów. Dziadek Julian zmarł dawno temu. Jego życiowe zakręty, wzloty i upadki... nie mają w tej sprawie żadnego znaczenia.

Doktor Tracz zrobił tajemniczą minę.

— W wypadku na Filtrach, tym, w którym dziadek stracił dwa palce, ucierpiało jeszcze trzech innych mężczyzn. Jednym z nich był Szymon Romanow, żołnierz jednostki inżynierskiej.

— Ten sam człowiek, którego odwiedziła babcia? O cholera.

— Drugim z tych mężczyzn był Aleksander Rajzer, starszy brat Jana, czyli tego, którego znaleźliście na działkach.

— Widziałem się z nim. Ma stany lękowe na tle dźwięku lejącej się wody...

— ...zupełnie jak Romanow. — Psychiatra wstał i zalał wrzątkiem kawę.

— Trzeci z mężczyzn nazywa się Komar. Zbigniew Komar. Podobno mieszkał kiedyś w kamienicy twojej babci. Pamiętasz go?

Karol był już dostatecznie skołowany. Gdy usłyszał kolejne nazwisko, w pierwszej chwili go nie skojarzył.

— Naszą sąsiadką jest Lewandowska, a piętro niżej mieszkają... Powiedziałaś Komar?

— Tak. Zbigniew.

— Słyszałem o Bolesławie. To może ktoś z rodziny... Bolesław Komar był, zdaje się, dyrektorem Filtrów. Przed moim dziadkiem. Mieszkał bezpośrednio pod nami, na parterze, ale to było dawno temu. Nie za mojego świadomego życia. Teraz mieszkają tam jacyś studenci...

— Bolesław Komar? — Lekarz wyjął z kieszeni telefon. Wyglądał na niezadowolonego, ale mowa ciała wskazywała, że przyczyną tego niezadowolenia nie jest Karol, tylko on sam. — No rzeczywiście. Dostał nawet order. Bolesław Komar, dyrektor zakładu wodociągów... Gdy

wklepywałem w Google „Komar Filtry”, wyskakiwały mi same reklamy środków owadobójczych.

— Jeśli dostał order, to chyba dawno temu, bo potem popadł w niesławę. Jeżeli chcesz zgłębić tę historię, to idź do pana Emila. To emerytowany radca prawny. Był jego sąsiadem, przez ścianę... — Lekarz zanotował sobie namiary na nobliwego mecenasa. Zrobił to z uśmiechem, po irytacji sprzed chwili nie zostało nawet wspomnienie. — Jeśli interesują cię opowieści z czasów mchu i paproci, to chyba warto, żebyś wiedział, że moja babcia miała jeszcze jedną córkę, którą oddała w niemowlęctwie do sierocińca. Hej, w porządku?!

Psychiatra podskakiwał na jednej nodze, zdejmując w pośpiechu spodnie, na które właśnie wylał pół filiżanki niemal wrzącej kawy.

— W porządku. — Spodnie wylądowały w kącie gabinetu, a lekarz rozcierał zaczerwienione udo. — Do wesela się zagoi. Mówisz, że do sierocińca? A do którego?

Karol podał mu nazwę miejscowości. Doktor miał taką minę, jakby chciał wszystko rzucić i natychmiast tam pojechać, nawet bez spodni. Postanowił oszczędzić mu fatygi.

— Dziecko zmarło. Mniej więcej po dwóch latach. Babcia nigdy się po tym nie podniosła. Wykupiła symboliczny nagrobek na Powązkach, no i została kimś na kształt ambasadorki dzieci z gwałtów.

— Z gwałtów?

— A niby dlaczego oddała własne dziecko do sierocińca i nigdy nie wspomniała o tym nawet jednym słowem? To jasne jak słońce. Została zgwałcona.

— Przez kogo?

— To w tej chwili nie ma chyba żadnego znaczenia. Minęło tyle czasu... Są duże szanse, że ten, który jej to zrobił, już smaży się w piekle.

Karola korciło, by zdradzić psychiatrze coś jeszcze. Powiedzieć mu, że babcia niedługo przed śmiercią przekupiła policjantkę, uzyskując w zamian za trzy tysiące polskich złotych informacje o rodzinie Aleksandry Arbaszewskiej, swojej opiekunki, która spędziła kilka lat w tym samym sierocińcu, do którego trafiła jej córeczka. Wiele wskazywało na to, że były równolatkami, ale jednocześnie istniała pewność, że nie były jedną i tą samą osobą. Arbaszewska miała na udzie myszkę, taką samą jak jej matka, dożywająca swoich dni w popegeerowskiej wsi Walaski. Kiedy pod sam koniec ich spotkania przy kawie psychiatra wypowiedział nazwisko opiekunki, Karol aż przygryzł wargi.

Nie mógł wsypać Baški. Bo ona, przyparta do muru, mogła zrewanżować mu się tym samym.

— Arbaszewską wybrali wujek z ciocią. W pewnym sensie sama się do nich zgłosiła. Przykleiła ogłoszenie na klatce ich kamienicy. Chyba nie chciało im się szukać.

— A babcia? Nie miała nic do powiedzenia?

— Była łatwowierna. Zapisała jej ósmą część spadku, ale będziemy próbowali znieść ten zapis przed sądem...

Do drzwi gabinetu ktoś zapukał. Karol urwał, a doktor Tracz włożył spodnie. W okolicach krocza miał obszerną, brązową plamę, którą udało mu się zakryć połami fartucha.

— Proszę.

Do gabinetu wślizgnęła się pielęgniarka.

— Panie doktorze, szuka pana ta pani od pacjentki, którą mamy przyjąć na oddział...

— Powiedzcie jej, że już idę. — Lekarz zaczekał, aż zamkną się za nią drzwi, a potem niespodziewanie objął Karola ramieniem. Wbrew



protokołowi sanitarnemu i jego oczekiwaniom. — Masz bardzo fajną siostrę, wiesz?

— Najlepszą — potwierdził gładko Karol. Żył z Laurą jak pies z kotem, ale teraz poczuł oburzenie. Nigdy nie umiał zaakceptować jej adoratorów, zwłaszcza gdy z jego perspektywy wydawali się atrakcyjni. — Niestety — dodał z udawaną przykrością — Laura jest beznadziejnie zakochana. Na zabój.

Uśmiechnął się niewinnie i zostawił lekarza z plamą na spodniach i — jak sądził — żalobą w sercu. Dobry nastrój nie trwał jednak długo. Przy wejściu na oddział zobaczył Amelię oraz stojącą obok matkę. Amelia sprawiała wrażenie przestraszonej, ale nadrabiała miną.

— Cześć — rzuciła w kierunku młodego faceta, który — w towarzystwie pielęgniarki — wracał od strony pryszniców, z mokrymi włosami i ręcznikiem przewieszonym przez ramię. — Jestem Amelia, a ty?

Facet odwrócił ku niej głowę i niespodziewanie podskoczył, a jego uprzejmy uśmiech zniknął za maską przerażenia. Rzucił się przed siebie, gubiąc po drodze klapki. Tupanie bosych stóp ucichło dopiero wtedy, gdy zniknął w jednym z pokoi. Oczy Amelii wypełniły się łzami, a jej spojrzenie wyblakło.

Powitanie na oddziale zamkniętym nie poszło tak, jak sobie wymarzyła. Było więcej niż chłodne.

Po raz pierwszy od dnia, w którym znalazła nieżywą babcię, Laura czuła się wyspana. Zjadła musli z jogurtem, wzięła prysznic, a potem przypomniała sobie, że w natłoku spraw nie podlała wczoraj babcinych kwiatów. Świadomość, że musi wyjść z mieszkania, nie zepsuła jej humoru. Bilet do Norwegii był jeszcze ciepły. Dopiero co wyjęła go z drukarki. Sięgnęła po telefon i wystukała pierwszego dziś SMS-a.

*Jak minęła nocka?*

Odpowiedź przyszła po kilku sekundach.

*Smutno. Bo bez Ciebie.*

Poczuła się niczym zwariowana nastolatka. Ostatnio często się tak czuła.

*Może uda mi się trochę Cię rozweselić* — napisała, ale tekst wydał się jej kiczowaty, więc go usunęła. Wysłała mu dwie emotki z serduszkami w oczach, na co on odpowiedział jej trzema. Na początku był dość oszczędny w okazywaniu uczuć, lecz ostatnio udało mu się przełamać i teraz wyznania miłosne spływały na nią z taką siłą, jakby puściła tama.

*Nic się od wczoraj nie zmieniło?*

*Nie. Nadal Cię Kocham.*

Podśpiewując pod nosem, zadzwoniła po taksówkę. Dochodziła dziewiąta — o tej porze w mieście nie było korków, a przynajmniej nie w wakacje. Dwadzieścia minut później taksówkarz zatrzymał się pod kamienicą babci, a zobaczywszy napiwek, zerwał się, by otworzyć Laurze drzwi. Uprzejmy wyraz twarzy nie korespondował z jego słowami.

— O cholera.

— Co się stało?

— Idzie tu policjantka.

Laura wysiadła i ujrzała Basię. Koleżanka z klasy miała na sobie granatowy mundur, a na twarzy uśmiech — na tyle szeroki, że ktoś bardziej konserwatywny od Laury mógł go uznać za nielicujący z powagą umundurowania. Laura jednak nie zamierzała jej upominać. Przeciwnie, dobry nastrój kumpeli sprawił jej przyjemność. Wiedziała, że w ostatnich czasach z jej nastrojami bywało różnie.

— Cześć, Lara. — Laura nie cierpiała tego zdrobnienia, ale w taki dzień jak dziś nic nie mogło zmącić jej nastroju. Chociaż Baśka bardzo się

starala. — Przyjmij, proszę, kondolencje. To ty znalazłaś ciało, prawda? To musiało być straszne.

— Straszne? Nie, tylko smutne. Ale staram się żyć. I mam nadzieję, że dopadniecie tego, kto to zrobił.

Zawiesiła głos, jednak Baśka nie połknęła haczyka. Imię Karola nie zostało wypowiedziane. Zaraz po obudzeniu wysłała matce wiadomość ze znakiem zapytania. Odpowiedź była równie enigmatyczna, lecz jednoznaczna. Symbol uniesionego kciuka.

— Idziesz na górę, prawda? Mogę pójść z tobą?

— Tak... Ale po co?

— Chcę pogadać. Nie rób takiej miny. Prywatnie. O facetach.

Laura przez chwilę się wahała. Wyobraźnia podpowiedziała jej obraz pochrapującego na babcinej sofie Karola i Baśki zakładającej mu kajdanki. Ale przecież Karol był rozsądny. Nie przyszedłby tu, wiedząc, że cała policja tylko czeka, by go capnąć.

— Chodź. — Objęła ją ręką w pasie. Tam, gdzie powinno być miękkie ciało, wyczuła sztywny pas z kanciastym wybrzuszeniem. Etui na kajdanki. — Dalej pracujesz przy śledztwie?

— A skąd. Nigdy nie pracowałam. Gdy przesłuchiwali Karola, brakowało im protokolantki. Zgłosiłam się na ochotnika. Byłam ciekawa, jak zareaguje.

Akurat, pomyślała Laura. Karol napomknął jej o ich spotkaniach, ale zamiast zainteresować się tym, co miał do powiedzenia, ochrzaniła go, że zamiast pilnować się żony, bajeruje dawne sympatie. Wiedziała, że w szkolnych latach Baśka ostrzyła sobie na niego ząbki. Niewykluczone, że teraz było podobnie.

— Pamiętasz jeszcze? — Wskazała na klatkę schodową.

Chodziło jej o pierwsze wypite wspólnie piwo, ale koleżanka zrozumiała

ją inaczej.

— Co mam nie pamiętać? Byłam tu kilka razy, w zimie.

— U babci?

— Tak. Sprawdziliśmy, czy czegoś jej nie trzeba. Mieliśmy taką akcję pomocy dla seniorów.

— Babcia miała swoją własną pomoc.

— No tak. Tę Arbaszewską. Swoją drogą nieźle ziółko.

Laura nie miała pojęcia, o co jej chodzi. Baśka skakała z tematu na temat, rozglądając się na wszystkie strony. Czyżby rzeczywiście spodziewała się tu zastać Karola? Laura pełna niepokoju wsunęła kluczyk do zamka i przekręciła, po czym otworzyła drzwi.

— Proszę. Policja przodem.

Baśka skwapliwie skorzystała z zaproszenia. Jak po sznurku poszła najpierw do salonu, potem do jej dawnej sypialni, aż wreszcie do pokoju na samym końcu. Tego, w którym Laura znalazła babcię.

— Wybacz. Zboczenie zawodowe. Poczęstujesz mnie kawą?

— Niestety. Ekspres zabrali twoi koledzy z dochodzeniówki. Mogę zaproponować sok jabłkowy... Jeśli się nie zepsuł. Albo wodę. Czystą, bo prosto z Filtrów.

Baśka poprosiła o wodę. Usiadły w salonie — Laura tam, gdzie wczoraj, na sofie, a policjantka na krześle, które wczoraj zajmował Michał. Ku zdziwieniu Laury jej koleżanka wypowiedziała jego nazwisko.

— Doktor Tracz... Fajny facet, co? Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Nie patrz tak. Widziałam was wczoraj pod Staszicem. Ma ten sam motocykl co kiedyś.

— Zmierzasz do czegoś konkretnego czy chcesz poplotkować? — spytała ostrożnie Laura. — Bo jeśli to drugie, to wybacz, ale chyba nie jestem w nastroju.

— Zmierzam. — Baśka odstawiała szklankę i spojrzała Laurze prosto w oczy. Gdy były licealistkami, często tak patrzyła, ale wtedy usiłowała zazwyczaj namawiać ją do złego. Teraz ostrzegała. — Uważaj na niego. To straszny babiarz. Zmienia kobiety... Kiedyś się mówiło, że jak rękawiczki.

Laura miała ochotę się roześmiać. Jeśli to nie była żadna idiotyczna gierka i Basi rzeczywiście chodziło o jej cnotę, to trafiła kulą w płot. Tylko, pozostając przy tej terminologii, dlaczego w ogóle strzelała?

— A ty?

— Co ja?

— Ty też byłaś taką szybko zmienioną rękawiczką?

Baśka chyba wolałaby nie odpowiadać, ale skoro powiedziało się A, to należało przejść również do B.

— Zgadza się. Uwiódł mnie i porzucił.

— Przykro mi. Ale jeżeli o mnie chodzi, to nie zamierzam dać się uwieść. Mam chłopaka. — Laura pacnęła się w czoło. — Przecież ty go poznałaś.

Baśka przez chwilę patrzyła na nią ze zdziwieniem, aż w końcu załapała.

— Tego architekta wnętrza? Spotkałam go jakiś czas temu. Mówił, że wyjeżdża z Polski. Ty chyba nie eksperymentujesz ze związkami na odległość?

W innych okolicznościach Laura by się odgryzła. Wypomniałaby dawnej przyjaciółce jej jedyny poważny związek. Związek, po którym na pamiątkę zostały jej niespłacone kredyty oraz trauma dziecka, które miało wychowywać się bez ojca. Ale miała zbyt dobry humor, by rozdawać ciosy poniżej pasa.

— Nie eksperymentuję — odparła zgodnie z prawdą. To, co czuła, na pewno nie było eksperymentem. — Co z tą firanką?

Firanka, która dotąd ledwie drgała w uchylonym oknie, nagle wydeła się

jak balon. Laura wstała i poczuła ruch powietrza. Nieznaczny, ale wyczuwalny. Ruszyła w kierunku korytarza, jednak po sekundzie zmieniła zdanie. To fakt, miała dobry nastrój, lecz nie aż tak, by zapomnieć o mokrym odcisku bosej stopy.

— Możesz ściągnąć wsparcie? — szepnęła. — Zdaje się, że mamy gościa.

Pamiętała Baškę jako nieśmiałą, zakompleksioną dziewczynę, zawsze z boku. Teraz ujrzała jej nowe oblicze. Policjantka zerwała się z krzesła i sięgnęła po broń.

— Tam? — Jej szept również był bezgłośny.

Uzyskawszy potwierdzenie, skierowała się do ostatniego pokoju, poruszając się niczym baletnica, na czubkach palców. Laura zacisnęła pięści i poszła za nią, chociaż serce waliło jej jak młotem. Miała wrażenie, że zaraz wyskoczy jej z gardła. Baška zastygła za drzwiami, a potem pchnęła je nogą i wpadła do środka.

— Policja! Na ziemię! — wrzasnęła, przeładowując broń. Ale strzał nie padł. W pokoju zapadła cisza, a po chwili policjantka odezwała się ponownie, tym razem jednak znacznie ciszej: — Laura. Wezwij karetkę.

Laura na drżących nogach weszła do pokoju dziadka Juliana. Najpierw zobaczyła pochyloną nad łóżkiem Basię, a potem skulone ciało i kontrastujące z bordową narzutą śnieżnobiałe włosy. Natychmiast zapomniała o strachu. Przecisnęła się obok Basi i przesunęła wzrokiem po bezwładnym ciele.

Niedołężna sąsiadka babci, pani Lewandowska, miała zamknięte oczy i złożone dłonie. Wyglądała tak, jakby ktoś przed chwilą wyjął ją z trumny.

Po raz drugi w przeciągu kilku ostatnich dni Laura wystukała numer

alarmowy. Zanim po drugiej stronie odezwał się głos dyspozytora, pani Lewandowska otworzyła jedno oko.

— Jeszcze chwilę. Niech pani wytrzyma.

— Gdzie jest ta druga, w mundurze?

Głos staruszki był zaskakująco przytomny. Bardziej niż można było się spodziewać. Bardziej niż kiedykolwiek w ostatnich latach.

— Wyszła do sąsiedniego pokoju połączyć się z posterunkiem... Dzień dobry, Laura Woźniak, potrzebna będzie karetka na adres...

— Pani się nie wygłupia. Nic mi nie jest.

Staruszka usiadła na łóżku, po czym zaczęła wstawać. Laura przytrzymała ją w pozycji siedzącej. Aby to zrobić, musiała użyć dużo siły.

— Pani Lewandowska... Pani Gabrielo. — Z trudem wydobyła z pamięci imię staruszki, chcąc przemówić jej do rozumu. — Niech pani pozwoli się zbadać.

— Puszczaj. Jestem zdrowa. Tylko udawałam. Naprawdę, niech pani spojrzy.

Przymknęła oczy i dotknęła palcem czubka nosa. Laura nie była pewna, czego ma to dowodzić, ale cisza z jej strony trwała już zbyt długo. Nie chciała angażować czasu dyspozytorki.

— Przepraszam, chyba jest lepiej — wymamrotała, otrzymując w rewanżu pełne wdzięczności spojrzenie staruszki.

— Niech pani odwoła jeszcze tę policję. Nic nie ukradłam. Naprawdę.

Laura, nie spuszczać ze staruszki wzroku, przywołała Basię, po czym dała jej znak, który sugerował przerwanie połączenia. Policjantka zerknęła z wahaniem najpierw na radio, a później na panią Lewandowską, która wstała i złożyła błagalnie ręce.

— Chyba fałszywy alarm — powiedziała i nastawiła na odbiór. Męski głos zapytał, czy na pewno, a potem cierpkim tonem poinstruował Baśkę,

by była bardziej uważna. Odmeldowała się neutralnym „bez odbioru” i momentalnie naskoczyła na sprawczynię swej kompromitacji z wściekłością roju os: — Dlaczego pani udawała?! I co pani tu robi?!

Laura, która chciała zadać te same pytania, zamieniła się w słuch, ale pani Lewandowska, zamiast odpowiedzieć, wpadła w charakterystyczne dla siebie otępienie i zaczęła zawodzić.

— Mam jednak wezwać kolegów?

Zawodzenie urwało się niczym ucięte nożem.

— Nie, nie trzeba. Niech pani wybaczy starej kobiecie. Z każdym rokiem jest coraz trudniej...

Lewandowska uchodziła za dziwaczkę już wtedy, gdy Laura zamieszkała z babcią po rozwodzie rodziców. Była starą panną, od zawsze na rencie. Na różnych etapach swej niedołęźności korzystała z rozmaitego wsparcia — od zwykłej ciupagi po nowoczesny wózek. Była cichutka jak myszka i niezauważalna jak kameleon. Ludzie nie zwracali na nią uwagi, a kiedy ktoś już zwrócił, najczęściej szybko odwracał wzrok. Chociaż była chodzącą kupką nieszczęścia, zazwyczaj odmawiała pomocy, w szczególności od sąsiadów. Lubiała czuć się samodzielna. Była samodzielna.

Wystarczająco samodzielna, by się włamać.

— Jak pani się tu dostała?

Staruszka spojrzała wymownie na drzwi balkonu. Były niedomknięte. Otworzyła je bezszelestnie, ale zdradził ją przeciąg. Laura otworzyła je na całą szerokość i wyszła na balkon.

— Przeszła pani przez balustradę? — spytała z niedowierzaniem.

Przedwczoraj, gdy zrobiła to samo na prośbę straży miejskiej, naciągnęła sobie mięsień w udzie. Przy określonych ruchach przypominał o sobie nawet dzisiaj.



Staruszka dołączyła do niej na balkonie i spojrzała tęsknie w stronę okien swojego mieszkania. Baśka zacisnęła dłoń na jej szczupłym ramieniu.

— Pani jest złodziejką. Zrobiła pani wiele, by ludzie traktowali panią jako niegroźną wariatkę, która znosi do domu jakiś szmelc, ale to tylko przykrywka, prawda? Oprócz szmelcu ma tam pani wiele cennych rzeczy...

Laura nie wierzyła własnym oczom. Staruszka zwiesiła głowę. Nie próbowała odpierać oskarżeń, tylko w milczący sposób je zaakceptowała.

— Tutaj rzeczywiście od zawsze grasował złodziej.

Przypomniała sobie pana Emila, któremu podwędzono z mieszkania cenne książki, i studenta z dołu, który — w czasach, gdy chodziła do liceum — tracił sukcesywnie wyposażenie roweru: światełka, piterek na narzędzia, dzwonek i pompkę. Wydobyła z pamięci te wszystkie kartki ostrzegające przed złodziejem. Biżuterię babci, która zginęła, żarówki, które wykręcano z klatki schodowej, i niemowlęcy wózek, z którego zniknęła wyprawka.

Zerknęła w dół, na bose stopy staruszki. Były bardzo małe. Przypominały stopy dziecka.

— To naprawdę pani?!

— Już tego nie robię. Nie kradnę. Naprawdę.

— To po co pani się włamywała?

Wskazała palcem do wnętrza mieszkania. Przy łóżku leżała książka.

— Chciałam ją oddać. I wziąć coś nowego. Krystyna pozwalała mi to robić. Znała moją tajemnicę. Dała mi nawet klucze do drzwi, ale wołałam przychodzić tędy.

— Dała klucze złodziejce?

Staruszka wróciła do pokoju i podniosła książkę. Jak na swój wiek była zręczna i gibka. Niedoleźność była maską, za którą ukrywała swe prawdziwe ja.

— Krystyna знаła moje problemy. Złapała mnie kiedyś na gorącym uczynku. Z wiekiem wszystko robi się trudniejsze... Starość jest straszna.

— Miała panią w garści — stwierdziła domyślnie Baśka, nie okazując staruszce cienia współczucia. — Wymogła na pani, by pani nie kradła... Tutaj czy w ogóle?

— W ogóle — przyznała z goryczą Lewandowska. — Była ateistką, ale postanowiła zadbać o moją duszę. Robiłam, co kazała... Prawie zawsze. Czy mogę już iść?

Policjantka pokręciła głową.

— Nie wywinie się pani tak łatwo. W mieszkaniu doszło do zabójstwa. Chyba nie muszę pani tłumaczyć, że jest pani główną podejrzaną...

Lewandowska niespodziewanie prychnęła śmiechem.

— Skąd wiecie, że to było zabójstwo? Byłyście przy tym, jak umierała?

Laura podeszła do niej tak blisko, że wyczuła jej zapach. Zapach zwiędłych kwiatów.

— A pani była?

— Wie pani, że nikt mnie o to nie zapytał. Policjanci pytali tylko, czy nie widziałam czegoś podejrzanego. Mój kamuflaż biednej starej wariatki okazał się skuteczny. Powiedziałam, że nie, i dali mi spokój. Nie skłamałam. W tym, co widziałam, nie było nic podejrzanego. Naprawdę. Ona po prostu przewróciła się i umarła. O, w taki sposób.

Zanim zdążyły zareagować, Lewandowska zanurkowała i rozłożyła się na podłodze. Jej głowa znalazła się tuż obok nogi łóżka.

— Uderzyła się, popłynęło kilka kropel krwi... Nikogo tu nie było. Byłyśmy same. Tylko ona i ja.

Laura nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Baśka okazała się bardziej odporna. Być może jej przewaga wynikała z tego, że słowa staruszki nie dotyczyły jej babci.

— Skąd pani to widziała?

— Stąd, spod okna. — Lewandowska wskazała na punkt odległy od miejsca tragedii o góra dwa metry. — Schowałam się za zasłoną, bo nie chciałam, by odgadła, że znów weszłam do niej przez balkon. Nie lubiła tego. Twierdziła, że prędzej czy później zlecę i skrucę sobie kark. Gdy weszła do pokoju, uświadomiłam sobie, że coś jest z nią nie tak. Wyszłam z za zasłony i coś powiedziałam, ale ona już upadała. Umarła na miejscu, w ciągu sekundy. To był rozległy udar. Na pewno. W młodości napatrzyłam się na ofiary udarów.

— Była pani... pielęgniarką? — spytała Laura.

To, czym się zajmowała sąsiadka, miało znaczenie drugorzędne, ale pozwalało złapać oddech.

— Nie. — Staruszka pokazała w uśmiechu plastikowe dziąsła sztucznej szczęki. — Ubierałam zwłoki. Umiem rozpoznać, że ktoś nie żyje. Naprawdę. Jeśli widziałabym dla Krysi chociaż cień szansy, to zawiadomiłabym pogotowie. A tak wolałam odejść.

— A teraz też pani odejdzie. Ze mną, na policję.

Staruszka zaprotestowała, ale zrobiła to bez przekonania. Za długo kroczyła ścieżką bezprawia, by nie zrozumieć, że tym razem nie zdoła się wywinąć.

— To mogła być również trucizna — przyznała po chwili. — Krysia odeszła tak nagle... A chwilę przed śmiercią miała halucynacje. Zdarza się, że pod wpływem toksyn umysł najpierw wariuje, a dopiero potem na zawsze się wyłącza.

Laura oparła się o ścianę. Słowa o truciznie wydały się jej majaczeniem, ale błysk w oku policjantki utwierdził ją w przekonaniu, że domniemanie staruszki może być słuszne. Była pewna, że do śmierci nie zapomni widoku, który zastała w kuchni. Brudnej filiżanki po kawie i talerzyka

z połową porcji tortu. To ona przyniosła jej ten tort. Był ostatnim posiłkiem babci.

A kilka dni później policjanci zabezpieczyli lodówkę. I naczynia.

Słowa Basi dotarły do niej jak zza grubej szyby.

— Na czym miały polegać te przedśmiertne halucynacje?

Pani Lewandowska była twardą kobietą. Nawet w momencie, w którym stało się dla niej jasne, że nie uniknie czynności na policji, trzymała fason. Teraz jednak cofnęła się o krok i szybko przeżegnała, a potem zauważalnie się zgarbiła. Budziła skojarzenie ze ślimakiem, który chce się schować do własnej skorupy.

— Trudno mi o tym mówić — przyznała. — Krysia zaczęła wymawiać imię swojego zmarłego męża.

— Dziadka Juliana?!

— Tak. Odniosłam wrażenie, że go przywołuje. — Ponownie nakreśliła w powietrzu znak krzyża. — Tak, jakby w tamtej chwili wrócił zza grobu.

Po ostatnim wyznaniu pani Lewandowska poczuła się tak słabo, że przysiadła na łóżku. Być może znowu udawała, ale Basia nie zamierzała ryzykować. Wezwała kolegów, a ci zadzwonili również na pogotowie. Pomoc była w drodze, zostało tylko kilka minut. Laura postanowiła wykorzystać ten czas najlepiej, jak umiała. Oczywiście nie wierzyła w powroty zza grobu — w tym sensie słowa Lewandowskiej wydały jej się tandetne. Ale na całość relacji składały się nie tylko słowa, lecz także mimika, a ta była jednoznaczna. Gdy sąsiadka mówiła o Julianie Kalinowskim, na pomarszczonej twarzy rozlewało się obrzydzenie. I nienawiść.

— Czy pani dobrze znała mojego dziadka?

Laura się nie pomyliła. Obrzydzenie powróciło. Lewandowska

zapomniała nawet, że miała być słaba.

— Na szczęście nie. Ale widywałam go bez przerwy. W pracy. W kamienicy. I w kościele.

— W pracy w charakterze... dekoratorki zwłok?

Pokręciła głową.

— W życiu miałam się wielu zajęć. Kilka ładnych lat przepracowałam w Stacji Filtrów. Byłam niczym inżynierowa Karwowska.

— Kto?

— Żona z serialu *Czterdziestolatek*. Tak jak ona pracowałam w laboratorium zajmującym się oznaczaniem zanieczyszczenia przefiltrowanej wody. To wtedy udało mi się wydębic kawalerkę. Nakłamałam, że mam trudną sytuację, pożyczyłam od koleżanki kalekie dziecko... No i się udało.

— Pożyczyła pani... dziecko?

— Zgadza się. Wbrew temu, co się mówi, kiedyś nie było tylu formalności, co obecnie. Dyrektor kadr zobaczył mnie z tym chorym chłopczykiem i od razu wypisał skierowanie do zawarcia umowy najmu...

Laura zdawała sobie sprawę z upływającego czasu. Gdzieś z daleka dobiegały odgłosy syreny.

— Czemu pani nie lubiła mojego dziadka? — spytała, stawiając na prostotę przekazu.

Z gardła Lewandowskiej dobiegł dźwięk przypominający warczenie. Jej sztuczne zęby kłapnęły, jakby chciały ugryźć.

— Bo był zboczeńcem. Dewiantem.

— Wszetecznikiem?

— Tak. Ale się nie przejmuj. Rodziny się nie wybiera. Gdybyś wiedziała, ile razy mówiłam to twojej babci...

— Ile?

— Na pewno mniej, niż tego potrzebowała. Ona o wszystkim wiedziała. O każdej z tych naiwnych idiotek, które wykorzystywał i wyrzucał na śmietnik. Wiedziałam, że to się tak skończy. Że zapłaci za swoje grzechy... głową.

Dziadek Julian może i był bohaterem swojego zakładu pracy, ale z pewnością nie był wzorem cnót w życiu. Laura wyczytała to już między wierszami, słuchając słów mamy, cioci Moniki i pani Sobeckiej, a wcześniej z wymownego milczenia babci. Oraz historii o sztandarze świętego Dyzmy, patrona grzeszników. Ale tym razem nie musiała domyślać się prawdy. Prawda była tuż obok niej. Wystarczyło tylko po nią sięgnąć.

— Co to były za dziewczyny? I w jaki sposób dziadek je uwodził?

Syreny rozległy się bliżej, pewnie w okolicach Filtrowej. Lewandowska wymamrotała pod nosem szpetne przekleństwo. Jako złodziejka — nawet emerytowana — musiała traktować nieuchronne spotkanie z policją jak dopust boży.

— Kiedyś pracowałam jako sprzątaczką, w parafii Świętego Jakuba. Za Bóg zapłać, ale się nie skarżyłam, bo zapewniali wikt i opierunek...

— Pani Gabrysiu — wtrąciła Laura, bo syreny były tuż obok. Baśka stała już na balkonie, by skierować funkcjonariuszy pod właściwy adres. — Przecież dziadek nie poznawał tych dziewcząt w kościele. Proszę. Niech mi pani odpowie na to jedno pytanie!

Lewandowska przyłożyła palec do ust.

— Obok kościoła jest dom poprawczy. Wtedy był państwowy, a teraz kościelny. Poznałam kobiety, które tam sprzątały. Julian był tam częstym gościem.

— W poprawczaku? — Myśli Laury pomknęły do zalanego archiwum. — Dziadek? Co tam robił?

— Wyszukiwał swe ofiary. Nie, nie w samym poprawczaku. Często przy ogrodzeniu, czasem na mszy, na którą mogły przychodzić. Interesowały go dziewczyny, które kończyły swój pobyt w placówce. Wracały do normalnego życia, które tak naprawdę rzadko kiedy było normalne. I wtedy pojawiał się on. Sprzątaczkę nazywały go Mefistofešem... Oferował pracę. Nie, nie w Filtrach. Miał znajomości w wielu instytucjach na Ochocie. Czasem kupował sobie ich miłość pieniędzmi, ale najczęściej była to praca. Nowy start. W zamian za seks.

— Zmuszał je do seksu? — spytała z niedowierzaniem.

— Nie, nie zmuszał. Wybierał takie, które szły z nim z własnej woli. Te, które były bardziej zdeterminowane niż inne. Które myślały, że jeden numer nie obedrże ich z godności, tylko pozwoli godnie żyć. Było ich więcej, niż mogłoby się wydawać.

— Więcej, czyli ile?

Dźwięk syren nagle się urwał. Służby były już na miejscu.

— Krystyna mówiła o kilku... Nie wiem, czy wiedziała o wszystkich. Każdy taki romansik przyprawiał ją o kolejne siwe włosy. Chciała odejść, ale to były inne czasy. Nie miała dokąd pójść.

Od strony drzwi wejściowych rozległo się pukanie, a potem stłumiony przez przymknięte drzwi głos Baški. Policjanci weszli do mieszkania. Laura przestała liczyć, który to już raz. Miała jeszcze czas na jedno, ostatnie pytanie.

— Czy mojego dziadka zabiła... babcia?

Lewandowska pokręciła głową.

— Zrobił to ktoś inny. Kiedy Krystyna wróciła z wyjazdu na kolonie, nie żył już od kilku dni.

Do pokoju wparowali ratownicy do spółki z policjantami. Pani Lewandowska została sprawnie ułożona na noszach. Jeden z policjantów

mówił do Laury i podsuwał jej coś do podpisu, ale go zignorowała. Całą uwagę skupiła na staruszce, która wyraźnie ją przyzywała.

— Tak, pani Gabrysiu? — spytała, pochylając się nad noszami.

Jeden z ratowników chciał ją odsunąć, ale się uchyliła. Lewandowska przybliżyła usta do jej ucha:

— Gdy Krysia go wtedy znalazła, zamordowanego... był bez spodni. Tak, jakby właśnie skończył chędożyć.

Karol zaparkował pod rozłożystym kasztanem, nie zwracając uwagi na okupujące go gołębie. Za myjnię i tak zapłacić miał właściciel volvo, czyli Marcel Lubecki. Skoro wynajął pokoje w Marriotcie, to z pewnością było go stać na podwójną pianę. Karol zamknął drzwi, ale zaraz znów je otworzył, by wyjąć ze schowka komórkę matki. Prosiła, by ją ze sobą zabrał. Chciała być z nim w kontakcie, a jednocześnie nie miała sumienia opuszczać Amelii. Pierwsze godziny na oddziale zamkniętym mogły być naprawdę trudne i wtedy dobrze było mieć przy sobie kogoś bliskiego.

Miejsce, które wybrał, by przeczekać dzień, było zaskakujące nawet dla niego. Prawdopodobieństwo, że będzie go tam szukać policja, wydawało się tak znikome, że mógł sobie pozwolić na relaks, a może nawet na kilka godzin snu. Drzwi na klatkę były otwarte, więc nie musiał korzystać z domofonu. Wdrapał się po schodach na drugie piętro i zadzwonił do drzwi, a potem nacisnął klamkę. Z wnętrza mieszkania buchnęło zapachem zupy warzywnej. Gotowała się już tak długo, że w powietrzu unosiła się wilgotna mgła.

— Co jest, do diabła?

Nie zwracając sobie głowy zrzucaniem butów, przemknął przez przedpokój do większego pokoju. Na łóżku, okryty pledem, leżał starszy mężczyzna. Okulary zsunęły mu się z nosa, a na podłogę spłynęły kartki



maszynopisu. Klatka piersiowa unosiła się w miarowym oddechu. Karol również odetchnął — z ulgą. Laura go ostrzegła, ale nie sądził, że jest aż tak źle.

— Dzień dobry, tato.

Ojciec wybudzał się opornie, jakby niechętnie, lecz kiedy otworzył wreszcie oczy, natychmiast wyzbył się senności. Z energią znacznie młodszego i zdrowszego mężczyzny zerwał się z łóżka i mocno przytulił syna. Karol odwzajemnił uścisk, starając się uważać na stare kości. Ojciec wydał mu się delikatny jak jaskółka. Czasy, w których był wzorem i bohaterem, odeszły bezpowrotnie, w chwili gdy został sam, bez mamy.

— Jesteś do niej taki podobny. — Nawet teraz, po latach, jego pierwsza myśl dotyczyła byłej żony. Karol nie wiedział, czy mu współczuć, czy się z niego śmiać. Ojciec był niereformowalny. — Laura mówiła, że wpadniesz, ale nie sądziłem, że znajdziesz czas. Zjesz ze mną obiad?

— O ile coś zostało. Bo chyba wszystko poszło w atmosferę...

— Na pewno nie. Laura kupiła mi kuchnię z czujnikiem. Nie chciała, by jej staruszek któregoś dnia sam poszedł... w atmosferę.

Karol udał, że go to bawi, ale prawda była taka, że wszelkie przejawy siostrzanej zapobiegliwości doprowadzały go do szału. Zirytował się nawet wtedy, gdy w dokumentach samochodu Laury znalazł polisę AC w wariantcie z opłaconym ubezpieczeniem szyb i opon. Wyglądało na to, że dewastacja hondy spłynie po niej jak woda po kacze. Była chodzącym ideałem — porównując się z nią, czuł się jak ułomny.

— Zupka też jest od Laury?

— A nie. — Ojciec uśmiechnął się z dumą. — Sam ją zrobiłem. Laura przyniosła składniki, ale przecież sam też potrafię wyskoczyć na zakupy. Radzę sobie. Nie jest ze mną tak źle.

Kuchnia, mimo niewątpliwych wysiłków Laury, stanowiła pomnik

kawalerskiego gospodarstwa. Na suszarce stał pojedynczy talerz i jedna filiżanka, a w pojemniku na sztucce — po jednym widelcu, nożu i łyżce. Ojciec włączył ponownie kuchenkę i spróbował przemieszać zupę chochlą, ale szybko cofnął rękę i zaczął w nią dmuchać. Chochła była rozgrzana. Wiedziałyby to nawet dziecko.

— Siadaj, tata. Ja się tym zajmę. A potem, jeśli pozwolisz, utnę sobie drzemkę. Masz drugie łóżko?

Ojciec popatrzył na niego z kretyńskim uśmiechem. Wrażenie wesołości psuła drgająca dolna warga.

— W małym pokoju stoi twój stary tapczanik. Miałem nadzieję... wiedziałem, że się przyda.

Karolowi trudno było w to uwierzyć. Niczym niewierny Tomasz udał się do wskazanego pomieszczenia, ale gdy przestąpił próg, natychmiast zapomniał o tapczanie. Wystrój pokoju pochodził z lat dziewięćdziesiątych. Wszystko było tu jak dawniej, w czasach gdy mieszkali razem. Jedynym wyjątkiem były zdjęcia. Nie pamiętał ich. Kiedyś spoczywały w albumie, a dziś — oprawione w ramki — zdobiły ściany.

— Laura krzyczała, żebym je zdjął. I wywalił te stare meble. Kiedyś opłaciła nawet ekipę remontową, ale wolę, żeby zostało tak, jak jest. I chyba wreszcie to zrozumiała.

— Tęsknisz za nią, prawda? — Karol przyglądał się kolejnym zdjęciom. Na wszystkich była matka. — Głupie pytanie, wiem, że tęsknisz. I chyba masz nadzieję, że wróci.

Ojciec odwrócił się do niego plecami. Chyba chciał ukryć emocje, ale nie do końca mu się udało. O uczuciach, które w nim bulgotały, świadczył zaczerwieniony kark i nieskoordynowane ruchy łopatek.

— Nie da się cofnąć czasu. Kiedyś i ty to zrozumiesz, synku.

— Rozumiem to, tato. Bardzo dobrze to rozumiem.

Być może był to efekt nieprzespanej nocy, a może nawarstwienia emocji, które towarzyszyły mu od kilku tygodni. Nagle zachciało mu się płakać. Nad ojcem... i nad sobą. Wrócił do kuchni i zaczął otwierać szafki.

— Masz coś mocniejszego?

— Tylko mocną kawę.

Nie miał ochoty na kawę. Chciał pogadać, chociaż trochę się krępował. Zanim zdecydował, jak zacząć, słowa popłynęły same. Były niczym odłamki szkła. Kaleczyły. Aż do krwi.

— W życiu można wygrać albo przegrać. Ty przegrałeś. Cały czas dawałeś, a ona brała. A gdy się tym znudziła, wzięła zamach i kopnęła cię w tyłek. Upadłeś na samo dno, a mimo to wciąż ją kochasz. Chociaż ona nawet o tobie nie myśli. Brzydzę się tym, wiesz? Brzydzę się, że odziedziczyłem po tobie takie geny!

Ojciec w milczeniu przemieszał zupę. Nie wyglądał na urażonego. Tylko zmarszczki wokół ust zrobiły się głębsze. Karol, patrząc na niego, poczuł jeszcze większą złość.

— Powiedz, jak to jest? Zmarnowałeś połowę życia. Jak się z tym czujesz?

Nie odpowiedział. Wciąż mieszał zupę, a potem wspiął się na palce i ściągnął z górnej półki głęboki talerz w misie. Karol pamiętał go z dzieciństwa. Przez głowę przemknął mu smutny obrazek. Czy on również, za trzydzieści lat, będzie sięgał po taki talerz, by poczęstować zupą swojego syna? Czy też skończy tak jak ojciec? Samotny i przegrany, otoczony duchami przeszłości?

Były na to duże szanse.

— Bóg mi świadkiem, że chciałbym być inny. Ale nie jestem. Jesteśmy tacy sami, tato.

Ojciec odstawił talerz, a potem — nieśmiało, jakby ostrożnie — przytulił

syna do chudej piersi. Karol zaczął łąkać. Z oczu poleciały mu łzy, wielkie jak grochy.

— Co się stało, dziecko?

— Jestem rogaczem — poskarżył się Karol. — Sabina miała romans. Zdradziła mnie.

Ojciec pogłaskał go po głowie, tak jakby Karol znów był małym chłopcem, który nie chce iść do przedszkola.

— Dlaczego to zrobiła?

— Nie wiem, tato. Naprawdę nie wiem.

Poznali się na imprezie w akademiku. Sabina pochodziła z małego miasteczka i za żadną cenę nie chciała tam wrócić. Kochała podróże, nawet te najdalsze, nie przywiązywała się do miejsc, a gdy włożyła suknię i diamentowe kolczyki, zostawała królową każdego balu. Wydawała się idealną partnerką dla dyplomaty. Karol kochał ją inaczej niż jej poprzedniczki. Intensywniej. To przy niej wyleczył się z ciągłego flirtowania. To dzięki niej odkrył, że może być szczęśliwy tylko z tą jedną jedyną. Gdy pewnej ciepłej majowej nocy powiła ich dziecko, nie wyobrażał sobie, że może być jeszcze lepiej. Miał rację. Nie było.

— To chyba przez nudę. Przez brak zajęcia. Pracowałem od rana do wieczora, a ona siedziała w domu, w obcym kraju, z małym dzieckiem. A gdy już wróciłem, wszędzie chodziliśmy we trójkę. Ja, ona i mały. Chyba zatęskniła za normalnym życiem, ale... może się łudzę. Może zwyczajnie spotkała miłość swojego życia. Namiętnego Włocha. Chociaż...

Mario był Włochem i zapewne był namiętny. Ale miał też wadę. Był hazardzistą. Poznali się podczas przyjęcia zorganizowanego przez włoski MSZ, w wynajętym lokalu nieopodal Koloseum. Był wysoki, ciemnowłosy i ciemnooki... Zabrał ich nocą do salonu gier — Karola, Sabinę i jeszcze

kilka osób. Tej nocy podпиты Karol wygrał prawie tysiąc euro. Był szczęśliwy, ale to szczęście miało go wkrótce opuścić.

Kto ma szczęście w kartach, ten nie ma szczęścia w miłości.

— Zaczęli się widywać, na początku zupełnie niewinnie, jak kolega z koleżanką. Nabrałem się na numer stary jak świat. Sabina zasugerowała, że Mario jest gejem. Uwierzyłem. Sam woziłem ją na spotkania i sam ją z nich odbierałem.

Ojciec wyłączył elektryczny palnik, bo zupa znów zaczęła wrzeć. Jego milczenie mówiło więcej niż tysiąc słów. Współczuł Karolowi, a jednocześnie... odnajdywał w nim siebie.

— Robiłem to po to, żeby się rozerwała. Odpoczęła od pieluch, od swojego monotonnego życia. Dawałem jej kartę kredytową. I kazałem się bawić. Można powiedzieć, że sam pchnąłem ją do zdrady. Że sam jestem sobie winny.

— Nie obwiniaj się, synku.

Karol otarł oczy. Rada ojca była naiwna. On sam też się obwiniął. Obaj byli w tym groteskowi, ale przecież... To było normalne. Nikt nie budzi większego politowania niż zdradzany mąż. To dlatego Karol udawał, że to on jest tym złym. Że to on ma kochankę. Nie chciał wyznać prawdy nawet najbliższemu — aż do teraz.

— Po raz pierwszy poczułem, że coś jest nie tak, gdy wyjechała na weekend. Twierdziła, że jadą większą grupą, ale na peronie widziałem tylko jego. Nie odbierała telefonów. Siedziałem z małym i próbowałem się cieszyć tymi wspólnymi godzinami, ale nie byłem w stanie. Cały czas myślałem tylko o niej i tym cholernym Mariem. Gdy wróciła, przyznała się, że coś ich łączy. Obiecała jednak, że wszystko naprawi. Na karcie był debet — przegrali nasze oszczędności w kasynie, ale uznałem wtedy, że to cena, którą warto zapłacić. Wróciliśmy na urlop do Polski, zapisaliśmy się na

terapię... tu, zaraz, niedaleko ciebie. We Włoszech kontynuowaliśmy ją online. Myślałem, że wychodzimy na prostą, lecz wtedy znów zjawił się on.

— Zawsze jest jakiś on. Ten czy inny.

Sabina była monogamistką — w tym znaczeniu, że liczył się dla niej wyłącznie Mario. Na jesieni znów zaczęli się widywać. Karol prosił i groził, ale Sabina przekroczyła już rubikon, za którym nic na nią nie działało. Ani prośby, ani groźby.

— Zaczęła dosłownie uciekać z domu. Byłem tam sam, nie wiedziałem, co robić. Dziecko płakało za mamą, a mama... kurwiła się w motelu. Odebrałem jej kartę kredytową, ale nawet to jej nie powstrzymało. Zabrała kartę służbową, z ministerstwa. Tamtego wieczoru grali na grubo. Wyczyścili ją do ostatniego euro, lecz to jej też nie ruszyło. Nie dbała o długi, nie dbała o dziecko... Liczył się tylko on. Ten cholerny Mario.

Podszedł do zlewozmywaka i ochlapał policzki. Zimna woda zmieszała się ze łzami, przynosząc ukojenie. Ojciec pokręcił bezradnie głową.

— Tak bardzo chciałbym ci pomóc, synku.

— Nie trzeba. Ktoś już mi pomógł.

Tym kimś był włoski wymiar sprawiedliwości. Mario przegrywał nie tylko pieniądze ministerstwa, ale także swoje. Od dawna tkwił w spirali długów, a gdy postanowił się z niej wydostać, zrobił to na swój sposób. Nieuczciwie. Sąd skazał go za oszustwo na szkodę jakiegoś funduszu. Trafił za kratki i aktualnie przebywał gdzieś w okolicach Bari. We włoskim zakładzie karnym, poza zasięgiem Sabiny.

— Zostawiłeś ją samą z dzieckiem?

— Jeszcze nie zwariowałem. Wziąłem kredyt i zatrudniłem nianię. Jestem bankrutem, ale banki jeszcze o tym nie wiedzą. Niestety niedługo się dowiedzą. Zaraz po tym, jak wylecę z pracy.

Przeciwko Karolowi toczyły się dwa postępowania. Pierwsze, to mniej

ważne, dotyczyło sprzeniewierzonych środków ze służbowej karty. Dyrektor kadr zasugerował mu między wierszami, że sprawa zostanie umorzona — oczywiście pod warunkiem, że stanie na głowie i wyrówna stratę, choćby i w ratach. Drugie postępowanie było znacznie poważniejsze. Nie było prowadzone przed organami ministerstwa, tylko przed szefem ABW. Dyplomaci musieli się cieszyć nieposzlakowaną opinią. W Agencji, a konkretnie w departamencie kontrwywiadu uznano, że u Karola może być z tym problem.

— Stwierdzili, że nie jestem wystarczająco godny zaufania. Wszczęli w mojej sprawie postępowanie. Ktoś wpadł na pomysł, że stanowią łatwy cel.

— Dla kogo?

— Dla obcego wywiadu. Uznali, że jestem zdesperowany. Podobno istnieje ryzyko, że dam się przekupić. Wiem, że na początku podejrzewali, że agentem obcego wywiadu jest Mario. Jego osadzenie trochę popsło im szyki, ale wciąż mają mnie na celowniku.

— Naprawdę mogą cię zwolnić?

— To mój najmniejszy problem — skłamał Karol. Uwielbiał tę pracę. — Zawsze mogę zostać tłumaczem. Teraz liczy się dla mnie tylko małżeństwo. Chcę o nie powalczyć.

— Na odległość?

— Tak doradził mi terapeuta. Mam z nim kłopot, bo fizycznie jest bardzo podobny do Maria, ale trzeba komuś ufać. Sabina ma przylecieć na pogrzeb babci. Pewnie na początku przyszłego tygodnia.

Ojciec znał go od trzydziestu czterech lat. Nie było łatwo go okłamać.

— A jeśli chodzi o tę Agencję Bezpieczeństwa Publicznego...

— Nie Publicznego, tylko Wewnętrznego. ABW.

— Zgadza się. Czy nie mógłby ci pomóc ten cały Lubecki?

Wypowiedział nazwisko Marcela takim tonem, jakby nie mówił o doświadczonym dyplomacie, tylko o alfonsie. Ale jego niechęci, a może nawet nienawiści, nie usprawiedliwiały okoliczności. Marcel pojawił się w życiu matki znacznie później niż myśl o rozwodzie. Przed nim byli inni. Jeśli ojciec miał powody, by kogoś winić, to właśnie ich. A przede wszystkim matkę.

Tyle że on i tak najbardziej winił siebie.

— Marcel nie ma wpływu na czynności prowadzone przez ABW.

— Nie ma? Przecież to ich kumpel. Cholerny szpicel.

Współpraca Marcela z wywiadem wcale nie stanowiła tematu tabu. Może dlatego, że doszło do niej w odległej przeszłości. Lubecki miał w IPN grubą teczkę i lubił się tym chwalić. Był jedynym znanym Karolowi tajnym współpracownikiem, który to robił. Inni, a w ministerstwie wciąż takich nie brakowało, wybierali milczenie — często pełne zakłopotania.

— Gadałeś z nim kiedyś? On wcale nie jest taki zły...

— Tylko raz. Powiedziałem mu, żeby dbał o mamę. Powiedział, że będzie, ale nie sądzę, by potrafił. Nikt nie robił tego lepiej ode mnie.

Karol poczuł, że spływa z niego resztką napięcia. Poczuł głód. Zupa wciąż była ciepła.

— Tak o nią dbałeś, że od ciebie uciekła — powiedział, napełniając swój stary talerz. Delikatność nigdy nie była jego mocną stroną. — Może lepiej by było aż tak nie dbać.

Usiadł przy stole i zanurzył łyżkę w misce. Nie był zainteresowany polemiką. Rzucił tę uwagę ot tak, bez większego zastanowienia, ale ojciec potraktował ją jako zaproszenie do dyskusji.

— Twoja mama wiele przeszła. Miała niełatwe dzieciństwo i jeszcze trudniejszą młodość.

Karol nie miał zamiaru wysłuchiwać po raz kolejny opowieści o babci



i dziadku. Jadł w milczeniu, mając nadzieję, że ojciec odpuści. Nie odpuścił, ale...

To wcale nie była opowieść o babci i dziadku.

— Ktoś bardzo ją skrzywdził. To dlatego przez całe życie wciąż ucieka.

Karol nie zauważył, by matka uciekała od Lubeckiego. Była z nim szczęśliwa. I nigdzie się nie wybierała.

— Nie możesz winić matki za to, że szukała szczęścia.

— W takim razie ty nie możesz winić swojej żony.

— To inna sytuacja...

— Wiem. — Ojciec pochylił się nad stołem i cmoknął Karola w czoło.

— Przepraszam, synku. Masz rację. Mama nigdy nie skrzywdziła was: ciebie i Laury. No i miała powód, by nie czuć się bezpiecznie.

— Jaki powód?

W oczach ojca pojawiło się wahanie.

— Jaki powód?

— Niezręcznie mi o tym mówić. To stało się wcześniej, zanim jeszcze się poznaliśmy. Mama poznała niewłaściwego człowieka. Zaufała mu, a on...

— Co jej zrobił?

Ojciec nie odpowiedział. Nie musiał. Karol natychmiast zapomniał o zupie. Słowa matki wróciły do niego jak bumerang. Babcia Krysia miała obsesję na tle gwałtów. Czy dlatego, że została zgwałcona... jej córka?

— Kiedy to się stało? Podczas tego hipisowskiego wyjazdu?

Ojciec pokręcił głową.

— Wcześniej. Ale ten wyjazd był tego logicznym następstwem.

— Wyjazd z hipisami? Nie rozumiem.

— Tam nie było żadnych hipisów. Mama musiała wyjechać, by załatwić pewien problem.

— Jaki problem?

Ojciec sprawiał wrażenie wystraszonego. Zapewne żałował, że raz wypowiedzianych słów nie da się cofnąć.

— Jaki problem?

— Nie powiedziałem tego nawet Laurze.

— A co ma do tego Laura?!

Ojciec cofnął się w stronę lodówki.

— Nic — odparł półgłosem.

Karol odniósł wrażenie, że ojciec najchętniej by się schował. Choćby i w lodówce.

— Powiedz mi, tato. Co to był za problem?

Spodziewał się tego, ale i tak był w szoku. Ojciec nie otworzył nawet ust. Nie musiał. Gest, który wykonał, był wystarczająco zrozumiały. Jedno pociągnięcie ręką.

Zarys ciężowego brzucha.

Karol gapił się na ojca, ale oczyma duszy widział matkę. Palącą papierosa za papierosem i opowiadającą o obsesji babci na punkcie oddanego dziecka. Córki. Córki... czy wnuczki? Słowa ojca, zamiast rozjaśnić sytuację, tylko ją zaciemniły.

— Mama dokonała aborcji?

Słowo „popęłniła” zdawało się tu nie pasować. Może powinien powiedzieć: dokonała? Miał mętlik w głowie. Nie sądził, że będzie roztrząsał takie rzeczy w odniesieniu do własnej matki.

— To były inne czasy, synku. Aborcja nie budziła wtedy takich kontrowersji jak obecnie.

— Mam w dupie kontrowersje. Pytam, czy na pewno to zrobiła.

— Tak, synku. To były te jej wakacje z hipisami. — Nakreślił w powietrzu znak cudzysłowu. — Pojechała na wieś i usunęła ciążę.

— Usuwala ją przez całe wakacje?

Karol wciąż powracał myślami do rozmowy nad jeziorem. Matka zachowywała się dziwnie. Wypaliła pół paczki fajek, ciągle rozglądała się na boki i ani razu nie spojrzała mu w oczy. Tak, jakby mijała się z prawdą. Tylko dlaczego?

Czyżby prawda była zbyt wstydliva? Czy mała Petronelka, której kości — a raczej kosteczki — spoczywały na cmentarzu w Lipianach, w rzeczywistości nie była córką babci Krysi, tylko Lucyny Woźniak-Lubeckiej, pani ambasadorowej, tak dumnej ze swej nieposzlakowanej opinii?

— Mama nigdy się po tym nie podniosła. Te dwie traumy — pierwsza wiadomo po czym, a druga po utracie dziecka — zdefiniowały ją jako człowieka. Zawsze była nieufna. Nie chciała pozwolić, by ktoś miał ją na własność. By ktoś podejmował za nią decyzje...

— To akurat było raczej pokłosem jej dorastania pod jednym dachem z babcią Krysią — wtrącił Karol. — Babcia od zawsze próbowała ją zdominować, matka się nie dawała... Żyły jak pies z kotem.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Od zawsze się ścierały. W ostatnich latach ich kontakty były ograniczone do minimum. Aż dziwne, że babcia uwzględniła swą córkę w testamencie. Karol sądził, że ją pominie, przekazując spadek bezpośrednio wnukom, czyli jemu i Laurze. Gdy tak się nie stało, był niepokieszony.

— Jeśli chodzi o ich stosunki, to mam pewną teorię. — Ojciec zawiesił głos i uczynił zapraszający gest, przypominając Karolowi o zupie. — Ich niechęć wcale nie była wzajemna. To matka inicjowała wszystkie kłótnie, a w późniejszym okresie to ona zdecydowała o rozluźnieniu kontaktów. Nigdy mi tego nie mówiła, ale sądzę, że ją winiła. Świadomie bądź nie obciążała ją odpowiedzialnością za tę decyzję.

— O oddaniu dziecka?

— O aborcji — sprostował ojciec. Uczepił się tej aborcji jak rzep psiego ogona, unikając odpowiedzi na pytanie, dlaczego trwała przez całe lato. Dla Karola było oczywiste, że kilkumiesięczna hipisowska wycieczka została zaaranżowana po to, by ukryć brzuch — aż do rozwiązania.

— Czemu winiła akurat babcię? A nie na przykład dziadka?

Ojciec wlał sobie trochę zupy, brudząc przy okazji stół. Z emocji trzęsły mu się ręce.

— To akurat proste. Dziadek był praktykującym katolikiem, a babcia — ateistką. Dla niej aborcja nie była grzechem. Mama miała wtedy dziewiętnaście lat, czyli właściwie była jeszcze dzieckiem. Na pewno nie podjęła tej decyzji samodzielnie. A potem przez całe lata miała do niej żal.

— Żałowała płodu? Czy dziecka?

— Widocznie dla niej było to jedno i to samo. Przykro mi. Domyślam się, że ty myślisz inaczej...

Karol nie zamierzał podejmować dyskusji. W tym stanie ducha, w którym się znajdował, problemy światopoglądowe schodziły na dalszy plan. Nie umiał przestać myśleć o matce. O tych papierosach i rozbieganym spojrzeniu.

— Rozmawiała z tobą o tym, co się stało?

— Nie. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic, z wyjątkiem tej jednej jedynej.

Karol był przekonany, że tych tajemnic było więcej. Z tego, co wiedział, z mamy było niezłe ziółko, i to nawet wtedy, gdy nikt nie myślał jeszcze o rozwodzie. Nie rozumiał natomiast, dlaczego ojciec, akurat w tym przypadku, nie był bardziej stanowczy. Dlaczego zadowalał się półprawdami? Czemu nie nalegał, by wszystko mu powiedziała?

— Ja bym tak nie potrafił... Nie umiałbym żyć w cieniu takiego sekretu.

— Mnie też nie było łatwo, ale wytrzymałem.

— Tylko... w imię czego?

— W imię jej szczęścia. Nie chciałem rozdrapywać ran. A poza tym... to nie było tak, że od samego początku wiedziałem, w czym tkwi problem. To wszystko działo się stopniowo. Były nocne koszmary, podczas których matka krzyczała przez sen. Były wizyty u lekarza, gdy nie mogła zajść w ciążę... No i była rozmowa, którą... co tu ukrywać, podsłuchałem.

Policzki ojca pokryły się rumieńcem, ale Karol miał gdzieś jego zakłopotanie.

— Jaka rozmowa? — zapytał, a gdy ojciec podniósł się z miejsca, również wstał i ruszył za nim w stronę łazienki.

— Dasz mi się załatwić?

— Tak. Jak powiesz, co to była za rozmowa.

Stanął w uchylonych drzwiach. Ojciec westchnął, po czym zapiął rozporek.

— Dobrze, uparciuchu. Lucynka rozmawiała wtedy z Hanią.

— Z Hanią z Gremzdów?

— A znamy inną Hanię? Tak, właśnie z nią. To było nad jeziorem, wracałem z ryb...

Karol powstrzymał się od uwagi, że po latach jego miejsce na pomoście zajął Lubecki. Nie chciał go drażnić, a w każdym razie nie teraz.

— To wtedy dowiedziałem się o niewłaściwym mężczyźnie i niechcianej ciąży.

— I o aborcji?

Ojciec potrząsnął głową.

— Nie słuchałem do końca. Nie chciałem być wścibski...

— Ale jednak byłeś.

— Niestety. Tego samego dnia wieczorem zapytałem wprost. To wtedy

dowiedziałem się o tym, że usunęła ciążę. I nagle wszystko zaczęło mi się układać. Te chwile zadumy. Ciągły konflikt z twoją babcią. I nieokiełznany apetyt na życie. Dusza Lucyny była pokancerowana. Wtedy nie umiałem jej wyleczyć.

— A teraz myślisz, że byś potrafił?

Ojciec zamknął mu drzwi przed nosem. Po chwili Karol usłyszał dźwięk spuszczonej wody, a potem odgłosy towarzyszące myciu rąk.

— Oczywiście, że bym potrafił. — Ojciec wycierał ręce starym, wystrzępionym ręcznikiem. Nowy, prawdopodobnie prezent od Laury, pozostał na haczyku i wyglądał na nieużywany. — Miałem czas, by dobrze wszystko przemyśleć.

Tego czasu miał aż nadto. Kilkanaście lat. Karolowi znów zrobiło się przykro. Matka też nie była idealna, ale gdyby mógł wybierać, to w dziesięciu przypadkach na dziesięć wybrałby ją, z wszystkimi jej wadami. Ojciec był żaloszny.

— Czy wiesz, kim był ten... nieodpowiedni mężczyzna?

Nie użył określenia „gwałciciel”, bo ojciec konsekwentnie go unikał. Nie chciał prowokować losu. Wiedział, że ojciec jest na punkcie matki więcej niż przewrażliwiony, a ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował, był atak szału.

— Nie wiem. Mama nigdy o nim nie mówiła. Nie jestem psychiatrą, ale sądzę, że zwyczajnie to wszystko wyparła — mężczyznę, to, co jej zrobił, a także to, co stało się później, niejako w konsekwencji...

Karol popatrzył na niego bez wcześniejszej pobłażliwości. Ojciec wypowiedział dzisiaj mnóstwo bzdur, ale akurat w tym wypadku mógł mieć rację. Matka nienawidziła wspomnienia tego, co się stało. Zamiast zmierzyć się z prawdą, wolała uraczyć go bajeczką o niechcianej ciąży babci Krysi i jej zmyślonych problemach z gardłem. Owszem, babcia Krysia

symulowała chorobę i tylko udawała, że wybiera się na całe lato do sanatorium. W rzeczywistości pojechała z Lucyną na Suwalszczyznę. I tam wymogła na córce, by ta oddała swojego noworodka do sierocińca, a może nawet nadała mu imię. Staroświeckie, Petronela.

— Czy kiedy byliście na Suwalszczyźnie, mama odwiedzała miejscowość Lipiany?

— Lipiany? — powtórzył jak echo ojciec. — Nie, pierwsze słyszę.

Wrócili do kuchni. Gdy Karol zanurzył łyżkę w chłodnej już zupie, rozległ się dźwięk dzwonka, a potem natarczywe pukanie do drzwi. Tak puka sąsiad z niższego piętra, któremu z sufitu kapie woda. Kobieta, która przychodzi po zaległe alimenty. Albo komornik. Karol ruszył za ojcem zaciekawiony, czy jego domniemania choć w części się sprawdzą. Nie liczył na to — okazało się, że słusznie.

Zanim ojciec zdążył odemknąć zasuwę, zza drzwi dobiegł ich gruby, męski głos. Tak donośny, że słyszać go było pewnie nawet na parterze. Karol wpadł w panikę. Rzucił się w kierunku balkonu, ale w połowie drogi oklapł, godząc się na to, co nieuniknione.

Tymczasem gruby głos odezwał się ponownie:

— Otwierać! Policja!

Laura trafiła akurat na rozpoczęcie zajęć sportowych. Z budynku ośrodka wychowawczego wysypało się kilkunastu nastolatków. Opiekę nad nimi sprawował ksiądz, na oko niewiele starszy od swoich podopiecznych. Wszystkich, łącznie z księdzem, rozpieierała młodzieńcza energia.

— Przepraszam! — Laura zamachała zza parkanu, ale ani jej nie dojrzeli, ani nie usłyszeli.

Uwaga wszystkich na boisku skupiła się na piłce, którą ksiądz właśnie wykopywał w górę. Laura przez chwilę kontynuowała machanie, a potem

dała sobie spokój. Wydarzenia, o które chciała zapytać, rozegrały się na długo przed ich urodzeniem, a poza tym... Przecież nie wypadało pytać o nie chłopców, którzy trafili tu, by się nauczyć, jak porządnie żyć. Historia jej dziadka kleiła się od brudu. Gdyby miała okładkę, należałoby ją opatrzyć ostrzegawczym napisem: dozwolone od lat osiemnastu.

Westchnęła, nie umiając pozbyć się wstydu. Świadomość, że dziadek był de facto gwałcicielem, bo to, do czego skłaniał te młode dziewczyny ocierało się o gwałt, wypełniła jej serce goryczą. Wspominając słowa pani Lewandowskiej, czuła się jak naznaczona. Miała nadzieję, że choć część tej historii okaże się nieprawdą. Między innymi dlatego tu była. By poznać historię Juliana Kalinowskiego.

Zerknęła w kierunku zwalistej bryły kościoła i poczuła jeszcze jedno ukłucie żalu. Zasady wiary katolickiej nakazywały miłosierdzie, nawet wobec grzeszników. Nie miała pretensji o to, że nikt nie wziął dziadka za fraki i nie wyrzucił z kościoła, bo tego nie można było zrobić. Ale kto nakazał księżom przyjmować od niego dar w postaci sztandaru ze świętym Dyzmą? Przecież ten sztandar i przesłanie, jakie ze sobą niósł, w zestawieniu z zachowaniem fundatora urągały przyzwoitości. Opiekunów kościoła nie rozgrzeszała niewiedza, bo skoro Julian Kalinowski odczuwał potrzebę fundowania sztandarów, to musiał czuć analogiczną potrzebę względem spowiedzi. A zatem wiedzieli. Znali jego grzechy. A mimo to przyjęli sztandar.

Ta świadomość sprawiła, że kościół z jej dziecięcych lat stracił swe kolorowe, niewinne barwy. Stał się odległy i obcy.

Laura nie była pewna, jak zareaguje na związaną z nim zakonnicę, ale na szczęście w miejscu, gdzie miała urzędować siostra Klara, siedziała prześliczna nastolatka o grubych, czarnych włosach i miodowej skórze. Gdy do niej podeszła, dziewczyna się uśmiechnęła — na policzkach



pojawiły się symetryczne dołeczki. Przytułek dla bezdomnych alkoholików kojarzył się z ponurym miejscem. Ten uśmiech pasował tu jak kwiatek do kożucha.

— W czym mogę pomóc?

— Szukam siostry Klary.

— Chwilowo ją zastępuję. — Dziewczyna popatrzyła na Laurę z ciekawością, a gdy dostrzegła jej konsternację, dołeczki w idealnie gładkich policzkach jeszcze się pogłębiły. — Nie jestem zakonnicą, tylko wolontariuszką. Ale to nie znaczy, że nad niczym nie panuję. Może się pani do mnie zwrócić z każdym problemem. Naprawdę, jestem tu, by pani pomóc.

Laura postanowiła ją wypróbować.

— Czy wśród państwa pensjonariuszy jest może ktoś, kto jako dziecko przebywał tu, po sąsiedzku? — Wskazała w kierunku ośrodka wychowawczego. — I wolałabym, żeby to była kobieta.

Dołeczki zniknęły.

— Tego niestety nie wiem.

Laura zapewniła, że nic nie szkodzi.

— Chciałabym porozmawiać z panem Pietrzykiem — dodała, czekając na pytanie, kim dla niego jest.

Ale pytanie nie padło, ani to, ani żadne inne. Ostatecznie to nie był szpital ani więzienie.

— Muszę tylko sprawdzić, czy pani nie ma przy sobie alkoholu.

Tym razem uśmiech był przepraszający. Laura posłusznie otworzyła torebkę, a potem zrobiła przed dziewczyną piruet. Pod dopasowaną kiecką nie zmieściłaby się nawet płaska setka czy też — jak zwykł mawiać jej ojczym — setunia.

— To niezbędne środki ostrożności. Pan Andrzej jest bardzo chory.

Nawet minimalna ilość alkoholu mogłaby go zabić...

— Wiem. I obiecuję, że nie będę go męczyć.

Karol opisał jej Pietrzyka podczas przedwczorajszego obiadu, ale słowa, nawet najlepiej dobrane, nie mogły oddać ogromu zniszczeń — spustoszenia, jakie w ludzkim organizmie może poczynić źle dawkowany alkohol. Andrzej Pietrzyk mógł służyć za żywą przestrożę podczas antyalkoholowych pogadanek, ale tylko w szkołach średnich. Dla uczniów podstawówek widok jego zniszczonego ciała byłby zbyt drastyczny.

Gdy odnotował, że nie jest sam, uniósł sękatą dłoń. Palce drżały mu jak w febrze, a w kącikach ust zbierała się ślina. W głosie wolontariuszki pobrzmiwało wahanie:

— Powinam wrócić na dół, do recepcji.

— Dam sobie radę, dziękuję. — Laura uśmiechnęła się do Pietrzyka, a on odpowiedział jej niepewnym grymasem. — Nie znamy się, ale przedwczoraj poznał pan mojego brata — zagadnęła, gdy zostali sami. — Karol Woźniak, kędzierzawe włosy... Pamięta pan?

— A gdzie tam. Moja pamięć jest dziurawa jak...

— Durszlak — podpowiedziała, bo zabrakło mu słowa. — Albo rzeszoto. — Wstęp do rozmowy nie napawał optymizmem. Chciała pogadać o czasach sprzed trzydziestu lat, a on nie pamiętał, co wydarzyło się przedwczoraj. — Brat mówił mi, że przebywał pan w ośrodku wychowawczym...

— W poprawczaku — poprawił. — My używaliśmy tylko tej nazwy. Poprawczak... od poprawy. Poprawiali nas tam... Ale czy im się to udało?

Jego przykład pokazywał, że nie bardzo. Laura postanowiła skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

— Czy pamięta pan koleżanki?

— No pewnie. — Do tej pory leżał, a teraz dźwignął się do pozycji

siedzącej i w zabawny sposób zatarł ręce. Zabawny... a może raczej groteskowy. Jego zewnętrzna powłoka nie wskazywała na aż takie pokłady libido. — To były zdrowe dziewczuchy. I charakterne. Inne poprawczaki były wyłącznie męskie. Zazdrościli nam... I mieli czego.

— Czy istniało tam zjawisko prostytutki?

— Zjawisko? — Podrapał się po rzadkich włosach i łuskowatej skórze głowy. Laura wolała nie przyglądać się temu zbyt dokładnie. — Chodzi o to, czy się oddawały... za kasę, tak?

— Dokładnie — potwierdziła, a potem zaczęła się przechadzać po niewielkiej sali.

Było jej niedobrze. Ciało Pietrzyka wydzielало mdły, trupi zapach.

— Znałem taką, co robiła dobrze za butelkę jabola. — Mlasnął językiem.

Nie było wiadomo, za czym tęskni bardziej, ale Laura przypuszczała, że jednak za jabołem.

— A ludziom z zewnątrz?

— Pewnie też. Potem zniknęła. Słyszałem, że ją zadźgali. Na imię miała Maryna.

— A inne? Czy słyszało się o zjawisku seksu w zamian za pracę?

Określenie „zjawisko” znów sprawiło mu kłopot, ale i tym razem poradził sobie samodzielnie.

— To były czasy komuny. Praca szukała człowieka sama...

— Ale mogło chodzić o szczególną pracę. Wygodną.

Pietrzyk rozłożył ręce. Pod paznokciami lewej dłoni wciąż miał fragmenty złuszczonego naskórka.

— Nic nie wiem.

— A czy mówi coś panu nazwisko... — zająknęła się, walcząc ze wstydem, a potem z nim wygrywając. — Kalinowski? Julian Kalinowski?

Jak się zorientowała, dwa dni wcześniej Karol wiercił mu dziurę

w brzuchu, wypytując o babcię noszącą przecież to samo nazwisko. Ale amnezja Pietrzyka była zupełna. Pokręcił głową wyraźnie strapiony, że nie potrafi jej pomóc, a potem oblizał wargi.

— Proszę pani...

— Tak?

— Może gdybym naoliwił mózg...

— Nie dam panu alkoholu, panie Andrzeju. Musi pan o siebie dbać.

Energia, którą wyzwoliło w nim wspomnienie koleżanek sprzed ponad trzech dekad, nagle się ulotniła. Opadł z powrotem na poduszki i utkwiał spojrzenie w suficie. Gdy usiłowała ściągnąć na siebie jego wzrok, odwrócił się do ściany. Chyba się na nią obraził, a może po prostu był zmęczony.

— Panie Andrzeju? Jest pan ze mną?

Chrząknięcie, którym odpowiedział, mogło być zarówno potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem. Wystarczyło na niego spojrzeć, by zdać sobie sprawę, że zaraz odpłynie. Zaśnie, zemdleje albo po prostu się wyłączy.

— Czy w przytułku jest jeszcze ktoś, kto...

— Tak — warknął, wciąż gapiąc się w ścianę. — Ma na imię Halina. Chodziliśmy do jednej klasy, ale ona jest teraz... — Kaszlnął, a potem nakrył głowę kołdrą. Kolejne słowa były stłumione: — A co ja będę strzepił ryj. Sama się pani przekona, jak z nią jest.

Słowa Pietrzyka nie napawały optymizmem, ale rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza. Jedyłą tu Halinę w wieku pana Andrzeja Laura zlokalizowała w siódmence przy ofiarnej pomocy sympatycznej wolontariuszki z dołeczkami. Halina miała między nogami pieluchę, a na twarzy — wyraz całkowitego otępienia. Laura próbowała z nią rozmawiać,

ale odpowiedzią na padające pytania był wyłącznie nieskoordynowany bełkot.

— Ona ma tak od lat — poinformowała jedna z pań dzielących pomieszczenie numer siedem, które, w przeciwieństwie do sali Pietrzyka, było wieloosobowe. — Przedawkowała.

— Alkohol?

— Opioidy — sprostowała kobieta. — W jedną noc straciła rozum. Nikt nawet nie wiedział, że bierze. Pracowała sobie spokojnie jako sprzątaczką...

— Gdzie?

— A tu, zaraz... W poprawczaku. Jedna noc i po człowieku.

— Dziękuję.

Laura posłała nieszczęsnej Halinie ostatnie spojrzenie, a potem wyszła z budynku. Zniechęcona, miała ochotę odpuścić, lecz na schodach przyszedł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. W pierwszej chwili wydawał się skazany na niepowodzenie, ale skoro i tak była w pobliżu, to co szkodziło spróbować?

Do poprawczaka można było dostać się stąd przez furtkę. Wcześniej była zamknięta, teraz jednak stała otworem. Przed budynkiem paliła starsza kobieta. Podpierała się czymś, co z daleka wyglądało jak gruba laska, a z bliska okazało się miotłą.

— Przepraszam... Od dawna pani tu pracuje?

Kobieta obrzuciła ją urażonym spojrzeniem, które zdawało się mówić: i co mi zrobisz?

— Od rana — wychrypiała. — A teraz mam przerwę.

Laura, dostatecznie już rozbawiona tym, że działa zupełnie po omacku, teraz parsknęła śmiechem. Czoło sprzątaczkę zmarszczyło się jeszcze bardziej.

— Źle się wyraziłam. Chodziło mi o staż pracy.

— Aha. — Zmarszczki się wygładziły, a w czarnych jak węgiel tęczęwkach pojawiły się iskry rozbawienia. — No to od jedenastu lat. A dokładnie od jedenastu i pół. Też od rana...

Laura posmutniała. Po rozmowie z panią Lewandowską uznała sprzątaczkę za dobrze poinformowaną grupę zawodową. Siostra Klara mówiła jej wczoraj, że w ośrodku wychowawczym nie ma już ani jednego nauczyciela czy wychowawcy, który pracował tu w latach osiemdziesiątych. Nie wspomniała jednak o personelu pomocniczym. A Laura nie pomyślała, by o to zapytać. Nie zamierzała popełnić tego błędu po raz drugi.

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć...

Sprzątaczkę wysłuchała jej pytania, zgmiotła niedopałek w kulkę i pstryknęła nią w krzaki, a potem znów wsparła się na miotle.

— Była taka... Baranowska jej było. Sprzątała tu z pięćdziesiąt lat, ale umarła. Jest jeszcze bibliotekarka. Też pracuje tu od zawsze, ale w wakacje ma wolne... Jak nie muszą, to nie czytają. — Zaśmiała się skrzekliwie, zaraz jednak spoważniała. — Była też stara Gąsiewska. Ale rok temu, po wylewie, przeszła na rentę. Mieszka tam. — Machnęła miotłą, wskazując za budynek ośrodka wychowawczego. — Na Kaliskiej, obok szpitala.

— Mogłabym prosić o jakieś dokładniejsze namiary?

Sprzątaczkę westchnęła, a potem pokuśtykała wzdłuż ściany szczytowej, mijając wejście do zalanej piwnicy.

— Widzi pani ten budynek z balkonami?

— Widzę — odparła Laura, osłaniając oczy przed słońcem.

— To ten czerwony balkon. Ten z kwiatami. Trafi pani, a jak nie, to pani zapyta. Gąsiewska. Wszyscy ją tu znają.

Balkon pani Gąsiewskiej rzeczywiście się wyróżniał. Ona sama stała

wśród kwiatów. Gdy Laura poprosiła ją z dołu o chwilę rozmowy, bez wahania podała numer mieszkania. Drewniana klatka schodowa zawiodła Laurę na drugie piętro, pod drzwi ozdobione ogromnym, wykonanym kredą napisem K+M+B. Zapukała, a potem — usłyszawszy gromkie „proszę” — weszła do środka.

Pani Gąsiewska była wysoką kobietą o ciepłym uśmiechu i tubalnym głósie. Jeśli informacje o przebyтым udarze były wiarygodne, to udar musiał być bardzo lekki. Wyglądała zdrowo. Rumieniec na jej policzkach był efektem opalenizny, a nie kłopotów z krążeniem. Na pewno była też religijna. Na ścianach wisiało tyle krzyżyków i świętych obrazków, że trudno było o wolne miejsce.

Gdy Laura się przedstawiła, gospodyni ścisnęła jej dłoń tak mocno, jakby w wolnych chwilach łamała podkowy.

— Już dawno nikt mnie nie szukał — oznajmiła, a potem potrząsnęła starą komórką, by dać Laurze znać, że jej wizytę poprzedził telefon. Prawdopodobnie od koleżanki sprzątaczkii. — Wiem, że wy, młode, bez przerwy jesteście na diecie, ale może dasz się skusić na kawałek ciasta?

Zrobiło się miło, ale tylko do momentu, gdy Laura wypowiedziała nazwisko swojego dziadka. Milczenie, które zapadło, było więcej niż wymowne. W wysprzątanej kuchni powiało chłodem.

— Pamiętam go, a jakże — stwierdziła ponuro Gąsiewska. — Chociaż wolałabym o nim zapomnieć. Wiesz, moja droga, kim byli faryzeusze?

— Wiem.

— To twój dziadek był właśnie takim faryzeuszem. Wybacz, na pewno przykro ci o tym słuchać, ale... sama spytałaś.

Laura zapewniła, że nic się nie stało, lecz Gąsiewska i tak dołożyła jej — dla osłody — drugi kawałek szarlotki.

— Porównując mojego dziadka do faryzeusza, ma pani na myśli...?

— Jego pychę. Siadał w kościele w pierwszej ławce, z miną świętoszka, a tak naprawdę był uosobieniem grzechu. Rozpustnikiem. Wystarczyło, że spojrział. Kobieta czuła się naga, ale jemu to nie przeszkadzało. Nie miał wstydu.

Podobnie jej koleżanki mówiły kiedyś o Karolu. Ale brat poprzestawał na rozbieraniu wzrokiem, podczas gdy dziadek Julian...

— To prawda, że zmuszał do seksu dziewczyny z poprawczaka?

Gąsiewska ściągnęła wargi. Laura przez chwilę myślała, że powodem okazywanego zgorzenia było użyte przez nią słowo „seks”, ale okazało się, że problem tkwi gdzie indziej.

— Jestem ostatnią, która chciałaby go bronić, ale bez przesady. Nikogo nie zmuszał. Same ustawiały się w kolejce. Jedna za drugą.

— Na pewno? Nie chodziło o seks za pracę?

Gąsiewska wstała i wyłączyła gaz pod czajnikiem, a potem zalała Laurze herbatę. Szklanka ubrana była w słomianą plecionkę. Przejmując ją z rąk starszej pani, Laura poczuła się jak u babci.

— To dlatego przez pewien czas go tam tolerowano. W poprawczaku, no i w kościele. Miał znajomości. Potrafił załatwić pracę tej czy tamtej, na przykład bileterki w kinie czy urzędniczki w ośrodku kultury. Ale to nie było w ramach, że się tak wyrażę, transakcji wiązanej. Co to, to nie. Przecież gdyby to wyszło na jaw, to po pierwszym takim numerze zleciałby ze stołka, a może nawet trafił za kraty. Nie, miłość fizyczną otrzymywał zupełnie gratis. Podobał się im.

— Dziadek? Przecież on miał wtedy... Był od nich prawie trzy razy starszy!

— Tutaj żadna nie patrzyła mu w metrykę. Był elegancki, czarujący, mógł kupić płaszcz albo postawić obiad... Rówieśnicy tych dziewcząt pochodzili najczęściej z nizin społecznych. Spotykając się z Kalinowskim,



dziewczęta doświadczały namiastki high-life'u... Co oczywiście go nie usprawiedliwia. To był drań. Zimny drań. Przecież miał żonę, to nic, że ateistkę. A te dziewczyny... były zepsute do szpiku kości, ale mimo wszystko... mentalnie to wciąż były dzieci.

Gąsiewska nie wiedziała o babci Krysi nic więcej ponad to, co powiedziała. Że była ateistką. Zrównała jej małżonka z ziemią, ale obraz, który wyłaniał się z jej słów, nie był nawet w połowie tak kompromitujący, jak wynikało to z relacji pani Lewandowskiej. Dziadek Julian lubił się zabawić. Na pewno nie był archetypem kochającego męża, ale i nikogo nie krzywdził. Nikogo poza żoną. Dziewczyny, z którymi sypiał, decydowały się na to z własnej woli. Nie były naiwnymi dzierlatkami, tylko doświadczoneymi przez życie wychowankami poprawczaka. Wiedziały, czego chcą, i potrafiły to uzyskać.

— Czy w ramach pracy sprzątała pani także kościół?

— Zależy kiedy. W czasach twojego dziadka te instytucje były oddzielone murem ideologii. Ośrodek wychowawczy był państwowy. Kierownictwo nie kochało Kościoła. Z trudem udawało się uzyskać zgodę na udział podopiecznych w nabożeństwach... Moja droga, czy ci nie smakuje?

Laura, skupiając się na rozmowie, zupełnie zapomniała o cieście. Teraz zaczęła pospiesznie nadrabiać zaległości.

— Pycha — zapewniła, zakrywając dłonią pełne usta. — A wracając do mojego dziadka, to wysłuchałam ostatnio odmiennej relacji. Pewna osoba sugerowała, że charakter jego związków z wychowankami miał podłoże zdecydowanie mroczniejsze, niż wynika to z tego, co usłyszałam od pani...

— Niech zgadnę. Rozmawiałaś z Gabrysią Lewandowską? — Zaskoczenie na twarzy Laury było wystarczającym potwierdzeniem, że się nie pomyliła. — Pomyślałam o niej, gdy wspomniałaś o sprzątaniu

kościół. Gdy się dowiedzieli, że przyjęli złodziejkę, było już za późno. Pal sześć pieniądze z ofiar, ale wśród rzeczy, które ukradła, była także cenna biżuteria wotywna. Ściągnęła ją spod obrazu Matki Boskiej.

Gąsiewska wstała. Jej wzburzenie nie mogło dziwić. Polscy wierni czcili Matkę Boską bardziej niż samego Boga.

— Zmierza pani do tego, że nie można jej ufać, tak?

— Nie można — potwierdziła starsza pani, potrząsając wojowniczo sprężynami kręconych włosów. — Nawet nie ze względu na moralność. Ona twojego dziadka nienawidziła. I to nie tak, po cichu. Ona go prześladowała.

— Dlaczego?

Gąsiewska zerknęła na duży portret Jezusa. Miała taką minę, jakby chciała odwrócić go frontem do ściany.

— To wstrętne, ale... Podobno tak było. Ta Lewandowska, na długo zanim zaczęła sprzątać w kościele, też była wychowanką poprawczaka i też dążyła do zbliżenia z Kalinowskim. A on podobno nie chciał. Odmówił jej, bo przecież były ładniejsze i zgrabniejsze...

— To niemożliwe. Ona ma z osiemdziesiąt lat.

— A ile lat miał twój dziadek, gdy zaczynał się kręcić w okolicach sierocińca? To musiało być jeszcze w latach sześćdziesiątych. Lewandowska była wtedy młodą dziewczyną.

Słowa Gąsiewskiej uzmysłowiły Laurze dwie rzeczy. Po pierwsze, że występki dziadka sięgały w naprawdę odległą przeszłość, a po drugie, że był jeszcze większym draniem, niż można było się spodziewać. Dla babci. To nie były fanaberie wieku średniego. Julian Kalinowski rozpoczął swe erotyczne przygody mniej więcej w czasach, gdy jego żona rodziła dzieci. Wujka Jarka i mamę.

Myśl o małym wujku i jeszcze mniejszej matce, jako dodatkowych

ofiarach małżeńskiej zdrady, była tak przykra, że Laurze przestało smakować ciasto. Wiedząc już, że wyjdzie stąd mądrzejsza, niż gdy tu weszła, przeskoczyła o ćwierćwiecze. Od lat sześćdziesiątych do lipca 1987 roku.

— Pamięta pani pogrzeb?

— Nie pamiętam. Nie uczestniczyłam w nim, z wiadomych względów. Pojawiło się wtedy dużo plotek... Co tak naprawdę się tam stało?

Laura powiedziała jej, że sama chciałaby to wiedzieć. Gąsiewska poprawiła się na krześle, usiłując zanurkować w odmęty starych wspomnień.

— Oczywiście mówiło się, że Kalinowski zwyczajnie się dograł. Poszedł z niewłaściwą kobietą i dosięgła go zemsta jej chłopaka, brata czy ojca. Dziewczyny z poprawczaka obracały się w różnych kręgach, najczęściej nie najlepszych. Te teorie były prawdopodobne, ale oczywiście tylko do momentu, w którym ujęto tego młodzieńca.

Laura nadstawiła uszu. We wspomnieniach starszej pani pojawił się człowiek, przez którego starała się od wczoraj unikać ciemnych pomieszczeń. Alfred Warszawski, który po wyjściu z więzienia zmienił imię i nazwisko, odcinając się od przeszłości i zaczynając nowe życie — jako wszechmocny władca przestępczego półświatka w odległym rejonie kraju. Ale w tej opowieści wcale nie był tak wszechmocny. Przeciwnie.

— To był sympatyczny młody człowiek. Oczywiście łobuz, jak oni wszyscy, ale wyróżniała go taka... dojrzałość to nie jest najlepsze słowo. Taka... determinacja, by coś zmienić. By wyrwać się z tego błędnego koła biedy i występku.

Obraz, który nakreśliła, pasował do wczorajszych słów siostry Klary. Ona też uważała, że Warszawski, czy też — jak go określała — Alfredek, był dobrym dzieciakiem, który nie miał w sobie instynktu zabójcy. Tyle że

to, co zapisało się w ich wspomnieniach, nijak nie korespondowało z tym, jak potoczyły się jego dalsze losy. Więzienie mogło zmienić — ale czy aż tak?

Laura przełknęła łyk herbaty. Gąsiewska wkroiła do niej dwa grube plastry cytryny i być może to dlatego ją olśniło. Cytrusy zawsze wpływały na nią pobudzająco.

— A może ten... młody człowiek...

— Na imię miał Alfred — przypomniała sobie starsza pani.

— Może ten Alfred miał dziewczynę? Jedną z tych, które miały ochotę na przygodę z Kalinowskim.

Z premedytacją nie użyła określenia „dziadek”. Stwierdziła, że koniec z samobiczowaniem. W głębi duszy liczyła na przełom, ale Gąsiewska pokręciła głową.

— Alfredek nie był z tych... rozrywkowych. Dobrze go pamiętam: z pielgrzymek, spotkań modlitewnych... Zadawał się głównie z zakonnkami. Żartowałyśmy, że w innym wcieleniu mógłby nawet zostać księdzem. Był łobuzem, ale z tych uroczych. Oczywiście tak odbierałam go wtedy, bo jeśli naprawdę miał coś wspólnego ze śmiercią twojego dziadka... jeśli przyłożył do niej choćby mały palec, to zasługuje na potępienie. Piąte przykazanie. Nie zabijaj.

— Pani nie wierzy, że to on?

Gąsiewska uciekła wzrokiem.

— Bóg mi świadkiem, moje dziecko. Trudno mi w to uwierzyć, ale oczywiście nie będę się zarzekać. To było tak dawno temu. Najlepiej byłoby zapytać jego, ale to, zdaje się, niemożliwe. Nie w tym życiu.

Ona również żyła w przeświadczeniu, że Warszawski zmarł. Pamiętała mszę za jego duszę, ale — podobnie jak siostra Klara — nie potrafiła

wskazać źródła, z którego społeczność parafialna uzyskała te tragiczne wieści.

— W tej mszy uczestniczyłam. Za każdym razem, co roku. Nie wierzyliśmy, że zgrzeszył, ale i tak, za każdym razem, rozwijaliśmy sztandar świętego Dyzmy i modliliśmy się pod nim o jego wsparcie. Święty Dyzma to dobry łotr, patron grzeszników... Czy wszystko w porządku, moja droga?

Laura usiłowała się powstrzymać, ale nie wyszło. Żal, który odczuwała, był zbyt silny. Z premedytacją nie użyła określenia „kościół”. Miała z Jakuba tyle dobrych wspomnień... Nie chciała ich niszczyć, a przynajmniej — nie całkiem.

— Dlaczego wasza wspólnota zdecydowała się na przyjęcie tego sztandaru?

Gąsiewska nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zrozumiała dopiero wtedy, gdy Laura dodała, że fundatorem sztandaru był jej dziadek.

— To chyba nie było do końca tak. Nasi księża byli wspaniałymi ludźmi. A przy tym rozsądnymi. Twój dziadek natomiast wzbudzał powszechną niechęć, przynajmniej w naszych kręgach. Na pewno przyjęliby z jego rąk jakiś dowód na postanowienie poprawy, ale przecież nie sztandar. Sztandar dla grzeszników od największego grzesznika... Nie, to nie ma sensu.

— Może i nie ma, ale sztandar był...

Starsza pani przymknęła oczy. Umysł wciąż miała ostry jak brzytwa. Patrząc na nią, trudno było uwierzyć, że przez całe życie pracowała fizycznie. Zapewne zdecydował o tym los, udowadniając, że potrafi być ślepy.

— Był, ale... Moim zdaniem nie został ufundowany przez twojego dziadka, tylko... można powiedzieć, że na jego pamiątkę. Może ku przestrodze, a może celem odkupienia win...

— Przez kogo?

Gąsiewska oderwała wzrok od kołyszących się na wietrze pelargonii i uśmiechnęła się łagodnie.

— Moje dziecko... Ja nie jestem nawet pewna, czy nie wprowadziłam cię w błąd. Minęło tyle lat... Proszę, nie wymagaj ode mnie, żebym pamiętała takie szczegóły.

— No tak. — Rozmawiały przecież o czasach, gdy Laury nie było jeszcze na świecie. — Przepraszam, że tak drązę...

— Ależ nie szkodzi, złociutka, nie szkodzi. To miło, że wpadłaś. W tych czasach mało kto mnie odwiedza. A co do sztandaru, to można to sprawdzić. Nazwiska wotujących z pewnością znajdują się w kościelnym archiwum. Od tego czasu nie było żadnej wojny, więc można śmiało zakładać, że nie spłonęły.

Kobieta roześmiała się tubalnie, ale Laura tylko uniosła kąciki ust. Wychowała się na Ochocie. Uważała, że wszelkie żartobliwe nawiązania do wojny powinny być zastrzeżone dla osób, które jej doświadczyły. Staruszka mogła w ten sposób żartować, jej nie wypadało. Jeszcze raz spojrzała na jedyny niereligijny wizerunek w tym mieszkaniu: na przyozdobione czarnym kirem zdjęcie młodego mężczyzny w powstańczej opasce.

— Zginął w rzezi Ochoty?

Starsza pani spoważniała.

— To mój ojciec. Tak, ronowcy zabili go czwartego września. Mnie nie było jeszcze na świecie. Urodziłam się w maju następnego roku, dzień po wyzwoleniu.

Laura zaczęła dodawać miesiące, ale zanim uzyskała wynik, odpuściła. To, czy Gąsiewska była dzieckiem z gwałtu — ofiarą bestialstwa żołdaków z oddziałów RONA — było jej prywatną sprawą. Wstała i podziękowała za herbatę i ciasto.

— Dokąd idziesz, moje dziecko?

— Do kościoła.

Żegnając się z Gąsiewską, Laura nie wyraziła się precyzyjnie. Jej celem wcale nie był kościół, tylko mieszcząca się w sąsiednim budynku kancelaria parafialna. Niestety, o tej porze była zamknięta na cztery spusty. Przez chwilę deliberowała, a potem postanowiła jednak odwiedzić kościół. Miała szczęście. Przy ołtarzu modlił się ksiądz.

Przysiadła w jednej z pierwszych ławek i wciągnęła do płuc znajomy zapach mokrego kamienia, wzbogacony szczyptą kadzidła. Zapach ten przywoływał wspomnienia z dzieciństwa i niósł ze sobą poczucie bezpieczeństwa. Wciąż pamiętała małą, ośmioletnią Laurę, siedzącą gdzieś tu, w pierwszych ławkach, w pierwszokomunijnej sukience, i modlącą się do Boga, by jej rodzice wreszcie przestali się kłócić. By mama nie spotykała się z nowymi wujkami, a tata wstał wreszcie od biurka, włożył spodnie i wykazał się choć odrobiną inwencji. Gdzieś niedaleko w zakamarkach jej umysłu znajdowało się także wspomnienie z bierzmowania, podczas którego wyobrażała sobie własny ślub. Długi biały welon i przystojnego amanta o twarzy aktora z wenezuelskiej telenoweli, którą oglądała ukradkiem w telewizorze babci i której scenariusz, nawet teraz, po latach, wydawał jej się pasjonujący.

Na własny ślub musiała jeszcze poczekać, ale uczestniczyła już w takiej ceremonii, tu, w tym kościele. Też siedziała wtedy z przodu, a małżeńską przysięgę składał jej brat. Miała wtedy ochotę wstać i zaprotestować, wiedziała jednak, że to i tak nic nie da, więc tylko się uśmiechała, połykając ukradkiem łzy. Wszyscy mówili, że Sabina jest kopią ich matki. Może i była, ale tylko w tym złym, rozwiązłym znaczeniu. Żeniąc się z nią, Karol popełnił błąd, który mógł zaważyć na całym jego życiu. Tak wtedy myślała,

lecz teraz nie była tego już taka pewna. Brat walczył o swoje małżeństwo z większą determinacją, niż można się było spodziewać. Może i Sabina była jak ich matka, ale on z pewnością nie był jak ojciec. Mieli szansę z tego wyjść. Szczerze im tego życzyła.

Przesunęła wzrokiem po ołtarzu, wyobrażając sobie własny ślub. W pracy nauczyła się chodzić na wysokich szpilkach. Mogły się przydać, bo pan młody — ten z jej marzeń — był blisko dwumetrowym wielkoludem...

— Proszę księdza! — zawołała, może trochę zbyt głośno, ale przynajmniej ją usłyszał. Zdążył już pokonać ponad połowę drogi do zakrystii. Myśląc o ślubie, na moment zupełnie się wyłączyła.

Ksiądz wyglądał znajomo, lecz dopiero po chwili wydobyła z pamięci jego nazwisko. Van Thissen. Szczęście sprzyjało jej więc w dwójnasób. Dokumenty były niepotrzebne — mogła skorzystać z jego fotograficznej pamięci.

— W czym mogę pomóc? Ach, to pani. Wciąż prowadzi pani badania genealogiczne?

Pytania, które mu zadała, wcale nie dotyczyły genealogii, ale skoro tak je odebrał, nie zamierzała niczego prostować. Tak było łatwiej.

— Czy parafia prowadzi coś na kształt rejestru darczyńców? Chciałabym się dowiedzieć, kto ufundował jeden ze sztandarów. Konkretnie sztandar świętego Dyzmy. Z końcówki lat osiemdziesiątych.

Podświadomie liczyła na to, że uśmiechnie się i poda jej nazwisko. Tak po prostu. Tymczasem on podrapał się po czuprynie, a potem skinął na nią ręką.

— Musimy pójść.

— Dokąd?

— Na główną wieżę.



Wieża kościoła Świętego Jakuba wznosiła się bezpośrednio nad przedsionkiem, ale zamiast ruszyć w tamtą stronę, ksiądz skierował się do zakrystii. Zdziwiona poszła za nim. Zatrzymał się przed otynkowaną ścianą i zdjął z haczyka klucz — tak potężny, jakby był własnością samego świętego Piotra.

— Po co... na wieżę? — wyjąkała, patrząc na niego z niepokojem.

Ponoć był geniuszem, a geniuszom często odbijało.

— Mamy tam coś w rodzaju magazynu. Przechowujemy w nim wszystko to, co na co dzień jest nam zbędne, a zatem, jak miemam, również stare sztandary.

— Fizycznie... sztandary? Myślałam, że łatwiej będzie znaleźć dane fundatorów w dokumentach.

— Dokumenty są nieuporządkowane. Nie mogę robić wszystkiego naraz. Przez ostatni miesiąc porządkowałam...

— Akty stanu cywilnego.

— Zgadza się. Od lat sześćdziesiątych do połowy dziewięćdziesiątych. Ówczesny proboszcz był bardzo oszczędny i niestety zaoszczędził też na papierze. Trzeba je było wprowadzić do komputera.

Laura poczuła, że spływa z niej napięcie. Do tej chwili miała van Thissena za omnibusa, który ma w małym palcu dane z kilkunastu dziesięcioleci. Chrzty, małżeństwa, zgony... Z jego słów wynikało, że zasób jego wiedzy ogranicza się do mniej więcej trzech dekad. Do nazwisk i dat, które przepisał. Wciąż był genialny, ale nie aż tak, jak sądziła. I dobrze.

Przestała się go bać.

— Nazwiska darczyńców są na sztandarach? Ale w jakiej formie? Są wyhaftowane?

Pokręcił głową. Odgłosy, z jakimi podeszwy ich butów uderzały

o kamienną posadzkę, rozchodziły się po pustym kościele na podobieństwo dźwięku werbli.

— Są wygrawerowane w metalu. Mają postać takich... tabliczek znamionowych. Przytwierdzano je do drzewca.

— W każdym przypadku?

Gestem ramion zasugerował, że nie ma pewności, ale...

— Kiedyś bardzo tego pilnowano. Chwileczkę.

Sapnął z wysiłku, usiłując otworzyć archaiczny zamek. Udało mu się to dopiero w trzeciej próbie. Żelazne drzwi rozwarły się z przyprawiającym o gęsią skórkę zgrzytem, odsłaniając strome ceglane schody.

— Czy pani już tu była?

— Tak. Chyba w podstawówce. Oglądaliśmy dzwony.

— Przed wojną dzwonnica mieściła się w odrębnym budynku. Niestety drewnianym, po powstaniu zostały z niego tylko zgliszcza.

Umilkł, bo schody były strome, a tempo, które narzucił — imponujące. Magazyn usytuowano na samym szczycie wieży, ponad dzwonami. Światło dostawało się tutaj przez wąskie okna, a funkcję sufitu pełniła widoczna z zewnątrz czapa z zaśnieżonej miedzi.

— Przepraszam za... bałagan. — Ksiądz van Thissen zwalczył resztki zadyszki, a potem wskazał w lewo, w miejsce, w którym panujący tu półmrok wydawał się gęstszy. — Proszę, oto sztandary. Czy wie pani, jak wygląda ten, którego szukamy?

Laura nie miała pojęcia, ale z pomocą przyszła jej nowoczesna technologia. Święty Dyzma na większości wizerunków w sieci przedstawiany był jako półnagi brodacz o zaciętym wyrazie twarzy, najczęściej przybity do krzyża, zaraz obok Jezusa. Sięgnęła po pierwsze płótno, a potem po następne. Półnagi brodacz z Internetu objawił się jej na trzecim, obszytym — niczym indiański strój — frędzlami.

— Czy to jest święty Dyzma? — upewniła się, a potem ostrożnie wyjęła stary sztandar ze stojaka i zaniósła go w pobliże okna.

Rozciągał się stąd zapierający dech w piersiach widok na Warszawę, ale zignorowała go, skupiając się na zmatowiałym drzewcu. Oświetlenie było niewystarczające, lecz gdy przejechała dłonią po drewnie, udało jej się wymacać metalową tabliczkę. Wygrawerowane na niej litery miały grubość włosa. Przez chwilę wodziła po nich palcami, a potem wpadła na to, by włączyć aplikację z latarką. W tym samym momencie telefon zawibrował jej w dłoni, a na ekranie pojawiło się znajome imię, nazwisko, a także zwyczajowy tytuł.

Doktor Michał Tracz.

Zanim odebrała połączenie, które miało rozbić jej świat na kawałki, zbliżyła telefon do drzewca, oświetlając dzieło grawera. A potem pokręciła głową. Niemożliwe. Sztandaru nie mogła ufundować... ona.

Przecież to nie miało sensu.

Praca lekarza nie sprowadza się jedynie do pomocy pacjentom. Michał siedział w swoim gabinecie, stukając w klawiaturę komputera i zastanawiając się, czy zapalić tu, przez okno, czy pofatygować się do palarni. Te rozterki przerwał dzwonek telefonu. Pstryknął zapalniczką i niczym żołnierz pełniący wartę zameldował się zwierzchnikowi:

— Panie profesorze, wszystko pod kontrolą. Wypełniam kwity.

Łapiński dzwonił do niego z końca świata, a konkretniej — z jakiegoś warmińskiego lasu, do którego regularnie jeździł na kurki. Zasięg był tak słaby, że trudno było rozróżnić poszczególne słowa. Gdy z ust profesora padło nazwisko, poprosił o powtórzenie.

— Lucyna Lubecka. Moja znajoma. Twierdzi, że przywiozła pacjentkę. Podobno jej stan jest mocno średni.

Michał dopiero po chwili się domyślił, o kogo chodzi. Nazwisko Lubecka nic mu nie mówiło, ale tej nocy na jego oddział trafiła tylko jedna pacjentka. Amelia Celmer. Lubecka musiała być tą kobietą, która co rusz zawracała mu głowę, i jednocześnie, mimo próśb i gróźb pielęgniarek, nie chciała opuścić oddziału.

— Zależy panu na tej znajomości? — spytał żartobliwie, ale problemy z zasięgiem sprawiły, że profesor nie wyczuł humoru.

— Umiarkowanie. To w zasadzie znajoma znajomego. A co się dzieje?

— Jest upierdliwa. Uparła się, że tu zostanie, i to aż do wieczora.

— No to trzeba ją wyrzucić! Panie kolego, w obecnej sytuacji epidemiologicznej...

— Podjąłem decyzję, żeby tego nie robić. Ta jej przyjaciółka potrzebuje oparcia.

W stłumionym głosie profesora pojawiły się nutki złości. Obostrzenia epidemiczne były jego oczkiem w głowie, a regulamin sanitarny traktował jak Biblię.

— To niedopuszczalne. Każdy potrzebuje oparcia...

— Ale niektórzy bardziej niż inni — wtrącił Tracz, przerywając mu w pół zdania. — Ta pani Amelia ma cały szereg deficytów. I chyba nie do końca zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

Łapiński zapomniał o złości.

— Jest aż tak źle?

— Nie tyle źle, ile różnorodnie. Podczas wywiadu w izbie przyjęć wyodrębniłem kilka schorzeń. Obok nerwicy lękowej i elementów depresji pacjentka ma wyraźne objawy psychotyczne. Dawno nie oglądałem tak typowego zespołu Quasimodo.

— Przydało się lustro?

Decyzja, by wyposażyć izbę przyjęć właśnie w lustro, została podjęta

osobiście przez profesora. Teraz można było wyczuć, że jest z siebie dumny.

— Musiałem je zakryć. Podejrzewam, że chodzi o oczy.

— Nie akceptuje wyglądu swoich oczu?

— Zaczerwienienie spojówek wskazuje na regularne korzystanie z soczewek kontaktowych. Prawdopodobnie zmieniających kolor tęczówki. Podczas wywiadu była bez soczewek, a gdy odwracała głowę w stronę lustra, odruchowo zamykała oczy.

— Czemu nie miała soczewek?

— Dużo płakała. Z tego, co przeczytałem, wynika, że chociaż obecność soczewek co do zasady nie przeszkadza w płaczu, to u niektórych osób może wywoływać dyskomfort. Tu jest napisane... — Michał przywrócił zamkniętą przed chwilą witrynę, poświęconą zdrowiu oczu. — Że kiedy płaczemy, w oczach psuje się bilans soli i...

— Nieważne — przerwał mu profesor. Gdzieś w tle odezwało się klaśnięcie. Czyżby gryzły go komary? — Dysmorfofobia... czy też, jeśli pan woli, zespół Quasimodo, rzadko występuje w oderwaniu od innych zaburzeń.

— Pełna diagnoza byłaby oczywiście przedwczesna, ale już na tym etapie możemy zakładać możliwość występowania silnych stanów lękowych, zaburzeń snu czy problemów z apetytem.

— Na jakim tle?

— Prawdopodobnie traumy. Zakładam, że doświadczonej w dzieciństwie, być może wypartej, bo z wywiadu, który przeprowadziłem, wynika, że pochodzi z kochającej rodziny, wychowano ją pod kloszem i nigdy nie doświadczyła przemocy.

— Idealne środowisko do rozwoju — stwierdził profesor, a potem dodał

z naturalnym dla siebie sarkazmem: — Wiemy, że coś takiego nie istnieje. Coś jeszcze?

— Mąż awanturnik, nawalony jak stodoła.

— No proszę. A więc mamy to idealne środowisko...

— No i ta pańska znajoma. Wykazuje ponadnormatywną troskę. Na krótką metę to dobrze, ale na dłuższą... trzeba by ją odseparować. Kota można głaskać... Ale można też zagłaskać go na śmierć.

Wspominając o Lucynie, pominął jeden istotny szczegół. W samej troskliwości nie było nic zdrożnego, ale przyjaciółka Amelii Celmer, poświęcając jej czas i uwagę, zupełnie nie przejmowała się swoim synem, którego przecież poszukiwała policja. To dualistyczne podejście — troska wobec znajomej i obojętność względem własnego dziecka — było zastanawiające. Ale oczywiście nie mógł nic powiedzieć, bo gdyby to zrobił, przy okazji wsypałby Karola.

Być może to dlatego profesor przeszedł do porządku nad jego rzuconą ad hoc uwagą.

— A gdzie ją umieściliście? Pacjentkę — uściślił, a gdy Michał poinformował go, że w izolatce, wygłosił pochwałę. — Sądząc po ostatnich przypadkach — dodał — na pańskim oddziale przydałoby się kilka dodatkowych izolatek.

— Albo większa selekcja pacjentów — odparował Michał.

Słowa profesora sprawiły mu przyjemność. Tak wielką, że po tym, jak się zaciągnął, wypuścił ustami fantazyjne kółko z dymu. To nie był jego oddział. Jeszcze nie, ale słowa profesora wskazywały na to, że w przyszłości może liczyć na awans.

Chciał opowiedzieć Łapińskiemu o swoim pomysle na terapię dla Romanowa, lecz po kolejnym odgłosie kłaśnięcia profesor oznajmił, że musi kończyć. Prawdopodobnie chodziło o komary, Michał jednak nie

umiał wyrzucić z głowy obrazka z półnagim profesorem w skórzanej obroży i kobietą w stroju uczennicy, okładającą go pejczem. To, że taki obrazek w ogóle się pojawił, wskazywało jednoznacznie: Michałowi brakowało snu.

Wyszedł na korytarz, by otrząsnąć się z atakującej go senności. Pierwszą osobą, którą zobaczył, był Zbigniew Komar. Senność pierzchła, jakby nigdy jej nie było. Ruszył w jego stronę, ale po kilku krokach stanął jak wryty. Komar nie był sam. Towarzyszyła mu Lucyna Woźniak-Lubecka, a także nieodstępująca jej nawet na krok Amelia. Na oczach Michała Komar objął starszą z kobiet i zsunąwszy maseczkę, cmoknął ją w policzek w sposób, który sugerował zażyłość. Pod wpływem wstrząsu psychiatra odzyskał rezon.

— Państwo się znają?

— Dorastaliśmy w jednej kamienicy — odparła Woźniak-Lubecka, a Komar poszedł o krok dalej.

— Lucynka była moją pierwszą miłością. — Pocałował ją w rękę, a ona zachichotała, jakby ubyło jej lat. — Kochałem się w niej na zabój, ale ona oczywiście nie zwracała uwagi na takiego gówniarza. Dwa lata różnicy to w takim wieku przepaść.

Z jego słów wynikało, że był od niej młodszy, ale wcale tak nie wyglądał. Spod maseczki, którą znowu podciągnął, sterczał siwy zarost, a blizna na policzku rzucała się w oczy jeszcze bardziej niż zwykle. Michałowi przemknęło przez głowę, że blizna może być pamiątką po wypadku w kanałach. Chciał o to spytać, ale nie mógł tego przecież zrobić przy tylu świadkach.

— Mógłby pan do mnie zajść? Oczywiście w wolnej chwili.

Chciał się oddalić, ale słowa, które padły, a także napięcie w głosie Komara sprawiły, że zmienił zdanie.

— Obawiam się, że będę musiał zaraz wyjść. Wpuszczono mnie tylko na moment, do Lucynki.

— Wpuszczono pana do Lucynki? — spytał, cedząc słowa.

— Zgadza się — powtórzył cierpliwie Zbigniew Komar, wbijając w Michała wzrok. W ogóle nie mrugał. — Zadzwoiła do mnie, a ja wpadłem, by dodać dziewczynom otuchy. I powiedzieć, że mogą na mnie liczyć. I na profesora.

Skłonił się, tym razem przed Amelią. Musieli się znać, bo przyjęła tę deklarację z uśmiechem. Do Michała dotarły dwie rzeczy. Po pierwsze, że Łapiński i Woźniak-Lubecka poznali się dzięki Komarowi, a po drugie...

Zbigniew Komar nie chciał, by jego znajome dowiedziały się, że kilkanaście metrów dalej, w jednej z sal, przebywa w charakterze pacjenta jego syn. Michał rozumiał, że niektórzy ludzie traktują pobyt w szpitalu psychiatrycznym jako coś stygmatyzującego. Rozumiał, że Komar chce oszczędzić synowi sytuacji, w której ten mógłby się poczuć upokorzony. Chce to przemilczeć, ukryć...

Nie miał tylko pojęcia, w jaki sposób.

Zagadka rozwiązała się sama dziesięć minut później. Zbigniew Komar osaczył go w łazience, przy pisuarach. Michał zapiął rozporek i spojrzał na mężczyznę ze współczuciem. Komar miał rozbiegany wzrok, a jego tętnica szyjna pompowała krew z siłą strażackiego węża.

— Dziękuję, doktorze.

— Nie ma za co. — Wdzięczność Komara była naprawdę szczerą. Podkreślając ją, klepnął Michała w plecy tak mocno, że ten o mało nie stracił równowagi. — Na zajęciach z etyki lekarskiej uczyli mnie, jak ważna bywa dyskrecja, ale nie sądziłem, że będę kiedyś musiał ją zachowywać w z góry przegranej sprawie.



— O czym pan mówi?

— Mogłem udać, że pana nie znam, a pański syn nie istnieje, ale przecież w najbliższych dniach na pewno się spotkają. Jeśli nie z panią Woźniak-Lubecką, to z panią Amelią. Na korytarzu albo w jadalni... Przecież pański syn nie może przez cały czas chować się pod kołdrą.

— Był pan u niego?

— Zajrzałem. A wcześniej, dziś rano, byłem świadkiem sceny, podczas której Łukasz je zobaczył. Amelię i Lucynę. Gdyby pan go widział... Prawie zemdlął z przerażenia.

Zbigniew Komar rozłożył ręce.

— Tylko co ja mogę zrobić?

Michał skierował się w stronę umywalk. Komar stał w wąskim korytarzu, blokując przejście.

— Po pierwsze... niech się pan odsunie. A po drugie, niech pan pogada z synem, że pobyt w psychiatryku to nie koniec świata. Zgoda, to też nie powód do radości, ale tym bardziej do wstydu.

Z kranu popłynęła woda. Komar pochylił się nad sąsiednią umywalką i opryskał twarz. Krople pociekły po policzkach niczym obfite łzy, wsiąkając w brodę.

— Myśli pan, że nie próbowałem? Ale syn ma swoje zdanie. Wstydzi się, i nic na to nie poradzę. Zadzwonił z samego rana kompletnie przerażony. W pierwszej chwili nie chciałem wierzyć, No bo skąd tu Lucyna... No ale uwierzyłem. Powiedziałem mu, żeby siedział w pokoju, przekręciłem do Lucyny, niby po to, by zapytać, co u niej... No i jestem.

— Pan siedzi ze mną w kiblu, syn ukrywa się w pokoju... Czy tak powinno być? Ile będzie tam siedział? Następny miesiąc?

— Leczenie potrwa aż tak długo?

— Niestety... Zaburzenie Łukasza jest poważniejsze, niż nam się

wydawało. Lekkie przypadki nie urządzają sobie przechadzek po gzymsach. A cała ta sytuacja na pewno mu nie pomaga.

— Zdaję sobie sprawę. — Zbigniew Komar znów, tak jak kilkanaście minut temu na korytarzu, popatrzył na Michała z takim napięciem, że ten poczuł się niezręcznie. — Dlatego chcę go stąd zabrać.

— Do domu?!

— Nie, spokojnie. Jeszcze nie zwariowałem. Do innego szpitala. Na Sobieskiego albo do Tworek.

To nie była zła propozycja, ale Michał zareagował instynktownie. Nie lubił tracić pacjentów, a zwłaszcza tych, którym mógł pomóc. Co do Łukasza, był tego pewny. Klucz do jego zdrowia tkwił w tej jednej scenie, którą chłopak podpatrzył przez okno. W widoku ukochanej okradającej trupa.

— Takie przeniesienie da się załatwić — oznajmił niechętnie, bo wyglądało na to, że i jego czekała wycieczka. Mając tę wiedzę, którą miał, nie mógł zostawić Łukasza samemu sobie. — Mam nadzieję, że w nowym miejscu nie będziecie zatajać przed personelem medycznym kluczowych informacji.

— Co pan ma na myśli, doktorze?

— Nie co, tylko kogo — burknął Michał. — Problemy pańskiego syna są nierozzerwalnie związane z dziewczyną, którą przyprowadził do waszego domu. Z Aleksandrą Arbaszewską. Gdyby powiedział mi pan o niej na samym początku, być może uniknęlibyśmy złamanych zębów, ucieczek, spacerów po gzymsie i reszty tych atrakcji.

Komar powtórzył zabieg z ochlapywaniem. Tym razem użył jeszcze więcej wody. Tak, jakby podświadomie chciał się utopić.

— Łukasz wymógł na mnie dyskrecję. Sprawy damsko-męskie miały być tabu.

— Czemu?

— Bo ja wiem? Ta Olka, którą nam przedstawił, była z marginesu. Może nie chciał jej zaszkodzić? Mój syn ma słabość do tych... trudniejszych. Wspominałem panu, że jakiś czas temu próbowałem zeswatać go z normalną, fajną dziewczyną? Starał się, nawet gdzieś razem wyjechali, ale ostatecznie nie zaiskrzyło. Chciał to przerwać, nie bardzo umiał... No i ciężko to odchorował.

Michał wytarł ręce i wyszedł na korytarz. Jeśli miał spełnić prośbę towarzyszącego mu mężczyzny, to czekało go mnóstwo dodatkowego wypełniania kwitów. Przeniesienie należało przecież uzasadnić. Nie wiedział jeszcze, co napisze, lecz wiedział, o czym będzie w tym czasie rozmawiać.

— Pan nie był ze mną szczery nie tylko jeśli chodzi o dziewczyny — stwierdził, gdy mijali salę Romanowa. Wciąż leżał w izolatce, ale przywrócono mu swobodę poruszania. — Zna pan tego człowieka, prawda? I proszę nie zaprzeczać!

Komar zerknął przez otwarte drzwi i przyspieszył kroku.

— To było tak dawno.

— Dokładnie trzydzieści siedem lat. Byliście tam razem, w tym kanale, prawda? Nie rozumiem tylko, czemu teraz dostał pan w gębę.

— Nie tylko teraz. — Komar ściągnął maskę, prezentując bliznę. — To zrobił mi kilkanaście lat temu, gdy wpadłem na niego przypadkiem w Legionowie. Ale nie mam pretensji, zasłużyłem sobie. Byłem młody, a on był skurwielem, ale to mnie nie tłumaczy.

Michał słuchał tych słów z takim zainteresowaniem, że stracił kontakt z otoczeniem. Zareagował dopiero wtedy, gdy usiłująca zwrócić na siebie uwagę pielęgniarka naderwała mu rękaw.

— Panie doktorze!

— Co się stało?

Przez głowę przebiegło mu wiele myśli. Ktoś znów wyszedł przez okno? Zadźgał kolegę plastikowym widelcem? Na szczęście scenariusz, który właśnie się realizował, był mniej dramatyczny.

— W szpitalu jest policja. Podobno tu idą... Och, nie!

Zastygła z palcem wycelowanym w okratowane drzwi. Po drugiej stronie zatrzymali się mundurowi — tak wielu, że nie był w stanie ich policzyć. Ruszył w ich stronę, przeklinając w duchu pomysł sprzed kilku godzin, aby zaprosić tu Karola.

— O co chodzi?

Zwolnił zabezpieczenie, ale gdy policjant stojący najbliżej chciał wejść na oddział, zastąpił mu drogę.

— Zgłupieliście? — syknął. — To szpital psychiatryczny. Może jeszcze wjedziecie tu radiowozem?

Nie docenił ich. Z drugiego szeregu wyszło dwóch mężczyzn i kobieta w cywilnych ciuchach. Jednego z mężczyzn znał. Zaprosił go gestem, a potem objął ramieniem.

— Czego chcecie?

— Jest tu ktoś, kogo musimy zatrzymać. To poważna sprawa. Chodzi o zabójstwo.

Michał nie mógł im powiedzieć, że się spóźnili, i to o kilka godzin. Karol był już daleko stąd. Westchnął ciężko, po czym się odsunął.

— Wchodźcie. Tylko dyskretnie. Nie chcecie tu chyba awantur, co?

Korytarz oddziału był niemal pusty. Oprócz Michała i towarzyszącego mu Komara stały na nim jeszcze dwie pielęgniarki, a także Amelia Celmer. Policjanci skierowali się w jej stronę, ale zanim do niej doszli, z izolatki wyłoniła się Lucyna Woźniak-Lubecka. Wszystko rozegrało się

błyskawicznie. Funkcjonariusz wymruczał do niej kilka słów, a jego koleżanka zaszła ją od tyłu i wprawnym ruchem założyła jej kajdanki.

— O co chodzi?

— Jest pani zatrzymana. Proszę zachować spokój. Zaraz idziemy. Tylko panią obszukam.

Woźniak-Lubecka, kompletnie zaskoczona, poddała się czynności obszukania, ale zaraz potem oprzytomniała. Zamiast ruszyć za policjantką, tupnęła nogą.

— Co to ma znaczyć?!

Michał w dwóch skokach dopadł do pielęgniarek.

— Proszę pozamykać drzwi. Pani z lewej, a pani z prawej.

Pielęgniarki ruszyły z kopyta, a Michał zbliżył się do Amelii. Kobieta wyglądała na wstrząśniętą. W kącikach jej oczu — teraz już piwnych, a nie naturalnie zielonych — zbierały się łzy.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego założyliście mi kajdanki?! Mam chyba prawo...

— Pani Lucyno.

— Mam chyba prawo wiedzieć, co mi się zarzuca...

— Pani Lucyno.

— ...i jaki kretyn za tym stoi!

— PANI LUCYNO.

Wreszcie usłyszała. Obróciła się w kierunku Michała i napotkała jego wzrok, a także pełne łez spojrzenie Amelii. Wargi kobiety drżały, a dolna szczeka wysunęła się do przodu w zapowiedzi ataku epilepsji. Michał utwierdził się w przekonaniu, że jej liczne zaburzenia mają korzenie w jednej, ale za to poważnej chorobie.

Chorobie sieroczej.

— Niech pani tego nie przedłuża.

Lucyna Woźniak-Lubecka zrozumiała. Przestała się awanturować i ku zaskoczeniu swej policyjnej asysty dała się wyprowadzić z oddziału. Michał nie odprowadzał jej wzrokiem. Chciał znaleźć się jeszcze bliżej Amelii, lecz ubiegł go jeden z pacjentów.

— Proszę natychmiast wrócić do sali — rozkazała pielęgniarka, ale Michał gestem dłoni wyciszył dalsze potencjalne komunikaty. Nie wierzył w to, co widzi. Gburowaty Romanow dotknął ramienia Amelii, a potem wierzchem dłoni pogłaskał ją po policzku. Na jego zniszczonej twarzy malowała się dziwna łagodność. A Amelia...

Amelia nie zwracała na niego uwagi. Patrzyła przed siebie — na schody, po których przed chwilą schodziła Lucyna Woźniak-Lubecka, a jej popękane usta powtarzały wciąż to jedno jedyne słowo:

— Mamo. Mamo. Mamo.

Plac Politechniki od października do czerwca był pełen studentów, ale teraz — w trakcie wakacji — okupowały go jedynie gołębie. Michał rozejrzał się na wszystkie strony, po czym ruszył w kierunku przystanku. Zbigniew Komar czekał pod wiatą — tą samą, pod którą kilka godzin wcześniej Karol Woźniak pożegnał się z Celmerem i Lubeckim.

— Czy pan zwariował?

Zbigniew Komar trzymał w ręku bukiet róż, które chyba zamierzał mu wręczyć.

— Kupiłem je dla Amelii, ale potem przypomniałem sobie o obostrzeniach. — Zakłopotany przełożył kwiaty z ręki do ręki. — Dziękuję, doktorze. Nie ma pan pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

Uczył gest, jakby rzeczywiście chciał obdarować Michała bukietem, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie. Kwiaty wylądowały w koszu na śmieci. Przechodząca przez jezdnię staruszka obrzuciła ich spojrzeniem

pełnym dezaprobaty, ale gdy spojrzała na szpecącą twarz Komara bliźnię, powstrzymała się od komentarza i przyspieszyła kroku.

— Nie ma pan za co dziękować. To było jedyne rozsądne rozwiązanie, także dla Amelii.

Decyzją Michała Łukasz Komar miał pozostać na oddziale drugim, a Amelia została przeniesiona na jedynekę, gdzie trafiały bardziej problematyczne przypadki. Personel był tam liczniejszy, a zastosowany monitoring — znacznie nowocześniejszy. Sale jedynki mieściły się w drugim skrzydle. Jedyнным miejscem, gdzie mogli się teraz spotkać, był szpitalny ogród.

— Ucieszył się. Powiedział, że woli zrezygnować ze spacerów, niż przynosić się do Tworek. Ta nazwa stygmatyzuje.

Michał był zdania, że synalek Komara ma przed sobą znacznie poważniejsze problemy niż subiektywne poczucie stygmatyzacji, ale nie przyszedł tu po to, by rozmawiać o zdrowiu Łukasza, tylko o Amelii. Chciał poznać jej historię od chwili, gdy ją zobaczył. Gdy spojrzał w te zielone oczy, tak podobne do oczu jej starszej, troskliwej przyjaciółki. A gdy zobaczył ją w towarzystwie Romanowa, wyraźnie wzruszonego, z oczami pełnymi łez, to pragnienie stało się zawodowym obowiązkiem. Instynktownie wyczuł, że może im pomóc. Musiał tylko poznać prawdę.

A tak się składało, że miał kogo zapytać. Zbigniew Komar znał ich wszystkich. Lucynę, którą uwielbiał, Amelię, do której odnosił się z ciepłym współczuciem, oraz Romanowa, którego nienawidził.

— Panie Zbyszku, mam niewiele czasu. Przejdźmy się, może tam.

Przed budynkiem wydziału elektroniki rozciągał się niewielki park. Kilka drzew na krzyż. Michał znał bez mała każde z nich. W ciepłych miesiącach zawsze przychodził tu na drugie śniadanie. Teraz też wyjął drożdżówkę i przełamał ją na pół.

— Dzięki. Przez tę sytuację z Łukaszem zapominam o jedzeniu...

— On wyjdzie za miesiąc, a Szymon Romanow błąka się po szpitalach przez całe dorosłe życie. Zaczniemy od niego. Co pan mu zrobił?

Ulicą Nowowiejską przemknęła karetka. Na rondzie skręciła w Lwowską, płosząc gołębie. Komar czekał do momentu, w którym dźwięk syreny nie ranił już bębneków.

— Prawie go utopiłem. A chciałem mu tylko dać nauczkę.

Ojciec Zbigniewa Komara był dyrektorem Stacji Filtrów. Zbigniew, a raczej Zbyszek, spędził na tym zamkniętym terenie całe dzieciństwo. Znał wszystkie zakamarki, każdy ciemny kąt i każdą podziemną komnatę. Ojciec objaśnił mu rolę każdego mechanizmu. Był rozpieszczonym jedynakiem, który nie przywykł, by czegoś mu odmawiano. A Lucyna... Ona właśnie mu odmówiła.

— Mieszkała piętro wyżej. Kochałem się w niej na zabój, jeszcze w podstawówce. Gdy zacząłem naukę w liceum, ona już tam była. W czwartej klasie, maturalnej. Była gwiazdą, przynajmniej dla mnie. Nie umiałem przestać o niej myśleć, a gdy zdobyłem się wreszcie na odwagę i zaprosiłem ją do kina, zwyczajnie dała mi kosza. Niby zostaliśmy potem przyjaciółmi, ale miałem na jej punkcie niezdrową obsesję. Gdy zobaczyłem Lucynkę z tym żołnierzem, miałem ochotę dać mu w pysk. Oczywiście tego nie zrobiłem. Był ode mnie dwa razy większy.

Tym żołnierzem był Szymon Romanow, stacjonujący na warszawskich Filtrach. Do ich spotkań, które przerodziły się w randki, dochodziło właśnie tam, na terenie Stacji. Zbyszek napatrzył się wystarczająco, by zapalać do Romanowa nienawiścią. Świadomość, że obcy facet regularnie obściskuje się z dziewczyną jego marzeń, stała się dla chłopaka nie do zniesienia.

— Kiedy przestali się spotykać, triumfowałem. Ale Lucynka nie dzieliła ze mną tej radości. Wciąż nakrywałem ją na płaczu. Siadywała za krzakami



jałowca i szlochała, całymi godzinami. Był luty, a może jeszcze styczeń... Wszędzie leżał śnieg i było pioruńsko zimno, a ona siedziała i płakała. Oczywiście byłem przy niej, chciałem ją pocieszyć... No i pewnego dnia mi powiedziała, dlaczego tak płacze. Mnie pierwszemu.

Efektom jej krótkiego związku z Romanowem była ciąża. Lucyna chciała ją zachować w tajemnicy. Była egzaltowaną nastolatką, ale nawet egzaltowane nastolatki nie potrafią oszukać praw biologii. Wiosną zaczął rosnać jej brzuch. Maskowała go luźnym strojem, lecz stawało się to coraz trudniejsze. Tuż przed maturą poszła więc wreszcie do matki...

Pani Krystyna oczywiście najpierw na nią nakrzyczała, i to tak głośno, że słyszałem krzyki w swoim mieszkaniu, przez gruby strop. Potem chyba chciała namówić ją na skrobankę, ale... Sam nie wiem, może było za późno, może nie zgodził się na to jej religijny ojciec, a może sama Lucynka postawiła weto... W każdym razie nie przerwała tej ciąży. Zdała maturę i zniknęła. Jej matka rozpuściła plotkę o hipisowskim wyjeździe, podchwyciły ją koleżanki. O ciąży wiedziałem tylko ja i rodzice. Nie wiedział o niej nawet jej brat, Jarek, który przebywał wtedy na stypendium w Anglii. Ach, oczywiście był ktoś jeszcze.

O ciąży wiedział również Szymon Romanow. Nie chciał tego dziecka i twierdził, że się go wyprze. Zarzucił Lucynie rozwiązłość, a potem zagroził, że jeśli urodzi, to odbierze sobie życie. Słowem, zachował się jak nieodpowiedzialny gówniarz o zwichrowanej psychice. Pokazał swoje prawdziwe ja.

Po tym wszystkim nie chciała go znać. Natomiast ja... Przeciwnie, bardzo chciałem go poznać. Przez całe lato, gdy Lucyna była na tej swojej „hipisowskiej wycieczce”, a jej matka w tym swoim „sanatorium”, całe dnie spędzałem na Filtrach. Chodziłem za Romanowem krok w krok, zastanawiając się, jak się zemścić. Wtedy jeszcze w teorii, ale wszystko

zmieniło się we wrześniu, wraz z powrotem Lucyny. Była inna, bezpowrotnie inna. Doznana strata pozostawiła w jej duszy ranę, która miała krwawić, aż poznała Antoniego, swojego przyszłego męża...

— W jaki sposób się to odbyło?

Michał odezwał się po raz pierwszy od kilku minut. Nowowiejską znów przejechał pojazd na sygnale. Tym razem policja.

— W jaki sposób oddała dziecko do adopcji? Gdzieś na krańcach północnych, przy granicy z obecnym obwodem kaliningradzkim, był sierociniec, który pośredniczył w takich sprawach. Oczywiście dowiedziałem się tego po latach. Wtedy Lucynka wyznała mi tylko, że to była córeczka. Petra.

— Jak?

— Petra. To skrót od Petroneli. Dziwne imię, takie niedzisiejsze, ale z drugiej strony... Po co zawracać sobie głowę wyborem imienia dla dziecka, którego się nie chce.

— I Petra to Amelia?

— Zgadza się. Nie mam pojęcia, jak znalazła się w Londynie. Zagraniczne adopcje były chyba wówczas nielegalne. Ale wróćmy do mojej historii. Mojej i Romanowa.

Widok złamanej na duchu Lucyny podziałał na Zbyszka niczym katalizator tych wszystkich złych emocji. Poczuł, że jeśli nic nie zrobi, to zamkną go u czubków, ale wciąż nie mógł się odważyć, by wcielić w życie swój diabelski plan. Od czego są jednak koledzy...

— Alek Rajzer, mój kolega z ławki, był bardziej energiczny. A może po prostu miał mniejsze opory? Był trochę dziwny, później wyleciał ze szkoły i stoczył się na samo dno. Gdy spotkałem go przypadkiem kilka lat temu, wyglądał i zachowywał się jak menel. Dałem mu stówę i uciekłem, ale to teraz nieważne. — Komar zerknął na zegarek. — Wtedy to Alek pociągał

za sznurki. Wiedział o moim uczuciu do Lucynki, ale nie wiedział o jej ciąży. Sądził, że to po prostu zemsta na rywalu.

To właśnie Rajzer, spośród kilku — teoretycznych — wariantów zemsty wybrał ten z podtopieniem przy wykorzystaniu zbiornika pod Koszykową. I wcielił go w życie.

— Wiedziałem, że żołnierze tej jego jednostki pełnią służbę wartowniczą pod ziemią, przy kanale odprowadzającym ze zbiornika. Stawiali tam jakąś ściankę, przegrodę czy coś w tym stylu... Bo ten zbiornik został wyłączony z użycia, ale mniejsza o to. Nie pamiętam już, w jaki sposób, ale udało mi się wykraść grafik służb. Wybraliśmy z Alkiem noc, gdy służbę pełnił Romanow, i puściliśmy wodę.

Zainicjowanie spustu wody do podziemnego zbiornika wymagało umiejętności technicznych. Zbyszek nabył je przy ojcu, ale niemal do końca nie wierzył, że się uda. Gdy woda jednak popłynęła, poczuł wyrzuty sumienia. I strach. Paniczny strach. Chciał się zemścić, ale nie chciał zostać mordercą.

— Byłem dobry w teorii, ale brakowało mi doświadczenia praktycznego. Wiedziałem, jak dostać się do zbiornika, ale nie zdawałem sobie sprawy, że w środku panuje takie piekło. Płynął pan kiedyś kajakiem po górskiej rzece?

— Tak, spływałem Czarnym Dunajcem.

— To niech pan sobie wyobrazi taką rzekę, tyle że pięćdziesiąt razy szerszą, w podziemnej pieczarze. Na początku byliśmy bezpieczni, na takim... można powiedzieć, tarasie. Ale gdy usłyszeliśmy wrzask Romanowa, a musiał krzyczeć naprawdę głośno, bo zewsząd dobiegał szum wody... spanikowaliśmy. Alek rzucił się do wody, a ja za nim, by go ratować. Widzi pan, nawet teraz, po latach, gdy o tym opowiadam, trzęsą mi się łapska.

— Ale nie dostaje pan ataku paniki za każdym razem, gdy słyszy pan szum...

— Nie dostaję. Może to kwestia silniejszej psychiki, a może po prostu tamtej nocy miałem więcej szczęścia? Trudno powiedzieć, bo to, co zapamiętałem, było jednym wielkim koszmarem. Prąd wessał nas do kanału odprowadzającego, czyli do miejsca, gdzie wrzeszczał Romanow. My też zaczęliśmy wrzeszczeć, oczywiście tylko do momentu, w którym ust nie zalała nam woda. Było tam jak w ogromnej pralce. Wszystko kręciło się i wirowało, a wody wpływało coraz więcej. Aż w końcu obaliła tę prowizoryczną ściankę i popłynęliśmy w dół, wessani przez potężny wir.

Kilkusetmetrowa podróż kanałem burzowym — od Stacji Filtrów po CePeLek — zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Komarowi wydawało się, że trwa całe życie, podczas gdy w rzeczywistości było to najwyżej kilka minut.

— Na pewno mniej niż sześć, może siedem. Gdyby to trwało dłużej, wypłynęlibyśmy w charakterze trupów. Jednym problemem był niemal całkowity brak powietrza, a innym — prędkość i związane z nią obrażenia. Wszystko wokół dudniło tak, że miałem wrażenie, jakby przejeżdżał nade mną pociąg. Woda to najbardziej przerażający z żywiołów. Ciskała nami na wszystkie strony. Ja miałem szczęście, bo odbijałem się tylko od wypolerowanych cegieł, Alek jednak zaplątał się w jakieś cholerne żelastwo... O mało nie ucięło mu ręki. Nie wiem, jakim cudem, ale cały czas byliśmy razem, we trójkę. Kilka razy się zderzaliśmy, głównie ja z Romanowem. Był wielki i sprężysty niczym materac. Zbierał potworne cięgi, za siebie i za mnie. Ale kiedy rzuciło nas w tę odnogę, był w najlepszym stanie z nas wszystkich.

To, że wszyscy wylądowali w tym samym miejscu — wąskim na metr odgałęzieniu prowadzącym do studzienki kanalizacyjnej na Chałubińskiego

— zakrawało na cud. Prąd zelżał, a potem ustał zupełnie. Byli niczym rozbitkowie, których niegościnne morze wyrzuciło na przyjazny brzeg. Gdzieś ponad nimi znajdował się normalny świat. Jeździły samochody, przechodzili spóźnieni przechodnie... Aby się tam dostać, wystarczyło wdrapać się po klamrach. Ale to wcale nie było takie łatwe.

— Wszystko trwało te kilka minut, a ja czułem się tak, jakbym przebiegł maraton. Wróc, nie przebiegł, tylko przepłynął. Byłem wypompowany. Siły wystarczało mi tylko do tego, żeby się nie utopić w tym płytkim szlamie. Trzymałem nad nim głowę Aleksandra i razem z nim czekałem na... diabli wiedzą na co. Romanow był niczym cyborg. Przerzucił Alka na plecy i klamra po klamrze wspiął się na samą górę. A potem zostawił go i zszedł po mnie. Obaj płakaliśmy z wysiłku, ale się udało. Powietrze jeszcze nigdy nie smakowało tak słodko. Ja śmiałem się jak wariat, a on wciąż płakał. Z tego, co wiem, już nigdy nie odzyskał równowagi.

Karetki zabrały ich wszystkich do szpitala. Zbyszek czuł się dobrze, więc oddał krew, a potem wypisano go do domu. Tam czekał już na niego ojciec. Najpierw go uściskał, po czym uderzył. Nigdy więcej nie wracali do tego, co wydarzyło się tamtej nocy. Nawet wtedy, gdy — wiele lat później — żegnali się w centrum onkologii.

— Stracił przeze mnie stanowisko, ale mimo wszystko był chyba szczęśliwy. Wystarczało mu to, że udało mi się przeżyć. I że mnie nie zamknęli, bo jakimś cudem nikt nas wtedy nie zauważył. Milicjanci traktowali nas jak ofiary, a nie sprawców... Byli jeszcze głupszy niż my. — Komar westchnął, a potem podniósł się z ławki, na której usiedli, i odprowadził wzrokiem kolejne dwa radiowozy. — Coś się tam stało...

— Kiedy dowiedział się pan o Amelii?

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

— Zna pan powiedzenie, że stara miłość nie rdzewieje? — spytał

wreszcie Komar, wciąż patrząc w stronę placu Politechniki, a konkretnie wlotu ulicy Lwowskiej, w który skręciły radiowozy.

— Mieliście z panią Lucyną romans?

— Żeby to raz. Schodziliśmy się w przeszłości co najmniej trzykrotnie. Już nie przeszkadzało jej, że jestem młodszy. — Zaśmiał się ponuro, a potem mówił dalej: — Kiedyś, z piętnaście lat temu, wybraliśmy się na weekend na Suwalszczyznę. Wypiła za dużo szampana, a przynajmniej tak twierdziła. Pokazała mi szpital, w którym urodziła, i opowiedziała o domu dziecka, gdzieś na końcu świata. Wyznała, że jej córka została adoptowana przez rodzinę z Wielkiej Brytanii. Wybierała się tam, by ją odszukać. Najwyraźniej jej się to udało, bo kiedy spotkaliśmy się ponownie, tym razem jako przyjaciele, znała już jej nowe imię. Amelia. Ładniej niż Petronela, prawda?

— Kwestia gustu.

— Z czasem pokazała mi jej zdjęcie, a potem poznaliśmy się na koncercie. Musiałem obiecać, że nie zdradzę się, że wiem... Na tamtym etapie Amelia nie wiedziała jeszcze, że została adoptowana. Lucynka nie chciała fundować jej dodatkowych emocji, bo Amelka była... jest bardzo wrażliwa.

Michał pokiwał głową. Szaleństwo Romanowa ujawniło się w wyniku wypadku, ale tak naprawdę było w nim zawsze, ukryte pod powierzchnią. Amelia, która była jego córką, musiała odziedziczyć po nim niewłaściwe geny. Skłonności do zaburzeń psychicznych zapisane były bowiem w genotypie.

— Kiedy się dowiedziała?

— Nie mam pojęcia. Widzieliśmy się kilka tygodni temu, na kolacji, i wtedy... wtedy też traktowała Lucynkę jak przyjaciółkę. Dzisiaj po raz pierwszy byłem świadkiem, że zwróciła się do niej jak do mamy, chociaż...

Jeżeli nie wiedziała tego wcześniej, to musiała być ślepa i głucha. Przecież ich podobieństwo od razu rzuca się w oczy.

— Nie zdaje pan sobie sprawy, jak często ludzie bywają ślepi i głusi... Zwłaszcza wtedy, gdy jest to dla nich wygodne. Czy pani Lucyna utrzymywała kontakt z Romanowem?

Zbigniew Komar potarł się po bliźnie.

— Bardzo sporadycznie. Z całego serca jej to odradzałem. Wiem tylko o dwóch spotkaniach. Jednym w Legionowie, w domu pomocy społecznej... Zaraz obok miejsca, w którym kilka lat wcześniej dał mi po ryju. Podczas tego spotkania pokazała mu zdjęcie Amelii i wygląda na to, że dziś jakimś cudem ją rozpoznał. — Wzdrygnął się na wspomnienie jego zwalistej sylwetki pochylonej nad zrozpaczoną Amelią. Wyglądali na tym korytarzu niczym piękna i bestia. — Do ich drugiego spotkania doszło w takim ośrodku pod Warszawą.

— W Rasztowie?

— Chyba tak. Wtedy nie pogadali, bo Romanow był na lekach. Lucynka wysyłała mu czasem paczki.

— Z zagranicy?

— Pewnie tak. Przez ostatnie kilkanaście lat mieszkała z mężem dyplomatą w Anglii.

Michał odhaczył sobie w głowie kwestię tajemniczej paczki, która w tej chwili przestała być już tajemnicza.

— A pan? Czy po pobiciu próbował się pan kontaktować z Romanowem?

— Ależ skąd. Bałem się go, i chyba słusznie. Gdyby nie Amelia, dzisiaj znowu by się na mnie rzucił... Jakbym wiedział, że przebywa w klinice profesora Łapińskiego, to nigdy nie przywiózłbym tu Łukasza. Wybrałbym te cholerne Tworki.

Zerknął w stronę szpitala. Wzmianka o synu sprawiła, że znów zapragnął się z nim zobaczyć. Był dobrym ojcem — to nie ulegało wątpliwości. Michał liczył na to, że okaże się również dobrym człowiekiem.

— Czy w najbliższych tygodniach zgodziłby się pan wziąć udział w eksperymentalnej terapii Romanowa?

Komar przez chwilę się wahał, a potem powoli pokiwał głową. Historia karkołomnego spływu kanałami miała mieć ciąg dalszy. I chociaż nikt nie gwarantował szczęśliwego zakończenia, Michał mocno w nie wierzył. Schorowanemu Romanowowi zostało kilka, a może kilkanaście lat życia.

To od nich zależało, czy będą wolne od lęku.

Laura działała machinalnie. Pierwszą rozmowę przeprowadziła jeszcze z magazynu na szczycie kościelnej wieży, a następne — ze stromych schodów. Gdy uzyskała połączenie, gdzieś z boku rozległo się bicie dzwonu. W ciszy, która zapadała między kolejnymi uderzeniami, słyszała dźwięk mniejszych dzwonek, wewnątrz głowy.

— Marcel?! Halo!

Samo to, że zdecydowała się zadzwonić do Marcela, mówiło wiele o jej desperacji. Nie lubiła go, i chyba z wzajemnością. Na to wskazywał przynajmniej tembr jego głosu.

— Co tak wali?

— Nieważne. Mama została zatrzymana.

— Co? O czym ty mówisz?

Zwykle wyróżniał się bystrością, ale teraz bełkotał, jakby wyciągnęła go z łóżka. Być może tak było, bo po chwili w tle usłyszała odgłos lejącej się wody i parsknięcie. Ojczym najwyraźniej próbował się ocucić.

— Czy masz prawnika?

— Co? Tak, oczywiście.



— To do niego zadzwoń. — Laura wypowiadała kolejne słowa tak wyraźnie, jakby rozmawiała ze średnio rozgarniętym przedszkolakiem. — Mama jest przewożona do prokuratury okręgowej na Chocimskiej. Pewnie jest już na miejscu. Obaj adwokaci, z którymi się konsultowałam, twierdzą, że upoważnienie do obrony może podpisać osoba bliska. Jeśli twój prawnik nie będzie na miejscu, to możemy skorzystać z usług tych, do których dzwoniłam. Wtedy upoważnienie podpiszę ja.

Z drugiej strony znów dobiegł odgłos rozchłapywanej wody. Polewanie pomogło, a może Marcel przypomniał sobie, że jest zimnokrwistym dyplomatą... W każdym razie teraz jego głos brzmiał rzeczowo i spokojnie:

— Zostańmy przy moim prawniku, jest najlepszy. Powiedz, pod jakim zarzutem ją zatrzymali?

— Pod zarzutem zabójstwa babci Krystyny.

Marcel przyjął te słowa z pozornym spokojem.

— I to nie żart?

— Wygląda na to, że nie.

— Czy ktoś tam zwariował?

— Nie wiem. To chyba jest teraz najmniej istotne. Ściągniesz prawnika? Prokuratura okręgowa, ulica Chocimska...

— Zanotowałem. Będziesz na miejscu?

— Będę. Czy masz jak zawiadomić Karola?

— Karola? Ale on...

— Przecież nie mogą zatrzymywać do jednego przestępstwa dwóch różnych osób.

— Pod warunkiem że nie podejrzewają ich o współpracę — zauważył Marcel, a ona przyznała mu rację.

Nie było już nic do dodania. Laura powiedziała mu „do zobaczenia”, po czym przerwała rozmowę, by wezwać taksówkę. A potem pożegnała

księdza van Thissena, który chyba nie do końca orientował się w przyczynach jej wzburzenia.

— Szczęść Boże.

— Dziękuję... Bóg zapłać.

Podawała taksówkarzowi adres prokuratury, ale gdy jechali Wawelską, kazała mu skręcić w Raszyńską.

— Niech pan na mnie zaczeka — poprosiła, a potem zdjęła wysokie buty i pobiegła przez skwer Sue Ryder do kamienicy babci. Modliła się w duchu, by pan Emil był w domu, lecz jej modlitwy nie zostały wysłuchane. Uderzyła pięścią w zamknięte drzwi i posłała go do wszystkich diabłów. Nie miała do niego numeru, ale z tego, co wiedziała, i tak rzadko korzystał z komórki.

Jej klątwy musiały być głośne, bo po drugiej stronie korytarza skrzypnęły drzwi.

— Co się stało, kochanie?

Pani Sobecka, naczelną plotkara w kamienicy, miała na głowie ręcznik zwinięty w turban. W sercu Laury zlatliła się nadzieja. Sąsiadka wiedziała wszystko o wszystkich.

— Dokąd on poszedł?

— Pan Emil? — W jej głosie zabrzmiała źle maskowana niechęć. Złośliwi mówili, że po śmierci męża milicjanta zagieła na niego parol, ale nie dał się skusić. — Przed chwilą wybierał się na spacer do parku. Dogonisz go, zawsze wlecze się jak żółw.

Laura wybiegła przed dom i ruszyła alejką w stronę parku. Przebiegając pod oknem kawalerki pani Lewandowskiej, jeszcze raz odtworzyła sobie jej słowa wypowiedziane pod koniec ich rozmowy:

*To mogło być także otrucie.*

Babcia nie umarła od ciosu w głowę. Nie był to również wylew, bo

wtedy śledztwo, zamiast zataczać coraz większe kręgi, zostałyby umorzone od razu po sekcji zwłok. Hipoteza z trucizną była więcej niż prawdopodobna. Na jej trafność wskazywały także działania policji, w toku których zabezpieczono połowę wyposażenia kuchni, między innymi lodówkę z zawartością. W lodówce nie było jednak tego, na czym im zależało. Produktów żywnościowych.

W tym tortu, który Laura przywiozła babci w sobotę, na dzień przed śmiercią.

Tortu, który zrobiła jej matka.

Zatrzymanie matki wskazywało na to, że policja doszukała się związku śmierci babci z tym nieszczęsnym tortem. Widocznie znaleźli coś podczas sekcji, a raczej przeprowadzonych po niej badań toksykologicznych. Niedojedzony kawałek został w kuchni, na talerzyku. Czy w torcie rzeczywiście była trucizna? A jeśli tak, to kiedy ją tam umieszczono? To, zdaniem Laury, było w tej sprawie kluczowe.

Nie wierzyła, że trucicielką była matka. Miała swoje wady, a jej stosunki z babcią były więcej niż chłodne, ale przecież w jej żyłach płynęła ta sama krew, co w żyłach Laury. Nie, matka nie posunęłaby się do morderstwa. A więc trucizna pojawiła się później? Tylko kiedy? Już wtedy, gdy tort był u babci?

Laura pokiwała głową, ale po chwili spłynęły na nią wątpliwości. Przecież to był tort niespodzianka. Nikt o nim nie wiedział. Przyniosła go późnym wieczorem, więc truciciel musiałby mieć nadprzyrodzone siły, by w tak krótkim czasie dowiedzieć się o istnieniu tortu, przygotować śmiertelnośną substancję, po czym zaaplikować ją i zatrzeć ślady. Nie, to było niemożliwe, a zatem...

Jeśli tort rzeczywiście był zatruty, to do zatrucia musiało dojść wcześniej. Czy doszło? Laura miała pomysł, jak to obalić. To w tym celu ze

wszystkich prawników świata najbardziej potrzebny był jej właśnie pan Emil.

Znalazła go na samotnej ławce, w cieniu rozłożystego jaworu. Wachlował się gazetą, a jego dłoń manipulowała przy guzikach spranej koszuli, w okolicach serca.

— Panie Emilu, czy wszystko w porządku?

Staruszek uniósł drugą dłoń. Pierwszą wciąż masował serce. Był blady, a na czole połyskiwały mu krople potu.

— Chwilowa niedyspozycja.

Ostatnio taka chwilowa niedyspozycja zakończyła się wizytą na OIOM-ie, ale tym razem wystarczyła nitrogliceryna. Pan Emil poruszył językiem, upewniając się, że tabletki jest na miejscu, a potem odetchnął głęboko i wytarł chustką czoło.

— To przez ten upał, ale już mi lepiej. Nie miej tak przerażonej miny. Słowo starego prawnika. Jest dobrze.

Laura wyjęła mu z dłoni zwiniętą gazetę i — podobnie jak on przed chwilą — użyła jej jak wachlarza.

— Panie Emilu... Czy jadł pan tort mojej mamy?

Zaniosła mu dwa kawałki na osobistą prośbę babci. Otworzył jej wtedy w szlafroku i długo dziękował. Teraz miał taki wyraz twarzy, jakby nie wiedział, o czym mówi, ale Laura instynktownie wyczuła, że nie należy go poganiać. Miał sprawny, uporządkowany umysł, tylko potrzebował więcej czasu, by otworzyć właściwą przegródkę.

— Oczywiście, moja droga. Był doskonały. Czy wspominałem już, że taki widok — piękna kobieta przynosząca słodkości — rozgrzeje serce każdego mężczyzny?

Dokładnie takich słów użył tamtego wieczoru, ale znów udała, że mile ją to łechce. A potem zrobiła przeproszącą minę.

— Pan wybaczy, że pytam wprost... Czy miał pan po tym torcie jakieś kłopoty z żołądkiem?

Chrząknął i na chwilę spuścił wzrok. Laura zdała sobie sprawę, że w tak zaawansowanym wieku kłopoty z żołądkiem nie były czymś niezwykłym.

— Czy pan się nim zatruł?

— Ależ skąd! Był wyborny. Raz jeszcze dziękuję.

— Nie pochorował się pan?

Staruszek uderzył się pięścią w zapadłą klatkę piersiową.

— Nic mi po nim nie było. Naprawdę. Za jednym posiedzeniem zjadłem oba kawałki. Był tak delikatny... Czemu o to pytasz?

Być może to, co mówił, nie było do końca prawdą, ale jeśli tort byłby zatruty, to na pewno spotkałoby go coś więcej niż zwykła niestrawność. Posłała mu uśmiech — blady, bo wciąż nie doszła do siebie po informacji o zatrzymaniu matki.

— Jest pan absolutnie pewien?

— Już mówiłem...

— A zezna pan to w sądzie?

Bładoniebieskie oczy zapłonęły ciekawością.

— Oczywiście, moja droga. Zawsze należy mówić prawdę, a przed sądem... szczególnie. A mógłbym spytać...

Przeprosiła go, bo zadzwoniła jej komórka. Sądziła, że to Marcel albo dyspozytor firmy taksówkarskiej chcący spytać, czy zamierza realizować rozpoczęty kurs. Ale to był ktoś inny.

Kolejny starszy pan.

— Tak, panie Kazimierzu? Czy coś się stało?

Rozmówca miał zupełnie inny głos niż zazwyczaj.

— Miałem telefon od kolegi, który wyświadczał mi przysługę. Na pani prośbę.

— Mówi pan o...

— Lepiej bez nazwisk. Ten człowiek, który panią interesował... on nie żyje.

Laura przyjęła to bez większych emocji. Nie zamierzała płakać po bandziorze, który był zamieszany w śmierć jej dziadka. I dręczył koty. Nawet jeśli w odległej młodości służył do mszy.

— Kiedy umarł?

Następne słowa sprawiły, że zerwała się z ławki.

— Dzisiaj. O trzynastej dwadzieścia.

Zegarek Laury wskazywał czternastą dziesiątą. Informator pana Kazimierza działał błyskawicznie. Od chwili śmierci Alfreda Warszawskiego — alias Wojciecha Orłowskiego, bo takie nazwisko przyjął po wyjściu z więzienia — minęła niecała godzina. Równie szokujące, co sama śmierć, okazało się miejsce, w której do niej doszło. Warszawski zmarł po wypadnięciu z okna kamienicy na warszawskim Śródmieściu. Kamienicy przy Lwowskiej 8a. Laura znała ten adres.

To była kamienica babci.

Taksówkarz nie spytał, dlaczego jest aż tak niezdecydowana. Znów skręcił, tym razem na wysokości dawnego kina Moskwa. Laura spontanicznie uznała, że powinna tam pojechać. Warszawski był istotnym elementem układanki. I chociaż z jego charakterystyki przekazanej wczoraj przez pana Kazimierza wynikało, że prędzej posłużyłby się lewarkiem do zmiany kół, nie można było wykluczyć, że znał też bardziej wyrafinowane formy przemocy. Na przykład truciznę.

Pan Emil siedział obok niej. Jeśli był skołowany, to tego nie okazywał. Informację, że matka została zatrzymana pod zarzutem zabójstwa przyjął ze

sceptycznym uśmiechem — spoważniał dopiero wtedy, gdy Laura wspomniała o prawniku swojego ojczyma.

— Chciałbym, żebyś wiedziała, że ja również jestem do dyspozycji. Dawnymi czasy specjalizowałem się właśnie w prawie karnym.

Nie powiedziała mu, że od tego czasu zmienił się kodeks karny. Sądziła, że — paradoksalnie — okaże się najskuteczniejszym z prawników. Mógł wygrać tę sprawę, wypowiadając do protokołu tylko jedno zdanie: *Jadłem ten tort i nic mi nie było.*

Z zamyślenia wyrwał ją głos taksówkarza:

— Dalej nie pojedę.

Zapłaciła mu za kurs, a także za przedłużony postój, a potem wysiadła, tuż przed policyjną blokadą. Pan Emil, jak na dżentelmena przystało, ujął ją pod rękę i — torując drogę — przeprowadził przez rzadniejący tłumek gapiów. Teren wciąż był ogrodzony, ale ciało zostało już zabrane. Na płytach chodnika pozostał jedynie działający na wyobraźnię obrys.

— Czy to ktoś znajomy?

— To Alfred Warszawski.

Wypowiedziała personalia zmarłego, nie spuszczać wzroku z pobrużdżonej twarzy. Ale oblicze pana Emila nawet nie drgnęło. Nazwisko człowieka, którego skazano za zabójstwo dziadka Laury, a przy okazji również jego sąsiada, nic mu nie mówiło. Westchnęła rozczarowana. W tamtych czasach nie był jeszcze pełnomocnikiem jej rodziny, ale i tak liczyła na coś więcej.

— Bardzo mi przykro — powiedział na wszelki wypadek. — Zechciej przyjąć...

— Ja go nie znałam — przerwała mu Laura. — Wiem jedynie, że był kryminalistą. Działał na Suwalszczyźnie, głównie w branży usług seksualnych.

W oczach pana Emila pojawiło się wahanie.

— Nazywał się Warszawski?

— Tak... Do pewnego momentu. Po wyjściu z więzienia zmienił nazwisko. Odtąd nazywał się Orłowski.

Pan Emil odwrócił głowę, ale zanim to zrobił, Laura dostrzegła na jego twarzy wyraz głębokiego zaskoczenia. Nie bawiła się w subtelne gierki. Złapała go za koszulę, a gdy chciał się wyślizgnąć, mocno nim potrząsnęła.

— Panie Emilu, to nie jest czas na zasłanianie się tajemnicą adwokacką.

Jej nerwowa reakcja wynikała z poczucia bezradności. Wiedziała, że pan Emil jest prawnikiem o żelaznych zasadach, który mógłby pisać książki o etyce zawodowej. Spodziewała się, że uraczy ją jakąś idiotyczną formułką, zapewne po łacinie, a gdy zacznie drażnić, poprzestanie na enigmatycznym uśmiechu. Tymczasem pan Emil postanowił ją zaskoczyć.

— Słyszałem to nazwisko z ust pani Krystyny. Mówiła o nim to, co ty. Twierdziła, że to stręczyciel. To nie była porada prawna, tylko prywatna rozmowa. Pytała, czy znam kogoś, kto mógłby ściągnąć dla niej jego dane. Z baz policyjnych. Oczywiście jej to odradzałem. To byłoby podżeganie. Forma zjawiskowa przestępstwa.

Laura miała nadzieję, że jego aparat słuchowy nie był aż tak czuły, by umożliwić mu podsłuchanie jej rozmowy z panem Kazimierzem. Nie chciała, by uznał ją za zjawiskową podżegaczkę.

— Kiedy to było?

— Wiosną. Zapamiętałem tę rozmowę, bo odbywała się w dość szczególnych okolicznościach. Rozmawialiśmy w progu, zachowując niezbędny dystans, a z głębi mieszkania słychać było szloch tej młodej damy.

— Olki? A dlaczego płakała?

Odpowiedź, w zestawieniu z treścią ich rozmowy przez próg, była



oczywista, ale pan Emil był dżentelmenem starej daty, więc przez chwilę się krygował.

— Być może ten pan załazł tej pani za skórę... Podobno pochodziła z tamtych stron. Być może się znali...

Laura od dawna miała swoją teorię, według której Arbaszewska była nawróconą kobietą w szkarłacie, ale w tej chwili nie zamierzała jej rozwijać. Jej uwagę przykuła głowa policjanta wychylającego się z okna na ostatnim piętrze.

— Musiał wypaść stamtąd...

Pan Emil zadarł głowę i przez dłuższą chwilę szukał okna, o którym mówiła. W końcu udało mu się je zlokalizować.

— To okno hostelu — stwierdził, przeliczywszy kolejne otwory. — Pokoju numer sześć, trzyosobowego.

Ta uwaga uzmysłowiła Laurze, że ma obok siebie człowieka, który realizował interesy babci także tu, w kamienicy, przy najmie hostelu. I to całkiem niedawno, bo babcia pozbyła się pomieszczeń hostelu najwyżej trzy lata temu. Z takiej okazji trudno było nie skorzystać.

— Czy zna pan może jeszcze kogoś z personelu?

— Z personelu tego przybytku? Nie, skąd. — Wzruszył ramionami, ale zanim Laura zdążyła poczuć rozczarowanie, odezwał się ponownie: — Znam dawną agentkę, a obecnie właścicielkę, panią Myćko. To ta pani z papierosem. Przedstawić cię?

Pani Myćko stała po drugiej stronie ulicy i nawet z tej odległości sprawiała wrażenie skrajnie zdenerwowanej. Laura zdziwiłaby się, gdyby było inaczej. Gdy podeszła bliżej, obok smrodu fajek wyczuła coś jeszcze. Woń waleriany. Zagadnięta przez niższego o pół głowy pana Emila powiedziała to, co zapewne powtarzała wcześniej policjantom:

— Ja nic nie wiem. Nie znam ich.

— Kogo pani nie zna? — spytała szybko Laura.

— Ich. Tego, tutaj. — Wskazała na kredowy obrys zwłok. — I tej jego flamy.

Zaciągnęła się papierosem. Laura domyśliła się, że pod pojęciem „flama” kryje się kobieta. Zapewne kochanka, bo w innym przypadku po co wynajmowałiby wspólny pokój?

— Gdzie jest ta flama?

Pani Myćko popatrzyła na Laurę w taki sposób, jakby ta urwała się z choinki.

— A skąd mam wiedzieć? — warknęła. — Przecież nie będę jej gonić.

— Gonić? — zdziwiła się Laura.

— No tak. Gdy ten biedak wypadł z okna... ona uciekła.

Miłość własna Karola osiągała zwykle wartości poza skalą, ocierając się o samouwielbienie, ale akurat teraz nie był z siebie zadowolony. Kopnął ze złością kamyk, a potem jeszcze raz podszedł do cerbera w umundurowaniu ochroniarza.

— Wpuść mnie, człowieku. Tam jest moja matka.

— Proszę się odsunąć. Mówiłem już panu...

Karol odszedł, nie czekając na dalszy ciąg. Wiedział, że i tak nic nie wskóra, ale do działania pchały go wyrzuty sumienia. Gdy do drzwi jego ojca zapukała policja, był pewien, że zostanie zatrzymany. Ale policjantom nie chodziło o niego, tylko o jego matkę. Trafili tam po cyfrowym śladzie zostawionym przez jej komórkę i nie chcieli uwierzyć, że tylko mu jej użyczyła. W przypiływie bezmyślności poinformował ich, że matka jest w szpitalu. Narzekał na jej zbyt długi język, a tymczasem okazało się, że największą papłą w rodzinie jest on sam.

Naturalnie próbował natychmiast skontaktować się z Marcelem, ale

ojczym, jak na miłośnika napojów wysokowych przystało, spał tak twardo, że nie usłyszał dzwonka. Podobnie rzecz się miała z Dominikiem Celmerem. Karol chciał dzwonić dalej po rodzinie, ale przez dłuższy czas było to niemożliwe. Musiał zająć się ojcem, który na wieść o planowanym zatrzymaniu swej byłej małżonki wpadł w taki szal, że trzeba go było przytrzymać — w przeciwnym wypadku popędziłby za policjantami i narobił sobie kłopotów. Uspokajanie ojca trwało ponad pół godziny i nie przynosiło efektów. Na szczęście jego zapał skończył się w momencie, w którym Karol odebrał telefon od Marcela. Na dźwięk imienia swojej nemezis ojciec oklapł na tyle, że Karolowi udało się wmusić w niego relanium, po którym zasnął.

W przeciwieństwie do ojca Marcel ani myślał spać. Już nie. Sprawiał wrażenie skrajnie pobudzonego — zarówno wtedy, gdy oddzwonił, jak i teraz. Zbliżał się od strony parkingu w towarzystwie jakiegoś przedziwnego typu o bokobrodach Mickiewicza i sylwetce, która kojarzyła się z gruszką.

— Mecenas Popławski — warknął Marcel w stronę Karola, nie zwalniając kroku.

Powtórzył tę oszczędną prezentację przy drzwiach wejściowych. Ochroniarz natychmiast się odsunął, gotów wpuścić do budynku nie tylko prawnika, ale także jego świtę w osobie Marcela. Ale mecenas przytrzymał swojego mocodawcę i stanowczo zakomunikował mu, że jego obecność jest niepożądana. Marcel odprowadził go wzrokiem, po czym podszedł do Karola i wyjął z kieszeni marynarki najprawdziwsze cygaro.

— Cholerni prawnicy — mruknął, obmacując pozostałe kieszenie, prawdopodobnie w poszukiwaniu zapalniczki. — Popławski jest najlepszy. Tylko powiedz mi, Karolku... O co tu, do cholery, chodzi?

Karol nie wiedział, jak odpowiedzieć, ale okazało się, że pytanie jest

retoryczne. Marcel zawsze dużo mówił. Teraz także musiał się wygadać.

— Laura twierdzi, że chodzi o zabójstwo waszej babci. Zgoda, matka jej nie kochała, co to, to nie. Były w naszym życiu momenty, gdy wyrażała się o niej... powiedzmy, że niepochlebnie. Ale zabójstwo?! Na Boga, gdy to się stało, siedzieliśmy u Hanki. Czteryście kilometrów stąd. Dalej byli tylko Jarek z Moniką, na tych cholernych pracach sezonowych...

Karolowi nie do końca podobała się ta licytacja na odległości. Wypadał w niej kiepsko, bo w dniu, kiedy zginęła babcia, przejeżdżał przez Ochotę w drodze do MSZ. Musiał jednak przyznać, że działania organów ścigania nie trzymały się kupy. Jak można było zabić na odległość? Chyba tylko przesyłając paczkę z bombą. Albo zatruty list.

— Kiedy wyjechaliście do Hanki? W sobotę, na dzień przed zabójstwem?

— Jeszcze wcześniej. W piątek wieczorem. — Marcel, coraz bardziej poirytowany, klasnął w dłonie. — Podobno zgarnęli ją ze szpitala. Mam nadzieję, że nie doszło do tego na oczach Amelii. — Kwestia Amelii z pewnością wymagała wyjaśnienia, ale Karol postanowił zacząć od drugiej strony. W decyzji pomogły mu następane słowa ojczyma: — Lucynka to jedyna osoba, jaką znam, która nie popełniła w życiu żadnego łajdactwa.

Opinia była kontrowersyjna, zwłaszcza jeśli wzięło się pod uwagę jej dawny, dość swobodny stosunek do wierności małżeńskiej. Ale Karol cofnął się jeszcze dalej w przeszłość.

— Nawet wtedy, gdy była nastolatką?

Spojrzenie, którym obdarzył go Marcel, było osobliwe. Dominowało w nim zdziwienie.

— A co, naszło cię na wspominki? Teraz? To nie jest najszcześniejszy moment.

— Każdy moment jest dobry, żeby usłyszeć prawdę. — Te słowa były

nieco pompatyczne, ale ciąg dalszy już nie: — Marcel, dlaczego przez tyle lat tego nie wiedzieliśmy?!

— Czego?

Karol zaczerpnął powietrza. Myśl, że matka właśnie składa zeznania mogące zdecydować o jej dalszych losach, podziałała na niego — o dziwo — uspokajająco. Rozluźnił pięść.

— Dobrze wiesz czego — burknął, odwracając się plecami.

Marcel nie podszedł do niego od razu, a nawet wtedy, gdy to zrobił, w jego ruchach, postawie i spojrzeniu wyczuwało się wahanie.

— Kto ci o tym powiedział? Ojciec?

— W pewnym sensie. Mówił o aborcji, ale dodałem dwa do dwóch i wyszło mi, że żadna aborcja nie trwa cztery miesiące...

— Matka nie chciała, żebyś wiedział.

— Ale dlaczego? Jestem, do cholery, jej pierworodnym synem!

— Pewnie właśnie dlatego. Masz w sobie choć trochę empatii? Potrafisz domyślić się, co czuła?

— Kiedy?! — Złość wróciła. Karol znów miał ochotę dać komuś w zęby.

— Przez te wszystkie lata, gdy ukrywała prawdę, czy może wtedy, gdy to robiła?

Marcel chwycił go za ramiona. Też był zły. W przestrzeni między nimi latały iskry.

— Miała dziewiętnaście lat. Jaki ty byłeś w tym wieku? Dojrzały i stabilny?

— Nigdy nie oddałbym dziecka.

Marcel popatrzył na niego z ledwo hamowanym rozdrażnieniem.

— Taki jesteś pewny? — spytał, bezskutecznie siląc się na sarkazm. Słowa zabrzmiały jak wyzwanie. — Zapewniam cię, że Lucynka też nie chciała jej oddawać.

— Jej, czyli Petroneli?

— Nie wybrała nawet imienia. Nawet tę decyzję podjęła za nią Krystyna. Lucynka nie miała nic do powiedzenia...

— Dlaczego? Przecież dziecko było jej!

— Sama była jeszcze dzieckiem. Dopiero co zdała maturę, a wiesz, jaka była twoja babcia... Autokratyczna. I jednocześnie bardzo wrażliwa na to, co powiedzą ludzie.

— To chyba nie powód, żeby oddawać dziecko! I to komu?! Ludziom...  
— urwał, bo zabrakło mu słów. — Hej, puszczaj! Co ty wyprawiasz?!

Marcel chwycił go za ramię i pociągnął w stronę placu Unii Lubelskiej.

— Za bardzo się wydzierasz. A nie chcę denerwować matki. Gdyby wiedziała...

— Nie zamierzam niczego ukrywać. Nie jestem taki jak babcia.

Znowu urwał. Nie chciał wyrażać się źle o zmarłej babci, ale Marcel miał słuszość. Babcia Krysia lubiła zachowywać pozory. Czy to w sprawie rozpustnego męża, czy jego młodzieńczych wybryków, które ukrywała przed sąsiadami, czy też w kwestii rodzinnych korzeni, które nie były aż tak szlachetne, jak twierdziła. Czy w sprawie tej przedwczesnej ciąży też chodziło o pozory? Jeśli tak, to niechęć matki, ta niechęć, którą zawsze potępiał i której się dziwił, była uzasadniona.

— Twoja matka była w tej sprawie raczej ofiarą niż tą, która zawiniła — stwierdził Marcel.

Karol widział to jednak inaczej:

— Jedyłą ofiarą w tej sprawie jest Petronelka. Czemu oddaliście ją w takie miejsce? Do ludzi, którzy handlowali żywym towarem?

Marcel uniósł obie ręce.

— Hola, hola. Nie rozpędzaj się tak. Ja nikogo nie oddawałem. Nie miałem z tym głównem nic wspólnego. Wiesz w ogóle, jak to wyglądało?

Karol pokręcił głową.

— Tylko w zarysie. W Internecie jest tekst o peerelowskich adopcjach. O podziemiu aborcyjnym... tfu, chciałem powiedzieć adopcyjnym. O tym, że dziecko można było kupić za garść dolarów.

— Wcale nie za garść i wcale nie było to tak powszechne, ale w jednym masz rację. Ten ośrodek w Lipianach był miejscem, gdzie o taką nielegalną adopcję było najłatwiej. Byłeś na cmentarzu, prawda?

— Byłem. I słyszałem, że gdy ekshumowano szczątki tych dzieci, by je złożyć w nowych grobach, nie doliczono się kości.

— Bo ich nie było — spuentował Marcel takim tonem, jakby mówił o pogodzie, a nie o procederze, w którym chciwi psychopaci oddawali powierzone im dzieci obcym ludziom, a potem fingowali ich śmierć. — Właśnie w ten sposób swą nową rodzinę znalazła Petronelka...

— Mówmy na nią Amelka. Czemu przybrani rodzice zmienili jej imię?

— Nie oni, tylko urząd stanu cywilnego, który wystawiał fałszywe akty urodzenia. Usługa nie zawierała możliwości wyboru imienia. Nadawał je urzędnik. W akcie urodzenia Amelii widnieją jej przybrani rodzice, naturalizowani Brytyjczycy. — Marcel urwał, patrząc na Karola z nieskrywaną ciekawością. — Skąd wiesz o Amelii? Chyba nie od niej, co?

Karol dotknął okolic oczu.

— Nad ranem po raz pierwszy zobaczyłem ją bez soczewek. Matka skakała wokół niej jak wokół... No właśnie, własnego dziecka. Skojarzyłem fakty. Od dawna o sobie wiedzą?

Marcel zapalił wreszcie swoje cygaro. Obracał je w palcach tak długo, że teraz było wygięte.

— Kiedy poznałem się z mamą? — spytał pozornie bez związku, a potem wypuścił z płuc chmurę gryzącego dymu.

— Bo ja wiem? Dwanaście lat temu?

— Trzyście. W dwa tysiące ósmym. Mama przyjechała do Londynu. Jak ci się wydaje, po co?

— Do Amelii?

— Nie знаła jeszcze jej nowego imienia. Szukała swojej Petronelki. Wiedziała tylko, że adoptowano ją za granicą...

— Skąd?

Marcel sapnął ze zniecierpliwieniem.

— Ale drążysz... Wiedziała od Hanki. Zgadała się z nią w Gremzdach, gdy Hanka była jeszcze pokojówką. Widzisz, Hanka też dorastała w tym sierocińcu. Wiedziała, co i jak.

Karol zaklął pod nosem. Przecież doskonale wiedział, że Hanka jest sierotą. Miał to jak na talerzu, ale nie powiązał faktów.

— Pamiętała Petronelkę?

— Nie. Ale wiedziała, że większość dziewczynek akurat w tamtym okresie trafiała do Wielkiej Brytanii. A chłopcy, skoro już przy tym jesteśmy, do Skandynawii.

— I mama przyjechała do Londynu zupełnie w ciemno? — przerwał z niedowierzaniem Karol.

— Była zdesperowana. — Marcel zaciągnął się cygarem. — Ale miała niezły plan. Widzisz, sprawy stanu cywilnego na terenie Wielkiej Brytanii realizowała ambasada, a konkretnie — pewien urzędnik w wydziale konsularnym. — Skłonił się z fałszywym uśmiechem. — Tym urzędnikiem byłem ja. Lucynka dotarła do mnie i... Reszta jest historią.

Karol utwierdził się w przekonaniu, że ten związek frazeologiczny zdecydowanie lepiej brzmi po angielsku.

— W jaki sposób udało ci się odnaleźć Amelię? Mówiłeś, że tych adopcji było więcej.



— Było ich cholernie dużo, ale twoja matka była genialna. Podała mi daty z nagrobka. Urodzenia i śmierci. Zrobiłem kwerendę dokumentów właśnie pod kątem tych dwóch dat, z tym że ta druga nie była datą śmierci, tylko zaświadczenia, które wystawiała ambasada. Daty nie zgadzały się rzecz jasna co do dnia, ale udało mi się zawęzić wyniki wyszukiwania do trzech kobiet. No i poszło już z górki.

— Kolor oczu?

— Raczej ogólne podobieństwo. Amelia już wtedy nosiła soczewki. Nie wiedzieć czemu nie lubiła naturalnego koloru.

— Zespół Quasimodo.

— Słucham?

— Nieważne. — Karol miał czas, by to sobie przemyśleć. W naturalnym wydaniu oczy Amelii, podobnie jak jego i Laury, miały bardzo oryginalną barwę. To nie była zwykła zieleń. Była wręcz jadowita. Przybrani rodzice Amelii mieli zapewne mniej charakterystyczne oczy. Dlatego tak bardzo nie lubiła swoich. I dlatego ukrywała prawdziwy kolor za piwnymi soczewkami. Czują, być może tylko podświadomie, że coś jest nie tak. — No i co? Kim była wtedy moja przyrodnia siostra?

Marcel potrzebował chwili, by zrozumieć, że Karol pyta o Amelię.

— Kończyła studia historyczne. Twoja mama tak bardzo chciała ją poznać, że wymyśliłem konkurs, oczywiście pod egidą ambasady.

— Konkurs piękności?

— Nie, cwaniaczku. Konkurs na pracę o cichociemnych dla brytyjskich studentów. Oczywiście nie miała dużej konkurencji. Zorganizowaliśmy bankiet z wręczeniem nagrody i właśnie wtedy się poznali. Amelka, twoja mama... No i Dominik. Nie muszę chyba mówić, jak to się dalej potoczyło.

Gdy Amelia i Dominik Celmer zostali małżeństwem, mama uzyskała w zasadzie nieograniczony dostęp do córki. Jej nowy mąż i mąż Amelii byli

przecież — mimo kilkunastoletniej różnicy wieku — najbliższymi przyjaciółmi.

— Kiedy mama powiedziała Amelii o tym, że jest jej matką?

— Chciałeś powiedzieć: o tym, że ją oddała do sierocińca? — Marcel westchnął i przyłożył do ust resztkę cygara. Dmuchał dymem niczym parowóz. — No właśnie, to nie było takie proste. I to nie tylko ze względu na matkę. Owszem, wstydziła się, ale pewnie szybko by się przemogła, tyle że Amelia... Widziałeś, jaka potrafi być...

— Nadwrażliwa?

— To mało powiedziane. Adoptowane dzieci miewają w życiu trudniej, a ona na dodatek odziedziczyła złe geny. Jej biologiczny ojciec, który nie chciał o niej słyszeć, przez całe życie borykał się z problemami... Poważnymi problemami psychicznymi. Lucyna nawet wysyłała mu paczki na adres szpitala, w którym leżał, ale... nieważne.

— Paczki facetowi, który ją zgwałcił?!

— Nie zgwałcił, ale... nieważne. Wróćmy do Amelii. Nie była gotowa na taką wiadomość. To by ją zabiło. Dlatego przez wszystkie te lata spotykały się jak przyjaciółki, a nie matka z córką. Tak było nawet lepiej.

— Naprawdę nigdy się nie domyśliła?

Marcel cisnął niedopałek cygara do śmietnika. Nie trafił, ale zaraz pospieszył z dobitką.

— Miałem wrażenie, i to od lat... że się domyśla. I chyba tak wolała. By pozostało to w sferze domysłów. Jest trochę... No wiesz. Ekscentryczna.

Pod tym eufemizmem Marcel chciał przekazać, że psychika Amelii nie zawsze wytrzymywała zderzenie ze światem, ale to Karol akurat wiedział. Znał ją nie od dziś i uczestniczył w części jej rozmowy z lekarzem z Nowowiejskiej.

— Czyli oficjalnie nie mogę powiedzieć do niej: siostrzyczko?

— Sam już nie wiem. Układ był idealny, ale tylko do momentu, w którym nie wtrąciła się twoja babcia. Matka organizowała przyjęcie, pod koniec maja. Nie sądziła, że pojawi się na nim Krystyna. Przecież całymi miesiącami chowała się w domu przed covidem... Ale okazało się, że nabrała odwagi, przyszła i... zobaczyła je razem. Twoją mamę i Amelię. No i zwariowała.

— W jakim sensie?

— Bo widzisz, ona miała na punkcie tej utraconej wnuczki kompletnego świra. I to od bardzo dawna.

Karol ucieszył się, że jego ukochana babcia nie była aż takim potworem, za jakiego od kilkunastu minut ją uważał. Owszem, zmusiła córkę, by pozbyła się dziecka, ale szybko zaczęła tego żałować. Kiedy zdecydowała się wreszcie na podróż do Lipian, powiedziano jej tam, że przybyła zbyt późno, a potem pokazano jej dziecięcy grób, jeszcze na starym, nieuporządkowanym cmentarzu. Śmierć Petronelki była dla babci szokiem. Przez całe lata funkcjonowała w głębokiej depresji. Wykupiła nawet dla wnuczki symboliczny grób na Powązkach, który odwiedzała przynajmniej raz w tygodniu.

— Aż tak często?

— Kompletnie jej odbiło... Choć to nie jest chyba właściwe słowo. Była załamana, także dlatego, że w efekcie swej okrutnej decyzji straciła nie tylko wnuczkę, ale i córkę. Pielęgnowała grób na Powązkach, a w każdą rocznicę urodzin dziecka odwiedzała Lipiany. Kiedyś dostała tam nawet zawału...

— Pamiętam — przerwał Karol, bo w tej chwili bardziej interesowały go czasy współczesne. — Babcia domyśliła się, że Amelia to Petronela, tak? To dlatego czaiła się pod mieszkaniem mamy, na przystanku. Chciała na nią popatrzeć?

— Diabli wiedzą, czego chciała. Mama obawiała się, że babci chodzi o przebaczenie, o pojednanie... Jak zwał, tak zwał. W wyniku tego ruchu Amelia stanęłaby przed faktem dokonanym. Dowiedziałyby się o adopcji i musiałyby się z nią zmierzyć. Mgliste domysły ustąpiłyby miejsca żelaznej pewności. Matka tego nie chciała...

— I dlatego cały czas podróżowaliście?

— Tak jest. To miał być długi, leniwy urlop, a matka tylko odliczała dni. Marzyła, by się skończył.

Karol pokiwał głową, starając się ukryć targające nim emocje. Ta myśl spadła na niego niczym jastrząb na gołębia. A co, jeśli matka, kierując się dobrem Amelii, postanowiła rozwiązać problem z niestabilną babcią w sposób... definitywny?

— Czemu po prostu nie kazała babci milczeć?

Lubecki rozłożył ręce.

— Bo to nic by nie dało. Babcia była już w tym niebezpiecznym wieku, gdy obsesje triumfują nad zdrowym rozsądkiem. Widzisz, to trwało od lat. Babcia też słyszała o nielegalnych adopcjach. Pracowała w oświacie, a tam ten temat z pewnością się przewijał. W końcu chodziło o dzieci. Jednego dnia składała kwiaty na symbolicznym grobie Petronelki, a następnego jej szukała.

— Poszukiwanie osób zaginionych.

— Co?

Karol nie odpowiedział. Pietrzyk być może był słupem, ale nazwa jego firmy nie była przypadkowa. Mocodawca Pietrzyka, ten tajemniczy, groźny bandzior, przed którym ostrzegął go pośrednik z Otwocka, Wiśniewski czy jak mu tam... Prawdopodobnie chciał naciągnąć babcię w związku z jej obsesją. Obiecał, że znajdzie Petronelkę. I w zamian miał dostać połowę majątku.

— Hej, co z tobą? Zawiesiłeś się? To było jej największe marzenie. Odnaleźć wnuczkę. Przekonać się, że jest żywa. Samo zapewnienie matki wcale by jej nie wystarczyło...

— Czekał.

Ale Marcel był zbyt nakręcony, by zamilknąć.

— Ta wariatka... twoja szanowna babcia, osaczyłaby Amelię i wyciągnęła z jej strefy komfortu. Skończyłoby się tym, że dziewczyna dostałaby ataku, i to znacznie cięższego niż ten wczorajszy...

— Zamknij się. Na chwilę.

— Dlaczego?!

— Bo to dziwne.

Karol znał swoją babcie zbyt dobrze, by posądzać ją o aż taką naiwność. Babcia przeżyła na tym świecie wystarczająco wiele lat, by wiedzieć, że tam, gdzie w grę wchodziły duże pieniądze, nie można było ufać nieznanym. Połowa majątku to sporo, nawet jeśli majątek ten został aż tak uszczuplony. Przecież nie zapisałaby mu połowy oszczędności w zamian za samą obietnicę. Obietnicę znalezienia wnuczki. A co, jeśli...

Jeśli już tę wnuczkę znalazła?

— Babcia na początku czerwca odwiedziła Lipiany. Na początku czerwca. Czyli nie w rocznicę urodzin. Była też w dwóch innych miejscach. A wcześniej... wcześniej sprawdzała w bazie PESEL dane dotyczące pewnej osoby...

— Co ty bredzisz? Hej, dokąd mnie ciągniesz?

— Olka Arbaszewska urodziła się tego samego roku, co Amelia.

— A co ona ma wspólnego...

— Wszystko. To fałszywa wnuczka, rozumiesz?!

— Nie. — Marcel uniósł oczy ku niebu, ale się nie opierał. — I nie rozumiem, dokąd mnie ciągniesz.

— Do tramwaju. Ktoś musi nam odpowiedzieć na kilka niewygodnych pytań.

Ostatecznie nie pojechali tramwajem, tylko taksówką. Marcel jakimś cudem powstrzymał się od ciągłego zadawania pytań. Wysłuchał Karola do samego końca.

— Co o niej wiemy? — spytał, zmuszając pasierba, by ten zaczął od nowa.

— Arbaszewska urodziła się w osiemdziesiątym czwartym roku i pierwsze lata życia spędziła w sierocińcu, a potem wróciła do biologicznych rodziców. Tak było, ale w jej wypadku bez trudu można by forsować tezę o adopcji. To jest w tej chwili nie do sprawdzenia, a przynajmniej nie z poziomu mieszkania w Warszawie i staruszki, która chowa się w nim przed covidem...

— Czyli co? Twierdzisz, że Arbaszewska przyszła do Krystyny, zrobiła pranie, dała jej obiad, a potem powiedziała: hej, babciu, jestem twoją wnusią?

— A wiesz, że ona czasem, w luźnej rozmowie, mówiła o niej per babcia?

— No tak, ale posłuchaj, jak to brzmi: dzień dobry, jestem twoją wnusią... Kto w to uwierzy?

— Mogła to zrobić subtelniej, ale wcale nie musiała. Jeśli babcia rzeczywiście miała obsesję...

Marcel otworzył usta, lecz po chwili je zamknął. W obliczu babcinej obsesji jego argumenty traciły rację bytu. Postanowił zacząć z drugiej strony:

— No a gdzie w tym wszystkim jest Jarek?

To było właśnie sedno problemu. I powód, dla którego jechali właśnie na

Ochotę.

— On ją wyszukał. Może działali wspólnie, chcąc wyłudzić od babci pieniądze? A może też został wykorzystany? Może ten, kto pociągał za sznurki, uznał, że działając przez wujka, zyska na wiarygodności?

Marcel, o dziwo, nie zgłaszał obiekcji. Karol odniósł nawet wrażenie, że skłania się bardziej ku tej pierwszej opcji, stawiającej wujka w niekorzystnym świetle. Zaakceptowanie dwuznacznej roli przyjaciela przyszło mu zaskakująco łatwo.

— Znam go od trzydziestu kilku lat i widzę, że ostatnio naprawdę nie jest sobą. Kładłem to na karb problemów z płynnością finansową, tych cholernych truskawek, Bóg wie czego jeszcze... Zawsze był człowiekiem zdystansowanym, takim typowym Anglikiem, ale ostatnio... Ta jego determinacja była typowo słowiańska.

— Wiedział o ciąży i o dziecku?

— Oczywiście. Gdy to się stało, przebywał co prawda w Oksfordzie, ale Lucynka nie ukrywała przed nim tego, co się stało. Ostatecznie był jej bratem.

— A czy wiedział o Amelii?

Lubecki potrząsnął głową.

— O tym poza nią wiedziałem tylko ja. Sama Amelia pewnie się domyślała, być może domyślał się tego również Dominik Celmer, ale... nie jestem pewien.

— A więc wujek nie wiedział... Szkoda.

— Czemu?

— Bo to oczyściłoby go z podejrzeń. Przecież nie szedłby na numer z fałszywą wnuczką, gdyby wiedział, że prawdziwa jest o krok i w każdej chwili może się ujawnić, choćby i niechcący. A tak przy okazji: przelałeś mu tę kasę?

— Nie zdążyłem. Zawsze może sprzedać samochód.

— Tego starego mercedesa?

— Nie. Hondę Laury. Miał nią wrócić, pamiętasz? Twierdził, że wyruszy zaraz po nas, ale może zamiast do domu pojechał na giełdę...

— Bardzo śmieszne — prychnął Karol. — Giełdy samochodowe nie funkcjonują od jakichś piętnastu lat. A co do wujka...

— Zostawmy na razie wujka. Nie rozumiem, jak babcia mogła być aż tak ślepa. Obsesja obsesją, ale żeby uwierzyć tak na słowo...

Karol nachylił się w jego stronę. Nie chciał, żeby to, co powie, dotarło do uszu taksówkarza.

— Babcia przekupiła policjantkę. Zamówiła u niej dane ze służbowych baz. Dane Oli i jej rodziców. Te dane może i nie stawiały Arbaszewskiej w najlepszym świetle, ale były tam historyczne adresy zameldowania, w tym adres sierocińca, rok urodzenia... tożsamy z rokiem urodzenia Petronelki... Ktoś, kto to zaplanował, odrobił lekcję. Wystarczyło wymyślić tylko ckliwą historię o trudnym dzieciństwie, problemach z prawem i cudownym odnalezieniu ukochanej babuni...

— Jeśli tak, to w tej historii musiał być również element, który wymuszał zachowanie tajemnicy, nawet przed Lucynką. Bo Krystyna nie zdradziła się nawet słowem.

— Ograniczać mogła ją wyłącznie wyobraźnia. Mogło to być cokolwiek, choćby i żal do wyrodnej matki...

— No dobrze... Ale w takim razie dlaczego babcia nie podniosła alarmu po tym, jak zobaczyła Amelię?

To było dobre pytanie. Ale Karol miał na nie jeszcze lepszą odpowiedź.

— W pewnym sensie podniosła. Dzwoniła do mnie, by umówić się na spotkanie. Wspomniała coś o zmianie testamentu.

— Ale co dokładnie?



— To miało charakter bardziej hasłowy. Zgodziliśmy się, że to nie jest rozmowa na telefon. W innych okolicznościach byłbym bardziej dociekliwy, ale akurat kłóciłem się z Sabiną, mój synek miał gorączkę... Machnąłem ręką. Skąd miałem wiedzieć, że umrze. — Taksówka skręciła w Grójecką i zatrzymała się na światłach. Karol poczuł, jak w żołądku formuje mu się tłusta gruda. Zawsze lubił wujka Jarka. Konfrontacja, którą mieli odbyć, wypełniała jego serce przerażeniem. — Poza tym czy miała stuprocentową pewność, że tą jej zaginioną wnuczką jest Amelia? Podobieństwo fizyczne to nie wszystko. Na roku miałem takiego kumpla, Wieśka Janasa. Żadna rodzina, a przecież wszyscy nas mylili.

— Do czasu, aż nie wyłysiał. — Wiesiek Janas, po ukończeniu stosunków międzynarodowych załapał się do MSZ i aktualnie przebywał na placówce w Singapurze, gdzie rzeczywiście zaczął masowo tracić włosy. — Krystyna zapytała o Amelię twoją mamę. Oczywiście Lucynka kazała jej się pukać w czoło. Słyszałem fragment tej rozmowy, twoja mama była naprawdę przekonująca.

— Umiała być przekonująca. Mnie powiedziała, że Petronelka nie była jej dzieckiem, tylko dzieckiem babci Krysi, a ja jej uwierzyłem...

— No widzisz. Przez tyle lat ukrywała prawdę, że doszła w tym do perfekcji. Świetna ściema. W obliczu obsesji babci Krysi bardzo wiarygodna.

Taksówka ruszyła i zjechała na prawy pas. Od celu podróży dzielił ich ostatni zakręt. Marcel sięgnął po portfel, by zapłacić za kurs. Gdy wyjmował banknoty, Karola olśniło.

— Babcia wykupiła dane z policji... A mimo to pojechała na Suwalszczyznę, by odwiedzić miejsca, w których żyła Arbaszewska. Jej centrum życiowe. Tę podróż odbyła w czerwcu, a więc już po tym, jak zobaczyła Amelię. Wszystko wskazuje więc na to, że nawet jeśli nie miała

stuprocentowej pewności co do Amelii, to na pewno straciła zaufanie do Arbaszewskiej. Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? — Zaczekał, aż Marcel odliczy stosowną kwotę, powiększoną o napiwek. — Dlaczego z miejsca jej się nie pozbyła? Dlaczego nie wywaliła jej na zbity pysk?

Marcel nie odpowiedział. Wysiadł z taksówki i stanął na przystanku, zupełnie jakby czekał na autobus. Karol jeszcze nigdy nie oglądał go w takim stanie. Jego ojczym, stary wyjadacz dyplomacji, sprawiał wrażenie skrajnie onieśmiałego.

— Do dupy, co? — zagadnął.

— Do dupy — zgodził się Karol. Też nie miał ochoty tam iść, ale wiedział, że nie może się wycofać. Był to winny babci. — Jak chcesz, to pójdę sam.

— Nie, daj spokój. Siedzimy w tym obaj, i to po same uszy.

Przeszli przez odpychającą bramę. Naprzeciwko wejścia do klatki stała honda Laury. Marcel, który w panującym w Gremzdach zamieszaniu nie zauważył rys na lakierze, teraz zrobił ruch, jakby chciał się im przyjrzeć z bliska, lecz ostatecznie odpuścił. Spojrzał w górę, jakby spodziewał się, że w jednym z okien ujrzy przyjaciela, ale jedynym przejawem życia były liczne gołębie okupujące parapety.

— Które to okno?

— To otwarte, na drugim piętrze — odparł Karol, odwracając się w kierunku śmietnika. Na leżącym obok barłogu dostrzegł znajomą parę bezdomnych, Aleksandra Rajzera i panią Czesławę. — Koszmarne miejsce, nie?

— Tylko nie mów tego przy ciotce — ostrzegł Marcel, jakby to miało teraz jakieś znaczenie.

Drzwi do klatki były otwarte. Prześlizgnęli się obok typa ze złamanym

nosem i powoli — z każdym schodkiem wolniej — wspięli się na drugie piętro. Wciskając dzwonek, Karol czuł, jak trzęsie mu się ręka. Zza drzwi dobiegł głośny, przenikliwy dźwięk. Raz, a potem drugi.

— Wystarczy. Umarłego byś obudził — zauważył Lubecki, przestępując z nogi na nogę.

Mimo pewności, którą zawarł w głosie, nie doczekali się żadnej reakcji. Karol zadzwonił ponownie, także dwa razy, a potem — gdy nikt nie otworzył — zabębnił w drzwi pięściami.

— Nikogo nie ma.

— Czekaaj, młody.

Marcel nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się bezszelestnie, odsłaniając szafkę z licznikami i fragment popękanej ze starości wykładziny.

— Jareczku!

Karol miał wrażenie, że za drzwiami coś się poruszyło. Wszedł do środka i z mikroskopijnego przedpokoju, który przechodził następnie w odrobinę tylko większą kuchnię, zobaczył prawie całe wnętrze kawalerki. Szesnaście metrów kwadratowych... a raczej jakieś trzynaście, bo z miejsca, w którym stał, nie było widać łazienki. Za dźwięk odpowiadał gołąb, który siedział w otwartym oknie i klaskał skrzydłami. Na widok zbliżającego się Karola odleciał, zostawiając po sobie wirujące w powietrzu piórko.

— Nikogo nie ma. — Marcel, który wszedł do środka za Karolem, podniósł z kuchennego blatu otwartą puszkę taniego piwa i uniósł brwi. — Zobacz, jakie zimne. Jeszcze nie zdążyło się ogrzać.

Karol nie zdążył się o tym przekonać. Z łazienki dobiegł przeraźliwy rumor, jakby przewróciło się tam coś ciężkiego. A potem zapadła cisza.

— Hej!

Karol pierwszy złapał za klamkę. Drzwi były zamknięte na haczyk, który puścił dopiero pod wpływem trzeciego mocnego szarpnięcia. Karol

przestąpił próg i zrobiło mu się słabo. Podłoga i ściany — wszystko obryzgane było czerwoną posoką.

— Jezu. Wujku.

Leżący w brodziku wujek Jarek był półnagi. W omdlałych palcach wciąż trzymał nóż. Podcinając sobie żyły, musiał trafić na tętnicę. Krew strzykała w rytm szybkich uderzeń jego serca — na ścianę, na pralkę, na Karola...

— Jezu. Pogotowie.

Widząc, że Marcel stoi jak skamieniały, wyciągnął komórkę matki, którą wciąż miał przy sobie, po czym drżącymi palcami usiłował wybrać sto dwanaście. A krew tryskała i tryskała.

Wujek Jarek miał przymknięte oczy, ale nagle je otworzył. Na poblądłej twarzy wyglądały na zbyt duże i jarzyły się niczym światła latarni morskiej.

— Karolku...

Karol, nie wiedząc, jak ma zareagować, pogłaskał go po włosach.

— Siedź... Leż, wujku — wymamrotał, nie umiejąc sklasyfikować pozycji, którą mężczyzna przyjął na dnie brodzika.

Z obrzydzeniem zobaczył, że zakrwawiona ręka wędruje ku jego kolanom. Zmusił się, by na nią nie patrzeć. Chrapliwy szept kojarzył się z wołaniem z za grobu.

— Karolku...

— Już, już, wujku. Już dzwonię.

— Nie dzwoń, tylko...

Wujek przewrócił oczami. Było oczywiste, że za moment zemdleje. Jego ostatnie słowa zabrzmiały jednak wyjątkowo donośnie. Włożył w nie wszystkie siły. I całe serce.

— RATUJ CIOCIĘ.

Pan Emil, wyposażony w pisemne upoważnienie do obrony, pojechał na

Chocimską, do prokuratury. Laura wiedziała, że Marcel zjawił się tam wcześniej ze swoim prawnikiem. Nie miała pojęcia, czy zatrzymanego mogli reprezentować dwaj obrońcy, ale ufała, że starszy będzie wiedział, co robić. Przecież praktykował prawo od ponad półwiecza. Zakładała, że przez ten czas zdążył poznać wszystkie triki i nieczyste chwyt.

Laura nie zamierzała jechać do prokuratury wyłącznie po to, by sterczeć pod budynkiem. Gdy tylko za panem Emilem zamknęły się drzwi taksówki, niezwłocznie zamówiła kolejną. Tłumek gapiów na Lwowskiej zredukował się do niewielkiej grupki. Jeszcze raz podeszła do stojącej na uboczu pani Myćko.

— Jak wyglądała ta kobieta?

— Jaka kobieta? — Właścicielka hostelu miała zaczerwienione oczy. Ktoś mniej zorientowany mógłby pomyśleć, że oplakuje klienta, ale Laura kręciła się w pobliżu wystarczająco długo, by zrozumieć, że jej laments dotyczą utraconych zysków. — Czy pani zdaje sobie sprawę, że wyłączą mi z użytkowania połowę biznesu? To zawsze tak wygląda. Najpierw zbierają ślady, potem zabezpieczają dowody, a na koniec przychodzi kontrola z sanepidu. Albo Państwowej Inspekcji Pracy.

— Chodzi mi o tę panią, która uciekła zaraz po wypadku.

Pani Myćko uniosła brwi, ale po chwili załapała. Wcześniej, opisując ją, użyła określenia „flama”. Teraz nazwała ją babeczką.

— Bo ja wiem, jak wyglądała? Normalnie. Ani młoda, ani stara. Przyszła tuż przed tym wypadkiem. Musiała być zdenerwowana, bo na schodach zgubiła pantofel.

— Jak Kopciuszek? — spytała odruchowo Laura, po czym, nie czekając na odpowiedź, obróciła się na pięcie i odeszła.

Uwaga o Kopciuszku była nie na miejscu. Wiele wskazywało na to, że

kobieta była zabójczynią, bo przecież dorośli faceci sami z siebie nie wypadają przez okna. A przynajmniej nie tacy jak Alfred Warszawski.

Taksówka czekała na nią przy placu Politechniki. Podała kierowcy adres na Starej Ochocie, po czym przesunęła wzrokiem po fasadzie Szpitala Nowowiejskiego. Gzyms na drugim piętrze wydał jej się karkołomnie wąski, ale wysokość, na której się znajdował, nie robiła na niej wrażenia. Wciąż miała w pamięci przestrzeń oglądaną z perspektywy wieży kościoła Świętego Jakuba. Z magazynu, w którym znajdował się sztandar świętego Dyzmy wraz z zaskakującym nazwiskiem fundatora.

Sztandar ufundowała wkrótce po śmierci dziadka Monika Kalinowska. Ciocia Monika. Było to tym bardziej zaskakujące, że podczas rozmowy, którą Laura przeprowadziła z nią przy Zieleniaku pod Halami Banacha, ciocia twierdziła, że fundatorem był dziadek Julian. Zapomniała, jak było naprawdę? Jeśli tak, to musiała mieć wyjątkowo dziurawą pamięć.

— Dziękuję bardzo.

Zapłaciła taksówkarzowi, a potem ruszyła Baśniową w kierunku biblioteki. Na podjeździe minęła się z młodym mężczyzną w okularach.

— Nic z tego — poinformował, wsiadając na rower. — Mają dziś remanent.

Na drzwiach znajdowała się kartka z tajemniczym napisem SKONTRO. Laura wklepała go w wyszukiwarce i odkryła, że pod tą egzotyczną nazwą rzeczywiście kryje się zwykły remanent biblioteczny. Placówka była niedostępna dla czytelników, ale przecież nie przyszła tu, by wypożyczyć książkę. Bez większej wiary pchnęła klamkę, lecz ku jej zaskoczeniu drzwi ustąpiły. Droga do wnętrza stała otworem.

Biblioteka po kolejnych cięciach borykała się z brakami kadrowymi. W głównej sali, w której urzędowała zazwyczaj ciocia Monika, nie było żywego ducha. Nikt też nie odpowiedział na jej głośne „dzień dobry”

spomiędzy regałów. Ktoś przygasił światło i wśród półek było niemal tak ciemno, jak późnym wieczorem.

— Halo! Czy ktoś tu jest?

Przeszła przez salę czytelników, a potem — bez cienia wahania — pchnęła drzwi do magazynu. Osoby postronne mogły tam wchodzić jedynie w towarzystwie bibliotekarza, ale Laura czuła się w tych wnętrzach niemal tak swobodnie, jak we własnym domu. W dawnych czasach spędzała tu mnóstwo czasu, i to nie tylko na obcowaniu z literaturą. Kiedy jako nastolatka mieszkała z ojcem, wpadała tu czasami na obiad. W tamtym okresie wszyscy myśleli tylko o sobie — ciotka była jedyną osobą z całej rodziny, która kontrolowała, czy niczego jej nie brakuje, czy ma co jeść i w co się ubrać.

— Ciociu. To ja!

Z najodleglejszego krańca magazynu dobiegały osobliwe dźwięki. Coś jakby chrząkanie. Skierowała się w tamtą stronę, tracąc znaczną część wcześniejszej pewności. W powietrzu unosiło się coś dziwnego. Niemal namacalne napięcie. I ten zapach. Zamiast starymi książkami pachniało tu potem.

— Ciociu, jesteś tu? Ojej!

Z półki po przeciwnej stronie regału spadła na podłogę opaska książka. Dźwięk, z jakim uderzyła o stare deski, nie był głośny, ale Laura i tak podskoczyła. Brakowało jej dziennego światła. To sztuczne było rozmyte, jakby mdłe, prawdopodobnie z powodu wiszących w powietrzu drobin kurzu. Pociągnęła nosem i obok potu wyczuła coś jeszcze. Ulotną woń strachu.

— O Boże.

Ciotka Monika leżała na podłodze, twarzą w dół. Widoczny spod włosów fragment policzka mienił się krwawymi zaciekami, a leżące nieopodal jej

głowy okulary były rozbite. Ciotka usiłowała chyba coś powiedzieć, ale z jej gardła dobywał się jedynie charkot. Laura instynktownie opadła na kolana.

Gdy zauważyła zagrożenie, było już za późno.

Oczy Aleksandry Arbaszewskiej płonęły szaleństwem. Wydała z siebie zwierzęcy ryk i rzuciła się na Laurę niczym głodna pantera na tłustą małą. Z regału spadły kolejne książki. Laura wylądowała na woluminie o wymiarach encyklopedii, po czym użyła go jak tarczy, zasłaniając się przed długimi paznokciami. Chciała krzyknąć, ale nie zdołała wydobyć z siebie nawet najcichszego jęku. Za gardło złapał ją szok, a po sekundzie także przerażenie. Opiekunka babci wyglądała jak psychopatka, z mętlikiem w głowie i krwią na rękach.

— Popierdolona rodzinka — wydyszała, po czym wystrzeliła do przodu z energią pioruna.

Tym razem Laura nie miała tyle szczęścia. Zamiast na miękkie papier natrafiła na solidne drewno regału. Odbiła się od półki i na moment straciła oddech. Arbaszewska wdrapała się na nią i usiadła jej na klatce piersiowej, blokując rękami nadgarstki.

— Ty kurwo!

Laura poczuła na twarzy pacynkę śliny, a w ściśniętych płucach zapłonął ogień paniki. Wyteżyła siły i udało jej się uwolnić rękę. Krzywiąc się z bólu, złapała Arbaszewską za twarz. Policzki pod jej palcami były tłuste od spływającego makijażu i wilgotne. Od potu, ale i od łez.

— Puszczaj! — wydyszała, szukając oczu.

Na kursie samoobrony uczono ją, że są najwrażliwszym punktem na ciele napastnika. Oczy i jądra. Jądra. Napastnik z kursu samoobrony zawsze był mężczyzną, a tymczasem... Życie pisało również inne scenariusze.

Arbaszewska jęknęła z bólu, ale udało jej się uwolnić głowę. Laura



wykrzesła z siebie resztkę sił, a potem wierzgnęła nogami, zrzucając napastniczkę na podłogę. Ciężar na piersi nagle zelżał. Powietrze miało świeży, słodki smak. Laura klęknęła na jedno kolano i uniosła nad głowę jakąś ciężką książkę w sztywnej oprawie, która w kontakcie z twarzą Arbaszewskiej wydała tępy dźwięk, budzący skojarzenie z odgłosem rąbania drewna.

— Wypierdalaj!

Laura zaklęła po raz pierwszy od dobrych kilku lat i to przekleństwo dodało jej energii. Palnęła Arbaszewską drugi raz i szykowałą się do uderzenia numer trzy. Nie miała żadnych wątpliwości. Wystarczyło jedno spojrzenie, by się upewnić, że Olka zwariowała. Na usta wystąpiła jej piana, a duże zęby kłapały, jakby chciały gryźć. A potem, zupełnie niespodziewanie, twarz opiekunki rozciągnęła się w makabrycznym uśmiechu.

— Zabiję was... wszystkich.

Przerażenie dodało Laurze sił. Nie chciała skończyć jak Warszawski. Miała przed sobą długie i ciekawe życie. Huknęła Arbaszewską w twarz ciężkim tomiszczem i poczuła, że z jej przeciwniczki wycieka wola walki. Olka potoczyła się po podłodze, z trudem łapiąc powietrze. Pod szczytową ścianą regału leżała jej torebka.

— Zostaw!

Arbaszewska nie posłuchała wezwania. Przedmiot, który wyciągnęła, skojarzył się Laurze z inhalatorem. Gdy spostrzegła swoją pomyłkę, było już za późno. W kierunku jej twarzy pomknęła chmura gryzącego gazu.

— Ach!

Ból, który zaatakował jej oczy, nos i krtań, był potworny. Runęła na ziemię kompletnie bezbronna i podciągnęła kolana pod brodę. Arbaszewska była tylko rozmytym cieniem. Cień stał się wielki, tak wielki, że wypełnił

całe pole widzenia, a potem niespodziewanie skurczył się i... zniknął. Dopiero po chwili do Laury dotarło, że bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło. Walcząc z bólem i ogarniającymi ją mdłościami, poczołgała się w kierunku, w którym — jak się jej zdawało — powinna leżeć ciocia.

To była długa podróż, krętą i wyboistą drogą, ale w końcu się udało. Dłonie wymacały kaszmirowy sweter i gorącą, wręcz rozpaloną skórę.

— Ciociu, możesz mówić? Ciociu...

Ciotka Monika poruszyła się i jęknęła. Laura otarła łzy. Łzy niemal natychmiast napłynęły ponownie, ale zdążyła przyswoić sobie pojedynczy kadr. To, co ujrzała, wcale jej się nie spodobało. Ciotka miała zmasakrowane usta, a twarz białą niczym prześcieradło.

— Gdzie ona jest? — wydyszała Laura.

W odpowiedzi można było wyczuć cysternę bólu:

— Uciekła.

— Jesteś pewna?

— Tak. Jestem.

Laura bardzo chciała przeżyć. Teraz, gdy szanse na to, że dożyje wieczoru, stały się bez porównania większe, wybuchła nerwowym śmiechem, który jednak urwał się tak nagle, jak się zaczął.

— Myślałam, że to już koniec.

— Ja też. — Słowa ciotki zabrzmiały jakby melancholijnie. — Ja też.

Laura, walcząc z piekącymi łzami, manipulowała palcami przy telefonie. Nie mogła się zorientować, gdzie przód, a gdzie tył.

— Jesteś cała, ciociu?

— Tak. Jestem.

— Zadzwońię po pomoc.

— Ale ja nie potrzebuję...

— Myślałam o policji. Niech ją złapią, bo kompletnie oszalała. Zabiła

Warszawskiego. — Znów zachichotała. Jej układ nerwowy co rusz się buntował. — Tego, który dręczył koty. Wiem, to nie jest śmieszne, ale...

— To nie Ola zabiła Warszawskiego.

Laura poczuła, że znów zaczyna się bać. Głos cioci Moniki był jakiś inny. Znacznie chłodniejszy niż zazwyczaj.

— Co? — wybełkotała.

— To, co słyszysz. To nie ona go zabiła. To ja.

Laura zaniemówiła, ale gdy była już bliska uwierzenia, że jakimś cudem znalazła się wewnątrz czyjś koszmarne snu, nagle spłynęło na nią olśnienie.

— Zabiłaś go, bo on... zabił babcię?

Wysłuchiwała odpowiedzi. A potem ją zatkało.

To było takie surrealistyczne. I... takie ohydne.

Twarz wujka Jarka przybrała barwę alabastru, a rysujące się na niej cierpienie wyblakło. Apel, by ratować ciotkę, wyczerpał jego nadwątlone siły — zaległ na dnie brodzika, a tryskająca z podciętych tętnic krew utworzyła wokół jego ciała wciąż powiększającą się kałużę. To były najdłuższe minuty w życiu Karola. Pochylał się nad ciałem wujka, walcząc z narastającymi zawrotami głowy. Lepkie od krwi dłonie uciskały kolejne miejsca, bezskutecznie walcząc z tym, co nieuniknione.

Nie wiedział, w jaki sposób powstrzymać krwawienie. Gdy krwawa mgła osiadła mu na twarzy, obrócił się w kierunku toalety i zwymiotował, a potem odszukał wzrokiem Marcela. Jego ojczym wciąż ścisnął telefon, kucając pod ścianą i starając się nie patrzeć na rozgrywającą się tragedię. Nie było tu z niego żadnego pożytku.

— Wyjdź przed klatkę i zaczekaj na karetkę.

Polecenie Karola zabrzmiało mało władczo, ale Lubecki zastosował się

do niego bez szemrania. Westchnienie, które wydał, przepełnione było bezbrzeżną ulgą. Karol odchrząknął, pozbywając się z gardła tłustej kluchy, która zmieniła jego głos w szept dotkniętego chorobą krtani starca. Znów spróbował znaleźć właściwe miejsce i tym razem trafił. Pod wpływem nacisku jego palców rzeka wyciekającej krwi zmieniła się w strumyk.

— Wujku, wytrzymaj — zaklinał, ale jego słowa trafiały w próżnię.

Twarz wuja pozostawała nieruchoma. Budziła skojarzenie z maską pośmiertną.

Walka z ciekącą krwią nie trwała więcej niż dziesięć minut, ale wysssała z Karola wszystkie siły. Odgłos otwieranych drzwi był najpiękniejszym dźwiękiem w jego życiu. Ktoś odsunął go od nieruchomego ciała, a ktoś inny zacisnął na przedramieniu wujka gumowy wężyk. Karol usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. Przez chwilę miał wrażenie, że zmęczony umysł splatał mu psikusa, ale widziadło nie chciało ustąpić.

— Ty... tutaj?

— Niestety. — W głosie Basi było tyle znużenia, że można by nim obdzielić kilku maratończyków. — Nie mam ostatnio szczęścia do dyżurów. I zawsze na końcu trafiam na ciebie. To chyba fatum.

Karol nie miał ani ochoty, ani siły na rozważania natury egzystencjalnej. Siedząc pod ścianą, patrzył tępych wzrokiem na rozgrywające się przed nim sceny. Na akcję ratunkową policjantów, a potem działania przybyłych na miejsce zdarzenia ratowników medycznych. W kakofonii dźwięków udało mu się wyodrębnić pełne pretensji zdanie jednego z ratowników, który pouczył policjanta, żeby ten już nigdy nie zakładał na zranioną kończynę żadnych wężyków. A potem jeszcze jedno zdanie. To, na które czekał:

— Odratujemy go.

Wciąż cały we krwi zdecydował, że musi natychmiast opuścić to przerażające miejsce. Wszyscy byli tak zaaferowani, że jego wyjście

pozostało niezauważone. Tak przynajmniej sądził — aż do momentu, gdy na chodniku obok niego wyrosła jak spod ziemi Basia.

— Zaczekaj. Nie możesz nigdzie iść.

— Jestem zatrzymany?

— Nie. Jesteś w szoku. Uważaj!

Zobaczył nadjeżdżający samochód i skulił się w sobie. Uderzenie nie nastąpiło. Rozległ się dźwięk piszczących gum, a sekundę później ryk klaksonu.

— Teraz widzisz, o czym mówię? — Baśka wzięła go pod rękę i sprowadziła z powrotem na chodnik, a potem pogroziła palcem kierowcy. To była osiedlowa dróżka. Nie powinien tak pędzić. — Wracajmy do mieszkania. Opowiesz, co tam się stało...

Karol rzeczywiście był w szoku. Wystarczająco dużym, by ją zignorować. Wyswobodził się z uścisku i ruszył przed siebie. Gdzieś w głowie cały czas rozbrzmiewały ostatnie słowa wuja. Jego przedśmiertny apel.

Błaganie, by ratował ciotkę Monikę.

Baśka, jak można się było spodziewać, nie odpuściła. Dogoniła go i rezygnując z łagodnej perswazji, po prostu założyła mu dźwignię. Szarpnął się raz i drugi, ale osiągnął tylko tyle, że rozboleło go ramię.

— Puszczaj.

— Zwariowałeś? Padło ci na mózg? Dokąd się wybierasz?

W ich stronę patrzyły już dwie obciążone siatkami staruszki i dzieciak, który wbrew tabliczce z zakazem wyszedł na podwórko, by pokopać piłkę. Od strony budynku rozległo się skrzypienie otwieranego okna. Szarpanina przykuwała uwagę coraz większej liczby osób. Karol zrozumiał, że jeśli ma się pozbyć niechcianego towarzystwa, to musi to zrobić sprytnie. Nie na siłę.

— Ten pocięty facet to mój wujek — wydyszał, przestając się opierać. — On ma żonę, ciocię Monikę. Monikę Kalinowską. Trzeba ją zawiadomić. Natychmiast.

— A gdzie ona jest?

— Tu, zaraz. Trzysta metrów stąd. Pracuje w bibliotece dzielnicowej.

Baśka zwolniła nacisk na jego ramię. Nie spodziewał się, że pójdzie tak łatwo. Zrobił krok, a potem kolejny... i uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Na ramieniu wciąż czuł dotyk jej palców.

— Co jest?

— Nic. Idę z tobą — odparła, patrząc na niego tak dziwnie, że miał ochotę dać drapak. I nagle go olśniło. To, jak zachowywała się w ostatnich dniach, to, jak go traktowała, jak go kryła... To było sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Życie nauczyło go, że największą barierą dla zdrowego rozsądku są zazwyczaj uczucia, w tym to jedno, najsilniejsze.

— Czy ty się we mnie zakochałaś?

Miał nadzieję, że zaprzeczy, ale ona pokiwała głową. Miała śmiertelnie poważną minę.

— Tak, zakochałam się. Jakieś piętnaście lat temu. Wyobraź sobie, że od tego czasu zdążyłam się odkochać. Jakieś trzysta razy. — Przyłożyła trzy palce do czoła i zademonstrowała mu, co ma zrobić. — Puknij się w czoło, narcyzie. Naprawdę myślisz, że takie z ciebie ciacho?

— To po co ciągle za mną łazisz? Dlaczego łamiesz wszystkie zasady... tajemnicę śledztwa i tak dalej? Jeśli nie jesteś zakochana, to jesteś chora.

— Jestem zdesperowana. — Policjantka złapała Karola za rękaw i pociągnęła go za sobą jak uczniaka. — Chodźmy.

— Dokąd?

— Do twojej ciotki. Też jestem ciekawa, co u niej.

— Niby dlaczego? I czemu jesteś... zdesperowana?

— To wszystko się ze sobą łączy. Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że wykradłam dla twojej babci pewne dane? To nie była cała prawda. Owszem, wykradłam je, ale nie byłam jedyna. Bo widzisz... Twoja babcia chciała, bym zrobiła to jeszcze raz, ale wtedy odmówiłam. Nie chciałam więcej ryzykować. No i twoja babcia poprosiła o to mojego kolegę. Zrobił to, a kiedy Laura znalazła zwłoki, od razu poleciał z tym do przełożonych. Przyznał się jak ostatni frajer. A oni...

— Czyje to były dane?

— Oni zrobili mu dyscyplinarkę, rozumiesz? Szef wezwał nas wszystkich na odprawę i zapowiedział, że jeszcze jeden taki numer i...

— Te wykradzione dane — przerwał ponownie Karol. — Czyje były?

— Niejakiego Alfreda Warszawskiego alias Wojciecha Orłowskiego.

— Alfreda? Rzadkie imię.

Baśka prychnęła ze zniecierpliwieniem.

— Czy ja wiem? U nas na komisariacie pracował jeden Alfred. Mówiliśmy na niego Fredek. A wracając do sprawy...

— Fredek?!

— No tak. Alfred, Alfredek, Fredek... Taki skrót.

Jego myśli pomknęły ku dwóm mężczyznom, którzy próbowali zrobić mu z twarzy siekany kotlet. Gdy plując krwią, spytał, czy są od Ferdka, jeden z nich odruchowo sprostował, że nie od Ferdka, tylko Fredka. Przed wyprowadzeniem kolejnego ciosu pouczył Karola, żeby nie kpił z szefa. Imienia Ferdek użyła Sasza z Sejn, ale ona miała przecież wadę wymowy. Źle zrozumiał? Czy pytając, kto go przysłał, na pewno wymieniła imię Ferdek?

A może jednak Fredek?

Ze wzburzeniem odnotował, że babcia podczas swojego wypadu na

Suwalszczyznę prawdopodobnie natknęła się na tego samego bandziora, który zlecił jego pobicie. „Fredka”, czyli... Alfreda Warszawskiego.

— Alfred Warszawski, Alfred Warszawski...

Miał wrażenie, że słyszał już to nazwisko, i to całkiem niedawno. Do rzeczywistości przywołał go kuksaniec.

— Twoja babcia dostała jego dane...

— Czemu mi nie powiedziałaś, że miała jeszcze jedną wtyczkę?

— Kiedy? Wtedy, gdy mówiłam ci o danych, które wyniosłam ja? Bo wtedy jeszcze nie wiedziałam, o kogo chodzi. Myślałam tylko o jednym. Że jeśli czegoś nie zrobię, to mnie wyleją.

Karol zmusił się, by nie myśleć o tajemniczym Warszawskim. Basia dopominała się uwagi, i to z takim zapalem, że kolejne kuksańce były kwestią sekund. Nie chciał następnych siniaków.

— Postanowiłaś prowadzić prywatne śledztwo?

— Coś w tym rodzaju. Chciałam się zasłużyć. Odkupić winy.

— Powiedziałaś mi o tym, co sama wiedziałaś, żeby sprawdzić, czy wiem coś więcej. Coś, co mogłoby ci pomóc.

— W skrócie... to tak. Uważaj, bo znowu wejdiesz komuś pod koła. — Jeszcze raz wciągnęła go na chodnik. Byli coraz bliżej celu. Budynek, w którym mieściła się biblioteka cioci Moniki, znajdował się za zakrętem. — Poza tym wydawałeś się czysty. Poza podejrzeniami. Gdy okazało się, że jednak byłeś wtedy w Polsce, myślałam, że padnę na serce. Ale nie wierzyłam.

— W to, że zamordowałam własną babcię?

Pokiwała głową.

— I okazało się, że miałam rację. Kiedy udało mi się zapoznać z wynikami sekcji zwłok, zaczęłam drugie życie. No i drążyłam dalej. Bo ta



wersja z twoją mamą... Prokurator się uparł, ale poza nim nikt w nią nie wierzy.

Karol, dla którego myśl o uwięzionej matce była niczym zadra w sercu, nie próbował powstrzymać uśmiechu. Baśka podała mu chusteczkę.

— Wytrzymaj twarz. I zęby. Na nich też masz krew. Wyglądasz, jakbyś właśnie kogoś zeżarł...

— Po co zabierali lodówkę i te inne graty?

— Prawidłowe pytanie. Sekcja wykazała, że twoją babcię otruto. Nie pytaj, co to za związek chemiczny. Nie umiem nawet prawidłowo wypowiedzieć jego nazwy. Nasi technicy uznali, że do organizmu babci dostał się razem z...

— Ciastem? Babcia uwielbiała słodczyce...

— Nie z ciastem, tylko z kawą. Trucizna była w ekspresie. Dokładnie go umyło, ale w laboratorium i tak znaleziono ślady.

Karol zrozumiał, co kierowało prokuratorem. Ekspres był prezentem od matki, na ostatnie urodziny. Ale przecież matka nie była jedyną osobą, która miała do niego dostęp. Truciznę mógł umieścić w nim... ktokolwiek. Wystarczyło znać się na chemii i mieć dostęp do odpowiednich preparatów. A to prowadziło do wniosku...

Nie, Karol postanowił go nie formułować. Obawiał się jedynie, że kolejną zatrzymaną osobą będzie jego siostra. Pracownica koncernu farmaceutycznego.

— Czyli mamę wypuszczą?

— Mam nadzieję. Bo tylko wtedy będę mogła się zasłużyć.

— Niby w jaki sposób?

Zza zakrętu wyłonił się monumentalny gmach przy Baśniowej. Biblioteka była w jego drugim skrzydle.

— Ten Warszawski to wielokrotnie notowany bandzior. Moi koledzy

z komendy stołecznej przyjrzeni mu się bardzo dokładnie. Stwierdzili, że w dniu, w którym zginęła twoja babcia, przebywał w jakiejś przygranicznej dziurze. Nie było go na miejscu zbrodni. Miał niepodważalne alibi.

Karolowi wydawało się, że wie, dlaczego policjantka się uśmiecha.

— A ty jesteś w stanie je podważyć, tak?

Okazało się, że znów był w błędzie.

— Nie. Ale znalazłam coś, co może się okazać interesujące. Wiesz, kto najczęściej okazuje się zabójcą?

Pytanie, przynajmniej pozornie, było bez związku z wcześniejszą częścią wypowiedzi. Karol potraktował je tak, jak na to zasługiwało.

— Kamerdyner.

— Nie. Ten, kto osiągnie największą korzyść. To dlatego ten prokurator napalił się na ciebie jak szczerbaty na suchary. Podobno jesteś spłukany. To prawda?

Karol potwierdził skinieniem głowy. Byli już niemal na miejscu. Wejście do biblioteki znajdowało się za skwerem z placem zabaw.

— Zastanów się, komu oprócz ciebie najbardziej zależało na spadku.

— Na pewno nie mojej matce — odparł machinalnie.

Na drzwiach biblioteki znajdowała się jakaś kartka. Prawdopodobnie z informacją, że dzisiaj zamknięte.

— Czy wiesz, jak zarabiam na życie?

— Sprzedajesz poufne dane?

— Bardzo śmieszne... Jestem dzielnicową. Mam służyć lokalnej społeczności, a żeby to robić, muszę ją znać. Właśnie po to mam swoje źródła.

— Co masz? — nie zrozumiał Karol.

Z bliska okazało się, że miał rację. Biblioteka była zamknięta.

— Osobowe źródła informacji — wyjaśniła Basia. — Dowiedziałam się

o tym Warszawskim czegoś bardzo interesującego.

— Czego? — spytał, szarpiąc za klamkę.

Drzwi wejściowe były otwarte.

— Otóż pan Warszawski nabroił także w młodości. Przez kilka lat przebywał w poprawczaku przy Barskiej. Nie jesteś zaskoczony, prawda?

— Nieszczególnie — odparł, rozglądając się po pustej sali. Nie był tu od wielu lat i miał wrażenie, że wewnątrz się skurczyło. Ale pewnie to on urósł. Nagle przypomniał sobie, skąd kojarzył nazwisko Warszawski. Wymieniła je Laura podczas ich spotkania w knajpie przy placu Zbawiciela. Warszawski był człowiekiem, którego skazano za zabójstwo dziadka Juliana.

Zaskoczony Karol zaniemówił. Tymczasem Basia mówiła dalej:

— Podobno ten Warszawski czuł się w poprawczaku jak ryba w wodzie, ale dopiero od pewnego momentu. Od chwili, gdy wśród tamtejszego towarzystwa znalazł bratnią duszę. Przyjaciela, na którego mógł liczyć. Na dobre i na złe.

— Czyli kogo? — wymamrotał Karol.

— Twoją ciotkę.

Tego było już za wiele. Karol aż podskoczył.

— Ciocię Monikę? Ona była w poprawczaku?! Nie wierzę.

— To uwierz.

Policjantka chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zanim zdążyła, zza ściany dobiegł ich śmiech, a raczej — diabelski chichot. Karol nigdy nie słyszał czegoś podobnego. Takie dźwięki mogły się kojarzyć tylko z jednym.

Z oddziałem zamkniętym w psychiatriku.

Laura patrzyła na ciotkę wielkimi oczami, mając nadzieję, że to tylko

koszmarny sen. Poczciwa ciotka Monika. Dobra, cierpliwa i tolerancyjna. To nie mogła być prawda.

— To niemożliwe.

— Ale co? — To łagodne wejrzenie jej orzechowych oczu było cholernie mylące. — To, że byłam w poprawczaku, czy...

— Jak mogłaś to zrobić?!

Ciotka patrzyła na łzy Laury, będące częściowo reakcją na gaz, a częściowo na wyznanie sprzed chwili. Miała opuchnięte usta. Niewiele brakowało, a Olka zrobiłaby jej poważniejszą krzywdę. Teraz Laura miała ochotę zrobić to samo. Chciała ją uderzyć. Ugryźć. Kopnąć. Jeszcze nigdy nie czuła czegoś podobnego.

Bo jeszcze nigdy nikt nie powiedział jej tego, co ciotka.

— Dlaczego zamordowałaś moją babcię?

Ciotka zawsze wydawała się oazą spokoju. Teraz też była spokojna.

— To skomplikowane. Życie jest skomplikowane. Nie płacz. Ona i tak była umierająca. Miała zaawansowany nowotwór.

To nie było w tym momencie ważne, ale po tym wyznaniu Laura zrozumiała, dlaczego babcia aż tak bała się pandemii. Chorzy na nowotwory mieli obniżoną odporność. Koronawirus atakował ich z dziką furją, nie pozostawiając zbyt wielu szans na wyleczenie.

— Babci zostało najwyżej kilka miesięcy. — Słowa powinowatej brzmiały jak odgłosy wrebli. Laura miała ochotę zakryć uszy, ale to niczego by nie zmieniło. — Ten guz, który wykryli jej dwa lata temu, dał przerzuty. Do najważniejszych organów.

— Ciociu, jak mogłaś... — urwała, obiecując sobie, że już nigdy nie nazwie jej w ten sposób. — Jak pani mogła to zrobić?

— Bardzo łatwo. — Ciotka wstała i przez chwilę szukała czegoś na jednej z półek. — Proszę bardzo. Najsilniejsze trucizny średniowiecza.

Takie książki istnieją naprawdę. Nie tylko w dziale ksiąg zakazanych u Harry'ego Pottera.

Podowała książkę Laurze, ale ta odrzuciła ją jak coś obrzydliwego. Chociaż to nie książka była obrzydliwa. Spojrzała na ciotkę w taki sposób, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

— Przecież... Przecież to była babcia.

— Dla mnie teściowa. I to z tych bardziej karykaturalnych. Takich... z baśni braci Grimm. Pewnie zwróciłaś uwagę na to, że nigdy nie była mi szczególnie... Bo ja wiem, przychylna? Nie, to chyba niewłaściwe słowo, a na pewno... grube niedopowiedzenie. Ona mnie nie znosiła. Nie potrafiła przeboleć, że jej syn związał się z taką przybłędą. — Westchnęła, a potem spojrzała pytająco na Laurę. — Widziałaś, jak mnie traktowała? Na pewno widziałaś. Moment, w którym podkładałam truciznę, z pewnością nie był najlepszym momentem w moim życiu, ale nie był też najgorszym.

— Trucizna nie była w torcie, prawda? — Głos Laury był niewiele głośniejszy od szeptu. — Przecież nie było cię wtedy w kraju...

— Zatrulałam śmietankę do kawy. Pamiętasz, jak na chwilę przed otwarciem testamentu prosiłam cię, żebyś pomogła mi w kuchni? Chciałam, by na ekspresie zostały twoje odciski palców. Trucizna i pracownica firmy farmaceutycznej. Niezłe zestawienie... — Popatrzyła na Laurę z przykrością. — Łudziłam się, że to będzie mieć znaczenie. O proszę, jaki piękny rym. Zestawienie i znaczenie. Niestety. To i tak koniec. Równie dobrze mogłam nie kombinować, tylko zwyczajnie strzelić jej w głowę.

— Dla pieniędzy?

— Dziwisz się i masz słuszność. Pieniądze wcale nie są najważniejsze. W tym wypadku były jedynie środkiem do celu. A raczej... miały być. A nie były. Zostałam przelicytowana, ale prawda jest taka, że siadałam do stolika z bardzo słabymi kartami.

Ciotka wstała i znów, tak jak wcześniej, zaczęła buszować wśród półek. Po chwili wróciła do Laury z kolejną książką. Chyba jeszcze starszą niż pożółkły wolumin o truciznach.

— *Piątka z ulicy Barskiej*. Pewnie słyszałaś o filmie. To jego literacki pierwowzór. Książka o łobuziakach z Ochoty. Gdy czytałam ją po raz pierwszy, miałam wrażenie, że jest o mnie. Zaczęłam kraść, gdy miałam dziewięć lat. Musiałam. Inaczej umarłabym z głodu. Całą młodość spędziłam w tym cholernym poprawczaku.

Laura potrząsnęła głową. Czuła się tak, jakby wokół jej skroni zaciskała się niewidzialna obręcz. Słowa ciotki docierały do niej jakby z opóźnieniem. Przyswajała je bardzo opornie.

— Ale jak to? W poprawczaku? Przecież chodziłaś do technikum. Do kolejówki.

— Technikum było później. Najpierw był poprawczak i muszę przyznać, że nie było to przyjazne miejsce. Marzyłam, żeby się stamtąd wyrwać. Ale to nie było takie proste. Był jednak człowiek, który mógł to ułatwić. To wtedy jako osiemnastolatka po raz pierwszy zetknęłam się z nazwiskiem Kalinowski. Ten mężczyzna wydał mi się wszechmocny. Domyślasz się, że mówię o twoim dziadku, prawda?

Laura domyśliła się, co zaraz usłyszy, ale i tak nie umiała jej współczuć.

— Praca w bibliotece? — spytała cichutko.

— Tak jest. Poleciał mnie, ale nie zrobił tego bezinteresownie. Po raz pierwszy i ostatni w życiu oddałam się komuś tak jak dziwka. Kiepskie uczucie, wiesz? Ale mogłam z tym żyć. Oczywiście tylko do czasu, gdy próg mojej biblioteki przekroczył on. Mój przyszły mąż. Wujek Jarek. Wtedy sytuacja stała się trochę krępująca. Wyobrażasz sobie, co wtedy czułam? Trudno, prawda? Zakochałam się w chłopaku, którego ojciec... sama wiesz. Nie mógł mnie zaakceptować.

Ciotka znów udała się między regały, ale tym razem wróciła niemal natychmiast. Laura знаła tę książkę. *Malowany ptak*.

— Tutaj znajduje się najbardziej makabryczny opis gwałtu, jaki kiedykolwiek został stworzony. Twój dziadek zaprosił mnie do siebie. Przyszłam, bo jaki miałam wybór? Jarek był w Londynie, a poza tym nie mógł się dowiedzieć. Domyślasz się, co mi zrobił. Tak, była też butelka — tylko że ja nie byłam zupełnie bezbronna. Dorastałam na ulicy, umiałam się bronić. Gdy się po mnie tarzał, wyjęłam nóż. I wbiłam mu go w plecy. A potem uciekłam, do jedyne go przyjaciela, którego wtedy miałam. Do Fredka. Alfreda Warszawskiego. Rozmawialiśmy już o nim, pamiętasz?

Laura kiwnęła głową. Nie umiała się zdobyć na nic więcej.

— To był dziwny chłopak. Z jednej strony dręczył koty, a z drugiej był skory do poświęceń. Tak to wtedy odebrałam. Jako poświęcenie. Powiedział, że się przyzna... do tego, co tak naprawdę zrobiłam ja. Uratuje mnie od więzienia. Pamiętasz ze szkoły *Małego Księcia*? To piękna historia o bezinteresownym poświęceniu. W naszym wypadku poświęcenie nie było jednak bezinteresowne. Musiałam obiecać, że mu to wynagrodzę. Że po wyjściu z więzienia już nie będzie musiał martwić się o pieniądze. Było mnie na to stać. Jarek zarabiał w funtach. Umówiliśmy się na konkretne miesięczne sumy, uzależnione od tego, ile przesiedzi lat. Był nieletni, ale dostał wysoki wyrok. Stałam się jego dłużniczką, do samego końca.

— Czyli do dzisiaj — wychrypiała Laura, ocierając oczy. — To chore. Oboje byliście chorzy, on chyba jeszcze bardziej od ciebie.

— Powiedziała dziewczyna, która nigdy nie zaznała głodu... My zaznaliśmy. Fredka i tak nie czekało w życiu nic dobrego. Dzięki naszej umowie nie siedział za frajer. Tak, tak, znam takie słowa. Jestem prostą dziewczyną z marginesu, która tym różni się od innych podobnych, że przeczytała w życiu kilka książek.

— Po co fundowałaś sztandar?

Ciotka po raz pierwszy pokazała namiastkę emocji. Jej policzki pokryły się szkarłatem. Dopiero gdy się odezwała, do Laury dotarło, że są to rumieńce wstydu.

— Bo byłam wtedy słaba. Wierzyłam jeszcze w te bzdury o zbawieniu, o życiu wiecznym i tak dalej. W odkupienie win. Chciałam, by wychylił się z piekła i mi przebaczył. Teraz mi głupio. Wolę rozpowszechnić wersję, że Julian Kalinowski ufundował ten sztandar osobiście, zanim umarł. Zanim go zabiłam.

Laura znów się wzdrygnęła. Robiła to za każdym razem, gdy ciotka wspominała o morderstwie. Niezależnie od tego, o którym. Dziadka, babci czy Warszawskiego.

— Wciąż chodzisz do kościoła — szepnęła, starając się usunąć z oczu łzawą mgłę. Skoro ciotka zabiła trzy razy, to istniało ryzyko, że zrobi to raz jeszcze. Choćby po to, by nie zostawiać świadków. — Czemu to robisz?

— Dlaczego chodzę do kościoła? Trochę dla tradycji, a trochę dlatego, by zrozumieć, dlaczego byłam wtedy tak naiwna. Czemu wierzyłam w te bajki o zbawieniu. Ale chyba już tego nie zrozumiem. Tamta dziewczyna i ja nie mamy nic wspólnego. Zadbął o to mój Fredek Warszawski. Po wyjściu z więzienia nie był już moim przyjacielem. Poprosił mnie jeszcze, żebym powiedziała w parafii, że umarł, a potem... O, to będzie odpowiednie. Idealny tytuł. *Zbrodnia i kara*.

Laura utwierdziła się w swoim świeżym przekonaniu, że ciotka zwariowała. Książki stały się jej przyjaciółkami. Niestety jedynymi. Teraz nie zwracała się do Laury, tylko właśnie do dzieła Dostojewskiego. Głaskała szary papier niczym ulubionego zwierzaka.

— Fredek wciąż chciał coraz więcej. Z początku się na to godziłam, ale bałam się, że Jarek kiedyś mnie nakryje. Domyśli się, że kradnę. Że go



okradam. Gdy wreszcie odmówiłam, zaczęły się szantaże. Ukarzał mnie za moją zbrodnię. Już nigdy nie zaznałam spokoju. — Jeszcze raz pogłaskała okładkę, po czym odłożyła książkę na półkę. Nie minęło więcej niż kilkanaście sekund, gdy wróciła z kolejną. To także była lektura szkolna. Świadomie bądź nie oddawała w ten sposób hołd tej, którą zabiła. Babci Krysi, nauczycielce języka polskiego. — Życie i literatura mają ze sobą więcej wspólnego, niż nam się wydaje — stwierdziła, podając Laurze *Tristana i Izoldę*. — Te największe miłości są zazwyczaj nieszczęśliwe. Moi dawni znajomi, ci z marginesu, do dziś żyją w przekonaniu, że wyszłam za Jarka dla pieniędzy. Są w błędzie. Pieniądze nigdy nie miały znaczenia. Kochałam go i Kocham. I zawsze będę kochać. Dlatego nie mogłam dopuścić do tego, by się dowiedział. O tym, że spałam z jego rodzonym ojcem, ale przede wszystkim o tym, że go zabiłam. Jak widzisz, Warszawski miał pole do popisu. Mógł sobie wybierać przedmiot szantażu, a jakkolwiek by wybrał, zawsze trafiał w dziesiątkę.

Laura chciała powiedzieć, że szantażysta blefował, ale w stanie szoku, w jakim się znajdowała, formułowanie myśli przychodziło jej z obezwładniającą trudnością. Ciotka zdawała się czytać jej w myślach.

— Nie znałaś go. Jego życiem rządziły zasady. A najważniejsza brzmiała: zero tolerancji. Wsypałby mnie sekundę po tym, jak spóźniłabym się z kolejną ratą płatności. Ale ja nigdy się nie spóźniłam. Nigdy. Aż do tej cholernej pandemii. Wiesz, co się stało, prawda? Widziałam to w twoich oczach, gdy zepsuł nam się samochód. Tam przy Lwowskiej, tego dnia, gdy pan Emil otworzył testament. No i później, gdy odprowadziłaś mnie z zakupów do tej obmierzłej nory.

Laura nie miała pojęcia, o czym mówi jej ciotka, ale tylko przez moment. Potem zrozumiała.

— Mieliście kłopoty finansowe? — wydukała, połykając łzy.

Po ataku Arbaszewskiej oczy wciąż paliły ją żywym ogniem.

— Zbankrutowaliśmy — uściśliła ciotka. — W szczycie pandemii pojechałam do Fredka, na Suwalszczyznę, negocjować odroczenie spłaty mojego zobowiązania. Jak się pewnie domyślasz, nie był tym zachwycony. Już wtedy chciałam go zabić. Teraz widzę, że nie powinnam była się wahać, ale w tamtym momencie uznałam, że jest lepszy sposób. Postanowiliśmy okraść twoją babcię. I wtedy pojawiła się Ola.

Laura potarła podrażnione oczy. Udawała, że słucha, ale tak naprawdę koncentrowała się zupełnie na czym innym. Nie chciała zostać czwartą ofiarą. Pragnęła uciec — i to jak najdalej.

— Czy wiesz, że twoja matka miała jeszcze jedno dziecko?

W pierwszej chwili uznała, że gaz wywołał u niej halucynacje.

— Dziecko? Mama? Chyba babcia...

— Nie, mama. Córkę Petronekę, którą oddała do sierocińca.

— Petronekę?

— Tak. Petronekę. Twoja babcia miała na punkcie tego dziecka prawdziwą obsesję.

Laura na moment zapomniała o fatalnym położeniu, w jakim się znalazła.

— Dziecięcy grób na Powązkach?

— Zgadza się. Babcia święcie wierzyła, że ta dziewczynka umarła. Winiła się. To ona kazała oddać małą do sierocińca. Postanowiłam wykorzystać tę obsesję do własnych celów.

— Ale... — Laurze zabrakło słów. — W jaki sposób?

— Bardzo prosty. Warszawski miał w swojej stajni wiele kobiet. Traf chciał, że jedna z nich przebywała w tym samym sierocińcu, a przy tym była rówieśniczką tamtego dziecka. Pomysł wydał nam się genialny. Ulepszona wersja oszustwa na wnuczka. A raczej w tym przypadku na

wnuczkę. Sama przyczepiłam tę kartkę do tablicy ogłoszeń w naszej kamienicy. *Zapewnię opiekę starszej osobie*. Jarek szukał dla twojej babci opiekunki. I w końcu znalazł. Tak myślał. Ale babci powiedziałam więcej. Skłamałam, że ta Arbaszewska jest jej wnuczką. Uwierzyła, bo bardzo chciała w to uwierzyć. Była bardzo szczęśliwa. I po raz pierwszy w życiu poczułam, że mnie lubi. Miała powody. Obiecałam, że odnajdę jej ukochaną wnuczkę. I to zrobiłam. — Nakreśliła w powietrzu znak cudzysłowu. — Oczywiście nie sama. Z drobną pomocą fachowców, którzy kazali sobie słono zapłacić.

Roześmiała się. Nie był to zdrowy śmiech. Laura poczuła, że przechodzą ją dreszcze.

— To stąd zapisy dla tej fikcyjnej firmy detektywistycznej? Poszukiwania Osób Zaginionych...

— To był pomysł Warszawskiego na jednorazową płatność. Babcia była umierająca. Zgodził się, żeby ta płatność została odroczonej do jej śmierci. Oprócz tego były jeszcze inne płatności. Na bieżąco.

Znów się roześmiała. A Laurę znów przeszedł dreszcz.

— Olka nie wiedziała, że odgrywa jej wnuczkę? — spytała szybko, by przerwać ten przerażający chichot.

— Nie miała pojęcia. O niczym. Zdecydował o tym Warszawski. Znał ją. Wiedział, że nie jest tytanem intelektu. A tak była naturalna. I nawet zwracała się do niej per babciu. Rola biednej zadłużonej dziewczyny z problemami nie była w zasadzie rolą, tylko smutnym faktem.

— Przecież mogła się tego dowiedzieć od babci. Babcia Krysia...

— Babcia Krysia nie pisnęła ani słowa. Powiedziałam, że dziewczyna nie wie, że została adoptowana. I że informacja o adopcji może ją zabić. Krystyna nie chciała skrzywdzić swej „wnusi”. Nie po raz drugi. Wciąż nie mogła przeboleć, że kiedyś kazała ją oddać.

Laureę zaszczypały oczy. Tym razem nie tylko od gazu. Babcia była postacią tragiczną. Kiedyś zrobiła coś strasznego i przez resztę życia, aż do jego dramatycznego końca, płaciła za to przerażającą cenę.

— Jak to zaaranżowaliście? — wychrypiała. — Babcia dawała jej pieniądze na spłatę długów, tak? A ona przekazywała je wam?

— Mnie. Warszawski trzymał się z daleka. Siedział na tej swojej Suwalszczyźnie i kombinował, jak wyciągnąć jeszcze więcej. Zresztą nie musiał kombinować. Babcia stawiała na głowie, żeby pomóc zadłużonej wnuczce. Sprzedała nawet jeden z lokali użytkowych w swojej kamienicy, a drugi wynajęła naszemu słupowi, żebyśmy mogli zarobić jeszcze więcej.

— Andrzejowi Pietrzykowi? — upewniła się Laura.

— Tak jest. A konkretnie firmowanej przez niego fikcyjnej agencji poszukiwawczej. To była ta transza za „odnalezienie” wnusi. To plus zapis w testamencie. — Monika Kalinowska powtórzyła to, co wyznała przed minutą, a potem parsknęła niezdrowym śmiechem. — Wszystkie pieniądze płynęły do mnie, a ja przekazywałam je Fredkowi. Olka myślała, że jestem niebezpiecznym bandzirem. Chyba wciąż tak myśli, ale mimo to nie zawahała się, by tu przyjść. Potęga miłości. Trudno w to uwierzyć, ale chyba go kochała. Swojego alfonsa. Syndrom sztokholmski w najgorszym wydaniu. — Wstała, ale tym razem nie przyniosła kolejnej książki. Zrobiła kółeczko, dając wyraz ogarniającemu ją podenerwowaniu. — Niewiele zabrakło, a by się udało. Gdyby nie głupi przypadek... Gdyby babcia nie była aż tak wścibska, mogłaby dożyć swoich dni. W spokoju i komforcie. Niestety, odkryła prawdę. O Amelii, twojej przyrodniej siostrze. Tak jest, dobrze usłyszałaś. Twojej siostrze. Nie jesteście zdziwiona? Ja byłam.

Laura przełknęła łzy i pokręciła głową. Znała prawdę. Michał powiedział jej o Amelii zaraz po tym, jak zawiadomił ją o zatrzymaniu matki.

— Twoja babcia dowiedziała się, że ją oszukałam — ciągnęła ciotka

Monika. — Wybrała się na Suwalszczyznę, by ostatecznie potwierdzić, że padła ofiarą mistyfikacji. Nie zostawiła mi wyboru. Miałam bardzo mało czasu. Nie chciałam, by rozmówiła się z Olką, ale przede wszystkim liczył się testament. Mogła go zmienić dosłownie w każdej chwili.

— Dlaczego nie zrobiła tego od razu?

— Bo potrzebowała do tego pana Emila. Miałam szczęście. A przynajmniej sądziłam, że mam. Pan Emil spędził kilka tygodni w sanatorium. To dało mi wystarczająco dużo czasu, by wszystko zaplanować. Nie przewidziałam tylko jednego. Na kontach twojej babci zostały jakieś marne grosze. Albo nie była aż tak bogata, albo postanowiła mi spłatać ostatniego psikusa.

Laura dobrze pamiętała, że w chwili poprzedzającej otwarcie spadku ciotka sprawiała wrażenie skrajnie zdenerwowanej. Teraz miała odpowiedź dlaczego. Z pewnością odetchnęła z ulgą, ale radość nie trwała długo. Tylko do momentu, w którym sprawdzili stanu rachunków bankowych.

— Nie mieliście pieniędzy na kolejną ratę dla Warszawskiego, tak?

Ciotka podała jej następną chusteczkę. Jej gest kojarzył się z ostatnim aktem łaski dla skazanego na śmierć. Laura natychmiast przytknęła ją do oczu. Łzawiły coraz mniej, ale nie chciała tego ujawniać. Zaskoczenie było jej jedyną bronią w walce, którą zamierzała stoczyć. W walce o własne życie.

— Dziś upływał termin. Miałam nadzieję, że Jareczek pożyczyci pieniądze od Lubeckiego. Chciał przeznaczyć je na spłatę kredytu w banku, ale to akurat nie było problemem. Pieniądze i tak trafiłyby do mnie. W naszym domu to ja pilnowałam rachunków. Niestety, pieniędzy nie było. Domyślasz się już, co zrobił Warszawski, zanim go zabiłam?

Głos ciotki był zaskakująco obojętny, tak jakby pogodziła się z tym, że straciła wszystko, co dla niej ważne. Laura widziała wystarczająco dobrze,

by dostrzec, że ciotce brakuje jednego pantofla. Zostawiła go, zbiegając po schodach kamienicy przy Lwowskiej. Na miejscu zbrodni.

— Spotkał się z wujkiem, tak? — spytała drżącym głosem.

— Tak. W tym cholernym hostelu. Spóźniłam się dosłownie o kilka minut. Widziałam, jak wychodził. Mój Jareczek. Widziałam jego łyzy.

— Co teraz zrobi?

— Nie wiem. To nie ma już znaczenia. Nasze życie się skończyło. Nie ma już nic.

Laura czekała na ten moment. Moment, który miał zadecydować o życiu i śmierci. Wiedziała, że nadejdzie, i nawet przez sekundę nie czuła strachu. Drżenie rąk, łyzy, spazmy — wszystko to było teatrem.

— Co zamierzasz?

Ciotka odpowiedziała wzruszeniem ramion, ale Laura nie odpuściła. Była już gotowa.

— Jak chcesz to rozegrać?

— Ale co?

— Tę sytuację. Ja i ty.

Ciotka odwróciła się do Laury plecami.

— To proste. Jedna z nas odejdzie, a druga tu zostanie. Już na zawsze.

To był moment, na który Laura czekała od samego początku. Od chwili, gdy ciotka powiedziała jej, że zamordowała babcię Krysę. W ułamku sekundy z kupki nieszczęścia przeobraziła się w walkirię. Skoczyła na ciotkę i... wyrznęła głową w dębowy regał.

— Uspokój się, dziewczyno. — Ciotka Monika puściła jej przedramię po darmowym pokazie ulicznego judo. — Nic ci nie zrobię. To ty będziesz tą, która odejdzie wolno. Właściwie już możesz iść.

— Nie.

Przed oczami Laury latały mroczki, ale i tak zdołała to dojrzeć. Regały

były podtrzymywane przez metalowe rusztowanie. Do jednego z poprzecznych prętów przywiązany był konopny sznur.

Na jego końcu dyndała pętla.

— Proszę, Laura. Idź sobie. Bo chyba nie chcesz na to patrzeć?

Nie chciała, ale nie umiała się zdobyć na taki gest. Samobójstwo nigdy nie było dobrym wyjściem.

— Zgłoś się na policję.

— Nie.

— Proszę. Pomyśl o wujku.

Ciotka zaczęła się śmiać. Tak głośno, że Laura zakryła uszy. Spoważniała dopiero wtedy, gdy stanęła pod zaimprovizowaną szubienicą.

— Myślałam o nim przez całe życie. Wystarczy. Na drugą stronę przejdę sama.

Laura nie była w stanie się poruszyć. Z makabryczną fascynacją obserwowała, jak ciotka wchodzi na stołek, którego używała dotąd, by sięgnąć po książkę z wyższej półki. A potem, gdy ciotka założyła sobie pętlę na szyję, zaczęła wrzeszczeć. Tak głośno, że miała wrażenie, jakby odpowiadało jej echo.

Ale to nie było echo.

— Policja! Wszyscy na ziemię!

Laura zastosowała się do polecenia. Zanim jednak przytuliła policzek do starej wykładziny, zdążyła zarejestrować, jak ciotka zeskakuje ze stołka i biegnie w kierunku okna. Ciąg dalszy obserwowała już z pozycji horyzontalnej. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyła w drzwiach magazynu Baśkę, a potem Karola. Sekundę później rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Ciotka Monika wyskoczyła przez okno. Przez chwilę słychać było uderzenia jej buta o asfalt, a potem zrobiło się cicho, ale na krótko. Laura

poczuła, że ktoś gładzi ją po głowie. Słowa były rwane, a głos, który je wypowiadał, nieśmiały i ochrypły ze wzruszenia.

— Siostrzyczko... Tak bardzo cię kocham!



## Wtorek, 10 sierpnia 2021 r.

Po lipcowych upałach sierpień był chłodny i deszczowy. Przed wyjściem z więziennej izby lekarskiej doktor Michał Tracz włożył polar i zapiął go pod samą szyję. Czekająca obok radiowozu Baśka miała na sobie służbową bluzkę z krótkim rękawem. Na jej widok zrobiło mu się jeszcze zimniej.

— Przeziębisz się.

— A odkąd to jesteś taki troskliwy?

Wsiadł na miejsce pasażera, przeklinając w duchu fatum, które spośród stu tysięcy policjantów postawiło dziś przed nim właśnie ją. Dziewczynę, którą poderwał, a zaraz potem porzucił. Od tamtego szalonego weekendu upłynęły już ze dwa lata, ale wciąż mu to pamiętała.

— Możesz wysadzić mnie przy metrze — zaproponował, lecz w odpowiedzi pokręciła głową.

— Mam cię odwieźć pod twoje miejsce pracy. A rozkaz to rozkaz.

Westchnął w duchu, bo wolał tłoczyć się w metrze albo nawet stawić czoła mżawce i pójść piechotą. Wszystko wydawało się lepsze od tych pełnych nienawistnego milczenia kilkunastu minut, które miał spędzić obok niej, uwięziony w warszawskim korku.

— Masz może jakąś muzykę? — zapytał, ale i ta propozycja spotkała się z odmową. Zatrzymali się przed bramą i zaczekali, aż strażnik skontroluje bagażnik — na wypadek, gdyby zmienili strony i zamiast współtworzyć aparat sprawiedliwości, postanowili przesz muglować na zewnątrz jakiegoś skazańca.

— Jesteś głodny? — spytała niespodziewanie Baśka. — Bo ja napiłabym się kawy.

Zajechali do McDrive'a. Michał, który nie chciał przedłużyć ich podróży nawet o sekundę, zamówił najzwyklejszego hamburgera. Baśka, tak jak to zapowiedziała, wzięła kawę. Zaparkowali i przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

— I co? Zaburzenia psychiczne, nie?

Michał w pierwszej chwili nie skojarzył, co policjantka ma na myśli.

— U mnie?

— Nie udawaj głupka. U tej babki, którą badałeś. U Moniki Kalinowskiej.

Michał, jak każdy psychiatra, miał bardzo restrykcyjny stosunek do tajemnicy zawodowej, ale w tym wypadku nie występował jako lekarz, tylko biegły. Jego szczegółowa opinia i tak miała się znaleźć w aktach śledztwa.

— A po co ci ta wiedza? — spytał, a Baśka, po raz pierwszy tego popołudnia, zdobyła się na uśmiech.

— Oddelegowali mnie do tej sprawy. Myślałam, że wylecę, a oni dali mi awans i obietnicę, że w dalszej perspektywie trafię do stołecznej, już na stałe. W uznaniu zasług. Bo to ja ją ujęłam.

— Kalinowską?!

— Zgadza się. Zupełnie zwariowała. Na moich oczach próbowała rzucić się pod autobus, ale na szczęście kierowca miał refleks. — Popatrzyła na niego wyczekująco, a on pokręcił głową. — Nic mi nie powiesz?

— Właśnie mówię. — Zmiał papierek po hamburgerze i wetknął go do kieszeni na drzwiach. — Według mnie pani Kalinowska w chwili popełnienia zarzucanego czynu była w pełni poczytalna. Przynajmniej w ujęciu prawnonaukowym. Prywatnie stoję na stanowisku, że każdy, kto z premedytacją zabija człowieka, jest świrem.

Czekając, aż jego towarzyszka dopije kawę, cofnął się myślami do

rozmów, które przeprowadził z Kalinowską w ciągu ostatnich kilku dni. Starał się być obiektywny i pewnie nawet mu się to udało, ale nienawidził tego babska, i to z powodów osobistych. Nie mógł jej darować tego, co zrobiła Laurze. Gdy opadł kurz, Laura była kompletnie rozbita psychicznie. Zamknęła się w swoim mieszkaniu niczym ślimak w skorupie i konsekwentnie odrzucała jego kolejne zaproszenia — na kawę, na obiad, na wypad pod miasto.

Szkoda. Bo cholernie mu się podobała.

— Słuchaj, czy Laura... Czy ona kogoś ma?

Baśka zmierzyła go ponurym spojrzeniem. Po chwilowym zawieszeniu broni nie zostało nawet wspomnienie.

— Nie mam pojęcia i szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi — burknęła, a potem, przez całą drogę do centrum nie powiedziała już ani jednego słowa.

W ten posępny, szary dzień Szpital Nowowiejski jeszcze bardziej niż zazwyczaj przypominał opuszczone zamczysko. Jediną rzucającą się w oczy oznaką współczesnych czasów były tablice przypominające o obowiązku noszenia maseczek. Pandemia czy też — jak określała ją znaczna część tutejszych pacjentów — plandemia postawiła polską psychiatrię nad przepaścią. Poczucie zagrożenia, miesiące spędzone samotnie w czterech ścianach — to wszystko stanowiło doskonałą pożywkę dla wszelkich możliwych paskudztw.

Michał wdrapał się najpierw na ostatnie piętro przeciwległego skrzydła. Pojawiał się tu coraz częściej w nadziei, że znów natknie się na Laurę. Ale tym razem Amelia Celmer była sama. Bez troskliwego męża i jeszcze troskliwszej Lucyny Woźniak-Lubeckiej — przyjaciółki i biologicznej matki w jednym.

— Jak samopoczucie?

— Świetnie, doktorze. Dziękuję za wszystko. Czuję, że przełom już za mną. Teraz musi być już tylko lepiej.

Pokiwał głową, pozorując optymizm, którego nie odczuwał. Amelia wylosowała na loterii życia wyjątkowo paskudną pulę genów. Genów Szymona Romanowa, który — pomimo wdrożonej w ostatnich tygodniach terapii — wciąż nie wykazywał symptomów poprawy.

— Słyszałem, że nas pani opuszcza.

— To prawda. Od przyszłego tygodnia przechodzę na tryb ambulatoryjny. Już w pobliżu domu, w Londynie. Ale zawsze będę was wspominać. Was i ten szpital. Z rozrzewnieniem.

Udał, że wierzy, chociaż — jako człowiek znający tego typu placówki na zachodzie Europy — zdawał sobie sprawę, że przez pacjentkę przemawia kurtuazja. Odwiedzał szpitale psychiatryczne w Londynie, Paryżu czy Brukseli. Żaden z nich nie przypominał zrujnowanego zamczyska...

Pożegnał Amelię, obiecując, że jeszcze ją odwiedzi. Wiedział od kolegów, że bezpośrednim powodem załamania, po którym tu trafiła, była treść rozmowy Lucyny i jej syna, Karola, którą podsłuchiwała nad jeziorem. Amelia domyślała się już od dawna, że zielonooka Lucyna jest jej biologiczną matką... i nawet zaczynała to akceptować. Tymczasem podczas tej feralnej rozmowy z ust Lucyny wyszła sugestia, że porzucona na Suwalszczyźnie dziewczynka — czyli właśnie Amelia — była córką zamordowanej Krystyny Kalinowskiej. Kobiety, którą Amelia poznała jako zbzikowaną staruszkę czającą się na nią na przystanku autobusowym. Teraz jednak to nieporozumienie było już wyjaśnione, a burza, którą wywołało — zażegnana. Amelia znalazła się na początku wyboistej drogi ku normalności.

Na końcu tej drogi znajdował się natomiast Łukasz Komar. Gdy Michał wrócił na swój oddział, zastał go już spakowanego i gotowego do wyjścia,

w towarzystwie uszczęśliwionego ojca. Co prawda była to tylko przepustka, ale można było mieć nadzieję, że wróci tu z niej jedynie po oficjalny wypis.

— Czekałem na pana, doktorze. — Uśmiechnął się nieco szelmowsko, ale przy tym wesoło. — Dziękuję. I przepraszam. Przeze mnie został pan alpinistą.

— Nie ma za co, kolego. — Michał klepnął go w ramię. Po początkowych ekscesach Łukasz stał się wzorowym pacjentem. — Ta akcja dodała mi fame'u. Mówią, że dzięki temu zrobią mnie ordynatorem. — Mrugnął okiem, a Komarowie zgodnie zarechotali. Nie wiedzieli, że w jego żarcie tkwiło ziarno prawdy. Podobno awans był kwestią dni. — Zdradź mi, bo to nie daje mi spokoju. Dlaczego wyszedłeś na ten gzyms?

Łukasz Komar przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Dotąd unikał tego tematu jak ognia, ale teraz — na sam koniec — był w zbyt dobrym nastroju, by milczeć.

— Przestraszyłem się — wyznał z krzywym uśmiechem.

— Kogo? — Michał zrozumiał, że chłopak nie mówi poważnie. — Mnie? A może tej dziewczyny, która ze mną była? Chyba nie wyglądała szczególnie groźnie, co?

Uśmiech pacjenta stał się jeszcze szerszy.

— Fajna babeczka. Ma pan niezły gust, ale musi pan wiedzieć, że takie są najgorsze. Mężczyzna w ich towarzystwie staje się bezbronny jak niemowlę. — Mrugnął okiem, ale potem od razu się zreflektował. Był grzecznym dzieciakiem. Może nawet zbyt grzecznym. — Przepraszam, doktorze, nie powinienem tak mówić. Nie wiem, co mi odbiło.

— Nic nie szkodzi. — Michał machnął ręką. Wciąż jeszcze się łudził, ale coraz wyraźniej dostrzegał, że Laura jest dla niego nieosiągalna. Był o krok od tego, by się poddać. — Zaczekasz na nas? Mam jeszcze do pogadania z twoim tatą.

To nie były oficjalne zalecenia, tylko luźna rozmowa. Odprowadzając Zbigniewa Komara, Michał udzielił mu kilku rad, z których najważniejsza brzmiała: niech chłopak choć trochę się usamodzielni.

— I jeszcze jedno — powiedział na koniec, żegnając się z Komarem przed wejściem do budynku. — Pański syn non stop siedzi w telefonie. Ja wiem, że robi fajne animacje. Sprawiał nimi frajdę wszystkim pacjentom, ale...

— To jego praca — przerwał starszy Komar. — Zajmuje się projektowaniem elementów wystroju wnętrz. Na razie dorywczo, ale chyba wiąże z tym przyszłość.

Psychiatra nie chciał tracić czasu na jałowe dyskusje. Z tego, co zaobserwował, wynikało, że Łukasz nie traktował swych sesji z telefonem jak pracy, tylko bawił się niczym nastolatek. Podejrzał na przykład, że chłopak edytuje stare zdjęcia, umieszczając swoją sylwetkę na tle widoczków wyszukanych w sieci — na przykład wodospadu Niagara. Był tak utalentowany, że zdawał się moknąć w kroplach rozpylonej wody.

— Niech mu pan powie, żeby trochę zwolnił — powiedział poważnym tonem. — Trzeba znać umiar. Nic w nadmiarze.

— Nic w nadmiarze. — Komar senior przyznał Michałowi rację, a potem westchnął z udawaną dezaprobatą. Tak naprawdę był dumny. I szczęśliwy, że koszmar dobiega końca. — Niech pan spojrzy. Znów wyjął ten telefon. No, ale teraz przynajmniej się w niego nie gapi, tylko z kimś gada.

— I prawidłowo — skwitował Michał.

Kontakty społeczne były najlepszym lekarstwem. Prawie na wszystko.

Kilka przecznic dalej Karol Woźniak ścisnął dłoń samego podsekretarza stanu. Działo się to na schodach ministerstwa — jasne, wolałyby to robić na raucie, ale od czegoś trzeba było zacząć.

— Dziękuję, panie ministrze. Zapewniam pana, że nie będzie pan tego żałował.

— No, mam nadzieję. — Ton był protekcyjny, ale Karol udał, że tego nie zauważa. Najważniejsze było to, że zostawał w służbie. — I pozdrów koniecznie Marcela. I tę ślicznotkę.

Obiecał, że to zrobi, a potem podszedł do ślicznotki, czyli swojej siostry Laury. Minister nie przesadził, rzeczywiście wyglądała zachwycająco. Zielone oczy błyszczały, a uśmiech był tak ciepły, że mógł rozpuścić lodowiec. Właśnie skończyła rozmawiać przez telefon.

— I co? Ciągłe jesteś dyplomatą?

— Wygląda na to, że tak. Hej, zachowuj się. Ludzie patrzą.

Cmoknęła go w policzek, a potem wywinęła piruet. Od dawna nie widział, by była tak radosna. Przez kilka ostatnich tygodni wciąż ukradkiem pociągała nosem, a podczas pogrzebu babci wylała wiadro łez.

— Ja też mam dla ciebie nowinę. Wreszcie go poznasz.

— Kogo? Tego twojego mitycznego...

— Właśnie wylądował na Okęciu. — Klasnęła w dłonie. — Rzucił tę robotę. Twierdzi, że miał już dosyć życia na walizkach. Pełne trzy miesiące, najpierw Norwegia, potem Kanada... Na widok fiordów i Niagary dostawał już mdłości.

— Tak. Z pewnością chodzi o niechęć do fiordów. — Karol z trudem się powstrzymał, by nie zmierzić jej włosów. — No dobrze, chętnie go poznam. A raczej, jak mawia młodzież, obczaję.

— Jako brat masz pełne prawo. Chociaż... Ty przecież już go poznałeś.

— Chyba w piaskownicy, tej na podwórku u babci. Ale nie pamiętam. Kojarzę tylko jego ojca. To on was wyswatał, prawda?

— Zgadza się. Według niego jestem... nie uwierzysz... dobrą partią.

— Serio? — Chciał chyba zażartować, ale się powstrzymał. — To jak ma

na imię ten twój lowelas?

Laura znów się uśmiechnęła. Chyba uznała, że się z nią droczy, ale Karol naprawdę nie miał pamięci do imion.

— Przecież już ci mówiłam. — Żartobliwie pogroziła mu palcem, a on udał skruchę. — Zapamiętaj sobie raz na zawsze. Mój chłopak nazywa się Łukasz. Łukasz Komar.

Promieniowała szczęściem.



# Od Autora

Bohaterami *Odmętów śmierci* są nie tylko Karol i Laura, ale także Ochota — dzielnica Warszawy, w której spędziłem pierwsze trzynaście lat życia. Spacerując tamtejszymi uliczkami na etapie wymyślania fabuły, niejednokrotnie miałem wrażenie, że przechadzam się po mieście duchów. Rezultatem tej podróży sentymentalnej jest obraz, w którym teraźniejszość przeplata się z przeszłością, a prawda z fikcją. Na Barskiej nie funkcjonuje hospicjum, w kościele przy placu Narutowicza nie ma sztandaru świętego Dyzmy, a w Szpitalu Nowowiejskim — oddziału drugiego. Ale rzeźba Marii Skłodowskiej-Curie naprawdę miała przestrzeloną głowę. To jedno z moich pierwszych wspomnień. Pamiętam z dzieciństwa także miejsce straceń z tablicą Tchorka, przy dawnym poprawczaku. Po latach, podobnie jak Karolowi, mnie również wydało się mniejsze. Tak jak plac zabaw mojego przedszkola przy Lelechowskiej. I wiele innych miejsc...

Istniejące instytucje, takie jak Stacja Filtrów, kościół Świętego Jakuba, ośrodek księży orionistów, szpitale czy jednostki Policji, zostały wykorzystane w *Odmętach śmierci* jedynie na zasadzie szyldów. Pragnę z całą mocą podkreślić, że opisane wydarzenia oraz uczestniczące w nich osoby są w stu procentach wytworem mojej imaginacji. Jestem przekonany, że dramatyczne wypadki, do których doszło na przykład w „książkowym” Szpitalu Nowowiejskim, w realnym świecie nigdy by nie zaistniały. Według mojej najlepszej wiedzy wymienione przeze mnie instytucje w rzeczywistości nie mają za grosz potencjału kryminalnego.

Dziękuję pierwszym czytelnikom tego tekstu, czyli mojej Żonie i Tacie. Tata, który zapamiętał z naszych „ochockich” czasów znacznie więcej niż

ja, był nie tylko redaktorem, ale także — wraz z Mamą — przewodnikiem po zapomnianych zaułkach dzielnicy. Oboje mieli swój epizod ze Stacją Filtrów. Tata pełnił tam służbę wojskową, a Mama... grała w koszykówkę. Dziękuję mojej rewelacyjnej ekipie z Wydawnictwa: Karolinie Pawlik, Hannie Kossak-Nowocień, Patrycji Poczcie i Magdalenie Janiszewskiej. Serdecznie pozdrawiam moich Teściów, Dziadków, Braci i Szwagra (oczywiście z rodzinami).

Przede wszystkim dziękuję Tobie, Czytelniku. I mam nadzieję, że... do zobaczenia!